



Elin Hilderbrand



**Piasek
w butach**

CZEŚĆ I

CZERWIEC

Trzy kobiety wychodzą z samolotu.

Brzmi jak początek kawału.

Joshua Flynn, lat 22, urodzony na wyspie Nantucket, student ostatniego roku Middlebury College, zatrudniony na okres wakacji na lotnisku Nantucket Memorial, gdzie jego ojciec jest kontrolerem lotów, zauważył je natchmiast. Przybyły lotem US Airways z LaGuardii. Trzy kobiety, dwoje małych dzieci, nic nadzwyczajnego, więc co zwróciło jego uwagę? Josh Flynn studiował w Middlebury twórcze pisanie, a jego mentor, zatrudniony na etacie pisarz, Chas Gorda lubił mawiać, że pisarz wyczuwa dobry temat w powietrzu niczym nadciągającą burzę. Zjechał wam się włoski na rękach, obiecał. Josh przyjrzał się rękom - nic - i obciągnął kamizelkę w kolorze odbłaskowego pomarańcza. Ruszył w stronę samolotu, by pomóc Carlowi przy rozładunku bagażu. Jego ojciec Tom Flynn siedzi przy komputerowym terminalu pięć pięter wyżej i od czasu do czasu rzuca kontrolnie okiem, czy Josh pracuje - jak to nazywał - „jak się należy”. Praca pod takim nadzorem obciążała psychikę dokładnie tak, jak to przewidywał Josh, który po dwóch tygodniach nauczył się węszyć za tematami, nie zwracając na siebie uwagi.

Dwie kobiety stanęły na asfalcie. Josh zgadywał, że to siostry. Siostra Pierwsza była bardzo szczupła, z długimi jasnokasztanowymi włosami, które wiatr rozwiewał na wszystkie strony; spiczasty nos, niebieskie oczy i ewidentnie zły humor. Czoło miała pomarszczone jak u tych śmiesznych fałdzistych chińskich psów. Siostra Druga miała takie same niebieskie oczy, taki sam spiczasty nos, ale zamiast nabzdyczenia, jej twarz wyrażała osłupiały smutek. Powieki trzepotały jakby w nieustannej walce ze łzami. Była masywniejsza, włosy, przycięte równo do ramion, miały odcień skandynawskiego blondu. Kobieta niosła wypchaną do niemożliwości pampersami torbę w łączkę, oraz pęk kolorowych plastikowych kluczy; oddychała głęboko, dramatycznie, jakby lot przeraził ją na śmierć.

Trzecia kobieta stała niepewnie na szczycie schodów z niemowlęciem w ramionach i chowającym się za nią chłopczykiem, mniej więcej czteroletnim. Miała ładną, pyzată buzię i kędziorki jak sprężynki, wymykające się spod słomkowego kapelusza. Była w dzinsach z zabłoconymi kolanami i gumowych chodakach.

Dwie siostry czekały na dole, aż trzecia do nich dołączy. Siostra Dysząca wyciągnęła ręce do niemowlęcia, potrząsając kluczami.

- Chodź do mamusi - odezwała się. - Daj, Melanie, potrzymam go. - Oprócz niemowlęcia Kapelusznica miała paczkę chrupek, zielony plastikowy kubeczek i samolotową torebkę na wypadek mdłości. Do ziemi zostały jej dwa schodki, kiedy czający się za nią chłopczyk wrzasnął:

- Ciociu, skaczę! I skoczył.

Celował w Siostrę Nabzdyczoną, ale w gorączce chwili wpadł z całym impetem trzydziestokilowego ciała na Kapelusznicę, która runęła na asfalt z niemowlęciem w objęciach. Josh rzucił się ku niej, choć wiedział, że nie zdąży dobiec, by pomóc. Kapelusznica osłoniła główkę niemowlęcia dłonią i całym ciężarem upadła na kolana i lewą rękę.

- Melanie! - krzyknęła Siostra Dysząca. Rzuciła torbę z pampersami i popędziła do Kapelusznicy. Niemowlę się nie odzywało. Skręciło kark. Nie żyje. Josh pomyślał: nadzieja uchodzi ze mnie cienką strużką, wycieka na asfalt, jakbym się zmoczył. Ale nagle - ryk! Niemowlę tylko nabierało tchu, który teraz zużytkowało do wydania stentorowych dźwięków. Żyło! Siostra Dysząca wzięła je i przyjrzała się, szukając obrażeń, a potem ukołysała w ramionach. Podeszła siostra Nabzdyczona; sprawca, starszy braciszek, trzymał się kurczowo jej nogi.

- Żyje? - spytała.

Wyraz twarzy zmieniła ze zniecierpliwionego na zniecierpliwiony i zatroskany.

- Wszystko dobrze - odparła Dysząca. - Tylko się przestraszył. - Obejrzała się na Kapelusznicę. - Melanie, a ty? Jesteś cała? W porządku?

Melanie otarła twarz z pyłu; na łokciu miała zadraśnięcie, z którego sączyła się krew. Torebka chrupek pękła, plastikowy kubek potoczył się do stóp Josha, który go podniósł razem z torebką na wymioty.

- Czy mam przynieść plaster? - zwrócił się do Melanie.

Podniosła rękę do policzka, a drugą rozmasowała brzuch.

- A, nie. Dziękuję. Nic mi nie jest.

- Na pewno? - spytała Siostra Dysząca. - A...?

- Wszystko dobrze - ucieła Melanie.

- Blaine cię przeprosi - powiedziała Siostra Dysząca. - Przepróż, Blaine.

- Przepraszam - wymamrotał chłopiec.

- Mogłeś zrobić krzywdę braciszкови. Mogłeś zrobić krzywdę Melanie. Tak nie wolno, kochanie. Musisz uważać.

- Przecież powiedział, że przeprosza - warknęła Siostra Nabzdyczona.

To nie był materiał na kawał. Josh w życiu nie widział żałośniejszej grupy niż te trzy kobiety.

- Witamy w Nantucket. - Miał nadzieję, że trochę poprawi im humor, choć Carlo ciągle się go czepiał, że nie robi tu za ambasadora. Ma tylko nosić torby. Pewnie ojciec go obserwuje.

Siostra Nabzdyczona przewróciła oczami.

- Wielkie dzięki - burknęła.

Trzeba było jechać samochodem, myślała Brenda, pakując się do taksówki pod lotniskiem. Całe życie jeździli na Nantucket i zawsze wybierali się samochodem, który na wyspę docierał promem. Ale w tym roku, ze względu na dzieci, raka Vicki i konieczność dotarcia na Nantucket jak najszybciej, bez względu na koszty, wybrały się samolotem. Według Brendy nie powinny zrywać z tradycją, no bo proszę, do czego to doprowadziło - początek był makabryczny. Melanie przez całą podróż wymiotowała, potem się przewróciła, specjalnie po to, żeby Vicki miała nowy powód do zmartwienia. Całe to lato było po to, żeby Vicki się odprężyła, wyгнаła chorobę. A teraz Melanie siedziała w taksówce za Brenda, z zamkniętymi oczami. Vicki zaprosiła Melanie do Nantucket na wakacje, bo jej przyjaciółka miała „problemy”. W Connecticut zmagiła się ze „złożoną sytuacją”. Ale nie zapominajmy, że towarzystwo Brendy nigdy Vicki nie wystarczało. Przez całe życie, przez całe dzieciństwo - na obozy, nocne letnie zabawy, do kościoła w niedzielę, Vicky przyprawiała jakąś koleżankę.

Tego lata była to Melanie Patchen. Wiadomość, że Melanie będzie im towarzyszyć, zaskoczyła Brendę w ostatniej chwili, nie dając możliwości zgłoszenia protestu. Podczas jazdy limuzyną z Darien na LaGuardię Brenda usłyszała o „złożonej sytuacji” Melanii i jej męża Petera Patchena, którzy „od wieków” starali się o dziecko - w ze-

szym roku przeszli siedem nieudanych prób zapłodnienia in vitro. Potem, parę tygodni temu, Peter przyznał się do romansu z młodą kobietą z jego biura, niejaką Frances Digi. Melanie była zdruzgotana. Ze zdenerwowania zachowała - nieustannie wymiotowała, nie wychodziła z łóżka. W końcu menstruacja nie nadeszła. Melanie była w ciąży - a „złożoną” stroną jej „sytuacji” był fakt, że opuściła Connecticut, nie powiadamiając o tym męża i nie mówiąc mu o ciąży. Uciekła z Vicki, Brendą i dziećmi, ponieważ „musiała się zastanowić. Gdzieś daleko”.

Brenda przyjęła tę wieść bez słowa, acz sceptycznie. Brakowało im tylko ofiary złożonej sytuacji! Vicki miała raka płuc, Brenda własne problemy. Tej wiosny wyrzucono ją z Uniwersytetu Champion, ponieważ romansowała z jedynym swoim studentem płci męskiej - a jakby jeszcze było mało, groziło jej „niezależne” oskarżenie dotyczące cennego dzieła sztuki, będącego własnością uniwersytetu. Skandal seksualny! Oskarżenie! Z cenionej młodej wykładowczynie, gwiazdy Uniwersytetu Champion stała się tematem plotek i pomówień. Cały campus mówił tylko o niej: doktor Brenda Lyndon, która już w pierwszym semestrze wykładów na wydziale języka angielskiego zdobyła najwyższe wyniki, wdepnęła w nielegalny romans ze studentem. A potem, z przyczyn niezrozumiałych dla nikogo, dopuściła się „aktu wandalizmu” na oryginalnym dziele Jacksona Pollocka - darze mającego absolwenta - wiszącym na ścianie Sali Barringtona wydziału anglistyki. Oprócz hańby związku z Johnem Walshem, Brenda musiała się zmierzyć z wynajęciem prawnika, na którego nie było ją stać. Jak oznajmił mecenas Brian Delaney, w najlepszym razie ekipa konserwatorska uzna, że zdoła załatać arcydzieło, żeby było jak nowe. W najgorszym - że obraz poniósł nieodwracalne szkody. Na razie uniwersytet badał sprawę.

Zgodnie z wersją oficjalną, Brenda przybyła na Nantucket, ponieważ Vicki miała raka i potrzebowała pomocy. Ale Brenda była też bezrobotna, bez widoków na pracę i bez grosza przy duszy. Nie tylko Melanie musiała się „zastanowić” nad swoim życiem „gdzieś daleko”, Brenda też. Rozpaczliwie. Całą karierę poświęciła wąskiej specjalizacji: powieści Fleminga Trainora *Niewinny szalbierz*. Ten mało znany tomik, wydany w 1790 roku, był tematem jej pracy doktorskiej i zaskakująco popularnych wykładów, które prowadziła na uczelni. Ponieważ do świata uniwersyteckiego nie miała już powrotu, jej jedynym źródłem zarobku - w każdym razie zarobku wystarczającego na honorarium dla prawnika i (lub) „surową karę pieniężną” - był obecnie *Niewinny szalbierz*. Należało go jedynie wykorzystać w jakiś niekonwencjonalny, nieakademicki sposób. To mecenas Brian Delaney zasugerował, żeby Brenda napisała scenariusz. Początkowo parsknęła, ale mecenas zauważył błyskotliwie: „Hollywood kocha staroświeckie smęty. Na przykład *Targowisko próżności* albo *Jane Austen*”. *Niewinny szalbierz* był tak zapomniany, że nie mieli go nawet w Amazon.com, ale Brenda się uparła - nie tylko z braku pieniędzy, ale i braku jakiegoś zajęcia, jakiegokolwiek celu. Przez jakiś czas biła się z myślami i im dłużej się zastanawiała, tym bardziej dostrzegała absurd sytuacji. Postanowiła, że jeśli ktoś ją spyta, czym się zajmuje, odpowie: piszę scenariusz.

Drugim powodem, dla którego przybyła na Nantucket, był fakt, że John Walsh został na Manhattanie, a ona nawet w mieście liczącym osiem milionów mieszkańców czuła jego obecność tak dojmująco, jakby mieszkał po sąsiedzku, za jej ścianą z nieotynkowanych cegieł. Musiała przeciąć więź z Johnem Walshem, bez względu na siłę własnych uczuć. Musiała uciec z miasta, w którym okryła się hańbą. Musiała pomóc siostrze. Lato na Nantucket spełniało wszystkie te wymogi, a chatka, która należała do ciotecznej babki Liv, po trzech latach oficjalnie stała się ich własnością.

Pytanie brzmi, nie dlaczego tu przyjechała, raczej, dlaczego nie jest szczęśliwsza, skoro przyjechała?

Brenda przytuliła mocno niemowlę i objęła czteroletniego siostrzeńca Blaine'a, przypiętego pasami obok niej. Kierowca spytał:

- Dokąd?

A Brenda odpowiedziała:

- Shell Street, Sconset.

Shell Street, Sconset. Trzy ulubione słowa w całym rodzimym języku. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że dobrym sposobem na dobranie się do dużej sumy pieniędzy jest sprzedanie Vicki i Tedowi jej części domu cioci Liv. Nie potrafiła się wyrzec tego skrawka wyspy, który należał do niej, połowy bardzo małego domu. Wyrzała przez okno na rosochate drzewa iglaste przy Milestone Road, na połacie trzęsawisk w rezerwacie. Zaciągnęła się powietrzem, tak wonnym i czystym, że działało jak narkoza; Blaine'owi już zaczęły opadać powieki. Wbrew woli przemknęło jej przez głowę, że Walshowi by się tu spodobało. Był dzieckiem natury, prawdziwym Australijczykiem; lubił plaże i fale, otwarte przestrzenie, czyste niebo. Na Manhattanie nie mógł się odnaleźć, ta sztuczna cywilizacja go oszałamiała, w metrze się dusił, wołał chodzić piechotą. Ile razy przemierzył pieszo Central Park, w zadymce śnieżnej, żeby dotrzeć do mieszkania Brendy? Ile razy spotykali się potajemnie po zajęciach w parku Riverside? Najwyraźniej za często i nie dość potajemnie. Ktoś zaczął coś podejrzewać, ktoś niewłaściwy, i kariera akademicka Brendy skończyła się po półtora semestru. Napiętnowano ją, choć Walsh miał trzydzieści jeden lat, a ona trzydzieści. Sytuacja w Champion była jak ohydne bagno, okryła ją taką hańbą, że nie miała wyboru - musiała skończyć z Walshem. On chciał tu do niej przyjechać. Poza miastem będzie inaczej, powiedział. Może i tak, pomyślała. Ale nie aż do tego stopnia.

Dobrze, że ciocia Liv nie dożyła jej upadku. Ciocia Liv, ceniona wykładowczyni literatury rosyjskiej w Bryn Mawr College, wychowała Brendę z myślą o akademickim życiu. Była jej przewodniczką i opiekunką. Ile razy rozmawiały o Flemingu Trainorze, ale też o Isaaku Bablu, Tołstoj, Sołżenicynie, Dumasi, Hugo, Whitmanie? Ile razy dochodziły do wniosku, że nie ma szlachetniejszego zajęcia niż nauka literatury, nie istnieje lepsza rozrywka niż samotny wieczór na lekturze Turgeniewa?

Tak dobrze mi szło, pomyślała. A potem ten Walsh...

Kiedy teraz myślała o cioci Liv, nieodmiennie przychodziło jej do głowy powiedzenie „w grobie się przewraca”. Więc w pewnym stopniu to lato na Nantucket było pokutą. Brenda pragnęła wybaczenia i, co ważniejsze, zapomnienia; chciała odnaleźć odrobinę spokoju dla skolatanego sumienia. Zastanowić się nad sobą. Gdzieś daleko. Może obecność Melanie nie będzie taka przykra. Rozpacz kocha towarzystwo.

Znowu się obejrzała. Vicki miała zamknięte oczy. Melanie także zasnęła. Co dziwniejsze, trzymały się za ręce. Jak kochanki. Brenda mocniej przytuliła ciepłe, miękkie jak plastelina niemowlę. Znowu stała się sześciolatką, zazdrosną i odrażoną.

Victoria Lyndon Stowe przez całe życie sporządzała listy. Przypisywała to faktowi, że była pierwotnym dzieckiem, klasycznym typem prymuski, którą to cechę jej rodzice starali się jedynie wzmacniać. *Vicki jest tak zorganizowana, o niczym nie zapomina*. Już w piątej klasie codziennie zapisywała, co miała na sobie, żeby nie wystąpić w tym samym ubraniu dwa razy. Sporządzała listy ulubionych filmów i książek. Notowała, jaki prezent dostała od przyjaciół na urodziny, i zawsze odpisywała z podziękowaniem kolejno, według listy, żeby się jej nie pomyliło, myk, myk, myk, odptaszkowane. W Duke list było setki tysięcy - była przewodniczącą organizacji, kółka teatralnego i przewodniczką po kampusie, więc każda funkcja wymagała oddzielnej listy, nie mówiąc już o nauce. Potem, w prawdziwym świecie, listy zaczęły się mnożyć. Były to listy singielki, mieszkającej i pracującej w mieście, listy na okoliczność ślubu z Tedem Stowe'em i w końcu niekończące się listy matki małych dzieci. *Umówić się do leka-*

rza, oddać książki do biblioteki, zachować kartony po mleku na sadzonki, pieniądze dla niani, spotkanie Blaine'a z Carsonem, Wheelerem, Samem, zadzwonić po balony urodzinowe, kupić letnie piżamy, naoliwić rowerek, dać do czyszczenia dywany z salonu.

Kiedy stwierdzono u niej raka płuc, spisywanie list się skończyło. Było to zalecenie doktora, choć początkowo Vicki protestowała. Listy porządkowały jej świat, były jej siatką zabezpieczającą, strzegły ważnych spraw. Ale doktor Garcia, a potem jej mąż Ted, uparli się: żadnych list. Koniec z tym. Co z tego, jeśli zapomni odebrać rzeczy z pralni? Miała przed sobą trzy miesiące intensywnej chemioterapii, a jeśli wszystko będzie przebiegać zgodnie z oczekiwaniami i guz skurczy się do operowalnych rozmiarów, czekało ją usunięcie lewego płuca i węzłów chłonnych wnekowych. Chemia, operacja, przeżycie - sprawy zbyt wielkie, żeby można je było ująć w punkty. I tak listy miały trafić za okno, z wyjątkiem tej jednej jedynej, w głowie: listy Spraw Już Nieważnych.

Brat i siostra biegną przez ulicę, spóźnieni do dentysty. Ładna spódniczka do niepasujących butów. Petersen Przewodnik po ptakach Wschodniego Wybrzeża. (W Darien była taka grupa emerytek, które wędrowały po plaży z tą książką w ręce. Vicki nienawidziła babiszonów. Nienawidziła ich za to, że mają takie szczęście - nie dostały raka, więc mogą sobie pozwolić na luksus marnowania cennych minut życia na uganianie się za ostrygojadami bądź czaplą modrą).

Na nieszczęście dla Brendy i Melanie, na liście Spraw Już Nieważnych znalazły się pewne zagadnienia dotyczące lata na Nantucket - na przykład, czy Brenda i Melanie się polubią i czy cała piątka pomieści się wygodnie w letnim domku cioci Liv - które obecnie okazały się jednak dość pałace. *Vicki jest taka zorganizowana, o niczym nie zapomina.* Ale, prawdę mówiąc, Vicki zapomniiała, jak właściwie wygląda chatka cioci Liv. Podejmując śmiałą decyzję spędzenia lata na Nantucket, myślała tylko o uldze, jaką poczuje w chatce cioci na Nantucket. W dzieciństwie spędzała tam każde wakacje, z rodzicami, Brendą i ciocią. To było jej ulubione miejsce, ideał wakacji, a matka Vicki, Ellen Lyndon, zawsze twierdziła, że piasek Nantucket pod bosą stopą leczy wszystkie rany tego świata, fizyczne czy duchowe. Wszyscy uważali, że Vicki oszalała, upierając się przy tym wyjeździe, który narazi jej zdrowie, ale kolejnym punktem na liście Spraw Już Nieważnych było „co ludzie powiedzą”.

Zaproszenie Brendy na wakacje było oczywiste. Ktoś musiał pomóc przy dzieciach i dojazdach na chemię, a Brenda, wyrzucona z Champion w swądzie skandalu i problemów sądowych, rozpaczliwie pragnęła uciec z miasta. Lato było dla nich obu wybawieniem. W dniach udreki po usłyszeniu diagnozy rozmawiały o tym, jak bardzo by chciały odnowić wspomnienia dzieciństwa: długie dni na plaży, łapanie świetlików, rowerowe wycieczki nad staw Sesachacha, kukurydza w kolbach, gra w monopol i badmintona, zbieranie czarnych jagód, nocne wyprawy do latarni morskiej w Sankaty Head, która kręciła promieniem światła jak kowboj lassem, pikniki i kanapki z plasterkami ziemniaków i kiełbasy, chodzenie przez cały dzień boso. Miały we dwie tworzyć wspomnienia dla dzieci Vicki. To była szansa dla nich obu: dla Vicki, żeby wyzdrowieć, dla Brendy, żeby się pozbierać. Miały pójść za radą matki: piasek Nantucket pod bosą stopą. Ten piasek leczy wszystko: raka, zniszczoną karierę, nieudane romanse. Tylko my dwie, mówiły w rażącym blasku szpitalnych świetlówek, czekając na wyrok. To miało być lato dwóch sióstr.

No, ale jak Vicki mogłaby zostawić swoją najlepszą przyjaciółkę w Darien? Zwłaszcza po katastrofalnej wieści o romansie Petera, po której nastąpiła jeszcze większa sensacja (wyszeptana gorączkowo o trzeciej nad ranem przez telefon): Melanie była - po tak długim oczekiwaniu, po tylu kosztownych i inwazyjnych zabiegach - w ciąży!

Jedź ze mną na Nantucket, rzuciła Vicki, bez namysłu, bez zastanowienia (i bez konsultacji z Tedem i Brendą).

Dobrze, odpowiedziała równie szybko Melanie.

Taksówka zatrzymała się przed chatką cioci Liv. Vicki pomyślała ze strachem, że popełniła błąd. Ten dom był mniejszy, niż zapamiętała, o wiele mniejszy. Klitka. Koledzy Blaine'a miesiali większe domki na drzewie. Skurczył się czy co, pomyślała. Pamiętała przecież, jak spędzała tu całe lato z rodzicami, Brendą i ciocią Liv, a dom wydawał się jeśli nie przestronny, to przynajmniej wygodny.

- Jaki cudny - odezwała się Melanie, wysiadając. - Ojej, Vicki, dokładnie tak go sobie wyobrażałam.

Vicki otworzyła furtkę. Ogrodnik dotrzymał słowa, dzięki Bogu. Melanie kochała kwiaty. Bładoróżowe róże New Dawn spływały kaskadami z kratki, na grządkach od frontu kołysały się bocianki, niebieskie ostróżki i pyzate, wesole cynie. Trzepotały motyle. Trawnik koło skrzynki pocztowej został niedawno skoszony.

- Gdzie piaskownica? - spytał Blaine. - Gdzie zjeżdżalnia?

Vicki wyjęła z torebki klucz i otworzyła drzwi frontowe z trzech surowych, heblowanych desek, z mosiężną kołatką w kształcie muszli przegrzebka. Górna framuga była nisko. Vicki pomyślała o swoim mężu Tedzie, roslym mężczyźnie, metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Od samego początku powtarzał, że jest „nieprzejednanym przeciwnikiem” jej przyjazdu na Nantucket. Naprawdę zamierzała spędzić całe lato z siostrą, z którą układało się jej - łagodnie mówiąc - nie najlepiej? I z Melanie Patchen, która wymaga takiej samej opieki jak Vicki, jeśli nie większej? I czy rzeczywiście chciała jeździć na chemioterapię - o którą prosiła, by uratować życie - do izby zabiegowej wiejskiego szpitala na Nantucket? Czy to nie odpowiednik leczenia w Trzecim Świecie? Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? - pytał, zdezorientowany i zgnębiony. Ted był kierownikiem działu funduszy hedgingowych na Manhattanie; lubił problemy, które można było wykorzeniać jak drzewa, problemy dające się pokonać brutalną siłą i podstępem. Przerazająca diagnoza, leczenie polegające głównie na modlitwach, a potem wariacka decyzja Vicki, żeby uciec na całe wakacje, ogłuszyła go. Ale Vicki nie zamierzała się tłumaczyć.

Całkiem możliwe, że było to ostatnie lato jej życia. Nie chciała go spędzić w rozpalonym Darien, pod współczującymi i badawczymi spojrzeniami przyjaciół i kolegów. I tak miasto trzęsło się od plotek: Słyszałaś? Vicki Stowe ma raka płuc. Najpierw spróbują chemii, a potem zdecydują, czy warto operować. Nie dają gwarancji, czy przeżyje. Stały dopływ smakołyków, kwiatów i propozycji pomocy: Pozwól, że weźmiemy Blaine'a. Pozwól, że weźmiemy maleństwo. Musisz odpoczywać. Vicki była nową podopieczną dla dobroczyńców z Darien. Nie mogła już znieść widoku zapiekanek i kalii, nie mogła znieść, że jej dzieci tułają się po obcych jak sieroty. Kobiety krążyły wokół niej jak sępy - przyjaciółki, przyjaciółki przyjaciółek, i takie, których prawie nie znała. Ted tego nie rozumiał; dla niego był to piękny gest troskliwej społeczności. Dlatego się tu przeprowadziliśmy, mawiał. To nasi sąsiedzi, przyjaciele. Ale przy każdym dzwonku telefonu, za każdym razem, gdy na podjeździe zatrzymywało się volvo combi, Vicki czuła coraz większą potrzebę ucieczki.

To matka Vicki podsunęła jej myśl o Nantucket; sama by zamieszkała z córką, gdyby nie ta nieplanowana operacja kolana. Vicki kurczowo uchwyciła się tego pomysłu, pomimo nieobecności matki. Prawa własności do domku cioci Liv przeszły na nią i Brendę w kwietniu; teraz dom należał do nich. To było jak znak. Brenda zachwycała się pomysłem. Nawet onkolog Vicki, doktor Garcia, dał pozwolenie; zapewnił, że chemia wszędzie jest taka sama, na Nantucket czy w Connecticut, w mieście czy na wsi.

Wszyscy z onkologicznej grupy wsparcia Vicki byli za holistycznym podejściem do leczenia. Ciesz się życiem, powiedzieli. Wrzuć na luz. Baw się z dziećmi. Przebywaj na dworze. Rozmawiaj z siostrą, z przyjaciółką.

Spoglądaj w gwiazdy. Jedz warzywa z ekologicznej uprawy. Staraj się nie pamiętać o biopsji, tomografii, przerzutach. Walcz na swoich warunkach, na swoim terenie. Niech to lato będzie piękne.

Vicki pochłaniała Teda wzrokiem. Od chwili gdy usłyszała diagnozę, nieustannie go obserwowała - gdy związywał krawat, wyjmował drobne z kieszeni marynarki, mieszał kawę - by nauczyć się go na pamięć, zabrać go ze sobą, dokądkolwiek pójdzie.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała - ale pojedę.

Chatka została zbudowana w 1803 roku - kiedy życie, jak myślała Vicki, było jednocześnie prostsze i trudniejsze, kiedy ludzie byli niżsi i mieli mniejsze oczekiwania. Początkowo był tu tylko jeden pokój z kominkiem wbudowanym w północną ścianę, ale z czasem dodano do niego trzy „wnęki”, służące za sypialnie. Wszystkie pokoiki były małe, miały niskie sufity, jak w domku dla lalek. Właśnie to tak bardzo podobało się cioci Liv - życie zminimalizowane, okrojone do minimum. Nie było telewizora, automatycznej sekretarki, komputera, mikrofalni ani stereo. Prawdziwy, stuprocentowy letni domek, mawiała ciocia Liv, ponieważ w przypadku takiego domku po prostu trzeba spędzać większość dnia na dworze - albo na tarasie wychodzącym na ogród na tyłach, albo na ulicy, na publicznej plaży Sconset. W 1803 roku, kiedy pani domu zapadała na raka, nie było onkologów ani strategii leczenia. Kobieta pracowała jak dawniej - paliła w piecu, stawiała na nim sagany z jedzeniem, praniem lub wrzątkiem - aż pewnego dnia umierała we własnym łóżku. O tym myślała Vicki, wchodząc.

Chatka została posprzątana i wywietrzona. Vicki załatwiła wszystko telefonicznie; najwyraźniej domy nieużywane przez trzy lata były na Nantucket zjawiskiem powszednim. W pomieszczeniach ładnie pachniało, może ciut za optymistycznie, przez ten odświeżacz powietrza. Parkiet w salonie ułożono z szerokich, żółtych sosnowych desek, na których widać było każdą rysę po przeciąganiu krzesła, każdą szczerbę po szpilkach. Sufit z belkami był niski, meble stare, babcine, jak w wiktoriańskim pensjonacie; niebieska jak holenderskie kafelki sofa z wysokim oparciem, zgrabny stolik kawowy ze srebrzonym serwisem na serwecie z belgijskiej koronki. Była też biblioteczka, której półki ugięły się pod ciężarem wakacyjnej kolekcji książek cioci. Był kominek z przyborami nie od kompletu. Vicki weszła do małej kuchenki ze sprzętami z roku mniej więcej 1962, meblami wykładanymi laminatem w srebrne prążki, porcelaną cioci Liv, malowaną w małe Holenderki w sabotach. Rachunek od stróża znajdował się na lodówce, przypięty magnesem z reklamą knajpy Ekstra Meta, nieistniejącej już od lat.

Zachodnia sypialnia była słoneczna. Miała ją zająć Melanie. Podwójne łóżko, pościel w różowo-pomarańczowe paski. Vicki pamiętała ją z dzieciństwa. (A najwyraźniej - jak zaplamiała prześcieradło podczas pierwszej miesiączki. Ciocia Liv przytomnie przyniosła wodę utlenioną, bo Ellen Lyndon tylko się zachłystywała sentymentalnymi banałami, że „Vicki stała się kobietą”, a Brenda łypała spode łba i obgryzała paznokcie). Vicki miała zająć największą sypialnię, tę z królewskim łóżem, gdzie będzie sypiać z dziećmi, a Brenda rozlokuje się w starym pokoju dzieciennym, tylko troszkę większym od miejskiej garderoby Vicki. Był to pokój cioci Liv - nazywano go dzieciennym, ponieważ ponad osiemdziesiąt lat temu ciocia Liv i Joy, babka Vicki i Brendy, sypiały w nim w kołyskach, pilnowane przez rodzinną piastunkę, pannę George. Kiedy ciocia Liv nabawiła się artretyzmu i innych przypadłości wieku starczego, rodzice Vicki zaproponowali jej przenosiny do dużej sypialni, ale Liv to nie zadowoliło. Przestała przyjeżdżać na Nantucket, a potem umarła.

Wszyscy wtargnęli do domu wśród hałasu i zamieszania, ciągnąc walizy i pudła. Taksówkarz stał przy samochodzie i czekał na zapłatę. To była działka Vicki. Tego lata to ona płaciła za wszystko. Była sponsorką wakacji. Dała chłopakowi dwadzieścia dolarów. Nie za mało?

Uśmiechnął się. Czyli za dużo.

- Dziękuję. Miłego pobytu.

Kiedy taksówka ruszyła, Blaine zaczął płakać. Vicki martwiła się, że ciężko przeżyje tę zmianę; w sypialni, kiedy się żegnał z Tedem, zrobił scenę, potem przewrócił Melanie na schodach samolotu. Chciał zwrócić na siebie uwagę. Dochodziła trzecia i choć Blaine już był za duży na drzemkę, przydałby mu się odpoczynek w samotności. Vicki też była wykończona. Po przejściu z walizką pięciu kroków do sypialni czuła się tak, jakby zdobyła Kilimandżaro. Płuca ją paliły. Nienawidziła ich.

Nagle Brenda pisnęła przeraźliwiej niż Blaine. To był jej klasyczny jęk „O, nie, o, nie!”, jakby świat się kończył. Co znowu? Zdechłe zwierzę w starym pokoju dzieciennym? Stado zdechłych zwierząt? Vicki osunęła się na grząski materac. Nie miała siły się poruszyć, więc zawołała:

- Co się dzieje, Bren?

Brenda stanęła w absurdalnie niskich drzwiach pokoju Vicki.

- Nie mogę znaleźć książki!

Vicki nie musiała pytać, jakiej książki. To przecież Brenda, jej siostra. A dla Brendy istniała tylko jedna książka: dwustuletnie pierwsze wydanie *Niewinnego szalbierza* Fleminga Trainora. Ta książka, mało znana powieść miernego przedstawiciela literatury kolonialnej, stanowiła podstawę jej kariery. Brenda przez sześć lat pracowała nad doktoratem na uniwersytecie Iowa, napisała pracę, której część opublikowała w elitarnym piśmie literackim, a potem dostała posadę na Uniwersytecie Champion - wszystko za sprawą tej książki. Pierwsze wydanie było starodrukiem wartym tysiące dolarów, jak utrzymywała Brenda. Posiadała ten tomik od czternastego roku życia, kiedy kupiła go za pięćdziesiąt centów na pchlim targu. I, choć brzmi to dziwnie, kochała go. Do głowy by jej nie przyszło zostawić go na Manhattanie, gdzie mógłby się do niego dostać sublokator. Wozila książkę ze sobą w specjalnej aktówce zachowującej odpowiednią temperaturę i wilgotność. No i ta aktówka zginęła.

- Na pewno? - spytała Vicki. - Wszędzie sprawdziłaś?

Choć zaginiona książka siostry idealnie pasowała do listy Spraw Już Nieważnych, Vicki usiłowała wykrzesać z siebie współczucie. Takie kryzysy były specjalnością Vicki. Przy dzieciach całe dni upływają na szukaniu wszystkiego: drugiego buta, piłki, która wtoczyła się pod kanapę, smoczka.

- Wszędzie - oznajmiła Brenda. Zdumiewające, jak szybko zmieniło się jej zachowanie. Przez cały dzień była smoczyką, teraz, zgubiwszy książkę, zmieniła się w porzuconego na deszczu szczeniaczka. Jej policzki pokryły się plamami, ręce drżały i widać było, że lada chwila zaczną kwilić.

- A jeśli ją zgubiłam? - spytała. - A jeśli zostawiłam na... - następne słowa były tak straszne, że utknęły jej w gardle - ...lotnisku?

Vicki zamknęła oczy. Była tak zmęczona, że mogłaby zasnąć na siedząco.

- Wyniosłaś ją ze sobą z samolotu, pamiętasz? Miałaś torebeczkę i...

- Aktówkę - ożywiła się Brenda. Zamrugnęła szybko, walcząc ze łzami. Vicki poczuła przelotny skurcz gniewu. Gdyby to Brenda dostała raka, zginęłaby na miejscu. Bóg daje ci tyle, ile możesz unieść - to powiedzenie nieustannie powtarzano z przekonaniem na grupie wsparcia - i dlatego Bóg nie dał Brendzie raka.

W którymś pokoju płakało niemowlę. Chwilę później pojawiła się Melanie.

- Chyba jest głodny - powiedziała. W jednej chwili dostrzegła rozpacz Brendy, której nadal dygotały ręce.

- Kochanie, co się stało? Co jest?

- Brenda zgubiła książkę - wyjaśniła Vicki, siląc się na poważny ton. - Tę starożytną. Ten zabytek.

- To książka mojego życia - dodała Brenda z naciskiem. - Miałam ją od zawsze, jest bezcenna... dobra, będę rzygać. Ta książka to mój talizman, przynosi mi szczęście.

Talizman? - pomyślała Vicki. Gdyby książka naprawdę miała nadnaturalną moc, chyba by jakoś przeszkodziła Brendzie przespać się z Johnem Walshem i zrujnować sobie życie?

- Dzwon na lotnisko - mruknęła. Wyjęła Portera z objęć Melanie i przystawiła go do piersi. We wtorek znacznie chemię, trzeba go będzie odstawić. Butelka, mleko w proszku. Nawet dziewięciomiesięczny Porter miał bardziej konkretny problem niż Brenda. - Na pewno ją mają.

- Dobrze - powiedziała Brenda. - Jaki to numer?

- Zadzwoń na informację.

- Przepraszam, że pytam - wtrąciła Melanie - ale czy tu jest tylko jedna łazienka?

- Cicho! - warknęła Brenda.

Melanie zrobiła wielkie oczy, a Vicki przez chwilę była pewna, że zaraz zacznie płakać. Melanie była słodka i ustepliwa do przesady. Nie znosiła konfliktów. Kiedy wydarzyła się ta paskudna sprawa z Peterem, Melanie nie nakrzyczała na niego. Nie połamala mu rakiety do squasha, nie spaliła ślubnych zdjęć, jak by to zrobiła Vicki. Pozwoliła, żeby jego niewierność podkopała jej zdrowie. Stała się słaba, zmęczona. Potem odkryła, że jest w ciąży. Wiadomość, która powinna ją doprowadzić do szału radości, stała się powodem konfliktu i zagubienia. Nikt nie zasługiwał na to mniej od Melanie. Vicki dała Brendzie wyraźny rozkaz - masz być dla niej miła! - a teraz okazało się, że rozkaz powinien być wyraźniejszy. Przemiła! W aksamitnych rękawiczkach!

- Przepraszam, Mel - szepnęła Vicki.

- Już słyszę - powiedziała Brenda. I ważnym tonem dodała: - Proszę o numer lotniska Nantucket Memorial. Nantucket w Massachusetts.

- No więc tak - dodała Vicki. - Tylko jedna łazienka. Przykro mi. Mam nadzieję, że sobie poradzimy. - Jeszcze nawet nie zajrzała do łazienki, choć była prawie pewna, że nie zaszły w niej wielkie zmiany. Na podłodze małe sześciokątne płytki, przezroczysta zasłona prysznicowa w czerwone i fioletowe maki, muszla z wiszącym wysoko rezerwuarem na staroświecki łańcuszek. Jedna łazienka dla kobiety, która dwa razy w tygodniu będzie dostawać dawkę trujących substancji, dla drugiej kobiety, dręczonej przez poranne mdłości, czteroletniego chłopca, nie całkiem przyuczonego do korzystania z ubikacji, oraz Brendy. No i Teda, oczywiście, w weekendy. Vicki nabrała powietrza. Szczypie. Przystawiła Portera do drugiej piersi. Miał mleko na brodzie i nieprzytomnie uszczęśliwioną miętę. Powinna już dawno przestawić go na butelkę. Całe miesiące temu.

- Zacznę się rozpakowywać - oznajmiła Melanie. Dalej była w tym słomkowym kapeluszu. Rano, kiedy Vicki i Brenda przyjechały po nią limuzyną, zastały ją w ogródku przy pielenu. Weszła do wynajętego lincolna w chodakach oblepionych ziemią i powiedziała: - Powinnam napisać Peterowi, że ma podlewać ogród. Oczywiście zapomni albo umyślnie go zaniedba.

- Mąż ciągle z tobą mieszka? - spytała Brenda. - Czyli go nie wyrzuciłaś?

Melanie zerknęła na Vicki.

- Wie o Peterze?

Vicki odniosła wrażenie, że jej płuca wypełnia bagnista woda. Rozumiało się bez słów, że sytuacja Melanie wymaga dyskrecji, ale Brenda była przecież jej siostrą i miały mieszkać razem przez całe lato, więc...

- Powiedziałam jej - przyznała. - Przepraszam.

- Nie szkodzi - powiedziała cicho Melanie. - Więc pewnie wiesz także o ciąży?

- No - przyświadczyła Brenda.

- Przepraszam, Mel - wymamrotała Vicki.

- Mnie powiedzcie, to jak kamień w wodę - zapewniła Brenda. - Grób, mogiła. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie...

- Ona nie chce znać twojego zdania - warknęła Vicki.

- Powinnaś kazać padalcowi spadać na bambus. Dwudziestosiedmioletnia puszczańska, no, ludzie!

- Brenda, dość! - rzuciła Vicki.

- Tylko nikomu już nie mów, że jestem w ciąży - szepnęła Melanie.

- Słowa nie pisnę - oznajmiła godnie Brenda. - Przysięgam.

Vicki oparła Portera na swoim ramieniu i zaczęła, aż wyda zdrowe beknięcie, a potem bulgotliwy, wibrujący dźwięk z drugiego końca. Malutka sypialenka wypełniła się dziwnym, chlebowym zapachem.

Brenda znowu zajrzała.

- Książka jest na lotnisku - powiedziała. - Znalazł ją jakiś chłopak. Powiedziałam mu, że do piątku nie będę miała samochodu, więc obiecał, że ją podrzuci w drodze z pracy. - Rozpromieniła się. - Widzisz? Mówiłam ci, że ta książka przynosi szczęście.

Josh Flynn nie miał fioła na punkcie mistycyzmu, ale nie był też ślepy i głuchy. Wiedział, kiedy los wkracza do akcji, a z przyczyn na razie mu nieznanych było mu pisane wejść w bliski kontakt z tymi trzema kobietami i dwojgiem dzieci, które zauważył tego popołudnia. Zostawiły bardzo ważny bagaż, a ponieważ Carlo urwał się wcześniej do dentysty, tylko Josh mógł odebrać telefon i to właśnie jemu przypadło odwiezienie bagażu. Aktówki z dziwnym pokrętem przy zamkach. Gdyby Josh pisał pewien określony gatunek powieści, w aktówce znajdowałyby się bomba, narkotyki lub pieniądze, ale na kursach Chasa Gordy thrillery uważano za „amatorszczyznę” i „naśladownictwo”, a ktoś upierdliwy mógłby się czepiać, że aktówka w życiu nie przeszłaby przez bramkę w Nowym Jorku. Co w niej było? Ta kobieta - a Josh poznał po głosie, że to Siostra Nabzdyczona - wydawała się przez telefon zdenerwowana. Niespokojna, strapiona - a potem nieprzytomna z ulgi, kiedy powiedział, że tak, ma tę aktówkę. Poruszył bagażem. W środku nic się nie przesunęło, jakby walizeczka była wypchana zmiętymi gazetami.

Było wpół do piątej. Josh siedział sam w małym, zabałaganionym gabinecie na lotnisku. Przez otwarte drzwi widział zabierającą się do pracy wieczorną zmianę, innych studentów, którzy przybyli na wyspę przed nim. Machali jarzącymi się pałkami, tak jak w telewizji, nakierowując dziewięcioosobowe cessny na pas i trzymając się z dala od śmigieł, tak jak ich wszystkich uczono na kursie. Wieczorna zmiana była najlepsza - krótsza niż dzienna i więcej się działo. Może za miesiąc i jemu się trafi, jeśli się wykaże.

Josh pomajstrował przy zamkach, żeby sprawdzić, czy coś się wydarzy. Ledwie dotknął, a oba otworzyły się z traskiem, niczym wystrzał broni. Josh poderwał się z krzesła. Aaaa! Tego się nie spodziewał! Rozejrzył się. Nikt go nie widział. Ojciec pracował na górze przez całą wieczorną zmianę. Zawsze wracał do domu o ósmej i lubił jeść kolację z Joshem o wpół do dziewiątej. Tylko oni dwaj i jakieś proste jedzenie, o które dbał Josh: burgery, kurczaki, zawsze sałata lodowa, zawsze piwo dla ojca - a teraz Josh był już dorosły, więc także piwo dla niego. Ale tylko jedno. Ojciec był niewolnikiem rutyny, odkąd Josh zaczął to zauważać, co nastąpiło chyba koło jedenastego roku życia,

gdy jego matka popełniła samobójstwo. Ojciec był tak przewidywalny, że nie istniała absolutnie żadna możliwość, by zszedł do gabinetu Josha, a skoro Josh obawiał się tylko jego, więc...

Otworzył aktówkę. W środku, w bąbelkowej folii, znajdowała się mocna torba termoizolacyjna, taka, w jakie rybacy w porcie pakują świeże filety z tuńczyka. Ale w torbie była... Josh przyjrzał się uważniej... książka. Książka? Książka oprawiona w brązową skórę, ze złotym tytułem: *Niewinny szalbierz*. Pióra Fleminga Trainora. Po trzech latach kursów literatury w Middlebury wiedza Josha o ważnych pisarzach wzrosła. Czytał już Melville'a, Henry'ego Jamesa, Hawthorne'a, Emily Dickinson, Marka Twaina, F. Scotta Fitzgeralda, Jacka Kerouaca. Ale dzieła - i nazwisko - Fleminga Trainora były mu nieznane.

Gapił się na książkę i usiłował ją jakoś dopasować do wspomnienia spanikowanego głosu Nabzdyczonej Siostry. Nie, to bez sensu. Ale to mu się spodobało. Zamknął aktówkę i starannie zatrzasnął zamki.

Aktówka leżała na pasażerskim siedzeniu dżipa. Josh przez całe życie mieszkał na Nantucket. Ponieważ była to społeczność mała i obcująca ze sobą przez cały rok, każdy miał tu etykietkę, Josh też: dobry chłopiec, mądry chłopiec, odpowiedzialny chłopiec. Jego matka zmarła, zabiła się, kiedy był w podstawówce, ale Josh się nie wykołubił ani nie popadł w autodestrukcję. Uczył się pilnie i był prymusem, grał w trzech drużynach, był dumą swojej klasy i tak fantastycznie poszło mu zbieranie funduszy, że wystarczyło na wycieczkę całej najstarszej klasy (42 osoby) do Bostonu na tydzień przed rozdaniem dyplomów. Wszyscy uważali, że zostanie doktorem, prawnikiem albo bankierem z Wall Street, ale Josh łaknął zajęcia twórczego, żeby został po nim ślad, żeby dać coś z siebie. Nikt go nie rozumiał. Nawet najlepszy kumpel Zach Browning wytrzeszczył oczy i spytał:

- Coś twórczego? Wkręcasz mnie? Co na przykład? Portrety malować? Symfonie, kurna, pisać?

Josh od lat pisał pamiętnik, w kolejnych notesach ze zbindowanym grzbietem, które chował pod łóżkiem jak „Playboye”. Pisał o zwykłych rzeczach - notował przemyślenia, urywki snów, wyniki każdego swojego meczu futbolowego, koszykarskiego i baseballowego, słowa piosenek, dialogi z filmów, urywki z książek, spostrzeżenia o przyjaciółkach, dziewczynach, nauczycielach i ojcu, wspomnienia o matce, strony opisów Nantucket i okolic, które zwiedził, pomysły na opowiadania, które kiedyś zamierzał napisać. Teraz, dzięki trzem latom w klasie (lub sekcje, jak mawiali niektórzy) wykładającego w Middlebury pisarza Chasa Gordy, Josh zrozumiał, że pisanie dziennika nie tylko przystoi pisarzowi, ale jest wręcz konieczne. W szkole wydawało mu się, że jest trochę dziwny. Pamiętniki są dla dziewczyn, nie? Ojciec parę razy przyłapał go, wchodząc bez pukania, co mu się ostatnio zaczęło coraz częściej zdarzać.

- Co robisz? - spytał.

- Piszę.

- Wypracowanie?

- Nie. Tak sobie. Dla siebie. - Zabrzmiało to dziwnie i Josh się zawstydził. Zaczął zamykać drzwi pokoju na klucz.

Chas Gordy ostrzegł uczniów, żeby nie byli za bardzo „skupieni na sobie”. Nieustannie przypominał im, że nikt nie ma ochoty czytać opowiadania o studencie uczącym się pisania. Josh to rozumiał, choć wjeżdżając do miasta Sconset z tajemniczą aktówką u boku, mając przed sobą spotkanie z osobami, których prawie nie znał, a one nie znały go zupełnie, nie potrafił się pozbyć wrażenia, że jest to sytuacja, którą kiedyś wykorzysta. Ewentualnie. A może jednak okaże się, że to wielkie nic. Rzecz w tym, wbijał im skutecznie do głowy Chas Gordy, że trzeba być zawsze czujnym.

Nantucket to najnudniejsze miejsce w całej Ameryce, jeśli jest się dorastającym człowiekiem. Nie ma tu centrum handlowego, McDonalda, salonu gier, knajp, klubów, miejsc, w których można się spotykać, jeśli nie liczyć sal zebrań kwaków - średnia wieku dwieście lat. A jednak Josh zawsze miał słabość do Sconset. To była właściwie wioska, z główną ulicą w cieniu wysokich drzew liściastych. „Centrum” składało się z poczty, sklepu, w którym można było kupić piwo, wino i stare książki, dwu skromnych kawiarni i sklepu, do którego mama w każde wakacje zabierała raz Josha na lody. Było też stare kasyno, które teraz pełniło rolę klubu tenisowego, a także sali konferencyjnej i kina. Joshowi Sconset zawsze wydawało się miastem z innej epoki. Ludzie mawiali, że są tu „stare majątki”, ale to znaczyło tylko tyle, że dawno, bardzo dawno temu ktoś miał pięćset dolarów i dość rozsądku, żeby kupić kawałek ziemi i mały domek. Mieszkańcy Sconset nie ruszali się stąd przez całe życie; jeździli dwudziestopięcioletnimi dżipami, dzieci pedałowwały na trzykołowych rowerkach po uliczkach wysypanych białymi muszelkami, a w letnie popołudnia słyszało się tu tylko trzy rodzaje odgłosów: szum morza od strony miejskiej plaży, łopotanie flagi przy ratuszu i stukot tenisowych piłek z klubu. Jak na starej pocztówce, tylko naprawdę.

Nabzdyczona Siostra powiedziała Joshowi przez telefon, że mieszkają na Shell Street, numer jedenasty. Dżip stanął ze zgrzytem miażdżonych pod oponami muszelek przed domkiem, małym, słodkim, typowym dla Sconset. Przypominał chatkę Trzech Misiów. Josh wziął aktówkę. Denerwował się, nie ma co. Domek miał furtkę ze śmiesznym skobelkiem; Josh manipulował przy nim, kiedy drzwi frontowe otworzyły się z rozmachem i w progu stanęła kobieta w zielonym staniku bikini, migotliwym jak rybia łuska, oraz dzinsowych spodenkach. Była... no tak, Josh musiał przyznać, że nie od razu zdołał przenieść wzrok na twarz kobiety, a kiedy to zrobił, przestał w ogóle cokolwiek rozumieć. To była Nabzdyczona Siostra, ale uśmiechnięta. Podeszła do niego, blisko, coraz bliżej, i nawet się nie obejrzał, a już zawisła mu na szyi i poczuł napór jej piersi na grubą koszulę z lotniskowego magazynu, owionął go obłok perfum i zaczęło się dziać coś niepokojącego - aktówka mu się wyślizgiwała. A nie, zaraz. To ona wyjmowała mu ją z dłoni. Przejęła ją.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję, dziękuję.

- Eee - wybełkotał. Cofnął się o parę kroków. Przed oczami latały mu zielone plamki - zieleń trawy przed domem, zieleń lśniącego materiału, opiętego na piersiach Nabzdyczonej Siostry. No dobra, teraz już na pewno zjeżyły mu się włoski na rękach. - Bardzo proszę.

- Jestem doktor Lyndon - powiedziała Nabzdyczona Siostra i podała mu rękę. - Brenda.

- Josh Flynn.

- Jesteś kochany, że mi ją przyniosłeś. - Przytuliła aktówkę do piersi. - Myślałam, że zgubiła się na wieki.

- Nie ma sprawy - mruknął Josh, choć sprawa jednak była. Widok Nabzdyczonej Siostry ogłuszył go niczym cios obuchem. Jej włosy, na lotnisku rozpuszczone, teraz były spięte w przekłuty ołówkiem kok, z paroma kosmykami opadającymi na kark. Ta kobieta była bardzo ładna. I chyba dość stara, jak mu się zaczęło wydawać. Pewnie stuknęła jej trzydziecia. Była boso, palce u stóp miała ciemnoróżowe; wyglądały jak poziomki. Dość, pomyślał i może nawet powiedział to na głos, bo Brenda przechyliła głowę i spojrzała na niego dziwnie, jakby pytała: dość czego?

- Wejdziesz? - spytała.

Chas Gorda namawiałby go do tego. Jedną z metod odzwyczajania się od pisania o sobie jest otwarcie się na świat, poznawanie nowych ludzi. Słuchaj, obserwuj, chłoń. Josh nigdy nie był w żadnej z tych chatczek. Spojrzał na zegarek: piąta. Normalnie po pracy chodził popływać na plażę w Nobadeer, czasami zaglądał do swojej dawnej

dziewczyny Didi. Chodzili ze sobą przez całe liceum, ale potem ona została na wyspie, a on wyjechał. Teraz, po trzech latach, różnica rzucała się w oczy. Didi pracowała w szpitalnej recepcji i mówiła tylko o odchudzaniu i *Robinsonach*. Gdyby znalazła starą książkę w bąbelkowej folii, prychnęłaby i wyrzuciła ją do kosza.

- Eee... no. Dobra - zgodził się.

- Zrobię herbaty - ucieszyła się Brenda.

Ale potem rozległa się melodyjka, komputerowa wersja *Dla Elizy*. Brenda wyjęła z tylnej kieszeni komórkę i spojrzała na wyświetlacz.

- Boże - mruknęła. - Właśnie, że nie odbiorę. Uśmiechnęła się blado do Josha; jej entuzjazm zbladł.

Byli dwa kroki od drzwi, kiedy Brenda się zatrzymała.

- Wiesz, wszyscy w domu śpią.

- O.

- Dzieci. Moja siostra. Jej przyjaciółka. Więc...

- W porządku. - Josh się cofnął.

Był zawiedziony, ale też mu ulżyło.

- Innym razem - dodała Brenda. - Obiecujesz, że jeszcze zajrzysz? Adres już znasz.

Melanie nigdy by się głośno nie poskarżyła, zwłaszcza że jej najlepsza przyjaciółka była tak poważnie chora, ale czuła się jak pleśń na ścianie zapchlonego hotelu. No i proszę, oto klasyczny przypadek typu „uważaj, czego sobie życzysz”. Piersi ciążyły jej jak ołowiane kule. Tak ją bolały, że nie mogła spać na brzuchu, a to była jej ukochana pozycja, twarzą w dół, bez poduszki. Teraz musiała się zadowolić nową sypialnią, zapadniętym podwójnym łóżkiem w tym obcym, słonecznym pokoju pachnącym sztucznym sosnowym aromatem.

Miała tylko jedno pragnienie - uciec stąd jak najdalej. Kiedy była w Connecticut, a przed jej oczami rozciągały się te jałowe ziemie, którymi stało się jej życie, przeprowadzka na Plutona wydawała się zbyt bliska. A teraz się uwolniła. Z daleka sytuacja wydawała się gorsza niż wtedy, gdy stała w samym jej środku. A dziwnym, niespodziewanym faktem było to, że tęskniła za Peterem.

Peter, od sześciu lat jej mąż, był bardzo wysoki jak na Azjatę. Strzelisty, szeroki w ramionach, uderzająco przystojny - na Manhattanie ludzie czasem brali go za szefa kuchni Jeana-Georges'a Vongerichtena. Melanie poznała go w barze na East Side. Peter pracował wówczas na Wall Street, ale wkrótce po ślubie z Melanie został analitykiem rynku w Rutter, Higgens, gdzie poznał Teda Stowe'a, męża Vicki. Vicki i Ted spodziewali się pierwszego dziecka; byli w trakcie przeprowadzki do Darien. Melanie i Vicki szybko przypadły sobie do serca i wkrótce Melanie zaczęła nękać męża, żeby i oni przeprowadzili się do Connecticut. („Nękać” - tak to się teraz nazywało. Swego czasu Melanie wydawało się, że decyzję o przeprowadzce podjęli wspólnie). Melanie chciała mieć dzieci. Próbowali - i nic. Ale zakochała się w wizji domku w Connecticut, nie wspominając o trawniku i ogrodzie. Po przeprowadzce okazało się, że są jedyną bezdzietną młodą parą w Darien. Czasami Melanie nabierała pewności, że nie może zająć w ciąży właśnie przez te przedmieścia. Roily się od niemowląt. Co rano - przemarsz brygady wózekkowej. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie dzieci - w sklepie, w zatłoczonym żłobku przy siłowni, na bożonarodzeniowej szopce w kościele.

Ty fuksiario, mawiały inne kobiety. Możesz robić, co zechcesz. Możesz iść na kolację przy winie i nikt ci nie przerywa sto tysięcy razy, nikt nie zrzuca na podłogę sztućców razem z serwetkami, a obsługa nie patrzy na ciebie jak na paskudztwo na bucie grabarza. Te kobiety chciały dobrze; udawały, że jej zazdroszczą. Ale ona widziała, że

tak naprawdę czują dla niej litość, że nosi piętno swojej wadliwej fizjologii. Nieważne, że skończyła college Sarah Lawrence, nieważne, że po szkole średniej uczyła angielskiego w Tajlandii, nieważne, że była zapaloną ogrodniczką i z zapamiętaniem ćwiczyła marszobiegi. Kiedy te inne kobiety na nią patrzyły, myślały: to ta, co chce zajść. Ta, co ma kłopoty. Może jest nieplodna. Coś z nią nie tak. Biedna.

Peter tego nie zauważał, a teraz, w tym porozstaniowym okresie, kiedy mroczne, ukryte tajemnice zaczęły się wysączać jak maź z kanału, Melanie dowiedziała się, że jej ciąża w ogóle go nie obchodziła. (Nic dziwnego, że miała kłopoty! Wszyscy wiedzą, że w tej dyscyplinie dziewięćdziesiąt procent to nastawienie, pozytywne myślenie, wizualizacja). Peter starał się, żeby była szczęśliwa, a najlepszym pomysłem, na jaki wpadł - no cóż, mężczyzna! - było wydawanie na nią wstrząsających sum. Weekendowe wypadki na Cabo, do Connaught w Londynie, Delano w South Beach. Aksamitny blezer od Yves St. Laurenta, lisia oczekujących - dwa miesiące. Dwunastouncjowa czarna trufla, sprowadzona z Włoch samolotem, w drewnianej skrzynce wyściełanej sianem. Co piątek orchidee.

Miesiące nieplodności wlokły się jeden za drugim, a Melanie zaczęła szukać wytchnienia w sianiu, okopywaniu, sadzeniu krzewów i bylin, spulchnianiu, pieleniu. Na rośliny jednoroczne, zioła i sadzonki gruntowych pomidorów wydała prawie tysiąc dolarów. Pozwoliła dwóm ślicznym dziewczynkom z sąsiedztwa naciąć tulipanów i hiacyntów z jej ogrodu do koszyczków na majowe uroczystości. Krzewy hortensji nawoziła małżami z rynku rybnego. Już łatwiej by utrzymać bernardyna niż ten cholerny ogród, warczał Peter.

Peter powiedział jej o swoim romansie z Frances Digits w drodze powrotnej z pikniku, który jego firma co roku organizowała w Central Parku. Był mecz softballa, hamburgery i hot dogi, arbuzy, a dla dzieci wyścigi w workach, z jajkami na łyżkach. Miła impreza, ale Melanie przetrwała ją z zaciśniętymi zębami. Siedem razy próbowali zapłodnienia in vitro - bez skutku - i postanowili zrezygnować. To po prostu i zwyczajnie nie działało. A ludzie i tak pytali: „Coś nowego?”. Melanie musiała odpowiadać raz po raz: „Na jakiś czas daliśmy spokój”. Ted i Vicki nie przyszli na piknik, bo Vicki właśnie dostała informację z Mount Sinai, potwierdzającą diagnozę raka i nie miała ochoty się z nikim widzieć. Więc Melanie odpierała pytania nie tylko o własną bezpłodność, ale i raka Vicki. Biorąc pod uwagę, ile osób dopadło ją i wzięło w krzyżowy ogień pytań, łatwiej byłoby zorganizować konferencję prasową.

W drodze powrotnej Melanie powiedziała, że jest wykończona. Nie bawiła się dobrze, może dlatego, że nie było Teda i Vicki.

- Życie jest za krótkie - oznajmiła. Mówiła to teraz za każdym razem, kiedy myślała o Vicki. Peter kiwał głową z roztargnieniem; tak często to od niej słyszał, że znaczenie tych słów się rozwodniło. Ale Melanie mówiła z całego serca: życie było za krótkie, żeby je trwonić na ciągłe pragnienie, głód, rozjątrzenie. Czekał, aż coś się zdarzy.

Na zjeździe z autostrady I-95 był korek. Peter zaklął i zwolnił do żółwiego tempa.

Teraz, pomyślała Melanie. I rzuciła:

- Może spróbujmy jeszcze raz. Ostatni.

Przygotowała się na jego reakcję. Peter w ogóle nie chciał zapłodnienia in vitro. Wydawało mu się wymuszone, nienaturalne. Melanie przeforsowała ten pomysł nie raz, nie dwa, lecz siedem, za każdym obiecując, że to już ostatni. A potem, parę tygodni temu, przysięgła na wszystkie świętości. Zawarli z Peterem pakt, przypieczętowując go pierwszym od ponad roku spontanicznym aktem seksualnym. Potem Peter mówił o wycieczce na Wielką Rafę, tylko we dwoje. Mieli się zatrzymać w kurorcie, w którym nie przyjmują małych dzieci.

Melanie była gotowa na jego rozdrażnienie, że znowu wyjeżdża z tym tematem, była gotowa na gniew. Ale Peter tylko pokręcił głową i z oczami wbitymi w zderzak samochodu przed nimi oznajmił:

- Mam kogoś.

Melanie dopiero po chwili pojęła, co znaczy to „mam”, ale nawet wtedy ta oczywistość nie wydała się jej taka oczywista.

- Masz?

- Tak. Frances.

- Frances? - powtórzyła. Przyjrzała się mu. Na pikniku wypił parę piw. Uderzyły mu do głowy? Czy w ogóle powinien prowadzić? Bo to, co mówił, nie miało sensu.

- Masz romans z Frances? Frances Digitt? - Potrafiła sobie wyobrazić Frances tylko tak, jak ją kiedyś widziała, w czerwonych szortach z nylonu i białym podkoszulku z napisem „Narciarski zjazd tylko dla gwiazd”. Frances Digitt miała dwadzieścia siedem lat, włosy na jeża i zamiłowanie do sportów takich, jak wspinaczka na skałkach i narciarstwo ekstremalne. Podczas meczu softballu zaliczyła home run, a przez bazy przebiegała, machając pięścią jak szesnastoletni chłopak. - Masz romans? Z Frances?

- Tak.

Tak. Mieli najbardziej obleśny z romansów biurowych - seks w szafie, w opuszczonych świetlicach po godzinach, na jego biurku, za zamkniętymi na klucz drzwiami, w jego obrotowym fotelu. Frances z podkasaną spódnicą, na jego kolanach.

Tej nocy po powrocie do domu Peter wyprowadził się do pokoju gościnnego, a Melanie płakała w wannie. Peter nie opuścił domu - twierdził, że nie chce, a Melanie nie miała odwagi tego zażądać. Sypiali pod jednym dachem, w oddzielnych pokojach. On nie chciał zakończyć swoich „spotkań” z Frances Digitt, jeszcze nie, jak powiedział, ale może kiedyś. To była tortura. Melanie go kochała, a on zrobił z jej serca tarczę strzelniczą. Wieczorami na ogół wracał do domu, ale czasem dzwonił, by uprzedzić, że „zostanie w mieście” (co, jak musiała przyjąć do wiadomości, oznaczało, że zostaje u Frances Digitt). Trzymał Melanie w szachu; wiedział, że nie starczy jej odwagi, by się z nim rozwieść i puścić go w skarpetkach, do czego wszyscy ją namawiali.

Kiedy zaczęły się mdłości, Melanie się nie zdziwiła. Ostry stres, pomyślała. Depresja. Żołądek się zbuntował. Krztusiła się na samą myśl o Frances Digitt. Ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie; po południu przesypiała trzy do czterech godzin. Od tak dawna manipulowała swoim cyklem za pomocą hormonów, że nie zauważyła, kiedy spóźniła się miesiączka. Ale wtedy piersi zaczęły ją boleć, a od zapachów, które zwykle kochała - kawa, świeża szalwia - żołądek wywracał się na lewą stronę. Więc poszła do apteki trzy miasta dalej, gdzie nikt jej nie znał, i kupiła test.

Ciąża.

No jasne, pomyślała. Jasne, jasne. Zaszłam, kiedy to już nie ma znaczenia, kiedy to odkrycie zamiast radości przynosi ból i komplikacje. Strasznie chciała powiedzieć o tym Peterowi. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, z trudem trzymała język na wodzy. Myślała, że starczy mu bystrości, żeby się domyślić - bo nieustannie biegała wymiotować w łazience, bo przesypiała całe dnie. Ale Peter albo nie zauważał tych ewidentnych objawów, albo przypisał je melodramatowi zainspirowanemu przed Frances Digitt. Melanie postanowiła mu nie mówić - i trzymała się tego - dopóki coś się nie zmieni. Chciała, żeby Peter zostawił Frances Digitt z miłości do niej, Melanie, nie dlatego, że będą mieli dziecko. Dziecko. Ich dziecko. Po tylu próbach, po tych igłach, lekach, leczeniu, odliczaniu dni,

wyznaczaniu seksu, w końcu samo się stało. Nawet Peter by się zdziwił, nawet on by krzyknął z radości. Ale na razie nie mogła mu powiedzieć. Cięża była jej jedynym skarbem, tylko to jej zostało i nie chciała się tym dzielić.

Więc... uciekaj z miasta. Jedź z Vicki - i jej siostrą Brendą - na wyspę leżącą o pięćdziesiąt kilometrów od morskiego brzegu.

Melanie nie uprzedziła Petera o wyjeździe; nie zorientuje się do siódmej wieczorem, kiedy znajdzie jej list w kopercie, przyklejony do drzwi oranżerii. Jej wyjazd go zdziwi. Może uświadomi mu, że popełnił okropny błąd. Zadzwoń telefon. Możliwe. Peter poprosi, by wróciła. Kto wie?

A może będzie zadowolony, że ma ją z głowy. Ulży mu. Może uzna jej wyjazd za uśmiech losu i zaprosi Frances Digitt, żeby wprowadziła się do ich domu i dbała o ogród Melanie.

Wystarczyła jedna zła myśl. Melanie popędziła do wspólnej łazienki i zwymiotowała gorzką zieloną żółcią w muszlę z plamami moczu na krawędzi, ponieważ Blaine jeszcze nie potrafił po sobie wycierać. Nabrała wody w dłoni, wypłukała usta, zerknęła na swoje odbicie w piegowatym lustrze. Nawet to lustro wyglądało jak chore. Weszła na rozklekotaną łazienkową wagę; jeśli wskazywała dobrze, to od chwili odkrycia, że jest w ciąży, schudła półtora kilo. Nie mogła utrzymać jedzenia w żołądku, nawet piwa imbirowego, nawet suchej grzanki, ale starała się, jadła i wymiotowała, bo była głodna, umierała z głodu i nie mogła nawet myśleć o swoim dziecku wygłodzonym, odwodnionym, skurczonym jak plasterek kabanosa.

W domu było cicho. Vicki i dzieci spały, Brenda rozmawiała na dworze z... z tym przystojnym chłopcem z lotniska, tym samym, który zaproponował, że przyniesie plaster. No jasne. Melanie nie знаła całej historii Brendy i jej studenta, ale nie trzeba geniusza, żeby się domyślić, że Brenda rwie, co się trafi. Jest rozwiązła. Łatwa. O, jak dotyka ramienia tego chłopaka, jak trzęsie mu przed nosem cyckami. A to tylko dziecko, ledwie dwadzieścia lat, choć całkiem przyjemny dla oka. Uśmiechnął się do Melanie, proponując ten plaster, jakby chciał jej pomóc, ale nie potrafił. Westchnęła. Kiedy Peter ostatnio się do niej uśmiechnął? Spuściła rolety. W ciążyowym śnie fajne jest to, że człowiek jest zbyt zmęczony, żeby mu się coś śniło.

Kiedy zadzwonił telefon, Brenda była jedyną w domu dorosłą osobą, która nie spała. Sprzątnęła ze stolika serwis ciotki Liv i wszystkie ceramiczne drobiazgi oraz emaliowane szkatułki, żeby móc z Blaine zagrać w zjeżdżalnie i drabiny. Tymczasem niemowlak przez trzydzieści, góra czterdzieści sekund usiadł na jej podołku, po czym pokonał zapórę jej kolan niczym Hannibal góry i powędrował przed siebie, po gładkich jak atlas deskach, ściągając sobie na głowę lampy, wkładając palec w kontakty i tak dalej. Jakimś sposobem włożył do buzi monetę, gdy Brenda uczyła Blaine'a liczyć pola na planszy. Brenda usłyszała, że się krztusi, podniosła go i trzepnęła w plecy; moneta śmignęła przez pokój. Blaine przeniósł pionek o niedozwolone czternaście pól, a Brenda, choć niczego bardziej nie pragnęła niż końca tej gry, musiała go zawrócić - dla zasady. Rozbeczał się. Brenda wzięła go na kolana, w związku z czym Porter niezwłocznie chyłkiem porączkował do kuchni. Na szczęście był za mały, żeby dosięgnąć noży. Ale kiedy Brenda wyjaśniała Blaine'owi, że jeśli będzie oszukiwał w grze, nikt nigdy nie zechce z nim grać, usłyszała stłumiony łomot i serce skoczyło jej do gardła.

- Porter? - zawołała.

Niemowlak zagulgotał radośnie.

Brenda postawiła Blaine'a na podłodze. Zegar szafkowy ciotki Liv zaczął wydzwaniać godzinę; było wpół do siódmej. Vicki i Melanie od trzeciej siedziały każda w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Brenda też by chętnie zaliczyła trzy i pół godziny wolnego - ale nie była w ciąży i nie miała raka. Rak, pomyślała. Czy to słowo z

czasem staje się mniej przerażające i okropne? Czy jeśli powtarza się je odpowiednio często i lepiej się je zrozumie, utraci ten trumienny chłód?

W kuchni znalazła pierwsze wydanie *Niewinnego szalbierza*, rozpostarte na podłodze jak martwy ptak. Porter siedział obok, coś mamląc. Zakrętkę jej pióra.

Krzyknęła. Delikatnie podniosła tomik, zdumiona, że choć tak stary, przy upadku nie rozsypał się na proch. Nie powinna go wyjmować z aktówki - ta książka, jak stary człowiek, wymagała delikatności. Wygładziła jej strony, otuliła ją plastikową okładką, ułożyła w gniazdku bąbelkowej folii i zamknęła, bezpieczną przed małymi brudnymi rączkami. Wyłuskała z zaślinionej buzi Portera zakrętkę i rzuciła ją zamasyście - do kuchennego zlewu.

Twoje problemy to małe miki, upomniała się. To znaczy - w porównaniu. Nie masz raka, nie jesteś w ciąży ze zdradzającym cię mężem. Z tych trzech paskudnych sytuacji twoja jest najmniej wredna. Czy to przekleństwo, czy błogosławieństwo? Jestem wdzięczna za swoje zdrowie. Nie będę się nad sobą użalać. Jestem tu, żeby pomóc Vicki, mojej siostrze, która ma raka. Po dwóch godzinach od rozejścia się po kampusie wiadomości o jej zwolnieniu, Brenda dostała mejla od kolegi z Uniwersytetu Iowa. „Wieść niesie, że cię wtrącono do lochu - napisał Neil Gilinski. - Wieść niesie, że popełniłaś drugi w kolejności niewybaczalny grzech po jawnym plagiacie”. Serce jej załomotało. Wiadomość o jej hańbie obiegła cały kraj w dwie godziny. Równie dobrze mogliby o tym powiedzieć w dzienniku. Ale nie będzie się użalać nad sobą. Będzie wdzięczna za swoje zdrowie.

- Ciociu! - zawył Blaine. - Chodź! Twoja kolej!

- Dobra - mruknęła. - Już idę.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Aparat wisiał na ścianie kuchni, biały, z okrągłą tarczą. Dzwonek miał jazgotliwy, mechaniczny, jak młoteczek uderzający w dzwon. Od tego dźwięku Brenda straciła dech. Strach wsączył się w jej serce. Mecenas Brian Delaney zostawił jej w poczcie głosowej dwie nagłać wiadomości. „Zadzwoń do mnie. Brenda, do cholery, oddzwoń”. Ale Brenda nie chciała oddzwonić. Właściwie nie mogła sobie na to pozwolić. Każdy telefon kosztował ją sto dolarów. Jeśli Brian ma dobre wieści, na przykład, że uczelniany zespół konserwatorski nie znalazł szkód w rzeczonym malowidle, a wydział anglistyki zdecydował się wycofać oskarżenie, wówczas zostawiłby wiadomość o takiej właśnie treści. A skoro ma złe wieści, Brenda nie chciała ich wysłuchiwać. Przy każdym dzwonku telefonu modliła się, żeby to był Walsh. Fakt, że dzwonił jej prawnik, tylko pogarszał sprawę. Ale dzwonek telefonu w chatce zaskoczył ją. Od dzieciństwa знаła numer domu przy ulicy Shell Street, ale nie dała go ani Walshowi, ani mecenasowi Brianowi Delaneyowi. Co znaczyło, że to pewnie matka.

- Halo? - odezwała się.

- Jest tam moja żona? - spytał jakiś mężczyzna.

Był jeszcze bardziej wściekły niż ona.

Jak ludzie mogli kiedyś żyć bez identyfikacji numeru?

- Ted? - spytała Brenda.

- Spytałem, czy jest tam moja żona? Ten numer zostawiła w liście. W liście! Wyjeżdżam na lato. Co jest?

- Chodzi o Melanie? - spytała Brenda.

Była pod wrażeniem. Melanie prysnęła i zostawiła tylko list? No, no.

- Tak, Melanie!

- Jest tutaj, ale nie może podejść do telefonu.

- Co to znaczy?

- Nie potrafię tego wyrazić jaśniej - wycodziła. - Nie - może - podejść - do - telefonu.

- Chcę z nią rozmawiać.

- Nie - warknęła.

Spojrzała na aktówkę i przejęła ją nowa ulga, że nie straciła jej w lotniskowym czyścicu dla zagubionych walizek. Potem spojrzała na Portera, który dobrał się do drugiej części jej pióra. Z ust lał mu się niebieski atrament.

- Oż ty - mruknęła Brenda. Sięgnęła po pióro, ale Porter odraczkował i Brenda omal nie wyrwała telefonu ze ściany. Po paru sekundach Porter i pióro znaleźli się o krok od drzwi Vicki.

- Przepraszam - rzuciła i odłożyła słuchawkę, olewając męża Melanie.

Zapinając Blaine'a i Portera w podwójnym wózeczku, zastanawiała się, dlaczego nikt nie organizuje olimpiady w raczkowaniu? Porter wygrałby w cuglach. Potem przyszło jej do głowy, że mąż Melanie strasznie się ciska jak na kogoś, kto ma na sumieniu romans.

- Jestem głodny - odezwał się Blaine. - Kiedy obiad?

- Dobre pytanie - mruknęła.

Nie jadła od przekąski w piekarence na LaGuardii. W domu nie było jedzenia, a możliwe że Vicki nie obudzi się do rana. Pożyczyła więc sobie czterdzieści dolarów z portmonetki Vicki - zarobiła je uczciwie - i z chrzęstem miażdżonych muszelek pod kołami wózka ruszyła na zakupy.

Pomagam mojej siostrze, która jest bardzo chora. „Chora” brzmiało lepiej niż „rak”. Ludzie ciągle chorują, a potem zdrowieją. Vicki była chora, ale wyzdrowieje, a tymczasem ona zajmie się wszystkim. Ale bała się, że temu wszystkiemu nie poddała. Często odwiedzała chłopców, odkąd we wrześniu przyjechała z Iowa City, by podjąć pracę na Champion, ale nigdy nie była z obydwojoma sama przez całe trzy godziny. Jak Vicki się to udawało - jedno raczkuje z prędkością światła we wszystkich kierunkach jednocześnie, drugie zadaje sto pytań na minutę, na przykład: „Jaka jest twoja ulubiona liczba? Moja to dziewięć. Nie, właściwie sto sześć. To więcej niż pięćdziesiąt?”. Jak to się stało, że mózg Vicki nie zamienił się w mamatygę? Skąd się jej wzięło przekonanie, że letnia opieka nad dziećmi leży w zakresie jej możliwości? Na jakiej podstawie założyła, że przez tę jedną wolną godzinę spróbuje szczęścia w pisaniu scenariusza? Melanie obiecała pomagać, ale proszę, jak to wygląda - omal nie zabiła Portera, wysiadając z samolotu, a potem walnęła się w kimono jak cholerna Śpiąca Królewna. W ten sposób na placu boju została Brenda. Brenda - pomoc do dzieci, Brenda - szofer Vicki podczas jazd do szpitala na chemię, Brenda - gosposia od zakupów i kucharka... Sama się z tym zaofiarowała, w najszczerzej chęci zrehabilitowania się i udowodnienia siostrze i rodzicom, że nie jest miękka ani zepsuta, nie jest egoistką ani nie dąży do samozniszczenia. Nie jest osobą, która z reguły łamie prawo i grzeszy. Jest miła, jest dobra.

Ale naprawdę, naprawdę, pomyślała, nie takie to oczywiste. Jednak była miękka i była egoistką. A Vicki zażądała od niej zbyt wiele; chciała, żeby Brenda była jej żoną, a jeśli Brenda nie potrafi? Jeśli w tej chwili Brenda pragnie tylko cichości swojego mieszkanka na Manhattanie? Ale żeby zaoszczędzić, podnajęła mieszkanie najlepszemu przyjacielowi na świecie, Erikowi vanCottowi i jego narzeczonej. Erik i Noel będą się kochać w łóżku niedawno opuszczonym przez Brendę i Walsha. Brenda czuła w żołądku tę dziwną tęsknotę, bardzo podobną do rozpaczki po utraczonej prawdziwej miłości. Mogę zadzwonić do Walsha, pomyślała, przyglądając się swojej komórce. Ale nie. Na razie jeszcze nie zapomni o swoich postanowieniach. To dopiero pierwszy dzień!

W sklepie kupiła mleko, chleb, rulon koziego sera, fioletowe figi, funt ekologicznego masła (tylko takie mieli), kiść bananów, kobiałkę truskawek, torbę chipsów i kubełek lodów. Trzydzieści pięć dolarów. Nawet ona, przy-

zwyczajona do cen na Manhattanie, przełknęła ślinę. Dała ciasteczka Blaine'owi, podkradłszy jedno dla siebie i jedno do ciamkania dla Portera. Wychodząc ze sklepu, zauważyła przy drzwiach tablicę ogłoszeń. Joga na plaży o wschodzie słońca, zaginiony kotek, pokój do wynajęcia.

Ha! - pomyślała.

Wróciła do kasy i pożyczyła starą ulotkę oraz prawie wypisany czarny marker. Rozmazanymi szarymi literami napisała: Potrzebna opiekunka do dziecka. Niesprecyzowane godziny, codziennie, w Sconset. Dwóch chłopców, 4 lata i 9 miesięcy. Wymagane doświadczenie. Oraz referencje. Dzwonić pod numer 257-6101.

Przypięła ogłoszenie na widocznym miejscu, a potem wróciła do domu, pchając wózek jedną ręką, w drugiej zaś dzierżąc reklamówkę pełną bardzo kosztownej żywności. Jeśli ktoś przejmie część obowiązków przy dzieciach, ona zdoła więcej pomóc Vicki i zacznie pisać scenariusz, za który zarobi pieniądze i nie będzie na garnuszku u Teda, Vicki i rodziców. Jakiś głosik w jej głowie szepnął: Mięka. Egoistka.

A, zamknij się, pomyślała.

Tego wieczoru przy kolacji - steki, pieczony ziemniak, brokuły na parze (rozgotowane) - Josh powiedział ojcu, że zastanawia się nad odejściem z lotniska.

Tom Flynn nie odpowiedział natychmiast. Był małomówny; Josh zawsze nazywał go w duchu werbalnym sknerą. Tak jakby celowo skąpił słów, żeby denerwować innych, zwłaszcza własnego syna. Josh zdawał sobie sprawę, że mówiąc mało, Tom Flynn prowokuje swoich rozmówców - zwłaszcza jego - żeby mówili zbyt dużo.

- To nudne - powiedział Josh. Nie podzielił się opowieścią o trzech kobietach, o tej, która spadła, o niemowlęciu, aktówce i dostarczeniu jej do Sconset, choć rozumiał, że to właśnie przez ten incydent zaczął myśleć o rezygnacji z pracy. - I bez perspektyw. Wolę robić co innego.

- Naprawdę? - mruknął Tom Flynn. Zaczął przeżuwać liść lodowej sałaty. Na kolację zawsze była lodowa sałata. Jedno z wielu smutnych zjawisk łączących się z ojcem, choć Josh właściwie nie potrafił powiedzieć, dlaczego są takie smutne. Chyba przez tę niezgodę na zmiany, kurczowe trzymanie się rutyny, tę samą sałatę, czy to zima, wiosna, lato czy jesień. To wszystko miało związek ze śmiercią matki Josha. Dziesięć lat temu powiesiła się na belce na strychu, kiedy Tom był w pracy, a Josh w szkole. Nie zostawiła listu, żadnej wiadomości, słowa wyjaśnienia, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. A wydawała się może nie obłudnie szczęśliwa, ale co najmniej zrównoważona. Dorastała na tej wyspie, wyjechała na studia w Plymouth State, pracowała jako księgowa firmy budowlanej. Miała niewielu przyjaciół, ale wszyscy ją znali - Janey Flynn, z domu Cumberland. Ta ładna żona Toma z lotniska, ma jednego syna, przystojny, diabelnie inteligentny. Tak wyglądała biografia jego matki - nic efektownego, ale i bez żadnych złowrogich tajemnic - ani cichej rozpacz, nieznaney Tomowi i Joshowi. A jednak.

I tak w wieku jedenastu lat Josh został sam z ojcem, który gniew, rozpacz i zagubienie usiłował zwalczyć przewidywalnością, bezpieczeństwem, jednostajnością. Tom Flynn nigdy nie krzyczał na Josha, nigdy nie tracił panowania nad sobą, okazywał mu miłość w najlepszy dostępny mu sposób: pracując, dostarczając jedzenie, oszczędzając, by posłać Josha na studia. Ale czasami, kiedy Josh na niego patrzył, widział człowieka zatopionego w smutku, unoszącego się w jego odmętach jak ten świński płód w formalinie z biologicznego laboratorium w szkole.

- Aha - powiedział Josh. - No, nie wiem. Sam nie wiem, czego chcę. - Żałował, że nie znalazł letniej pracy gdzieś poza wyspą, na obozie w Vermont czy gdzie indziej. Lubił dzieci.

Zadzwoił telefon. Josh dopił butelkę piwa i poszedł odebrać, bo zawsze był to telefon do niego.

- Josh? - Didi. Wyglądało na to, że wyprzedziła go o parę drinków. - Spotkamy się?

Spotkanie oznaczało seks. Didi wynajmowała mieszkanie w suterenie na Fairground Road, niespełna dwa kilometry od Josha. Zajmowała całkiem sama, a Joshowi jego zaciszność sprawiała przyjemność, choć było zawsze wilgotne i cuchnęło kotem Didi.

- Eeee - mruknął.

- Przyjedź. Proszę.

Josh pomyślał o zielonym migotliwym staniku Nabzdyczonej Siostry.

- Przepraszam - powiedział. - Innym razem.

*Kanapka z piersią kaczką w figowym sosie, owinięta białym pergaminem z Café L'Auberge na ulicy Jedena-
stej. Szpinak w zębach. Zapach nowego samochodu. Przedszkolna wycieczka Blaine'a na wieś. Przyjęcie dla ciężar-
nej Colleen Redd. Wyniki baseballowe.*

Co roku u schyłku zimy Vicki zaczynała czuć niepokój, a niepokój tego kwietnia okazał się najdotkliwszy ze wszystkich. Niebo w Darien miało nieodmiennie kolor ołowiu, deszcz lał bez przerwy, było nietypowo zimno jak na tę porę roku. Vicki siedziała uwięziona w domu, karmiła sześć razy dziennie, bo dziecko nie chciało się przyzwyczaić do butelki, co ograniczało jej swobodę ruchów. Czasami przez cały dzień chodziła w dresie, dopóki Ted nie wrócił z pracy. Usiłowała znaleźć przyjemność w spokojnym rytmie swoich dni - dzieci tak szybko dorastają - ale stopniowo zaczęła marzyć o zmianie życia. Może o powrocie do pracy. Przecież w Duke była w elitarnym Phi Beta Kappa i kiedyś marzyła o prawie. Tęskniła za prywatnością, za czymś, co będzie należeć tylko do niej. Może za romanssem? Słyszała, jak koleżanki zwierzą się z podobnych pragnień - wszystkiemu winna fizjologia, kobieta osiąga szczyt biologicznych możliwości jako trzydziestolatka, a rzeczywistość wygląda jak następuje: mąż, małe dzieci. Czy nie byłoby miło, gdyby dla odmiany zjawił się ktoś spełniający wszystkie pragnienia? Nagle wszyscy mężczyźni zaczęli się jej podobać - mechanicy, chłopcy na boisku, nowi pracownicy prosto po studiach z biura Teda. Potrzebowała jakiejś odmiany, w przeciwnym razie zmieni się w jedną z tych kobiet, które z braku zajęć powoli zaczynają wariować. Czuła się niczym tykająca bomba, jakby lada chwila miała stanąć w płomieniach. Rozpierały ją gniew i pożądanie, przerażające. Zaczęła czuć ucisk w piersiach, a potem ten ucisk, o ile się jej nie wydawało, stał się bólem. Brakowało jej tchu. Pewnego ranka obudziła się zdyszana, jakby biegła po schodach. Z jej ciałem działo się coś złego.

O jej pogardzie do lekarzy i szpitali krążyły legendy. W college'u dostała infekcji pęcherza, która - nieleczo-
na - rozszerzyła się na nerki. Była strasznie chora, a jednak tak bardzo protestowała przed wizytą u doktora, że kole-
żanki z pokoju odczekały, aż zaśnie i zaniósł ją do izby zabiegowej. Wiele lat później, rodząc Blaine'a, przybyła do
szpitala na czterdzieści minut przed jego przyjściem na świat i wróciła do domu dwadzieścia cztery godziny później.
A jednak tego ranka pojechała prosto na pogotowie w szpitalu Fairfield.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie mogę oddychać?

Początkowo lekarz podejrzewał zapalenie płuc, ale prześwietlenia rentgenowskie wyglądały podejrzanie. Rezonans wykazał, że w jej lewym płucu znajduje się twór wielkości jabłka. Następne badania - tomografia i biopsja - potwierdziły, że narodził się złośliwy i ujawniły obecność podejrzanych komórek w węzłach chłonnych wną-
kowych. Vicki miała dorodnego raka płuc w drugim stadium. Usłyszała, jak doktor Garcia mówi „rak płuc”, zoba-
czyła jego melancholijne brązowe oczy, wilgotnie lśniące zza grubych szkieł okularów - a jednak założyła, że to
jakiś żart albo pomyłka.

- Pomyłka - powiedziała, kręcąc głową. Brakowało jej tlenu, żeby wydobyć z siebie więcej słów.

- Niestety, nie - odparł doktor Garcia. - Ma pani czterocentymetrowy guz lewego płuca, naciekający na ścianę klatki piersiowej, przez co trudno go operować. Wygląda na to, że komórki rakowe mogły dotrzeć także do węzłów węzkowych, ale rezonans nie wykrył dodatkowych przerzutów. W wielu przypadkach przy tak zaawansowanym stadium rak daje liczne przerzuty - do mózgu czy na przykład wątroby. Ale u pani umiejscowił się tylko w płucach, i to dobra wiadomość. - Tu doktor klepnął dłonią w biurko.

Dobra wiadomość? Kretyn czy tylko cep?

- Myli się pan - powiedziała Vicki. Zabrzmiało to tak, jakby mylił się co do tych „dobrych wieści”, ale jej chodziło o diagnozę. Przecież nie mogła mieć raka. Kiedy się ma raka, kiedy się ma w płucu guz wielkości jabłka, człowiek chyba o tym wie! A Vicki czuła jedynie, że trochę brakuje jej tchu, może dostała jakiegoś zapalenia. Trzeba jej dać antybiotyki i już. Ted siedział obok niej w skórzanym fotelu; odwróciła się do niego z cichym śmiechem. Ted był dużym mężczyzną, wysokim, przystojnym, z silnym uściskiem ręki. Powiedz doktorowi, że się pomylił! - pomyślała. Ale Ted wyglądał, jakby ktoś go kopnął w krocze. Zgarbił się i otworzył usta. Powiedz doktorowi, że się myli! - Vicki nie ma raka, ani nic. Zresztą co to za człowiek? Nie zna go, a on nie zna jej. Obcy nie powinni mieć prawa mówić człowiekowi, że ma raka, a jednak proszę, stało się.

- Mam dzieci - powiedziała Vicki. Jej głos był suchy, przestraszony. - Mam dwóch synków, czteroletniego i młodszego, osiem miesięcy. Trudno będzie ich przekonać, że rak matki to dobra wiadomość.

- Victorio, pozwól sobie wytłumaczyć - zaczął perswazyjnie doktor Garcia. - Jestem onkologiem pulmonologiem. Specjalizowałem się w raku płuc, to moja dziedzina. I gdyby zebrać wszystkich pacjentów, których miałem przez czternaście lat - albo chociażby tysiąc pacjentów, dla przykładu - znalazłabyś się w samym środku. Owszem, to niełatwy przypadek. Żeby zapewnić ci największe szanse, najpierw spróbujemy spowodować chemią, żeby guz się skurczył, a potem go zoperujemy i będziemy się modlić, żeby udało nam się go wyciąć w całości. Ale masz realne szanse na pełne wyzdrowienie i to właśnie jest ta dobra wiadomość.

- Nie chcę być przypadkiem - rzuciła. - Nie chcę, żeby mnie pan traktował jak pozostałych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu pacjentów. Chcę, żeby zobaczył pan we mnie matkę dwóch małych chłopców... - Rozpłakała się.

- Wielu moich pacjentów miało dzieci.

- Ale oni to nie ja. Moje życie jest cenne. Cholernie cenne. Moje dzieci są małe. Nie poradzą sobie. - Spojrzała na Teda, szukając pomocy, ale on nadal siedział jak obezwładniony. Otarła oczy. - Czy ja umrę?

- Wszyscy umrzemy - oznajmił doktor Garcia.

Już miała mu powiedzieć, gdzie sobie może wsadzić te egzystencjalne pierdoły, kiedy się uśmiechnął.

- W tej chwili największą przysługą, jaką możesz sobie wyświadczyć, jest zachowanie optymizmu.

Optymizm? No, ale w rezultacie tym ją przekonał. Doktor Garcia był onkologiem posługującym się zwrotami „dobra wiadomość” i „optymizm”.

Na prośbę Teda zasięgnęła opinii drugiego specjalisty z Mount Sinai, od razu po wizycie u pierwszego. Tym razem była to lekarka, doktor Kreuss, którą Vicki natychmiast przemianowała na doktor Kres, ze względu na jej prognozy, zdecydowanie mniej optymistyczne niż doktora Garcii. Doktor Kreuss oświadczyła właściwie wprost, że jeśli chemia doprowadzi do zmniejszenia guza na tyle, by cofnął się ze ściany klatki piersiowej (a jej ton wyrażał poważne powątpiewanie), wówczas BYĆ MOŻE operacja rozwiąże problem, JEŚLI NIE MA PRZERZUTÓW. *Problemem nie jest narośl na pani płucu*, powiedziała. Rzecz w tym, skąd się wziął. I dokąd się przemieści. Dodała,

że pomysł leczenia się NA PROWINCJI jest GŁUPI, a Vicki powinna się leczyć w Mount Sinai - ale ponieważ pani doktor miała dziesięć autobusów pacjentów, Vicki powinna uznać za OGROMNĄ PRZYSŁUGĘ przekazanie jej w ręce doktor Martine, onkolog ze Sloan Kettering, przypadkiem koleżanki doktor Kreuss z akademika Columbii.

- Dziękuję, ale nie - powiedziała Vicki. - Wolę doktora Garcię.

I w tej chwili - to było jasne - doktor Kres ją skreśliła. Jakby Vicki umarła na miejscu, w jej gabinecie.

Do rozpoczęcia chemii zostały dwa dni. Dwa dni do chwili, gdy lekarze rozetną jej klatkę piersiową i zainstalują w niej port naczyniowy, przez który dwa razy w tygodniu przez trzy miesiące będą w nią przetaczać truciznę. Doktor Garcia zapewnił, że nie ma się czym denerwować. Problem w tym, że chemia nie uleczy raka, tylko go okiełzna. Vicki, z trudem łapiąc powietrze, leżała w łóżku z Porterem czkającym u jej boku i czuła, jak te wredne, głupie małe komórki tuczają się i puchną, kopulują w upojeniu i mnożą się jak szalone. Mam złośliwego raka płuc. Rak płuc. Powtarzała to w myślach raz po raz, ale wcale w to nie wierzyła. Jakiś bezsensowny rodzaj raka. Rak piersi miał sens i Vicki w irracjonalny sposób żałowała, że go nie dostała. Była trzydziestodwuletnią niepalącą matką dwojga dzieci. Dawać mi raka piersi! Rak płuc jest dla starszusków kurzących dwie paczki dziennie od dwudziestu lat, dla Johna Wayne'a. Roześmiała się gorzko. Co ja wygaduję.

Korek na I-95, zniżka na połudwice u rzeźnika, wojska USA w Iraku. Korniki pojawiły się na strychu. Zapisy na basen. Zbieranie szyszek na świąteczne wieńce. Spierzchnięte wargi. Nieobcięte paznokcie u stóp. Zanieczyszczenie rzeki Hudson. Znowu Duke, finały koszykówki NCAA mężczyzn.

Chemia składała się z dwóch leków: gemcytabiny i karboplatyny. Vicki z trudem potrafiła to wymówić, ale już знаła efekty uboczne: utratę wagi, biegunkę, zatwardzenie, mdłości i wymioty, zmęczenie, zakłócenia równowagi - i prawdopodobnie utratę włosów. Będzie musiała przestać karmić piersią i może się stać nieplodna. To wszystko wystarczy, żeby doprowadzić do płaczu - przepłakała po cichu wiele godzin, kiedy Ted i dzieci spali, a mroczny dom wydawał się straszny jak sama śmierć - ale chemia to nic w porównaniu z resekcją płuca. Ta operacja piętrzyła się na jej drodze, zasłaniała cały świat. Jeśli chemia zadziała zgodnie z oczekiwaniami, Vicki przejdzie operację w szpitalu Fairfield w początkach września. Doktor Emery będzie operować, doktor Garcia asystować. Dwóch chirurgów rezydentów, dwie pielęgniarki, sześć godzin, usunięcie lewego płuca i węzłów chłonnych węzkowych. Czy ktoś przeżył taką operację?

O, masę osób - zapewnił doktor Garcia - Codziennie. To nieuniknione. Jeśli chcesz żyć.

Ale to było tak, jakby kazał Vicki wydrążyć tunel w litym granicie albo wyprawić się w kosmos i wrócić. Od samego początku niemożliwe. Przerazające.

Vicki potrafiła przeleżeć cały dzień w łóżku, ogarnięta obsesyjnymi myślami o guzie, który dzieliła w myślach na coraz mniejsze kawałeczki, tak długo, aż wreszcie dawał się pojąć. Przekleństwem i błogosławieństwem jej obecnej sytuacji był fakt, że nie miała czasu. Znalazła się na Nantucket z dwojgiem małych dzieci, o które trzeba było dbać - a także z siostrą i najlepszą przyjaciółką, które już po niespełna dwudziestu czterech godzinach zaczęły sobie skakać do oczu.

Słyszała je w kuchni - sztucznie miły ton, w którym coś zgrzytało. Narzuciła perkalowy szlafrok, wzięła Portera i ruszyła do kuchni; po drodze zdołała zrozumieć sedno problemu: wczoraj wieczorem dzwonił Peter, ale Brenda nie powiadomiła o tym Melanie.

- Spałaś - tłumaczyła. - I miałaś spać przez wiele godzin.

- Mogłaś zostawić wiadomość - burknęła Melanie. - Włożyć w szparę pod drzwiami. On teraz nie odbierze. Jest na mnie wściekły.

- Wściekły na ciebie? - prychnęła Brenda. - Trzymajcie mnie, ludzie! Wybacz, że to powiem, ale nie rozumiem, dlaczego ci na nim zależy. Ten gość cię zdradza.

- Nie możesz tego zrozumieć - oznajmiła godnie Melanie.

Brenda przecięła figę na pół i usiłowała nakarmić nią Blaine'a, który się skrzywił i zasłonił buzię ręką.

- Ni cholery - zgodziła się Brenda. - Nie napisałam wiadomości, bo byłam zajęta przy dzieciach. Byliśmy w drodze na zakupy. Ty spałaś. Vicki też. Zostałam sama na placu boju i... zapomniałam. Słowo daję, wyleciało mi z głowy.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś mu o mojej ciąży.

- Boże, no skąd.

- I nie zrobiłaś aluzji. Nie chcę, żeby się dowiedział. Serio.

- Zero aluzji. Szczyściłam go. Nie powiedziałam nawet, że śpiesz, tylko że nie możesz podejść. Powinnaś mi dziękować, świetnie się spisałam.

- Ale mi nie powiedziałaś, że dzwonił.

- Miałam za dużo na głowie!

- Bren - odezwała się Vicki.

Brenda gwałtownie odwróciła głowę. Kiedy tak robiła, jej włosy stawały się śmiertelną bronią.

- Stajesz po jej stronie?

Tego lata nie będzie żadnego stawania po czyjejs stronie, pomyślała Vicki. Za bardzo jestem chora. Ale wiedziała, że to nierealne. Przecież to Brenda, jej siostra. I Melanie, jej przyjaciółka. Nie łączyło ich nic z wyjątkiem jej. Już teraz czuła, że się rozdziera na pół, że pomiędzy jej chorymi płucami powstaje pęknięcie. - Nie - powiedziała.

Vicki przyjechała na Nantucket w nadziei, że odtworzy idylliczne lata swojej młodości. Czy te dawno minione wakacje naprawdę były idylliczne? Przypominała sobie to, kiedy pogryzła ją ze sto komarów, i inne, a może te same, kiedy do ucha wpadła jej muszka i brzęczała przez całą noc, a raz kłóciła się z ojcem o długie zamiejscowe rozmowy telefoniczne ze swoim chłopakiem Simonem. Ale przeważnie - tak, to była idylla. Kiedy szkoła i koledzy zostawali w Pensylwanii, Vicki i Brenda znajdowały się w centrum wydarzeń - a w mglistym, równoległym świecie dorosłych także ich rodzice, Buzz i Ellen, i ciocia Liv. Otoczone fosami zamki z piasku, zapach grilla z prawdziwym węglem - to wszystko było naprawdę. Dlatego, choć Melanie siedziała naburmuszona na sofie w salonie, a Brenda ciskała się po kuchni - wyglądały jak bokserzy w narożnikach - Vicki obrała banana, spojrzała na słoneczny blask, lejący się przez okna chatki niczym płynny miód i pomyślała: dzień w sam raz na plażowanie.

Pomysł wydawał się prosty, ale przygotowania trwały wiecznie. Należało przebrać dzieci w kąpielówki i posmarować je kremem z filtrem (rak skóry!). W siatce w szopie Brenda znalazła spłowiałe od słońca foremki do piasku. Były mocno zakurzone i oklejone pajęczynami, więc trzeba je było umyć pod hydrantem. Potem obiad. Vicki zaproponowała, żeby dla wygody kupić gotowe kanapki, ale Brenda się uparła, że trzeba zrobić prawdziwą piknikową ucztę z tych niepasujących do siebie składników, które przyniosła ze sklepu: chleb, kozi ser, figi i truskawki. Na samą wzmiankę o jedzeniu Melanie zakrztusiła się i runęła do łazienki. Vicki i Brenda słuchały odgłosów wymiotowania, składając ręczniki plażowe.

- Postaraj się jej nie denerwować - poprosiła Vicki.

- Strasznie jest drażliwa.

- Nie było jej łatwo.

- Tobie też - warknęła Brenda. Wepchnęła ręczniki do zatęchłego płóciennego worka, własności cioci Liv. -

Co zrobimy we wtorek, kiedy ci będą zakładać port? Lekarze mówią, że to potrwa cały ranek. Nie ma szans, żeby dała sobie radę z dziećmi.

- Na pewno sobie poradzi.

- Na pewno nie. Sama ledwie dałam radę. I wiesz, przepraszam, że to mówię, bo bardzo chętnie pomagam przy dzieciach i w ogóle, po to tu przyjechałam... ale miałam nadzieję, że przez te wakacje trochę popracuję. Nad scenariuszem.

Vicki nabrała tchu. Brenda była strasznie przewidywalna, choć może tylko dla niej. Usłyszała Teda: twoja siostra mówi, że chce pomóc, ale nie pomoże. Jak zwykle. Kiedy Vicki i Brenda były małe, Brenda zawsze wykręcała się od wszystkich obowiązków - nakrywania do stołu, składania prania, sprzątanego w swoim pokoju - bo była „bardzo zajęta czytaniem”. Nawet jeśli chodziło tylko o gazetę, gdy Brenda czytała, świętokradztwem byłoby wymagać od niej przerwania lektury. Buzz i Ellen Lyndonowie znakomicie (choć niechętnie) rozdzielili role między córki: Vicki była tą zaradną, zorganizowaną i pracowitą, a Brenda miała rzadki talent, który należało chronić. I choć Brenda była młodszą od Vicki tylko o półtora roku, niczego od niej nie wymagano. Chodzono na paluszkach wokół niej i tego jej „wspaniałego umysłu”, jak wokół śpiącego niemowlaka.

Melanie wyszła z łazienki, wycierając usta.

- Przepraszam - powiedziała. - Dacie mi tylko kawałek chleba? Suchego?

- Jasne - mruknęła Brenda. - Z przyjemnością.

- Dziękuję.

- Proszę.

Już dobrze, pomyślała Vicki. Dobrze?

Ten dzień migotał. Vicki, Brenda i Melanie wędrowały ulicami Sconset ku miejskiej plaży. Vicki niosła Portera, który ciągle wsadzał rękę pod jej stanik i ścisnął sutek. Usiłowała dziś nakarmić go z butelki, ale rzucił ją na podłogę. Potem wyciągnął ręce do Vicki, wypadł z wysokiego krzeselka i uderzył głową o stół. Łzy. Krzątanina wokół Portera rozdrażniła Blaine'a, który wymaszerował z domu i zrobił siku na chodnik. Cudnie.

Vicki oderwała rękę Portera od swojej piersi.

- Wybacz, brachu. - Brenda była daleko przed nimi; dźwigała plażową torbę z ręcznikami i olejkiem do opalania, siatkę z foremkami, lodówkę z jedzeniem i piciem, dwa leżaki i parasolkę.

Melanie, w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, niosła skórzaną torebkę. Kiedy pojawiła się z tą torebką, Brenda zerknęła na Vicki, jakby mówiąc kto chodzi na plażę z torebką? I jeszcze: ja jestem objuczona niczym wielbłąd na Saharze, a ona niesie tylko to słodkie maleństwo? Vicki omal nie zaproponowała, żeby Melanie zostawiła torebkę - na plaży nie było nic do kupowania - ale nie chciała jej zniechęcić. Przyjaciółka w ogóle nie chciała iść na plażę, wołała zostać w chacie na wypadek, gdyby Peter jednak zadzwonił.

Melanie próbowała też trzymać Blaine'a za rękę. Utrzymała go przez pięć sekund, ale potem popędził jak strzała na ulicę i zniknął za rogiem. Vicki zawołała za nim i znowu oderwała rękę Portera od piersi. Wychowywanie dzieci to przeważnie ogłupiająco powtarzalne czynności.

Wszyscy szli za Brendą, prowadzącą ich na skróty: pomiędzy dwoma domkami, ścieżką, przez wydmy. Wyszli jakieś sto metrów od parkingu, z dala od tłumów i stanowiska ratownika. Brenda rzuciła bagaże z głośnym mężczyńskim westchnieniem.

- Może być?

- Jest świetnie - powiedziała Vicki. - Melanie?

- Świetnie - mruknęła Melanie.

Brenda ustawiła parasole i leżaki, posadziła Portera w cieniu przy lodówce, rozłożyła koc i ręczniki, podała Blaine'owi łopatkę, wiaderko i wywrotkę. Mały popędził nad morze. Melanie postawiła leżak w cieniu i zdjęła kapelusz. Porter przypelzł do niego i włożył go do ust. Melanie się skrzywiła. Vicki wyrwała kapelusz Porterowi, który zaczął ryczeć, więc pogrzebała w torbie i podała mu zapasową parę ciemnych okularów. Natychmiast je zepsuł.

- Doskonale - odezwała się Brenda. - To moje.

- Och, przepraszam. Myślałam, że zapasowe.

- Moje zapasowe.

- Przepraszam - powtórzyła Vicki. - Zjadał kapelusz Melanie. Jak koza.

- A, na to nie możemy pozwolić - wycedziła Brenda. - Taki piękny kapelusz! Już lepiej niech niszczy moje okulary. Patrz, są do niczego.

- Były drogie? Odkupię.

- Nie - wycofała się Brenda. - O to się nie zamartwiaj. To tylko okulary.

Vicki westchnęła ciężko i spojrzała na Melanie.

- Jak ci się podoba plaża? - Chciała, żeby Melanie była zadowolona, żeby pokochała Nantucket. I nawet przez chwilę nie myślała, że przyjazd tutaj był błędem.

- Myślisz, że Peter próbuje się dodzwonić? - spytała Melanie. Spojrzała na zegarek od Cartiera, który Peter podarował jej po pierwszej nieudanej próbie in vitro. - Może powinnam zadzwonić do niego do pracy? Czasami pracuje w niedzielę.

Nigdy nie pracował w niedzielę, pomyślała Vicki. Mówił ci tylko, że idzie do pracy, a naprawdę spędzał niedziele z Frances Digitt, kochając się, jedząc bajgle, czytając „Timesa” i znowu się kochając. Tak zachowują się w niedziele mężczyźni, którzy mają romans, i to właśnie robi w tej chwili Peter. Ale się nie odezwała. Wzruszyła ramionami.

Brenda odchrząknęła.

- Vick, bierzesz ten leżak?

Vicki spojrzała na leżak. To Brenda go przydźwigała, ona powinna go zająć.

- Nie. Weź go.

- Co, naprawdę nie chcesz?

- Tak jest dobrze.

Brenda prychnęła.

- Siadaj. Ja położę się na brzuchu.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Mam zadzwonić do Petera do pracy? - odezwała się Melanie.

Brenda znowu prychnęła. Wyjęła komórkę.

- Proszę. Nie krępuj się.

Melanie wzięła komórkę, położyła ją na kolanach i wbiła w nią nieruchomy wzrok.

Jakiś krzyk. Vicki obejrzała się na plażę. Ktoś do niej machał. Nie, nie do niej, dzięki Ci, Boże. Opadła na leżak.

- Popilnujecie Blaine'a? Na chwilę przymknę oczy.

- Chciałam popisać - odezwała się Brenda.

- Ja go przypilnuję - zaproponowała Melanie.

- Nie zadzwonisz do Petera?

- Nie. Tak. Nie wiem. Nie w tej chwili.

Vicki zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Było cudownie - słoneczny blask na twarzy, stopy zakopane w piasku Nantucket. Dokładnie tak, jak obiecała matka. Fale szumiały i powoli spłynęła na nią błogość. Czy tak jest po śmierci? Czy jest zupełnie czarno, wielkie nic, zapomnienie, tak jak przed przyjściem na świat? Chciała się tego dowiedzieć.

- Kiedy zauważyła pani ten brak oddechu? - spytał doktor Garda. Byli w jego gabinecie, nijakim i lekarskim: podręczniki medyczne, dyplomy, zdjęcia rodziny. Dwoje dzieci, zauważyła Vicki. Za zdjęcie córki przebranej na Halloween za ważkę bardziej polubiła doktora Garcia.

- Po Wielkanocy czułam jakieś napięcie w piersi, przez tydzień czy dwa słaby ból, ale to zignorowałam. A teraz nie mogę zaczerpnąć powietrza.

- Pani pali?

- Boże, skąd! No, jako trzynastolatka raz spróbowałam, koło lodowiska. Zaciągnęłam się jeden raz. W college'u zdarzało mi się palić marihuanę, może w sumie trzy, cztery machy. No i od dwóch lat kubańskie cygaro raz w tygodniu.

Doktor Garcia parsknął śmiechem.

- Kubańskie cygaro?

- Przy pokerze.

- Rezonans magnetyczny wykazał obecność guza w płucu.

- Guza?

- Wydaje mi się podejrzany, ale zrobimy biopsję, by sprawdzić, co to jest. Może po prostu wypełniona wodą cysta. A może coś poważniejszego.

Żołądek Vicki skurczył się w proteście. Na wszelki wypadek zlokalizowała kosz na śmieci koło biurka doktora Garcii. Coś poważniejszego? Nie rób mi tego, poprosiła samą siebie, pomyśl o dzieciach.

- Zrobimy to od razu - oznajmił doktor Garcia. - Zarezerwowałam termin, gdy tylko dostałam wyniki rezonansu.

Wyglądał, jakby się spodziewał podziękowań, ale Vicki mogła się zdobyć tylko na to, by nie bluznąć śniadaniem na jego biurko.

- Więc to może być cysta? - wykrztusiła. Z nadzieją chwyciła się myśli o tej soczystej bańce zastałego płynu, która pęknie cicho - pyk - i zniknie.

- Oczywiście - powiedział doktor Garcia. - Proszę za mną.

- Vicki! Vicki Stowe!

Vicki podniosła głowę. Jakaś kobieta jednak machała do niej. To... o dobry Boże, to Caroline Knox, znajoma z Darien. Eve, siostra Caroline, chodziła z Vicki do szkoły rodzenia w czasach, gdy Vicki była w ciąży z Blainem. Eve parę razy przyprowadziła Caroline w roli swojego partnera i jakoś się zgadało o Nantucket - że Vicki mieszka u cioci Liv, że Caroline ma tam dom i przyjeżdża na lato z mężem i dziećmi. Parę tygodni temu Vicki wpadła na Caroline Knox na parkingu przed sklepem, a Caroline spytała, czy Vicki jedzie na Nantucket. Vicki, nie chcąc rozmawiać o jedynym problemie, który wypełniał jej tego dnia głowę - mianowicie o raku - palnęła bez namysłu: „Tak, jedziemy dwudziestego czerwca”. Na co Caroline zawołała: „O, my też! Musimy się spotkać!”. Vicki zgodziła się, choć właściwie, skoro nie dogadywały się ze sobą w Darien, to czemu na Nantucket miałyby być inaczej?

Podniosła się z leżaka. Porter spełził z koca i siedział w piasku, ogryzając rączkę plastikowej łopaty.

- Cześć! - zawołała, siląc się na entuzjazm na widok Caroline Knox, wyglądającej w czarnym jednoczęściowym kostiumie jak prawdziwa matrona. Obcięła też włosy. Jeszcze nie ma czterdziestki, a już wygląda jak Barbara Bush. - Cześć, Caroline!

- Czeeeeeeść! - zaświergotała Caroline. - Vicki, jak tam? Kiedy przyjechałaś?

- Wczoraj.

- My jesteśmy już od tygodnia. To raj na ziemi, nie sądzisz?

Vicki się uśmiechnęła.

- Kiedy przyjedzie Ted?

- W piątek. Przyjedzie samochodem.

- Więc powinniśmy się spotkać na kolacji, same dziewczyny. Jesteś wolna w środę?

- Jestem... - zaczęła Vicki.

- Świetnie!

- Ale we wtorek zaczynam chemię, więc... Caroline zamarła w pół uśmiechu.

- Co?

- Mam raka płuc - powiedziała Vicki. Nie było to najładniejsze, walnąć tak prosto w oczy, w obecności Brendy, która właśnie nagryzmoła dwa zdania w tym swoim żółtym notesie, i Melanie, która nadal gapiała się na komórkę. Ale sprawiło jej to pewną przyjemność - zbitcie Caroline Knox z tropu, przyglądanie się, jak rozpaczliwie szuka odpowiednich słów.

- Nie miałam pojęcia - wykrztusiła Caroline. - Eve nic nie mówiła. - Wbiła stopę w piasek; jej udo się zakolysało. - Wiesz, w zeszłym roku ojciec Kita Campbella miał raka płuca i...

- Tak - przerwała Vicki, choć nie miała bladego pojęcia, co to za jeden, ten Kit Campbell. - Wszystko wiem.

- Więc będziesz brała chemię tutaj? Na wyspie?

- W szpitalu - wyjaśniła Vicki tonem ucinającym temat. - Caroline, to moja siostra Brenda Lyndon i przyjaciółka Melanie Patchen.

Caroline uścisnęła dłoń Melanie.

- Patchen, tak? Jesteś krewną Petera?

- To mój mąż - mruknęła Melanie. Skrzywiła się. - A co? Znasz go?

- Gra w squasha z moim mężem Edgarem w Y. Nie miałam pojęcia, że Peter ma żonę. Z jakiegoś powodu przypuszczałam, że jest wolny.

No, to załatwione, pomyślała Vicki. Nienawidzę Caroline Knox.

Brenda przewróciła się z boku na bok, choć w żaden sposób nie zdradziła, że istnienie Caroline dotarło do jej świadomości. Pomimo wysiłków ich matki Brenda nadal miała maniery Huna Attyli.

- Vick, gdzie jest Blaine? - spytała.

Vicki spojrzała na morze. Blaine kopał w piasku tuż za linią, do której docierały fale, tak że dołek wypełniał się wodą. Przynajmniej robił to, kiedy zamknęła oczy. A teraz zobaczyła łopatkę, wiaderko, koparkę i dołek - ale nie Blaine'a.

Dobrze, spokojnie. Vicki powiodła wzrokiem wokół siebie. Blaine był za nimi... nie. Był... gdzie jest Blaine?

- Mel? - spytała Vicki. Ale Melanie była jeszcze bardziej blada i spanikowana niż Vicki. Przecież to ty go miałaś pilnować, pomyślała Vicki. Powiedziałaś, że będziesz na niego uważać. Melanie wstała. Lewą nogą zgniotła słomkowy kapelusz, komórka Brendy upadła w piasek.

- Boże - jęknęła Vicki. Pobiegła truchtem nad brzeg morza. Wnętrznosci ścisnęły jej strach, zabrakło jej powietrza.

- Blaine! - krzyknęła. Spojrzała w lewo, w prawo i daleko na wydmy. Może tam się schował?

Brenda chwyciła ją za ramię.

- Wszystko w porządku. Nie panikuj. Spokojnie, Vick. Nie mógł odejść daleko.

- A jak wszedł do morza? - Powierzchnia wody była spokojna, o jej stopy uderzały małe falki. Wszystko w porządku, no, chyba że pod tą wodą jest Blaine.

- Blaine! - zawołała, wypatrując baniek powietrza na tafli wody. - Blaine?

Blaine potrafił trochę pływać. Gdyby zaczął tonać, narobiłby chlupotu i hałasu; tyle Melanie by na pewno zauważyła. Jeśli był tu jakiś podmorski prąd, Blaine zawołałby Vicki. Usłyszałyby go.

- Blaine! - krzyknęła Brenda. Odwróciła się w stronę plaży. - Blaine Stowe! Gdzie jesteś? Czy to jego ślady? Przecież był tutaj sekundę temu, prawda?

Czy naprawdę? Vicki nie była już pewna, czy naprawdę widziała go przy zabawie w piasku. Ale zostawił zabawki. Zamknęła oczy, zaczęła rozmyślać o doktorze Garcii i sądziła, że Melanie pilnuje Blaine'a. A potem zjawiła się Caroline.

- Gdzieś tu jest - powiedziała Vicki. - Musi być.

- Oczywiście - zapewniła ją Brenda. - To jasne. Znajdziemy go.

- Ja pójdę w lewo - zdecydowała Vicki, choć po lewej stronie nie było śladu życia, niczego z wyjątkiem pięciu lub sześciu siewek, wydziobujących coś z piasku. - To znaczy w prawo. Ty idź na wydmy. Mel zostanie z małym.

- Wszystko w porządku? - zawołała Caroline.

- Zgubiłam syna! - rzuciła Vicki lekkim tonem, by ukryć, jak bardzo jest przerażona. Nie chciała, żeby Caroline naprawdę uwierzyła, że Blaine się jej zgubił - bo jaka matka spuszcza dziecko z oczu, jeśli to dziecko bawi się na brzegu morza? - Pewnie gdzieś powędrował! - Machnęła ręką, jakby mówiąc: wiesz, jakie są dzieci, zawsze doprowadzą cię do ostateczności, i szybkim krokiem ruszyła plażą. Nie mogła iść tak szybko, jak by sobie tego życzy-

ła; od razu zaczęła dyszeć, a serce zadudniło z niezdrową prędkością. Tylko bez paniki, pomyślała. On tu gdzieś jest. Znajdziesz go lada chwila i aż osłabniesz z ulgi. Wszystko dobrze, gdzieś tu jest... tylko... ale nie, nigdzie nie dostrzegła syna. Na razie. Zbliżyła się do głównej części plaży w Sconset, jakieś trzydzieści do czterdziestu metrów od wyjścia z parkingu. Było tłoczno - rodziny, gimnazjalistki leżące rządkiem na jednym kocu. Pobiegnęła do stanowiska ratowniczk. Jeśli Blaine nie wszedł do wody, jest bezpieczny. Dlaczego, no dlaczego nie usiadły między tymi dwoma czerwonymi flagami? Ulokowały się tak daleko, że ratowniczka nawet by nie zauważyła, że Blaine tonie.

- Przepraszam - zawołała.

Ratowniczka nie oderwała oczu od wody. Była tegim dziewczęciem w czerwonym kostiumie z zabudowaną górą; z opalonych policzków zląziła skóra, spod której wyglądała rozjątrzona czerwień. Rak skóry, pomyślała Vicki.

- Zginął mi syn - powiedziała. - Ma cztery lata. Siedzimy tam. - Wskazała, ale ratowniczka wpatrywała się nieruchomo przed siebie. - Miał na sobie zielone kąpielówki w zielone żabki. Ma jasne włosy. Widziała go pani? Może tu się zabląkał?

- Nie widziałam - rzuciła ratowniczka.

- Nie? Może mi pani jakoś pomóc?

- Siedzicie poza granicami flag?

- Tak.

- Ja muszę, uważać na ludzi, którzy są w wodzie między flagami. Dzieci bez przerwy oddalają się i giną. Może powinna pani spytać ludzi, czy go nie widzieli. Ja nie mogę zejść ze stanowiska. Przepraszam.

Vicki przyjrzała się innym rodzinom, innym dzieciom, z których wiele było rówieśnikami Blaine'a. Te rodziny przypominały jej samą siebie, Brendę, rodziców i ciocię Liv, gdy codziennie siedzieli na plaży, weseli jak skowronki, pływali, jedli, drzemali w słońcu. Ona nigdy się nie zgubiła; Brendy nie porwał podwodny prąd. Były jak te dzieci, które teraz widziała: szczęśliwe, zdrowe i całe. Blaine był gdzie indziej, w nieznanym miejscu. A jeśli go nie odnajdą? Będzie musiała zadzwonić do Teda - choć nie wiedziała, jak miałaby mu powiedzieć, że Blaine zaginął, to było po prostu nie do pojęcia. Trzy dorosłe kobiety, z czego jedna jest jego rodzoną matką, powiedziałyby Ted. Jak mógł się zawieruszyć? Dlaczego nikt go nie pilnował? Myślałam, że Melanie pilnuje! Prosiłam ją! Zamknęłam oczy na... trzy minutki. Góra cztery. Poczowała, że nogi ma jak z waty. No dobrze, świetnie, powiedziała do Boga, diabła czy kto tam wysłuchuje błagań zrozpaczonych matek. Weź mnie. Zabij mnie. Ale proszę, proszę, ocal Blaine'a.

- Proszę - szepnęła. - Proszę.

- Vick!

Głos dobiegał z daleka, ale Vicki usłyszała go przez ryk strachu w uszach. Odwróciła się i ujrzała wymachującą rękami kobietę w zielonym bikini. Brenda. Pozwoliła sobie na odrobinę nadziei. Pod parasolem zobaczyła postać - może to mały chłopczyk, otulony ręcznikiem? Podeszła, biegnąc, idąc, zatrzymując się, żeby opanować oddech. Brenda rozmawiała przez komórkę. „Postać” pod parasolem była zwyczajnym ręcznikiem, zwisającym z lodówki.

Vicki wybuchnęła płaczem. Ile setek godzin strawiła w zeszłym miesiącu na zastanawianiu się, co może być gorsze od raka płuca? Co jest gorsze od chemioterapii? Co może być gorszego od rozcięcia klatki, rozwarcia żeber i usunięcia płuca? I proszę, oto odpowiedź. To jest gorsze. Blaine zaginął. Gdzie jest? Wszystkie molekuly jej ciała krzyczały chórem: znajdź go, znajdź go! Porter płakał. Melanie kołysała go, ale wyciągał ręce do Vicki.

- Sprawdziłam na wydmach - powiedziała Brenda. - Nie ma go. Twoja znajoma poszła sobie. Doprawdy, chciałyby pomóc szukać, ale miała lekcję tenisa. Zasugerowała, żebym zadzwoniła na policję, co niniejszym robię.

- Tak cię przepraszam - odezwała się Melanie.

Miała płaczliwy głos, choć nie płakała. Gdyby chodziło o Brendę, Vicki dostałaby szału, ale to była Melanie, kochana, słodka przyjaciółka ze złamanym sercem. Aksamitne rękawiczki! - upomniała się. Melanie miała mnóstwo na głowie. Melanie nie mogła brać za to odpowiedzialności.

- W porządku - powiedziała.

- Nie jest w porządku - odparła Melanie. - Prosiłaś, żebym go przypilnowała, a ja myślałam o czymś innym. Nawet nie zobaczyłam, jak odchodzi.

- Widziałas, czy wszedł do wody? Widziałas, żeby pływał?

- Nie. Nie sądzę. Nie wiem. Myślałam o Peterze i...

Brenda uniosła palec i podała policjantowi opis: czteroletni chłopiec, blondyn, zielony kostium kąpielowy, północna część plaży Sconset. Zaginiony od... dwunastu minut. Tylko? Vicki była na skraju załamania, ale nie, będzie silna. Mydl, powiedziała sobie surowo. Myśl jak Blaine. Porter wrzeszczał. Vicki odebrała go Melanie. Przypomniała sobie wczorajszy dzień, Melanie spadającą ze schodków samolotu. Melanie była zdenerwowana, chora, zmęczona, znękana i w tych idiotycznych ogrodowych drewniakach. Miała pełne ręce, a Blaine ją popchnął. Wczoraj to nie była jej wina. Porter sięgnął pod stanik Vicki i ścisnął sutek. Mleko wypłynęło. Przytuliła go i szepnęła: musimy znaleźć twojego brata. Brenda rozłączyła się z policją.

- Wysyłają radiowóz - powiedziała. - I gościa na skuterze wodnym.

- Myślą, że jest w wodzie? - spytała Vicki.

- Powiedziałam im, że ostatnio widzieliśmy go na brzegu morza. - Brenda łypnęła spode łba na Melanie. - A nie powinnam?

Melanie się zakrztusiła. Zgięła się w pół i zwymiotowała na piasek. Pokuśtykała w stronę wydmy. Vicki poszła za nią, delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Zaraz wracam, dobrze? - Brenda sprawdziła wydmy, ale może niedokładnie. Blaine mógł sobie znaleźć jakąś kotlinkę, a może chciał siusiu? Brnęła przez piach, szukając małego chłopczyka, przykucniętego w morskiej trawie. Porter ścisnął ją mocno za pierś, z której wyciekało mleko. Stanik przemókł, mleko spływało na goły brzuch. Ścieżka między wydмами poprowadziła ją między dwoma prywatnymi domami, a potem na ulicę, gdzie stał migający światłami radiowóz. Vicki oderwała rękę Portera od piersi; znowu się rozplakał. Cała ociekała mlekiem. POWINNA się wytrzeć. Powinna przyzwyczaić małego do butelki. Powinna znaleźć swoje dziecko! Swojego witalnego, rwącego się na podbój świata pierworodnego. Czy mógłby sam zająć tak daleko? Oczywiście. Blaine niczego się nie bał, nie sposób go było zastraszyć. Ted uwielbiał te jego cechy, umacniał go w tej śmiałości, w niezależności - uczył go tego! Wszystko przez Teda. Wszystko przez Melanie. Powiedziała, że będzie go pilnować! Ale uznała ostatecznie, że to tylko jej wina.

W radiowozie przyjechała kobieta. Niska, z ciemnym kucykiem i zrosniętymi nad nosem brwiami. Na widok Vicki spytała:

- To pani dzwoniła?

- To mój syn - odparła Vicki. Usiłowała wytrzeć mleko z brzucha, poprawić stanik i uciszyć krzyczące dziecko. Wszędzie chaos, zaginione dziecko... *a ja mam raka!*

- Gdzie po raz ostatni widziała pani syna? - spytała policjantka.

- Był na plaży. Ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie przyszło mu do głowy, by wrócić do domu. Albo iść do sklepu. Wie, że tam są lody. Możemy wsiąść do radiowozu i objechać miasto?

- Straż pożarna wysłała skuter wodny - oznajmiła policjantka. - Żeby skontrolować wodę.

- Nie sądzę, żeby wszedł do wody - powiedziała Vicki. Ale w istocie chciała powiedzieć: nie może być w wodzie. Jeśli jest w wodzie, to nie żyje. - Możemy pojeździć radiowozem?

Policjantka wymamrotała coś do trzeszczącej krótkofalówki i ruchem głowy wskazała, że Vicki ma usiąść z Porterem na tylnym siedzeniu. Na fotelu Vicki przystawiła Portera do cieknącej piersi. Policjantka zauważyła to i jej brwi zafalowały jak włochata gąsienica.

- Ma pani dzieci? - spytała Vicki z nadzieją.

- Nie.

Nie, pomyślała Vicki. Ta policjantka - sierżant Lorie, jak widniało na jej identyfikatorze - nie miała dzieci, więc nawet nie przypuszcza, że Vicki chwiejnie stoi na skraju szaleństwa. Dwanaście minut, trzynaście... teraz Blaine jest już pewnie zaginiony od piętnastu minut! Sierżant Lorie jechała uliczkami Sconset, wąskimi, na jeden samochód. Z obu stron otaczały ich chatki, wysokie żywopłoty, małe ogródki. Gdzie on się mógł podziać? Vicki pomyślała o strażaku na skuterze wodnym, który znajduje ciało Blaine'a, unoszące się sto metrów od brzegu - i odsunęła ten obraz. Weź mnie, pomyślała. Nie zabieraj mojego dziecka.

Sierżant Lorie zatrzymała się przez sklepem.

- Chce pani tam wejść? - spytała.

- Tak. - Vicki oderwała Portera od piersi i zarzuciła go na ramię. Beknął. Sierżant Lorie wymamrotała coś do krótkofalówki. Vicki wbiegła do sklepu. Sprawdzała rząd po rzędzie - płatki, krakersy, biszkopty, chipsy, ryż jaśminowy, papier toaletowy - obejrzała wszystkie małe chłodziarki z serami i napojami, zajrzała za obrotowe stojaki z książkami i wreszcie, ostatecznie, jedyne miejsce, w którym tak naprawdę mógł być Blaine - stoisko z lodami. Nie było śladu po chłopcu.

Dziewczyna w zielonym płóciennym fartuchu uniosła łyżkę do nabierania lodów.

- W czym mogę pomóc?

- Widziała pani samotnego czterolatka? Jasne włosy? Zielone kąpielówki?

- Nie. Niestety.

- Nie - powtórzyła Vicki. - Oczywiście. - Wypadła na zewnątrz. - Nie było go - powiadomiła sierżant Lorie. - Zajrzyjmy na Shell Street.

Ruszyły powoli - Vicki sprawdzała każde podwórko, każde nadające się do wspinaczki drzewo, ale kiedy dotarły do chatki cioci Liv, furka była mocno zamknięta, podobnie jak drzwi wejściowe. Vicki zrozumiała, że Blaine'a nie ma w środku. No tak. Więc to koniec. Teraz ma pełne prawo ześwirować - rwać włosy, wyć i tłuc pięściami w kuloodporne szyby radiowozu, aż rozprysną się na kawałki. Blaine jest w wodzie.

- Co mam zrobić? - spytała sierżant Lorie.

- Wracajmy na plażę - powiedziała Vicki. Brenda i Melanie pewnie go znalazły.

Pojechały w miejsce, w którym czekał na nią radiowóz. Vicki wyskoczyła. Płuca ją paliły. Wyobrażała sobie, że guz jarzy się gorącą czerwienią niczym rozżarzony węgiel. Czy takie rzeczy naprawdę się dzieją? Czy można

dostać raka płuc, a potem stracić dziecko? Czy na jedną osobę może się zwalić aż taki pech? To powinno być zakazane. Tak nie wolno.

Na plaży zebrał się tłum - wróciła Caroline Knox, była też ratowniczką i dziewczyną, które przedtem drzemały na kocu, i parę osób spośród wesołych do niedawna, dokazujących na plaży rodzin. Zbili się w grupkę, choć niektórzy stanęli na brzegu morza lub brodzili w wodzie, sprawdzając piaszczyste dno. jakiś nastolatek biegał z maską i fajką, skuter wodny śmigał po wodzie w jedną i drugą stronę, robiąc małe, przewidywalne fale. Vicki ze zdumieniem przyglądała się temu zamieszaniu, trochę zażenowana, bo nie znosiła zwracać na siebie uwagi i miała ochotę powiedzieć im wszystkim, żeby zajęli się własnymi sprawami, Blaine tylko ukrył się na wydmach, za długo przeciąga ten żart, ale przecież nie wie, co robi, ma dopiero cztery lata. W grupie były inne matki, Vicki od razu je wyróżniła, kobiety z najgorszym rodzajem współczucia w oczach.

Nie wyobrażam sobie... dzięki Ci, Boże, że to nie mój... trzeba było pilnować dziecka...

Brenda była w środku zamieszania; wyglądało na to, że organizuje grupy poszukiwawcze. Jedna w lewo na plażę, jedna na wydmy. Melanie stała na skraju grupy; pocierała komórkę Brendy jak króliczą łapkę na szczęście. Caroline Knox dostrzegła Vicki i przypadła do niej.

- Czuję się strasznie - oznajmiła. - To przeze mnie. Gdybyś ze mną nie rozmawiała...

- Widziałas, jak się bawił? - przerwała jej Vicki. - Pamiętasz, czy widziałas go nad wodą? Jasne włosy, zielone kąpielówki?

- W tym rzecz - rzekła Caroline z ubolewaniem. - Nie pamiętam.

Vicki usłyszała zbliżający się warkot - przez plażę jechali ku nim policjanci w quadzie. Zatrudniono ich na lato, to były prawie nastolatki w jaskrawożółtych podkoszulkach i z krótkofalówkami.

- Mamy pomóc - odezwał się jeden, ewidentnie samiec alfa, barczysty jak futbolista i z ciemną czupryną gwiazdora filmowego.

- Jestem jego matką. - Vicki wystąpiła naprzód. Oderwała od piersi rękę Portera, który zaczął ryczeć. - Nazywa się Blaine. Blaine Stowe, cztery lata.

- Jasne włosy, zielone kąpielówki - dodał policjant.

- Tak.

- Znajdziemy go - obiecał. Miał góra dwadzieścia lat, ale te okulary i krótkofalówka dodawały mu buńczucznej pewności siebie.

- Proszę - szepnęła Vicki.

- Więc pójdziemy tam - zarządziła Brenda i ruszyła na lewo. Druga grupa poszła na prawo. Niektórzy na widok policji wrócili na dawne miejsca. Kiedy policjanci ryknęli silnikiem i wyruszyli na poszukiwania, okolica opustoszała, a Vicki, Melanie i Caroline Knox zostały same. Vicki poczuła się opuszczona; nie mogła znieść beczynnego czekania, a już na pewno nie w tym towarzystwie. Blaine zaginął co najmniej pół godziny temu. Sama przeszuka wydmy. Odebrała komórkę Melanie.

- Ty zostań na gospodarstwie - rzuciła. - Ja się rozejrzę.

- Pójdę z tobą - zaoferowała się Caroline.

- Nie, nie. Pójdę sama - wycedziła Vicki przez zęby.

- Poniosę dziecko - nie dała się zbyć Caroline.

- Poradzimy sobie.

- Nie, tak nie można. Powinam...

Ale Vicki nie miała czasu! Odwróciła się i pobiegła na wydmy.

Na piaszczystych łąkach było gorąco; Porterowi zaczęła opadać głowa, ciamkał ramię Vicki.

- Blaine! - krzyknęła Vicki. - Blaine Theodore Stowe!

Wołała tak przez kwadrans, pół godziny, godzinę. Przeszukała każdy centymetr kwadratowy wydmy; wszystkie wyglądały jednakowo, białe kopce piachu zwieńczone morską trawą. Parę razy się zgubiła; musiała wspinać się na te trawiaste pagórki (gdzie, czuła to, roilo się od kleszczy), żeby zorientować się w terenie. Wołała tak długo, aż ochrypła. Wróciła na ulicę, aż do sklepu, a potem na Shell Street. Ani śladu. Wróciła na plażę. Umierała z pragnienia, płuca płonęły z bólu; osunęła się na plażowy ręcznik pod parasolem. Porter zasnął. Położyła go i sięgnęła do lodówki po wodę. Nawet jeśli Blaine żyje, to jest już bardzo spragniony i głodny. Gdziekolwiek się znalazł, boi się, płacze, jest sam.

Caroline Knox zniknęła - poszła na lekcję tenisa, pomyślała Vicki ze złością, ale i ulgą. Melanie leżała na ręczniku, kryjąc twarz.

- Muszę zadzwonić do Teda - odezwała się Vicki. - Nie wiem już, co robić.

- To wszystko przeze mnie - wykrztusiła Melanie. - Będę okropną matką.

- Nie, nie mów tak. Nawet tak nie myśl.

Vicki zadzwoniła do domu. Ted obiecał, że posprząta na strychu i sprowadzi kogoś, kto powie, czy nie wdały się korniki. Zobaczy na wyświetlaczu numer Brendy, ale nawet mu nie zaświta, co usłyszy.

Cztery sygnały, potem włączyła się sekretarka. Głos Vicki - wesoły, beztronski - głos z innego czasu, sprzed dnia dzisiejszego, sprzed diagnozy. Tu mieszkanie państwa Stowe... Głos szczebiotał, ocean mruczał jak zwierzę gotowe do ataku. Pomruk przybrał na sile - było w nim coś, co kazało się Vicki odwrócić. W chwili gdy Ted chwycił słuchawkę i rzucił zdyszonym głosem:

- Przepraszam, nie słyszałem dzwonka. Tak? - ujrzała quada, zadowolony z siebie uśmiezek policjanta nastolatka i dwie małe rączki ściskające go w pasie. Usłyszała pisk Melanie. A potem Blaine dostojnie skinął ręką z tylnego siedzenia, niczym burmistrz na paradzie.

- Mamo! - zawołał. - Widzisz mnie?

Vicki ocknęła się z drzemki. Porter trzymał ją za pierś, Blaine leżał zwinięty w kłębuszek, pod jej lewą ręką. Zasnęli natychmiast po powrocie z plaży; Vicki nawet nie pomyślała o umyciu nóg i teraz prześcieradło było zapiaszczone. W pokoju panował półmrok, choć z salonu lał się złocisty słoneczny blask. Vicki podniosła się ostrożnie z łóżka, stanęła nad dziećmi i przyjrzała się im. Przez te dziewięćdziesiąt strasznych minut jej świat rozpadł się na kawałki, a potem, jak za dotknięciem różdżki, znowu się scalił. Blaine, żywy i zdrowy, wędrował sobie plażą, rzucając w wodę kamieniami. Przeszedł ponad dwa kilometry, powiedział policjant, a jednak nie był ani trochę zdenerwowany ani przestraszony.

- W życiu nie widziałem takiego dzielnego dzieciaka - oznajmił policjant. - I ma niezły rzut. Red Sox powinni już teraz go podkupić.

Blaine miał spieczone barki. Kiedy wygramolił się z quada i stawiał czoło kwileniom i łkaniom Vicki, a potem zaliczył najpotężniejszy uścisk swego życia, pokazał jej garść muszelek i upomniał się o mleko. A teraz Vicki, pomimo doskonale prosperującego raka płuc w drugim stadium i trzydziestu sześciu godzin do chemioterapii, była najszczęśliwszą kobietą świata.

Wyszła na paluszkach i zamknęła drzwi, żeby chłopcy jeszcze pospali. Drzwi Melanie były zamknięte. Przyjaciółka zniknęła, kiedy tylko dotarły do domu, przepraszając bez końca, aż wreszcie te przeprosiny spowszedniały jak zbyt często opowiadany kawał. Vicki wychodziła ze skóry, żeby Melanie pozbyła się wyrzutów sumienia, ale wiedziała, że przyjaciółka i tak będzie się zadreć. *To przeze mnie, powinnam...* Vicki zastanowiła się, czy nie zapukać do jej drzwi. *Nie martw się. I tak masz za dużo na głowie. Wszystko się dobrze skończyło.* Przyłożyła ucho do drzwi, ale usłyszała tylko ciszę. Melanie pewnie śpi.

Na kuchennym leżała kartka: *Wyszłam pisać!* Od Brendy. Co było do przewidzenia. Brenda przysięgła na wszystkie świętości, że tego lata będzie pomagać Vicki, ale Vicki nie dała się nabrać. Odwróciła liścik i na czystej stronie zaczęła spisywać listę zakupów. Chciała iść do sklepu, żeby kupić składniki na przyzwoitą kolację. Nie mogli się żywić jak studenci francuskiej uczelni.

Zadzwonił telefon, głośno i terkocząco. Vicki zerwała się, by odebrać, zanim obudzi dzieci lub Melanie.

- Halo?

Młody kobiecy głos powiedział:

- Ja w sprawie ogłoszenia.

- Ogłoszenia? To chyba pomyłka.

- O - mruknęła dziewczyna. - Przepraszam. Odłożyła słuchawkę. Vicki też.

Po paru chwilach telefon znowu zadzwonił.

- Halo?

- Dzień dobry. - Ten sam głos. - Wybrałam numer bardzo uważnie. 257-6101? Potrzebna opiekunka? Do dziecka?

- Opiekunka?

- Do dwóch chłopców w Sconset? Ja mieszkam w Sconset, a rodzice chcą, żebym znalazła pracę na lato.

- Nie potrzebujemy opiekunki - oznajmiła Vicki. - Ale dziękuję.

- Szkoda - zmartwiła się dziewczyna. - Bo by mi pasowało. Nie za dużo roboty i w ogóle.

- Dziękuję za telefon - powtórzyła Vicki.

Rozłączyła się. W domu panowała cisza. Mózg Vicki ruszył z wizgiem do pracy. Opiekunka, dwóch chłopców w Sconset, podany numer... Brenda zamieściła gdzieś ogłoszenie, nie pytając jej o zdanie? I nawet słowa nie pisnęła? Vicki gwałtownie otworzyła lodówkę w nadziei, że ujrzy butelkę zimnego wina. Nic z tego. Zresztą i tak nie wolno jej pić. Co powiedział doktor Garcia? Woda, brokuły, kapusta, arbuzy, czarne jagody, buraki. Ale wino to nie papierosy. Vicki zaczęła sprawdzać w szafkach, zdumiona tupetem siostry. Usiłowała wepchnąć obcym własnych siostrzeńców.

Trzasnęły frontowe drzwi. Vicki wyprostowała się złowieszczo. Otóż i Brenda, wyglądająca jak supermodelka w tym staniku bikini i dzinsowych szortach. Trzyma żółty notes. To ten jej „scenariusz” na podstawie książki, którą oprócz niej przeczytało jeszcze sześć osób na całym świecie, scenariusz bez cienia szansy na realizację. A jednak był dla niej ważniejszy od dzieci Vicki.

- Co to za mina? - spytała Brenda.

- Już ty wiesz - wycedziła Vicki.

*

Melanie słyszała Brendę i Vicki, kłócące się w salonie, choć leżała z głową pod poduszką na tym swoim wybitnie niewygodnym materacu. W nodze czuła pulsujący ból; gdzieś w trakcie tego zamieszania po zaginięciu

Blaine'a dorobiła się poważnego oparzenia słonecznego. Żołądek jej dokuczał - przez cały dzień nie zdołała nic w nim utrzymać, nawet kromki chleba. I miała złamane serce. Wyobrażała je sobie w postaci jabłka: przecięte w połowie, potem na ćwiartki, z wyciętym gniazdem, obrane ze skórki. Zasługiwała na to - i na coś jeszcze gorszego. Wczoraj upadła, trzymając niemowlę, dziś zawiodła przy najprostszym zadaniu. *Możesz popilnować Blaine'a? Uwważaj, żeby się nie zabił ani nie zginął.* Ale nawet to było ponad jej siły. Zanim Peter obwieścił swoją zdradę, zanim Melanie dowiedziała się o żyjącej w niej istocie, miała wielkie wyobrażenie o sobie jako matce. Zamierzała kupować tylko drewniane zabawki i wyłącznie organiczną żywność, spędzać z dzieckiem godziny na czytaniu kolorowych książeczek z pouczającym przesłaniem, kupowanych w niezależnych księgarenkach. Spodziewała się, że nie będzie krzyczeć ani pocieszać, a rzuconego na podłogę smoczka nigdy nie obliże i nie włoży znowu dziecku do ust. Zamierzała robić wszystko wzorowo. Z całą pewnością nie wyobrażała sobie, że rozpad małżeństwa tak ją pochłonie, iż całkiem straci z oczu dziecko i nie będzie wiedzieć, czy powędrowało w siną dal, czy też utonęło. Uznała, że to wszystko przez Petera, nie od tych przemyśleń jeszcze bardziej zapragnęła do niego zadzwonić. Była to niemal fizyczna potrzeba, bardziej nagląca niż głód i pragnienie. Rozmowa z Peterem była jej potrzebna tak samo, jak tlen.

Od powrotu z plaży zadzwoniła do jego biura sześć razy i sześć razy przełączała ją do jego poczty głosowej. Powitanie brzmiało sadystycznie serdecznie: „Cześć! *Tu* poczta głosowa Petera Patchena, starszego analityka w Rutter, Higgens. W tej chwili rozmawiam przez telefon albo nie ma mnie przy biurku, więc zostaw wiadomość, a oddzwonię. Dziękuję!”.

Pierwszą wiadomość zostawiła o 13.28. „Peter, to ja. Jestem na Nantucket z Vicki. Zostanę tu na lato, chyba że dasz mi powód, bym wróciła do domu. Chcę przez to powiedzieć, że nie wrócę, dopóki nie skończysz z Frances. No i... zadzwoń. Możesz zadzwonić pod numer, który ci zostawiłam, czyli 508-257-6101, albo na komórkę, która należy do siostry Vicki. Numer: 917-555-0628. Chciałabym, żebyś zadzwonił”.

Położyła się na brzuchu i leżała tak, aż szafkowy zegar w salonie wydzwonił drugą. Własną komórkę zostawiła w Connecticut specjalnie po to, żeby Peter nie mógł się do niej dodzwonić i żeby jej nie kusilo, by zadzwonić do niego. Ha. Zadzwoniła jeszcze raz: Peter, proszę cię, odezwij się. Powtarzam numery telefonów...

Potem dzwoniła jeszcze cztery razy, co pół godziny, a następnie do domu, gdzie powitał ją jej głos: „Tu mieszkanie państwa Patchenów. Nie możemy odebrać. Proszę zostawić wiadomość i numer telefonu, a oddzwonimy”. Nie zostawiła wiadomości. Zadzwoniła na komórkę Petera i natychmiast włączyła się poczta głosowa.

- Peter, to ja. - A potem, na wypadek, gdyby wziął to „ja” za czyjeś inne, dodała: - Melanie. Zadzwoń pod 508-217-6101. Albo na telefon w...

Dzwoniła na komórkę jeszcze trzy razy i za każdym razem się rozłączała.

Niespodzianka! Dzwonek telefonu. Serce jej załomotało. Spojrzała na wyświetlacz. Jakiś nieznajomy numer z Manhattanu. I słowa: Walsh, J.

- Halo? - odezwała się.

- Brenda?

Rozczarowanie. Zawód. To nie Peter.

- Nie, przepraszam. To nie Brenda.

- Vicki?

- Nie. Tu Melanie, przyjaciółka Vicki.

- Rozumiem. - Akcent był stuprocentowo australijski. - Jest Brenda?

Melanie nastawiła ucha. Kłótnia w salonie trwała w najlepsze.

W życiu nie widziałam takiej egoistki... świat się nie kręci wokół...

- W tej chwili nie może podejść.

- Nie ma sprawy. Powiesz jej, że dzwonił Walsh?

- Powiem - obiecała. Czy to ten student? Miał dość dorosły głos jak na studenta, ale przecież nie wiedziała o nim nic ponad to, że był studentem Brendy. - Chce pan zostawić numer?

- Ma numer. Bez sensu podawać jeszcze raz.

Bez sensu, pomyślała. Ona podawała swój numer kilka razy, jakby sądziła, że Peter nie dzwoni, bo go nie zna.

- Dopilnuję, żeby zadzwoniła - oznajmiła władczo, choć nie była w stanie zmusić Brendy do niczego. - Obiecuję, że zadzwoni. Możesz na mnie liczyć.

Usłyszała jego śmiech.

- No to dzięki, Melanie.

- Bardzo proszę.

Walsh się rozłączył, ona też. Rozmowa trwała tylko minutę i trzy sekundy, ale podniosła ją na duchu. Poczuli się mniej osamotniona, wiedząc, że ten cały Walsh jest w Nowym Jorku i usiłuje się dodzwonić do Brendy. Ale poczuła też jałową zawiść. Mężczyźni kochali Brendę. Nawet ten młody byczek, policjant z plaży, nie mógł oderwać od niej oczu. Wciągnęła w nozdrza zatechłe powietrze pokoju. Powinna otworzyć okno. W zamian zadzwoniła do mieszkania Frances Digitt. Nie musiała nawet szukać w notesie, знаła go na pamięć. Frances Digitt odebrała po drugim sygnale.

- Halo?

Melanie nie przejmowała się identyfikacją numerów, bo dzwoniła z komórki Brendy. Milczała przez chwilę, nasłuchując głosu Petera. Był tam? Tymczasem usłyszała szczekanie (Frances Digitt miała kakaowego labradora) i jakby odgłosy meczu w telewizji. Pies, baseball. Oczywiście. Ironia tej sytuacji polegała na tym, że Frances Digitt nie stanowiła konkurencji dla Melanie ani żadnej innej żony z Rutter, Higgins: była antytezą seksbomby. Kumpelą, która ściga się z chłopakami w sali gimnastycznej i wygrywa, dziewczyną, o której chłopcy zapominają w siódmej klasie, kiedy innym zaczynają rosnać piersi. Frances była mała i chłopcę. Należała, pomyślała Melanie, do jedyne-go rodzaju kobiet, które przetrwałyby koszarowe wyziewy gabinetu Petera. Była młodszą siostrą, ale inteligentną jak diabli, znała rynek, robiła jego badania, organizowała w pracy totalizator sportowy i typowanie drużyn na finały koszykówki. Wszyscy uważali ją za lesbijkę, ale Melanie ją przejrzała - była za słodka! Miała w sobie pewną dzikość, która mogła się przełożyć na szaleństwo w łóżku. Od samego myślenia o tym Melanie dostawała mdłości. Rozłączyła się i przycisnęła telefon Brendy do łomoczącego serca. Znowu wybrała numer Frances Digitt.

- Halo? - Tym razem Frances Digitt była wkurzona, a Melanie pomyślała: nie masz prawa się wkurzać. Jeśli ktoś się tu może wkurzać, to ja.

Sprowokowana, spytała:

- Jest tam Peter?

Było to bardziej pytanie niż prośba o rozmowę, a Frances oczywiście się zawahała. Nie ma potrzeby dopytywać się, kto dzwoni, nie ma potrzeby udawać - i z pewnością do takiego wniosku doszła Frances, bo powiedziała:

- Tak. Jest.

I odłożyła słuchawkę trochę zbyt mocno na - jak sobie wyobraziła Melanie - tani, niechlujnie złożony, plastikowy stolik z IKEI. Dwudziestolatki nie mają gustu.

- Halo? - odezwał się wrogo Peter.

- To ja - oznajmiła. A potem, na wypadek, gdyby miał wątpliwości, dodała: - Melanie.

- Cześć - powiedział Peter, i ta jedna sylaba ostatecznie zmroziła jej serce. Był obojętny, niezainteresowany; miał głos winowajcy. Melanie poczuła się, jakby była jego nauczycielką ze szkółki niedzielnej, rodzicem, dentystą.

- Wyjechałam na Nantucket.

- Wiem.

- Na całe lato.

- Tak było w liście.

- Chcesz, żebym przyjechała do domu?

- Co to za pytanie?

Jedyne, które ma znaczenie. Wyjechała, bo chciała spokojnie pomyśleć, ale jak się okazało, myślała tylko o Peterze. Chciała uciec, ale teraz, gdy już uciekła, ponad wszystko chciała wrócić. Jestem w ciąży, pomyślała. Masz dziecko i nawet o tym nie wiesz. To okrutne, że mu o tym nie mówi, ale czy gorsze od tego, co jej zrobił?

Nie! Był w mieszkaniu Frances! Różni się! Melanie dostała mdłości. Zaraz...

- Muszę kończyć - powiedziała.

- Dobra.

Spojrzała w milczącą słuchawkę, zakrztusiła się nad wyłożonym folią kubłem na śmieci przy łóżku. Nic. Wymiotowała zepsutym powietrzem, swoim smutkiem, obojętnością Petera. Brenda i Vicki nadal kłóciły się w salonie. Chodziło o jakąś opiekunkę. I o scenariusz Brendy, *kompletna iluzja*, a potem coś o rodzicach, *z tobą tak zawsze!* Potem usłyszała swoje imię, a raczej brak imienia: powtarzające się „ona”, powtarzające się „jej”. To sceniczny szepet Brendy: Chciałaś, żeby się zajęła dziećmi, i patrz, co się stało! Rozumiem, że ma gównianą sytuację, ale to samo dotyczy nas wszystkich. Ty jesteś chora! A ja nie zgadzam się zmarnować lata na dogadzaniu jej! Mało mam spraw na głowie i jeszcze ona? Nią też trzeba się opiekować! Pomyślałaś o tym, zanim ją zaprosiłaś? Co?

Melanie dźwignęła się z łóżka i zaczęła wrzucać swoje rzeczy do walizki. Postanowiła wracać. Decyzję o przyjeździe podjęła impulsywnie, a teraz okazało się, że to błąd.

Na palcach poszła do łazienki po szczoteczkę. Ciągłe się kłóciły. Lepiej będzie, jeśli spędzą to lato same, rozpracowując swoje problemy. Ona nie miała siostry, nie znała się na tych sprawach, ale wyglądało na to, że dziewczyny będą miały sporo roboty.

Wszystko dało się zmieścić do walizki, z wyjątkiem słomkowego kapelusza. Był zdefasonowany, bo przydepnęła go na plaży i kusiło ją, żeby go zostawić. To prezent od Petera na jej urodziny ostatniej wiosny, z szerokim rondem, staroświecki, ale go uwielbiała. Wkładała go do pracy w ogródku. Wcisnęła kapelusz na głowę, zawiązała pod brodą atlasową wstążkę, zasunęła suwak walizki i rozejrzała się po pokoju. To tu podjęła tę zdumiewającą decyzję. Wróci do domu i stawi czoło Peterowi. Powie mu, że chce zrobić aborcję.

Weszła cicho do salonu. Brenda i Vicki znikły. Słyszała gdzieś ich głosy w głębi domu. Jedna była pod prysznicem na dworze. Nadal się kłóciły. Zanim Melanie wyszła, nagryzmoliła liścik i zostawiła na kuchennym stole: *Zadzwoń do Johna Walsh!* Dziwne, ale tylko wobec Johna Walsh'a czuła się do czegoś zobowiązana. Kiedy będzie już w domu, zadzwoni do Vicki, wtedy przyjaciółka nie zdoła jej przekonać, żeby została.

Wysunęła rączkę walizki i usiłowała ją ciągnąć po wysypanej muszelkami uliczce. Muszelki blokowały kółka i walizka utykała. Melanie uznała, że łatwiej ją będzie nieść, choć była ciężka; dźwigała walizkę przechyloną na bok w sposób, który nie mógł być dobry dla dziecka. Aborcja, pomyślała. Po tym wszystkim, co przeszłam. Siedem razy serce mi pękało na widok mojej krwi. Siedem razy poniosłam klęskę; sukces przyszedł nieproszony, kiedy już go nie chcę.

Dobrnęła do ronda, gdzie czekała taksówka. Dzięki Ci, Boże. Wsiadła i rzuciła:

- Proszę na lotnisko.

Była niedziela, piąta po południu, i wszystkie miejsca w samolotach do Nowego Jorku od dawna zarezerwowano, była też kolejka oczekujących. Kiedy w końcu Melanie dojrzała do stanowiska, myśl o powrocie do domu przejściowo podniosła ją na duchu - do czasu, kiedy pracownica US Airways oddała jej bilet.

- Na dziś nic nie mamy - oznajmiła. - Ani jutro do piętnastej. Przykro mi.

- Chętnie dopłacę - powiedziała Melanie. - Albo zaczekam, gdyby ktoś nie przyszedł.

Kobieta wzięła kartkę, gęsto zapisaną nazwiskami.

- To lista oczekujących. Ma pani numer 167.

Melanie upchnęła bilet w torebce i zawlokła walizkę na ławkę. W jej przypadku przewidywalnym zachowaniem byłby płacz. I już miała się poddać rutynie, kiedy nagle zauważyła kogoś idącego w jej stronę. Chłopak w jaszkrawopomarańczowej kamizelce. Ten sam, który chciał jej dać plaster, kiedy spadła ze schodów. Uśmiechnęła się do niego, Podszedł bliżej.

- Hej - uśmiechnął się. - Miły lot?

- Bardzo miły.

- To był żart. „Lot”, no nie. Bo pani zleciała.

Melanie poczuła żar na policzkach.

- Aha. No, jak się okazało, nie była to najgłupsza rzecz, jaką zrobiłam w ten weekend.

Chłopak obciągnął kamizelkę i zaczął wiercić czubkiem trampka w podłodze.

- Nie chodziło mi o to, że jest pani głupia - powiedział - tylko chciałem...

- Nic się nie stało - przerwała mu. Dotknęła łokcia. Nadal był obolały, a jednak po tym wszystkim, co się stało, całkiem o nim zapomniała. - Tak przy okazji, jestem Melanie.

- Josh Flynn - przedstawił się. Spojrzał na walizkę. - Już wyjeżdżasz? Dopiero przyleciałaś?

- Miałam zostać dłużej, ale muszę wracać do domu.

- A to szkoda. Gdzie mieszkasz?

- W Connecticut. Ale, jak się okazuje, na dziś nie zdobędę już miejsca. Wszystkie wyprzedane. Właśnie usiłowałam się pozbierać, zanim zwołam taksówkę i wrócę tam, gdzie mam nocleg.

- Mieszkasz w Sconset, tak? Mogę cię zawieźć. Skończyłem zmianę.

- Nie zawracaj sobie głowy, wezmę taksówkę.

- Chętnie cię podwiozę. Nawet wiem, który to dom.

Wczoraj przywiozłem wam aktówkę.

- Fakt - przypomniała sobie Melanie. Przyjrzała się swojemu bagażowi. Siły opuściły ją do tego stopnia, że nie była pewna, czy zdoła się dowlec do krawężnika. - Nie chciałabym cię wykorzystywać.

- Mam po drodze. - Josh wziął jej walizkę. - Zgódź się, nalegam.

Powlokła się za nim na parking, gdzie wrzucił walizkę na tył dżipa. Na podłodze zgrzytała gruba warstwa piachu, a na fotelu pasażera poniewierały się płyty CD. Melanie usiadła, zgarnawszy je sobie na kolana. Dispatch, Offspring, Afro Man. W życiu nie słyszała o tych zespołach. Poczła się tak staro, jakby była matką chłopaka.

- Przepraszam za ten bajzel - powiedział Josh. - Nie wiedziałem, że będę mieć damskie towarzystwo.

Zarumieniła się i wyrównała płyty, tak że tworzyły idealny sześcian. Damskie towarzystwo? Poczła się jak dziwka. Potem przypadkiem zobaczyła się w lusterku; przez ten słomkowy kapelusz wyglądała jak wiejska dziewczyna. Zdjęła go i położyła na kolanach. Josh zapiął pasy, wytarł kurz z deski rozdzielczej i włączył radio. Oglądając się przy wycofywaniu samochodu, położył rękę na fotelu Melanie. Jego dłoń znalazła się dwa centymetry od jej głowy. Poczła jego zapach. Chłopak był bardzo przystojny - ciacho, jak by powiedziała dziewczyna młodsza od niej - ale nie przestał być dzieckiem. Ciekawe, ile może mieć lat?

- Mieszkasz tutaj? - spytała.

- Od urodzenia. Ale uczę się w college'u. Middlebury w Vermont.

- Dobra uczelnia.

- W przyszłym roku kończę.

Czyli ma około dwudziestu jeden lat, pomyślała. Może dwadzieścia dwa. Dokładnie tyle, ile miała, gdy poznała Petera.

Wjechali na jezdnię. Okno od strony Josha było otwarte i wiatr smagał ich twarze, kiedy ruszyli szybko do Sconset. Melanie odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy. Ta jazda miała w sobie coś terapeutycznego. Jest mi dobrze, uświadomiła sobie. W tej chwili niczego mi nie brakuje, jak to możliwe?

Wystawiła twarz do wiatru. W brązowych włosach Josha jeżyły się wicherki. Rondo kapelusza na jej kolanach łopotało.

- Jak ci się pracuje? - spytała.

- Okropnie.

- Szkoda.

- Serio. Mój ojciec jest kontrolerem lotów. Dostałem robotę jakby po znajomości.

- O.

- I tak odejdę. Życie jest za krótkie.

- Zgadza się. To właściwie moja mantra. Ale ojciec się nie wścieknie?

- Wścieknie się. Ale nie może mi przeszkodzić.

- No i dobrze - mruknęła. Droga ciągnęła się po horyzont; po lewej stronie, za trzęsawiskami, wznosiła się latarnia morska, a za nią ocean. - Jak tu pięknie.

Josh nie odpowiedział. Melanie zwymyślała się w duchu za opowiadanie takich oczywistości. Pewnie nieustannie słyszał to od turystów. Jak pięknie, jak oryginalnie, jak uroczo, jak dziko. Usiłowała wydusić z siebie coś dowcipnego, błyskotliwego, coś, co by go przekonało, że jest... fajną laską. W życiu nie była fajną laską i z pewnością nie stała się nią dzisiaj. Ale chciała, by Josh nie żałował, że ją podwiózł.

- Właśnie się dowiedziałam, że jestem w ciąży - palnęła.

Zerknął na nią ze zdziwieniem.

- Naprawdę?

- Tak. - Wbiła wzrok w kolana. Do CIA by jej nie przyjęli. Właśnie wypaplała największą tajemnicę swego życia chłopakowi, którego prawie nie знаła. - Będę wdzięczna, jeśli nikomu nie powiesz.

Zaskoczyła go tym i pewnie by się roześmiała, gdyby nie czuła się tak beznadziejną debilką. Komu miałby powiedzieć?

A jednak grzecznie obiecał:

- Będę milczeć na wieki. Słowo. Wiesz, wczoraj, kiedy upadłaś... wydawało mi się, że twoja przyjaciółka się przestraszyła. Okropnie się przestraszyła - o ciebie, nie o swoje dziecko.

- Martwi się o mnie.

- Aha. Ale mnie się wydawało, że chodzi o coś więcej. O coś, o czym nikt nie wie.

- O. No... tak. - Melanie przyjrzała mu się z ukosa. - Masz dobrą pamięć.

- Trudno was zapomnieć.

Samochód zatrzymał się przed chatką na Shell Street. Melanie upadła na duchu. Nie chciała, żeby ta podróż się skończyła, nie chciała stawać przed Vicki i Brendą jak dziecko, które uciekło z domu. Josh zaciągnął hamulec i wyskoczył z dżipa, żeby wyjąć walizkę.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Sięgnęła po walizkę i ich ręce się dotknęły. Dotykamy się, pomyślała. Sekunda, dwie, trzy. Zauważył? Nie cofnął ręki. Powoli podniosła wzrok i pomyślała: jeśli wpatruje się we mnie, nie zdołam tego znieść.

Patrzył na chatę. Odetchnęła. Czuła się jak trzynastolatka.

- Jeszcze raz dzięki.

- Aha. No, to do zobaczenia. Powodzenia we wszystkim. - I uśmiechnął się.

- Dzięki. I wszystkiego najlepszego. - Też się uśmiechnęła. Uśmiechała się tak długo, aż w końcu wsiał i odjechał. Wtedy zrobiła głęboki wdech. W powietrzu unosił się zapach steków z grilla i - o cudzie - poczuła głód.

Włokąc walizkę po chodniku, spotkała Blaine'a. Włosy miał wilgotne i uczesane, był przebrany w świeżą niebieską koszulkę polo.

- Gdzie byłaś? - spytał.

Zaczynają się przesłuchania, pomyślała, ale twarz Blaine'a rozświetliła się szczerym zaciekawieniem i, jeśli dobrze odczytała, porozumieniem spiskowców. - Zgubiłaś się? - szepnął. - Tak. Zgubiłam się.

Wieczorem po kolacji (cheeseburgery, panierowane krążki cebuli, sałata lodowa) Josh pojechał do Didi. Zadzwoiła w trakcie posiłku i zaprosiła go. Odmówił. Kiedy usiadł naprzeciwko milczącego ojca, poczuł się zobowiązany do wyjaśnień.

- To Didi. Chciała, żebym przyjechał. Podziękowałam.

Tom Flynn odchrząknął.

- Dennis mówił, że widział, jak jedziesz z jakąś dziewczyną.

- Co? - Josh nie zrozumiał, a potem przypomniał sobie Melanie. - A, tak. - Jak wyjaśnić, że ta „dziewczyna”, jak nazwał ją Dennis, jest o wiele starsza od niego i w dodatku w ciąży? Jak wyjaśnić, że odwiózł ją, żeby zerknąć na Nabzdyczoną Siostrę, która pod każdym względem była kolejną kobietą nie dla niego? - To nic takiego.

Tom Flynn odkroił strzępek lodowej sałaty, włożył do ust, otarł z brody majonezowy sos. Wypił łyk piwa. Telefon znowu się rozdzwoił. I znowu Josh poszedł odebrać. Melanie powiedziała, że jest w ciąży, ale nie była

szczęśliwa. Właściwie wyglądała markotnie. Ale była za stara, żeby wpaść przypadkiem. Nie przyszło mu do głowy, by sprawdzić, czy Melanie nosi obrączkę. Nie za dobrze szła mu obserwacja i chłonięcie szczegółów.

- Halo?

- Josh?

- Co? - rzucił zniecierpliwionym szeptem.

- Bardzo chcę, żebyś przyjechał. Naprawdę. To ważne.

- Piłaś.

- Tylko wino - powiedziała Didi. - Proszę cię, przyjeźdź. Mam ci coś do powiedzenia.

Miała mu coś do powiedzenia. Zawsze tak było, od schyłku drugiej klasy liceum, kiedy zaczęli ze sobą chodzić. Didi brała codzienne wydarzenia i nadymała je jak balon, aż stawały się wielkimi dramataми z opery mydlanej. Lekarz powiedział jej, że ma anemię, brat groził nożem do warzyw, bo pożyczyła jego ulubiony sweter i pobrudziła go podkładem, kumpel ojca, Ed Grubb, uszczypnął ją w tyłek - wszystko to stawało się powodem, by Josh ją pocieszał, chronił, bronił i otaczał uwagą.

- Didi, o co ci chodzi?

- Przyjeźdź. - Odłożyła słuchawkę.

Josh wrócił do stołu. Spojrzał na cebulę, która wystygła i leżała rozmoczona i zwiędła.

- Lepiej pojadę - powiedział.

Na podjeździe Didi znalazł się o dziewiątej. Słońce dopiero zachodziło. Lato, pomyślał. Leniwe lato.

Muzykę słyhać było z pięćdziesięciu metrów: Led Zeppelin. Niedobry znak. Zszedł po schodach do mieszkania Didi krokiem, który można by uznać za ukradkowy, i zajrzał do okna salonu, znajdującego się na wysokości jego kostek. Didi tańczyła na stoliku, ubrana wyłącznie w czerwony negliż. Wymachiwała kieliszkiem, z którego na wszystkie strony chlustało białe wino. W tym roku Zach, przyjaciel Josha, nazwał Didi najlepszą kandydatką na tancerkę go-go i choć wówczas Josh poczuł się zmuszony wałnąć go w brzuch, teraz musiał mu przyznać rację. Kiedy chodził z Didi, była więcej warta, a przynajmniej tak to wyglądało w tej chwili. Była cheerleaderką, udzielała się w samorządzie uczniowskim, miała masę koleżanek, z którymi nieustannie się naradzała - w liścikach, w łazience, w weekendy, kiedy u siebie nocowały. Była zabawna - może nie tak inteligentna, jak Josh, może nie „z zacięciem akademickim”, może nie była dziewczyną, którą matka Josha chciałaby widzieć u jego boku na dłuższą metę, ale na okres liceum nadawała się idealnie.

Po raz pierwszy zerwali ze sobą parę tygodni przed wyjazdem Josha na studia. Tom Flynn wyjechał do Woburn, gdzie odnawiał certyfikat kontrolera lotów, i Didi spędziła tę noc w domu Josha. Na początku było miło i ciepło, jakby bawili się w domu - zamówili pizzę, pili piwo, oglądali film z wypożyczalni. Potem umyli zęby i położyli się do łóżka. W środku nocy Josh obudził się i przyłapał Didi na podłodze, czytając jego pamiętnik przy świetle latarki. Tej nocy ze sobą zerwali - nie dlatego, że Josh wściekł się o to pogwałcenie prywatności (choć się wściekł), ale ponieważ Didi przypadkiem (lub nie) znalazła strony jej poświęcone. Na tych stronach Josh pisał, jak bardzo jest natrętna i jak by chciał, żeby „zbudowała swoje fundamenty” i „zakotwiczyła się na własnym terenie”. Didi uznała to za gigantyczną zniewagę. Rzuciła Joshowi pamiętnik w twarz, wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami, a po chwili wróciła, zabrała torbę i jeszcze raz trzasnęła drzwiami.

Trochę później znalazł ją na dole, w kuchni, płaczącą nad kolejną puszką piwa. Podszedł i wziął ją w objęcia, zdumiewając się, że przeczytawszy, iż jest natrętna, utwierdziła się w tym natręctwie jeszcze bardziej. Bała się

jego wyjazdu. Zapomnisz o mnie, powiedziała, a on nie zaprzeczył, bo Didi uosabiała wszystkie cechy młodości, które chciał zostawić za sobą.

Ich związek włókł się jeszcze przez trzy lata - przynajmniej pod względem seksualnym - co zaczęło go niepokoić. Kontakty z Didi były jak praca na lotnisku, jak mieszkanie na tej wyspie - zbyt znane, zbyt przewidywalne, zbyt bezpieczne. A jednak nigdy nie zdołał się od niej uwolnić. Zawsze była gotowa, dostępna, a on nigdy tak naprawdę jej nie odtrącił.

Zapukał do drzwi. Muzyka zmieniła się na Blue Oyster Cult. Didi ma problem z alkoholem, doszedł do wniosku, oprócz problemu z samoocena. Znowu zapukał. Bez odpowiedzi. Już miał czmychnąć, kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem. Didi chwyciła go za koszulę i wciągnęła do środka.

Zaczęli się całować na kanapie. Didi miała rozpalone, mokre usta, smakowała tanim winem, a Josh walczył z ogarniającymi go mdłościami. Lola, wredna kotka Didi, czaiła się gdzieś w pobliżu - czuł jej zapach, a sofa była cała w kocim włosiu. Zamknął oczy i usiłował się zatracić. Seks, pomyślał, chodzi tylko o seks. Sięgnął pod koszulkę Didi. Od liceum przytyła i jej brzuch, niegdyś gładki i twardy, stał się mięsisty, a uda masywne i gąbczaste. Nie czuł podniecenia; szczerze mówiąc, im dłużej się całowali, tym bardziej upadał na duchu. Usiłował myśleć o Nabzdycznej Siostrze, ale twarz, którą zobaczył, należała do Melanie. No dobra, to już dziwne. Owszem, Melanie miała ładny uśmiech i boską pupę, ale o co mu chodzi, odmóźdz było go? Przecież mu powiedziała, że jest w ciąży! Od sunął się od Didi.

- Nie chcę - powiedział.

Wtedy ugryzła go mocno w szyję. Chciała go oznakować jako swoją własność. W liceum miał tyle malinek, że nauczyciele dziwnie na niego patrzyli. Odepchnął ją.

- Przestań!

Przyssała się do niego jak odkurzacz, w niby to żartobliwy sposób, wparła mocno czoło w jego szczękę. Josh chwycił ją za ramiona i oderwał od siebie. Wstał.

- Powiedziałem: przestań.

- No co? - Didi leżała bezwładnie na obrzydliwej sofie, w tych czerwonych atłasach bardzo podobna do rozbebeszonego prezentu gwiazdkowego. Oczy się jej rozmazały, a cienkie ramiączka zsunęły z ramion, grożąc obnażeniem piersi.

Rozległ się wrzask, mrozący krew w żyłach. Josh podskoczył. Na oparciu fotela stała Lola z grzbietem wyprężonym w łuk.

- Dobra, zmywam się - powiedział.

- Czekaj! - zawołała Didi. Chwyciła Lolę w ramiona.

- Przepraszam, to się nie uda.

Didi wlała w siebie resztę wina i poszła za Joshem do drzwi. Lola leżała na jej ramionach niczym etolka.

- Ale jesteśmy przyjaciółmi, tak?

Przystanął. Nie chciał potwierdzać, ale jeśli zaprzeczy, znowu zacznie się ten żalony cyrk i nigdy nie uda mu się uciec. Jasne.

- Więc pożyczysz mi te pieniądze?

Następny klasyczny numer Didi: palnąć coś kompletnie niespodziewanego, jakby sprawa była od dawna uzgodniona.

- Jakie pieniądze?

- Potrzebuję dwieście dolarów na samochód - powiedziała. - Albo mi go odbiorą.

- Co?

- Trochę zalegam z kredytem. Kupiłam parę ciuchów na lato, podnieśli mi czynsz, wyczerpałam debet na wszystkich kartach...

- Poproś rodziców.

- Prosiłam. Odmówili.

- Nie mam dwustu dolarów. Przynajmniej nie do wydania. Muszę oszczędzać. Studia kosztują.

- Zwrócę ci pod koniec miesiąca. Daję słowo. Proszę! Mam duże kłopoty. Możesz mi je podrzucić jutro do szpitala? Będę od ósmej do czwartej.

- Jutro pracuję.

- No, to może we wtorek? We wtorki masz wolne, prawda?

Josh spuścił głowę. Jak do tego doszło? Powinien odmówić i wyjść.

- Jeśli mi pożyczysz, na zawsze dam ci spokój - dodała. - Przysięgam.

Żadne z nich nie wierzyło w to ani przez chwilę, ale perspektywa była zbyt kusząca.

- Przystaniesz dzwonić? - spytał.

- Tak.

- I oddasz mi pieniądze? Pierwszego lipca?

- Z odsetkami. Dziesięć dolarów.

Josh zdołał uciec za próg. Lola rzuciła się z pazurami na siatkowe drzwi.

- Dobrze - powiedział. Miał zupełną pewność, że nigdy więcej nie zobaczy tych pieniędzy, ale jeśli pozbędzie się Didi na zawsze, to i tak się opłacało. - Do wtorku.

Ciocia Liv mawiała, że na świecie istnieją tylko trzy rodzaje kobiet: starsze siostry, młodsze siostry i te, które nie mają siostr. Liv była młodszą siostrą, jak Brenda; jej starsza siostra Joy była babką Brendy. Liv zawsze uważała, że Joy jest ładniejsza i ma więcej szczęścia. W czasie II wojny światowej obie pracowały w sklepie bławatnym, ale Joy - nie wiadomo czemu - dostawała o centa więcej dziennie. Właściciel się w niej podkochuje, myślała Liv, choć to ja go rozśmieszam. Następnie Joy wyszła za mąż za chłopca z Narberth, niejakiego Alberta Lyndona, i mieli czworo dzieci, z których najstarszym był ojciec Brendy, Buzz. Tymczasem Liv odziedziczyła kamienny domek rodziców w Gładwyne i poszła na Bryn Mawr College, gdzie przez wiele lat wykładała literaturę. Czytała, obdarzała siostry i siostrzeńców uwagą, miłością i pieniędzmi, prowadziła drobiazgową dokumentację historii rodzinnej. Tylko ciocia Liv zwierzała się Brenda w sprawie Vicki, ponieważ tylko ona potrafiła to zrozumieć.

Przez całe młode lata myślałam, że Joy urodziła się na księżniczkę, a ja na jej służącą, mawiała Liv. Ale potem uświadomiłam sobie, że sama to sobie wmówiłam.

Brenda ceniła sobie te słowa jak skarb od pierwszej chwili, gdy je usłyszała (miała dziesięć lat, a Vicki jedenaście), ale nie było wątpliwości, że nie wmówiła sobie tego, co tego lata działo się w chacie cioci Liv. Brenda nie tylko była służącą Vicki, ale także jej nianią i szoferem. *Ponieważ Vicki ma raka!* Jeśliby Brenda chciała się z tym obnosić, będzie jedynym widzem. Już teraz nie raz zdarzyło się jej siedzieć na łóżku w starym pokoju dziecięcym, usiłując się wspomagać siłą, cierpliwością i dobrocią cioci Liv.

We wtorek zawiozła Vicki na chemioterapię starożytnym peugeotem sąsiadów, z dziećmi przypiętymi pasami na tylnym siedzeniu. Zabranie dzieci nie mieściło się w pierwotnych planach, ale w ten weekend stało się jasne: dzieci pozostawione pod opieką Melanie mogą zginąć w kuchennym pożarze lub śmiertelnie zachłysnąć się wodą ze szlauchu. Melanie miała zostać w domu i „odpoczywać”, jak powiedziała - a jeśli kolejna próba ucieczki się powiedzie, tym lepiej, pomyślała Brenda.

Brenda starała się nie obnosić ze swoim męczeństwem, bo wiedziała, że dokładnie tego spodziewa się po niej Vicki. W niedzielne popołudnie kłóciły się o Melanie. Brenda wyraziła swoje niezadowolenie, a Vicki zrobiła minę pod tytułem - Brenda nie miała na to innej nazwy - „staję się naszą matką”. Nie mogła znieść tego grymasu, a jednak czuła, że będzie go tego lata widywać bardzo często. W końcu jednak Vicki - zaskoczenie! - zgodziła się z Brendą i przeprosiła: Melanie nie powinna przyjeżdżać. Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł, ale może się pospieszyliśmy. Przepraszam. Tak, poszukamy opiekunki do dzieci, bo nie napiszesz wiele, dopóki tego nie zrobimy. Brenda była pod wrażeniem samokrytyki siostry. Przez trzydzieści lat ich wspólnego życia był to wypadek bez precedensu. Vicki zawsze miała rację - od urodzenia. Na świat przyszła jako ta, która ma rację - a ponadto jest utalentowana, inteligentna i wysportowana; była idealną córką, naturalną przywódczynią, prymuską we wszystkim, czym się zajmowała, osobą przyciągającą koleżanki i kolegów. Była tą bardziej lubianą siostrą. A Brenda raz po raz krzyczała na rodziców: jak mogliście mi to zrobić? Ani razu nie spytali, jakie „to” - wszystko rozumieli.

Jak mogliście pozwolić, żebym była po Vicki?

Dzieliło je tylko półtora roku; wciąż je porównywano i Brenda nieustannie czuła, że jest gorsza.

Ludzie są różni. Ellen Lyndon powtarzała to Brendzie od trzydziestu lat. Nawet siostry różnią się między sobą. Ale, jak szybko wytknęła ciocia Liv, Ellen Lyndon nie miała siostry. Ellen Lyndon wychowała się z trzema starszymi braćmi i, szczerze mówiąc, urodzenie dziewczynek w tak krótkim odstępie czasu zaskoczyło ją, jakby przywiozła do domu nie dzieci, lecz jakąś rzadką odmianę szynszyli. Brenda uważała, że jej matka jest najpiękniejszą kobietą świata. Miała styl, obycie i nieskazitelne maniery. Znała się na poezji i muzyce klasycznej. Z jednej strony wydawało się, że Ellen została stworzona na matkę dziewczynek, by organizować herbatki, zapinać sprzączki lakierków, czytać na głos *Małą księżniczkę* i załatwiać bilety na *Dziadka do orzechów*. Z drugiej - co do tego Brenda i Vicki zawsze się zgadzały - nie miała pojęcia, co znaczy posiadanie siostry. Nie rozumiała, jaką moc mają etykiety, nie wiedziała, co znaczy wejść do klasy i ujrzeć na twarzy nowej nauczycielki zachwyty, że będzie miała szczęście uczyć następną Lyndonównę! Brenda była pewna, że utajona zazdrość jest zjawiskiem nieznanym Ellen. Matka byłaby przerażona, dowiedziawszy się, że najgłębiej ukryte i najmroczniejsze tajemnice Brendy zawsze jakoś się łączą z zazdrością o Vicki.

Vicki nieustannie kpiła z przywiązania Brendy do *Niewinnego szalbierza*, lecz ta książka, odkryta w trudnym wieku czternastu lat, kiedy Brenda była o krok od wyzinięcia ducha pod podeszwą buta Vicki, posłużyła jako koło ratunkowe. Dzięki niej Brenda zyskała tożsamość i cel. Stała się czytelniczką, krytykiem, pisarką, wybitną uczennicą w college'u, studentką, doktorantką, doktorem, profesorem, być może największą znawczynią Fleminga Trainora na świecie. A teraz, kiedy nie będzie już mogła prowadzić wykładów o jego powieści ani mieć nadziei na opublikowanie jej prac w wydawnictwie choćby odlegle kojarzącym się z nauką, została zmuszona do popełnienia świętokradztwa (w niektórych kręgach uważanego za jeszcze bardziej oburzające niż to, które popełniła) i skomercjalizowania powieści. Upowszechnienia jej. Miała napisać scenariusz na podstawie *Niewinnego szalbierza*. Miotła się pomiędzy przekonaniem, że pomysł jest świetny i że to kompletne szaleństwo. Zastanawiała się, czy wszystkie

genialne pomysły od samego początku wydają się genialne, czy może idiotyzmem, zanim ktoś spojrzy na nie pod innym kątem? Na pomysł napisania wstępnej wersji scenariusza (albo treatmentu, jak to nazywają) Brenda wpadła na studiach, kiedy była biedna jak mysz kościelna i żywiła się głównie zieloną herbata, sardynkami i chińskimi zupkami, ale odrzuciła go, sądząc, że pomysł jest beznadziejnie durny. Jak wszyscy prawdziwi akademicy była purytanką.

Jednak teraz usiłowała sobie wmówić, że powieść w sam raz nadaje się dla Hollywood. Głównym bohaterem akcji, osadzonej w osiemnastowiecznej Filadelfii, jest Calvin Dare, którego koń przypadkowo zabija niejakiego Thomasa Beecha, kopiąc go w głowę, gdy obaj mężczyźni przywiązują swoje konie przed karczmą podczas burzy z piorunami. Calvin Dare w wyniku szeregu misternych zbiegów okoliczności przejmuje tożsamość zmarłego Beecha. Ubiega się o jego pracę i otrzymuje ją; zakochuje się w porzuconej narzeczonej Beecha, Emily. Zostaje kwakrem i uczestniczy w życiu wspólnoty. Według niektórych krytyków szczęśliwe zakończenie książki było jej słabą stroną: Dare żeni się z Emily, doczeka zdrowych i kochających dzieci i jest spełniony w pracy. Nie ma żadnych wyrzutów sumienia, że wszedł w życie Beecha jak do opuszczonego domu, naprawił je i zawłaszczył. Brenda poświęciła niemal sześć lat na analizę poruszonego w książce problemu tożsamości i porównywaniu zawartego między wierszami przesłania powieści z zasadami wiktoriańskiej i współczesnej moralności. Czy jeśli własne życie ci się nie podoba, możesz bez wyrzutów sumienia zostać kimś innym? A jeśli ten ktoś nie żyje? Brenda często czuła się samotnym wędrowcem przez lodowate pustkowia tego tematu. Nikogo innego to nie obchodziło. Ale to się może zmienić, jeśli *Niewinny szalbierz* zostanie zekranizowany. Ona, doktor Brenda Lyndon, były pracownik naukowy, zyska sławę odkrywczym zapomnianego dzieła i, co ważniejsze, doczeka się przebaczenia.

A jednak, choć odkupienie było niemal na wyciągnięcie ręki, gnębiły ją wątpliwości. Po co marnować czas na idiotyczny projekt, który z założenia wiedzie donikąd? Odpowiedź brzmiała: bo nie ma innej drogi. Nie było dnia, by nie żałowała, że jej kariera akademicka wykoleiła się w tak żaloszny sposób. Pomimo wizji milionów potencjalnych dolarów w przyszłości, Brenda zadrezczała się gdybaniem. Gdyby nie odebrała komórki tego wieczoru, kiedy John Walsh zadzwonił po raz pierwszy, gdyby ostrzegła Walsh, żeby nie pokazywał nikomu swojej pracy semestralnej, gdyby nie straciła panowania nad sobą podczas rozmowy z panią Pencaldron i nie rzuciła książką w obraz, gdyby wykazała się choć krztyną zdrowego rozsądku, nadal byłaby profesorem Brendą Lyndon. Sobą.

Pierwszy semestr w Champion przeminął wspaniale. Brenda dostała nagrodę za najwyższe wyniki w nauczaniu na wydziale, a wyniki te opublikowano w studenckiej gazecie, by wszyscy mogli zobaczyć. Niektórzy twierdzili, że to dlatego, bo Brenda jest młodym wilczkiem, wykładowcą o połowę młodszym od pozostałych i z wyjątkowo niezwykłymi wykładami (Champion jako jedyny uniwersytet w kraju prowadził wykłady o Flemingu Trainorze). W dodatku była atrakcyjna - smukła, długie włosy, zielone oczy, mokasyny od Prady. Niektórzy twierdzili, że na wydziale anglistyki nie ma dla niej prawdziwej konkurencji. Ciało pedagogiczne stanowiły dinozaury, figury woskowe. Niezależnie od przyczyn Brenda rozbiła w pył konkurencję nie tylko pod względem wyników nauczania, ale i charyzmy. *Frapująca, intrygująca... chłoniemy każde słowo... dyskusja przeniosła się na dziedziniec... przy kolacji ciągle rozmawialiśmy o lekturze. Doktor Lyndon jest przystępna i sprawiedliwa... Stanowi ideał wykładowcy.* Tydzień później „Pen&Feather” zamieścił na pierwszej stronie artykuł o Brendzie. Stała się gwiazdą, trochę jak Britney Spears, trochę jak Condoleezza Rice. Wszyscy znacznie starsi koledzy Brendy - w tym dziekan wydziału, doktor Suzanne Atela - zadzwonili z gratulacjami. Zazdrośni, choć nie zaskoczeni. Dlatego panią zatrudniono, powiedziała

Atela. Jest pani młoda. Swoją dziedzinę traktuje pani z zamiłowaniem, które nam przeszło już dawno temu. Gratulacje, doktor Lyndon.

Podczas świąt Bożego Narodzenia Brenda pyszniła się przed rodziną jak paw; kupiła butelkę drogiego szampana, żeby to uczcić, i prawie całą wypiła sama. Zachłystywała się swoim sukcesem. Studenci mnie lubią, mówiła, kiedy siedzieli wokół stołu w salonie Vicki i Teda, spożywając idealny posiłek, który Vicki przygotowała własnymi rękami. Kochają mnie.

W drugim semestrze te słowa nabrały złowrogiego znaczenia, gdy w klasie Brendy znalazło się jedenaście kobiet i jeden mężczyzna, rodzynek, trzydziestojednoletni absolwent Fremantle w Australii, niejaki John Walsh.

Kocham cię, powiedział Walsh. Kocham cię, Brynda.

Vicki kaszlnęła. Brenda zerknęła na nią. Siostra była blada, jej leżące na kolanach ręce wyglądały jak niespokojne ptaki. Wiozę moją siostrę na chemioterapię, pomyślała Brenda. Vicki ma raka, który może ją zabić.

Dziś Vicki miała mieć założony w klatce piersiowej port, połączony z żyłą cewnikiem, przez który pielęgniarki będą jej podawać truciznę. Założenie portu to zabieg ambulatoryjny, choć w szpitalu uprzedzono, żeby zarezerwowała sobie trzy godziny. Brenda miała w tym czasie zabrać dzieci na plac zabaw, kupić im lody w lodziarni na Main Street i wrócić do szpitala na czas, by odebrać Vicki i by Porter mógł się zdrzemnąć. Vicki przedstawiła to jako plan miły i schludny, ideał, ale Brenda widziała jej zdenerwowanie. Kiedy inni się denerwują - sztywnieją, spinają się, mają nerwowe ruchy i za szybkie reakcje. W przypadku Vicki było to zachowanie normalne. W chwilach stresu stawała się rozlazła i pozbawiona inicjatywy. Jak mokra szmatka.

Brenda zatrzymała samochód na szpitalnym parkingu. Ledwie wyłączyła silnik, Porter się rozryczał. Blaine oznajmił:

- A ja chcę wracać.

- Jak wysadzimy mamę, pójdziemy się pobawić - powiedziała chytrze Brenda. Wysiadła z samochodu i rozpięła pasy Portera, ale krzyknął i rzucił się na Vicki.

- Daj mu smoczek - odezwała się martwym głosem Vicki. Patrzyła na szpital z dachem z szarej dachówki.

- Gdzie jest? - spytała Brenda.

Vicki zaczęła gmerać w torbie.

- Na razie nie mogę znaleźć, ale na pewno jest - powiedział. - Pamiętam, że go pakowałam. Ale... może wrócimy do domu po nowy?

- Do domu? - prychnęła Brenda. - Masz. Ja go wezmę. - Ale Porter zaczął jeszcze bardziej wierzgać i wrzeszczeć. Niemal wyszarpnął się jej z objęć. - E, ty!

- Daj mi go - powiedziała Vicki. - Nakarmię go ostatni raz, zanim wejdę.

- Ale zabrałaś butelkę? - spytała Brenda.

- Tak. To będzie przypadek radykalnego odstawienia od piersi.

Brenda przeszła na drugą stronę samochodu i uwolniła Blaine z pasa dla dzieci. Człowiek musi przejść specjalne szkolenie tylko po to, żeby umieć się obchodzić z siedzeniami w samochodzie.

- Chodź no, brachu.

- A ja chcę do domu. Do mojego domu. W Connecticut.

- A tu akurat nie masz prawa głosu - oznajmia Vicki surowo. - Mamusia ma spotkanie. Wyskakuj z samochodu.

- Chodź - zachęciła Brenda. - Poniosę cię.

- Może iść sam - rzuciła Vicki.

- Nie - oznajmił Blaine i kopnął fotel. - Nie wysiądę.

- Jak zostawimy mamę, pójdziemy na plac zabaw na plaży dla dzieci - kusiła Brenda.

- Nie chcę na plażę! Chcę do mojego domu w Connecticut! Tam mieszka mój tata.

- Powinniśmy go zostawić w chacie - powiedziała Vicki. - Ale nie mogłam tego zrobić Melanie.

Brenda zacisnęła zęby. Postanowiła nie być przewidywalna.

- Na obiad zjemy lody - powiedziała do Blaine'a. - W lodziarni. - To był as, który trzymała w rękawie i z pewnym strachem wyciągnęła go tak szybko, ale...

- Nie chcę lodów! - wrzasnął Blaine. Zaczął płakać. - Chcę zostać z mamusią.

- Och, na miłość boską - warknęła Vicki. - Wejźmy już wreszcie. Blaine? Pomożesz mamusi i wejdiesz ze mną?

Blaine pokręcił głową. Z torebki Brendy dobiegły dźwięki *Dla Elizy*. Komórka.

- Pewnie Ted - powiedziała Vicki.

Brenda zerknęła na wyświetlacz, pomyślawszy, że to pewnie Ted, ale mając nadzieję, że to jednak Walsh. Tymczasem na wyświetlaczu widniało: Delaney, Brian. Jęknęła.

- Psiakrew - powiedziała. - Mój prawnik.

Wrzuciła telefon do torebki i wyładowała złość na Blainie, warcząc:

- Idziemy! Ale już!

Blaine niechętnie dał się podnieść. Stęknęła; ważył z tonę.

- Chcę zostać z mamusią - oznajmił.

Gdyby tylko mogły mnie teraz zobaczyć władze uczelni, pomyślała Brenda, idąc przez rozsuwane drzwi w przejmujący chłód szpitala. Zlitowałyby się. Kamień by się zlitował.

Przyczłapali do recepcji, w której czekała na nich cycata młoda kobieta. Jasne włosy spięła w bardzo niechlujny kok, który wyglądał jak kłęb rozwichrzonej słomy, na policzkach miała smugi różu, a piersi były ściśnięte i wypchnięte tak wysoko, jakby podawała je wszystkim na talerzu. Na identyfikatorze widniało: Didi.

- Victoria Stowe - powiedziała Vicki. - Na założenie portu.

- Aha - zareagowała Didi.

Miała długie, polakierowane paznokcie z brylancikami. Brenda pomyślała, że dobrze by było zawieźć ją do domu i przebrać. Ładna dziewczyna, zły gust. Didi podsunęła Vicki formularze.

- Proszę je wypełnić, tu jest informacja ubezpieczeniowa, tu podpisać, tu i tu parafa. Proszę podpisać zgodę, to bardzo ważne. - Uśmiechnęła się. Miała śliczny uśmiech. - Żeby nas pani nie pozwała, jeśli pani umrze.

Brenda wbiła kamienny wzrok w głęboki dekolt dziewczyny. Chętnie by jej kupiła trochę taktu, gdyby go gdzieś sprzedawali.

- Ja nie umrę - oświadczyła Vicki.

- O Boże, skąd - spłoszyła się Didi. - Tylko żartowałam. W poczekalni ujrzały rząd krzeseł przed telewizorem.

Szła *Ulica Sezamkowa*, która zahipnotyzowała Portera.

- Idź - powiedziała Brenda. - Niech to się raz skończy. Idź, dopóki jesteśmy spokojni.

Blaine wysypał na wyfroterowaną podłogę pudełko klocków.

- Nie mogę - szepnęła Vicki, siadając. - Trzeba wypełnić te papiery.

W tej samej chwili kartki zsunęły się z jej kolan i rozsypały wachlarzowato u stóp.

Nie wiadomo skąd pojawiła się pielęgniarka.

- Victoria Stowe?

Vicki pochyliła się po formularze.

- Nie jestem gotowa. Czy trzeba je ułożyć w jakiejś kolejności?

- Proszę je zabrać - powiedziała pielęgniarka. - Wypełni je pani na gorze.

- Tak, tak, tak! - zawołała Didi. - Niech pani idzie, bo wszystko się opóźni.

Vicki trwała bez ruchu. Spojrzała na Brendę.

- Słuchaj, chcę cię o coś prosić.

- Co? - mruknęła Brenda.

Ton Vicki ją zdenerwował. Przeniosła się w czasie o dwadzieścia pięć lat: ona była pięciolatką, Vicki miała sześć i pół roku, obie bawiły się na plaży w pochmurny dzień, w jednakowych kostiumach w truskawki i żółtych bluzach z kapturem. Błysnęło, rozległ się najgłośniejszy grzmot, jaki Brenda słyszała kiedykolwiek przedtem lub potem. Vicki chwyciła ją za rękę, lunął deszcz. Chodź. Musimy biec.

Dopóki nie pojawiły się między nimi oczywiste różnice, traktowano je jak bliźniaczki. Teraz Brenda poczuła strach jak samo silny, jak Vicki. Moja siostra! Piętnaście lat temu, kiedy Brenda spędzała szkolny czas jako pomocnica w bibliotece, a Vicki brylowała w szkolnym samorządzie, kto by pomyślał, że to Vicki dostanie raka? To nie miało sensu. To powinnam być ja, pomyślała Brenda.

- Mama! - odezwał się Blaine.

Przybiegł do niej, potykając się na klockach.

- Bądź silna i idź z pielęgniarką, a ja tu zapanuję nad sytuacją - powiedziała Brenda. - Dzieci będą bezpieczne. Nic się im nie stanie.

- Nie mogę. - Oczy Vicki napęłniły się jej łzami. - Przepraszam. Nie mogę.

- Victoria Stowe? - spytała pielęgniarka.

- Czekają na panią w zabiegowym - powiedziała Didi. - A jak nie, to rany, wszystko się obsunie i będzie na mnie.

- Idź - powtórzyła Brenda. - Poradzimy sobie.

- Chcę zostać z mamą - oznajmił Blaine. Vicki pociągnęła nosem i pocałowała go.

- Zostaniesz tutaj. Bądź miły dla cioci Brendy. - Wstała i ruszyła sztywnym krokiem, niczym robot.

- Vick? - zawołała za nią Brenda. - Co mi chciałaś powiedzieć?

- Później - rzuciła Vicki, znikając w korytarzu.

Minęła godzina, a Brenda czuła się jak zacinająca się płyta. Już nie wiedziała, ile razy zachęcała dzieci, żeby poszli na plażę albo na lody?

- Z posypką - dodała kusząco. - Proszę cię, Blaine... i zaraz wrócimy do mamusi.

- Nie - uparł się chłopak. - Będę siedzieć, aż wróci. Porter płakał. Płakał ze dwadzieścia minut i Brenda w żaden sposób nie potrafiła go uspokoić. Spróbowała dać mu butelkę, ale nie chciał, zacisnął usta i mleko rozlało się po brodzie i bluzie. Twarz miał czerwona i zmarszczoną, łzy wymykały się z kącików oczu; odrzucił głowę do tyłu i

zawodził, a przez rozwartą buzię można było niemal obejrzeć jego żołądek. W końcu posadziła go - dość stanowczo - na podłodze, dała do zabawy pomarańczowego plastikowego goryla i zaczęła grzebać w torbie Vicki w poszukiwaniu cholernego smoczka. Porter wrzasnął i rzucił gorylem.

Brenda wyłowiła pudełko patyczków higienicznych, dwa pampersy, paczkę chusteczek, torebkę chrupek zgniecionych na pył, pęk plastikowych kluczy, dwie pomadki ochronne do warg, pudełko kredek, kubek z dzióbkiem, pachnący skwaśniałym sokiem i broszurkę *Kiedy życie staje się cenne*. Ta torba była jak mały supermarket, a jednak nie zawierała smoczka. Brenda sprawdziła boczną kieszeń - znalazła w niej butelkę i - aha! Pod butelką, wciśnięty w sam róg kieszeni, utyłtany pyłem i piaskiem, leżał smoczek.

- Jest! - zawołała.

Pokazała smoczek dziewczynie z recepcji, tej Didi, jakby mówiła: „Oto rozwiązanie wszystkich moich problemów!”. Wepchnęła Porterowi smoczek do buzi i wreszcie się uciszył. Achchchch, odetchnęła. W pokoju znowu zapanował spokój. Na krótko. Porter plunął smoczkiem przez cały pokój i znowu się rozryczał.

- Blaine, możemy iść? - jęknęła Brenda. - Twój brat...

- W końcu korytarza jest automat z napojami - odezwała się Didi.

Brenda spojrzała na nią ze zdumieniem. Automat? Miała tu dwóch małych chłopców! Czy jej się wydaje, że te problemy można załatwić puszką coli?

- Nie wolno nam pić coli - powiedział Blaine. Didi wbiła w niego twardy wzrok.

- To może się przejść.

Najwyraźniej chciała się ich pozbyć. I czy można było mieć jej to za złe?

- Tak, przejdźmy się - podchwyciła Brenda. - Chodź. Niosła kwilącego Portera przez błyszczący korytarz.

Prowincjonalny szpitalik, pomyślała. W takich miejscach nie dzieje się nic złego. Vicki leży gdzieś w tym wiejskim szpitaliku, zakładają jej port. Do chemii. Na raka.

To powinnam być ja, pomyślała. Nie mam dzieci. Nie mam nikogo.

Zanim Brenda dostała pracę na uczelni, nigdy nie widziała na oczy Uniwersytetu Champion, z wyjątkiem zdjęć w internecie. Zrobiła sobie wirtualną podróż, niczym przyszła studentka, i przyjrzała się neoklasycznym budynkom, geometrycznym trawnikom, dziedzińcowi, na którym studenci opalali się i grali we frisbee. Widok był, jeśli nie idylliczny, to przynajmniej robiący wrażenie oazy w środku zgiełku Manhattanu. Ale na początku drugiego semestru, w styczniu, zabudowania Uniwersytetu Champion były szare i bez polotu. Tak więc wydział anglistyki, z perskimi dywanami, stojącymi zegarami i gablotą z pierwszym wydaniem Henry'ego Jamesa wydawał się tym bardziej zachęcający. Pani Pencaldron, nadzwyczaj kompetentna i oficjalna zastępczyni dyrektora administracyjnego, pospieszyła, by zrobić Brendzie cappuccino, co czyniła wyłącznie w przypadku profesorów będących aktualnie w łaskach. „Witamy, doktor Lyndon. Jak spędziła pani ferie? Oto lista studentów i program nauczania. Odbiłam dla pani kopie”.

Brenda przejrzała program nauczania. Mieli zacząć od czytania Fleminga Trainora, a następnie porównać *Niewinnego szalbierza* z dziełami współczesnych autorów: Lottie Moore, Richarda Russo, Anne Lamort, Ricka Moody'ego, Adama Hasletta, Antony, Nelson, Andre Dubusa. Lista lektur była smakowita jak pudełko czekoladek. Oto lista oczekujących na pani zajęcia, dodała pani Pencaldron. Trzydzieści trzy osoby. Na jesieni doktor Atela chce dodać drugą grupę. O, naprawdę? - zdziwiła się Brenda. Dziekan wydziału Suzanne Atela miała zaledwie metr pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ale była egzotyczna i onieśmielająca. Pochodziła z Bahamów, a na jej skórze w

kolorze masła kakaowego nie było widać ani jednej zmarszczki, choć miała sześćdziesiąt dwa lata, czworo dzieci i czternaścioro wnucząt. Opublikowała tony prac o bitnikach, a podobno sypiała z jednym z mniej sławnych, kuzynem Ginsburgha, co Brendzie wydało się nieprawdopodobne, ale w końcu kto wie, jaka jest ta kobieta, kiedy zdejmie swoje kocie okulary i rozpuści włosy? Jej mąż był przystojnym Hindusem; Brenda go nie poznała, choć na biurku Suzanne Ateli widziała jego zdjęcie we fraku. Suzanne Atela była onieśmielająca tylko dlatego, że w jej malutkich, delikatnych dłoniach spoczywała przyszłość Brendy i innych profesorów bez stałego etatu.

Brenda przejrzała listę studentów. Wyglądało na to, że w grupie znajdują się same kobiety, co uznała za dar niebios. Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! Zaczęła w myślach zmieniać listę lektur - skoro ma same studentki, mogą zaatakować Fleminga Trainora i problem tożsamości pod kątem genderowym. W chwili kiedy zaczęła zapisywać tytuły niektórych wyjątkowo rewolucyjnych feministycznych tekstów, jej spojrzenie dotarło do ostatniego nazwiska na liście: Walsh, John.

Pani Pencaldron zastukała do drzwi jej gabinetu. Nastąpiły zmiany, poinformowała. Będzie pani wykładać w Sali Barringtona.

Brenda uśmiechnęła się głupio, zmieniła listę rewolucyjnych tekstów i wyrzuciła. Najpierw cappuccino, potem wzmianka o dwóch grupach w przyszłym roku, teraz Sala Barringtona, będąca klejnotem koronnym wydziału. Używano jej na wyjątkowe okazje - zebrania wydziału, uroczyste spotkania - a Suzanne Atela uczyła tam swoich absolwentów. Salę zdobił długi, lśniący stół z osiemnastego wieku i oryginalny obraz Jacksona Pollocka.

- Sala Barringtona?

- Tak - usłyszała. - Proszę za mną.

Ruszyły cichym korytarzem na sam jego koniec, aż do drzwi, wysokich, ciemnych, wykładanych panelami, tchnących dostojnością.

- A zatem - powiedziała pani Pencaldron - muszę zapoznać panią z zasadami. Na stole nie wolno stawiać napojów - puszek, butelek, kubków z kawą. Tylko pani może otwierać i zamykać salę i nigdy nie wolno zostawiać studentów samych z obrazem. *Capiche?*

- *Capiche* - powiedziała Brenda.

Pani Pencaldron przeszła ją długim, nieruchomym spojrzeniem.

- Mówię bardzo poważnie. Ten obraz to dar Whitmore'a

Barringtona i jest wart mnóstwo pieniędzy. Podobnie jak stół.

- Wszystko jasne - uspokoiła ją Brenda. - Zero napojów.

- Zero, nul - powtórzyła pani Pencaldron. - A teraz podam pani szyfr.

Brenda przećwiczyła zamykanie i otwieranie drzwi oraz włączanie i wyłączanie alarmu za pomocą długiego, skomplikowanego szyfru. Dopiero wtedy pani Pencaldron zostawiła ją samej sobie.

- Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę, jakim przywilejem jest prowadzenie wykładów w tej sali - dodała na odchodnym.

Brenda rzuciła kubek po cappuccino do śmieci, po czym ułożyła papiery na szczycie kosztownego stołu i przez chwilę przyglądała się obrazowi. Ellen Lyndon była wielką miłośniczką sztuki i przekazała tę miłość córkom podczas wycieczek do muzeum, które rozpoczęła, ledwie Vicki i Brenda wyrosły z pieluch. No naprawdę, pomyślała Brenda. Naprawdę, przenaprawdę - przecież Pollock to tylko litry rozchlapanej farby. Kto go ogłosił wielkim artystą? Czy ktokolwiek widzi w tych rozbryzgach jakąś uniwersalną prawdę? A może to tylko szwindel? Literatura

ma przynajmniej prawdziwe znaczenie, ma sens. Obrazy też powinny, pomyślała, a jeśli nie mają, to niech przynajmniej będą ładne. Pollock zawiódł na obu frontach, a jednak wisiał na ścianie, a Brenda, wbrew sobie, poczuła podziw.

Dokładnie w tej chwili, gdy uświadomiła sobie ten podziw, którego przyczyny nie знаła, do sali wszedł mężczyzna. Bardzo przystojny, o oliwkowej skórze, ciemnych oczach i obciętych na jeża czarnych włosach. Był w wieku Brendy, wysoki i muskularny jak robotnik, choć ubrany niczym John Keats w miękki sweter w kolorze burgunda, z szarym, wełnianym szalikiem na szyi. Za uchem miał ołówek. Brenda uznała, że to musi być jakiś absolwent, jeden z doktorantów Suzanne Ateli, który zawędrował tu przypadkiem.

- Dzień dobry - powiedziała. Skinął głową.

- Jak leci?

Miał śmieszny akcent z antypodów.

- Tu będzie seminarium na temat Fleminga Trainora - odrzekła. - A pan jest...?

- John Walsh.

John Walsh. Więc to jest John Walsh. Jej rozsądek rozplątał się jak masło na patelni. Na to nie była przygotowana - mężczyzna na jej zajęciach, nie chłopiec. Był piękny, piękniejszy niż te dziewczyny - kobiety, które przybyły tłumnie do Sali Barringtona w ślad za nim, niczym szczury za Srokatym Dudziarzem.

Brenda poruszyła palcami w swoich mokasynach od Prady i wbiła wzrok w przesłodka program nauczania. Dzień pierwszy, minuta pierwsza: zauroczenie jedynym mężczyzną w grupie.

Kiedy wszyscy się usadowili, odchrząknęła i rozejrzała się za kubkami, puszkami, butelkami wody. Pusto. Pani Pencaldron chyba zrewidowała wszystkich przy wejściu.

- Jestem doktor Brenda Lyndon - przedstawiła się. - Możecie się do mnie zwracać, jak wam wygodniej, doktor Lyndon albo Brenda. Będziemy analizować powieść Fleminga Trainora *Niewinny szalbierz* i porównywać koncepcję tożsamości jego i autorów współczesnych. Czy wszyscy zdołali znaleźć książki? Przytaknęli.

- Dobrze.

Spojrzała na swoje dłonie. Drżące, z łuszczącą się skórą. Powinna odwiedzić salon kosmetyczny. Zanotowała w pamięci, żeby zadzwonić do Vicki natychmiast po powrocie do domu.

- Na czwartek macie przeczytać pierwsze dziesięć rozdziałów książki, a do wtorku drugą połowę. - Zaczekała na nieuniknione protesty, ale znowu zobaczyła tylko potakiwania. W sali była kobieta na wózku inwalidzkim, czarna kobieta z krótką fryzurą afro, Hinduska z paznokciami w kolorze czerwonych porzeczek. Reszta tych dziewczyn-kobiet miała cerę w różnych odcieniach zimowej bladości, a włosy jasne, ciemne, fioletowe. No i był też John Walsh, którego Brenda omijała wzrokiem.

- Oto wasz plan nauczania. - Na chwilę przymknęła oczy, rozkoszując się szelestem rozdawanych kartek. - Będziecie oceniani na podstawie dwóch prac, jednej w połowie semestru, drugiej na koniec. Stopnie uzależniam także od waszego udziału w dyskusji, więc proszę mnie powiadamiać, jeśli przewidujecie nieobecność na zajęciach. Studentów przyjmuję we wtorki od dziewiątej do jedenastej.

Podala studentom numer swojej komórki i adres e-mailowy. Raz zerknęła na Johna Walsha; z uniesieniem i przestraciem ujrzała, że zapisuje te informacje w małym kołonotatniku.

Poprosiła, żeby studenci przedstawili się, powiedzieli skąd pochodzą i jedną rzecz o sobie. Celowo zaczęła od strony najdalszej od Johna Walsha - dziewczyny z Bangalore w Indiach, Amrity, która zdecydowała się na te

zajęcia, jak powiedziała, ponieważ przeczytała w „Pen&Feather”, że dr Lyndon w zeszłym semestrze miała najlepsze wyniki w nauczaniu.

- Jestem tu od trzech lat - dodała - poznałam wiele błyskotliwych umysłów, ale nie spotkałam jeszcze ani jednego przyzwoitego nauczyciela.

Amrita ewidentnie się jej podlizywała, ale Brenda była zbyt zajęta niepokojącą obecnością Johna Walsh, żeby chwycić przynętę.

- Dziękuję. A pani?

Dziewczyny kolejno mówiły, a Brenda, słuchając ich jednym uchem, przy każdym nazwisku robiła notatki. Jeannie na wózku inwalidzkim była demokratką z Arkansas. Mallory i Kelly były bliźniaczkami dwujajowymi; Mallory miała kocie okulary, a Kelly z fioletowymi włosami zagrała małą rolę w operze mydlanej. Trzy dziewczyny miały na imię Rebecca, dziewczyna z Gwadelupy, Sandrine, grała na gitarze w zespole Francuska Grzanka; czarnoskóra Michele Nathans właśnie wróciła z semestru w Marrakeszu; niska, przysadzista Amy Feldman jako kierunek główny obrała japonistykę i była miłośniczką sushi. Zachęcona przez jedną z Rebecc wyznała, że jej ojciec jest prezesem wytwórni Marquee Films. Ostatnia dziewczyna, Ivy, oznajmiła, że pochodzi z Upper Peninsula w Michigan i jest lesbijką.

Czy po tym ostatnim oświadczeniu w sali zapadła głucha cisza, czy też Brenda uległa złudzeniu? Może wszystkie, jak ona, czekały na to, co ma do powiedzenia John Walsh.

Powoli odwróciła się i spojrzała na niego, modląc się, żeby udało się jej zachować spokój. Na górze kartki z listą studentów napisała wielkimi literami: zadzwoń do Vicki!

John Walsh uśmiechał się do swojego kołonoatnika. Po czym podniósł oczy i przedstawił się:

- Jestem John Walsh. Wszyscy mówią do mnie Walsh. Jestem z zachodniej Australii, z Fremantle. - Stuknął ołówkiem w notes. - I... pewnie widać, że jestem trochę starszy niż normalny absolwent college'u.

- Tak! - Brenda w panice spiorunowała wzrokiem malowidło Jacksona Pollocka, jakby to jemu wydarł się ten pisk, nie jej. Myślała, że dziewczyny zaczną chichotać albo szeptać między sobą, ale milczały. Może one ją nauczą panowania nad sobą.

- Studiowałem na pierwszym roku uniwerku w Australii - wymówił to „uniwyrku” - a potem nagle opętały mnie podróże. Więc zrezygnowałem ze szkoły. Objechałem cały świat.

Brenda doskonale wiedziała, że powinna w ogóle nie otwierać ust, ale to akurat okazało się niewykonalne.

- Cały?

- Tajlandia, Nepal, Indie, potem przez Afganistan i Chiny do Rosji. Byłem na Dalekim Wschodzie, w Jordanii, Dubaju, Libii. No i jeden rok spędziłem w Wielkiej Brytanii, gdzie pracowałem w pubie. Trochę pobyłem na kontynencie, w Niemczech, Belgii, Włoszech, Francji, Hiszpanii, na Malcie, Wyspach Kanaryjskich, Islandii... aż zawędrowałem do Nowego Jorku, gdzie skończyły mi się pieniądze. - Urwał. - Za dużo mówię, tak?

Tak, pomyślała Brenda. We wszystkich rewolucyjnych tekstach feministycznych, jakie kiedykolwiek przeczytała, pisano: fakt, że jesteś jedynym mężczyzną w towarzystwie, nie oznacza, że twoje życie jest bardziej interesujące, autentyczne i wartościowe niż życie kobiet. Ale nie chciała, by zamilkł. Przede wszystkim zachwycił ją jego głos. Był taki... męski. Trochę jak Krokodyl Dundee, trochę jak łowca krokodyli. Czy pozostałe studentki chciały, żeby przestał? Omiotła wzrokiem salę. Wszystkie słuchały go z wyrazem spokojnego zainteresowania, jaki prezen-

towały od początku zajęć. No, może z wyjątkiem lizuski Amrity. Amrita pożerała Walsha wzrokiem, pochylała się ku niemu, kiwała głową. Brenda uznała to za oznakę ciekawości.

- Mów dalej - powiedziała.

- W tym miejscu historia się komplikuje. Musiałem znaleźć pracę. U „Eddiego” w Village poznałem jednego gościa, którego wuj ma firmę budowlaną i zacząłem dla niego pracować, ale mi się znudziło, więc pomyślałem, że jedynym wyjściem jest powrót do szkoły. No i wróciłem. Trzydziestoletni student.

- Aha - mruknęła Brenda i pomyślała: jest ode mnie starszy! Ale zaliczył tylko rok studiów. To ja go uczę! - Dziękuję wszystkim. Czy macie pytania w sprawie kursu albo programu nauczania? Prac domowych? - Zamilkła. Nic, tylko grzeczne spojrzenia. - Więc dobrze. Na dziś skończymy. Proszę na czwartek przeczytać tekst do rozdziału 10.

Patrzyła, jak zbierają się i wychodzą - niektóre dziewczyny samotnie, inne rozmawiając. Jeannie wypadła na swoim wózku jak torpeda. Zadzwoiła komórka którejś Rebeki, która powiedziała:

- Tak? Aha, już jestem wolna.

Jakby wyszła z więzienia. Było aż tak źle? Czy Brenda 122 nie wyglądała na osobę zdolną ich czegoś nauczyć? Była zbyt pochłonięta myślami, żeby zdać sobie sprawę, że John Walsh ciągle siedzi w klasie. Na jego widok drgnęła.

- Jezu - wyrwało się jej i zaraz się roześmiała. - Ale mnie przestraszyłeś.

- Tak sobie myślałem... - Znowu przyglądał się swojemu notesowi. - Może masz ochotę na obiad?

- Co? - Brenda się rozejrzała. Czy ktoś ich słyszał? Tylko Jackson Pollock. Czyżby John Walsh zapraszał ją na randkę? Ją, swoją wykładowczynię? Po pierwszych zajęciach. - Przepraszam, co mówiłeś?

Nie był zażenowany, ani trochę.

- Do drugiej mam wolne - powiedział. - I nikogo nie znam. To mój pierwszy semestr. Miałem nadzieję, że spotkam ludzi w moim wieku. Poszedłem na kurs dla „nietypowych studentów”, ale... no wiesz, parę genialnych czternastolatków, czterdziestoletnia gospodyni i gość jeszcze starszy ode mnie, jakiś wódz plemienia z Zairu. Chciałem poznać fajnych ludzi.

- Ale jestem twoją nauczycielką.

- Czyli nie możesz zjeść kawałka pizzy?

- Przykro mi.

Westchnął teatralnie i błysnął uśmiechem. Był tak atrakcyjny, że nie czuła się z nim swobodnie w jednym pomieszczeniu. Musiała uciekać.

- To przez te bzdurne reguły - dodała. Znalazła to w Regulaminie Pracownika, który przejrzała w autobusie po rozmowie wstępnej na uczelni. „Związki natury uczuciowej lub seksualnej między członkiem ciała pedagogicznego a studentem są zabronione. Komentarze o znaczeniu uczuciowym lub seksualnym, gesty i aluzje nauczyciela do studenta są zabronione i będą karane dyscyplinarnie. Profesorowie na stałym etacie będą traktowani bez żadnych wyjątków”.

- Jestem pełnoletni - powiedział. - To tylko pizza.

- Nie ma znaczenia. Przepraszam.

Wziął kołnотatnik i włożył do tylnej kieszeni.

- No, to pewnie znowu zjem sam. E, co tam. To do czwartku?

- Do czwartku.

Przepuściła go, bo musiała zamknąć drzwi i uaktywnić kod zamka, strzegącego obraz. Ale Walsh zaczął na nią i razem ruszyli ku biurku pani Pencaldron. Pani Pencaldron przez całą drogę nie spuszczała z nich oczu; Brenda miała wrażenie, że poczucie winy aż z niej bucha. Ale dlaczego? On ją zaprosił, ona odmówiła.

John Walsh pchnął drzwi oddzielające wydział anglistyki od reszty brzydkiego uniwersytetu.

- Ta! - rzucił. Brenda nie wiedziała, czy zwraca się do niej, czy pani Pencaldron, nie wspominając już, że nie wiedziała, co znaczy to „ta”. Pomachała odruchowo, z ulgą. Oddała klucz pani Pencaldron.

- To Australijczyk - powiedziała tytułem wyjaśnienia.

- Tak też sądziłam.

- Zajęcia poszły dobrze. I szybko się skończyły. Pierwszy dzień, rozumie pani. Niczego nie czytali. Oni się przedstawili, ja przedstawiłam moje oczekiwania. Stąd wiem, że to Australijczyk.

Pani Pencaldron przyglądała się jej, przechylając głowę.

- Aktywowała pani alarm?

- A... tak.

- Chyba tego nie widział, prawda?

- Kto?

Pani Pencaldron uśmiechnęła się niecierpliwie.

- Australijczyk.

- A... nie.

- Na pewno.

- Na pewno. Czekał w pewnej odległości. Zasłoniłam ciałem klawiaturę.

- W porządku - powiedziała pani Pencaldron, choć jej głos nie wyrażał ufności. - Wyjawienie kodu studentowi jest wbrew zasadom. Czy to jasne?

- Jasne. I nikt nie wniósł do sali puszek ani kubków. Ani butelek. Zupełnie nic.

- O, wiem - oznajmiła pani Pencaldron. - Zadałam o to.

Tyle głupich zasad, pomyślała Brenda, zbliżając się do szpitalnego automatu z napojami.

Karteczkę z wiadomością „Zadzwoń do Johna Walsha” wsunęła między kartki *Niewinnego szalbierza*, a książkę zamknęła w aktówce. Nie wiedziała, dlaczego zachowuje liścik. Nie potrafiła myśleć jednocześnie o Johnie Walshu i Flemingu Trainorze, to już było dowiedzione.

- Kupimy colę? - dopytywał się Blaine. - Naprawdę, naprawdę?

- Naprawdę, naprawdę. - Jak trzeba, to trzeba, pomyślała. Przecież go nie częstuję papierosem ani nie idę z nim na browar. Wysupłała z torby Vicki pięć dwudziestopięciocentówek i pozwoliła Blaine'owi wsunąć je z przejęciem do automatu, ale nie mogła znaleźć innych drobniaków, a w portfelu Vicki banknotem o najmniejszym nominale była dwudziestka. Porter zagaworzył. Ba ba ba, da da da. Bzdury, które człowiek wygaduje, zanim zacznie wygadywać prawdziwe bzdury.

- Coś takiego - powiedziała. - Potrzebujemy więcej pieniędzy.

Blaine spojrział na nią ze zgrozą, kiedy zawrócili w stronę recepcji.

- A cola?

- Potrzebujemy więcej pieniędzy - powtórzyła. Blaine zaczął płakać. Na ten sygnał Porter dołączył do

niego, ale głośniej.

- Chłopcy - powiedziała Brenda. - Proszę was. Tylko chwileczka.

Dlaczego jej nie dziwi, że na Nantucket znajduje się najkosztowniejszy automat z colą? Musiała rozmiąć dwudziestkę dla jednej marnej dwudziestopięciocentówki, ale dokładnie tego należało się spodziewać. Takie miała dziś szczęście.

I oczywiście Didi w recepcji była pogrążona po uszy w rozmowie z kimś innym, chłopakiem w jej wieku. Brenda usiłowała zamachać dwudziestką nad jego ramieniem. Nic z tego - Didi świata poza nim nie widziała, skupiła całą uwagę na tym chłopcu w zgniłozielonej koszulce polo, szortach khaki i poplamionych trawą adidasach. Miał włosy prosto od fryzjera, do kołnierzyka koszulki przyłgnęły ich ścinki. Trzymał białą kopertę z jednej strony, a Didi z drugiej, z taką miną, jakby się miała rozplakać.

- Masz - powiedział Ostrzyżony. - Ale oddaj!

- Dobrze - zapewniła Didi.

- Pierwszego lipca. Nie drugiego. Nie czwartego. Pierwszego.

- Dooobra.

- Z odsetkami.

- A co z piątkiem?

- Z jakim piątkiem?

- Z imprezą u Zacha.

- Idziesz? - spytał Ostrzyżony.

- No.

- To ja zostanę w domu.

- Przepraszam - wtrąciła Brenda, machając dwudziestką. Niegrzecznie było przerywać, ale nie mogła wytrzymać tego czekania z dwójką wrzeszczących dzieci na karku, podczas gdy Didi i jej znajomy rozważali problem jakiejś popijawy. - Muszę to rozmiąć. Do automatu.

Didi przeciągnęła palcem pod okiem. Westchnęła.

- Nie mam drobnych - warknęła. - Po drobne niech pani idzie do kawiarni na piętrze.

No nie, pomyślała Brenda. W życiu.

- Potrzebuję tylko dwudziestu pięciu centów. Może zechce mi pani pożyczyć?

Didi wyszarpnęła kopertę z ręki znajomego.

- Nie. Nie mam.

Ostrzyżony się odwrócił. Na jego wyciągniętej dłoni leżało dwadzieścia pięć centów.

- Proszę - powiedział. Dopiero wtedy spojrzał na Brendę. - O. To ty?

Brenda gapiała się na niego przez chwilę. Znała tę twarz, nie skąd? Kto to? Jedno było pewne: jeszcze nigdy w żyli u nie ucieszyła się tak na widok dwudziestu pięciu centów.

Josh poszedł z Brendą i chłopcami do automatu z napojami, choć słyszał za plecami znaczące pomrukiwanie Didi. Blaine trzymał monetę, Josh podniósł go, żeby mógł dosięgnąć szczeliny, a potem przycisnąć klawisz - i wszyscy zamilkli, gdy puszką spadła z łomotem w podajnik. Nawet mały ucichł. Josh wyjął colę.

- Mam państwa obsłużyć?

- Ty jesteś ten z lotniska - skojarzyła Brenda. - Ten, co mi przyniósł książkę. Przepraszam, że cię nie poznałam. Obciąłeś włosy.

Była tak zdumiona, że to go krępowało. Otworzył puszkę.

- Aha. Jestem Josh.

- Brenda Lyndon.

- Wiem. Pamiętam. Doktor Lyndon.

- Nie jestem lekarzem - wyjaśniła. - Mam doktorat z literatury amerykańskiej. Najmniej przydatny doktor na świecie. Przyjechałyśmy tu, bo mojej siostrze Vicki zakładają dziś port naczyniowy do chemii.

- Do chemii?

- Ma raka płuc - szepnęła Brenda.

- Żartujesz - wyrwało się Joshowi. Ale co zapamiętał, jeśli chodzi o tę drugą siostrę? Jej ciężki oddech. - O rany.

Brenda pokręciła głową, zrobiła ruch nad głowami chłopców.

- Cola! Cola! - entuzjasmował się Blaine.

Josh przykląkł i pomógł mu pić. Rak płuc? Cięża? Nie jestem lekarzem. W życiu *nie widziałem żałośniejszej grupy niż te trzy kobiety*. Tak pomyślał na samym początku. I nic dziwnego.

- Przyjechałyście na całe lato? - spytał. - Bo parę dni temu widziałem na lotnisku twoją koleżankę Melanie...

- Moja siostra i ja będziemy tu z dziećmi przez całe lato - powiedziała Brenda. - Co do Melanie, przysięgli jeszcze obradują.

- Wydaje się dość miła.

- Miła, miła. Bardzo miła - warknęła Brenda. - Słuchaj, nie wiesz, czy ktoś by chciał przez lato popracować przy dzieciach?

- Jak to popracować?

- Pilnować dzieci przez dwadzieścia godzin tygodniowo. Chodzić na plażę, na plac zabaw, grać z nimi w piłkę, budować zamki z piasku, zabierać na lody. Dwadzieścia dolarów za godzinę, gotówką. Potrzebujemy kogoś odpowiedzialnego. Bardziej odpowiedzialnego niż bank narodowy. Nie uwierzyłbyś, cośmy przeżyły przez ten weekend...

Pożyczenie Didi dwustu dolarów miało ten minus, że Josh nie mógł zrezygnować z pracy na lotnisku. Oddał jej ponad połowę oszczędności i choć tak się zaklinała, wiedział, że nie zobaczy już tych pieniędzy. Ale dwadzieścia dolarów za godzinę gotówką to o wiele więcej, niż zarabiał w tej chwili. Zgodził się na pracę na lotnisku ze względu na ojca, choć była śmiertelnie nudna. Najbardziej pamiętnym wydarzeniem dotychczas był upadek Melanie ze schodków samolotu.

- Ja bym mógł - oznajmił. Brenda przyjrzała mu się z ukosa.

- Przecież masz pracę. I jesteś... chłopakiem.

- Odchodzę z lotniska. I lubię dzieci.

Brenda umoczyła smoczek w coli i włożyła niemowlęciu do ust.

- Porter ma dopiero dziewięć miesięcy - powiedziała. - Jest bardzo przywiązany do matki.

- Lubię niemowlęta - zapewnił Josh. Było to założenie hipotetyczne; dotąd nie znał żadnego. Kątem oka dostrzegł Didi, która ruszyła w ich stronę.

- Potrafisz zmienić pieluchę? - spytała Brenda.

- Oczywiście.

Didi była coraz bliżej. Blaine pochłaniał colę jak wędrowiec, który przemierzył pustynię. Josh delikatnie mu ją odebrał.

- Czekaj, bracie. Powoli, bo cię brzuch rozboli.

- Masz wolne ranki? - dopytywała się Brenda. - W dni powszednie, powiedzmy, od ósmej do pierwszej? Porter ma o pierwszej drzemkę.

- Jestem dostępny.

- I masz samochód, prawda? Tego dzipa? Myślisz, że zmieszczą się w nim foteliki dla dzieci?

- Foteliki? - odezwała się Didi. Była tuż przy nich, weszła podejrzliwie i oskarżycielsko, jakby miała prawo brać udział w ich rozmowie tylko dlatego, że prowadzili ją w pobliżu recepcji, którą uważała za swoje królestwo. Niosła garść dwudziestopięciocentówek, jakby na złość Brendzie. Kupiła sobie napój.

- Powinny - mruknął Josh. Nie miał pojęcia, czy foteliki dla dzieci zmieszczą się do jego dzipa, nie wiedział nawet, jak takie coś wygląda, ale im dłużej stał w towarzystwie tej kobiety, tym bardziej pragnął utrzymać z nią kontakt. - Uda się - dodał. - Bardzo chcę to zrobić.

- Co? - spytała Didi.

- Byłeś notowany? - rzuciła Brenda. Zastanawiała się, czy Vicki bardzo by się wściekła, gdyby sama go zatrudniła, nie pytając jej o zgodę. Chłopak. Czy to dziwne? Skoro nie ma Teda, dzieciom może to wyjść na zdrowie. Na pewno, uznała. Im wszystkim dobrze zrobią regularne wizyty mężczyzny, nawet Melanie.

- Notowany? - prychnęła Didi. - On jest normalnie święty.

- Dobrze - powiedziała Brenda. - Jesteś zatrudniony.

Piasek na podłodze w kuchni, kamień w muszli klozetowej, mlecze, brak gorącej wody w prysznicu, rozdrapane do krwi ukąszenie owada, zgubienie się w akcji Gotowych na wszystko, Huta bestsellerów „New York Timesa”, mokre ręczniki kąpielowe, pleśń, Ted dzwoniący, że utknął w korku osiem kilometrów za New Haven, Ted dzwoniący z wieścią, że yukon się zepsuł, a on jest na stacji benzynowej w Madison, Ted dzwoniący, że nie zdąży na prom i nie należy się go już dziś spodziewać.

- Przepraszam, skarbie - powiedział. - Nie mam na to wpływu.

Nie masz wpływu, pomyślała Vicki. Myślałam, że rozmawiam z moim mężem Tedem Stowe'em, który wyciśnie z siebie ostatnią kroplę potu, krwi i pieniędzy, żeby rozwiązać problem. Nie podobał się jej ten przegrany głos Teda. Jej rak odbierał mu siły. Nie potrafił nawet poradzić sobie z korkiem i przegrzanym silnikiem. Postanowił położyć się i umrzeć.

- Potrzebuję cię dzisiaj - oznajmiła. - Dzieci na ciebie czekają. Blaine o niczym innym nie mówił przez cały tydzień. Nie możesz po prostu nie przyjechać. Jedź taksówką na najbliższe lotnisko i przyleć.

- A samochód? Jest pełen bagaży.

A, bagaże: skrzynka chardonnay z ich ulubionej winnicy w Russian River Valley, którego była tak spragniona, wszystko to, co w ilościach hurtowych kupowała w BJ - papierowe ręczniki, proszki i płyny do mycia, kartony soków, pampersy. I rowerek Blaine'a, pudełko ulubionych książeczek, farby i ciastolina, jej witaminy (zapomniała o nich celowo, bo nimi wymiotowała). Dodatkowe walizki, z których jedna zawierała jasną perukę.

Ostrożnie dotknęła portu. Założył go chirurg, a nowy onkolog, doktor Alcott, zdecydował się od razu podać pierwszą dawkę chemii.

- Dlaczego nie? - powiedział (z takim wdziękiem, pomyślała Vicki, jakby zgadzał się poczęstować ją kawałeczkiem cytrynowej tarty na deser). Musiała przyznać, że fizycznie nie czuła się ani lepiej, ani gorzej niż do tej pory. Ciągle czekała, aż coś się zmieni - czy chemia działa, czy pożera komórki raka, ale lekarze mogli jej zagwarantować tylko jedno: że mleko w jej piersiach zmieni się w truciznę. Jej piersi punktualnie co trzy godziny rozpalały się bólem i gorączką, ale nie mogła karmić dziecka. Porter krzyczał przez całą pierwszą noc. Nie chciał butelki, choć Brenda zdołała go napoić odrobiną wody z kubka. Jednak wszystko mogło wyglądać o wiele gorzej, powtarzała sobie. Nie miała mdłości, włosy nie zaczęły jej wypadać całymi kłębami, jak się obawiała. Brenda zatrudniła pracownika lotniska do opieki przy dziecku, miał zacząć od przyszłego tygodnia, a słońce pięknie świeciło. Kiedy Ted przyjedzie, pójdą na plażę jak normalna rodzina i będą się opalać jakby nigdy nic. Jednak po tej rozmowie zrozumiała, że wszystkie nadzieje łączyła z tym właśnie dniem, piątkiem, dniem przyjazdu Teda, jakby jej mąż miał tu wjechać na białym koniu. Tymczasem nic z tego. Ted nie może zostawić samochodu pełnego gratów. Vicki zaczęła na rozpacz, ale poczuła tylko przerażającą pustkę. Wcale jej to nie obeszło. Spóźnienie Teda znajdowało się na liście Rzeczy Już Nieważnych.

Rozłączyła się. Blaine i Brenda siedzieli na ganku, rzucając kamyki do papierowego kubka. Porter w samej pieluszcze rozpiął się na skromnym trawniczku. Pożerał mleczko. Melanie po raz trzeci brała prysznic w kabinie na dworze. Z jakiegoś powodu po prysznicu na dworze czuła się lepiej. Twierdziła, że przestaje wtedy myśleć o Peterze.

- Przepraszam, że zużywam wodę - dodała.

- A co tam - odpowiedziała Vicki.

Vicki przyglądała się swoim dzieciom. Szczęśliwe, radosne, nieświadome. Też chciała być szczęśliwa. Co da jej szczęście? Tak w ogóle? Co zrobić, żeby być szczęśliwszą niż teraz? W jej głowie niczym grecki chór rozbrzmiewały głosy osób z grupy wsparcia dla chorych na raka.

Zmusz się do walki. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się poddać.

Vicki dotknęła ramienia Brendy w chwili, gdy siostrze udał się pierwszy celny rzut.

- Ha! - ucieszyła się Brenda. - Dwa punkty dla cioci Brendy.

- Bren - odezwała się Vicki. Brenda podniosła głowę.

- Co?

Vicki dała jej znak, żeby weszła do domu, ale najpierw sprawdziła, czy furtka jest zamknięta na zasuwkę - jej dzieciom niewiele potrzeba, żeby powędrowały w siną dal przez Shell Street.

- Nie waż się drgnąć - zapowiedziała Blaine'owi.

- I nie oszukuj - dodała Brenda. - Poznam, jak będziesz oszukiwać.

Wściekły Blaine rzucił kamykiem i przewrócił kubek.

- Co jest? - spytała Brenda.

- Ted przyjedzie dopiero jutro.

- Oż cholera.

- Utknął w korku i chyba silnik mu się przegrzał, czy coś tam. Przyjedzie rano.

- Poradzisz sobie?

- Zadzwoń do niańka.

- Co?

- Do tego chłopaka. Spytaj, czy mógłby przyjechać.

- W tej chwili?

- Za godzinę. Chcę wyjść.

- Wyjść? A nie czujesz się przypadkiem...

- Chcę wyjść - powtórzyła Vicki. - Z tobą i Mel. Chcę iść do miasta, napić się wina. Zjeść kolację. Chcę do Club Car.

- Chcesz do Club Car?

- Dzwoń po niańka. Dzwoń po taksówkę. Dzwoń do knajpy. - Vicki nabrała tchu. Sypała rozkazami jak z ręka, ale pragnienie miała jedno: wyjść z dziewczynami. Poczuć się jak normalny człowiek.

Josh podjechał pod dom o siódmej. Furtka była zaryglowana, drzwi zamknięte, papierowy kubek z kamykami stał na środku kamiennego chodnika. Wysiadł z dzipa. Wziął prysznic i ogolił się, ale potem, ponieważ poczuł, że za bardzo się szykuje jak na zwykłą opiekę nad dzieckiem, włożył dzinsy i sweter Red Soksów. Musiał zadzwonić do ojca.

- Zostawię kolację w lodówce - powiedział.

- Idziesz na imprezę u Zacha? - spytał ojciec.

- Nie. Będę się opiekować dzieckiem.

W słuchawce, a jakże, zapadła cisza. Taka, jak we wtorkowy wieczór, nad smażonym kurczakiem i kartoflaną sałatką z garmażerii, kiedy Josh oznajmił, że zrezygnował z pracy na lotnisku.

Tamtego wieczoru, po głębszym niż zwykle łyku piwa, Tom Flynn spytał:

- Jak będziesz zarabiał?

- Opieką nad dzieckiem - palnął Josh. Czekał, aż ojciec okaże zaskoczenie lub niedowierzanie, ale przecież miał przed sobą człowieka, który po piętnastu latach małżeństwa znalazł żonę wiszącą na belce na strychu. Jego twarz nie wyrażała niczego. - Nad tymi dwoma chłopcami w Sconset - dodał. - Dostanę więcej niż na lotnisku. Będę więcej na świeżym powietrzu. Te trzy kobiety... - Pokręcił głową. To zbyt skomplikowane, żeby wdawać się w wyjaśnienia. - Matka ma raka.

Tom Flynn wbił na widelec kawałek lodowej sałaty.

- Dopracujesz do końca tygodnia na lotnisku?

Josh dopracował do końca tygodnia i dziś, w piątek, był jego ostatni dzień. Carlo postawił mu piwo w restauracji na lotnisku, potem drugie i trzecie, w związku z czym Josh zaczął się zastanawiać, czy nie pójść na imprezę u Zacha pomimo nieuniknionej i irytującej obecności Didi. Potem zadzwoniła jego komórka, wyświetlając nowojorski numer. Brenda. Miała ten sam zdesperowany ton, jak wtedy, gdy dzwoniła w sprawie zaginionej książki. Czy mógłby za godzinę przyjechać, żeby zająć się dziećmi?

Nie chcąc zaczynać u nowego pracodawcy od złego wrażenia, poczuł się zobowiązany do prawdomówności.

- To mój ostatni dzień w starej pracy. Wypiłem trzy piwa.

W słuchawce zapadła cisza.

- Napij się kawy - powiedziała Brenda po chwili. - I przyjedź o siódmej. Przygotujemy dzieci do snu. W życiu nie zarobiłeś łatwiejszych pieniędzy.

Josh zapukał do drzwi. Niespodziewanie otworzyły się same. Jeszcze nigdy nie był w żadnej z tych chatynek w Sconset; spodziewał się, że unosi się w nich zapach jak w bibliotece albo muzeum - starości, kurzu, zastoju. Ale w salonie pachniało czystymi włosami i perfumami, lakierem i furkoczącymi spódnicami. Na sofie siedziały trzy... trzy co? Trzy misie? Trzy laleczki? Trzy *kobiety wysiadają z samolotu*. Uśmiechały się do niego, jakby tylko jego na całym świecie miały ochotę zobaczyć. Czy istnieje jakaś legenda o trzech syrenach, które sprowadzają marynarzy na mieliznę? Josh wiedział, co powiedziałby Chas Gorda: słuchaj, obserwuj, chłoń. Josh w końcu znalazł swój temat. Temat tego lata.

Vicki, matka, była najszczęśliwsza z całej trójki. Włożyła czarną letnią sukienkę bez rękawów, włosy przytrzymała opaską. Usta miała umalowane, Josh zauważył ślad szminki na brzegu kieliszka. Usiłował pomyśleć: rak, chemioterapia, ale te słowa tu nie pasowały. Vicki chodziła po pokoju bosą, trzymając w ręku czarne szpilki.

- Zwykle zostawiam opiekunce listę - odezwała się. - Ale tego lata nic z tego. Tego lata nie będzie żadnych list. Brenda zapewnia, że jesteś kompetentny, masz wielkie doświadczenie z dziećmi i potrafisz zmienić pieluchę.

Josh miał za sobą dwie filiżanki kawy, colę i orzeźwiający prysznic, ale w głowie i tak mu szumiało, albo od piwa, albo z powodu osobliwości tej sytuacji. Coś go chwyciło za kostkę - niemowlę, które podstępnie przyrączkowało od tyłu. Poczul się jak bezczelny uzurpator. Pochylił się i wziął dziecko na ręce. Gdyby któryś ze stu gości Zacha go teraz zobaczył...

- Tak - powiedział.

- Świetnie. Bajeczki są na stoliku przy łóżku. Połóż ich o ósmej. Butelka Portera jest w podgrzewaczu na stole. Nakarm go przed snem. - Zastanowiła się. - To było podobne do listy?

- Nie. - *Tak*.

- Dobrze. Numer komórki mojej siostry jest na stole. Będziemy w Club Car.

- W porządku. - Niemowlę ciamkało mu koszulę; mała mokra rączka chwyciła go za ucho.

- Blaine ma przed snem wysuszać się dwa razy i umyć zęby. Nie pozwól mu jeść pasty, bo to uwielbia. A Portera zapakuj w czystego pampersa. Dziś jest za gorąco na pizamę. Materac na podłodze należy do nich, ale zwykle pozwalam im zasypiać w dużym łóżku, potem ich przenoszę. Możesz zrobić to samo. - Uśmiechnęła się do niego. Jest ładna, pomyślał. Bardzo ładna mama. - Nie do wiary - dodała. - Zrobiłam listę. Werbalną listę z co najmniej dziesięcioma punktami. Przepraszam. Już spadam. - Wyszła z pokoju. W progu obejrzała się jeszcze. - Nawiasem mówiąc, z tym dzieckiem w ramionach wyglądasz słodko.

- O - powiedział.

- Słodko - szepnął mu do ucha ktoś inny. Odwrócił się i ujrzał Brendę, w zielonej sukience bez ramiączek. Znowu zieleń. Zdecydowanie syrena. Poszła za siostrą. Taksówka zatrzymała się przed domem.

- Cześć, Josh. - Melanie stała przed nim w białych spodniach i niebieskim topie w kwiaty, który odsłaniał parę centymetrów brzucha. Kędzierzawe włosy otaczały twarz, a ona patrzyła na niego nieśmiało i jednocześnie z nadzieją.

- Mój mąż nadal się nie odzywa - oznajmiła.

- He? - wybełkotał Josh. Zaczął się zastanawiać, czy nie odbyli jakiejś rozmowy, o której zapomniał.

- To palant - dodała. Oczy jej lśniły. Co tu się dzieje? - A tak przy okazji, Blaine jest w sypialni, ogląda *Scooby-Do*.

- Doobra - odrzekł Josh.

Melanie wyszła i wsiadła do taksówki. Usiłował jej pomachać ręką niemowlaka, ale mały zaczął kwilić i Josh uznał, że najrozsądniej będzie zamknąć drzwi.

Pora zabierać się do roboty, pomyślał.

Josh zajrzał do sypialni. Blaine leżał na łóżku i oglądał *Scooby-Doo* na czterocalowym przenośnym odtwarzaczu DVD.

- Cześć - odezwał się Josh.

Blaine spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co ty tu robisz?

- Opiekuję się tobą.

- Nie! - wrzasnął Blaine i rozplakał się. Niemowlę, które do tej pory zadowalało się obślinianiem swetra Josha, zaczęło się niepokoić.

- Stary, wyluzuj. Twoja mama poszła tylko na kolację. Wróci.

- A mój tata? - spytał Blaine. Zrzucił kopniakiem DVD z łóżka. Aparat wylądował do góry nogami na podłodze, jakiś kawałek odprysnął i przeleciał przez pokój, ale blaszany głosik Velmy nadal mówił, że trzeba ścigać ducha. Josh w pierwszej chwili chciał ratować sprzęt, ale zmienił zdanie. Pamiętał, jak Blaine rzucił się ze schodków samolotu na Melanie. Smarkacz był nieobliczalny.

- Chcesz obejrzeć do końca? Czy... się pobawimy? Widziałem, że rzucaliście kamieniami na dworze. Chcesz?

- A mój tata? - ryknął Blaine.

Porter darł się już na całego. Płacz niemowlęcia, pomyślał Josh, to najgorszy hałas świata.

- Nic nie wiem na temat twojego taty.

- Miał dziś przyjechać! - Blaine był czerwony aż po czoło; purpura przeświecała także między jego mlecznobiałymi włosami.

- No tak, hm... - Josh zastanawiał się, dlaczego trzy syreny wyszły tak pospiesznie, dlaczego szły ścieżką na palcach, jak skradające się kotki.

Vicki pominęła jeden punkt listy, ważny punkt. Blaine spodziewał się przyjazdu ojca.

- Zjesz sobie trochę pasty?

- Nie! - zawył Blaine. Podbiegł do drzwi wyjściowych, zamkniętych na klucz. Zawrócił i runął na siatkowy ekran kuchennych drzwi.

- Powoli! - zawołał Josh. Auć. Blaine odbił się od siatki i upadł na pupę, ale przedtem zrobił w ekranie wybrzuszenie wielkości swojego niedużej osoby. Wrzasnął, dotknął twarzy i pokazał Joshowi zakrwawioną rękę. Trzy syrenki wybyły niespełna dziesięć minut temu, a już doszło do zniszczenia mienia i obrażeń cielesnych. Chłopcy płakali stereo. Josh zamknął kuchenne drzwi. Jeśli sąsiedzi usłyszą, wezwą policję. Posadził płaczącego niemowlaka na podłodze i poszedł do łazienki po mokry ręcznik. Łatwe pieniądze, ha, ha, ha.

To rozumiem, pomyślała Vicki. Taksówka zbliżała się do centrum, podskakując na brukowanych uliczkach zapchanych pełnymi bagażów SUV-ami, pewnie prosto z promu, którym miał przybyć Ted. Chodniki kipiały życiem - pary szły na kolację albo do galerii sztuki na Starym Wybrzeżu Południowym, studenci zmierzali na drinka do Gazebo, z jachtów schodziły załogi, wypatrując miejsc, gdzie można uzupełnić zapasy żywności - taka była Nantucket w letni wieczór. Vicki za tym przepadała. Za długo zasiedziała się na planecie Rak.

Z torebki Brendy dobiegły stłumione dźwięki Beethovena.

- Pewnie Ted - mruknęła Vicki. - Dzwoni z przeprosinami.

Brenda wyjęła telefon i spojrzała na wyświetlacz.

- Nie.

Wyłączyła komórkę i schowała do torebki. Vicki i Melanie przez chwilę patrzyły na nią.

- Czy to był John Walsh? - spytała Melanie.

- Nie on.

- Znowu twój prawnik? - zgadła Vicki.

- Cicho bądź - warknęła Brenda, zerkając z ukosa na Melanie.

- Obiecałam Johnowi Walshowi, że oddzwonisz - odezwała się Melanie. - Mam nadzieję, że z nim rozmawiałś. Kurczę, dzwonił w niedzielę.

- Nie oddzwoniłam - wycedziła Brenda. - A ty nie miałaś prawa mu tego obiecywać.

- Dziewczyny - zainteresowała Vicki. - Czy my jedziemy się zabawić?

Taksówka zatrzymała się przed restauracją. Melanie zapłaciła.

- Dzięki, Mel - powiedziała Vicki.

- Wielkie dzięki - dołączyła Brenda, nieco wrednym tonem.

- Ja stawiam kolację - dodała Vicki, jakby ktoś w to wątpił.

- Sama chciałaś - mruknęła Brenda.

Sama chciałam, pomyślała Vicki, ale kiedy już usiadły przy stole - białe serwetki, kieliszki do wina i talerze z miecznikiem w orzechowej panierce i łososiem w cieście filo - pomysł wydał się genialny. Vicki zamówiła butelkę oburzająco drogiego chateau margaux, bo skoro miała pić, to niech to będzie coś dobrego. Nawet Melanie wzięła kieliszek; Vicki zachęcała ją jak zdemoralizowana licealistka, która sprowadza prymuskę na złą drogę. *Jeden kieliszek ci nie zaszkodzi.* Ale Melanie upiła się tym jednym kieliszkiem - może z powodu braku doświadczenia - i zrobiła się gadatliwa.

- Zadzwoiłam do Frances Digitt. Peter u niej był.

- O rany - mruknęła Vicki. - Nie gadaj.

- Musiałam.

- Musiałaś? - podchwyciła Brenda.

- Spytałam, czy chce, żebym wróciła.

- I co powiedział?

- Nic.

Brenda zrobiła wdech, jakby chciała coś powiedzieć, ale mocno zacisnęła usta.

- Co? - podchwyciła Melanie.

- Nic. Tylko paru spraw nie rozumiem - burknęła Brenda.

- Też nie rozumiem paru spraw - odparowała Melanie. - Na przykład po co ci prawnik albo dlaczego nie odbierasz jego telefonów.

- Mel... - odezwała się Vicki.

Opowiedziała Melanie o tym, co przydarzyło się Brendzie, wyrzuconej z Champion za związek z Johnem Walshem, ale tylko wspomniała o prawnych problemach siostry, głównie dlatego, że wiedziała o nich tylko tyle, ile

usłyszała od matki. Na uczelni prowadzono dochodzenie w sprawie aktu wandalizmu na dziele sztuki, będącym własnością uczelni. Brenda nie wspomniała o tym Vicki, może dlatego że, jej zdaniem, siostra wiedziała już wszystko od matki. Od lat obie uzyskiwały o sobie nawzajem informacje za pośrednictwem matki, która nie miała zrozumienia dla tajemnic, przynajmniej nie wtedy, gdy dotyczyły rodziny.

- Co? - rzuciła Melanie z płonącymi policzkami. - Ona wie o moich brudach. Jak wszyscy, to wszyscy.

- Wiem o twoich brudach tylko dlatego, że nie potrafisz o nich nie gadać - warknęła Brenda.

- Dość! - ucięła Vicki. - Zmieńmy temat.

- Właśnie - burknęła Melanie.

- A proszę bardzo - prychnęła Brenda. - Co sądzicie o Joshu?

- Jest wspaniały - powiedziała Melanie i jeszcze bardziej się zaróżowiła.

- No, no - mruknęła Brenda.

- Dlatego go zatrudniłaś - dodała Melanie. - Nie udawaj, że nie. Słyszałam, że masz słabość do młodszych.

Vicki dotknęła jej ramienia jak łagodny sędzia na ringu.

- Jak jedzenie? Smakuje ci?

Melanie kolnęła widelcem stek, którego prawie nie tknęła.

- Wspaniały. Ale ciężki. Boję się znowu rozchorować.

- Ciągle źle się czujesz?

- Ohydnie. - Melanie odsunęła wino. - Nie chcę.

- Ja wypiję - powiedziała Vicki.

Brenda przeszła Melanie złym wzrokiem.

- Do twojej informacji, John Walsh, mój były student, nie był młodszy. Jest ode mnie o rok starszy.

- Naprawdę? Myślałam, że Vicki powiedziała...

- Wiesz, że Ted przywiezie tę imbirową herbatkę, o której ci opowiedziałam? - wtrąciła szybko Vicki. -

Uspokoi ci żołądek.

- Więc, proszę, koniec z aluzjami o młodszych mężczyznach - ciągnęła Brenda. - Są nie tylko obelżywe, ale i nietrafione.

- Dobrze - zgodziła się Melanie. - Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać - pocieszyła ją Vicki.

- Musi, musi - syknęła Brenda.

Vicki odłożyła widelec. Ludzie dokoła raczyli się smakowitymi potrawami, prowadzili przyjemne konwersacje - czy zbyt wiele wymaga, chcąc być przez ten jeden jedyny wieczór taka, jak oni?

- Na deser chcę szampana - oznajmiła.

- Och, Vick... na pewno? - spytała Brenda.

Vicki skinęła na kelnera. W tej samej chwili zadzwoniła komórka Brendy.

- Powinnaś ją wyłączyć - mruknęła Vicki. Brenda spojrzała na ekran.

- Ted? - spytała Vicki.

- John Walsh? - pospieszyła Melanie. A potem, z takim przejęciem, że serce się ścisnęło: - Peter?

- Nie - zgrzytnęła Brenda. - Mama.

- Boże. Wyłącz to dziadostwo - powiedziała Vicki.

Josh zdołał jakimś cudem umyć Blaine'owi twarz (zadrażnienie było mikroskopijne; Vicki pewnie by nie zauważyła, gdyby Blaine się nie uparł, żeby mu przylepił największy plaster z apteczki). Blaine, opatrzony i zawstydzony własnymi breweriami, uspokoił się. Ale Porter nadal zawodził, a Josh nie miał pojęcia, co z nim zrobić.

- Daj mu butelkę - powiedział Blaine. - Nie będzie chciał, ale mama mówi, że musimy ciągle próbować.

Josh wyjął butelkę z podgrzewacza, sprawdził na wewnętrznej stronie nadgarstka, jak w tym filmie o trzech dorosłych facetach, którzy nie znają się na dzieciach, ale nagle muszą się zaopiekować niemowlęciem, a następnie spróbował nakarmić Portera, trzymając go na ręce. Nic z tego. Niemowlak był za ciężki, żeby go tak trzymać i nie chciał butelki. Rzucił ją na podłogę i wrzasnął, tak bardzo rozdziawiając usta, że widać mu było migdałki. Blaine przyglądał się zajściu z umiarkowanym zainteresowaniem.

- On tak zawsze? - spytał Josh.

- Tak. Ale mama mówi, że musimy ciągle próbować.

- No, dobrze - westchnął Josh. Wyczuł, że Blaine zaczyna się do niego przekonywać, choć nie ośmielił się na zbyt optywizm. Trzymał Portera na jednej ręce, a butelkę miał w drugiej, poza zasięgiem rączek małego. Liczył, że w ten sposób go zainteresuje. Tymczasem Blaine ciężkim krokiem udał się do sypialni, gdzie wyłączył DVD, wyjął wtyczkę z kontaktu, owinął wokół dłoni, zamknął aparat, znalazł pod łóżkiem odłamany kawałek i całość włożył do komody matki. Zachowuje się jak stary malutki, pomyślał Josh. Potem stary malutki zgarnął poduszkę i koc, a także trzy książeczki i wyszedł z pokoju, nie obdarzywszy Josha nawet jednym spojrzeniem, choć rozumiało się samo przez się, że Josh powinien za nim podążyć.

Znaleźli się w łazience, gdzie Blaine umył zęby, zrobił siusiu (nie dosięgał do łańcuszka spluczki, więc Josh mu pomógł) i, jakby robił to codziennie, wszedł z kocem, poduszką i książkami, do wanny. Umościł się wygodnie.

- Chyba żartujesz.

- Siadaj - rozkazał Blaine. Podał mu książeczkę *Słoń, który wysiedział jajko*. - Poczytaj mi.

Josh usiadł. Niemowlak też. Niemowlak był chyba tak samo zbity z tropu, jak Josh, bo ucichł. Josh postawił butelkę na opuszczonej klapie toalety. Otworzył książkę, odchrząknął i zaczął czytać.

Po paru minutach pomyślał: Wszystko się zgadza, słoń Horton to ja. Wysiadam jajo za leniwego ptaka Ma- isy, który pofrunął na Palm Beach. Gdyby ktoś od Zacha mnie teraz zobaczył, nabijaliby się ze mnie tak samo, jak zwierzęta z dżungli kpiły z Hortona. Jestem takim samym cudakiem. Chcę dobrze, ale znalazłem się nie na swoim miejscu. Nie mam doświadczenia. To nie są łatwe pieniądze. Zwabiło mnie tu pożądanie do syreny i szalone wraże- nie, że ta trójka i ja jesteśmy jakoś połączeni. Jestem kretynem, idiotą. Zrezygnowałem z lotniska. Debil. Horton.

A jednak, zanim skończył czytać, w łazience zapanowała cisza. Blaine zasnął w wannie. Porter, leżący na boku na chłodnych kafelkach, wysał całą butelkę. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Wypił wszystko do dna i podpełzł do Josha. Josh podniósł go, a wtedy mały beknął.

- Grzeczny chłopczyk - powiedział Josh. - Grzeczny niemowlak.

W sypialni zmienił mu pieluchę. Wyszło krzywo, ale przynajmniej właściwą stroną do przodu i Porter wy- glądał na dość zadowolonego. Gdzieś w fałdach pościeli znalazł smoczek. Włożył go do ust i wierzgnął z ukonten- towaniem.

- Chcesz spać? - spytał Josh. Dałby głowę, że mały kiwnął głową. Dopiero się ściemniło, ale Josh był wy- kończony. *Trzy misie*. Zdjął buty i położył się na łóżku obok Portera. Porter chwycił go za ucho. Do kogo należy to

łóżko? - pomyślał Josh, choć wiedział, że do Vicki. Nowotworowe łoże. Pomyślał o łóżku Brendy i Melanie. Potem zadzwoniła jego komórka.

Spojrzał na Portera - śpi. Uradowany, otworzył klapkę komórki. Odezwał się równie radosnym tonem, choć na ekranie zobaczył numer Didi.

- Halo?

W tle łomotała rytmicznie muzyka. I otóż głos Didi, przyjemny i kojący jak brzęk szkła na asfalcie.

- Josh? To ty? Przyjdiesz do Zacha? Josh?

Josh rozłączył się i zamknął oczy.

Tę historię opowiedziano tyle razy, z taką samą precyzją szczegółów, że już nie wydawała się prawdziwa, a jednak była: Victoria Lyndon poznała Theodore'a Adlera Stowe'a przy nocnym pokerze o wysoką stawkę.

Vicki mieszkała na Manhattanie już ponad rok, kiedy odkryła istnienie pokera. Uważała się za imprezową dziewczynę - dla niej nigdy nie było za późno ani zbyt wariacko, nigdy nie traciła rozpędu - choć nie należy zapominać, że dni powszednie upływały jej na biurowej pracy w zdominowanej przez kobiety kancelarii prawniczej, a weekendy spędzała zgodnie ze studenckim zwyczajem na kolacjach w tanich etnicznych knajpach, a potem na drinkowaniu w kolejnych barach na Upper East Side, zamieszkanym przez najnowszą falę absolwentów Duke, Princeton, Stanford i Williams. Vicki była gotowa na odmianę, podkreślenie obrotów, na coś prawdziwie nowojorskiego, więc kiedy znajomy znajomego, niejaki Castor - który miał długie czarne włosy i nosił srebrną biżuterię - zaprosił ją na partyjkę pokera o północy w Bowery, wydyszała do telefonu: tak, tak, tak!

Spotkała się z Castorem przed budynkiem, który niegdyś był pewnie magazynem, ale miał okna bez szyb, zabite deskami, drzwi z licznymi ranami postrzałowymi i ogólnie rzecz biorąc, bardzo przypominał melinę. No dobra, pomyślała Vicki, to pewnie jakiś żart. Albo Castor chce mnie nastraszyć. Albo zamordować. Bo właściwie co ja wiem o Castorze? A może pomyliła adres. Ale podał go bardzo dokładnie i to było właśnie tu. Pół przecznicy dalej grzmiała muzyka, a mimo to Vicki mocno zaciskała w dłoni gwizdek alarmowy. W kieszeni skórzanych spodni miała trzydzieści dolarów, szminkę i klucze.

Castor otworzył drzwi budynku od środka.

- Wchodź! - powiedział.

We wnętrzu pachniało spalonymi włosami. Schody kleiły się od - czego? krwi? moczu? - i słychać było chrobot szczurzych łapek.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Na górę. Na samą górę.

Szła za nim po schodach, korytarzem, w którym panowała nieprzenikniona ciemność, po następnych schodach, ku drzwiom obramowanym zielonym światłem.

- Kolor pieniędzy - powiedział Castor.

Weszli do ogromnego jak pieczara pokoju, urządzonego w stylu tajnych spelunek z lat dwudziestych. Ktoś tu mieszkał - mały łysy człowieczek, niejaki Doolie, jak się okazało - dziki lokator. Zrobił z tego pokoju najpopularniejszą pokerową spelunkę w mieście. Trzyosobowy zespół w kącie grał jazz. Studenci Juilliard, wyjaśnił Castor. Był też bar, a kopia Rity Hayworth w czerwonej sukieneczce z lat dwudziestych serwowała wielkie kanapki z mieloną. Centrum wydarzeń stanowił okrągły stół na dwanaście osób, choć połowa krzeseł była pusta. Tu grano w pokera - sześciu mężczyzn łpiących na siebie spode łba.

- Stawka wynosi sto dolarów. - Castor wręczył Vicki banknot. - Masz, zasponsoruję ci pierwszy raz.

- Nie mogę, przegram.

- Nie znasz reguł?

- Znam. - W Duke grała w pokera, a jeszcze wcześniej w domu, przy stole w kuchni razem z rodzicami i Brendą bawiła się w śmieszne karciane gry. Kompletnie inne od tego rodzaju pokera.

- Więc zagraj. - Castor pchnął ją w stronę pustego krzesła. Tylko jeden mężczyzna raczył podnieść oczy. Młody, z brązowymi włosami i ciemnozielonymi oczami. Wyglądał na studenta. Ten młodzik - ku przerażeniu Vicki - był dokładnie taki, jak setki facetów, których spotykała w barach. Bluza Dartmouth Lacrosse. W pierwszej chwili pomyślała: skoro ktoś tak przeciętny jak ty ma dostęp do tego miejsca, to nie może być aż tak fajne. Ale inni byli starsi i roztaczali aurę ludzi, którzy wiedzą, co robią.

- Wchodzisz do następnego rozdania? - spytał młodzik.

Położyła stówę na stole.

- Na to wygląda.

Pozostałym błysnęły oczy. Zapragnęli jej pieniędzy. Wygrała trójką dam. Mężczyźni, śmiejąc się, przysunęli pieniądze w jej stronę.

- Lala wygrała.

- Nazywam się Vicki.

Zagrała znowu i wygrała fulem. Castor przyniósł jej martini. Pociągnęła potężny łyk i pomyślała: teraz dam spokój. Do stolika przysiadły się dwie kobiety i Vicki wstała.

- O, nie - odezwał się jakiś starszy facet. Był z tych największych twardzieli o najgłośniejszym śmiechu, przywódcą. - Posadź tu ten swój ładny pączuszek i daj nam się odegrać.

Posłuchała i trzecie rozdanie wygrała pokerem.

Potem to ona rozdawała. Przy tasowaniu ręce jej trochę drżały. Pomyślała o Szalonych Ósemkach z Brendą i zrobiła „wodospad”. Mężczyźni znowu się roześmieli. *Lala*. Przez następne dwa rozdania pauzowała, potem wygrała. Zjadła pół kanapki z mielonką, wypila drugie martini. Była trzecia rano, a ona w życiu nie czuła się bardziej rześko. Za cztery godziny miała iść do roboty, ale to nie miało znaczenia. Młodzik z Dartmouth palił cohibę. Chcesz? - spytał. Pewnie, czemu nie. W następnym rozdaniu przegrała i dołączyła do Castora przy barze. Zespół ciągle grał. Co to za jedni? Studenci muzyki i literatury, powiedział Castor. Młoda Wall Street, młodzi projektanci, młoda Madison Avenue, młoda Siódma Aleja.

- To oni będą rządzić Nowym Jorkiem za dziesięć lat. Vicki czuła się tu obco. Ona nigdy nie będzie rządzić Nowym Jorkiem; nie potrafiła nawet podjąć decyzji o studiach prawniczych. A jednak wyszła z tego budynku o piątej nad ranem z dwiema setkami w kieszeni. Młodzik z Dartmouth zaproponował, że odprowadzi ją do domu; Castor ruszył w miasto, na ulicę Sto Dwudziestą, więc

Vicki musiała się zgodzić. Ulice były puste i odstrasające, a ona miała przy sobie tyle kasy.

- Dobrze dziś grałaś - powiedział młodzik.

- Fuks.

- Przyjdiesz w przyszłym tygodniu?

- Może. A ty często przychodzisz?

- Co tydzień. Podoba mi się. Jest inaczej.

- Z pewnością.

Przyjrzała mu się. Poza spelunką wydawał się wyższy i bardziej pewny siebie. Bardzo fajny. Westchnęła. W tej chwili zdecydowanie nie potrzebowała kolejnego faceta. Była mu wdzięczna, że ją odprowadził. Tylu facetów zachowywało się jak Castor: wybac, nie po drodze mi.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Ted Stowe.

Poszła na pokera w następny wtorek i jeszcze następny. Nikomu o tym nie powiedziała. W szufladzie na skarpety miała dwa tysiące dolarów, w środy przerwę obiadową przespiała w łazience. Ale była spragniona tego pokera. Castor odpadł w październiku. Pochłonęło go co innego. Ona została. Nauczyła się przed wyjściem fundować żółtodziobom grę z ugranych pieniędzy i nigdy nie wchodzić do łazienki, bo zawsze byli tam ludzie, którzy mieli gdzieś pokera i woleli narkotyki.

Ona chciała od świata tylko martini, połowę kanapki, cohibę, karty, Johna Coltrane'a i zielony, jarzący się kolor pieniędzy. Chyba tak musi się czuć mężczyzna, myślała.

Ted był tam co tydzień, choć grał okropnie. Czasami nie wygrywał ani razu.

- Cienias jesteś, Stowe - powiedział przywódca. Vicki wiedziała już, że ten twardziel z nowojorskim akcentem jest szefem Teda w firmie Smith i Barney. Nazywał się Ken Roxby.

Ted był zawsze dobroduszny, nigdy nie wpadał w gniew, nawet przegrawszy pięćset dolarów w pół godziny, nawet o czwartej nad ranem, nawet po pijaku.

- W golfa się na was odegram - powtarzał.

Pewnego razu ku swej rozpaczycy Vicki zapadła na gripę żołądkową i nie mogła iść na pokera. W środę rano zadzwonił jej telefon. Ted Stowe.

- Wczoraj wygrałem trzy rozdania.

- Niemożliwe!

- Zarobiłem pieniądze. Po raz pierwszy w życiu.

- A mnie przy tym zabrakło!

- A mnie zabrakło ciebie.

Przez chwilę żadne się nie odzywało. Ted odchrząknął.

- Słuchaj, zastanawiałem się...

- Nie sędzę.

- Nawet nie pozwoliłaś spytać.

- Nie chcę się umawiać z żadnym hazardzistą. Naprawdę. Tak jest dobrze i tak niech zostanie.

- W porządku - odparł. - Więc koniec z tym.

Myślała, że chodzi mu o koniec ich znajomości. A on właśnie skończył z kartami.

- Rzuciłbyś to dla mnie? - spytała.

- Wiesz, co mówią o waleniu się w głowę młotkiem. Jak przestaniesz, robi się jakoś miło.

I oto sytuacja dziesięć lat później: Vicki w łóżku z gigantycznym kacem. Miała ochotę zwalić winę na chemioterapię, ale objawy były zbyt oczywiste: suchość w ustach, pulsujący ból głowy, zgaga. Ubłagała Brendę, żeby zabrała dzieci na godzinę i przyniosła jej czekoladowe mleko. Brenda niechętnie usłuchała.

- Wiesz, nie jestem twoją niewolnicą - powiedziała, podając jej mleko.

Vicki omal nie użyła słowa „darmozjad”, co równałoby się z psiknięciem dezodorantem na zapaloną zapalniczkę, ale w tej samej chwili klapnęły siatkowe drzwi. Rozległy się szurania, ciężkie kroki i głos Teda:

- Gdzie moje potworki?

Vicki pociągnęła łyk czekoladowego mleka i osunęła się na pościel. Było trochę po dziewiątej; Ted musiał wstać o jakiejś nieludzkiej godzinie, żeby zdążyć na pierwszy prom. Nasłuchiwała jego przekomarzań z dziećmi i rozmowy z Brendą i Melanie. Ted Stowe, jej mąż. W innych okolicznościach po tygodniowej rozłące oczekiwałaby jego przybycia z niecierpliwością, może i tremą. Ale teraz czuła przerażającą pustkę.

Nie przyszedł do niej od razu. Najpierw zajął się dziećmi, potem rzeczami. Vicki leżała z zamkniętymi oczami, ale śledziła jego ruchy, kroki na brukowanej ścieżce, skrzyknięcie furtki, kłapięcia i trzaski otwieranych i zamykanych drzwi samochodu. Słyszała, jak przekomarza się z Melanie i zaczęło ją ciskać rozdrażnienie: twoja żona ma raka! Może byś raczył się z nią przywitać? Czuła się już na tyle zdrowa, że mogła wstać, ale wolała poczekać (dziecinada?), aż sam do niej przyjdzie.

A kiedy w końcu przyszedł, wszystko było nie tak. Od razu wiedziała, że tak będzie, poznała to po jego pukaniu do drzwi, po nieśmiałym głosie, gdy powiedział:

- Vicki? Vicki?

Nigdy nie nazywał jej Vicki, zawsze Vick. Zaczął się jej bać; stała się dla niego obcą osobą.

A jednak odbębnił wszystko jak należy. Ted ukląkł przy łóżku i pocałował ją w czoło jak chore dziecko. Ona wtuliła twarz w jego koszulę i poczuła jego zapach. Był dziwny, miała nadzieję, że to tylko hotelowe mydło.

- Jak reszta podróży? - spytała.

Przyjrzał się szklance z czekoladowym mlekiem.

- No, dojechałem.

Tak, dojechał, ale przez te tygodnie od diagnozy zmienił ale. Stał się pocziwiną. Jego głos, kiedyś grzmiący i dźwięczny, teraz był bojaźliwy i błagalny, a jeśli Vicki się nie myliła, Ted zaczął tyć. Przestał chodzić po pracy na siłownię. Wiedziała, że po jej wyjeździe z dziećmi pracował do późna i albo żywił się fast foodami, albo wyjadał z lodówki resztki zapiekank. Wieczory poświęcał na uciążliwe prace, do których Vicki namawiała go od lat, na przykład sprzątanie strychu. Teraz się do nich zabrał, bo Vicki miała umrzeć. W przeddzień wyjazdu Vicki na Nantucket zmarnował równowartość tysiący dolarów, ceremonialnie łamiąc kubańskie cygara nad kuchennym koszem na śmieci. O rany, Ted, powiedziała Vicki. Musiałeś?

Ich życie seksualne było w zaniku. Ted nabrał zwyczaju całowania ją w czoło i policzek; tulił ją, jakby była jego siostrą. Tego popołudnia, kiedy Porter drzemał, Brenda wyszła z Blaine'em na plażę, rzucając im znaczące spojrzenie. Ted zamknął drzwi sypialni i pocałował Vicki tak, żeby widziała, że się stara. Upadli na łóżko. Vicki sięgnęła pod jego szorty i... nic. Jego ciało nie zareagowało na dotyk. Po raz pierwszy od dziesięciu lat Ted nie miał erekcji. Odsunął się, wtulił twarz w gąbczasty materac.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Prawie nie spałem. Od tej wymówki serce się jej ścisnęło.

- To przeze mnie.

- Nie. - Dotknął jej warg. Ona także się starała. Wstała z łóżka, by się umalować, uperfumować i włożyć stringi - a wszystko po to, by ukryć fakt, że jest chora. Już sam port zniechęciłby każdego faceta. Czuła się równie pociągająca jak pilot do telewizora, jak otwieracz do puszek. Nie można było udawać, że to nie ma znaczenia. Mąż przyjechał, owszem, ale zabrakło czegoś ważnego.

Zasnęli w ciepłej, dusznej sypialni i obudzili się godzinę później, słysząc płacz Portera i głosy Brendy i Blaine'a, grających w salonie w grę planszową. Mogli być dla siebie czuli, wyrozumieli - a tymczasem się pokłócili. Ted wywlókł ich wczorajszą wyprawę.

- W dodatku do Club Car!

- No i cóż takiego?

- Tłumy bogatych, rozwiedzionych facetów, co szukają okazji.

- Nikt nie szukał u nas żadnej okazji. Daję ci słowo.

- I piłaś - dorzucił.

Nie mogła zaprzeczyć. Do obiadu wypłała trzy do czterech kieliszków wina, na deser dwa kieliszki veuve clicquot i kieliszek porto przy barze. Urznęła się na całego, rozkoszując się tym występkiem. Czowała się jak na skrzydłach, porzuciła swoje ciało. Doktorzy Garcia i Alcott zabronili jej pić, ale czowała się tak fantastycznie, że nie rozumiała przyczyn tego zakazu. Zapragnęła nawet iść na tańce i parę piwek, ale Melanie jęknęła i ziewnęła, a Brenda ją poparła.

- Już późno - oznajmiła. - Dość wypłaś.

- Piłam - przyznała teraz Vicki, patrząc na Teda, czekoladowe mleko, już skwaśniałe i zwarzone, stało ciągle na jej stoliku przy łóżku.

- To nieodpowiedzialne - powiedział Ted.

- Jesteś ojcem Blaine'a i Portera - powiedziała, wstając. W głowie się jej kręciło i dostała mdłości. - Nie moim.

- Jesteś chora, Vicki.

Vicki pomyślała o kręgu osób, które stanowiły jej grupę wsparcia dla chorych na raka. Ostrzegały ją, że do tego dojdzie: „Staniesz się swoim rakiem. Rak tobą zawładnie, zdominuje cię”. To samo dotyczyło ludzi z grupy. Vicki знаła tylko ich imiona, rodzaj raka i jego stadium. Maxine, rak piersi, stadium drugie; Jeremy, rak prostaty, stadium pierwsze; Alan, trzustka (w przypadku raka trzustki nie ma stadiów, zawsze jest śmiertelny); Francesca, rak mózgu, stadium drugie, i prowadząca grupy, Dolores, ziarnica złośliwa, pięć lat remisji.

- I co z tego? - spytała Vicki, rak płuca, stadium drugie. - Jestem dorosła. - Mogę robić, co chcę. Chciałam się rozerwać z moją siostrą i Mel. Zabawa nie jest zabroniona, wiesz? Nawet dla ludzi z rakiem.

- Musisz o siebie dbać. Jadłaś kapustę i brokuły? Witaminy zostawiłaś w domu. Doktor Garcia mówił...

- Nie masz pojęcia, co czuję - wysyczała. Wymaszerowała do drugiego pokoju, minęła Brendę i Blaine'a, poszła do kuchni, gdzie chwyciła butelkę. Zdumiewające, jedno się psuje, inne zaczyna układać. Wczoraj Josh zdołał nakarmić Portera z butelki, a dziś ona, i to jakby nigdy nic, bez najmniejszego protestu. Wróciła jak burza do sypialni i zamknęła drzwi. Ted kołysał Portera, usiłując go rozbawić.

- Masz butelkę.

- Weźmie?

- Wczoraj wziął od Josha i dziś rano ode mnie.

- Od jakiego Josha?

- Opiekuna.

- To chłopak?

- Chłopak.

- Jaki chłopak?

- Student drugiego roku w Middlebury. Spotkałyśmy go na lotnisku w dniu przyjazdu, a teraz opiekuje się dziećmi.

Ted usiadł na łóżku i zaczął karmić Portera.

- Nie wiem, co myśleć o chłopaku opiekującym się dziećmi.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Jaki facet chce się opiekować dziećmi? To gej? Pedofil?

- Naprawdę myślisz, że zatrudniłabym pedofila? Josh jest wyjątkowo normalny. Wysportowany, przystojny, zdecydowanie hetero. Kawalek towaru, szczerze mówiąc.

- Chcesz mnie zastąpić?

- Przestań.

- To pomysł Brendy?

- Tak jakby. Ale proszę cię, nie...

- Ha! Wiedziałem. Twoja siostra jest pedofilką.

- Ted, przestań!

- Będzie uprawiać seks z opiekunem naszych dzieci.

- Ted! - Nie wiadomo dlaczego, Vicki zrobiła się zazdrosna. Josh nie należał do Brendy! Kiedy wczoraj wrócili do domu, wszystkie trzy stanęły nad Joshem, leżącym w łóżku z Porterem, i mało brakowało, a zaczęłyby cmokać z zachwytu. Potem Josh otworzył oczy i drgnął - był jak Śnieżka, budząca się pod ciekawym spojrzeniem krasnoludków. Vicki zaczęła się śmiać, potem Brenda, potem Melanie spytała, czy Josh chce, żeby odprowadziła go do samochodu, od czego Vicki i Brenda rozchichotały się tak strasznie, że prawie się posusiały. Josh był trochę urażony, a może tylko zawstydzony, że go przyłapały na spaniu, ale zdał Vicki szczegółowy raport, a ona tak się ucieszyła z powodu Portera i butelki, że dała Joshowi sto dolarów i wszyscy odzyskali dobry humor. Nie chciała słuchać wyrzutów za to, że zatrudniła chłopaka do opieki przy dziecku, i nie podobały się jej insynuacje, że Josh znalazł się tutaj w związku z Brendą.

- Wiesz co, zamknij się - rzuciła. I w ostatniej chwili powstrzymała pytanie: po co tu w ogóle przyjechałeś?

Później, kiedy emocje trochę ostygły, poszli na spacer. Wyjdźmy z tego domu, pomyślała Vicki. Był tak ciasny, z tak niskimi stropami, że słowa i uczucia gęstniały, odbijały się od ścian i podłóg, zamiast swobodnie odpływać.

Włożyli chłopców do podwójnego wózka i ruszyli ulicą Baxter, wśród najwspanialszych letnich domów na wyspie - domów, o których od dawna marzyli, a teraz pewnie mogliby sobie na jakiś pozwolić - aż do latarni morskiej na Sankaty Head. Ted pchał wózek, Vicki usiłowała nie zdradzać, jak bardzo zmęczył ją ten zwykły spacer.

- Pamiętasz pokera? - spytała.

- Oczywiście.

- Jakby w innym życiu.

- Nigdy nie zapomnę cię w tych skórzanych spodniach, jak lupiłaś wszystkich do suchej nitki.

- Myślałam o tych wszystkich wypalonych cygarach - powiedziała. - Jedno cygaro na tydzień przez dwa lata.

Nie sądzisz...

- Nie. Nie sądzę.

Ucichła. Minał ich siwowłosy pan w kraciastych bermudach. Prowadził na smyczy golden retrievera. Vicki uśmiechnęła się do niego.

- Piękna rodzina - powiedział.

Tak wyglądali w cudzych oczach. Wiedziała o tym. Blaine spał, Porter obrabiał smoczek. Mężczyzna z psem nigdy się nie dowie, że Vicki jest chora, a Ted nie potrafi sobie poradzić z tą sytuacją.

Ale przecież byli na Nantucket, szli plażą w stronę latarni morskiej, która wyglądała z daleka jak wielki miętowy cukierek, a jej migoczące światło było jednostajne i przewidywalne. Od samego pobytu na wyspie Vicki czuła się lepiej. Piękna rodzina, powiedział mężczyzna z psem, i choć się mylił, to miał też rację. Na obiad zrobią rybę z grilla i młodą kukurydzę, pójdą do sklepu po lody w rożkach. A kiedy dzieci zasną, Vicki i Ted znowu spróbują się kochać.

W chwili, kiedy te myśli przyniosły Vicki ukojenie, kiedy pan z psem się oddalił i znalazł poza zasięgiem słuchu, led odchrząknął w sposób, który natychmiast ją zaniepokoił.

- Chcę, żebyś wróciła do domu - powiedział.

Jedną z przyczyn, dla których Vicki podziwiała swoich rodziców Buzza i Ellen, był fakt, że wciąż byli małżeństwem, od trzydziestu pięciu lat. Vicki ceniła to bardziej niż Brenda, bo sama była mężatką, była związana z Tedem Stowe'em tysiącem węzłów - dziećmi, domem, przyjaciółmi, społeczeństwem, kościołem, dziesięcioletnią tradycją śniadań, obiadów i kolacji, rachunkami, urodzinami, rocznicami, wakacjami, kolacjami na mieście, filmami, imprezami, sztukami, koncertami, niezliczonymi rozmowami. Na początku te rozmowy dotyczyły innych spraw - kwestii tego świata, polityki, książek, idei, teraz skupiały się na temacie nich samych. Czy to reguła każdego małżeństwa? Niekończące się dyskusje o planach i logistyce, grach w squasha i przyjęciach z rodzicami innych dzieci, o znakomitych zdolnościach ruchowych Blaine'a, jego wypróżnieniach, ilości czasu spędzonego przed telewizorem, o tym, czy Porter spał, czy nie spał, czy powinni postarać się o trzecie dziecko, tym razem dziewczynkę, o karierze Teda, ich inwestycjach, podatkach, o gwarancji na yukona, udziale Vicki w organizacji sąsiedzkiej, o dniu wywozu śmieci. Czy wszyscy byli tak skupieni na sobie? Czy tylko ich rodzina, Stowe, a zwłaszcza teraz, kiedy Vicki ma raka?

Parę lat temu matka powiedziała jej coś ciekawego: twój ojciec i ja od czternastu lat kłócimy się o to samo. Inaczej się to objawia, ale spór jest ten sam.

Vicki odkryła - z niepokojem i wdzięcznością zarazem - że nie ma pojęcia, co może być przyczyną tego sporu. No tak, od pierwszego roku studiów nie mieszkała już w rodzinnym domu, ale zaniepokoiło ją, że nie znała rodziców na tyle, by znać temat ich jedynej kłótni. A jednak zrozumiała, sama będąc mężatką, że związek rodziców to ich prywatna sprawa, zjawisko niedostępne dla dzieci, które były jego owocem, rzecz tajemnicza, uświęcona, niezrozumiała.

Związek Vicki i Teda miał trudne momenty, falstarty i ślepe uliczki, spory powtarzające się raz po raz.

Chcę, żebyś wróciła do domu.

Ted nie musiał mówić ani słowa więcej - Vicki знаła resztę na pamięć: Kocham cię, tęsknię za tobą, za dziećmi, nie znoszę wracać do pustego domu, mam dość chińskich dań na wynos i mrożonych wafli. W domu jest za cicho. Porter to niemowlak, zapomni, kim jestem, już teraz płacze na mój widok. Chcę, żebyś wróciła do domu, bo będziesz mogła brać chemię w mieście, przestańmy wszystko utrudniać, potraktujmy to poważnie, zabijmy te komórki, te zadowolone z siebie skurkowańce, chodźmy do najlepszych lekarzy, i co z tego, że lekarstwa są dokładnie

te same, podawane w ten sam sposób - chcę, żebyś leczyła się w Sloan Kettering, żebyś mógł spać spokojnie, wiedząc, że masz najlepszą opiekę, jaką można kupić, bez żadnej niepewności.

Ale Ted mówił także: Chcę, żebyś wróciła do domu, bo boję się, że cię stracę. Jestem przerażony jak dziecko. Do nieprzytomności. Stracę cię we wrześnie, na tym stole operacyjnym, albo później, jeśli operacja się nie powiedzie, jeśli guz okaże się nieoperacyjny, jeśli będą przerzuty do mózgu lub wątroby, jeśli nie zdołają go całego usunąć.

Chcę, żebyś wróciła, mówił Ted, ponieważ stracił nadzieję. I właśnie to naprawdę między nimi stało, właśnie to zmieniło go w ofermę, to było przyczyną jego impotencji i gniewu Vicki. Ted uznał, że Vicki umrze. A poza tym nie rozumiał Nantucket tak jak ona, nie dorastał w domu na Shell Street; ocean, piasek, niezłomna latarnia morska Sankaty Head nie budziły w nim tych samych uczuć. Pojawiło się tak wiele Spraw Już Nieważnych, ale te - to morze, to powietrze, ta ziemia pod stopami - nadal miały znaczenie.

- Ja jestem w domu - powiedziała Vicki.

Vicki nie zostawiła cienia wątpliwości: w kwestii wychowywania dzieci najważniejsza jest rutyna. Zwłaszcza kiedy matka tych dzieci jest chora. Dzieci wyczuwają zmianę, powiedziała. Wyczuwają niepewność, wiedzą, że dzieje się coś złego. Twoim zadaniem będzie dbanie o ich spokój i poczucie bezpieczeństwa. Bądź konsekwentny. Zachowaj jednostajność.

- Nie ma sprawy - powiedział Josh. - W tym temacie jestem mocny.

Omam nie opisał życia ze swoim ojcem: kolacja o wpół do dziewiątej, piwo, lodowa sałata. Był doskonale zaznajomiony z zagadnieniem jednostajności i rutyny.

I tak zaczęło się to lato: od poniedziałku do piątku budzik Josha odzywał się o wpół do ósmej. Miał trzydzieści minut na umycie zębów, ogolenie się, uczesanie, wmasowanie kremu z filtrem, ubranie się i starcie rosy z siedzeń dżipa - i od jedenastu do czternastu minut na przejazd ze swojego domu w Miacomet do Sconset, zależnie od sytuacji na jezdni koło liceum. Parkował przed chatką na Shell Street tuż przed ósmą i nieodmiennie zastawał Brendę i Blaine'a na schodkach przed domem, rzucających kamykami do papierowego kubka. Brenda zawsze była w krótkiej nocnej koszulce - jak się okazało, miała dwie, różową i białą w kwiaty. Josh był pewien, że nie ubierała się specjalnie po to, by go dręczyć. Na jego widok wstawała i ze słowami: „Odwaliłam swoje”, znikwała w domu, gdzie przebierała się w bikini. Josh był specjalistą od ustalania rutyny, ale zachował wrażliwość na odmiany - na przykład zmiany nocnej koszuli Brendy, zmiany bikini, oraz treści i czasu trwania ich rozmów o jej pracy. Bo, jak dowiedział się na samym początku, pierwszego lub drugiego dnia, Brenda pisała scenariusz. W klasie Chasa Gordy był jeden chłopak, który miał ambicje scenarjopisarskie, student pierwszego roku, niejaki Drake Edgar. Drake Edgar wyróżniał się największym zaangażowaniem w grupie: oddawał jedną straszną scenę po drugiej i zapisywał wszystkie krytyczne uwagi, dosłownie. Sam Chas Gordy - choć na podstawie jego pierwszej i najsłynniejszej powieści zrealizowano film, który obecnie dawał się określić najogólniej jako kultowy - od samego początku zasugerował Drake'owi Edgarowi, że warsztaty pisarskie to raczej miejsce dla twórców literatury poważnej niż scenarzystów horrorów czy thrillerów. Inni studenci, w tym i Josh, lekceważyli Drake'a Edgara, uważali go za dziwaka na krawędzi szaleństwa - choć każda rozmowa na jego temat kończyła się zastrzeżeniem, że pewnie sam by się z tego uśmieł po pachy.

Dlaczego nie traktujemy scenarzystów poważnie? - pomyślał Josh. Wszyscy uwielbiają filmy. A film zaczyna się od scenariusza.

- Scenariusz? - powiedział. - Fascynujące. A wiesz, ja leż jestem pisarzem. To znaczy studiuje pisarstwo w Middlebury, u Chasa Gordy. Słyszałaś o nim?

- Nie.

- Jest świetny. Tę swoją powieść - *Rozmowa* - napisał, gdy miał zaledwie dwadzieścia sześć lat.

Brenda uśmiechnęła się mądrze.

- A, to jeden z tych. Cudowne dzieci, które zabłysły wcześniej, a potem nie napisały nic godnego uwagi. Boże, mogłabym na ich temat prowadzić wykłady przez cały rok.

Josh poczuł się nieswojo wobec tej obelgi pod adresem Chasa Gordy. Zawahał się, czy nie bronić honoru swego wykładowcy, ale nie chciał się poróżnić z Brendą, więc tylko spytał:

- Nad czym pracujesz?

- Ja? A, staram się zrobić adaptację tego tutaj... - Poglądziła złocone litery na okładce starej książki, *Niewinnego szalbierza*. - Ale już sama nie wiem. Nie za dobrze mi idzie. Tak, jakby książka nie pasowała do formuły scenariusza, rozumiesz? Nie ma pościgów samochodowych.

Josh się roześmiał - chyba zbyt głośno i z niepokojącą gorliwością Drake'a Edgara. Właściwie co miał do stracenia? Był pisarzem - powiedzmy - podobnie jak Brenda. Powiedzmy.

- Jeśli chcesz, mogę ci pomóc - zaproponował. - Służę ci moim zdaniem. (To nasza waluta, powtarzał Chas Gorda. Krytyka). - Mogę go przeczytać.

- Miło, że to mówisz, ale kto wie, czy w ogóle skończę. Ty też piszesz scenariusz?

- Nie, nie, nie. Bardziej interesuje mnie pisanie opowiadań i powieści. - Brenda spojrzała na niego takim wzrokiem, że poczuł się idiotycznie, jakby właśnie wyznał, że na Halloween przebiera się za Normana Mailera. - Ale mogę przeczytać twój scenariusz, jeśli potrzebna ci krytyka.

- Może. - Owinęła *Niewinnego szalbierza* w folię bąbelkową i zamknęła aktówkę na klucz. - Może kiedy napiszę więcej.

- Dobrze. - Josh czuł, że powiedziała to na odczepnego. Traktowała go jak dziecko, a jednak nie potrafił się powstrzymać przed pytaniem każdego ranka, kiedy pomagali Blaine'owi zbierać kamyczki z chodnika, jak jej idzie praca nad scenariuszem. Czasami odpowiadała: „A, dobrze”, a czasem tylko kręciła głową bez słowa.

Kolejnym urozmaiceniem codziennej rutyny było śniadanie przygotowane przez Vicki. Co ranka było to coś skomplikowanego i pysznego. Naleśniki z jagodami, bekon wędzony w dymie z jabłoniowego drewna, omlety z cheddarem, muffinki z brzoskwiniami, jajka po benedyktyńsku, chrupiące smażone ziemniaczki, cynamonowe grzanki, sałatka z melona i jagód. Śniadania jadali tylko Josh i Vicki. Melanie twierdziła, że za bardzo ją mdli, zwłaszcza rano. Mogła przelknąć jedynie herbatkę z imbiru i suchą grzanekę. Brenda nie jadła śniadań, choć piła ogromne ilości kawy i na plażę wybierała się z termosem, doprawionym filiżanką chudego mleka i sześcioma łyżkami stołowymi cukru. Dzieci nie jadły śniadania, bo jedno było za małe, a drugie za grymaśne. Vicki karmiła Portera przetartą marchewką lub dynią, a Blaine chrupał cheeriosy. Więc poranne uczyty należały do Josha i Vicki.

Początkowo Josh protestował.

- Nie musisz sobie zadawać tyle trudu dla mnie. Mogę zjeść coś w domu. Jakieś płatki czy bajgla.

- Wyświadczasz mi przysługę - oznajmiła Vicki. - Muszę się odżywiać, a nigdy nie przyrządziłabym tego tylko dla siebie. - Dla Vicki każdy kęs był aktem silnej woli. Nie miała apetytu, czuła się wyjątkowo pozbawiona

łaknienia. Spoglądała na te malutkie porcje na talerzu i wzdychała. Częstowała się jagodą z naleśnika, rozważała spożycie połowy kawałka bekonu albo jednego plasterka smażonego ziemniaka. - Ale wyżerka - mówiła.

Josh nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś zrobił posiłek tylko dla niego; uświadomił sobie, że to jeden z plusów posiadania matki. Kiedy zajadał, Vicki i Melanie przyglądały mu się z podziwem, a może i zazdrością. Proponowały mu dokładki. Melanie skubała swoją grzanekę, Vicki wmuszała w siebie, ile mogła, potem zmywała, brała Portera z wysokiego krzeselka, myła mu buzię i ręce, zmieniała pieluszkę, smarowała kremem z filtrem i ubierała w kąpielówki. Blaine lubił ubierać się sam - zawsze w te same zielone majtki, a po jakimś czasie w koszulkę w tym samym kolorze, co koszula Josha. Żółta dla Josha, żółta dla Blaine'a. Zielona, czerwona, biała. Kiedy Josh przyszedł w swetrze Red Soksów, Blaine przepłakał cały dzień.

- Muszę kupić mu taki sam - powiedziała Vicki.

- Przepraszam - wymamrotał Josh.

- Jesteś jego bohaterem. Ciężko, co?

Josh zwichrzył jasne włosy Blaine'a, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie było sensu zaprzeczać. Od tamtej pierwszej nocy Blaine nie sprawiał mu najmniejszych kłopotów, zachowywał się jak anioł, jakby się bał, że jeśli coś przeszkobie, Josh odejdzie i nigdy nie wróci. Prawie codziennie Josh zabierał chłopców na miejską plażę w Sconset i (na wyraźne życzenie Vicki) siadywał z nimi w cieniu stanowiska ratownika. Josh i Blaine kopali w piasku, budowali zamki, szukali krabów, zbierali muszelki i kamyki do wiaderka. Porter spędzał dnie w foteliku pod parasolką, żując rączkę plastikowej łopatkę, ciągnąc z butelki lub drzemiac. Blaine najwyraźniej najbardziej lubił, kiedy Porter spał; chciał mieć Josha tylko dla siebie. Inne dzieci zbliżały się do nich z większą lub mniejszą śmiałością, zaglądały do wiaderka, przyglądały się zamkowi z piasku. Czy mogą się z nimi pobawić?

Blaine wzruszał ramionami i spoglądał na Josha, który zawsze mówił: „Pewnie”. A potem, w ramach krzewienia umiejętności towarzyskich, dodawał:

- To jest Blaine. A jak ty się nazywasz?

Jednak nauczył się, żeby nikomu nie okazywać większej uwagi niż Blaine'owi, w przeciwnym razie chłopczyk odchodził i siadał pod parasolką, gdzie potajemnie wkładał do kojca brata kamyki i muszelki, w sam raz nadające się do zadławienia. Związek z Blaine'em, pomyślał Josh, jest jak związek z zazdrosną i zaborczą dziewczyną.

Opieka nad dziećmi okazała się nadspodziewanie trudną pracą. Najgorsze było nie to, że Josh musiał sto razy rzucać piłeczką albo rozmawiać przez pół godziny o *Scooby-Doo*, jedząc kanapki przygotowane przez Vicki, nie chodziło też o te pięćdziesiąt siedem punktów z Nie-Listy Vicki, z których żadnego nie wolno było zapomnieć (na przykład: nigdy nie wychodzić z domu bez smoczka, pilnować, żeby mleko było w chłodzie, Blaine musi zjeść wszystkie rodzynki, zanim dostanie pudding, filtr, filtr, filtr!!! lekarstwo na pokrzywkę Portera, które należało aplikować dokładnie co półtorej godziny, wytrzeptywać piasek z ręczników, w drodze powrotnej wstąpić do sklepu po ekologiczne ciasteczka z figowym dżemem, tu macie pieniądze...). Całą energię Josha pożerało emocjonalne brzemie odpowiedzialności za dwóch małych ludzików. Od ósmej do pierwszej, pięć razy w tygodniu, bezpieczeństwo Blaine'a i Portera spoczywało w rękach Josha Flynn'a. Bez niego by się odwodnili, utopili, zginęli. Ta praca, widziana pod tym kątem, stawała się naprawdę ważna. Choć podjął się jej impulsywnie, choć ta sytuacja była dość dziwna, a jego początkowe motywy podejrzone (całkiem zwyczajne pożądanie Brendy), Josh przywiązał się do maluchów. Czcą go jak bohatera? Świetnie. Gdzieś w drugim czy trzecim tygodniu Blaine wziął go za rękę i powiedział:

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

A serce Josha stało się trzy razy większe, jak u jakiegoś bohatera z bajki. Mały chłopczyk, który aż tak go polubił? Na lotnisku nikt by w to nie uwierzył.

Od czasu do czasu Tom Flynn pytał przy kolacji:

- Jak ci idzie w nowej pracy? A Josh odpowiadał:

- Dobrze. W porządku.

I na tym kończył. Nie było sensu wyjaśniać ojcu, że robi postępy - teraz rozróżniał rodzaje płaczu Portera (jeść, spać, weź mnie na ręce) - i że uczy Blaine'a gry w piłkę. Nigdy by nie przyznał, że nauczył się na pamięć całych stron ze *Słonia, który wysiedział jajko* i *Burta Dow, człowieka z głębin*, które Blaine lubił czytać po powrocie do chatki, na chwilę przed powrotem Josha do domu. Nie potrafił wyrazić czułości, jaką budziły w nim te dzieci, które mogły stracić matkę. Gdyby Vicki umarła, byłyby takie jak on - i choć według wszelkich standardów radził sobie całkiem nieźle, ta myśl go zasmucała. Spoglądając na Vicki, za każdym razem myślał: proszę cię, nie umieraj.

Więc w rozmowie z ojcem starał się nie zdradzać uczuć.

- To dobra praca. Lubię ją. Dzieciaki są świetne.

Na to Tom Flynn kiwał głową z uśmiechem. Nigdy nie spytał o imiona dzieci ani o żadne inne szczegóły, a Josh, po raz pierwszy w życiu, nie czuł potrzeby wyjaśnień. Jego praca, plan dnia, związek z dziećmi i Syrenami - wszystko to było jego prywatną sprawą.

Nowe życie tak go pochłonęło, że widok Didi na parkingu plaży Nobadeer zaskoczył go w bardzo nieprzyjemny sposób. Miał zwyczaj pływać codziennie o szóstej wieczorem, kiedy tłum już zniknął, a skwar przestawał dokuczać, choć słońce nadal przyjemnie grzało. To była piękna pora jego dnia i zwykle po pływaniu wycierał się i siedział na plaży jeszcze przez parę minut, patrząc na fale lub rzucając patyki cudzym psom. Czuł się wybrańcem losu - w dodatku sprytnym - że tak wykorzystał swoje lato. Więc w dniu, kiedy po wąskich rozchwianych schodkach zszedł z plaży i ujrzał Didi przy swoim dziupie, wypełniło go stare, dobrze znane przerażenie. Nie było sensu udawać, że to zabawny zbieg okoliczności; Didi na niego czekała. Zaczaiła się. Josh wrócił myślą do minionych wakacji, kiedy Didi zaskakiwała go dokładnie tak samo, ale wtedy uważał to za zrządzenie losu. Teraz go to odstraszyło. Gdyby nie patrzyła wprost na niego, pewnie usiłowałby prysnąć. Ponieważ było, jak było, zdołał tylko ukryć niesmak.

- Cześć - powiedział.

Rzucił mokry ręcznik na otwarty tył dżipa.

Didi wydała jakiś dźwięk. Początkowo miał nadzieję, że to chichot, ale szczęście mu dziś nie dopisywało. Płakała.

- Nie kochasz mnie - wychlipała. - Nienawidzisz mnie, draniu.

- Didi...

Pociągnęła nosem i wytarła go ręką. Miała na sobie stare dżinsowe szorty, które nosiła w liceum, te z białymi nitkami zwisającymi z nogawek, a także różowy podkoszulek, na którym widniał napis czarną kursywą *Dzidzia*. Była boso, jej palce o paznokciach pomalowanych jaskrawym błękitem, tonały w brudnym piasku parkingu. Josh rozejrzał się szybko; nigdzie nie dostrzegł jetty Didi.

- Jak się tu dostałaś? - spytał.

- Ktoś mnie podwiózł.

- Ktoś?

- Rob.

Rob, jej brat, jeździł wielkim fordem F-350 z błyszczącą skrzynią na narzędzia z tyłu i naklejką „Wożę za kaskę albo łaskę”. Rob był stolarzem u Braci Dimmity, gdzie pracowała kiedyś matka Josha. Ta wyspa była zdecydowanie za mała. No tak, Rob podwiózł Didi, w dodatku bosą; Josh znalazł się w potrzasku. Pewnie będzie zmuszony gdzieś ją zawieźć. Wiedziała, że jest zbyt miły, by ją zostawić samą.

- Gdzie twój samochód? - spytał.

- Zabrali.

- Kto?

- Komornik. - Rozbeczała się jeszcze gwałtowniej; z oczu popłynęły jej czarne strugi tuszu. - Już go nie odzyskam.

Josh nabrał tchu.

- A te pieniądze, które ci pożyczyłem?

- Za mało. Mam problemy. Wielkie. I brakuje mi na czynsz. Wyrzucą mnie, a rodzice powiedzieli całkiem wyraźnie, że mam nie wracać do domu.

Pięknie. Po dwudziestu latach nadmiernego pobłażania rodzice Didi zdecydowali się na politykę twardej ręki. Trochę za późno, ale Josh się nie dziwił, że nie chcą, by ich dorosła córka wracała do domu. Wysuszyłyby im barek i przepuściła majątek na telefon.

- Masz pracę. Nie rozumiem.

- Z gównianą pensją. Nie jestem pielęgniarką.

- Może powinnaś wrócić do szkoły.

Didi podniosła głowę. Wyglądała jak z *Nocy żywych trupów*.

- Mówisz jak oni!

Josh kopnął ziemię. Chciał wrócić do domu, wziąć prysznic. Był głodny, na kolację zaplanował quesadillę.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś o mnie myślał! - wrzasnęła. - Już do mnie nie dzwonicz. Nie przyszedłeś do Zacha...

- Musiałem opiekować się dziećmi.

- Pewnie zakochałeś się w tej kobiecie! Pewnie z nią sypiasz!

Oskarżała go z takim dzikim zapamiętaniem, że nawet nie czuł się zobowiązany do odpowiedzi. Nie życzył sobie, by mieszano do tej sprawy Brendę i Vicki, a już zwłaszcza żeby robiła to Didi. Nie znała ich, nie wiedziała, co u nich robi. Gdyby Brenda, Vicki czy nawet Melanie zobaczyły go w tej chwili, pewnie pokręciłyby głowami. Biedna dziewczyna, powiedziałyby. Biedny Josh.

Chwycił klamkę samochodu.

- Wsiadaj. - Odwiozę cię do domu.

Usłuchała, co dało mu wrażenie, że opanował sytuację. Ale ledwie ruszyli, zaczęła od nowa bombardować go tymi bzdurami: Sypiasz z nią. Przyznaj to, nie kochasz mnie, kiedyś kochałeś, a teraz zrobiłeś się ważny, wielki mi student, myślisz, że jesteś nie wiadomo co, gównu mi płacą, a po odliczeniu podatków tyle co nic, zabrali samochód z CD, moja rodzona matka mnie nie chce. Łzy, szloch, czkawka. Przez sekundę Josh się bał, że Didi zacznie rzygać. Jechał jak najszybciej i nie odzywał się, bo każde słowo mogło zostać przeinaczone i wykorzystane przeciwko niemu. Myślał o Brendzie w nocnej koszuli, z notesem i termosem kawy, o jej aktówce z pierwszym wydaniem

starej książki. Brenda była osobą z zupełnie innej gliny: starsza, bardziej dojrzała, daleką od tych samonapędzających się hysterii. Kto potrzebuje sztucznych dramatów, kiedy otacza go prawdziwy? Vicki miała raka. A Melanie jakieś kłopoty małżeńskie. Didi nawet sobie nie wyobraża, co to są prawdziwe problemy. Skręcił w jej podjazd.

- Wsiadaj.

- Potrzebuję pieniędzy.

- No nie. Mowy nie ma.

- Josh... - Położyła mu rękę na udzie.

- Już raz ci pożyczyłem. I obiecałaś, że dasz mi spokój.

- Potrzebuję tylko...

- Odpowiedź brzmi: nie. I nie zapominaj, że masz mi oddać. To, że znowu mnie poprosiłaś i odmówiłem, nie znaczy, że nie masz u mnie długu. Jesteś mi winna dwieście dolarów.

- Wiem, ale...

Josh wyskoczył z samochodu, obiegł go i otworzył drzwi.

- Wsiadaj.

- Nie kochasz mnie.

Nachalna. Nieustannie. Od liceum nic się nie zmieniło.

Znowu wpadł mu w oko napis na jej podkoszulku. *Dzidzia*. Otóż to, pomyślał. Rozpiął pas Didi, wziął ją za rękę i wywłókł z samochodu. Był delikatny, lecz stanowczy, tak jak z Blaine'em. Umiał się obchodzić z dzidziami, codziennie opiekował się dwójką maluchów.

- Potrzebuję tylko pięciuset dolarów - zakwiliła.

- Przykro mi, nie mogę ci pomóc.

- NIE JEST ci przykro! - wrzasnęła. Ciekło jej z nosa, znowu płakała i czkała jak pijak z kreskówki. - WCALE ci nie przykro, nie obchodzi cię, co ze mną będzie!

Głos miała przeraźliwie histeryczny. Tak jakby chciała, żeby sąsiedzi zaczęli wyglądać, by pomyśleli, że Josh jest agresywny i wezwali policję.

- Daj spokój - powiedział. Obejrzał się na dom, w którym Didi wynajmowała mieszkanie, spojrzął na podwórko i las dokoła. Nawet by chciał, żeby ktoś wyszedł, spytał, co się dzieje i pomógł mu załatwić tę sprawę, ale nikt się nie pojawiał. - Nie możesz tak wrzeszczeć. Opanuj się.

- A, wał się - syknęła.

- To cześć.

- Potrzebuję pieniędzy - powtórzyła.

Przycisnęła pięści do skroni i zadygotała. Twarz jej spurpurowiała. Josh przyglądał się jej z niedowierzaniem. Tak strasznie przesadzała, że zaczął podejrzewać, iż go nabiera. To było zachowanie, jakie widywał tylko w operach mydlanych, zachowanie zabiedzonych, załamanych i zwichrowanych ludzi z marginesu w serialach kryminalnych.

- Didi - powiedział. - Idź do domu, napij się wody. Weź prysznic. Uspokój się.

Łypnęła na niego przebiegle i jednocześnie z rozpaczą.

- Jeśli mi nie pomożesz, zabiję się.

Chwycił ją pod brodę.

- Zapominasz, do kogo mówisz - wycodził. - To nie było śmieszne.

Wkurzyła go na serio, bo wyczuł wyrachowanie w jej głosie. Doskonale wiedziała, do kogo mówi. Usiłowała wykorzystać śmierć jego matki. Taka z niej zmija, tak nim manipulowała. Teraz to on zacisnął pięści. Ale nie - jeśli tylko się rozłości, ona wygra. Wyczuła chyba, że przekroczyła granicę, bo zmieniła ton na błagalny.

- Tylko pięćset dolarów. Wiem, że masz.

- Nie - rzucił, powtarzając w myślach: konsekwencja. - Do widzenia, Didi.

Tempo, w jakim upływał czas, nikogo nie zaskoczyło bardziej niż Melanie - z dni zrobił się tydzień, potem drugi... a ona ciągle była na Nantucket. Nie mogła rozstrzygnąć, czy pozostała na wyspie z czystej bierności (może po prostu unikała tego ogromnego wysiłku, jaki wymagałby powrót do domu?), czy też zaczęło się jej tu podobać. Pierwsze dni były okropne, Vicki i Brenda się kłóciły, potem Vicki kłóciła się z Tedem, a Melanie na zmianę wymiotowała, spała i brała prysznic, żeby wymyć z siebie ostry ból romansu Petera z Frances Digitt. Ból jak przy otwartym złamaniu kości, jak przy zaproszeniu pękniętej wargi ostrym chili. Aż pewnego ranka obudziła się i jej pierwsza myśl nie dotyczyła Petera i Frances, ale tajemnicy, jaką kryło jej ciało. Myśl o tym pączku, o tej ludzkiej istocie wielkości fasolki, o życiu, które zakorzeniło się w jej ciele i mocno w nie wrosło. To dziecko, w przeciwieństwie do poprzednich (siedem prób, jedenaście embrionów), uznało ją za swoją matkę. Ciąża trwała już siedem tygodni i choć Melanie miała nadal taką samą figurę, lubiła leżeć w łóżku z ręką na brzuchu i wyobrażać sobie bicie malutkiego serduszka. o tej samej porze każdego ranka na furtce przed oknem Melanie siadywał strzyżyk, który wyśpiewywał dla niej serenady. Ale ten wyimaginowany stukot serca i ptasie trele były tylko preludium do tego, czego naprawdę nasłuchiwała. Codziennie czekała teraz na zgrzyt miazdżonych muszelek pod oponami dżipa. Na Josha.

No dobrze, pomyślała. Coś ze mną nie w porządku. On jest prawie dziesięć lat młodszy ode mnie. To student! W jego oczach jestem starą kobietą, starą ciężarną kobietą. A jednak - jak to powiedział Woody Allen? - serce chce, czego chce. (Czy jej pragnienia były tak samo moralnie dwuznaczne? Może i tak, nie jej to osądzać). Nie miała wpływu na to, co czuła, a tym uczuciem - kiedy muszelki zgrzytały pod oponami dżipa, gdy rozlegał się trzask drzwiczek, szcęk zasuwki w furtce, zachwycony krzyk Blaine'a i głos Josha: „Czołem, bracie, jak życie?” - było szczęście.

Potem miała zwyczaj wstawać, iść do kuchni na herbatę i grzanekę i przyglądać się, jak Josh je śniadanie. W idealnych warunkach pewnie by wróciła właśnie do domu po siedmiokilometrowym spacerze, wykapała się i ubrała, a potem pewnie zjadła śniadanie razem z nim, posmarowała bułeczkę masłem, przeczytała mu coś śmiesznego z „Globe”. Tymczasem mogła tylko popijać herbatę, skubać grzanekę i prowadzić szcątkową rozmowę.

Z przerażeniem odkryła, że Josh studiuje pisarstwo - nie, żeby miała coś przeciwko adeptom literatury, ale dlatego, że przez to zyskiwał wspólne tematy z Brendą. Słyszała ich żarty o blokadzie pisarskiej. Zdarza się najlepszym z nas, powiedział Josh. A Brenda celowała w niego palcem, mówiąc: musisz mi to powtarzać. Pisanie łączyło ich w sposób, który drażnił Melanie i budził w niej jeszcze większą niechęć do Brendy. W tej sytuacji fakt, że Melanie także kochała książki, zrobił się malutki i nieważny. Czytała ambitne powieści, ale też tandetne, komercyjne. Była wielbicielką Donny Tartt i Margaret Atwood, a także Nory Roberts. Czytała fragmenty książek w „New Yorkerze”, może nie co tydzień, ale dość często. Jednak wiedziała, że czytanie to co innego niż pisarstwo; nie miała najmniejszej ochoty napisać opowiadania ani powieści. Nawet nie umiałaby zacząć.

Zaczęła szukać w swoim życiu drobiazgów, które mogłyby obudzić zainteresowanie Josha. Na studiach specjalizowała się w historii, przez rok uczyła angielskiego w Tajlandii. Dotknęła złotej stopy Leżącego Buddy, dojeżdżała do szkoły wodną taksówką, kupiła na ptasim targu papużkę i nazwała ją Roger. Roger przestał śpiewać po sześciu tygodniach, a potem zdechł. Kiedy Melanie opowiadała Joshowi o tych urywkach swojej historii, tylko kiwał głową, jadł i słuchał z zainteresowaniem... dopóki w kuchni nie zjawiała się Brenda po tę swoją kawę. Za każdym razem Brenda pochłaniała go bez reszty. Pożerał ją wzrokiem. Melanie zaczęła liczyć, ile razy dziennie spoglądał na Brendę i ile razy ona była o to zazdrosna. Czy mogła mieć do niego pretensję? Brenda była piękna i roztartniona; dzieliła z nimi ten dom, ale myślami wyraźnie była gdzie indziej. Może z tym nowojorskim kochankiem albo z prawnikiem, którego telefonów unikała każdego dnia, albo przy tym swoim głupim scenariuszu. Wyrzucono ją z Uniwersytetu Champion w samym środku skandalu seksualnego - czy Josh o tym wiedział? Czy wiedział, że Brenda ma kłopoty z prawem? Ale Brenda jakoś wzniosła się ponad sąd przeszłości i zdołała zachować panowanie nad swoim życiem. Nie tylko pisała scenariusz, który fascynował Josha, ale jeszcze niemal chodziła w aureoli opiekuńki Vicki i dzieci w czasie, kiedy Josha i Teda nie było. Melanie poczuła, że nie znosi Brendy, a jednocześnie chce być taka jak ona.

Popołudniami, podczas drzemki Portera, Melanie zwerbowała Blaine'a do pomocy przy pracy w ogródku. Razem wypielili grządki od frontu - Blaine chodził za Melanie z plastikową miedniczką na chwasty, które co jakiś czas wyrzucał do kubła na śmieci. Kiedy grządki były wypielone, a suche lilie ścięte, Melanie przycięła pnące róże przed domem, a także różane krzaki, których szpaler ciągnął się wzdłuż płotu na tyłach posesji. Blaine tylko się przyglądał (bał się cierni i trzmieli).

Róże są takie śmieszne, wyjaśniła Melanie. Jeśli je przytniesz, następnym razem zakwitną jeszcze piękniej.

Blaine pokiwał poważnie głową i pobiegł do kuchni po słoje z wodą. Z prac ogrodniczych najbardziej lubił ścinanie kwiatów i wkładanie ich do słoja, który niósł do domu i dawał Vicki.

- Ładne kwiaty - powiedział kiedyś Josh na widok bukietu bocianków na kuchennym stole.

- Melanie i ja je urosiliśmy - pochwalił się Blaine. - Prawda, Melanie?

- Prawda - poświadczyła.

Josh z pewnością uważał ogrodnictwo za babcine zajęcie, ale Melanie nie mogła się wyprzeć swojej słabości do kwiatów, żywopłotu, przyszczyżonego trawnika. Zawsze uwielbiała widok i zapach rozwijających się roślin.

W miarę upływu czasu coraz bardziej angażowała się w życie Nantucket, czyli Josha, dzieci, Brendy i Vicki. Własne smutki tak ją pochłonęły, że prawie zapomniała o chorobie przyjaciółki. Vicki dwa razy w tygodniu jeździła na chemię. Była już zbyt chora - słaba, zmęczona, oszołomiona - by spacerować po plaży z Melanie, bez względu na moc jej argumentów.

- Wyjście z domu dobrze ci zrobi - mówiła Melanie. - Mnie też.

- To idź - odpowiadała Vicki. - Ja poczekam na dzieci.

- Poczekam z tobą. Posiedzimy na ganku, przy mrożonej herbacie.

Tak było parę razy, choć Melanie czuła się wtedy jak na randce w ciemno. Vicki nie chciała rozmawiać o raku, a ten jeden raz, kiedy Melanie spytała, jak Ted sobie z tym radzi, usłyszała:

- Uh. Nie mogę się w to wdawać.

Więc coś tam było: gniew, uraza, smutek - ale kiedy Melanie zaczęła sondować głębiej, Vicki zaczęła mówić o Peterze, co dla Melanie było jak drapanie się po ugryzieniu komara albo jak dotykanie ruszającego się zęba. Bolesne, ale nie sposób się powstrzymać.

- Rozmawiałaś z nim? - spytała Vicki.

- Od tamtego czasu nie.

- Więc nie powiedziałaś mu o dziecku?

- Nie.

- Ale powiesz.

- Kiedyś będę musiała. Ted wie?

- Nie. Nie ma pojęcia. Żyje we własnej bańce.

- Aha, chyba tak. Nie chcę, żeby Peter dowiedział się od kogoś poza mną.

- Oczywiście.

- Josh wie.

- Serio?

- Przypadkiem się wygadałam. Wiesz, że to on mnie odwiózł tamtej niedzieli, gdy usiłowałam wrócić do Connecticut?

- Tak?

- Tak. Dziwne, co? Opowiedziałam mu po drodze.

Vicki patrzyła na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Melanie poczuła się, jakby właśnie przyznała się do romansu z Joshem. Czy Vicki będzie zgorszona? Przecież tylko pozwoliła mu się podwieźć, nic więcej, ale jak wyjaśnić te dziwne, świeże uczucia do Josha? Powinna je zachować dla siebie. To pewnie przez hormony.

- Nie wiem, co zrobić z dzieckiem.

- Ale chyba je urodzisz?

- Urodzę, pewnie. Ale co potem?

Vicki milczała chwilę. Upiła łyk mrożonej herbaty.

- Będziesz miała pomoc. Ted i ja ci pomożemy.

- Dziecku jest potrzebny ojciec.

- Peter się opamięta.

- Bardzo jesteś tego pewna.

- Musi za tobą tęsknić.

- Nie zadzwonił ani razu. Ani jednego cholernego razu.

- Ty też nie. Jestem z ciebie dumna.

- Sama jestem z siebie dumna.

Rzeczywiście, nie zadzwoniła do Petera, nie upokorzyła się. Była cierpliwa, czekała, aż sytuacja się wyjaśni. Róże pod płotem kwitły, fruwały trzmiele, pękate i szczęśliwe, Ted skosił w weekend trawnik i teraz w powietrzu unosił się cudowny, świeży zapach. Słońce grzało nogi. Josh wróci z dziećmi o pierwszej; już to samo wystarczyło, żeby się cieszyła z pobytu tutaj, nie w Connecticut.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi przyjechać - powiedziała.

- Cieszę się, że tu jesteś.

- Naprawdę? - Przed tą burzliwą wiosną Vicki i Melanie rozmawiały przez telefon trzy, cztery razy dziennie; nie miały przed sobą tajemnic. Wyznawały sobie wszystko, niczego nie kryły. Teraz, mieszkając pod tym samym niskim dachem, każda żyła własnym nieszczęściem. Melanie się martwiła, że Vicki miała do niej żal za to, co się wydarzyło w tym pierwszym tygodniu. Czy się wściekła, że Melanie pozwoliła Blaine'owi powędrować samotnie plażą albo że spadła ze schodów z Porterem na rękach? Czy się wściekła, że Melanie usiłowała umknąć z Nantucket, nie żegnając się z nikim? Czy miała urazę, że musiała zatrudnić opiekuna do dzieci, choć jej najlepsza przyjaciółka mogła go zastąpić? Czy zazdrościła Melanie jej ciąży? W porównaniu z Vicki Melanie była zdrowa jak rzepa. I nie kiwnęła nawet palcem, żeby pomóc Vicki w związku z chemią. Brenda miała swoje zadanie. Była kierowcą, menedżerem, siostrą. Melanie natomiast - od samego początku - tylko nadbagażem.

- A nie sądzisz, że jestem najgorszą przyjaciółką twojego życia?

Vicki przykryła ręką - lekko drżącą, jak u staruszki - dłoń Melanie i w jednej chwili złe uczucia się ulotniły.

Taki miała dar. Wystarczy, że pocałowała, a świat stawał się lepszy. Vicki była matką całego świata.

- Do głowy by mi nie przyszło - powiedziała.

TTLR

W każdy wtorek i piątek, odstawwszy Vicki na chemię, Brenda siadała w poczekalni, symulując czytanie kolorowych pism i modląc się za siostrę. Była to jej tajemnica, w dodatku dziwna, bo Brenda nie była szczególnie religijna. Buzz i Ellen Lyndonowie wychowali córki na zdystansowane protestantki. W dzieciństwie do kościoła prowadzili je nieregularnie, co tydzień przez trzy miesiące koło Wielkanocy, a potem wcale aż do Bożego Narodzenia. Przed obiadem zawsze odmawiali modlitwę, a Ellen Lyndon przez jakiś czas chodziła na poranne czytanie Biblii, o którym usiłowała opowiedzieć córkom, odwożąc je do szkoły. Dziewczynki zostały ochrzczone w episkopalnym kościele pod wezwaniem Świętego Dawida, potem przystąpiły do konfirmacji; to był ich kościół, uważały się za chrześcijanki, ich pastor dał ślub Vicki i Tedowi, odprawił całe nabożeństwo, podczas którego wszyscy przyjęli komunię. A jednak religia nie odgrywała najważniejszej roli w życiu ich rodziny, nie w ten głęboki sposób, jak w znanych Brendzie katolickich, baptystycznych i żydowskich rodzinach. W domu Lyndonów nie było krzyży, otwartych Biblii, jarmulek ani tałesów. Mieli ten przywilej - szczęście - że nigdy nie potrzebowali religii. Może w tym rzecz. Buzz Lyndon był filadelfijskim prawnikiem, zarabiał mnóstwo pieniędzy, choć nie aż tyle, żeby narobić sobie kłopotów. Ellen Lyndon urodziła się na gospodynię domową i matkę. Całkiem możliwe, że kuchnia Lyndonów była najmiłszym pomieszczeniem w południowoschodniej Pensylwanii - zawsze pełna muzyki klasycznej, świeżych kwiatów, dojrzałych owoców, a czasem z czymś przepysznym w piecyku. Wisiała tam tablica, na której Ellen Lyndon codziennie wypisywała cytat albo fragment wiersza. Strawa dla umysłu, mówiła. Wszystko w domu Lyndonów było tak śliczne, zadbane, trafione, że łatwo było przeoczyć Boga, uznać, że ten stan im się należy.

A teraz, tego lata, w tej szaroperłowej poczekalni na onkologii, Brenda Lyndon modliła się o życie siostry. Nie umknęła jej ironia tej sytuacji. Jeśli w ogóle zdarzało się jej modlić w dzieciństwie - a modliła się wówczas potajemnie i gorliwie - to zawsze, bez wyjątku, o szybką śmierć Vicki.

Brenda i Vicki walczyły ze sobą od lat. Były wrzaski, rzucanie się z pazurami, plucie i trzaskanie drzwiami. Klóciły się o ciuchy, kredkę do oczu, kasetę Brendy z Rickiem Springfieldem, pożyczoną przez Vicki jednej Amy, która to Amy ją zniszczyła. Klóciły się o miejsce w samochodzie, o prawo oglądania programu w telewizji, o dostęp do telefonu, wyliczały sobie rozmowy i czas ich trwania. Klóciły się o to, która zebrała więcej wygładzonych przez morze szkiełek podczas spacerów po plaży, której dostało się więcej boczku w kanapce, która lepiej wygląda w spódniczce do hokeja. Klóciły się, bo Brenda pożyczyła różowy sweter Vicki bez pytania, a Vicki z zemsty przedarła na pół wypracowanie Brendy o *Przygodach Huckleberry Finna*, pracowicie wystukane na smith coronie ojca. Brenda walnęła Vicki, Vicki wydarła Brendzie garść włosów. Rozdzielił je ojciec. Przez zamknięte drzwi Vicki znieważyla Brendę słowem na „k”. Ellen Lyndon zagroziła, że wyśle je do szkoły z internatem.

- Mówię poważnie - dodała. - Nie wiem, gdzie się uczycie takich słów.

Kłóciły się o stopnie, nauczycieli, wyniki klasówek i chłopaków - a raczej chłopaka, poprawiła się Brenda - ponieważ jedynym chłopcem, który liczył się dla niej przez pierwsze trzydzieści lat życia (do chwili poznania Walscha - serio!) był Erik vanCott - nie tylko jej najlepszy przyjaciel, ale potajemna, nieodwzajemniona miłość. A Erik zawsze miał słabość do Vicki. Samo cierpienie w związku z tym wystarczyło, żeby Brenda snuła liczne fantazje o śmierci Vicki. Wypadek samochodowy, zatrucie jadem kiełbasianym, zawał, zadławienie, cios nożem w serce, zadany na ulicy przez zbira z fioletowym irokezem.

Przez całe liceum siostry twierdziły wprost, że się nienawidzą, ale teraz Brenda zaczęła podejrzewać, że te słowa częściej padały z jej ust, bo z jakiego powodu Vicki miałyby jej nienawidzić? Siostra uważała ją za żalną. Marny Robak - tak ją nazywała, kiedy chciała być wredna. Nazwę tę zapożyczyła złośliwie z ich ulubionej w dzie-

ciństwie książeczki Richarda Scarry'ego. Marny Robak, mól książkowy, zawsze z nosem w książce, pożera ją jak zgniłe jabłko.

- Mogę zaprosić koleżankę? - zawsze pytała rodziców, bez względu na to, dokąd się wybierali. - Nie chcę tu utknąć z Marnym Robakiem.

Nienawidzę cię, myślała Brenda. Potem pisała to w pamiętniku. Potem szeptała i krzyczała na całe gardło: nienawidzę cię! Obyś umarła!

Teraz na myśl o tym dygotała z poczucia winy. Rak. Ich układy nie były aż tak złe. Ellen Lyndon, zaniepokojona jawną wrogością dziewczynek, nieustannie przypominała im, jak bliskie były sobie w dzieciństwie.

Tak się ze sobą przyjaźniłyście. Zasypiałyście, trzymając się za rączki.

Brenda przeplakała cały dzień, kiedy Vicki poszła do przedszkola, a Vicki zrobiła Brendzie papierowy talerz wyklejony gwiazdkami ze złotka. W liceum przeżyły nawet parę chwil solidarności, raz zjednoczone przeciwko rodzicom, a potem, w jednej chwili, przeciwko Erikowi vanCottowi.

Kiedy Brenda i Erik vanCott byli w trzeciej klasie liceum, a Vicki w czwartej, Erik zaprosił Vicki na bal klasowy. Vicki była uwikłana w burzliwy związek z Simonem, studentem pierwszego roku na Uniwersytecie Delaware. Vicki poprosiła Simona o „pozwolenie” na „przyjacielskie” wyjście na bal z Erikiem, a Simon odpowiedział: „A idź, z kim chcesz”. Świetnie. Vicki i Erik umówili się na bal.

Twierdzenie, że Brenda była tym zdruzgotana, byłoby niedopowiedzeniem. Na bal zaprosili ją dwaj chłopcy, jeden z wyjściowym wyglądem i bez mózgu, drugi tylko bez mózgu. Odmówiła im w nadziei, że Erik zaprosi ją z litości, z obowiązku albo dla draki. A teraz miała zostać w domu, gdy Vicki będzie się bawić z Erikiem. W ten to dramat wkroczyła Ellen ze swoją wiarą, że wszystkie cierpienia i żale - nawet te sercowe albo o podłożu siostrzanym - uleczy odrobina piasku Nantucket pod stopami. Kiedy zorientowała się w sytuacji i utwierdziła w podejrzaniach na widok tragicznej miny Brendy, wzięła butelkę piasku z Nantucket, którą zawsze trzymała na parapecie i wysypała parę ziaren do mokasynów Brendy.

- Wkładaj - rozkazała. - Poczujesz się lepiej.

Brenda posłuchała, ale przysięgła sobie, że tym razem nie będzie udawać, że piaskowe lekarstwo zadziałało. Nie będzie udawać, że jest sierpień, ona ma znowu siedem lat i wspina się na wydmy. Wtedy najważniejszą sprawą w jej życiu była kolekcja wygladzonych przez morze szkiełek i książki Frances Hodgson Burnett - *Mała księżniczka*, *Tajemniczy ogród*.

- Aha! Widzę, że już ci lepiej.

- Nie.

- Więc niedługo będzie. Masz piasek między palcami?

Zbliżał się bal. Ellen zaplanowała wyprawę - pocieszankę. Chciała, żeby Brenda poszła z nią i Buzzem na coroczny Rytuał Wiosny w klubie, tego samego wieczoru, w którym miał się odbyć szkolny bal. Potańcówka z rodzicami w roli przyzwoitek miała ją pocieszyć? Najwyraźniej tak. Ellen spytała, czy Brenda woli koreczki z łososia, czy cielęciny w sosie. Kiedy Brenda odmówiła odpowiedzi, Ellen powiedziała żartem coś o cielęcinie bez sosu. Ta kobieta była jednoosobowym spektaklem w teatrze absurdu.

Brenda nie patrzyła, jak Vicki się ubiera, i sama także nie zaczęła się ubierać. Schowała się pod kocem, ubrana w dres i czytała *Targowisko próżności*. Bojkotowała klub, koreczki z łososiem i całą resztę. Zamierzała zostać w domu i poczytać.

Na godzinę przed przybyciem Erika Vicki zapukała do drzwi pokoju Brendy. Brenda oczywiście nie odpowiedziała. Vicki, która nie miała żadnego zrozumienia dla cudzej prywatności, pokręciła gałką. Drzwi były zamknięte na klucz. Vicki zaczęła skrobać w nie paznokciami, czego

Brenda nigdy nie potrafiła wytrzymać. Otworzyła gwałtownie.

- Czego?

- Nie idę - oznajmiła Vicki. Była w sukni, czarnej tubie bez ramiączek, a jasne włosy spięła w węzeł. Miała ślubny naszyjnik Ellen, perłę na złotym łańcuszku. Wyglądała jak gwiazda opery mydlanej, co tylko jeszcze bardziej wkurzyło Brendę. Wtargnęła do pokoju i rzuciła się na łóżko, jakby to ona miała złamane serce. - On chce się spotkać w Main Lion z tą masą ludzi, których nie znam. Żenada. A potem wybiera się do jakiegoś faceta z zespołu. Żenada. - Uniosła głowę. - Nie chce mi się wysilać.

- Nie wyglądało mi na to, że się wysilasz - syknęła Brenda. Oto typowa Vicki Lyndon. Ma wspaniałą kieckę i jeszcze wspanielszego faceta, dla którego Brenda mogłaby popełnić morderstwo - a grozi, że zostanie w domu... dlaczemu? Bo uznała, że jak dla niej będzie za mało ekstra.

- Ty z nim powinnaś iść - dodała Vicki. - To twój przyjaciel.

- Tak, Erik był przyjacielem Brendy. Jednak w świecie bali i randek fakt ten miał bardzo małe znaczenie.

- Nie mnie zaprosił - burknęła.

- No, to mu pecha - oznajmiła Vicki. - Bo ja nie idę.

- Mama cię zmusi. Powie, że to niegrzeczne, tak go wystawić w ostatniej chwili. I w bardzo złym guście.

- Nie może mnie zmusić. Ciebie nie zmusiła do pójścia na ten Rytuał Wiosny.

- Na razie nie próbowała.

Vicki rozpięła suknię i wysliznęła się z niej jak wąż z wylinki.

- Razem zostaniemy w domu. Wypożyczymy jakiś film. Napijemy się piwa taty.

Brenda wytrzeszczyła oczy. Czy słuch ją myli? Vicki nie lubiła zostawać w domu, a zwłaszcza z Brendą. Ale może... no, przynajmniej Erik zrozumie, jaka ta Vicki jest naprawdę. Dotrze do niego, że powinien zaprosić Brendę.

- Dobra - powiedziała.

Vicki zadzwoniła do Erika, żeby mu oszczędzić upokorzenia, gdy musiałby zawrócić od progu Lyndonów, w smokingu i z gardenią w plastikowym pudełku.

- Eeee, wyyybacz - powiedziała. - Nie czuję się dooobrze. Dostałam straaaaasznej miesiączki. Wolę zostać w domu. - Milczała przez chwilę. - Jasne, koło mnie.

Przekazała słuchawkę Brendzie.

- Właśnie dostałem kosza - powiedział Erik. - Jakie masz plany na dziś?

- Byłam umówiona - oznajmiła, choć nie wspomniała, z kim ani gdzie. - Ale... skoro Vicki źle się czuje, zostanę w domu i dotrzymam jej towarzystwa.

- Mogę przyjść? - spytał Erik.

- Przyjść?

- Aha. Pobyć z wami.

Vicki przeciągnęła palcem po gardle.

- Wybacz - rzekła Brenda. - Nie dzisiaj.

W rezultacie Erik poszedł na bal sam, a kiedy rozeszła się wieść, że Vicki Lyndon go wystawiła, jego popularność gwałtownie wzrosła. Zespół pozwolił mu zaśpiewać piosenkę Bryana Adamsa. To był najlepszy wieczór jego życia. Następnego dnia zadzwonił do Vicki z podziękowaniami. Brenda i Vicki zostały w domu, zrobiły popcorn, piły ciepłe piwo i oglądały swój ukochany film, *This Time Forever*, przy którym obie zawsze płakały. Zasnęły w dwóch kątach sofy, dotykając się nogami.

Brenda siedziała w poczekalni onkologicznej, symulując czytanie „People”, ale w rzeczywistości modliła się szybko i gorączkowo, poruszając ustami, kreśląc krzyż na piersi. W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, Amen. Dobry Boże, pozwól Vicki żyć. Proszę Cię, Boże, błagam, proszę. Pozwól. Jej. Żyć.

Stało się już zwyczajem, że w pewnym momencie tego czuwania w poczekalni telefon Brendy zaczynał dzwonić. Zawsze spoglądała na wyświetlacz z nadzieją (Walsh) i przerażeniem (mecenas Brian Delaney) - choć prawie zawsze dzwoniła matka. Po jakimś czasie pielęgniarki, które wchodziły i wychodziły zza stanowiska administracyjnego, wręcz wyczekiwały telefonu Ellen Lyndon. Uważały, że to urocze - mamusia się interesuje. Brenda miotła się między wdzięcznością i rozdrażnieniem. Ellen tuż po Wielkanocy przeszła operację wstawienia protezy kolana - zemściły się narty - i jeszcze nie doszła do siebie. W przeciwnym razie byłaby tutaj - mieszkałaby w pokoju Melanie, zamiast samej Melanie, albo wynajmowała numer 12 na Shell Street, skąd mogłaby wszystkiego doglądać osobiście. Ellen Lyndon była bardziej przerażona stanem Vicki niż sama Vicki, dlatego to na Brendę spadł i obowiązek uspokajania matki, zapewniania jej, że tak, wszystko idzie zgodnie z oczekiwaniami. Wyniki Vicki były stabilne, dzieci czuły się doskonale. To dawało Brendzie poczucie siły i spokojnego panowania nad sytuacją. Ale niepokój matki coraz bardziej ją irytował. Dwa razy w tygodniu musiała odwodzić matkę od myśli samobójczych. Zorientowała się, że recytuje te same formułki raz za razem, dopóki matka nie dała się zahipnotyzować i nie zaczęła powtarzać tego samego jej. Ani razu podczas tych rozmów Ellen Lyndon nie spytała o Brendę. Brenda usiłowała nie zwracać uwagi na fakt, że własna matka przestała ją zauważać, chyba że jako źródło wiadomości. Teraz odebrała komórkę ze słowami:

- Cześć, mamo.

- Jak ona się czuje?

Brenda wbrew samej sobie straciła panowanie nad sobą.

- A ty? Dalej o lasce? Nie sypiesz sobie w gips piasku z Nantucket?

- To nie jest śmieszne, kochanie. Jak się czuje twoja siostra?

- Świetnie.

- Badania krwi?

- Ilość czerwonych krwinek stabilna. Białe spadły, ale niewiele.

- Czy schudła...

- Ćwierć kilo.

- Od wtorku?

- Tak.

- Wymiotuje? Jak jej włosy?

- Nie wymiotuje. Włosy jak zwykle.

- Twój ojciec i ja powinniśmy tam być.

- Ale jak twoja noga?

- Po tym wszystkim wydaje się, że już amputacja byłaby łatwiejsza. Ale odstawiłam środki.

- Dobrze.

- Jak dzieci? I Melanie, biedulka? Co u niej?

Brenda nie miała nastroju na uzalanie się nad biedulką Melanie.

- A nie ciekawi cię, co u mnie? Masz dwie córki, pamiętasz?

- Och, kochanie, wiem. Jesteś aniołem, że pomagasz siostrze. Gdyby cię tam nie było...

- Ale jestem. I wszystko jest świetnie. Vicki czuje się świetnie.

- Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, jak tylko...

- Powiem - ucięła Brenda. - Zawsze mówię.

- Tak się martwię. Nawet nie wiesz. A twój ojciec, choć nic nie mówi, martwi się tak samo, jak ja.

- Wszystko jest dobrze, mamó. Powiem Vicki, żeby do ciebie zadzwoniła.

- Wszystko jest dobrze - powtórzyła Ellen Lyndon. - Powiesz Vicki, żeby do mnie zadzwoniła.

- No, widzisz. Zrozumiałaś.

- Och, dziecko. Nie masz pojęcia, co to znaczy: siedzieć milion kilometrów od was i nie móc nic zrobić.

Niech Bóg broni, żebyś coś takiego przeżyła.

- Ja to przeżywam, mamó. To moja siostra. - Okaż skrucę, pomyślała. Żal za grzechy. - Do widzenia.

- Powiedz Vicki, żeby zadzwoniła!

- Do widzenia, mamó.

Wielniane pończochy na prezenty, nitkowanie zębów, wyniki Red Soksów, jedwabiste włosie z kukurydzy, zatykające kuchenny zlew, włosy jak kukurydziany jedwab, zatykający odpływ w łazience, trujący bluszcz, deszcz, oburzające ceny benzyny, pieniądze, erekcja, seks.

Początkowo branie chemii nie było bardziej bolesne czy przykre niż wizyty u dentysty. Oddział onkologiczny w szpitalu w Nantucket był mały, z dobrze zżytych ze sobą personelem - czy też, jak lubili mówić, „drużyną”. (Wszyscy grywali w lecie w softball i trzy razy z rzędu wygrali mistrzostwa. „Kiedy się ogląda to, co my, dzień po dniu, człowiek szuka ujścia dla agresji” - powiedziała przełożona pielęgniarek Mamie).

Drużyna składała się z Mamie, około dziesięć lat starszej od Vicki, samotnej matki czterech chłopców, oraz dwóch innych pielęgniarek, młodego czarnego mężczyzny imieniem Ben i masywnej dziewczyny z przekłutą dolną wargą, niedawnej absolwentki szkoły pielęgniarek, Amelii - u także onkologa, doktora Alcotta. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności doktor Alcott znał doktora Garcię ze szpitala Fairfield, dzięki latom niezmordowanego uczęszczania na konferencje.

- Wypiliśmy parę drinków, Joe i ja - powiedział doktor Alcott przy pierwszym spotkaniu z Vicki. - Obiecałem mu, że dobrze się panią zajmę.

Miał pewnie pięćdziesiąt lat, ale wyglądał na trzydzieści. Jasnowłose, opalony, bardzo białe zęby i drogie, szyte na miarę ubranie, ukryte pod białym fartuchem. Wyznał Vicki, że lubi łowić ryby, wprost uwielbia, i że to go sprowadziło na Nantucket ze szpitala w Bostonie - późnowieczorne i absurdalnie wczesne wyprawy żółtym dżipem wranglerem na Great Point. W wakacje trzy do czterech razy wynajmował łódź z Bobbym D, by łowić rekiny lub tuńczyki, ale w głębi serca był samotnikiem, który łowi ryby, żeby je natychmiast wrzucić do wody. Tuńczyk był dobrym łupem, okoń, albakora, jeszcze lepszym bonito. Doktor Alcott był też tajną bronią drużyny, genialnym miotaczem, któremu nie mógł sprostać nikt w lidze. Vicki prawie się w nim zakochała, pewnie jak każda pacjentka.

Od razu po przyjeździe Ben lub Amelia ważyli ją, mierzyli ciśnienie i pobierali krew dla zbadania ilości białych krwinek. Potem Vicki czekała na nadejście doktora Alcotta.

Sprawdzam dla porządku - mówił. - Jak się miewasz? Jak samopoczucie? Dobrze? Trzymasz się? Dzielna dziewczynka. Joe obiecał, że będziesz idealną pacjentką, prawdziwą wojowniczką. Wyniki krwi wyglądają dobrze, świetnie. Dobrze sobie radzisz. Jestem z ciebie dumny, Vicki. Odwalasz świetną robotę.

Te słowa zachęty miały dla Vicki idiotycznie wielkie znaczenie. Przyzwyczaiła się, że we wszystkim jest prymuską, choć nie przyszło jej do głowy, żeby uznać chemię za pole, na którym można by się wykazać. Reakcji ciała na substancje chemiczne nie można przewidzieć, jest przypadkowa. Ale i tak doping doktora Alcotta bardzo się dla niej liczył. Ten lekarz miał jej ocalić życie.

Sala, w której podawano chemię, była mała i przyjemna, z trzema leżankami i dwoma przepierzeniami dla zapewnienia pacjentom prywatności. Vicki wybrała fotel, miała nadzieję, że przynoszący szczęście - wyglądał jak fotel, w którym ojciec przez całe życie zażywał odpoczynku a Mamie podłączyła ją do podajnika trucizny. W sali był telewizor, zawsze nastawiony na stację sportową, ponieważ drużyna onkologiczna bardzo poważnie traktowała wyniki Red Soksów.

Przez pierwszy tydzień, a potem drugi Vicki myślała: nie jest tak źle, dam radę. Nie było fantastycznie - ze wszystkich możliwych rejonów Nantucket pod względem atrakcyjności to miejsce znajdowało się o oczko wyżej od więzienia i domu pogrzebowego Lewisa - jednak nie przypominało to tych horrorów, które osoby z jej grupy wsparcia opowiadały o wielkich szpitalach, gdzie nie ma ustalonych godzin zabiegów i człowiek wędnie w poczekalni trzy lub cztery godziny, aż zwolni się fotel. Vicki czekała na wizytę doktora Alcotta, przysłuchiwała się, jak Mamie opowiadała Benowi o przygodach i tarapatkach swoich synów (ten czternastoletni został przyłapany o trzeciej rano w samochodzie „pożyczonym” z parkingu Grand Union), słuchała, jak Ben opowiada Amelii o szalonych pijanych dziewczynach, które widział, gdy pracował na drugą zmianę jako ochroniarz w Chicken Box. Rankami po meczach softballu w sali rozbrzmiewały ożywione dyskusje. Krótko mówiąc, oddział onkologiczny stanowił samoistny wszechświat, w którym Vicki była gościem. Mogła się udzielać albo nie, jak się jej podobało; nikt nie pytał ją o raka. Bo po co? Było jasne, że te komórki są jak przegniłe zęby, które drużyna musi usunąć. Nikt jej nie oceniał, to była zwykła robota.

Kiedy pojawiły się efekty uboczne, Vicki była prawie zażenowana. Narastały stopniowo; w trzecim tygodniu, po szóstej dawce nastąpił wyraźny spadek formy i z każdym dniem robiło się odrobinę gorzej. Straciła apetyt, zmuszała się do jedzenia tak, jak inni zmuszają się do ćwiczeń. Jej skóra stała się sucha, łuszczyła się, a myśli zaczęły się plątać (powtarzała to, co już powiedziała, wydawało się jej, że rozmawia z Brendą, choć była to Melanie, gubiła wątek w środku zdania). Choć pilnie się odżywiała, straciła dziesięć kilo, nie miała sił, by chodzić po plaży czy nawet pójść do sklepu, całe popołudnia, a potem dni - piękne, słoneczne, idealne dni - spędzała w łóżku. Brenda przyniosła do domu piasek z plaży i nasypała do wszystkich butów Vicki. Melanie kupowała jej wszystkie książki z listy bestsellerów, ale ona po paru stronach przestawała rozumieć. Jedynym dobrym momentem dnia był ranek, kiedy miała jeszcze dość sił, by zrobić śniadanie, a także pierwsza po południu, kiedy Porter kładł się obok niej na popołudniową drzemkę. Vicki czuła zapach jego włosów, głaskała jedwabisty policzek, przyglądała się, jak ssie smoczek. Kiedy się budził, często zjawiał się Blaine ze słoikiem świeżo ściętych kwiatów i piramidą książeczek. Na ogół udawało się jej przebrnąć przez jedną lub dwie, a potem myśli zaczynały się wikłać.

- Już wystarczy - mówiła wtedy. - Ciocia Brenda ci dokończy. Mamusia się zmęczyła.

Usiłowała magazynować energię na weekendy, kiedy przyjeżdżał Ted. Pojawiał się w piątek po południu, a wówczas zawsze siedziała w łóżku i udawała, że czyta, że wszystko gra, nic jej nie jest - ale wyraz jego twarzy zdradzał, że niezbyt jej się to udaje. Ted siadał na jej łóżku, a w oczach miał niemal panikę. Co oni z tobą robią, szeptał.

Nie wiem, myślała Vicki. Doktor Garcia powiedział, że chemia może być brutalna, ale wtedy tego nie rozumiała. Teraz wszystko było jasne. Osłabła, jej palce stały się wyschnięte jak patyczki, płuca kruche jak stare gniazdo os. Piersi - z powodu chemii i naturalnego kurczenia się po karmieniu - nie wypełniały nawet stanika do ćwiczeń. Sutki miała jak dwa wysuszone rodzyunki. Znikły okrągłości, gładka skóra, jedwabiste jasne włosy. Jej ciało było teraz jak z chrustu i suchych liści. Włosy zmieniły się w zmierzwiony kłęb nici. Była brzydka, ohydna, jak ledwie żywy zezwłok. Nie czuła już pożądania, a jednak umysł nie chciał zrezygnować z tej części życia. Bała się panicznie, że Ted poszuka seksu gdzie indziej - w mieście są miliony kobiet, prostytutki, luksusowe cali girls, które pracownicy Wall Street znali i podsuwali klientom. W biurze Teda, w jego budynku pracowały kobiety; może pewnego razu do windy wsiądzie jedna, pachnąca szczególnymi perfumami... Przecież to się zdarza codziennie. Zdrada. Spotkała jej najlepszą przyjaciółkę! Dlatego Vicki domagała się seksu z Tedem, jak nigdy przez całe małżeńskie życie - a on najwyraźniej uważał to za dowód jej szaleństwa.

- Ale ja chcę - mówiła, ciągnąc go do łóżka. Było niedzielne popołudnie, Brenda zgodziła się zostać z dziećmi na plaży godzinę dłużej. - Chodźmy razem pod prysznic.

- Na dwór?

- Chcę być blisko ciebie.

- Vicki, Vicki, Vicki. Nie musisz tego robić dla mnie.

- Dla nas - odpowiedziała. - Żebym się lepiej poczuła.

- Dobrze - szepnął i pocałował jej włosy. - Dobrze. Wrócili do tej ciasnej, dusznej sypialni i zamknęli drzwi.

Vicki spuściła story; chciała, żeby było ciemno. Podeszła do męża, zsunęła mu szorty. Zaprowadziła do łóżka i wzięła go do ust. Nic. Ted leżał blady, spocony, bezsilny, z zaciśniętymi oczami i bolesną miną. Pewnie usiłował o niej nie myśleć. Przypominał sobie kobietę, którą kiedyś była, albo wyobrażał sobie inną.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie pociągam cię - szepnęła Vicki. Osunęła się na podłogę. - Uważasz, że jestem brzydka.

- Nie jesteś brzydka, Vick. Nigdy nie będziesz brzydka.

- Więc o co chodzi?

- Nie wiem. To tkwi w głowie. Rak. Boję się, że ci sprawię ból.

- Powiem ci, co mnie boli: że nie podniecam mojego męża. W domu miewasz erekcję? Rano, po przebudzeniu? Wtedy wszystko funkcjonuje?

- Vicki, przestań.

- Robisz sobie dobrze, kiedy mnie nie ma?

- Vick, dosyć.

- Chcę wiedzieć. - *Nie? Nie wierzę.*

- Tak? To może przyjedziesz do domu i sama sprawdzisz.

- Aaaa. A, rozumiem. - Więc się pokłóć, ostatnie, czego chciała, ale nie umiała się powstrzymać. - To kara za to, że wyjechałam z Connecticut? Nie będziesz się ze mną kochać, dopóki nie wrócę do domu?

- Nie o to chodzi. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

- No, to co z tobą nie tak? - Chciała wstać, ale była zbyt zmęczona, więc nadal siedziała na podłodze, z oczami na poziomie jego kolan. Do tej pory ich życie seksualne było zdrowe; przed jej chorobą Ted prosił ją co noc. Tak to u nich działało: Ted prosił, Vicki się zgadzała. Do tej pory ani razu nie zawiódł. To było tak nietypowe, że nawet nie umieli o tym rozmawiać.

- Nie wiem, co ze mną nie tak - powiedział.

- Spałeś z inną. Wiem.

Ted się wyprostował. Wycelował w nią palcem.

- Nie chcę tego nigdy więcej słyszeć. Nie mów tak, nie myśl w ten sposób. To obelga dla mnie, naszego małżeństwa i naszej rodziny. - Włożył szorty i zaczął krążyć po pokoju. - Naprawdę myślisz, że bym ci to zrobił? Po dziesięciu latach małżeństwa masz o mnie tak niskie zdanie?

Rozpląkała się.

- Boję się! Boję się tego, co się dzieje z moim ciałem. Jestem brzydka. Zostawiłam cię samego w domu, wiem, że masz o to do mnie żal, i ciągle widzę te straszne sceny, ciebie z inną, albo że się w niej zakochujesz i czekacie, aż umrę, żeby być razem i wychować chłopców...

Ted ukląkł. Ujął jej twarz; wtuliła się w niego. Wiedziała, że reaguje przesadnie, ale nie żałowała, bo naprawdę się tego bała. Pod względem seksualnym poniosła porażkę. Sam rak był porażką, dopiero teraz zrozumiała, że nie przywykła do porażek na żadnym polu. Wszystko zawsze przychodziło jej z łatwością, taka już była.

Ted miał wyjechać o piątej, a ona przez pięć dni znowu będzie się nakręcać do następnej próby.

- Obejmiesz mnie? - spytała. Przytulił ją mocniej.

- Co myślisz o sprzedaniu yukona?

- Słucham?

- Możemy kupić volvo. Jest bezpieczniejsze.

Pokręciła głową. To było coś tak nieprzystającego do sytuacji, że nawet nie wiedziała, czy dobrze go usłyszała. Naprawdę martwi się samochodem? Z niechęcią przyznała, że szarpnął ją gigantyczny gniew. Nie mogła uwierzyć, że inni potrafią myśleć o takich rzeczach. Bezpieczniejszy samochód? Gniew był zmieszany z zazdrością. Zazdrościła wszystkim wszystkiego: Melanie ciąży, scenariusza Brendzie, Joshowi mocnych ramion - mógł unieść naraz fotelik, parasol, ręczniki, lodówkę i niemowlę i dojść z tym wszystkim aż do plaży, nie robiąc przystanków i niczego nie gubiąc. Zazdrościła Mamie synów, z których każdy bezpiecznie osiągnął wiek nastoletni, zazdrościła doktorowi Alcottowi osiemdziesięciocentymetrowego okonia, którego jednak złowił i przyrządził dla rodziny na grillu, zazdrościła Amelii tatuażu tuż nad pośladkami (znaczek suczek, mówił na to Ben), zazdrościła im rozmowy o przepuszczonej piłce. Zazdrościła Porterowi smoczka - chciała smoczek! Zazdrościła Tedowi pracy, jej wymogów i nagród; mógł wrócić samolotem do Nowego Jorku i zatracić się w zarabianiu pieniędzy. Na tym polegała jego praca. Vicki chciała odzyskać swoją - być gospodynią i matką. Chciała mieć normalne życie, pełne spraw innych niż chemia, zacieniona sypialnia i żaloszny mąż - impotent. Chciała mieć życie tętniące sprawami, z których żadna nie łączyła się z rakiem.

Od chwili, gdy Brenda przyjechała na Nantucket, mecenas Brian Delaney dzwonił dziewięć razy, a ona ani razu nie oddzwoniła. Miała nadzieję, że sprawę z obrazem Jacksona Pollocka da się załatwić przez SMS-y i e-maile, ale mecenas Brian Delaney uparł się przy rozmowach telefonicznych, dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

Przyczyną, prostą i zwyczajną, dla której Brenda nie chciała z nim rozmawiać, był fakt, że nie chciała płacić. Musiał to wyczuć. Po dziesiątej rozmowie powiedział: oddzwon albo zrzekam się twojej sprawy.

Więc oddaliwszy się od domu na bezpieczną odległość i rozłożywszy się na skrawku pustej plaży, którą odkryła na północ od wybrzeża Sconset, w końcu oddzwoniła.

Trudi, sekretarka mecenasa Briana Delaney, natychmiast ją z nim połączyła. Chwilę później w słuchawce rozległ się grzmiący głos, tętniący testosteronem jak głos futbolisty z Ohio, którym zresztą Brian Delaney był w poprzednim życiu.

- Brenda Lyndon! Już myślałem, że prysnęłaś z kraju!

Powinna coś odwarknąć. Kiedy poznała mecenasa Briana Delaney, kąśliwe riposty przychodziły jej bez trudu, i był to jeden z powodów, dla których zgodził się przyjąć jej sprawę. Polubił ją. Nie chodziło tylko o to, że mógł czuć się gorszy od niej, wykładowczyni na niemal najlepszej uczelni w kraju. Podobało mu się także to, że była młoda, atrakcyjna i bezczelna. Nie do wiary, że jesteś profesorką, powtarzał. Pomimo zszarganej przez romans z Walshem reputacji, Brenda przyszła na pierwsze spotkanie w obcisłej spódnicy i bardzo wysokich szpilkach w nadziei, że mecenas Brian Delaney spuści z ceny. Nic z tego, choć jego beztroska podniosła ją na duchu. Ta sprawa była dla niego zabawą, nie wymagała myślenia. Mecenas powiedział, że jest przyzwyczajony do spraw kryminalnych. Złodzieje, gwałciciele, szefowie narkotykowych mafii. W porównaniu z nimi Brenda wydawała się królową Elżbietą.

- Nantucket to inny kraj - odpowiedziała. - Przynajmniej tak się wydaje. Przepraszam, że nie dzwoniłam. Opowiadałam ci o mojej siostrze, tak? Że bierze chemię?

I że jestem odpowiedzialna za jej dzieci? Byłam bardzo zajęta.

- Jasne - mruknął Brian z wahaniem.

Brenda łudziła się także, że wieść o raku Vicki skłoni go do obniżenia ceny, ale stało się jasne, że facet o wszystkim zapomniał. - Byłem w kontakcie z prawniczką uniwersytetu, pogadała z głównym konserwatorem i radą wydziału anglistyki - bo, jak wiesz, z technicznego punktu widzenia właścicielem obrazu jest wydział - i podchodzą do tego z dwóch zupełnie różnych stron. Ten konserwator, nazywa się Len, mówi, że obraz ucierpiał w bardzo niewielkim stopniu. Trzeba nad nim tylko „trochę popracować”, jak powiedział.

- Dzięki Bogu.

- Wstrzymaj konie, siostrzo. „Trochę pracy” będzie cię kosztować dziesięć tysięcy dolarów.

- Co? - Poderwała się. Na plaży jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy, więc mogła swobodnie wrzasnąć: - Że co, cholera?!

- W lewym dolnym kwadrancie obrazu znajduje się ubytek od uderzenia grzbietu książki. Ubytek ma długość półtora centymetra.

- Ubytek?

- Wolisz to nazywać rozdarcie? No, to rozdarcie. Należy je zaszyć, uzupełnić, i co tam jeszcze trzeba, żeby przywrócić blask wspaniałemu dziełu Pollocka. Ale to nie jest ta zła wiadomość. Zła wiadomość ma związek z tą drugą, z dziekan twojego dawnego wydziału.

- Atelą?

- Oskarży cię o kradzież mienia o wielkiej wartości.

- Kradzież?

- To dzieło sztuki. Jego wartością jest wygląd. Nie trzeba go wynosić z pokoju, żeby go ukraść. Atela jest przekonana, że usiłowałaś się dopuścić sabotażu.

- Już przez to przechodziliśmy. Rzuciłam książką w gniewie. To był chwilowy atak szału, przez co otrzymujemy przestępstwo drugiego stopnia. Może nawet trzeciego, bo to naprawdę był wypadek.

- Cóż za fachowe słownictwo.

- Nie celowałam w obraz.

- Ona twierdzi, że zniszczyłaś go z premedytacją.

- Chyba sobie żartujesz. Nie wydaje ci się, że to lekka przesada?

- Przysięgli mogą jej uwierzyć.

- Więc co to znaczy? Będzie proces?

- Będą ci grozić procesem. Ale tak naprawdę, chodzi im o ugodę. Czyli większe pieniądze.

- Nie oddam wydziałowi ani grosza.

- Możesz nie mieć wyboru. Żądają trzystu tysięcy dolarów.

Brenda parsknęła krótkim śmiechem, choć rozśmieszyło ją to mniej więcej tak samo, jak wymierzony jej policzek.

- Nie ma szans.

- Ten obraz został wyceniony na trzy miliony - powiedział mecenas Brian Delaney. - Żądają jednej dziesiątej jego wartości.

- Ich zdaniem zmniejszyłam wartość obrazu o jedną dziesiątą? Przecież konserwator powiedział, że to tylko mały ubytek.

- To, co wiem o sztuce, można zapisać na moim paznokciu i jeszcze by zostało miejsce na puszkę zupy Andy Warhola - oświadczył mecenas Brian Delaney. - Chodzi o to, że ich zdaniem obraz stracił jedną dziesiątą wartości. Ale mogę stargować do jednej pięćdziesiątej.

- Dlatego nie odbieram twoich telefonów. Nie wyrabiam nerwowo.

- W oczach niektórych popełniłaś zły uczynek. Podjęłaś szereg bardzo nietrafionych decyzji. Pora się do tego przyznać.

Fakt, zasłużyła na to. Jej upadek był widowiskowy. Czuła się nie jak królowa Elżbieta, lecz Monica Levinsky, Martha Stewart, OJ Simpson. Jej dobre imię zostało wytarżane w błocie campusu Champion i innych uczelni w całym kraju. Nigdy więcej nie będzie pracować w zawodzie. Ponadto - jakby ta kara była zbyt łagodna - rozstała się z Walshem. Ale, jak zawsze, najważniejsze były pieniądze, których miała bardzo mało. Nie mogła zapłacić za swój błąd stu sześćdziesięciu tysięcy dolarów plus te krocie, których zażąda od niej mecenas Brian Delaney.

- Nie mam takich pieniędzy - oznajmiła. - Całkiem po prostu.

- Jak ci idzie scenariusz? Sprzedasz go za milion dolarów i jeszcze ci zostanie.

- Scenariusz idzie po prostu wspaniale - warknęła. Było to bezczelne kłamstwo. Wydusiła z siebie jedną stronę. - Muszę już kończyć, więc...

- Co, pora odwrócić się na kocyku? Bo sobie buzię spieczesz?

I za to płaciła mu dwieście pięćdziesiąt dolarów?

- Do widzenia - wycedziła.

Sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Za każdym razem, kiedy o tym myślała, czuła się jakby dostała w brzuch piłką lekarską. W innych okolicznościach mogłaby zadzwonić do rodziców i poprosić o pożyczkę. Pomimo nieuniknionych komentarzy, że skończyła już trzydziestkę, a oni utrzymywali ją przez całe studia, pieniądze by się jakoś znalazły. Ale musiała ukryć swoje niepowodzenia przed rodziną. Bliscy wiedzieli tylko najważniejsze: że wyrzuciono ją z Champion, że zaszło „nieporozumienie” co do ważnego obrazu, przez co wynikła konieczność zatrudnienia prawnika, ale na tym koniec. Lyndonowie zawsze mieli otwarty umysł i byli tolerancyjni, co jednak wynikało z poczucia wyższości. Zachowywali się nieskazitelnie, spełniali wysokie kryteria moralne, ale w swej nieskończonej mądrości rozumieli, że nie wszyscy są do nich podobni. Vicki też tak myślała - podobnie jak, przez bardzo długi czas, Brenda. Nie mogła znieść myśli, że należy do tłumu grzeszników, moralnych bankrutów, do których zaliczyliby ją rodzice, gdyby dowiedzieli się prawdy. Zapewne wręczyliby jej tę wstrząsającą sumę, ale rozczarowałiby się co do niej, a na to nie mogła pozwolić. Podobnie jak nie mogła znieść myśli, że obarczyłaby rodziców szczegółami swojego idiotycznego skandalu akurat w chwili, gdy Vicki jest taka chora. Nawiasem mówiąc, Brenda zamierzała okłamywać matkę co do stanu Vicki. Bo, mimo jej modlitw, Vicki czuła się gorzej. Chemia zbierała żniwo. Wydarzyło się wszystko, co mogło się wydarzyć. Vicki schudła ponad pięć kilo, była chronicznie zmęczona, nie miała apetytu - nawet na stek z grilla i kukurydzę. Jej włosy, zawsze podobne do jedwabistych pasm z kolb kukurydzy, zaczęły wypadać upiornymi kłębami; miejscami pojawiły się łyse placki. Vicki miała w jednej z walizek przywiezioną z domu perukę, ale Brenda nie potrafiła poprosić, żeby zaczęła ją nosić.

Pewnego ranka - był to wtorek, dzień chemii - Brenda znalazła Vicki w pokoju, kołyszącą się z płaczem na łóżku z oboma chłopcami na kolanach.

- Nie chcę iść. Proszę, nie każ mi iść. Oni chcą mnie zabić.

- Chcą cię wyleczyć.

- Mama nie pójdzie dziś do szpitala - odezwał się Blaine.

- Chodź - rzuciła Brenda. - Straszysz dzieci.

- Nie pójdę - uparła się Vicki.

- Josh przyjdzie lata chwila. Nie zrobiłaś mu śniadania.

- Już nie mogę gotować. Od samego patrzenia na jedzenie jest mi niedobrze. Jeśli Josh jest głodny, Melanie coś mu zrobi. - Tak się już zdarzyło dwa lub trzy razy: Vicki była zbyt chora, żeby gotować, więc Melanie usiłowała ją zastąpić. Zrobiła jajecznicę, jednocześnie spaloną i galaretowatą, i zwiędłe, tłuste kawałki boczku - po czym Josh oznajmił, że wystarczy mu miseczka płatków.

- Nie możesz odpuszczać chemii. To jak lekarstwo. Jak antybiotyk. Jeśli ominiesz jedną kolejkę, znowu zachorujesz.

- Nie jadę - oświadczyła Vicki.

- Ona nie jedzie! - krzyknął Blaine. - Zostaje w domu!

Vicki nie skarciła go za to, że krzyczy na ciotkę, która - nie zapominajmy - stara się postępować właściwie! Ta rodzina pójdzie do piekła w komplecie.

- Dam ci parę minut - powiedziała Brenda. - Ale o wpół do dziewiątej wyjeżdżamy.

Wyszła z pokoju, czując gęsią skórę na myśl o nieuniknionej rozmowie z matką. Jak ona się czuje, spyta Ellen Lyndon. I co Brenda ma odpowiedzieć? Boi się. Jest zła. Cierpi. Rzucenie matce garści nieupiększonych faktów było nie do pomyślenia. Więc powie - wszystko dobrze. I z dziećmi też wszystko dobrze.

Myśląc z poczuciem winy o kłamstwach, których jeszcze nie wypowiedziała, usłyszała znany chrzęst muszelek pod oponami dżipa. Josh. On nas jakoś wyratuje, pomyślała. Teraz, gdy nawiązała regularne kontakty z Bogiem, uwierzyła, że Josh został im zesłany z jakiegoś powodu. Na palcach przeszła kamienną ścieżką i spotkała się z Joshem przy furtce. Miała jeszcze na sobie nocną koszulę, a rano był chłodny, mglisty. Splotła ręce na piersi.

Josh zmarszczył brwi.

- Nie rzućcie dziś kamykami? Coś się stało?

- Mniej więcej - przyznała. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Dobra. - Oczy mu zabłysły. Był w tym podobny do Walsha. Jak każdy typowy Australijczyk, Walsh uwielbiał pomagać. - Chętnie.

- Porozmawiaj z Vicki.

Każdy powiedziałby: tylko nie to, ale Josh nie miał oporów wobec Vicki. Lubił ją, nie bał się jej raka. Mówił do niej „szefowo” i codziennie żartował z jej Nie-Listy.

- Jasne. W porządku. O czym?

- Po prostu porozmawiaj. Potrzebuje przyjaciela. Ma mnie powyżej uszu.

- Nie ma sprawy. Dla ciebie wszystko.

Brenda miała go zaprowadzić do domu, do sypialni Vicki, ale te słowa - dla ciebie wszystko - choć wypowiedziane lekko, żartobliwie, omal nie doprowadziły jej do szlochów wdzięczności. Już od jakiegoś czasu podejrzewała, że Josh wcale nie jest studentem, tylko aniołem. Położyła mu ręce na ramionach, wspięła się na palce i pocałowała go. Smakował młodością, jak niedojrzały owoc, usta miał miękkie. Poczula, że pochyla się ku niej, objął ją w talii.

Natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Co jej odbiło? Delikatnie odsunęła go od siebie.

- Przepraszam - powiedziała. - To było nie fair.

- Jesteś bardzo piękna. Wiesz, że tak myślę.

Tak, wiedziała. Widziała, jak na nią zerka, kiedy była w koszuli i bikini, ale go nie zachęcała. Kiedy rozmawiali, była sympatyczna, ale nic więcej. Zawsze starała się go trzymać na dystans. W tej chwili tylko tego jej brakuje, żeby ktoś pomyślał... Ale jak zwykle, rozsądek opuścił ją w ułamku chwili. Pocałowała go - i był to prawdziwy pocałunek - więc teraz, nagle, jakby było mało, stała się jeszcze latawicą. Miała tyle na głowie, tyle ciężkich, trudnych myśli, że kiedy znalazł się ktoś gotowy pomóc, choćby troszeczkę, odebrało jej rozum. W swoim życiu narozrabiała jak pijany zając, ale w życiu Josha nie zamierzała rozrabiać.

- To nie fair, bo kocham kogoś innego - wyjaśniła. - Kogoś z Nowego Jorku. - Pomyślała o tej cholernej serwetce, schowanej w książce; atrament już się rozmazał. „Zadzwoń do Johna Walsh”.

- O - wyrwało się Joshowi.

Był wkurzony. Miał święte prawo się wkurzyć, miał prawo opuścić numer jedenasty na Shell Street i nigdy nie wrócić, ale Brenda miała gorącą nadzieję, że tego nie zrobi. Że zostanie tu z powodu o wiele poważniejszego niż fascynacja nią.

- Ale porozmawiasz z Vicki, prawda? - spytała. - Prawda?

Wzruszył ramionami. Oczy miał pełne bólu i chłopięcego rozczarowania.

- Jasne.

W pokoju było ciemno, łagodne poranne światło obrysowywało krawędzie opuszczonych rolet. Vicki kołysała się na łóżku z dziećmi w objęciach, ale Brenda wyjęła jej Portera z ramion i powiedziała do Blaine'a:

- Chodź na dwór. Mamy parę kamyków do rzucenia.
- Chcę zostać z mamą.
- Idziemy - rozkazała Brenda. - W tej chwili.
- I tak muszę porozmawiać z twoją mamusią - odezwał się Josh. - Zaraz przyjdę.

Tak ich zaskoczył, że ani Blaine, ani Vicki nie zaprotestowali. Blaine wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi, a Vicki osunęła się na łóżko. Miała na sobie szare sportowe szorty i granatowy podkoszulek, który odsłonił jej brzuch. Była o wiele szczuplejsza niż tamtego pierwszego dnia na lotnisku. Na głowie miała bandanę, niczym raper. Straciła prawie wszystkie włosy.

- Brenda powiedziała ci, że nie chcę brać lekarstwa?
- Szczerze mówiąc, nic mi nie mówiła. Oprócz tego, że kocha kogoś innego, nie mnie.

Vicki wyrwało się coś pomiędzy śmiechem a czkawką. Josh był wstrząśnięty własną szczerością. Vicki miała w sobie coś, co go rozluźniało. Była zbyt młoda, żeby być jego matką, choć przez te ostatnie tygodnie zdarzyło się, że wydawała mu się matką i było to słodkie uczucie. Była jakby starszą siostrą, albo bardzo fajną starszą przyjaciółką, taką, o której nigdy nie mógłby nawet marzyć. Nazywał ją szefową dla żartu, choć co to właściwie za żart, przecież ona naprawdę była jego szefową. A jednak nie wydawała się nią, prócz tego, że zawsze mu mówiła, co ma zrobić, a po powrocie o pierwszej domagała się szczegółowego raportu ze wszystkiego, co robiły dzieci - każdego ich słowa, uczynku i myśli. Mimo to stwarzała pozory, że to on jest szefem, on rządzi - i pewnie właśnie dlatego Brenda poprosiła go, by z nią porozmawiał. Vicki mogła go posłuchać.

- Kocha jakiegoś Johna Walsha - powiedziała Vicki. Usiadła, wzięła chusteczkę z nocnego stolika i wydmuchała nos. - Był jej studentem. Nie do wiary, że ci powiedziała.

- Nie do wiary, że ci powiedziałem, że mi powiedziała. Wydawało mi się, że zostałem wysłany, żeby porozmawiać o czymś innym.

- Bo zostałeś - westchnęła Vicki. - Nie idę na chemię.
- Czemu?

- Mam dość. Nie pomaga. Nie czuję, żeby mi było lepiej. Boli. Umieram. Wiesz, co to chemioterapia, prawda? Kontrolowane podawanie trucizny. Chcą otruć komórki rakowe, ale przeważnie trują te zdrowe. Więc jest tak, że kiedyś miałam zdrowe komórki, a teraz mam same zatrute. Jestem naczyniem pełnym zielonego jadu.

- Moim zdaniem wyglądasz tak samo - powiedział, choć to nie była prawda.

- Nie mogę jeść. Straciłam sześć kilo i wyłysiałam. Nie mogę gotować. Nie potrafię obejrzeć do końca *Scooby-Doo*, bo zasypiam. Nie mogę się skupić na tyle, żeby zagrać w grę planszową. Po co przyjeżdżać na Nantucket, jeżeli wychodzi się tylko do szpitala? Chcę iść na plażę. Chcę pływać, chcę pić chardonnay na tarasie, chcę się poczuć lepiej. Skończyłam z chemią. I tak nie było gwarancji, że guz się od niej skurczy. To tylko teoria. Eksperymenty z moim ciałem. Ale dziś robię z tym koniec. Mam dość.

- Powiem coś oczywistego. Jeśli nie pójdziesz na chemię, twój stan może się pogorszyć.
- Może. Ale może nie.
- Jeśli lekarze uważają, że chemia ci pomoże, powinnaś ją przyjmować. Musisz myśleć o dzieciach.

- Mówisz jak mój mąż. Niedobrze. Cechą, którą bardzo w tobie cenię, jest to, że w niczym nie przypominasz mojego męża.

Josh poczuł, że się rumieni. Jeszcze nie poznał tego mitycznego Teda Stowe'a, choć Blaine opowiadał mu o nim ze szczegółami. Ted Stowe przyjeżdżał w każdy weekend i był jakimś magikiem finansów z Nowego Jorku. Blaine'owi wyrwało się, że Ted nie lubi Josha.

- Przecież nawet nie znam twojego taty - zdziwił się Josh. - Nigdy się nie widzieliśmy.

- Wierz mi - powiedział Blaine. - Nie lubi cię.

Jeśli Ted Stowe nie lubił Josha, to Joshowi pozostało jedynie nie lubić Teda Stowe'a. Jednak rozumiał, że choć pełni tu pewną rolę, istnieją inni mężczyźni - Ted Stowe, mąż Melanie, Peter, no i teraz ten facet, którego kocha Brenda - którzy pełnią inne, ważniejsze role w ich prawdziwym życiu poza Nantucket.

Josh usiadł na łóżku obok Vicki. Miał ochotę opowiedzieć o sobie. Przypomniała mu się kolejna często powtarzana uwaga Chasa Gordy: strzeżcie własnej historii. Usiłował się pohamować, ale był bezsilny. Tylko ten jeden raz, powiedział sobie.

- Kiedy miałem jedenaście lat, moja matka umarła. Zabiła się.

Vicki zrobiła mu tę uprzejmość i zachowała rzeczowość. Wiele kobiet - dziewczyn poznanych w Middlebury, Didi - reagowały na te słowa wybuchem współczucia, równie bezużytecznego jak koronkowa chusteczka.

- Naprawdę?

- Powiesiła się, kiedy byłem w szkole.

Vicki skinęła głową, jakby czekała na resztę historii.

Reszty nie było. Josh wyskoczył ze szkolnego autobusu i przyszedł do domu jak co dzień. Ale tego dnia ojciec siedział na sofie w salonie, czekał na niego. Nie było policji, syren, świateł, innych ludzi. Tom Flynn postanowił najpierw wyjaśnić ten brak tłumy.

- Powiedziałem im, żeby poczekali - powiedział. - Wszyscy zaczną się schodzić koło kolacji.

- Kto? - spytał Josh.

Josh nie pamiętał dokładnie, jakie słowa padły potem. Ojciec jakoś mu to opowiedział - przyszedł na obiad jak zwykle (to było w czasach, kiedy pracował na zmianie od szóstej rano do piętnastej) i zauważył, że drabinka na strych jest opuszczona. Był grudzień. Pomyślał, że żona szuka na strychu świątecznych ozdób. Zawołał do niej, ale nie odpowiedziała. Wszedł na strych i zobaczył ją, wiszącą nu belce. Odciął i zawiózł do szpitala, choć było jasne, że jest za późno. Nigdy nie opisał synowi jej wyglądu, w jaki sposób się powiesiła ani jak się czuł, gdy ją odcinał. Czy dygotał? Płakał? Josh nigdy nie miał się tego dowiedzieć, to zostało mu oszczędzone. Nie wiedząc, czy twarz matki zmieniła kolor ani czy jej głowa była dziwnie przekrzywiona z powodu skręconego karku, musiał zostawić te szczegóły innym.

- Nie napisała listu - powiedział. - Więc nigdy się nie dowiem, dlaczego to zrobiła.

- Nienawidzisz jej?

- Nie. Ale jeśli dzisiaj przestaniesz brać chemię, twój stan się pogorszy, umrzesz i zostawisz Blaine'a i Portera bez matki, znienawidzę cię.

Znowu ten dźwięk, śmiech lub czkawka.

- Wcale nie - powiedziała Vicki. Ale wstała.

Melanie otworzyła z rozmachem szafkę z lewej strony, wyszarpnęła jedyną przyzwoitą patelnię w domu i grzmotnęła nią w największy palnik kuchenki elektrycznej. Była wściekła!

Po raz pierwszy od prawie dwóch miesięcy obudziła się wcześniej, czując się nie tylko przyzwoicie, ale dobrze - odzyskała siły! - i zaczęła szukać w komodzie sportowego ubrania. Przemierzyła mgliste, puste ulice Sconset aż do miejskiej plaży i z powrotem - machając rękami, robiąc wdech nosem i wydech ustami z poczuciem, że w końcu, nareszcie, złapała drugi oddech. Wszystkie poradniki pisały, jak zdrowa, tryskająca energią i siłą jest kobieta w ciąży, i dziś Melanie rozumiała, o co chodzi. Znikły mdłości i zmęczenie, a ona rozkwitła.

Ale raptem znalazła się na zakręcie - dosłownie, z Bunker Hill Road na Shell Street. Już wracała, serce łomotało, krew pulsowała w sposób, którego od dawna jej brakowało; czuła prawdziwy głód, łaknęła protein, jajek sadzonych na posmarowanym masłem toście. Z takim zajęciem myślała o słonecznych żółtkach jajek i o zdrowiu płodu w jej łonie, wdzięcznego za ćwiczenia i składniki odżywcze, że z początku nie rozumiała obrazu, który ukazał się za białym płotem domu numer jedenaście. Widziała dwoje całujących się i obejmujących ludzi. Oczywiście rozpoznała te osoby, przynajmniej oddzielnie, ale razem, jako para, nie miały najmniejszego sensu. Josh i Brenda.

Zatrzymała się jak wryta. Ukryła się za stojącym na ulicy peugeotem sąsiada. Słyszała głos Brendy, choć nie rozróżniała słów. Nieważne, co mówiła, ważne że się całowali; Melanie widziała, jak Josh kładzie ręce na biodrach Brendy. Okropna scena, nie wiadomo dlaczego gorsza niż wizja Petera leżącego z Frances Digitt na futonie z lat dziewięćdziesiątych, całym w brązowych psich kłakach. W tej chwili Peter i Frances wydawali się bardzo odlegli, a zdrada Josha i Brendy dojmująca; była to zdrada nowego życia Melanie, jej bezpiecznego, wakacyjnego życia.

Dobre samopoczucie zniknęło w jednej chwili. Melanie wymiotowała na przednie koło peugeota. Zazdrość i gniew zabulgotały w jej żołądku. Ohyda! Obrzydliwość! Brenda i Josh razem? To nie fair, pomyślała. Splunęła mi ziemię; kolana jej zadygotały. Podniosła głowę przekonana, że ich przyłapie, ale podwórko było puste. Znikli.

Melanie poszła do sklepu po napój Gatorade, przez cały czas rozmawiając ze sobą w myślach, od czasu do czasu mamrocząc pod nosem jak wariatka. Oburzające. Nie do pomyślenia. Josh ma dwadzieścia dwa lata. Jest opiekunem dzieci. A tu proszę, na podwórku, jak nastolatki, Brenda jeszcze w tej nędznej imitacji nocnej koszuli. Melanie łyknęła sobie napoju i powoli wróciła do domu, myśląc o nienawiści do Brendy. Brenda jest... szmata, jest puszczalska, rzuca się na każdego faceta, łapie ich dla sportu, jak chwyta się słonie na kość słoniową albo tygrysy dla skóry. Nie ma skrupułów, sypiała z własnym studentem, tym Australijczykiem, co dzwonił. Ani się obejrzymy, a zabierze się do Teda Stowe - to logiczne, skoro Vicki jest taka chora.

- Grrrr - wyrwało się jej. Szła boczną uliczką, szukając swojego ulubionego ogródka. Brenda jest tak samo zdradziecka, jak Frances Digitt, tak samo pozbawiona honoru i godności. Bez wahania przespałaby się z cudzym mężem. Melanie spojrzała na schludną grządkę irysów i chabrow. Zamknęła oczy i ujrzała Brendę całującą Josha.

Josh.

Kiedy zbliżyła się do domu, yukona już nie było, co znaczyło, że Brenda zabrała Vicki na chemię. Wpadła do domu jak burza, szarpnąwszy drzwi z siatki. Jej ciało nadal łaknęło jajek, dlatego zaczęła przewracać kuchnię do góry nogami, trzaskając drzwiczkami i szufladami. Dziwka, szmata, dziwka, myślała. Miała wrażenie, że włosy stanęły jej dęba, a skóra za moment zacznie bulgotać i pokrywać się pęcherzami.

- Coś się stało?

Odwróciła się gwałtownie. Josh wyszedł z sypialni Vicki, trzymając małego na rękach. Blaine stał u jego boku, mini-Josh, bo naśladował teraz każde jego słowo i gest; przybrał taki sam wyraz zdziwionego zainteresowania. Melanie łyknęła resztkę napoju i cisnęła - z niemałą siłą - butelką do kosza.

- Nic - warknęła takim tonem, że fałsz tego stwierdzenia bił w oczy.

Odwróciła się do nich plecami. Pusta patelnia na kuchence zaczęła dymić, Melanie chlasnęła na nią kawał masła i wyjęła z lodówki jajka, trzasnąwszy drzwiami tak wściekle, że biedny stary sprzęt zadygotał. Naprawdę, nienawiść do Josha okazała się niemożliwa, był tak diabelnie słodki z tymi dziećmi. Chłopcy go kochali, on kochał ich, przez co stawał się nieodparcie atrakcyjny. Cholera! Okropne. Była zazdrosna, tak zazdrosna, jak jeszcze nigdy w życiu. Chciała, żeby Josh ją polubił, żeby to ją całował przed domem. Chciała, żeby spoglądał na nią tak, jak na Brendę. Nieważne, że jest taki młody. Jest dorosły, mniej więcej, jest młodym mężczyzną, dobrym i dobrze wychowanym, spełnieniem pragnień każdej kobiety, czuła się przy nim, jakby znowu miała czternaście lat. Zabijałam się w nim, pomyślała. Żenujące, lecz prawdziwe. Lubię go. Kocham. To idiotyczne! Rozbiła jajka i wlała je na patelnię, gdzie zaczęły skwierczeć. Za jej plecami zapadła zupełna cisza; bała się obejrzeć. Niech się zastanawia, co się stało. Niech zgaduje. Posoliła jajka i usiłowała je odwrócić, ale się rozlały. Do diabła. Wrzuciła do tosterka dwa kawałki chleba. W kuchni było cicho; podejrzewała, że chłopcy wymknęli się albo schowali w bezpiecznej sypialni, ale kiedy się obejrzała, wszyscy trzech siedzieli przy stole i patrzyli na nią.

- Co? - spytała. - Nie idziecie na plażę?

- Za chwilę - odpowiedział Josh.

- Te jajka są dla mnie - zastrzegła się. - Jeśli chcecie dostać śniadanie, to proszę, ale najpierw ja.

- Jestem najedzony. Skoro jesz, chyba się lepiej czujesz.

- Fakt - warknęła.

Posmarowała tost i położyła na nim rozpaćkaną jajeczną papkę. Usiadła.

- Jesteś zła. Przez męża?

- Nie. Raz w życiu nie przez męża.

- Chcesz porozmawiać?

Zerknęła na Josha znad talerza. Patrzył na nią bardzo uważnie. Tak, jak zawsze chciała. A może tylko się jej wydaje? Te zielone oczy. Porter obrabiał smoczek z ręką opartą na piersi Josha. Melanie miała nadzieję, że skoro Josh jest młody, będzie inny. Nie uzna, że władza nad kobietami jest czymś naturalnym. Ale najwyraźniej i on o tym wiedział. Znał wszystkie sztuczki Petera Patchena i jeszcze paru mógłby go nauczyć. To się dostaje w pakiecie z urodą, siłą i zdolnościami i, bez wątpienia, rozpieszczającą go matką. W każdym razie okazywał Melanie coś, co można opisać jako zainteresowanie tylko i wyłącznie nią. I to niespełna godzinę po tym, jak całował się z Brendą. Co to ma być, jakaś dyscyplina sportowa - uwieść wszystkie kobiety pod jedenastką na Shell Street? Vicki będzie następna?

- Muszę siku - obwieścił Blaine.

Spojrzał na Josha, jakby pytając o pozwolenie. Josh skinął głową, nie odwracając oczu od Melanie, i Blaine odszedł.

Melanie wbiła widelec w jajka; żółtka nie były tak płynne, jak powinny.

- Widziałam, jak całowałeś Brendę.

Josh syknął jak balon, z którego uchodzi powietrze. Odchylił się na krześle.

- Aha. Właściwie ona mnie.

- Nie wyglądało to tak strasznie jednostronnie.

- Myślałam, że może jej o coś chodzi. Ale nie. Była tylko zdesperowana, przez Vicki, i chciała, żebym jej pomógł. - Przełożył Portera na drugą rękę i musnął ustami czubek jego głowy. Melanie jadła jajka na grzance. Nie mogła ścierpieć jego słów, a jednak musiała je poznać.

- W czym pomógł?

- Miałem porozmawiać z Vicki. Namówić, żeby pojechała na chemię. Co mi się chyba udało. Nie wiem, czy to moja zasługa, ale pojechała.

Melanie pokiwała głową. Znowu poczuła, że jest piątym kołem u wozu. W tym domu działy się dramaty, a ona nie miała o niczym pojęcia.

- No więc co z tą Brendą?

- No, co. Kocha innego. Jakiegoś swojego studenta z Nowego Jorku.

- Johna Walsh.

Zjadła następny kęs, z większym apetytem. Gniew i wzburzenie zaczęły się ulatniać. Zaszumiała spuszczana woda i Blaine zawołał Josha, który wstał z uśmiechem.

- No i... tak. Nic takiego. Ona leci na innego. To znaczy... no, wiesz, jak to jest.

- O, tak - mruknęła.

CZEŚĆ II

Lipiec

Brenda była na Nantucket od trzech tygodni, a cholerny scenariusz nie posunął się ani o krok. Dzień po dniu wychodziła o dziewiątej na plażę, siadała w odosobnionym miejscu, z termosem i żółtym notesem. Znała *Niewinnego szalbierza* tak dokładnie, jakby sama go napisała. Można by z niego zrobić świetny film, tylko trzeba znaleźć odpowiednie podejście. Ta książka była zapomnianym klasykiem, z mnóstwem dramatycznych zwrotów akcji i niejednoznacznym przesłaniem moralnym. Brenda mogłaby zachować czas powieści, obsadzić Johna Malkovicha jako Calvina Dare i ubrać go w koszulę z żabotem i perukę. A może powinna przenieść akcję w czasy współczesne: niech Calvin Dare będzie budowlańcem z Jersey City, który przypadkiem zabija Thomasa Beecha swoim datsunem 300ZX, wycofując się z parkingu przy Shea Stadium po koncercie Bruce'a Springsteena - i który następnie, po szeregu misternych zbiegów okoliczności, przejmuje pracę Beecha w dziale handlowym u Goldmana i Sachsa i zaczyna chodzić z dziewczyną Beecha, Emily, kierowniczką sklepu Kate Spade w Soho. Brenda już widziała gigantyczny sukces filmu wśród krytyków i widzów. Miała nawet kontakt w świecie filmu - ojca swojej bylej studentki Amy Feldman, prezesa Marquee Films. I tylko pisanie jej nie szło.

Przez całe życie miała kłopoty z koncentracją. Do pracy potrzebowała samotności i zupełnej ciszy. Za czasów liceum rodzice o to dbali - Ellen Lyndon wyłączała grające muzykę klasyczną radio w kuchni, telefon, pozwalała Brendzie nie przychodzić na kolację, byle tylko mogła się uczyć w głębokiej ciszy prywatnego gabinetu biblioteki Bryn Mawr College. A potem, na studiach, Brenda szukała zakątków nieznanymi innym, by móc spędzać długie, niezakłócone przez nikogo godziny, czytając i pisząc. Zamykała się w mieszkaniu na cztery spusty, spuszczała rolety. Pewnego razu dostała od Vicki na Gwiazdkę tabliczkę do powieszenia na drzwiach: NIE PRZESZKADZAĆ, GENIUSZ PRACUJE. Była to cicha kpina. Vicki była ostatnią osobą, którą rozumiała potrzebę skupienia. Zawsze miała podzielność uwagi. Ale Brenda nie potrafiła myśleć o dwóch sprawach jednocześnie, o pięciu nie wspominając, i na tym polegał jej problem. Jak miała napisać scenariusz, kiedy w głowie kłębiły się wspomnienia hańby, troski o proces i pieniądze, niepokój o Vicki i dzieci - i, nade wszystko, niedająca się wykorzenić obsesja na tle Johna Walsha?

Nie mogła przestać o nim myśleć. Absurd! Zaczęła podejrzewać, że to ona musi iść do lekarza - potrzebuje lekarstwa, albo lepiej, operacji.

Proszę mi wyciąć myśli o Johnie Walshu. Zjadają mnie jak rak, rosną we mnie niczym dziecko.

Przez te dwadzieścia jeden dni John Walsh zadzwonił tylko raz, na samym początku, kiedy Blaine się zgubił i znalazł, kiedy Melanie odebrała telefon i zostawiła wiadomość, do tej pory leżącą w *Niewinnym szalbierzu*. Brenda nie słyszała głosu Walsha od dwudziestu jeden dni, nie widziała jego twarzy. Przysięgał jej miłość z takim zapalem, tak przekonująco, że spodziewała się telefonów równie częstych jak te od matki i mecenasa; sądziła, że będzie ją nękał, dopóki nie ustąpi. Ale nie. Jeden telefon i koniec. Typowy Australijczyk! Bez wątplenia myśli sobie: jeśli mnie chcesz, wiesz, gdzie mnie znaleźć. A może po prostu przestał ją kochać. Może wziął sobie jej słowa do serca i uznał, że z ich związku nie wyniknie nic dobrego. Może teraz, kiedy nie była już kobietą sukcesu, a jej dobre imię zostało zszargane, przestał się nią interesować. Może ma kogoś innego. Te domysły prowadziły donikąd, ale wbrew własnej woli zastanawiała się, jak Walsh spędza lato w mieście. Wrócił do pracy na budowie? Siedzi na rusztowa-

niu, w kasku, nagi do pasa i je kanapki z metalowego pudełka? Co robi w nocy? Pracuje na nocnej zmianie w prawniczej bibliotece, tak jak liczyła, czy łązi po klubach, tańczy, rwie, co popadnie? Wszystkie te dziewczyny - kobiety z jej zajęć były w nim zakochane - nawet Kelly Moore, fioletowowłosa aktorka z opery mydlanej, nawet lesbijka Ivy, a nade wszystko Amrita - lizuska. W tym problem.

Miała wrażenie, że chce się wygrzebać z lotnych piasków, ale nie może z nich wyrwać stóp. Nie potrafiła się skupić. Wpatrywała się w żółty notes i widziała tylko jasnoniebieskie linie i pustkę między nimi, i krzyczała na siebie: myśl! Ale film, który nieustannie przewijał się przed jej oczami, nie był *Niewinnym szalbierzem*. Widziała niekończącą się projekcję dwóch obrazów: Brenda i Walsh razem („Superjazda”) i Brenda i Walsh rozłączeni („Katastrofa”).

Odłożyła notes i położyła się na ręczniku, twarzą do słońca. Wolą ten pierwszy film. Superjazda. Ta noc, kiedy zostali parą, zaczęła się dość niewinnie. Brenda spotkała się ze swoim przyjacielem i potajemną wielką miłością Erikiem vanCottem oraz jego dziewczyną Noel w Café de Bruxelles na małżach z frytkami. Brenda znenawidziła Noel od razu - zawsze nienawidziła dziewczyn Erika, ale tę wyjątkowo, ponieważ, jak powiedział Erik, Noel była „materiałem na żonę”. Erik powiedział to głośno, przez co zmusił ją, by stawiała czoło brzydkiej prawdzie: najprawdopodobniej spędzi życie z kimś innym, z kimś, kto nie jest nią, choć to ona kocha go od lat i choć tyle razem przeżyli. Zrozumiała, że musi się uwolnić do Erika; miłość do niego była równoznaczna z pozostaniem na „Titanicu” i utonięciem w kajucie. Jednak nie mogła tak od razu wyrwać się z uzależnienia, a spotkania z Erikiem oznaczały spotkania z Noel.

Noel - miodowobrazowe oczy, włosy długie i jedwabiste jak futro z nerek - miała sweterek z białego kaszmiru i kolczyki z białymi perełkami. Wszyscy troje usiedli przy stoliku dla dwojga, zza którego Brenda wystawała jak narośl. Jeszcze zanim na stole wylądowało słynne danie, wydarzyło się coś zdumiewającego: Erik i Noel się pokłócili. Noel nic nie jadła, a Erik postanowił poświęcić ten piękny wieczór na zarzucanie jej anoreksji.

- Nie jesz chleba?

- Moja sprawa, co jem. Co cię to obchodzi?

- Co mnie obchodzi? Pytasz, co mnie obchodzi?

Tymczasem Brenda zajęła się swoją chrupiącą kromką; posmarowała ją grubo masłem, na co Erik spojrzął z aprobatą.

- To rozumiem - powiedział. - Brenda zna się na jedzeniu.

- No wiesz - mruknęła. - Znasz mnie. Lubię wszystko.

Po chwili na stół wjechały małże z frytkami. Noel się skrzywiła.

- Naprawdę nic nie zjesz? - spytał Erik. - Nawet jednej fryteczki?

- Nie.

- I dobrze. Świetnie. Brenda coś zje, prawda?

Brenda zerknęła na Erika i Noel. Była granatem rzuconym na fortecę Noel. Tak to bywa, kiedy idzie się na kolację na doczepkę; para albo cię ignoruje, albo wykorzystuje w charakterze broni. Dlatego zrobiła jedyną rozsądną rzecz: udała, że musi skorzystać z toalety, i wymknęła się z restauracji.

Stała na Greenwich Avenue o dziewiątej wieczorem, była piątkowa noc, tłum na chodniku opływał ją jak woda kamień, a ona nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Jej zdecydowanie uginało się jak cienki lód. Już sama nie wiedziała, czy wychodząc z restauracji, wykazała się geniuszem czy po prostu chamstwem. Co powiedziałyby matka?

W tej chwili zadzwoniła jej komórka. Na wyświetlaczu ujrzała napis „John Walsh”. Wiedziała, że powinna zaczekać, aż włączy się poczta głosowa - bo jaka jest szansa, że John Walsh dzwoni w sprawie programu nauczania? Ale w głowie kręciło się jej od afery z Erikiem i Noel. Rozsądek ją porzucił, rozbryzgał się po chodniku niczym upuszczony arbuz. Odebrała.

Spotkała się z Johnem Walshem w Cupping Room na Broome Street. Przyszła pierwsza i od razu zamówiła duży kieliszek caberneta na ukojenie nerwów. Kelner - patrzajta, ludziska - powiadomił ją, że pan przy barze chce zapłacić za wino. Jaki pan? Tęgi pan, z siwym sumiastym wąsiskiem i w garniturze. Pan tylko nieznacznie młodszy od jej ojca. Poczula się pochlebiona, a potem zniesmaczona. Wypuściła się na nieznane wody; siedziała samotnie w barze, czekając na swojego studenta, a obcy facet chciał jej postawić drinka. Jak się trzeba zachować w takiej sytuacji?

- Dziękuję - powiedziała kelnerowi. - To miło. Ale czekam na kogoś.

- I wszystko jasne - odpowiedział. Co to niby miało znaczyć?

Nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo w drzwiach stanął Walsh, tak przystojny, że wszyscy w barze zaczęli się na niego gapić, z wąsaczem na czele. Walsh miał na sobie czarną koszulę i czarną skórzaną kurtkę, a z tymi włosami na jeża, skórą, oczami i w ogóle stanowił śmiercionośną mieszankę. Student. Ha! Brenda łyknęła sobie zdrowo, licząc, że nie będzie miała sinych zębów od wina, i wstała.

Walsh ją pocałował.

Stała jednym obcasem na czymś śliskim pod barem, straciła równowagę. Chwycił ją za ramię.

- Cześć - powiedziała.

- Witam. Aż mi się nie chce wierzyć, że zgodziłaś się na spotkanie.

To jest nas dwoje.

- Bardzo źle robię - mruknęła. - Jesteś moim studentem. Gdyby ktoś nas zobaczył...

- Jesteśmy w Soho. - Souho, powiedział. - Czyli jakby w innym kraju.

Przez następne trzy godziny udawała, że to prawda. Piła wino, a Walsh dzin. Początkowo mówił Walsh, a ona panikowała w duchu: głupia babo, to twój student, co ci odbiło? Opowiedział jej o Fremantle, z którego pochodził, o South Beach i Cappuccino Strip, o serwujących owoce morza portowych restauracjach, o weekendowych targach, zapachu passiflory w cieniu sosny i chłodnej pieszczocie popołudniowej bryzy znad Oceanu Indyjskiego. O falach w Cottesloe, całodniowym splywie rzeką Swan, winie i serze z miasta Margaret River. Jego rodzina mieszkała w stuletnim kamiennie-ceglanym bungalowie w południowym Fremantle - mama, ojciec, siostra, siostrzenica i siostrzeniec, których widywał tylko na zdjęciach. Mieszkał tam także partner siostry, Eddie, choć nie był jej mężem, a żeby było jeszcze szpetniej - tak powiedział, a Brenda uśmiechnęła się wbrew samej sobie - Eddie był na zasiłku.

- Ale nie będę cię uszczęśliwiać na dzień dobry ponurymi szczegółami (szczygółami) - dodał. - Moja mama ma ogród różany, a tata w końcu się wykosztował na cyfrówkę, więc wysłała mi zdjęcia róż i maluchów w różach.

- Cudnie. - I mówiła szczerze.

- To raj. Ale nie mogłem o tym wiedzieć, dopóki nie wyjechałem. Tyle że jak już tu jestem, trudno mi wrócić.

- Ale wrócisz?

- No pewnie, inaczej mojej mamie pęknie serce.

Zjawił się kelner i Walsh zamówił hamburgera. Czy doktor Lyndon ma na coś ochotę?

- Nie rób tego - poprosiła.

- Czego?

- Nie mów do mnie „doktor Lyndon”. Zrób to jeszcze raz, a wyjdę.

Błysnął zębami.

- No dobra, Brendo. (Bryndo). Chcesz burgera?

- A mogę sobie wziąć trochę twojego?

- Jasne. Mój burger jest twoim burgerem.

- Już jadłam kolację - wyjaśniła i zamówiła następny kieliszek wina.

- Na mieście?

- Na mieście. - Opowiedziała zwięźle o nieudanej kolacji z Erikiem i Noel, a potem obszernie o Eriku. - Kocham go, odkąd skończyłam szesnaście lat. Normalni ludzie wyrastają z takich miłości. A ja nie.

- Najlepiej jest kochać, kiedy się ma szesnaście lat. Bo miłość jest czysta. Ja kochałem jedną dziewczynę, Copper Shay, Aborygenkę, najbiedniejszą znaną mi osobę, a z tego powodu kochałem ją jeszcze bardziej. Kiedy o niej myślę, przychodzą mi na myśl decyzje, które mogłem wtedy podjąć. Byłbym we Fremantle z Copper i czwórka albo i piątką dzieci i na pewno byłbym szczęśliwy. Ale nie tak się ułożyło.

- Nie tak - mruknęła Brenda z zadowoleniem.

Po następnym kieliszku wina zaczęli się całować. Stołki przy barze prawie się stykały, a Walsh obejmował jej nogi kolanami. Kiedy ją pocałował i ścisnął jej nogi, musiała pomyśleć o seksie. Ktoś po drugiej stronie baru roześmiał się, zaklaskał, a Brenda pomyślała: „Ktoś nas podgląda”, ale sprawdziła i nie napotykała niczyjego spojrzenia, wszyscy pili i zajmowali się sobą, z wyjątkiem wásacza, który mrugnął i uniósł kieliszek w jej stronę.

- Chyba nie myślisz teraz o Eriku, co? - spytał Walsh.

- A nie. Wcale.

Za kwadrans pierwsza Walsh przerzucił się na wodę. Rano ma mecz rugby w Van Cortland Park, powiedział. Może Brenda chce popatrzeć?

- Nie mogę - powiedziała. W głowie szumiały jej cztery kieliszki wina plus drinki, które przyswoiła wcześniej, żeby nie widzieć zbyt ostro anorektycznego materiału na żonę imieniem Noel. Teraz, w ciemnym barze, przy seksownym jazzie, poczuła całkiem nowe doznania. Lubiła tego faceta, naprawę go lubiła. Jedyne mężczyzna na Manhattanie, którego nie mogła tknąć... a jednak, proszę, co się dzieje.

- No tak - dodała, cofając się, próbując odnaleźć torebkę, komórkę, klucze, pieniądze, płaszcz. - To ja już pójdę.

- Tak - ziewnął Walsh.

Machnął na kelnera i nie wiadomo skąd, pojawiło się potwierdzenie zapłaty kartą kredytową. Kiedy zdążył ją wyręczyć?

- Dziękuję - powiedziała. - Uratowałeś ten wieczór.

- Nie ma sprawy. - Pocałował ją.

Dotknęła jego uszu, przesunęła ręką po bardzo krótkich włosach. Rozpływała się z pożądania. Chciała znowu usłyszeć ten jego akcent... ale dość! Powiedział, że ma mecz, a ona...

- Taksówka? - spytał.

- Wezwę własną. Wiesz, mieszkam daleko.

- Na pewno? Możemy pojechać jedną.
- Na pewno.
- Więc dobrze. - Pocałunek, drugi. I trzeci, dłuższy. - Do zobaczenia we wtorek, Brynda.
- Co?
- Na zajęciach.

Brenda podniosła się z ręcznika; w głowie jej się kręciło. Poszła nad wodę. Znowu nic nie napisała, a jutro piątek, czyli odwiezienie Vicki na chemię, czyli Ted zamiast Josha, czyli Brenda będzie potrzebna przy dzieciach i w ogóle. Zgodziła się na te obowiązki z całego serca (skrucha, myślała, żal za grzechy). Na ten weekend zaplanowali wyprawę na Smith's Point, ognisko i jedzenie homarów, żeby wywabić Vicki z chaty, zmusić ją do jedzenia, zainteresować latem i życiem rodziny - co tak naprawdę oznaczało to, że do poniedziałku Brenda nie będzie mogła pisać.

Weszła w pierwszy rząd łagodnych fal, zanurkowała. Ciekawe, jaka jest woda w Australii. Wróciwszy na ręcznik, sprawdziła komórkę na wypadek, gdyby podczas tej trzyminutowej kąpieli dzwonił Walsh albo gdyby nie dostrzegła jego numeru przez te ostatnie sto razy, kiedy sprawdzała wiadomości. Ciągle nic. Zostawiła *Niewinnego szalbierza* w aktówce w domu, z dala od piasku i słonego powietrza, ale wystarczyło, że zamknęła oczy, a widziała nagryzmolone słowa: Zadzwoń do Johna Walsh!

Mogła do niego zadzwonić; mogła go zaprosić na Nantucket. Plaża, pływanie, świeże powietrze - to by mu się spodobało. Czy lubi homary? Pewnie tak. Jak każdy Australijczyk jest wszystkożerny (droczył się z nią, że jada nawet pędraki, korę i żabi skrzek). Ale kiedy wystukała cztery pierwsze cyfry - 1-212 (przecież mogą dzwonić do kogokolwiek z Manhattanu, pomyślała), wbrew woli zobaczyła ten drugi film. Katastrofa. Usiłowała go zatrzymać przed najważniejszą sceną, ale i tak się zjawiała. Obraz Jacksona Pollocka.

Dopiero po wielu tygodniach dotarł do niej urok tego płótna, ale kiedy już się to stało, a ona była na etapie zakochiwania się w Walshu, obraz ją wprost zahipnotyzował. Miała w nim ulubioną niebieską linię, która wysnuwała się niczym żyła z potężnego czarnego kłębaka. Ten błękit to promień rozsądku wyłaniający się z chaosu. Przy najmniej tak uważała.

Nigdy więcej nie będzie pani pracować naukowo, oznajmiła Suzanne Atela głosem, którego surowość podważał śpiewny akcent z Bahamów. Osobiście tego dopilnuję. Co do oskarżenia o wandalizm...

Wandalizm. To słowo wydawało się jakieś tandetne, niepoważne. Wandalizmu dopuszcza się nastolatka, która pisze na ścianie łazienki, albo smarkacz mażący sprayem w parku skateboardowym, albo łobuz, który wybił szybę w pizzerii. To określenie nie przystawało do słów, które padły między Brendą i panią Pencaldron w Sali Barringtona. Ale Brenda była tak strasznie, okropnie zła, tak oszołomiona i sfrustrowana, że musiała coś rzucić! I nawet kiedy pani Pencaldron krzyknęła na Augie Fiska, żeby stanął w drzwiach i nie pozwolił jej uciec, nawet gdy przybiegł ochroniarz, ona nadal nie mogła oderwać wzroku od obrazu. Ten paskudny czarny splot ją zahipnotyzował, był jak kłęb włosów wyjęty z odpływu, jak prawdziwe uczucia, porozrywane przez serię złych decyzji.

Sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów plus honorarium dla prawnika. A to tylko pieniądze, cena nieistotna w porównaniu ze szkodą, jakiej doznała reputacja Brendy. Nigdy więcej nie pozwolą jej pracować naukowo.

Zadzwoń do Johna Walsh!, krzyczała notatka.

Ale nie, nie zrobi tego. Zamknęła klapkę komórki.

Pierwszy lipca zaczął się i skończył, a po dwustu dziesięciu dolarach od Didi nie było ani śladu. Josha to nie zaskoczyło; pożyczenie pieniędzy Didi to tak jakby je spuścił w klozecie. Napisał w pamiętniku gniewny list do Didi (Dorośnij wreszcie! Weź odpowiedzialność za swoje postępowanie! Nie możesz ciągle skakać na głęboką wodę, a potem płakać, że toniesz!). Pisanie podziałało oczyszczająco i Josh uznał się za farciarza, że nie dał się namówić Didi na drugą pożyczkę. Odmówił i od tej pory nie dawała znaku życia. Nie pojawiła się na parkingu plaży Nobadeer, przestała mu zostawiać pijackie, nocne wiadomości na poczcie głosowej. Powinien z radością puścić tę pożyczkę w niepamięć, ale, niestety, ktoś - Josh nigdy się nie dowiedział kto - poleciał z jęczorem do Toma Flynna, a w świecie Toma Flynna o pożyczoną krwawicę należało się upominać do upadłego. Ku przerażeniu Josha ojciec poruszył ten temat przy kolacji.

- Pożyczyłeś tej małej Patalki pieniądze?

Josh zaczął chodzić z Didi w drugiej klasie liceum - sześć lat temu - a Tom Flynn po dziś dzień nazywał ją „małą Patalki”.

- Mówiła, że ma kłopoty.

- Zawsze tak mówi. Zaczęła wreszcie pracować?

- W szpitalu - mruknął Josh, choć ojciec o tym wiedział.

- Więc dlaczego...

- Bo miała kłopoty, tato - uciał. Nie da się ciągnąć za język. - Odda mi.

- Dopilnuj tego. Co twoje, to twoje. Nie pracujesz na nią. Ona nie musi opłacać studiów.

- Wiem o tym. Odzyskam te pieniądze.

Tom Flynn nic już nie powiedział, co było nie na rękę Joshowi, bo zdanie „Odzyskam te pieniądze” zawisło w powietrzu jak ostateczne podsumowanie tematu, stając się zobowiązaniem, którego przecież nie mógł dotrzymać. Nigdy, nawet za milion lat nie zadzwoni do Didi z prośbą o pieniądze, chociażby tylko dlatego, że Didi ich najoczywściej nie miała, a każda rozmowa z nią na ten temat byłaby przygnębiająca i bezsensowna.

Dlatego, kiedy Vicki wspomniała parę dni później, że chciałyby zaprosić go na wieczorny piknik w Smith's Point w sobotę wieczorem, natychmiast się zgodził, sądząc, że to może oznaczać kolejną stówkę. Pokazałby ją ojcu jako dług zwrócony przez Didi. Jednak szybko się okazało, że nie było to zaproszenie do pracy, tylko towarzyskie. Syreny zamówiły w Sayle's homary, zamierzały rozpalić ognisko i piec biwakowy przysmak - pianki z czekoladą, obłożone kromkami grahama, palić pochodnie, szukać konstelacji na niebie i, jeśli woda okaże się ciepła, kąpać się w morzu.

- Będzie też mój mąż Ted - dodała Vicki. - Już czas, żebyście się poznali.

Słyszając to, Josh spróbował się wycofać. Jego rola w domu numer jedenaście na Shell Street i bez rodzinnych pikników stała się dość niesprecyzowana. A on zdecydowanie nie pragnął spotkań z Tedem Stowe'em. Zwykle wychodził z domu o pierwszej po południu w piątek. Ted przyjeżdżał koło czwartej, zostawał do niedzielnego wieczora, a Josh wracał o ósmej rano w poniedziałek. W ten sposób miał nadzieję, że całkowicie uniknie spotkań z Tedem Stowe'em - przynajmniej do jego wakacji pod koniec sierpnia. Ze strony męża Vicki Josh bał się dwóch rzeczy: braku sympatii (już potwierdzonej) i krytyki. Przez jedną ulotną, lecz piękną chwilę całował się z Brendą, a teraz zaczął odbierać dziwne sygnały ze strony Melanie. Ted mógł to wyczuć, a jako jedyny poza nim mężczyzna w domu zauważyłby więc Josha z tymi kobietami. Josh nie życzył sobie, żeby Ted Stowe go wyrzucił albo pobił. I tak na dzień po wyrażeniu zgody na piknik chwycił się ostatniej deski ratunku i zaapelował do Brendy.

Wpadł na nią, gdy szedł do dżipa o pierwszej. Wracła z plaży z notesem, termosem i komórką.

- Jak idzie scenariusz? - zawołał.

- Nie pytaj - burknęła.

- Dobrze. Nie spytałem. Słuchaj, jednak nie mogę być na tym pikniku. Właśnie mi się przypomniało, że muszę coś zrobić. Powiesz Vicki?

Brenda zagryzła dolną wargę.

- Uuuuu. Cholera.

- Co?

- Vicki bardzo chce, żebyś przyszedł. Mówiła, że jej zależy. Żebyś poznał Teda. Ted przywiezie wędkę, możecie się wybrać na męskie połowy.

- Na co?

- Z Blaine'em - dodała Brenda. Wzięła głęboki oddech; jej piersi uniosły się i opadły. Josh usiłował tego nie zauważać. Ta kobieta kochała innego. - Jeśli nie przyjdiesz,

Vicki może zrobić coś głupiego. Na przykład odwołać imprezę. W tej chwili tak się czuje, że pewnie tak właśnie zrobi. Nakicha na cały wieczór. A to bardzo ważne, żeby ją wyciągnąć z domu. Musimy ją podnieść na duchu.

- Jasne. Ale to piknik rodzinny. Ja nie należę do rodziny.

- Melanie też nie, a jedzie.

Josh zwiesił głowę. Od myślenia o Melanie głupiał jeszcze bardziej.

- A nie możesz odwołać tego innego zobowiązania? - spytała Brenda. - Cokolwiek to jest? - Zniżyła głos. - Bardzo chętnie ci zapłacę.

- Nie, nie, nie - rzucił szybko. Poczł się jak zdemaskowany, a to go zawstydziło. - Nie musisz mi płacić, przyjdę.

Brenda odetchnęła z taką ulgą i radością, że Josh nabrał nadziei na następny pocałunek. Ale nie. Uśmiechnęła się tylko ze szczerą serdecznością i dotknęła jego ramienia.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję.

Dwie superwędkę ze sklepu na Piątej Alei, ciśnienie w oponach yukona, dwie drewniane palety „pożyczone” ze sklepu, pięć zestawów obiadowych dla dorosłych, młode ziemniaczki, kukurydza, sałatka, biszkopty, pół tuzina małży i kilogramowy ugotowany homar z masłem, lodówka pełna chardonnay i piwa, trzy dokładnie okorowane patyki, pudełko krakersów graham, torba pianek, wielki czekoladowy baton, paczka sztucznych ogni zakupionych w Chinatown, kieszonkowy przewodnik Kellera po konstelacjach.

Vicki nie cieszyła się piknikiem. W innych okolicznościach to ona byłaby motorem przygotowań - czy mamy psikacz na róbale? A przykleiliśmy na samochodzie zezwolenie na wjazd na plażę? Zabraliśmy kable, na wszelki wypadek, i linę do holowania? Gdzie hot dogi dla dzieci, keczup, skrzynka z sokiem? Mamy zasypkę, żeby piasek nie kleił się małym do stóp? Zapasowe pieluchy? Butelkę ciepłego mleka dla Portera? Worki na śmieci? Korkociąg i otwieracz do butelek? Kamerę? Teraz Vicki leżała na łóżku i przysłuchiwała się, jak Ted, Brenda i Melanie usiłują opanować sytuację. Miała to gdzieś. Z etapu, kiedy czuła, że jej ciało jest jakby pudłem z połamanymi zabawkami, przeszła na etap kompletnego braku czucia. Przed tygodniem, w reakcji na jej skargi, łzy i histerie, doktor Alcott przepisał nowe lekarstwo - na depresję, jak powiedział. Przez sześć dni świat przed jej oczami nabierał ostrości i

znowu się rozpląwał, a jej świadomość unosiła się gdzieś pod sufitem, jak kołyszący się leniwie balon. To było sto razy gorsze niż ból, ta obojętność, odrętwienie, poczucie odcięcia od świata, od wyspy, chatki, jej mieszkańców, dzieci. W czwartek Vicki wyrzuciła pigułki, co było zaledwie wstępem do tego, co zaplanowała na następny dzień. Mianowicie następnego dnia, w piątek, nie stawiała się na chemię.

Poszło jak po maśle, bo strażniczką Vicki była Brenda i chociaż się starała, wręcz wyjątkowo, Vicki знаła ją na wylot i wykorzystanie jej słabych stron było dla niej bułką z masłem. W poniedziałek rano wsiadły do samochodu - jak zwykle po cichutku, żeby nie zwrócić uwagi dzieci - a Vicki zauważyła w torebce Brendy żółty notes i *Niewinnego szalbierza*. Było to dość niezwykle, bo choć Brenda zabierała notes wszędzie, do tej pory jeszcze nie jeździła z nim do szpitala. W szpitalu, nie wiadomo dlaczego, spędzała czas na czytaniu nieaktualnych numerów „People”.

- Będziesz dziś pisać? - spytała Vicki.

- Mam straszne opóźnienie.

- Wiesz, nie musisz czekać na mnie w szpitalu. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej się przekonuję, że marnujesz tylko czas. Ja się we wszystkim orientuję, w szpitalu dobrze się mną opiekują. Nie byłeś im jak dotąd potrzebna. Może po prostu mnie wysadzisz i - no, nie wiem - pójdziesz na kawę do Even Keel, żeby popisać? Pewnie odwalilibyś sporo roboty.

- Może i tak.

- Powinnaś tak zrobić.

- Powinnam.

- Mówię serio. To dwie godziny wolnego. Przyjedź po mnie o jedenastej.

Brenda zagryzła wargę i porzuciła temat, ale Vicki za dobrze ją znała. Nie było najmniejszej wątpliwości, że Brenda, po tylu latach poświęconych cichej pracy - studia, praca, wykłady, badania - nie zdoła się wyrzec tej pokusy. Na myśl o słodkiej ucieczce serce Vicki zaczęło łomotać. To tylko ten jeden raz, tak jakby poszła raz na węgry. Nie będzie igieł, trucizny, Bena, Amelii i Mamie, sportowego kanału w telewizji, antyseptycznego szpitalnego zapachu - i, przez ten jeden wakacyjny weekend, nie będzie efektów ubocznych. W następny wtorek odzyska hart ducha, zbierze siły i odwagę i wróci na oddział onkologiczny, może nawet z uśmiechem - jeśli tylko dziś uda się jej uciec.

Brenda zatrzymała samochód na parkingu. Nadal zagryzała wargę, może zastanawiając się, czy wyjdzie na egoistkę, jeśli...

- Wysadź mnie i uciekaj - powiedziała Vicki. Brenda westchnęła.

- Och, Vicki, na pewno?

- Jasne, że na pewno. Idź pisać. Poradzę sobie.

- No, nie wiem...

- Aż tak się martwisz, że nie poczytasz sobie o Britney Spears?

Brenda parsknęła śmiechem.

- Wróć o jedenastej - powiedziała Vicki.

Brenda podjechała pod drzwi szpitala. Vicki wysiadła. Pochwyciła jeszcze wyraz twarzy odjeżdżającej siostry. Brenda czuła się tak samo szczęśliwa i wolna, jak Vicki.

Przez te dwie godziny Vicki wylegiwała się w cieniu Starego Młyna. Choć stał niedaleko szpitala - dobry miotacz dorzuciłby tam piłkę - dobrnęła do niego z trudem, a na szczyt wzgórza dotarła, prawie rżąc. Położyła się

w trawie, ukryta przed oczami mijających ją kierowców z autostrady i spojrzała w górę, na skrzydła wiatraka, dzielące niebo na kawałki tortu. Przez dwie godziny nie robiła zupełnie nic - kiedy ostatnio pozwoliła sobie na zupełną beczynność? Nawet te godziny spędzone w łóżku w chatce wydawały się pracą; była zajęta odzyskiwaniem sił, zmuszała ciało do walki i zawsze czuwała nad tym, co działo się w domu - nad Brendą, Melanie, Joshem, dziećmi. Zawsze usiłowała wydusić z siebie siły, by coś przeczytać, książkę albo gazetę, żeby nie zmarnować zupełnie dnia. Ale tutaj, na Prospect Hill, w cieniu nadal czynnego wiatraka wyzwoliła się od rygoru leczenia. Nikt nie wiedział, gdzie jej szukać i dlatego miała wrażenie, że przestała istnieć. Po prostu i zwyczajnie. Rozkoszowała się prostą przyjemnością figla, który się jej upiecze. Mamie może zadzwonić do domu, ale nikogo nie będzie i nikt nie odbierze telefonu. We wtorek Vicki powie, że zapomniała (o *chemii*?!) albo że samochód się jej zepsuł, albo że dzieci zachorowały. A może po prostu przyzna, że nie chciała przyjechać. Że potrzebowała przerwy. Dnia tylko dla siebie. Wiesz, jak to się mówi o waleniu się w głowę młotkiem, powie to Mamie. Gdy przestaniesz, robi się jakoś miło.

Dopiero kiedy Brenda po nią wróciła - Brenda, gotowa przytrzymać Vicki i pomóc jej wsiąść do samochodu, bo tego zwykle potrzebowała - powróciły wyrzuty sumienia.

- Jak było? - spytała Brenda. - Jak się czujesz?

Były to zwykle pytania, ale Vicki nie miała pojęcia, jak zareagować. Co zwykle mówiła? Wzruszyła ramionami.

- Drużyna wczoraj grała, tak? Przegrali czy wygrali?

Znowu wzruszyła ramionami. Czy to się liczy jako kłamstwo?

W drodze do Sconset otworzyła okno i oparła się o nie łokciem; chciała się nasycić słońcem i letnim powietrzem. Ścieżka rowerowa była pełna rowerzystów, ludzi z psami i dziećmi w wózekach. Nie poszłam na chemię, myślała Vicki. Nagle poczuła się jak zbrodniarka. Przypomniała sobie, co doktor Garcia mówił o znaczeniu chemioterapii neoadiuwantowej, o mocnym ataku na komórki. Trzeba je zabić, usunąć, utrudnić im przerzuty. Guz naciska na ściany klatki piersiowej; musi się cofnąć, żeby chirurg mógł go zoperować. Chemia polega na kumulacji. Najważniejszą sprawą jest systematyczność. Więc... co jest grane? Dlaczego Vicki nie chce poczuć się lepiej? Czy dla dobra własnych dzieci nie potrafi wytrzymać bólu, utraty włosów i oszołomienia?

A co z doktorem Alcottem? Jak zdoła stawić czoło jego reakcji? Przyjmie ją jak zwykle, z optymistyczną przemową motywacyjną - jak się czujesz? trzymasz się? Jesteś dzielnym żołnierzkiem, wzorową pacjentką... Będzie pytał, gdzie się podziała, sam zadzwoni do domu, a jeśli Melanie została, jeśli przybiegła z ogrodu i odebrała telefon? Pojechała na chemię, powie, widziałam ją. Wtedy nie będzie już optymistycznych przemów, bo okaże się, że Vicki jednak nie jest dzielnym żołnierzkiem i wcale nie taką wzorową pacjentką.

Kiedy dojechały na Shell Street, Vicki była już sparaliżowana wyrzutami sumienia. Ledwie oddychała - ale może to przez tę ominiętą chemię, może komórki raka nabierają sił, już się mnożą. Nie była lepsza od matki Josha, która się powiesiła, kiedy jej dziecko poszło do szkoły. Vicki także popełniała samobójstwo.

Ktoś zapukał do drzwi i Vicki usiadła gwałtownie. Dotknęła peruki na nocnej szafce. Spoczywała na styropianowej głowie, którą Blaine nazwał „Daphne” na cześć jednej postaci w *Scooby-Doo*. Nawet namalował jej twarz - dwa niebieskie kółka jako oczy, dwie czarne kropki oznaczające nozdrza i krzywe czerwone usta. Ta styropianowa głowa działała Tedowi na nerwy - w zeszły weekend powiedział, że nie może się kochać z Vicki, bo przez ten łeb czuje się, jakby ktoś ich podglądał. Natomiast peruka, choć taka przydatna, budziła w Vicki dreszcz. Vicki chciała postawić perukę razem z głową w szafie, schować ją, ale Blaine rozplakał się z rozpaczy za Daphne. Więc cholerna

Daphne stała od tej pory na nocnej szafce, niczym jakaś makabryczna wersja domowego zwierzątka. Peruka była z prawdziwych włosów. Vicki kupiła ją w sklepie poleconym przez doktora Garcie, z wytwórni produkującej peruki wyłącznie dla chorych na raka. Włosy były jasne, mniej więcej takie, jak prawdziwe włosy Vicki. Po włożeniu prezentowały się nie najgorzej, ale Vicki dostawała gęsiej skórki - cudze włosy na jej głowie! Przypomniła się jej nauczyciel z szóstej klasy, pan Upjohn, z tupecikiem. Więc kiedy ktoś zapukał - co chyba znaczyło nadejście Josha - Vicki zawołała Brendę. Siostra zjawiła się natychmiast, trzymając Portera ubranego w pieluszkę i spodenki kąpielowe.

Nie zapomnij o bluzach dla chłopców, chciała powiedzieć Vicki - ale nie, na to nie było czasu, przypomni Brendzie potem.

- Szal! - warknęła.

- Jasne. Przepraszam.

Brenda posadziła Portera i wyjęła szal z górnej szuflady komody. Czerwony, złoty, tiulowy - bardzo szykowny szal od Louisa Vuittona, który Ellen Lyndon dała Vicki na Gwiazdkę przed dwoma laty. Brenda omotała nim wprawnie niemal zupełnie łysą głowę Vicki, zostawiając dwa końce, by spływały na plecy siostry.

- Dziękuję - powiedziała Vicki. Wstała i zajrzała do salonu. Nie cieszyła się na myśl o tym pikniku, ale z niepokojem czekała na spotkanie Teda z Joshem. Chciała, żeby Josh polubił Teda, by go zaczął podziwiać, pomyślała, że dobrze wybrała męża.

Ponieważ Vicki i Brenda były zajęte szalem, Melanie musiała przedstawić sobie mężczyzn. Wiedziała, że Vicki się o to niepokoi. Wszystko będzie dobrze, zapewniła ją. Kto by nie lubił Josha?

- Nie o Josha się martwię - odpowiedziała Vicki.

- Aaaa... No wiesz, kto by nie polubił Teda? Taki świetny facet.

- Jak mu się zechce - mruknęła Vicki.

Teraz Melanie nawijała gorączkowo i radośnie niczym wodzirej na speedzie.

- Cześć, Josh! Jak leci? Wchodź, wchodź! Ted, to jest opiekun chłopców Josh Flynn. Josh, to jest mąż Vicki Ted Stowe.

Blaine objął nogi Josha jeszcze bardziej zaborczo niż zwykle. Ted to zauważył, pomyślała Vicki, i będzie niezadowolony.

Josh wyciągnął rękę jak najdalej i olśnił Teda swoim wspaniałym uśmiechem.

- Dzień dobry. Miło mi poznać... tyle o panu słyszałem... no, tak.

Ted przyjrzał się wyciągniętej ręce i pociągnął zbyt długi łyk piwa. Vicki niemal usłyszała myśli Josha: a to cham. Burak z Wall Street. Przyjrzała się swojemu mężowi. Josh ewidentnie nie był gejem, co mogło sprawić Tedowi ulgę; nie różnił się od chłopaka, którym Ted był piętnaście lat temu. Ale Ted mógł także myśleć, że Josh za bardzo go przypomina - a co by zrobił Ted, pracując przez cały tydzień dla trzech pięknych, mieszkających samotnie kobiet? Pewnie by próbował... Stawałby na głowie, żeby...

A, daj spokój, pomyślała. Szal łaskotał ją w kark. Wyglądało na to, że Josh będzie stał z tą ręką do końca świata. Ted go dręczył. Ale potem odstawił puszkę ze zdecydowanym stuknięciem, zrobił krok naprzód i potrząsnął ramieniem Josha z taką siłą, że chłopak omal nie stracił równowagi.

- Mogę powiedzieć to samo, bracie. Dokładnie to samo. Zwłaszcza ten obywatel... - wskazał na Blaine'a - opowiada o tobie same najlepsze rzeczy. A moja żona! Bardzo doceniam, że tak mnie zastąpiłeś pod moją nieobecność.

W tonie Teda pojawiła się niemal słyszalna nutka sarkazmu. Vicki nagle ucieszyła się, że nie poszła na chemię; od wielu tygodni nie czuła się tak silna. Wkroczyła do salonu.

- Właśnie - oznajmiła. - Bez Josha byśmy zginęły.

- Ja zginąłem - odezwał się Blaine. - Na plaży, pamiętasz?

Vicki zerknęła na Melanie, która poczerwieniała i spojrzała w ziemię.

- Tak - powiedziała. Z niepokojem dostrzegła, że Ted nadal przygląda się Joshowi. - Czy ktoś pamiętał o bluzach dla chłopców?

Dwadzieścia minut później Josh, ściśnięty w trzecim rzędzie siedzeń pomiędzy Porterem i Blaine'em w fotelikach, gdzie czuł się jak trzecie dziecko, wymyślał sobie od pacanów, że nie zażądał pieniędzy. To była jak najbardziej praca - bo dla rozrywki w życiu by tego nie zrobił. W dodatku sytuacja była dziwna. Zatrzymali się przy budce strażnika u wjazdu na Smith's Point. Chłopak w budce skończył liceum rok po Joshu - nazywał się Aaron Henry - i w innych okolicznościach Josh by się z nim przywitał, spytał o pracę i pożartował z jego munduru. Ale dziś dziękował Bogu za przyciemnione szyby z tyłu yukona; nie chciał, żeby Aaron go dostrzegł, bo jak by mu wytłumaczył, kim są dla niego ci ludzie?

Ted i Vicki siedzieli z przodu. Wyglądało na to, że Ted Stowe potrafi być czarujący jak diabeł, pod warunkiem że ma na to ochotę, a to zależało od rozmówcy i tego, czy dostawał od niego to, czego chciał. Josh o wiele bardziej wolał typ człowieka, jakim był jego ojciec - Tom Flynn nie był człowiekiem przystępnym, ale przynajmniej wiadomo było, czego się po nim spodziewać.

W środkowym rzędzie foteli Brenda wyglądała przez okno, natomiast Melanie odwracała się bokiem, by rozmawiać z Joshem. Jej piersi jakby nabrzmiały, bo zaczęła nosić topy opinające biust i luźno spływające na brzuch, ciągle płaski jak deska.

- Wychowałeś się tutaj - mówiła - więc jedzenie homarów na plaży to nie jest dla ciebie żadna nowość.

- Właściwie nie.

Tom Flynn nie był wielbicielem pikników. Ale Josh pamiętał niedzielne popołudnia na plaży, kiedy był młodszy. Jego rodzice i cała grupa ich znajomych zbierali się co tydzień w Eel Point. Dzieci było ze dwadzieścioro lub trzydzieścioro i wszyscy grali w piłkę, piekli hamburgery i hot dogi na drzewnym grillu. Zwłaszcza jego matka lubiła te niedziele - siedziała na leżaku z twarzą wystawioną do słońca, przepływała dwadzieścia długości plaży, pomagała Joshowi i dzieciom zbierać kraby, a nawet pare razy zagrała w piłkę. O piątej wyjmowała butelkę białego wina z lodówki i nalewała sobie do plastikowego kubka. Co tydzień upierała się, żeby zostali do zachodu słońca.

Musimy się nim nacieszyć teraz, mówiła. Zanim nadejdzie zima.

- Wiesz, jak się jeździ samochodem po plaży? - spytała Melanie. - Koła grzęzną.

- Potrafię jeździć po plaży - odparł. Miał w dziupie niedopompowane opony i napęd na cztery koła; przeważnie to wystarczało. - Lata imprez na plaży.

- Pewnie było fajnie - powiedziała.

Uśmiechała się do niego w sposób, który chyba miał coś oznaczać. Josh poczuł rumieniec. Zerknął na chłopców. Porter już spał, z buzi ciekła mu ślina, Blaine nabrał tego rozkojarzonego wyglądu, który miewał zwykle tuż przed zaśnięciem. Nie zaliczą nawet minuty tego pikniku na plaży.

Josh odetchnął z ulgą, kiedy Melanie odwróciła głowę. Ted uruchomił silnik i ruszyli przez wielką, wyboistą wydmy. Samochód podskakiwał i kołysał się na boki, w pewnej chwili wszystkich rzuciło do przodu. Josh wypadł z siedzenia. Melanie przytrzymała się jedną ręką oparcia fotela Vicki, drugą chwyciła za brzuch.

- Trzymać się! - zawołał Ted i wydał kowbojski okrzyk.

Josh pokręcił głową. Miastowi, pomyślał. Letnicy. Ted miałby nauczkę, gdyby ugrzązł w tym miłym piasku i musiał błagać Josha o ratunek. Ale potem Josh przypomniał sobie, że cały ten piknik jest zorganizowany z myślą o Vicki, a kiedy na nią zerknął, zobaczył jej uśmiech. Ted mknął po gładkim skłonie wydmy na plażę, gdzie rozsądnie zaczął jechać po śladach innych samochodów. Melanie odwróciła się do Josha z uśmiechem.

- Spójrz na tę wodę - powiedziała. - Nie mogę się doczekać kąpieli. Pójdiesz ze mną?

- O - przestraszył się. - Nie przyniosłem kąpielówek. - A komu potrzebne kąpielówki? - rzuciła ze śmiechem.

- No tak. - Josh zerknął na Brendę, ale nadal gapiała się w okno. Zaczął się czuć jakoś dziwnie, jakby został zaproszony na piknik jako para dla Melanie. Co pomyślał sobie Ted? Czy to wyjaśnia jego zachowanie? Melanie kleiła się do Josha jak guma do podeszwy; on siedział cicho, wciśnięty pomiędzy foteliki.

Melanie chyba dostrzegła jego zażenowanie, bo powiedziała:

- Przepraszam. Jestem namolna. - Na jej twarz wróciła taka sama znękana mina, jak pierwszego dnia, kiedy ujrzał ją wysiadającą z samolotu. Ta mina go zabolala. Przypomniała mu, że Melanie zostawił ten jej mąż, choć była w ciąży. Zaprzagnął jej pomóc, rozweselić ją. Była miłą kobietą, bardzo miłą, ale nie chciał, żeby ktoś pomyślał...

- Wcale nie jesteś - powiedział. - Tylko coś bym zjadł.

- O, ja też! - podchwyciła. - Ten zapach homarów doprowadza mnie do szaleństwa.

- Ja chcę piankę - ocknął się Blaine.

- Najpierw zjesz hot doga - odezwała się Vicki z przedniego fotela.

Blaine oparł głowę na ramieniu Josha.

- Zaraz zaśnie - powiedziała Melanie. - Vicki, chcesz, żeby Blaine zasnął?

Vicki się odwróciła. Oczy jej złagodniały, a jeśli Josh się nie mylił, zaśniły w nich łzy.

- Spójrzcie na moich ślicznych chłopców - szepnęła. Josh instynktownie wymówił bezgłośnie: nie płacz. I to wystarczyło. Po policzkach Vicki potoczyły się łzy.

Josh spojrział na Portera, niemiłosiernie miedlącego smoczek. Czuł pod brodą szczecinkę włosów Blaine'a i przyjemny, ciepły ciężar jego głowy na ramieniu. *Spójrzcie na moich ślicznych chłopców.* Potem dotarło do niego, że Vicki miała na myśli ich trzech. Spoglądała na nich żałośnie i zaczął się zastanawiać, czy jego matka też tak na niego patrzyła w okresie przed swoją śmiercią. Czy kiedykolwiek spojrziała na niego i zawahała się w swojej decyzji, by go zostawić. Samo to myślenie było niepokojące. Nie przywykł do jakichkolwiek myśli o matce, a obecność Vicki mu nie pomagała. Vicki wyglądała w tym szalu jak cudzoziemka; twarz miała bardzo szczupłą, oczy nieomal wychodziły z orbit. Ona znika, napisał wczoraj w swoim dzienniku. Zanim lato się skończy, jej już nie będzie.

Melanie wzięła Vicki za rękę. Brenda wyglądała przez okno, na fale, na dziobiące w piasku siewki i ostrygody. Albo się zamyśliła, pomyślał Josh, albo świadomie usiłuje zdystansować się od melancholijnego nastroju tego pikniku. Odetchnął z ulgą, kiedy samochód skręcił w prawo i zatrzymał się na idealnym kawałku plaży.

- Jesteśmy! - huknął Ted.

Godzinę później Josh poczuł się lepiej, i to w niemalym stopniu za sprawą Teda, który - może usiłując nawiązać z nim męskie porozumienie, a może w ramach jakiegoś podstępного planu, którego Josh na razie nie rozumiał, wręczył mu trzy lodowate butelki piwa. Josh wypił je z radością. Pili i łowili ryby. Ted był zafascynowany gadżetami i nowych fikuśnych wędek z samego Nowego Jorku i chciał się nimi pochwalić przed Joshem. Blaine ożywił się na tyle, że spytał Teda - pięćset razy w ciągu dziesięciu minut - kiedy złowi rybę. „Złów rybę, tato. Chcę zobaczyć, jak łowisz rybę”.

- Spokojna twoja rozczochrana, bracie - powiedział Ted.

Zaczął majstrować przy kołowrotku, założył przynętę za dwadzieścia dolarów i zarzucił z pięknym świstem żyłki i finalnym chlupnięciem. Spojrzał na Josha.

- Teraz ty.

- Złap rybę, Josh - odezwał się Blaine. - Złapiesz rybę, co?

Josh się zawahał. Wędka wydawała się smukła i droga, maserati wśród wędek. Ted pewnie myślał, że on nie śmie dotykać tak wyrafinowanego sprzętu. Josh faktycznie się denerwował - ale tylko dlatego, że wszyscy miejscowi wiedzieli, iż tasergale można łowić i na hikorowy patyk z żyłką. Denerwował się, bo nie chciał wkurzyć Teda, gdyby złapał rybę. Dlatego nie zarzucał wędkę.

- Pomóc ci? - spytał Ted.

- Tak. W życiu nie widziałem takiego sprzętu.

Ted rozpromienił się i wyciągnął haczyk. Pusty.

- Daj, pokażę ci - powiedział, przejmując wędkę Josha. - A nie napiłbyś się jeszcze piwa?

Brenda obiecała, że zajmie się wszystkim, ale z radością powitała powrót dawnej Vicki, dążącej do bicia pięćset procent normy. Vicki rozłożyła koc - proszę mi tu nie nanosić piasku! - i ustawiła leżaki. Wyjęła jedzenie, plastikowe sztucce i wysokie stosiki serwetek, które przyłożyła kamieniami. Nalała Brendzie duży kieliszek wina, sobie mały i otworzyła imbirowe piwo dla Melanie. Osunęła się na leżak niemal uspokojona, ale zaraz znowu się poderwała i zaczęła grzebać w bagażniku yukona. Wróciła z dwoma pochodniami przeciwkomarowymi, które wbiła w piasek i zapaliła. Jeszcze raz osunęła się na leżak. Jej pierś falowała gwałtownie; ta odrobina ruchu pozbawiła ją tchu, ale chemia chyba zaczęła działać, bo Vicki zrobiła dziś więcej niż przez minione tygodnie.

Brenda, Vicki i Melanie uniosły kieliszki i w tej samej chwili Brenda poczuła, że wszystko zaczęło się układać jak należy. Guz kurczył się pod wpływem chemii, Vicki czuła się lepiej, Melanie wyzbyła się jęklivego zachowania, przestała wymiotować i kwękać na temat swoich małżeńskich problemów, a ona napisała wczorajszego ranka pierwszą scenę scenariusza, pijąc dekadencją kawę Milky Way w Even Keel Café. Była to scena, w której Calvin Dare i Thomas Beech spotykają się przed gospodą, obcy sobie jak dwaj kierowcy parkujący samochody przed restauracją - i w tej samej chwili uderza piorun, koń Calvina Dare'a staje dęba, rzy i kopie Thomasa Beecha między oczy. Mężczyźni wypadają z gospody, zajmują się Beechem - jeden z nich okazuje się lekarzem i stwierdza zgon. Scena zajęła pięć stron, co - jeśli wierzyć *Biblii scenarzysty* - oznaczało, że będzie trwała co najmniej pięć minut. Brenda uznała, że wyszło całkiem nieźle.

Spróbowała zanalizować, z czym wiązał się ten sukces. Może powinna rzucić w diabły plażę i pisać wyłącznie w Even Keel Café przy kawie Milky Way? Może wspomogła ją towarzyska atmosfera kawiarni - na tarasie, w ruchliwych cieniach liści siedzieli inni ludzie czytający gazety, szkicujący, przeglądający książki, piszący na laptopach. Może jej - tak jak Hemingwayowi, jak Dylanowi Thomasowi - najlepiej pracuje w miejscach publicznych? Ale gdzieś w głębi duszy podejrzewała, że ta zmiana jakości ma związek z nielegalną naturą tych dwóch godzin. Miała je poświęcić na co innego. Powinna siedzieć w poczekalni onkologicznej, modląc się o wyzdrowienie siostry. Zarezerwowała te dwie godziny - trzy z dojazdem - by być wyłącznie na usługi siostry. Vicki, niespodziewanie pozwalając jej odejść, nadała tym godzinom smak rarytasu, a więc ona uznała: nie wolno ich zmarnować. I, jak za doknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawily się słowa. Strony zaczęły się zapełniać.

Ale choć napisanie pierwszych stron scenariusza zachwycało ją, nie mogła się pozbyć poczucia winy, że zostawiła Vicki. Fakt, na nic się nie przydawała w tej poczekalni, kiedy Vicki brała chemię, jednak jej nieobecność miała posmak wykręcania się od obowiązku. Dzień wczorajszy był wyjątkiem. Brenda nigdy więcej nie odejdzie od boku siostry.

Była z siebie dumna, że zorganizowała ten piknik. Słońce zawisło nisko nad wodą, wiał ciepły wietrzyk, fale obmywały piasek rytmicznie i kojąco. W dali Ted, Josh i Blaine, skąpani w ostatnich promieniach złotego słońca, zarzucali wędkę. Wyglądali jak postaci z książeczki dla dzieci. Gdyby to potrwało godzinę lub dwie, pomyślała, byłoby w porządku. Walsh uwielbiał wytykać Amerykanom, że pędzą od jednej sprawy do drugiej. Mówił, że dla ludzi takich jak Brenda szczęście jest zawsze tuż za zakrętem; zarzucał jej, że nie potrafi siedzieć spokojnie, rozkoszując się chwilą. I miał rację. Teraz usiłowała wypchnąć z głowy wszelkie myśli z wyjątkiem jednej: błagam, niech Vicki się dobrze bawi.

Z oddali dobiegły krzyki. Wychyliła się z leżaka. Ktoś złapał rybę.

Josh poczuł, że coś ciągnie za haczyk i odruchowo zareagował radością. Potem pomyślał: o cholera. Nie miał wyboru, musiał wyciągnąć rybę, choć Ted i Blaine jeszcze nie zauważyli, że mu się poszczęściło. No trudno, pomyślał. To tylko ryba. Bóg nie poklepał go po ramieniu i nie ogłosił go lepszym samcem. Kiedy żyłka się napnęła, Ted zawołał:

- Ha! Josh coś ma! Patrz, brachu, Josh złapał rybę!

Ted nie wydawał się zły ani zazdrosny, był nieprzytomny z zachwytu jak dzieciak. Blaine podskakiwał niczym piłka.

- Wyciągnij ją! Wyciągnij!

Josh zaczął obracać kołowrotkiem; drogie wędzisko wygięło się jak tęcza, aż zaczął powtarzać w myślach: Boże, błagam, tylko niech nie pęknie. W tej samej chwili ryba wyłoniła się z wody, miotając się i trzepocząc. Taser gal. Duży.

Ted rzucił się na rybę, ledwie wylądowała na piasku. Przydepnął trzepoczący ogon i wyjął z kieszeni szortów taśmę mierniczą.

- Osiemdziesiąt pięć centymetrów - oznajmił. Josh przestraszył się, że to początek jakiejś rywalizacji. Czy Ted uprze się, że musi złapać większą sztukę? Czy będą walczyć o rozmiar w jakiś pseudofreudowski sposób? Ale Ted chwycił taśmę za koniec i puścił ją w dół jak jo-jo.

- Dorzucają za darmo w sklepie wędkarskim - wyjaśnił. Wyjął szczypcami przynętę z paszczy ryby. Zrobił to szybko i sprawnie, i dobrze, bo tasergale mają potworne paszczęki i Josh widział już niejednego wędkarza - z własnym ojcem włącznie - pokaleczonego rybimi zębiskami.

- Patrz tylko, brachu - zwrócił się Ted do Blaine'a, dumny, jakby zdobycz była jego.

Blaine przyjrzał się rybie, rzucającej się na piasku. Ted poklepał Josha po plecach i Josh poczuł, że w powietrzu wisi propozycja kolejnego piwka.

- Zatrzymamy ją? - dopytywał się Blaine. - Zjemy?

- Nie - powiedział Ted. Wziął rybę za ogon. - Wrzucimy ją do wody. Pozwolimy jej żyć.

Vicki upiła trzy łyżki wina i dołała sobie trzy następne. Ted, Blaine i Josh maszerowali tryumfalnie z wędkami zarzuconymi na ramiona. Blaine wykrzyczał wieści: Josh złapał rybę, strasznie wielką rybę! Tata ją zdjął z haczyka i wyrzucił! Oba fakty zostały przedstawione tak, że zarówno Ted, jak i Josh wydali się bohaterami i Vicki odetchnęła z ulgą.

- Zjedzmy coś - powiedziała.

Wszyscy usiedli na kocu albo na leżakach i sięgnęli po swoje porcje. Ted zaczął opowiadać Joshowi o łodzi, jaką wybrał się z Newport na Bermudy w wakacje po skończeniu studiów. Brenda usiłowała namówić Blaine'a do zjedzenia homara.

- Patrz, a Josh je.

Blaine rozważał przez chwilę zagadnienie, po czym odwrócił się wzgardliwie. Rzucił się na kolana Vicki, omal nie gruchocząc jej kości. Jęknęła. Ted przestał mówić i spojrzał.

- Nic, nic - powiedziała.

Blaine zjadł jej biszkopta i jej kukurydżę. Porter ciągle spał na tyle samochodu i Vicki już miała poprosić Melanie, żeby do niego zajrzała - ale wtedy na nią spojrzała i... Melanie była zahipnotyzowana... Vicki podążyła za jej spojrzeniem i jęknęła w duchu. Melanie wpatrywała się w Josha wzrokiem, który mógł oznaczać tylko jedno. Nie osądzaj, napomniała się Vicki. Sama uciekłaś z zabiegu. A jednak miała nadzieję, że wzrok ją myli, a jeśli nie, jeśli Melanie naprawdę ma jakąś słabość do Josha, to oby była przelotna, jak dziecięca choroba.

- Brenda, zajrzesz do małego? - odezwała się.

Brenda wstała. Melanie nadal wpatrywała się w Josha, leciutko uśmiechnięta. Może słuchała opowieści Teda, choć Vicki poważnie w to wątpiła.

- Josh - poprosiła - mógłbyś wykopać dół na ognisko?

- Ja też! - poderwał się Blaine.

- I ja - powiedziała Melanie.

- Nie, Mel, ty nie - zaprotestowała natychmiast od razu Vicki. - Ty wypoczywaj.

- Jest drewno na opał? - spytał Josh.

- Jest - pospieszyła z odpowiedzią Melanie. - Brenda ukradła cztery palety ze sklepu.

- Nie ukradłam - odezwała się Brenda. - Nie kradnę. Leżały przy śmietniku.

- Jak mały? - spytała Vicki. - Śpi?

- Tak, nic mu nie brakuje. Wiem, wszyscy uważacie mnie za złodziejkę. Nie jestem złodziejką.

- Kradniesz każdy towar, byle młody - wtrącił Ted.

- Ted! - krzyknęła Vicki.

Brenda pokazała mu palec nad głową Blaine'a.

- Uroczo - odpowiedział.

- Wielkie dzięki - rzuciła Brenda do Melanie - że o tym wspomniałaś.

Vicki zaczerpnęła tchu. Spodziewała się, że wcześniej czy później dojdzie do wybuchu.

Melanie przewróciła oczami i stanęła przy Joshu, który zaczął kopać. Z samochodu dobiegło kwilenie.

- Ted - odezwała się Vicki - zechcesz...

Ted już wstawał. Wrócił z bardzo rozgrymaszonym Porterem.

- Nie mogę znaleźć jego butelki.

- Ale ją spakowałeś, prawda?

- Aha - mruknął bez przekonania.

- Och, Ted. Błagam cię, tylko nie...

- Vicki - warknęła Brenda.

- Co?

- Nie rób za Napoleona.

- Za jakiego Napoleona?

- Rządzisz. Jak dyktator.

- Josh? - odwołała się do drugiej instancji Vicki. - Czy ja się zachowuję jak dyktator?

- Kazałaś mu kopać rowy - wytknęła Brenda.

- Dziurę - poprawiła Vicki. - Na ognisko. Na którym upieczemy pianki.

- Ja chcę piankę! - włączył się do rozmowy Blaine. - Mama powiedziała, że jak zjem...

- Żeby było miło! - ryknęła Vicki. Usłyszała swój głos przez krzyki Portera; był wrzaskliwy i histeryczny. -

Żebyśmy sobie rozpalili ognisko i dobrze się bawili!

- Vicki?

Słońce zachodziło nad wodą; wyglądało jak roztapiająca się złota pacyna. Vicki spojrzała na czarne sylwetki kopiącego Josha i stojącej przy nim Melanie, Brendy, podpartej pod boki i ogłaszającej, że nie jest złodziejką, Teda, kołyszącego Portera i dającego mu butelkę (znalezioną nie wiadomo gdzie). Znała ich wszystkich. Znała tę scenę tak dobrze, jakby już ją przeżyła - i może tak było, w wyobraźni, kiedy się zastanawiała, jak będzie wyglądać ten piknik. Zorganizowali go dla niej - żeby ją wyciągnąć z domu - ale był w nim jakiś przymus, staranie wszystkich, żeby piknik okazał się idealny, tak idealny, żeby Vicki zabrała wspomnienie o nim na tamten świat. Więc choć ta awantura była nieprzyjemna, z ulgą przyjęła katastrofę tej iluzji i fakt, że wszyscy na nią nakichali i znowu byli sobą.

Ale potem wydarzyło się coś dziwnego. Brenda, Josh i Ted zastygli, zupełnie skamienieli. Dlaczego? Vicki uświadomiła sobie, że między nimi pojawił się ktoś obcy, właściciel głosu, który przed chwilą wypowiedział jej imię. Vicki? Głos był zaciekawiony i życzliwy, lecz z rozkazującą nutą. Znała ten głos, ale skąd?

- Vicki Stowe? - powtórzył głos. - To ty?

Na ogół Vicki nie znosiła publicznych spotkań. (Przypomniała się jej ta straszna scena na plaży z Caroline Knox). Nie lubiła być zaskakiwana, a ten ktoś, kto przed nią stał - jakby mężczyzna, w gumiakach i z wędką - zakłócał jej rodzinny piknik, a ponadto wtrącił się do rodzinnej kłótni. Kto wie, ile usłyszał i co sobie teraz o nich myśli?

Zmrużyła oczy. Słońce znajdowało się za mężczyzną, otaczało jego głowę promienną aureolą.

- Tak - odrzekła.

- To ja, Mark.

- Mark?

- Doktor Alcott.

- A! - Vicki zerwała się z leżaka. - Witam!

Dopiero gdy wstała, od razu zobaczyła go wyraźnie: rzeczywiście doktor Alcott, ale w gumiakach, podkoszulku z logo Atlantic Café i czapce Red Soksów był nie do poznania, i choć wiedziała, że na imię ma Mark, ani razu go tak nie nazwała. Zastanawiała się, czy ma mu podać rękę i w chwili, kiedy nad tym rozmyślała, on pochylił się, pocałował ją w policzek. Poczuli się tak, jakby nowy chłopak pocałował ją na oczach rodziców. Ted, Brenda, Melanie i nawet Josh gapili się na nich jak w telewizor. Nikt nie znał doktora Alcotta - nawet Brenda go nie widziała - więc Vicki właśnie zamierzała go przedstawić, kiedy przypomniała sobie poprzedni ranek. Nie przysłała na chemię - i otóż spotyka doktora nie wiadomo skąd. Który zapewne przybył, by powiadomić rodzinę o jej sabotażowej akcji przeciwko własnemu zdrowiu. By powiedzieć, że Vicki ma gdzieś swoje zdrowie. W najlepszym razie doktor Alcott pyta, gdzie mianowicie się podziewała, a ona nie przygotowała jeszcze odpowiedzi; będzie zmuszona wyznać prawdę przed nimi wszystkimi. *Zrobiłam sobie wagary*. Przechypane upokorzenie było tak wielkie, że Vicki przejściowo oniemiała.

Doktor Alcott zrobił krok ku Tedowi i powiedział:

- Witam, jestem Mark Alcott, lekarz Vicki.

- Aha! - ocknął się Ted. - Bardzo mi miło. Jestem Ted Stowe.

Uścisnęli sobie ręce.

Vicki zrozumiała, że musi zapanować nad sytuacją i wdarła się w środek rozmowy.

- A to moja siostra Brenda. Moja przyjaciółka Melanie Patchen i nasz... przyjaciel, Josh Flynn. I moi synowie, Blaine i Porter.

- Spora grupa - zauważył doktor Alcott.

- Tak. - Vicki nerwowo mięła rąbek szala. Gadaj byle co, pomyślała. Byle co cię uratuje. - Łowisz?

- No pewnie!

- A Josh złapał rybę! - włączył się Blaine. - Dużą! A tata ją wyrzucił.

- Dobrze - powiedział doktor Alcott. - Świetnie. Piękny dziś wieczór.

- Piękny - rzuciła gorączkowo Vicki. - Jedliśmy homary.

- Mniam. - Doktor Alcott przyjrzał się wbitym w piasek wędkom Teda. - Ależ cuda!

- Dziękuję. - Ted się uśmiechnął. - Może za jakiś czas je wypróbujemy?

Zapadła chwila ciszy, potem następna. Vicki wpadła w panikę. Nie była dzielnym żołnierzkiem, nie była wzorową pacjentką, była oszustką. Doktor ją wyszedził i dopadł na drugim krańcu wyspy, żeby ją zdemaskować.

- No dobrze - powiedziała. - Nie będziemy przeszkadzać.

Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, na kogo mogła spokojnie spojrzeć, i znalazła Melanie.

- Doktor Alcott uwielbia łowić ryby.

Melanie zrobiła wielkie oczy i skinęła głową z przyzwoitą imitacją zainteresowania.

- No tak - mruknął doktor Alcott. Nabrał tchu i wydawało się, że chce coś dodać. Nie - krzyknęła w myślach Vicki. Uśmiechnął się blado i wtedy do niej dotarło, że on nie wie o jej nieobecności na chemii. Nie wie albo nie pamięta... albo ma to gdzieś. - Było mi miło. Cieszę się, że was poznałem.

- I wzajemnie. - Ted znowu uściśnął mu dłoń.

- To na razie - prawie jęknęła Vicki. Osunęła się na leżak i odetchnęła, gdy doktor Alcott odchodził plażą. Powinna poczuć ulgę - uniknęła niebezpieczeństwa - ale poczuła się pusta w środku. Jeszcze żyła, jeszcze była wśród nich - a już o niej zapomniano.

Josh sądził, że po powrocie na Shell Street będzie mógł odjechać. Ale trzeba było wynieść wszystko z samochodu - lodówkę, leżaki, worki na śmieci, śpiące dzieci - a on zaproponował, że pomoże. Praca była łatwa, zwłaszcza że Ted Stowe uparł się, by wspomogli się piwem, tego wieczoru siódmym bądź ósmym. Piknik okazał się udany albo prawie udany: zaliczyli połów ryb, zachód słońca, homary, a potem ognisko i pieczone pianki dla Blaine'a. Melanie uparła się, żeby popływać w ciemnościach. Przebrała się za samochodem w kostium kąpielowy, nie słuchając protestów Vicki, Teda i Brendy, którzy krzyczeli, że utonie, po czym popędziła do morza. Po trzydziestu sekundach wróciła, skulona, dygocząca i ociekająca wodą. Josh dał jej ręcznik i przyłapał się na zerknięciu na jej ciało - piersi, nadal płaski brzuch, kędzierzawe włosy, spływające ciemnymi sprężynkami wokół twarzy. Spoglądanie na nią w taki sposób było dowodem bezmyślności i miało jakiś związek ze zbyt dużą ilością piwa. Problem - co dotarło do niego po jakimś czasie - polegał na tym, że Melanie dostrzegła to jego spojrzenie i że tylko tego jej było trzeba, by ruszyć do ataku.

Atak nastąpił po sprząnięciu śladów pikniku, gdy państwo Stowe i Brenda pożegnali się, a Josh także powiedział: dobranoc, dzięki za zaproszenie, miło było cię poznać, Ted, do zobaczenia w poniedziałek, szefowo. Odchodząc brukowaną ścieżką, potknął się. Po sześciu bądź siedmiu piwach nie należy prowadzić, pomyślał, zwłaszcza że gliny uwielbiają się zacząć przy Milestone Road, polując na młodych pijaków, dokładnie takich, jak on. Więc przez chwilę siedział w dziupie, szukając w schowku puszek miętówek i zastanawiając się, czy mu się wydawało, czy też jednak niespodziewane nadejście doktora zwarzyło nastrój. Po jego odejściu Vicki skamieniała, skuliła się na leżaku i pograżyła w milczeniu. Do tej chwili szło im nawet nieźle, ale doktor jakby rzucił cień na wszystko, przypomniał Joshowi i reszcie, że Vicki jest chora. Z jakiegoś powodu Josh znowu pomyślał o niedzielach, które spędzał na plaży z rodzicami. Gdyby jutro poszedł do Eel Point, zobaczyłby tam innych rodziców ze swoimi dziećmi. Ten krąg rodzicielsko-przyjacielski rozpadł się po śmierci matki Josha - chyba nie z powodu jej samobójstwa, raczej dlatego, że dzieci już podrosły i wolały plaże, na których można surfować. Ale z całą pewnością myśl o tamtych wakacjach łączyła się z poczuciem straty, okresu, który bezpowrotnie przeminął.

Musimy się cieszyć teraz, mówiła matka. Zanim nadejdzie zima.

Te niedziele przeminęły i od tamtej chwili wydawały się mu niewymownie cenne, cenne jak utracona miłość matki. Odczuwał to głęboko i boleśnie, a wypił tyle, że omal się nie rozplakał. Nagle ktoś zapukał w okno dziupa, omal nie doprowadzając do zawału. Pisnął i chwycił się za serce jak kobieta.

Za oknem stała Melanie.

Opuścił szybę.

- O Jezusie - powiedział. - Mało się nie posikałem.

Nie przeprosiła, nie spytała, dlaczego nie odjechał.

- Masz ochotę na spacer?

- Spacer? - powtórzył głupio, jakby proponowała wyjście w przestrzeń kosmiczną. Nie było bardzo późno, najwyżej dziesiąta, a on był zanadto pod wpływem, żeby dojechać do końca tej ulicy, o domu już nie mówiąc. Spacer nie był takim złym pomysłem.

Obejrzał się na dom. Był pogrążony w mroku, bez śladu życia.

- Wszyscy poszli spać - dodała Melanie.

Usłyszał w jej głosie konspiracyjną nutkę i zrozumiał, że zgoda na spacer z Melanie oznacza także zgodę na coś innego, wielkiego, na co chyba nie był gotowy. Była od niego o dziesięć lat starsza, ciężarna, zamężna - ale ważniejszy od tych szczegółów był fakt, że włoski na rękach mu się zjeżyły. *Śluchaj. Obserwuj. Chłoń.* Wyczuł, że to jest część historii tego lata. Spacer z Melanie był mu pisany. Otworzył drzwi i wysiadł - a ponieważ nie było sensu udawać, że by do tego nie doszło, wziął Melanie za rękę i poszli przez Shell Street.

Nie ją wybrał pierwszą. Idąc labiryntem wąskich uliczek Sconset wzdłuż niskich płotów, mijając malutkie, stareńkie, porośnięte pnąciami różami chateńki - w wielu okna były mroczne, ale w paru paliło się światło, a jedna pulsowała blaskiem kończącej się imprezy - Melanie zmusiła się do spojrzenia prawdzie w oczy: Josh najpierw pragnął Brendy. I tylko z powodu niewytłumaczalnego oddania Brendy byłemu studentowi Johnowi Walshowi to ona mogła trzymać Josha za rękę. Trzymać Josha za rękę! Josha, opiekuna do dzieci! Śmieszne, idiotyczne i niewiarygodne, sama nie mogła w to uwierzyć - a jednak właśnie tego pragnęła. O tym marzyła, nie pozwalając sobie uwierzyć, że to możliwe. A jednak. Josh znał drogę. Prowadził ją koło klubu tenisowego, przez łukowatą bramę w przyszyżonym żywopłocie. Nagle znaleźli się przed... kościołem. Kaplica w Sconset, wiktoriańska, kryta dachówką, z białymi framugami okien i dzwonnica.

- Na tyłach jest ogród - wyjaśnił Josh. - I ławka. Możemy sobie usiąść.

- Dobrze. - Był to najśrodszy kościółek świata - jak na obrazkach - a jednak Melanie się zawahała. Kościół to ślub, ślub to małżeństwo, a małżeństwo to znowu myśli o Peterze.

Więc usiedli na ławeczce w kościelnym ogrodzie - Josh objął ją w tali - a ona opowiedziała mu co nieco o swoim małżeństwie.

Wybrała historię o zeszłorocznej imprezie gwiazdkowej Petera. Zorganizowano ją w centrum, aż na Elizabeth Street, w restauracji Public, jednocześnie modnej i luzackiej na tyle, że nawet nie było w niej ozdób świątecznych.

Dziwne miejsce na przyjęcie gwiazdkowe, mruknęła wtedy do Petera, oddając futrzaną etolę hostessie mierzącej ze dwa metry.

Nie zaczynaj odpowiadać, chciałbym dla odmiany dobrze się bawić.

- Peter był genialny w robieniu ze mnie megiiery - powiedziała Joshowi.

Teraz rozumiała, że gdyby choć przez chwilę spojrzała uważniej, dostrzegłaby kres swojego małżeństwa już wtedy, a nie po pięciu męczących miesiącach z przypadkową wpadką na koniec. Na dzień przed tą imprezą dostała okresu, co oznaczało klęskę numer pięć. Kolejny egzamin obłany przez jej ciało. Wszyscy koledzy z pracy wiedzieli, że Peter i Melanie starają się o dziecko, dlatego spodziewała się, że będzie to wieczór pełen ciekawskich spojrzeń i oględnych pytań. Nie chciała tu przyjść i Peter o tym wiedział. Ruszyła prosto do długiego baru, zamówiła dwa kieliszki szampana dla siebie i tonik z wódką dla Petera. Jeden kieliszek wypiła od razu, duszkiem, a potem rozejrzała się za Peterem, usiłując go zlokalizować w tłumie. Przez jakiś czas unieruchomiła ją rozmowa z żoną szefa Petera, ale potem dostrzegła Vicki, machającą do niej z kąta pokoju. Vicki była w obcisłym czerwonym topie, w

uszach migotały długie złote kolczyki, włosy miała zaczesane do góry. Przed chorobą była olśniewająca - olśniewająca, zabawna, życzliwa, a jako matka nie miała sobie równych. Była jedyną osobą w tym tłumie - na całym świecie - której obecność nie sprawiała Melanie przykrości. Melanie pamiętała, jak przeprosiła Cynthię Roxby i ruszyła do bezpiecznej przystani u boku Vicki. Opowiedziała jej o klęsce numer pięć.

- Moje własne ciało mnie zdradziło - wykrztusiła i zaczęła płakać.

Vicki zawlokła ją czym prędzej do toalety dla pań, gdzie usiadły na aksamitnej sofie i dopiły drinki. Wycho-
dząc, natknęły się na Petera. Stał przy wyjściu awaryjnym - Melanie pamiętała jego twarz skąpaną w czerwonym
świecie neonu, jedynym źródle światła w tym ciemnym kącie - i rozmawiał z Frances Digitt, ubraną w kostium do
pracy - ciemny, z krótką spódniczką i narzuconą na marynarkę kamizelką z baranka. Wyglądała jak członek zarządu
pisma łowieckiego.

Widok Petera i Frances nie zaniepokoił jej. Bardziej się martwiła, że będzie musiała opowiedzieć Frances o
ostatnim sztucznym zapłodnieniu. Frances okazywała niesłychane zainteresowanie staraniami Patchenów o dziecko;
jej siostra Jojo z Californii przechodziła „normalnie to samo”, a przynajmniej tak twierdziła Frances. Melanie za-
wstydziła się też, że przyłapano ją na opuszczaniu toalety razem z Vicki. Peter ciągle jej to wypominał po każdej
biurowej imprezie: chowasz się z Vicki do łazienki, jakbyście byli w podstawówce!

- Gdybym wtedy się ocknęła - powiedziała do Josha. - Gdybym potrafiła spojrzeć dalej niż za czubek wła-
snego nosa...

- Miał z nią romans?

- O, tak. Miał. Nadal ma.

- Nadal? Chociaż...

- Nie wie, że jestem w ciąży.

- Nie?

- A nie.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś?

- Bo na to nie zasługuje.

Josh uściśnął ją. Dokładnie tego potrzebowała - pocieszyciela, młodego, przystojnego, męskiego pociesz-
ciela. Odwróciła się w jego stronę. Był bardzo poważny.

- Co? - spytała.

- To dziwne.

- Dlaczego dziwne? - Wiedziała dlaczego, ale chciała to usłyszeć od niego.

- Jesteś mężatką. Jesteś w ciąży. Ja o tym wiem, a twój mąż nie.

- Nie musisz się martwić o Petera.

- Nie martwię się o Petera. Martwię się, co pomyślą inni. Vicki. Ted.

- Nie muszą nic myśleć, bo się nie dowiedzą.

- Nie?

- Nie.

- Aha. No dobrze. - Westchnął i jakby trochę się uspokoił. Był pijany albo prawie. To, co się zdarzy dzisiaj,
zdarzy się dzisiaj - i na tym koniec. Zgadzasz się? - spytała samą siebie Melanie. Zgadzam się. Pocałowała go i to go
chyba zaskoczyło, choć przecież co mieliby robić na tej ławce w kościelnym ogrodzie, jeśli się nie całować? Fakt

dotarł do Josha dopiero po paru sekundach i wtedy rzucił się na Melanie jak na samochód, którym postanowił mimo wszystko wrócić do domu. Pocałunki, które miały być słodkie i delikatne, stały się żarliwe i gwałtowne. Josh przesuwając rękami po jej plecach, potem pod spódnicą, a Melanie, która od prawie dziesięciu lat nie pocałowała żadnego mężczyzny poza Peterem, nie potrafiła się przestać zastanawiać, czy jej mąż czuł przy Frances Digitt właśnie tę upajającą nowość.

Młodość Josha dawała o sobie znać pod wieloma względami. Był silny, energiczny, gwałtowny. (Z Peterem, zwłaszcza pod koniec, kontakt fizyczny był jak ciężka harówka, jak obowiązek - Peter się na to skarżył i ona też to czuła). Josh pieścił jej wrażliwe na dotyk piersi, ścisnął w zębach płatek ucha i szepnął:

- Boże, jesteś fantastyczna.

Fantastyczna? - pomyślała. - Ja?

Ale potem, gdy dotknął jej brzucha, cofnął się gwałtownie, jak oparzony. Melanie wzięła jego ręce i usiłowała je do siebie przyciągnąć, ale się opierał.

- W porządku - szepnęła.

- Naprawdę? - Pozwolił, by położyła jego dłonie na swoim brzuchu, ale nadal wyczuwała opór. Co ona robi? Zmusza pijanego studenta, żeby pogodził się z jej ciążą?

- Spokojnie - powiedziała. - W porządku. - Wyluzuj, pomyślała. Niech weźmie to, co chce, a odrzuci to, co go niepokoi - ale jeśli mieli się posunąć dalej, chciała, by ją zaakceptował całą. Trzydziestojednoletnią. I ciężarną.

Przez chwilę przemknęło jej przez głowę, że może Josh nie jest tak dojrzały, by się z tym pogodzić, może nie chce mieć do czynienia z taką kobietą, z całym tym emocjonalnym i fizycznym bagażem. Nie bez przyczyny nie ją wybrał pierwszą. Jak mogła mieć mu za złe, że wolał Brendę, nie tylko piękną, ale i bez obciążeń? Jak mogła mu mieć za złe, że wolałby zamiast niej jakąś łatwą dziewczynę w jego wieku, spotkaną w barze albo przy ognisku?

Miała wrażenie, że ta chwila ciągnie się bardzo długo - ona trzyma jego dłonie na budzącym się w niej życiu - tak długo, że zaczęła odczuwać niepewność i zwątpienie, tak długo, że doszła do wniosku, iż popełniła błąd. Puściła dłonie Josha - prawdę mówiąc, odepchnęła je - czując się jak idiotka. Popełniła błąd, uwodząc go, popełniła błąd, stawiając na własne idiotyczne, niedojrzałe uczucia.

Josh się odsunął. Usłyszała jego gwałtowny oddech, jakby z ulgą łąpał powietrze, wyrwawszy się z niewoli. Ale potem zrobił coś tak niespodziewanego, że serce jej stanęło. Uniósł jej bluzkę i pochylił się. Przytulił twarz do jej brzucha, pocałował go, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

*

Sen.

Vicki zostawiła liścik. Poszłam na spacer, napisała. Do latarni Sankaty.

Nie mogła spać - a właściwie po pikniku zapadła w głęboki sen jak kamień osuwający się w błotniste dno rzeki i obudziła się z gwałtownym drgnięciem. Uniósła rękę Teda i spojrzała na jego zegarek. Pierwsza. W głowie jej szumiało; była zupełnie przytomna. W pokoju panowały ciemności, dom był pogrążony w zupełnej ciszy, którą mąciło tylko ciche pochrapywanie Teda. Odwróciła się na drugi bok, omiotła spojrzeniem styropianową głowę, perukę, upiorną twarz - Daphne - i przeraziła się. Wstała, podniosła głowę i znowu schowała do szafy. Rano wyrzucił ten łeb do śmietnika.

Chłopcy spali na materacu na podłodze. Leżeli na wznak, przytuleni głowami. Blaine opiekuńczo obejmował Portera. Byli przykryci jedynie prześcieradłem, które teraz sfałdowało się wokół kostek Blaine'a. Vicki stanęła nad materacem. Z powodu upału Blaine spał tylko w krótkich spodenkach od piżamy, a Porter w samej pieluszcze.

Ich klatki piersiowe były idealnie ukształtowane, Blaine'a smukła i umięśniona, Portera mięciutka od niemowlęcego tłuszczu, skórę mieli mlecznobiałą, aż lśniła w ciemnościach. Na nodze Portera rysował się ślad po trującym bluszczu, na ramieniu Blaine'a nowe, rozognione ukąszenie komara. Ich ciemne rzęsy kładły się na policzkach jak wachlarze, pod powiekami Blaine'a widać było drżenie oczu. Co mu się śniło?

Nie ma piękniejszego widoku niż moje śpiące dzieci, pomyślała. Kochała synów tak mocno - te idealne ciała i wszystkie ich misterne szczegóły - że serce omal jej nie pękło od tej miłości. Moje dzieci, pomyślała. Ich ciała wyszły z niej, były jej częścią - a jednak ona umrze, a one będą żyły.

Macierzyństwo ją zaskoczyło. Kiedy pielęgniarka przyniosła jej Blaine'a na karmienie pierwszej nocy jego życia, obudziła się zdezorientowana. Prawda docierała do niej stopniowo, przez cztery i pół roku.

Jestem odpowiedzialna za to dziecko. Przez resztę mojego życia.

Macierzyństwo było jej najwspanialszym doświadczeniem - i najbardziej wycieńczającym. Karmienie piersią, potem pokarmami stałymi, usypianie, ząbkowanie, płacz, rączkowanie, świadomość, że nie można go spuścić z oczu na sekundę, cała rolka papieru toaletowego wrzucona do muszli, pierwsze kroki, upadek, wizyta na pogotowiu, czy trzeba szyć? płatki śniadaniowe, które się skleiły i dziecko omal się nie zadławiło, butelka, smoczek, pierwsza wizyta u kolegi, uderzanie, chwytanie, pierwsze słowo „dada” (*dada?*), drugie słowo „moje”, ból ucha, pokrzywka, błonica. Nieustanny szum, codziennie, każdego dnia, zajęcie dla rąk, oczu, umysłu. Inwazja porywaczy ciała. Kim była kiedyś? Nie pamiętała.

Myślała, że Blaine urodził się dla jej głowy, a Porter dla serca. Blaine był tak cholernie zdolny, niezależny, inteligentny. Jeszcze przed zdiagnozowaniem jej choroby nauczył się czytać, znał stany i stolice (Frankfurt, Kentucky) i spisywał zwierzęta nocne (nietoperz, opos, szop). Dzień spędzony z nim był jedną długą rozmową: patrz, patrz, patrz. Mamo, mamó, mamó. Zagrzasz w Czarnego Piotrusia? Ułożymy puzzle? Pomalujemy? Pobawimy się ciastoliną? Poćwiczymy liczenie? Jaki dziś dzień? A jutro? Kiedy przyjdzie Leo? Która godzina? Kiedy wróci tatuś? Ile jeszcze dni do wyjazdu na Nantucket? Ile dni do urodzin Portera? Ile dni do moich urodzin? Najbardziej lubił te chwile, gdy opowiadała mu bajki, i uważał, że te z jej głowy są ciekawsze od tych z książek. Uwielbiał słuchać, jak się urodził (wody odeszły niespodziewanie, prosto na sofę od Ralphi Laurena w ich mieszkaniu z czasów przeddzieńców na Manhattanie) i jak urodził się Porter (wody odeszły w samochodzie w drodze powrotnej z kolacji w New Canaan; Ted pomknął jak wariat do szpitala, a Vicki urodziła tak szybko, że Ted przed północą zdążył odwiedzić opiekunkę Blaine'a do domu). Ale jego ukochaną historią była ta, jak Vicki walnęła ciotkę Brendę w nos, gdy ciocia Brenda była niemowlakiem i rodzice dopiero przywieźli ją ze szpitala, i jak ciocia Brenda zalała się krwią, a Vicki, bojąc się mamy, zamknęła się w łazience na klucz i musiał ją wyciągać strażak. Teraz, przyglądając się uśpionemu Blaine'owi, Vicki uświadomiła sobie, że od dawna nie opowiadała mu prawdziwych historii - a co gorsza, on przestał się o nie dopraszać. Może kiedyś opowie mu historię o tym, jak wykryto u niej raka płuc, a potem przyjechali na Nantucket i wyzdrowiała.

O czym śni jej syn? O dorosłym rowerze bez dodatkowych kółek? O skuterze, skateboardzie, gumie do żucia, pistolecie na wodę, zwierzątku? Tego pragnął najbardziej i kazał Vicki składać wiążące obietnice.

Czy dostanę chomika, kiedy skończę sześć lat? Czy dostanę skateboard, kiedy skończę dziesięć lat?

Blaine chciał być duży i dorosły, jeszcze zanim pojawił się Josh, a teraz, oczywiście, pragnął być dokładnie taki, jak Josh. Chciał mieć dwadzieścia dwa lata, komórkę i dżipa. Vicki zawsze mu mówiła, że kiedy stanie się na-

stolatkiem, pięknie jej serce, ale teraz uważała, że gdyby dożyła jego trzynastych urodzin, uznałaby się za największą szczęściarę świata.

Poprzedniego ranka obudziła się; Blaine stał nad jej łóżkiem. Milczący strażnik. Uśmiechnęła się i szepnęła:

- Hej, co tam.

Blaine wskazał na serce i na nią, a ona musiała się wysilić, żeby się nie rozplakać.

- Też cię kocham - powiedziała.

No i Porter, jej maleńki. Tak bardzo za nim tęskniła. Przestała go karmić piersią tak nagle i czuła się, jakby w jednej chwili dorósł i poszedł na studia. Brał butelkę od Josha, Brendy, Teda - Vicki mogła go mieć dla siebie przez te nędzne trzy godziny w najbardziej upalną porę dnia, kiedy Porter drzemał, skulony w zgięciu jej ramienia. Przez sen wydawał słodkie gruchanie, kiedy nie spał - gaworzył, ssał smoczek z takim zaangażowaniem, jakby robił to zawodowo. Jego ciało było jak ciasteczko, kiedy się uśmiechał, w policzku robił mu się dołeczek. Był niemal zupełnie łysy i miał tylko dwa zęby - właściwie wyglądał jak staruszek. Ale był taki słodki, na widok jego uśmiechu wszyscy się w nim zakochiwali. Nie dorastaj, myślała. Zostań niemowlęciem, przynajmniej dopóki nie wyzdrowieję, żeby móc się tobą nacieszyć! Ale Porter ścigał brata jak ogon kometę. Nie chciał zostać w tyle! Uwziął się zaliczać swoje prywatne kamienie milowe jak najszybciej i bez trudu. Już teraz zaczął wędrować po salonie, przytrzymując się zgrabnych mebelków cioci Liv. Niedługo zacznie chodzić. I nie będzie już jej maleństwem.

Blaine poruszył się przez sen. Prychnął niczym przestraszony źrebaczek, otworzył oczy. Spojrzał na Vicki. Wstrzymała oddech - nie chciała, żeby oprzytomniał albo obudził brata. Powieki mu opadły. Odetchnęła. Nawet to ją bolało. Kocham cię, pomyślała. Obaj urodziliście się z mojego serca.

Przeszła na paluszkach do salonu. Cicho, ciemno. Zegar tykał. Drzwi Brendy były zamknięte, Melanie odrobinę uchylone. Wyszła na taras. Nocne niebo było boleśnie piękne. Nie do wiary, że ludzie przesypiają takie noce. Wróciła do kuchni, napisała wiadomość i wyszła.

„Poszłam na spacer. Do latarni Sankały”. W niby-pizamie, czyli gimnastycznych szortach, podkoszulku i klapkach, w chusteczce na głowie. Następna wariacka ucieczka, pomyślała, tak jak wagary pod starym młynem. Idąc cichutko przez Shell Street, czuła się jak włamywacz. We wszystkich domach było ciemno. W powietrzu unosiła się słodka woń kwiatów i morza, świerszcze cykały zawzięcie. Wyszła z domu, zostawiwszy tylko liścik. Pomyślała o matce Josha, która powiesiła się bez żadnych wyjaśnień. Zadrżała.

Doszła do latarni, ale z trudem. Kaszlała i rzeziła, nogi ją bolały, w głowie tętniła krew, dotknęła czoła - suche i rozpalone. A jednak była z siebie dumna. Przeszła prawie półtora kilometra, stanęła u stóp gigantycznego miętowego cukierka. Po jednej stronie rozciągała się falista zieloność klubu golfowego, po drugiej zbocze gwałtownie zbiegało ku burzliwym falom. Zbliżyła się do urwiska na tyle, na ile starczyło jej odwagi. Przed nią rozciągał się ocean i wspaniałe niebo. Gwiazdy, planety, galaktyki, tak dalekie, że ludzkość nigdy do nich nie dotrze. Wszechświat jest nieskończony. To przerażające i właściwie niezrozumiałe, i tak sądziła od wczesnego dzieciństwa. Wyobrażała sobie, że wszechświat jest pudełkiem w dłoni Boga. Czas jest nieskończony, pomyślała. Ale ja umrę.

Zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby zawsze była sama, tak jak w tej chwili, gdyby w jej życiu nie było nikogo - męża, dzieci, siostry, rodziców, przyjaciółki. A gdyby była bezdomna, nie miała korzeni, znajomych, związków? A gdyby była wyspą? Czy wtedy lżej by było umierać? Bo musiała przyznać, że nie wyobraża sobie większej samotności niż umieranie, zostawienie wszystkich. Umrzeć trzeba samemu. Umieranie to dowód, że choćby się miało nie wiadomo jak silne związki z innymi, każdy jest tak naprawdę sam.

W ciemnościach rozległ się głos:

- Vicki!

Odwróciła się. Ted siedł po zboczu, także zasapany. Jakby był ojcem, który przyszedł ją złajać za to, że się wymknęła. Ale kiedy się zbliżył, dostrzegła troskę na jego twarzy. Martwił się o nią, i słusznie. Co ona właściwie wyprawia?

- Vick, jak się czujesz? - spytał.

- Umrę - szepnęła.

Uciszył ją, tak jak uciszał Blaine'a, kiedy był malutki. Otoczył ją ramionami. Była rozpalona, nie tylko od pożaru w płucach, ale w całym ciele. Stała w ogniu choroby, ogniu tych zbuntowanych komórek. Tego nie można wyegzorcyzmować. Stała się swoją chorobą. Ale kiedy otoczyły ją ramiona Teda, zaczęła dygotać. Na tym urwisku, na wietrze od morza było zimno. Zęby jej zaszczękały. Nigdy nie знаła ramion silniejszych niż Teda. Zaciągała się jego zapachem, chłonęła jego ciepło, pocierała policzkiem o bawełniany podkoszulek. To był jej mąż, znała go, a jednak był tak odległy od niej.

- Czuję to - dodała. - Odchodzę.

- Vicki. - Uścisnął ją mocniej i to było przyjemne, ale potem zaczął, niemal niewyczuwalnie, drżeć.

- Wstałam, żeby popatrzeć na chłopców - powiedziała. - Chciałam tylko się przyjrzeć, gdy śpią.

- Powinnaś spać. Co ty wyprawiasz?

- Nie wiem. - Ale potem ogarnęła ją przekora i rzuciła wyzywająco: - A ty? A jeśli chłopcy...?

- Kiedy się zorientowałem, że wyszłaś, obudziłem Brendę. Posiedzi z nimi, dopóki cię nie przyprowadzę.

Jak zbiega, pomyślała. Ale nie mogła uciec, nie mogła się schować. Kiedy wreszcie to zrozumie?

Ted chwycił ją za ramiona, zmusił, żeby na niego spojrzała. Policzki lśniły mu od łez. Silny był ten jej mąż, i męski, i odpowiedzialny, ale lzy płynęły mu ciurkiem, a głos brzmiał błagalnie:

- Vick, musisz wyzdrowieć. Nie mogę bez ciebie żyć. Słyszysz? Moja miłość do ciebie jest tak silna, że mnie unosi, popycha do przodu. Ty jesteś moją siłą. Musisz wyzdrowieć, Vick.

Vicki usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go widziała w takim stanie, tak obnażonego. Chyba w dniu oświadczyń, a może narodzin Blaine'a. Chciała mu powiedzieć: dobrze, zgadzam się, będę walczyć dla ciebie, dla dzieci. Byłoby jak na filmach, to by była scena, w której następuje punkt zwrotny, oni na urwisku u stóp latarni morskiej, pod majestatycznym ciemnym niebem. Punkt kulminacyjny. Od tej chwili wszystko by się zmieniło, jej stan zacząłby się poprawiać. Ale nie wierzyła w te słowa, byłyby kłamliwe, więc nie mogła ich wypowiedzieć. Dlatego milczała. Uniosła twarz do nieba pełnego gwiazd. Sęk w tym, że kiedy ma się wszystko, można wszystko stracić.

- Nie mogę wrócić - wyznała. - Za daleko zaszłam. Czuję się ohydnie.

- Wiem - powiedział. - Dlatego po ciebie przyszedłem.

Nie kochali się prawie od miesiąca, a jednak Ted jeszcze nigdy nie dotykał jej czulej niż w tej chwili. Wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

Komórka zaczęła dzwonić. Brenda była przy trzydziestej stronie scenariusza i pruća jak burza; słowa spływały szybko, nie nadążała ich zapisywać. Była zbyt zajęta, by choćby spojrzeć na wyświetlacz. Nie czekały jej żadne niespodzianki: albo dzwoni mecenas Brian Delaney, albo matka. Telefon umilkł. Gdzieś w innej części szpitala rozległ się cichy dzwonek windy, a potem dziarski głos spikera programu sportowego.

Vicki siedziała za zamkniętymi drzwiami z doktorem Alcottem. Liczba jej białych krwinek dramatycznie spadała, a temperatura podskoczyła prawie do czterdziestu stopni. Doktor Alcott chciał zrobić przerwę w chemii, dopóki wyniki się nie polepszą, a gorączka nie spadnie. Skoro już Brenda zaczęła się modlić, to ten dzień nadawał się jak żaden - ale z jakiegoś powodu poczuła, że w tej chwili pisać może wyłącznie w poczekalni na onkologii. Mózg jest zagadką. Kiedy wcześniej szła rano na plażę, miała furę wolnego czasu i spokój. Ale ledwie siadała na piasku, utykała w miejscu, stawała się wyschniętą studnią, myśleć mogła tylko o Walshu. Spróbowała nawet wrócić do Even Keel Café, ale to było jeszcze gorsze - gapiała się na pary jedzące śniadanie, trzymające się za ręce, szepczące do siebie, dzielące się stronami gazety. Kawa Milky Way była zbyt słodka. Brenda odkryła, że potrafi pisać scenariusz tylko wtedy, kiedy powinna robić coś innego. Na przykład modlić się. Albo martwić.

Komórka znowu zadzwoniła. Brenda była w środku sceny, w której Calvin Dare pojawia się na pogrzebie Thomasa Beecha - ukryty w tłumie, żeby nikt nie rozpoznał w nim właściciela konia - i po raz pierwszy widzi piękną, opuszczoną narzeczoną Beecha, Emily. Brenda widziała tę scenę jak w kinie - przekrzywiony czarny kapelusz Dare'a, spojrzenia spotykające się nad dziesiątkami kościelnych ławek, Dare podejmujący decyzję i zbierający odwagę, by pomówić z Emily. Po nabożeństwie podchodzi do niej na schodach kościoła, by złożyć kondolencje.

- Znał pan mojego Thomasa? - pyta zdumiona Emily. - Byliście przyjaciółmi?

A Calvin Dare odpowiada brawurowo:

- Tak, od dzieciństwa. Od jakiegoś czasu się nie spotykaliśmy. Wyjechałem.

- Daleko?

- Za granicę.

Emily unosi brwi. Jest młoda, narzeczoną Beecha była od niedawna i (jak napisała Brenda w przedmowie) jest trochę oportunistką. Opłakuje narzeczonego, ale intryguje ją ten obcy, przyjaciel Thomasa z dzieciństwa, który właśnie wrócił z zamorskich krajów.

- Naprawdę? - mówi Emily tonem, który może oznaczać niemal wszystko.

Komórka ucichła i zadzwoniła znowu. *Dla Elizy*, upiorna melodyjka, jakby wygrywana przez małpę na organach w blaszanej puszcze. Brenda namacała na oślep komórkę w torebce.

Matka.

Westchnęła. Odłożyła długopis. Na wieść o gorączce Vicki Ellen Lyndon dostała spazmów; chciała poznać każde słowo lekarza. Zresztą Brenda i tak musiała do łazienki. Odebrała.

- Cześć, mamo.

- Jak ona się czuje?

- Nadal rozmawia z lekarzem.

- Jeszcze?

- Jeszcze.

- A co powiedział o gorączce?

Brenda ruszyła do łazienki.

- Nie mam pojęcia. Jeszcze od niego nie wyszła.

- Nic ci nie powiedzieli?

- Nigdy mi nic nie mówią. Mówią Vicki, a Vicki mnie. Więc obie musimy poczekać.

Brenda weszła do łazienki, w której jej głos odbijał się echem od wykładanych kafelkami ścian.

- A powiedzieli, kiedy...

- Nie powiedzieli, mamo. - Brenda przeklęła samą siebie. I po co odbierała? Takie rozmowy denerwowały ją obie. - Słuchaj, zadzwonię jak tylko...

- Obiecujesz?

- Obiecuję. A nawet obiecuję, że zmuszę Vicki, żeby do ciebie zadzwoniła od razu, jak...

- Dobrze, kochanie. Dziękuję. Czekam. Odwołałam spotkanie z rehabilitantem.

- Dlaczego? Chyba chcesz wyzdrowieć?

- Nie mogłabym się skupić. Kenneth zawsze wymaga „zaangażowania”, a tego dać mu nie mogę. Zawsze wie, kiedy jestem zdekoncentrowana.

To ja powinnam być zdekoncentrowana, pomyślała Brenda. A tu niespodzianka. Cała funkcjonuję na opak.

- Dobrze, mamo. Do widzenia.

- Zadzwoń, jak...

- Jasne - mruknęła i rozłączyła się.

Zaszumiała spuszczana woda, drzwi kabiny się otworzyły. Wyszła jakaś dziewczyna. Brenda uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Matki - powiedziała.

Dziewczyna ją zlekceważyła, i dobrze. Ale kiedy parę minut później Brenda wyszła z kabiny, dziewczyna stała tam nadal i przyglądała się Brendzie w lustrze.

- Zaraz - odezwała się. - Ja cię znam. Josh u ciebie pracuje.

Brenda przyjrzała się jej uważniej. Oczywiście. Zza głębokiego dekoltu białego podkoszulka dziewczyny wyglądał stanik push-up, no i ten rozmazany róż. To ta mała lafirynda z recepcji. Brenda zerknęła na jej identyfikator. Didi. No tak.

- Zgadza się - powiedziała. - Jestem Brenda. Zapomniałam, że znasz Josha.

- Znam, jak cholera.

Brenda umyła ręce i sięgnęła po papierowy ręcznik. Didi grzebała w torbie. Wyjęła papierosa i zaczęła go zapalać.

- Bardzo lubimy Josha - dodała Brenda. - Świetnie opiekuje się dziećmi.

- Płacicie mu zajebiste pieniądze. - Zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Tego nie wiem. Nie ja trzymam kasę.

- Spałaś z nim?

Brenda odwróciła się do Didi w chwili, gdy ta wydmuchnęła dym. Miała nadzieję, że jej mina wyraża niesmak i sugestię, a godność nie pozwala jej odpowiedzieć na tak absurdalne pytanie. Ale nie mogła pominąć tego pocałunku na trawniku przed domem. Josh chyba o tym nikomu nie rozgadał?

- Nie powinnaś tu palić - oznajmiła. - To szpital. Niektórzy mają tu raka płuc.

Didi obnażyła zęby w brzydkim uśmiechu i Brenda nabrała wrażenia, że znowu jest w liceum - uwięziona w kiblu z dziewczuchą, która pali po kryjomu i chce ją zastraszyć.

- Dymasz się z Joshem - wycedziła Didi. - Przyznaj się. A może twoja siostra się dyma.

- Dość. - Brenda rzuciła ręcznik do kosza. - Wychodzę. Żegnam.

- Nigdy by mnie nie zostawił, gdyby nie poleciał na którąś z was! - zawołała za nią Didi. - Wiem, że to jedna z was!

Dobra, pomyślała Brenda. To było dziwne. Ale co najdziwniejsze - nadal się trzęsła. No, może nie powinna się dziwić, że się tak zdenerwowała - wszystkie najgorsze chwile jej życia miały pewne wspólne elementy z tą scenką w łazience. Dziewczyna, tak młoda, że mogłaby być jej studentką, oskarża ją o niestosowny związek.

„Wieść niesie, że popełniłaś drugi niewybaczalny grzech obok jawnego plagiatu”.

„Związki natury uczuciowej lub seksualnej między członkiem ciała pedagogicznego a studentem są zabronione. Komentarze o znaczeniu uczuciowym lub seksualnym, gesty i aluzje nauczyciela do studenta są zabronione i będą karane dyscyplinarnie. Profesorowie na stałym etacie będą traktowani bez żadnych wyjątków”.

„Jak rozumiemy, łączy panią niestosowny związek ze studentem”.

To ona odpowiada za ten „niestosowny związek”. Miło byłoby obwiniać Walsha za to, że ją uwiódł, ale przecież to ona jest profesorką, a Walsh studentem, i to ona doprowadziła do tej sytuacji. Pili w Cupping Room, całowali się - następnego dnia Brenda obudziła się z poczuciem głębokiego wstydu i niesłychanej energii. Myślała, że John Walsh zadzwoni do niej, ale nie zadzwonił, we wtorek zaczęła wręcz podejrzewać, że wszystko to jej się przyśniło. Ale na zajęciach Walsh usiadł tam, gdzie zwykle, w otoczeniu pięknych dziewczyn, które - jak się jej zaczęło wydawać - pyszniły się przed nim błyskotliwym intelektem, jak ptaki pyszną się kolorowym upierzeniem. Kiedy Amrita-lizuska wypowiadała swoje zdanie w dyskusji, natychmiast spoglądała na Walsha, jakby sprawdzając, czy się z nią zgadza. Kelly Moore, aktorka z opery mydlanej, była jeszcze gorsza, omal się dla niego nie zagrała na śmierć. Trzy Rebeki utworzyły praktycznie klub fanek Johna Walsha. Ale ciacho, usłyszała niechcący jedną Rebecę. Wszystkie na niego lecą. Z kolei Walsh był rozbijającym nonszalancki. Nie miał pojęcia, że siedzi w sali pełnej rozkochanych fanek.

Pod koniec zajęć Brenda podała temat pracy semestralnej: Podobieństwa i różnice kryzysu tożsamości Calvina Dare'a na tle innych postaci z literatury współczesnej, z listy lektur lub spoza niej. Piętnaście stron. Dziewczyny jęknęły i wyszły. Walsh został.

Brenda podniosła głowę.

- Nie - powiedziała. - Idź. Musisz odejść.

Patrzył na nią tak, że zrobiło się jej słabo z pożądania. Nie powiedział ani słowa; o ile pamiętała, stał i tylko na nią patrzył. To pożądanie ją ogłupiło, a poza tym jej próżność została sprowokowana. Te wszystkie dziewczyny - o wiele młodsze i ładniejsze od niej - pragnęły go, ale lo ona go dostanie. Nagryzmoła swój adres na strzępku kartki i wcisnęła w jego dłoń. Potem popchnęła go w stronę drzwi.

- Idź, muszę zamknąć. - Kiwnęła głową. - Z powodu obrazu.

Tej nocy nie przyszedł, następnej też nie i poczuła się jak idiotka. Zaczęła podejrzewać, że Walsh jest agentem podstawionym przez innych wykładowców z wydziału anglistyki, zazdrosnych o jej wyniki i status supergwiazdy. Albo że to wyrafinowany kawał wymyślony przez studentki. W piątek przysięgła, że nawet nie spojrzy na niego, choć oczywiście spojrzała, i to nie raz. Sandrine, piosenkarka z Gwadelupy, zdołała przemycić puszkę napoju po-

mimo radaru pani Pencaldron i choć trzymała ją na kolanie, Brenda poprosiła, żeby wyrzuciła. Sandrine wstała niechętnie i wymamrotała coś po francusku, z czego połowa dziewczyn zaczęła się śmiać. Brenda dostała furii, choć wiedziała, że nie jest wściekła na Sandrine ani nawet nie na Walsha, lecz na samą siebie. Wkurzała się z powodu tego świstka z adresem. To tylko świstek, tylko adres, to nic nie znaczy - a jednak. Dała Walshowi pozwolenie, dała mu swoje serce. Może brzmi to idiotycznie, ale tak właśnie czuła. Wcisnęła mu w dłoń swoje serce, a co z nim zrobił? Nic. Po zajęciach nie ociągał się z odejściem, wyszedł za wkurzoną Sandrine i resztą dziewczyn, a Brenda została sama, zdruzgotana.

Tego wieczoru poszła na spotkanie z Erikiem vanCottem w Crafcie. Mieli się spotkać sami, tylko we dwójkę, bez Noel, co powinno Brendę uszczęśliwić. Craft był prawdziwą restauracją, promowaną przez „New York Magazine”.

Ściany obite skórą i tłum przy drzwiach. Wszyscy wystrojeni, wypachnieni, mówiący przez komórki uroczystym tonem (Już jestem. A ty gdzie jesteś?) i czekający na wejście. Brenda stała na palcach i usiłowała dostrzec coś ponad ramionami i głowami, ale nigdzie nie widziała Erika. Stała w tłumie, czekając na rozmowę z olśniewającą kobietą na podium (na imię miała Felicity, Brenda usłyszała, jak ktoś to mówi). Brenda zaczęła panikować, że pomyliła miejsce, godzinę albo dzień, albo że w ogóle wyobraziła sobie tę rozmowę. Kiedy w końcu dotarła do Felicity, powiedziała:

- Jestem z kimś umówiona. Erik vanCott.

Felicity omiotła wzrokiem bardzo efektowną kartę rezerwacji.

- Jest: vanCott - powiedziała z lekkim zdziwieniem, jakby znalazła dolara na chodniku. - Pan vanCott jeszcze nie przybył, a stół nie jest gotowy. Czy zechce pani wypić drinka przy barze?

Przy barze Brenda wychyliła dwa cosmopolitany, jeden po drugim. Kiedy Felicity obwieściła, że stół gotowy, Brenda zdecydowała się usiąść, choć była sama. Zamówiła jeszcze jednego cosmopolitana u kelnera, który robił wrażenie zawodowego kulturysty.

- Czekam na kogoś - wyjaśniła, modląc się, żeby faktycznie tak było. Sprawdziła, czy nikt nie dzwonił na jej komórkę. Nikt. Było wpół do dziewiątej; w tym tygodniu wystawili ją do wiatru dwaj faceci. Ale potem podniosła głowę i zobaczyła Erika pędzącego ku niej przez całą salę, z łopoczącymi połami prochowca Burberry. Ten chłopiec, który biegał za nią po placu zabaw, który za jednym posłodzeniem zjadł w kuchni Ellen Lyndon cały słoik pistacji i zwymiotował w łazience, ten chłopiec, który po wystawieniu do wiatru przez Vicki śpiewał na balu miłosną pieśń Bryana Adamsa, był teraz zamożnym mężczyzną w drogich garniturach i umawiał się z Brendą w szykownych nowojorskich restauracjach.

- Spóźniłem się? - wydyszał.

- Nie - skłamała.

- Super. - Padł na krzesło naprzeciwko, zrzucił prochowiec, rozluźnił krawat i nieskazitelną francuszczyzną zamówił butelkę wina.

Brenda strasznie chciała mu opowiedzieć o Walshu. Nie mogła się zwierzyć nikomu innemu - w jej życiu nie było przyjaciółek, a Vicki ani matce nie chciała powiedzieć. Ponadto Erik mógłby jej to wyjaśnić z męskiego punktu widzenia, zresztą dobrze, jeśli się dowie, że w jej życiu są też inni mężczyźni. Jednak przez te dwadzieścia milionów lat ich przyjaźni wypracowali pewne zasady, a jedną z nich było to, że Brenda zawsze pierwsza pytała o sprawy Erika.

- No więc - zaczęła, zabierając się do swojego drinka - jak tam życie?

- Masz na myśli Noel?

- Możemy porozmawiać i o niej, jeśli chcesz - powiedziała, choć szczerze mówiąc, miała nadzieję na beznoelowy wieczór.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmił.

Zerwaliśmy, dokończyła w myślach. Gdyby tak było, mogłaby rozmawiać o Noel przez całą noc. Pożegnanie Noel, zamknięcie sprawy Noel i, oczywiście, rozkoszne obgadywanie Noel.

Erik wyjął z kieszeni marynarki puzderko z niebieskiego aksamitu. Ma pierścionek, pomyślała. Dla mnie? Ale nawet trzy cosmopolitany nie mają mocy aż takiego zmieniania rzeczywistości.

- Chcę się oświadczyć Noel - powiadomił ją Erik.

Wytrzeszczyła oczy. Oświadczyć się? Spojrzała na pudełeczko. Pierścionek na pewno był śliczny, ale nie prosiła, żeby go pokazał. Nie miała prawa się dziwić - Erik ją ostrzegł. Nazwał Noel „materiałem na żonę”. Ale Noel miała skazę: nie jadła. A osoba, która nie je, ma poważny problem z samooceną, z właściwym postrzeganiem samej siebie. Brenda skreśliła Noel już w Café des Bruxelles i myślała, że Erik także. Oniemiała. Gdyby Erik wiedział, jak bardzo Brenda go kocha, pewnie by się zmiłował i powiedział jej o tym przez telefon, żeby mogła po prostu odłożyć słuchawkę.

- Bren?

- Co? - spytała i zaczęła płakać.

Erik wziął ją za rękę. Mocno ją uściskał i pogłaskał. Niebieskie puzderko leżało na talerzu między nimi, nieotwarte. Brenda usłyszała szepty i zdała sobie sprawę, że jakimś cudem zwrócili na siebie uwagę ludzi przy sąsiednich stolikach, którzy bez wątplenia sądzili, że Erik się jej oświadczył.

- Schowaj ten pierścionek - szepnęła. - Proszę.

Erik schował pudełeczko do kieszeni, ale nie puścił jej ręki. Jeszcze nigdy tego nie robili i dotyk sprawił jej jednocześnie zapierającą dech w piersiach przyjemność i przeszywający ból.

- Cieszysz się ze względu na mnie? - spytał.

- Cieszę się ze względu na ciebie - powiedziała. - I płaczę nad sobą.

- Przecież...

Kulturysta zbliżał się do nich, ale nie mogła wytrzymać przy tym stoliku ani chwili dłużej. Wstała.

- Idę stąd.

- Znowu mnie zostawiasz? - spytał Erik. - W środku kolacji? - I zaczął śpiewać tę okropną piosenkę Davida Soula: nie rezygnuj z nas... spróbujmy jeszcze raz...

- To nie działa - oznajmiła.

- Brenda - odezwał się i dopiero wtedy na niego spojrzała.

- Co?

- Ja ją kocham.

Wstała i zostawiła go. Płakała z wielu powodów, między innymi dlatego, że prawdziwa miłość zawsze przydarzała się innym kobietom - takim, jak Vicki, jak Noel. Prawie widziała Noel nagą w łóżku Erika, o którym zawsze mówił czule „moje gniazdko”. Noel w gniazdku, naga, niejedząca. Alabastrowa skóra, włosy jak futro norki, cał-

kiem naga, tylko w perłowych kolczykach. Żebra rysujące się pod skórą są jak marimba i Erik może sobie na nich przygrywać, skoro tak lubi śpiewać. Wyszła z restauracji.

- Osiemdziesiąta Siódma ulica - rzuciła taksówkarzowi czekającemu przed Craft, który - cud prawdziwy - był Amerykaninem. Benny Taylor, widniało na licencji. - Ma pan chusteczki?

Benny Taylor podał jej pudełko przez pleksiglasową ściankę.

- Masz, skarbie.

Dowiózł ją pod dom za dziesięć dziesiąta.

- Poradzisz sobie, skarbie? - spytał.

Nie pytał dlatego, że płakała, ale dlatego, że w bramie budynku czekał mężczyzna, wysoki i cały w czerni. Brenda wyteżyła wzrok, serce jej załomotało. John Walsh.

- Wszystko w porządku - powiedziała. Usiłowała wygładzić ubranie i włosy. Makijaż jej się na pewno rozmazał. Wyjęła pieniądze dla Benny'ego Taylora i zaczęła gorączkowo szukać tekstu na powitanie. Cześć? Co tu robisz? Nogi się pod nią uginały, a te trzy drinki poważnie zachwiały jej poczuciem równowagi. Benny Taylor odjechał; ruszyła jak najpewniejszym krokiem w stronę Walsh, który się uśmiechał. Był zabójczo przystojny, jak bohater ze starego westernu. Silny, męski, Australijczyk. Usiłowała zachować spokój, ale okazało się, że za nic nie potrafi przestać uśmiechać się, niczym wiejski głupek.

- Cześć - powiedziała. - Co tu robisz?

John Walsh został jej kochankiem. Był jej kochankiem przez wiele dni, tygodni, miesięcy. To był ich upajający, rozkoszny i pilnie strzeżony święty sekret. Nigdy nie rozmawiali na terenie uczelni, chyba że na zajęciach, a Walsh przestał zostawać po wykładach. Dzwonił na jej komórkę - dwa dzwonki były jego sygnałem - i spotykali się u niej. Jeśli nie potrafili wytrzymać tych czterdziestu pięciu minut na przejazd przez miasto, spotykali się w parku Riverside, gdzie całowali się w zagajniku. Przesiedzieli w domu jedną zadymkę, jedząc jajecznicę, pijąc czerwone wino, kochając się i oglądając stare australijskie filmy, jak *Sprawa Moranta*. John Walsh opowiadał jej różne historie - o dziewczynie z Londynu, która zaszła z nim w ciążę i zrobiła skrobankę, o swoim dziadku, który pracował na terenie Australii

Zachodniej przy strzyżeniu owiec. O swoich podróżach dookoła świata. Brenda opowiadała o dorastaniu w Pensylwanii, o rodzicach, Vicki, wakacjach na Nantucket z ciocią Liv, studiach, Flemingu Trainorze. W porównaniu z jego historiami jej życie było nudne, ale Walsh zachowywał się tak, jakby go fascynowało. Zadawał dokładnie takie pytania, jak trzeba, słuchał odpowiedzi, zawsze zachowywał się dojrzałe i czule. Najbardziej kochała w nim powagę. Nie bał się trudnych tematów, nie bał się spoglądać w siebie. Może tak są wychowywani Australijczycy, a może to przez te jego podróże, ale nie znała jeszcze takiego mężczyzny. Nawet Erik taki nie był, nawet Ted, nawet ojciec. Gdy pytała ich o uczucia, spoglądali na nią takim wzrokiem, jakby wysyłała ich do sklepu po tampony.

W czasie drugiej zadymki tej zimy opatulili się w tyle warstw ubrań, że nikt by ich nie rozpoznał, i poszli na sanki do Central Parku. W miarę upływu czasu zaczęli się czuć coraz bezpieczniej. Chodzili do kina (Brenda w czapce baseballowej i ciemnych okularach. Nie pozwalała Walshowi trzymać się za rękę, dopóki w sali nie zgasły światła). Poszli na kolację. I do baru, i na tańce. Ani razu nie spotkali nikogo znajomego.

W pewnym momencie Brenda przestała go uważać za swojego studenta. Był jej kochankiem. Przyjacielem. Ale potem nastął ten poniedziałkowy wieczór, kiedy wszystko się zmieniło. Brenda była w domu sama, oceniała prace semestralne. Zwlekała z tym, aż studentki z jej grupy zaczęły się niecierpliwić. Obiecała, że odda prace na-

stępnego ranka i została jej jeszcze jedna do przeczytania. Trzeba przyznać Walshowi, że nigdy o to nie pytał. Prawdopodobnie zapomniał, że Brenda musi go ocenić. Z silnym drżeniem serca wzięła pracę, na której widniały ich nazwiska - John Walsh; dr Brenda Lyndon - i zaczęła czytać.

Czego się bała? Bała się, że praca okaże się kiepska - niechlujna konstrukcja, liche argumenty, literówki, błędy ortograficzne i interpunkcyjne. Bała się, że Walsh napisze „orginalny” zamiast „oryginalny”. Bała się, że będzie przytaczał jej poglądy, zamiast myśleć samodzielnie (co zrobiła jedna Rebecca, zarabiając lichą trójczynę); przerażało ją, że przypadkiem zacytuje kogoś, nie podając źródła. Ta praca była potencjalnym finałem ich związku - nie tylko dlatego, że Walsh mógłby się wkurzyć o słaby stopień, ale ponieważ ona nie będzie mogła się dalej z nim spotykać, rozczarowawszy się do jego inteligencji.

Prawie wszyscy porównywali Calvina Dare'a do postaci z listy lektur. A Walsh nie. Wybrał książkę, której nie było na liście, której Brenda nigdy nie czytała, powieść *Jeźdźcy* Australijczyka Tima Wintona. Jego praca dotyczyła „tożsamości straty” - zmiany tożsamości wynikającej ze straty jakiejś osoby lub sprawy. W *Niewinnym szal-bierzem*, kiedy koń Calvina Dare'a zabija Thomasa Beecha, Dare traci pewność co do własnej ścieżki życiowej. Ten wypadek wstrząsa nim do głębi i powoduje rezygnację z własnych marzeń i ambicji na rzecz marzeń i ambicji Beecha. W *Jeźdźcach* główny bohater Scully stracił żonę - całkiem dosłownie. Leciąca do Irlandii z córką, lecz, nie wiadomo jakim sposobem, z samolotu wysiadła tylko córka. Powieść opisuje poszukiwania żony Scully'ego, ale także jest studium zmiany tożsamości człowieka, który coś stracił. Brenda była poruszona. Walsh jasno zaprezentował swoją tezę na trzech pierwszych stronach, poparł je dziesięcioma stronami przykładów z obu powieści, a zakończył błyskotliwie, cytując inne źródła dotyczące tożsamości. Temat ten można znaleźć wszędzie, napisał, od *Huckleberry Finna* po *Umiłowaną*.

Brenda odłożyła pracę w oszołomieniu. Dla porównania przeczytała raz jeszcze pracę Amrity (którą oceniła na piątkę), a potem pracę Walsha. Praca Walsha była inna, oryginalna, świeża i słoneczna jak jego ojczyzna, ale także z głębią, która przychodzi tylko z wiekiem i doświadczeniem. Dała Walshowi piątkę z plusem. Potem zaczęła się niepokoić. Oceniała go najwyżej w grupie. Czy to sprawiedliwe? Jego praca była najlepsza. Czy to się da poprzeć dowodami? Przecież to ocena subiektywna. Czy ktoś zacznie coś podejrzewać? Czy ta piątka z plusem jest w jakikolwiek sposób związana z faktem, że John Walsh kochał się ze swoją panią profesor w tym samym pokoju, dając jej taką rozkosz, że aż krzyczała?

Napisała stopień na górze kartki, bardzo jasnym ołówkiem, na wypadek, gdyby zmieniła zdanie. Ale jakoś nie mogła się rozmyślić. Walsh zasłużył na ten stopień, uczciwie i zwyczajnie. A jednak się martwiła. Martwiła się, że zaczyna go kochać.

Do poczekalni na onkologii wróciła już wytrącona z koncentracji. Oskarżenie Amrity (słuszne) zmieszało się z zarzutami Didi (niesłusznymi). „Sypiasz z nim”! Brenda schowała scenariusz i postanowiła nikomu nie mówić, co zaszło w łazience.

Po paru sekundach w korytarzu ukazała się Vicki w towarzystwie doktora Alcotta. Brenda otworzyła szeroko oczy. Czy to naprawdę jej siostra? Wyglądała jak skurczona - jakby nie tylko chudła, ale i malała. Była krucha jak ciocia Liv na miesiąc przed śmiercią (a ciocia Liv zawsze była drobniutka, czterdzieści dwa kilo w zimowym płaszczu). Vicki miała na głowie szal od Louisa Vuittona, białe szorty, zsuwające się z bioder i różowy top, w którym wydawała się płaska jak deska, a także granatowy kaszmirowy sweter z kapturem, ponieważ z powodu gorączki

było jej ciągle zimno. Brenda myślami oddaliła się w czasie i przestrzeni, ale na ten widok w ułamku sekundy wróciła do natarczywej, nieustępliwej modlitwy. *Dobry Boże, błagam, błagam, błagam, błagam, błagam...*

Doktor Alcott podszedł z Vicki. W poczekalni było pusto, ale zniżył głos.

- Daliśmy jej zastrzyk z neupogenu i musi wziąć następny jutro, i pojutrze. To powinno poprawić jej wyniki krwi. Przepiszę także antybiotyki i tylenol na zabicie temperatury. Za parę dni powinna się poczuć lepiej. Kiedy wyniki będą lepsze, spróbujemy z chemią jeszcze raz, przy zredukowanych dawkach. - Spojrzał na Vicki. - Zgoda?

Zadrzała.

- Zgoda.

Brenda ścisnęła jej ramię.

- Coś jeszcze?

- Powinna odpoczywać - powiedział doktor. - Pikniki raczej wykluczone...

- Dobrze - rzuciła szybko Brenda.

I tak była już znękana wyrzutami sumienia (Walsh, całowanie Josha, pisanie zamiast modlitwy) i żalem (o tę cholerną piątkę z plusem, obraz Jacksona Pollocka, i że od razu nie powiedziała Didi, żeby spadała na bambus) - więc co jej szkodzi jeszcze wziąć na siebie winę za ten piknik? Chciałam, żeby poczuła się lepiej, mogłaby powiedzieć. Potraktowałam sprawę holistycznie. Ale bąknęła tylko:

- Przepraszam.

W samochodzie Vicki zarzuciła na kolana koc i osunęła się na siedzenie.

- Dostało mi się, na co zasłużyłam - powiedziała.

- Jak to? - spytała Brenda.

- Chciałam skończyć z chemią, a to chemia kończy ze mną. Raz na tydzień, mała dawka. Nie zabiłaby muszki owocówki.

- No co ty.

- Rak się rozszaleje - ciągnęła Vicki. - Zaczną się przerzuty.

- Przestań, Vick. Musisz myśleć pozytywnie.

- Sama jestem sobie winna.

- Nie rozumiem, w jaki sposób. To nie twoja wina, że zachorowałaś.

- To moja wina, że nie zdrowieję. Jestem do luzu w zdrowieniu. - Oparła głowę o szybę. - Boże, co za poczucie winy.

Brenda uruchomiła silnik.

- Skąd my to znamy - mruknęła.

Jak serce chce, to chce, pomyślała Melanie. I tak w dzień pierwszej wizyty u ginekologa zadzwoniła do pracy Petera.

Leżała w łóżku z zamkniętymi oczami, słuchając strzyżyka, który uporczywie śpiewał na płocie pod jej oknem. Była zmęczona, ponieważ znowu spotkała się w nocy z Joshem - nad stawem Quidnet - i do domu wróciła dopiero po północy. Tego samego dnia pojechała z Vicki do szpitala. Vicki przyjęła zastrzyk na poprawę wyników krwi, a Melanie umówiła się na wizytę u surowego ginekologa, siwowłosego lekarza pewnie na miesiąc przed emeryturą. Facet był mało zachęcający, ale jej to nie przeszkadzało. Usłyszała bicie serca swojego dziecka. Szu, szu,

szu. Nie spodziewała się tej ogromnej przepaści między wyobrażonym i prawdziwym dźwiękiem. Ta ciąża była prawdziwa. Była zdrowa i witalna. Płód liczył dwa tygodnie i miał rozmiary śliwki.

Położyła rękę na brzuchu.

- Cześć - szepnęła. - Dzień dobry.

Czekała na jakiś znak. Łatwo było zataić prawdę przed Peterem, bo choć była chora i tak strasznie, okropnie zmęczona, ciąża jeszcze się nie uwidoczniła. Melanie nie wyglądała na ciężarną. Ale to bicie serca było prawdziwe, niezaprzeczone i to właśnie ten znak, na który czekała. Nie uważała, że musi powiedzieć Peterowi. Chciała mu powiedzieć.

I kiedy Josh wyszedł z dziećmi, Brenda poszła pisać, a drzwi sypialni Vicki zamknęły się szczelnie, Melanie poszła do sklepu i zadzwoniła do Petera z automatu.

Zaczerpnęła długi łyk tego poranka w Sconset; błękitne kwitnące hortensje, świeży zapach skoszonej trawy na rondzie, zapach mokrych tenisowych kortów koło kasyna, woń kawy, bułeczek i porannych gazet. I zapach Josha na jej skórze. Nawet jeśli Peter będzie wredny, nawet jeśli jej nie uwierzy, i tak nie zepsuje jej tego dnia.

- Dzień dobry - odezwała się recepcjonistka. - Tu Rutter i Higgens.

Nawet jeśli powie, że go to nie obchodzi.

- Proszę z Peterem Patchenem - powiedziała, siląc się na chłodny ton.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Nastąpiła cisza, trzask, sygnał. Znowu ogarnął ją strach, niepokój, te same negatywne Peterowe uczucia, które wydawały się jej przeszłością. Cholera, pomyślała. Odłóż słuchawkę! Ale zanim zdołała się opanować, usłyszała głos Petera.

- Słucham, Peter Patchen.

Jego głos. Zdumiewające, ale go zapomniała albo trochę zapomniała, więc teraz te trzy słowa nią wstrząsnęły.

- Peter - rzuciła - to ja. - Potem zaniepokoiła się, że weźmie to „ja” za „ja” Frances Digitt, więc dodała: - Melanie.

- Melanie? - W jego głosie zabrzmiało chyba zaskoczenie, i to - jeśli sobie nie wyobrażała - radosne zaskoczenie. Ale nie, to niemożliwe. To odległość płata jej figle albo ten stary zardzewiały telefon.

- Tak. - Starła się mówić krótko i chłodno.

- Jak się masz? Gdzie jesteś?

- Na Nantucket.

- O - mruknął. Czyżby to jednak było rozczarowanie. Niemożliwe. - Jak tam jest?

- Cudownie. Pięknie. Ciepło, słonecznie, wietrznie, plażowo. Jak Nowy Jork?

- Rozprażony. Lepki. Wrzący.

- Jak praca?

- No wiesz. Jak zawsze.

Zacisnęła wargi. Jak zawsze, czyli dalej się bzyka z tą dziewczyną? Nie zamierzała go pytać, nie obchodziło jej to. Ale obchodził stan ogrodu - biedne grządeczki! - choć o to także nie zamierzała zapytać.

- No dobrze, wiesz, dzwonię, żeby ci powiedzieć... - Boże, naprawdę to powie? - Jestem w ciąży.

- Co?

- Jestem w ciąży. - Te słowa wypowiedziane wydawały się mniej doniosłe niż pomyślane. - W ciąży. Dziecko. Poród pod koniec stycznia.

W słuchawce zapanowała cisza. Oczywiście. Melanie zaczęła obserwować dziewięcio- lub dziesięcioletnią dziewczynkę, która weszła do sklepu z ojcem. Na jej podkoszulku widniał napis „Księżniczka balonowy”. Dziewczynka miała długie, cienkie nóżki, niczym mały bocianek.

- Chyba żartujesz - odezwał się Peter.

- Nie. - To całkiem w stylu Petera, że mógł tak pomyśleć. - Nigdy bym nie żartowała na taki temat.

- Nie, rzeczywiście - powiedział szybko. - Masz rację, nie żartowałabyś. Ale jak? Kiedy?

- Wtedy - powiedziała. - Pamiętasz.

- Podczas burzy?

- Tak. - Wiedziała, że pamięta, to było oczywiste.

Nawet gdyby kochał się z Frances Digitt po sto razy w tygodniu, i tak by nie zapomniał. Melanie była w ogrodzie, ścinała lilie. Wbiegła do domu, bo zaczęło lać. Zdjęła w oranżerii przemoczone ubrania i oznajmiła Peterowi, że kończy ze sztucznym zapłodnieniem. To rozczarowanie jest zabójcze, powiedziała. Chciała normalnie żyć. Twarz miała mokrą od deszczu i łez. Peter też przez chwilę płakał - pewnie głównie z ulgi - i zaczęli się kochać pod porcelanowym ogrodowym zlewem. Na dworze padało coraz gwałtowniej, rozległ się głośny grzmot, który zabrzmiał, jakby się złamała ogromna kość. Już dawno się tak nie kochali - ona złaźniona, on wdzięczny - a lilie roniły ciemnopomarańczowy pyłek do zlewu. Potem Peter powiedział:

- Gdybyśmy mieli dzieci, nigdy byśmy tego nie zrobili.

Plamy od pyłku wżarły się w zlew, trwała pamiątka ich stosunku; budziły tęsknotę Melanie, zanim dowiedziała się o Frances Digitt - a potem doprowadzały ją do gorzkiego gniewu. Teraz mogła już zapomnieć o tych plamach, bo pojawiło się coś trwalszego. Bicie serca. Dziecko.

- Na pewno?

- Byłam u lekarza. Dziesiąty tydzień. Słyszałam bicie jego serca.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jezu - szepnął.

I znowu zamilkł. O czym teraz myśli? Odkryła z przyjemnością, że nieszczególnie ją to obchodzi.

- No więc tak - powiedziała. - Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

- Wiedzieć? No myślę, że powinienem. Jestem ojcem. - Jego ton był prawie oskarżycielski, ale Melanie nie zamierzała dać się zastraszyć. Zrezygnował z prawa do tajemnic, które kryło jej ciało, kiedy przespał się z Frances Digitt. Gdy zamykała oczy, widziała Frances obiegającą bazy na boisku baseballowym i młócaącą powietrze pięścią.

- Chciałam być po wizycie u lekarza, zanim cię powiadomię. Sprawdzić, czy wszystko dobrze.

- Jak się czujesz?

- Dużo wymiotowałam. Jestem okropnie zmęczona, ale poza tym czuję się dobrze.

- Po głosie poznaję, że świetnie. Naprawdę świetnie. - Peter zamilkł, odchrząknął, a ona nasłuchiwała klekotu klawiszy w tle. Byłoby bardzo do niego podobne, gdyby, rozmawiając z nią, jednocześnie sprawdzał rynek albo grał w snoda. Ale usłyszała tylko głuchą ciszę, jakby Peter wstrzymał oddech. - Boże, aż nie mogę uwierzyć. A ty? Po tym wszystkim, co przeszliśmy?

- Właśnie. Ironia losu.

- Naprawdę, Mel, masz fantastyczny głos.

- Dzięki. No dobrze, słuchaj, rozmawiam z płatnego telefonu, więc będę kończyć. To na razie...

- Kiedy? - rzucił pospiesznie. - To znaczy, kiedy przyjeżdżasz?

Parsknęła śmiechem.

- O kurczę. Nie mam pojęcia. - Mówiąc to, poczuła się fantastycznie. Panowała nad sytuacją w stu procentach. Kiedy wróci do domu, wyczuje Vicki i znowu podziękuję za to zaproszenie. A wieczorem będzie się całować - i nie tylko - z Joshem. - Jeszcze się odezwę - powiedziała.

- E, no dobra, ale...

Odłożyła słuchawkę.

*

Każdego ranka w drodze do domu numer jedenście na Shell Street Josh zadawał sobie pytanie, co właściwie wyprawia. Co ja właściwie wyprawiam? Co ja, kurwa, wyprawiam? Odpowiedź brzmiała: sypiasz z Melanie Patchen, ciężarną mężatką, masz z nią romans i nie tylko kryjesz się z tym przed Brendą, Vicki i ojcem, ale także przed Blaine'em i Porterem. Największe wyrzuty sumienia miał, gdy patrzył na tych dwóch chłopców, pewnie dlatego że tak bardzo chciał im dawać dobry przykład. Naśladowali go we wszystkim, co przyjąłby z lepszym sercem, gdyby nie bzykał najlepszej przyjaciółki ich matki. Każdego ranka, kiedy widział za stołem ich pyzate buzie o okrągłych oczach, wyrzuty sumienia gryzły go najdotkliwiej. O dziesiątej wieczorem - gdy spotykał się z Melanie na plaży - opuszczały go bez śladu, by dalej mógł dopuszczać się tego, czego się dopuszczał.

Kiedy nas przyłapią? Josh zadawał sobie to pytanie sto razy dziennie, choć nigdy nie głośno, nigdy w obecności Melanie, bo i tak miała dosyć trosk. Poza tym zachowywali dużą, bardzo dużą ostrożność. Melanie posunęła się wręcz do tego, że wykradała się przez okno do ogrodu, a potem przeskakiwała przez płot, by nie otwierać furki. (Te środki ostrożności będą musiały pójść w zapomnienie, kiedy powiększy swoje gabaryty). Z poduszek formowała niby-postać na łóżku i szła trawnikiem, żeby muszelki nie zgrzytały jej pod nogami. Na parking miejskiej plaży docierała między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści; wsiadała do dżipa Josha, a on zabierał ją w któreś z odludnych miejsc, gdzie kochali się albo w samochodzie (co także pójdzie w zapomnienie, kiedy Melanie powiększy gabaryty) - albo, w porywie brawury, na plaży. Josh dwa razy miał wrażenie, że ktoś ich śledzi. Raz skreślił na bitą drogę, która zaprowadziła ich na trzęsawiska, a drugi raz na pusty podjazd. Melanie piszczała wtedy z nerwowej ekscytacji i Josh musiał przyznać, że jego też przyływ adrenaliny przejmował nie całkiem niemiłym uczuciem. Żyli jak w filmie - potajemny, zakazany związek plus dramatyczne ucieczki, a następnie ekstatyczny seks.

Bo seks był zdumiewający. Josh pojął z całkowitą jasnością, że seks z dziewczyną to jedno, a z kobietą - coś zupełnie innego. Myślał, że przez ciążę Melanie sytuacja stanie się obleśna albo niezręczna, ale było zupełnie inaczej. Melanie była z pełnej harmonii ze swoim ciałem, jej hormony buzowały, zawsze była gotowa, pragnęła go. Mówiła mu komplementy, zachęcała do pomysłowości. Tak, ten seks był bajeczny. Ale gdyby związek z Melanie polegał tylko na seksie, szybko by Josha zmęczył. Problem w tym, że wkrótce zaczęło chodzić o coś więcej. Melanie rozmawiała z nim, opowiadała mu o różnych sprawach - prawdziwych, dorosłych sprawach - ufnie wtajemniczała w szczegóły. To było coś zupełnie innego niż te głupoty, które do tej pory słyszał od dziewczyn. Kiedy myślał o tej bezmózgiej paplaninie rówieśnic (Przy tej wilgoci fryz mi oklapnie... Ja nie mogę, patrz, jaką ma zawartość tłuszczu!... A kto przyjdzie? Ta suka?... Ściągnęłam za darmo na kompa...), dziwił się, że mózg mu się nie zmienił w

kaszkę. Początkowo myślał, że te opowieści o rozpadającym się małżeństwie Melanie i jej staraniach o dziecko nie różnią się szczególnie od tamtej gadaniny, ale mylił się. To był temat, który go natychmiast wciągnął.

Małżeństwo, o czym kiedyś na pewno sam się przekonasz, jest paktem zawartym z drugą osobą. Jest przysięgą, którą składasz, jest święte, a przynajmniej tak wierzysz przy ołtarzu. To obietnica, że nigdy nie będziesz sam, że masz kogoś, jesteście zespołem, jednostką, parą, małżeństwem. To mrzonka, w którą wierzyłam. Dziecko to kolejna mrzonka. W większości rodzin po prostu jest i już. Małżonkowie nawet się nad tym nie zastanawiają i nagle bum! - ciąża. Myślałam, że ze mną i Peterem też tak będzie. Zawsze chciałam mieć tabuny dzieci. A potem zaczęliśmy próbować i nie wychodziło, a ludzie mówili: spokojnie, poczekajcie, no bo co mieli powiedzieć, a myśmy się starali i starali, ale im dłużej myślałam, że tak się staramy, tym trudniej mi to przychodziło, ja chodziłam smutna, Peter zły, żadne z nas nic nie mogło zrobić. Więc w końcu poszliśmy do lekarza ja oczywiście myślałam, że to wina Petera, a Peter - że moja. Ale najgorsze było to, że oboje byliśmy zdrowi. Okazy zdrowia, tylko dziecko nie chciało się pojawić. Brałam leki, które dawały nieprzyjemne efekty uboczne i nie przynosiły żadnej poprawy, odstawiłam je, potem spróbowaliśmy podejścia holistycznego - sproszkowany róg nosorożca i seks w pozycji do góry nogami o północy przy pełni księżyca - a potem po prostu rzuciliśmy ręcznik i przyznaliśmy, że wszystko na nic. Więc jaką mieliśmy możliwość? In vitro. Ale to też niełatwe - jest grafik, pobiera się jajeczka potem spermę, zapładnia jajeczka w laboratorium, potem je wszczepiają i albo się zagnieżdża, albo nie. W tej całej imprezie bierze udział masa osób, profesjonaliści prowadzą cię za rękę, poświęcają czas, a ty się zastanawiasz, dlaczego nie możesz zwyczajnie zająć po trzech martini w weekend w Palm Springs, jak reszta bab. Zaczynasz się nienawidzić. Przeszłam zapłodnienie in vitro siedem razy. Przez ponad rok żyłam, wstrzymując oddech i modląc się, i płacząc, kiedy się nie udało, oskarżając siebie i Petera. Nie powiem, że łatwo było ze mną żyć, bo nie było. Peter miał już dość opowieści o moim cyklu, owulacji, zapłodnieniu, implantacji, zarodkach, ale tylko o tym potrafiłam myśleć. Prawdziwa różnica między Peterem i mną polega na tym, że ja wierzyłam w nasze małżeństwo. Myślałam, że gramy w tej samej drużynie - jak w przeciąganiu liny z jakąś mocą, która chciała nam odmówić dziecka. Ale kiedy się obejrzałam, Petera już nie było. Walczyłam sama. Albo gorzej. Było tak, jakby Peter przeszedł do drużyny przeciwnika. Na stronę Frances Digitt. Kochałam go najbardziej na świecie, był moim najlepszym przyjacielem, moją ucieczką, bohaterem - a potem zrozumiałam, że nic dla niego nie znacę. Mniej niż nic. To była - nadal jest - zdrada całego życia. Myślałam, że romanse zdarzają się tylko w operach mydlanych. Tylko u Cheevera. Nie wiedziałam, że w realu też. Byłam tak cholernie naiwna. Peter ma romans z Frances Digitt, związał się z Frances Digitt. Nawet sobie nie wyobrazasz. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

Tu się myliła. Nic innego nie robił, tylko sobie wyobrażał i raptem odkrył, że nienawidzi Petera Patchena. Bo szybko się przekonał, że Melanie jest słodka, szczerą, że myśli o innych, jest dobra, wrażliwa i ufna. Oczywiście wierzyła w wieczną miłość, oczywiście chciała mieć dom pełen dzieci - i zasługiwała na to. Im dłużej z nią był, tym bardziej chciał jej pomóc, uratować ją. To on chciał być jej bohaterem. Zrozumiał, że czuł to od samego początku - odkąd Melanie spadła ze schodków samolotu, a on zaproponował jej plaster, a potem, kiedy siedziała samotnie na lotnisku, a on odwiózł ją do domu. W nocy, leżąc bezsennie i rozmyślając, co do kurwy nędzy wyprawia z Melanie, zastanawiał się, czy nie było w nim potrzeby bycia potrzebnym - ale skoro tak, mógłby przecież zostać z Didi. Ta miała potrzeb, ile chceć. W efekcie tych rozmyślań musiał uznać, że ni cholery nie rozumie, co wyprawia z Melanie, ale nie potrafi przestać.

Noce mijały jak błysk, jednocześnie powolnie się żarzący i szybki jak błyskawica. Tydzień, dwa, żadne nie chciało darować sobie nawet jednego spotkania, zrobić przerwy, choć oboje udawali, że może to i dobry pomysł. (Może powinniśmy sobie dać mały urlop, powiedział Josh. A Melanie, ziewając, rzucała: Nie wiem, jak długo dam radę tak nie dosypiać). Josh podejrzewał, że pewnej chwili spotkania stracą urok świeżości; ten wariacki łomot serca, kiedy Melanie wsiadała do dżipa, w końcu się uspokoi. Pewnego razu opadnie na nich głucha noc, noc, kiedy nie będzie im się chciało, noc, kiedy Melanie będzie mniej dynamiczna albo stanie się zbyt znajoma. Tak bywało z nim i dziewczynami. W końcu zaczynał czuć - tak, jak z Didi - że wloką go gdzieś wbrew jego woli.

Ale z Melanie było inaczej. Z Melanie było jak podczas wspinaczki na górę, z której roztacza się fantastyczny widok, za każdym razem równie niezwykle i fascynująco.

Coraz bardziej pragnął znaleźć się z Melanie w prawdziwym łóżku, ale to akurat nie było możliwe. Jego łóżko, jego chłopięce łóżko w pokoju z modelami samolotów i pucharami sportowymi, z pamiątkami schowanymi w szufladzie nocnej szafki? Nie. I nigdy nie odważyłby się zakraść do numeru jedenaście na Shell Street, wiedząc, że Vicki, Brenda, Blaine i Porter (a w weekendy Ted) są tam o krok. Zaczął rozmyślać nad alternatywą - może pokój w motelu? Opcja kosztowna i w dodatku ryzykowna, bo Tom Flynn znał wszystkich na wyspie. Josh miał dziwną pewność, że ojciec się dowie, jeśli Josh zapłaci trzysta pięćdziesiąt dolarów za pokój, w którym był ze „starszą kobietą”.

W wakacje na ogół nie widywał się z kolegami ze szkoły. Był zajęty pracą, oni też - a wyjście na imprezy albo do barów zawsze oznaczało ryzyko spotkania z Didi, którego unikał, jak mógł. Telefon do Zacha - pierwszy w te wakacje - był dość niezręczny, ale Zach mógł mu pomóc. Zasadniczo w lecie pracował w firmie rodziców - Madaket Marine - ale dorabiał jako stróż domu w Shimmo, prawie w samym porcie. Dom był dość skromny jak na portową dzielnicę Nantucket - miał pięć sypialni i trzy łazienki, a także taras ciągnący się przez całe pierwsze piętro. Właściciele korzystali z niego tylko przez dwa tygodnie w roku - dwa pierwsze tygodnie lipca - przez resztę czasu dom stał pusty. Zach miał co dwa tygodnie wpuszczać sprzątaczkę i ogrodnika - a w zimie odgarniać śnieg i sprawdzać, czy dach nie przecieka, a rury nie pękają. Właściciele mieszkali w Hongkongu, nigdy nie przyjeżdżali bez uprzedzenia, a przed ich przybyciem Zach przez parę tygodni sprawdzał, czy wszystko jest w idealnym porządku - lilie na stole w jadalni, veuve clicquot w lodówce. Wszyscy od lat namawiali go, żeby zrobił tam w końcu imprezę, po co się tyle użerasz z tą chałupą, stary? Ale Zach bał się ojca bardziej niż Josh swojego, a właściciel domu był starym klientem Madaket Marine. Więc Zach zawsze odpowiadał: Człowieku, nie ma szans. Jaja sobie robisz? Swoje imprezy zawsze organizował na plaży.

Jednak wiadano, że Zach sprowadzał kobiety do domu w Shimmo, zwłaszcza letniczki (którym ściemniał, że dom należy do niego). Więc jego skrupuły można było przełamać (jak zwykle), a Josh uznał, że warto spróbować.

Zadzwoił do Zacha wieczorem, wracając do domu po pływaniu na plaży Nobadeer.

- Chciałbym skorzystać z domu w Shimmo - oznajmił. - Przez jedną noc. Jakąkolwiek w przyszłym tygodniu.

- Co? Kto mówi? - spytał Zach.

- Odwal się.

- Nie słyszałem cię od wieków, stary. Nie przyszedłeś na imprezę. Nie wychodzisz. A teraz nagle potrzebny ci dom?

- Nie bądź taki obraźliwy. Jak baba. Dasz ten dom czy nie?

- Masz dziewczynę?
- Aha.
- Co to za jedna?
- Nie twoja sprawa.
- Nie bądź taki.
- No co?
- Powiedz, co to za jedna.
- Dziewczyna, którą poznałem w Sconset.
- Serio?
- Serio. Są w Sconset takie dziewczyny, które nie postawiły stopy w mieście.
- Jak jej na imię?
- Nie twój interes.
- Po co te tajemnice? Powiedz.
- Nie.
- Jeśli powiesz, dam ci klucz. W środę.
- Nazywa się Merrill - palnął Josh. Musiał znaleźć imię, które nie wyleci mu z głowy - a Merrill było pa-
nieńskim nazwiskiem Melanie.

- Merrill?
- Aha.
- Studentka?
- Skończyła. Sarah Lawrence.
- Sarah Lawrence?
- Tak.
- Czyli jest starsza?
- Jest. Trochę. Chcę zrobić na niej wrażenie. Stąd prośba o dom.
- I rozumiem, że to przez tę całą Merrill nie widuję twojego pyska przez całe lato?
- Mniej więcej.
- No dobrze. W środę dam ci klucze. Ale musisz przysiąc, że będziesz ściśle przestrzegać zasad.
- Będę.

I tak w środę zamiast jechać na plażę, Josh skręcił w Shimmo Road i zatrzymał się na ostatnim podjeździe z lewej strony. Był nieprzytomny z niepokoju i seksualnego napięcia, i strasznie chciał zaskoczyć Melanie. Wyjął klucze ze schowka i potrząsnął nimi w powietrzu.

- Co tu robimy? - spytała.
 - To, co zwykle - odparł z uśmiechem.
- Wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi Melanie.
- Czyj to dom? - spytała.
 - Mojego znajomego. Nie będzie mu potrzebny w tym tygodniu.

Czekał na jej reakcję. Chyba była zakłopotana. W chwili, gdy brał od Zacha klucze, przyszło mu do głowy, że cudza chata wyda się Melanie tandetna i szczeniacka. Peter Patchen zarabiał poważne pieniądze. Był facetem, który mógł sobie pozwolić na pięciogwiazdkowe apartamenty w kurortach. Taki dom mógłby wynająć bez trudu.

Otwierał drzwi drżącymi rękami. Obejrzał się przez ramię na dom sąsiadów, gdzie paliła się jedna latarenka. Zach mówił, że ci sąsiedzi są wścibscy jak diabli, dlatego jedną z reguł, jakich Josh zobowiązał się ściśle przestrzegać, był zakaz zapalania świateł po północnej stronie domu.

Za progiem zdjął buty.

- Ty też - rzucił Melanie. Parsknęła śmiechem.

- Dooooobra.

- Wiem, wiem. Przepraszam. - Podłogi były z jakiegoś egzotycznego drewna, więc zasada chodzenia na bosa obowiązywała nawet królową Anglii.

Josh ruszył kręconymi schodami do wielkiego pokoju z widokiem na port. Włączył parę lamp i natychmiast przykręcił światło. W pokoju znajdował się bar, cały w lustrach i błękitnym granicie, i sto kieliszków wiszących do góry nogami. Na blacie, zgodnie z umową, Zach zostawił butelkę szampana w kubelku z lodem i talerz sera, krakersów, truskawek i winogron.

- Dla nas - powiedział Josh, unosząc butelkę.

- O - mruknęła Melanie. Podeszła do rozsuwanych szklanych drzwi i wyszła na taras. - Niezły widok! - krzyknęła.

Josh omal nie poprosił, by zniżyła głos. Jeszcze tylko brakuje, żeby sąsiad ich usłyszał i przyszedł sprawdzić, co się dzieje - albo, jeszcze gorzej, wezwał policję. Od chwili, kiedy dostał klucze, w jego głowie legło się sto koszmarnych scenariuszy na minutę. Aż się zastanawiał, czy ta sprawa się opłaca.

Ale kiedy już skorzystali z łóżka (nie głównego, oczywiście, ale najlepszego gościnnego, ogromnego, bardzo miękkiego i luksusowego łoża, według Josha klasy pięciogwiazdkowego hotelu), i kiedy wzięli razem prysznic w łazience wyłożonej marmurem, i kiedy wypili całą butelkę szampana (głównie Josh, bo Melanie była w ciąży) i zjedli ser i owoce (głównie Melanie, bo po seksie była głodna jak wilk), Josh uznał, że owszem, sprawa się opłacała. Szampan uderzył mu do głowy, ale tylko wzmocnił smak tych skradzionych, pożyczonych chwil. Włączył płaski telewizor u stóp łóżka. Jeszcze nigdy nie zrobił z Melanie nic zwyczajnego, jak na przykład oglądanie telewizji.

- Co lubisz oglądać? - spytał.

- Nic - odparła. - No nie, *Rodzinę Soprano*. I *Gotowe na wszystko*, jeśli pamiętam, żeby nagrać. I futbol.

- Futbol? Amatorski czy zawodowy?

- NFL - powiedziała.

Nakarmił ją serem Brie na krakersach, okruszki posypały się na prześcieradła. Połaskotał ją, zaczęli się tarzać i okazało się, że tarzanie się na luksusowych prześcieradłach jest o wiele przyjemniejsze od tarzania się w drapiącym piasku. Łaskotał ją tak niemiłosiernie, że zaczęła piszczeć, a on natychmiast przestał i zamarł, przekrzywiając głowę jak pies, nasłuchując. Czy ktoś ich usłyszał?

- Co się stało? - spytała.

- Nic.

- Jesteśmy tu nielegalnie?

- Oczywiście, że legalnie.

Otulili się białymi szlafrokami, które znaleźli w szafie, i wyszli na taras. Josh zaczął się zastanawiać, gdzie mógłby znaleźć sześć milionów dolarów na kupno tego domu. Żeby mogli tu zostać. Żeby nigdy stąd nie wychodzić.

Pociągnął Melanie na łóżko.

- Jesteś zadowolona? Podoba ci się?

- Mmmggggwww - odpowiedziała z ustami pełnymi truskawek. - Tak. Kochany jesteś, że to załatwiłeś. Ale nie musiałeś. Plaża mi wystarcza.

- Zaslugujesz na coś lepszego.

- O. - Oczy się jej zamgliły. Dotknęła jego policzka. - Ty jesteś tym lepszym.

Ty jesteś tym lepszym.

Czasem rzucała taki tekst, że odbierało mu mowę.

Ty jesteś tym lepszym.

Przegrywał te słowa raz po raz w pamięci, jeszcze długo po tym, jak odwiózł Melanie na Shell Street, gdy wrócił do Shimmo, żeby uprać pościel i sprzątnąć w łazience, powtarzał je jeszcze o trzeciej rano, kiedy padł na swoje łóżko.

Ty jesteś tym lepszym.

Następnego wieczoru wrócili na plażę.

- Dziś omal nie wpadłam - powiedziała Melanie.

Leżeli obok siebie na starym kocu. (Był to koc, który Vicki dała Joshowi na wyprawę z dziećmi na plażę. Później będzie musiał z niego wytrząsnąć rodzyнки i okruszki krakersów). Znajdowali się na bardzo małej plaży w Monomoy, ukryci za dwiema ustawionymi na sobie szalupami. Po lewej stronie rozciągały się wysokie zarośla turzycy, w której rechotały żaby. Najlepszy w Monomoy był widok miasta, iskrzącego się w oddali niczym prawdziwa metropolia. Monomoy było jednym z ulubionych miejsc Josha na wyspie, choć w porównaniu z wczorajszą nocą, warunki były polowe. Od pieniędzy do nędzy, pomyślał.

Oparł się na łokciach. Melanie nie chciała go nastraszyć.

Mieli zwyczaj Opisywać ze szczegółami, jak to omal nie wpadli. Napotykali tysiączne problemy. Dziś rano Josh omal nie wkopał ich obojga, pojawiając się w numerze jedenastym z zegarkiem Melanie w kieszeni. Zostawiła go w domu na Shimmo, a on chciał go jej oddać ukradkiem albo zostawić dyskretnie na stole w kuchni, ale ledwie minął furtkę, Blaine chwycił go za kieszeń i zegarek upadł na kamienną ścieżkę. Brenda siedziała na schodku na końcu ścieżki, ale była tak zajęta rzucaniem kamyków do papierowego kubka, że niczego nie zauważyła. Za to Blaine zauważył - przed tym dzieckiem nic nie mogło się ukryć - bo później, na plaży, kiedy Josh spytał siedzących obok ludzi o godzinę, Blaine zmarszczył brwi.

- Myślałem, że masz zegarek Melanie - powiedział.

- Zgadza się - odparł, postanawiając, że za żadne skarby nie da się zbić z pantałyku. - Znalazłem na podwórku. Ale już jej oddałem.

- A - mruknął Blaine. Josh miał wrażenie, że dzieciak przygląda mu się podejrzliwie, ale może to były początki paranoi.

- Co było dzisiaj? - spytał Melanie. Pochylił się i pocałował ją w szyję. Pachniała czekoladą. Natychmiast po seksie wyjęła z kieszeni m&msy i teraz kładła je na języku, jednego po drugim, i czekała, aż się rozpułną.

- Po kolacji siedziałam z Vicki - powiedziała. - Czytałam jej. A kiedy wychodziłam, powiedziałam, że po powrocie do niej zajrzę.

- A ona: Po powrocie? Skąd? Wychodzisz? - dokończył Josh.

- Właśnie. Więc powiedziałam, że chcę wyjść do sklepu, żeby zadzwonić do Petera z automatu.

Josh zeszywniał. Peter? Zadzwonić do Petera?

- To głupie - powiedział. - Bo niby dlaczego nie mogłaś zadzwonić z domu?

- Z domowego nie ma wyjścia poza miasto. Więc żeby porozmawiać z Peterem, musiałam iść do sklepu.

- I tak głupio. Po co miałabyś rozmawiać z Peterem? Głupi buc.

- Owszem. To było tylko dla picu.

- A nie zadzwoniłaś?

- Boże, nie. Dziś nie.

- A kiedy indziej? Dzwoniłaś do niego kiedy indziej? Wczoraj wieczorem?

- W tym tygodniu. Rano. Zadzwoniłam. W sprawie domowej.

Zamilkli. Gdzieś stukła boja. Zwykle Josh lubił te opowiadania z dreszczykiem. Mieli wspólny sekret, zakazaną tajemnicę. Jego zmysły wyostrzały się, pożądanie podwajało i potrajało przez sam fakt, że ukrywali się przed innymi. A jednak teraz wzmianka o Peterze, wyznanie, że Melanie rozmawiała z nim w tym tygodniu, zbiły go z tropu i obudziły jego zazdrość. Czuł się zdradzony. Jeśli Melanie rozmawiała z Peterem, mogła mu o tym powiedzieć. Nie zadawałby sobie tyle trudu z tym domem, gdyby wiedział, że Melanie jest w kontakcie z Peterem, tym padalcem, robakiem, cudzołożnikiem. Mógł sobie darować i oszczędzić dziewięćdziesiąt dolarów, które oddał Zachowi za szampana.

Po cholere dzwoniła do Petera? W sprawie domowej? Co to miało znaczyć, rachunek za elektryczność? Nie rozumiał. Chciał poprosić o wyjaśnienie, wytłumaczenie, ale powstrzymała go świadomość, że ta znajomość staje się dla niego zbyt ważna - a umówił się z sobą, że to przygoda, świetna i ekscytująca, ale krótkoterminowa. Na jedno lato. I on, i Melanie mają własne życie - on powróci do Middlebury, Melanie do Connecticut, gdzie urodzi dziecko. Nie było tu miejsca na zazdrość i urazę, a jednak Josh był ich niebezpiecznie blisko.

Melanie podsunęła mu m&msy, ale je odsunął.

- Oho - mruknęła. - Ktoś się obraził.

- Nie obraziłem się.

- To nic nie znaczy. Jeden telefon. Pewnie już do niego nie zadzwonię tego lata.

- A dzwoń. To twój mąż. - Josh odetchnął parnym powietrzem. W tej chwili Monomoy wydało mu się mniej podobne do rajy, bardziej do bagna. - Spadajmy stąd.

Melanie przyglądała mu się przez chwilę i sądził, że zaprotestuje, ale nie była zdesperowaną idiotką jak te dziewczyny, z którymi się spotykał. Złożyła schludnie torebkę m&msów, wstała i otrzepała się.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Chodźmy.

Ruszyli bez słowa do dżipa. Josh na zmianę myślał, że się wygłupił i że powinni natychmiast zerwać. Ale w głębi serca wiedział, że nie będzie miał siły, a zresztą po co? Melanie i tak nie wróci w lecie do Petera, a jemu chodzi tylko o lato, więc powinien przestać jęczeć i wykorzystać sytuację.

Pięknie. Po tej konkluzji poczuł się o niebo lepiej. W dżipie otworzył drzwi przed Melanie, pocałował ją i pomógł wsiąść.

Światła samochodu omiotły go tak szybko, że przez chwilę nie wiedział, co się stało. Poczuł się jak w pułapce, jak uciekinier w komiksie, przyszpilony światłem szperaczy. Krzyknął do Melanie „schyl się”, ale nie usłyszała, albo usłyszała i go olała, bo kiedy spojrział, wpatrywała się w wielką, czarną furgonetkę, jakby się bała, że ich rozjeździe. Silnik ryknął, ciężarówka skręciła i Josh dostrzegł kierowcę, a potem wycofała się i odjechała, zostawiając za sobą chmurę brązowego pyłu i obryzgując Josha piaskiem.

Cholera, pomyślał Josh i powtórzył to jeszcze nieraz, siadając do dzipa obok Melanie. Cholera, cholera, cholera. Może to zbieg okoliczności. Przecież nie ja jeden wiem o istnieniu Monomoy. Ale kogo właściwie chciał oszukać? Rob Patalka, brat Didi, jeździł za nimi, śledził go albo przeszukiwał wyspę na prośbę siostry. Didi na pewno mu nie płaciła, więc dlaczego to robił? Z lojalności? Braterskiej miłości? Josh nie chciał o tym myśleć. Czuł tylko, że dreszczyk emocji i poczucie, iż cudem uniknęli przyłapania, zmienił się w prawdziwe przyłapanie na gorącym uczynku.

Melanie, która o niczym nie miała pojęcia, była rozbawiona.

- Twój znajomy? - spytała.

- Raczej nie - odpowiedział.

*

Listonosz przyniósł kartkę od Dolores, prowadzącej grupę wsparcia w Connecticut. Alan, ten z rakiem trzustki, odszedł w poniedziałek. Vicki zapatrzyła się na słowa „odszedł”, skreślone zawiłym charakterem pisma Dolores. Alan miał pięćdziesiąt siedem lat, od trzydziestu jeden był żonaty, miał syna i dwie córki oraz wnuka - dziecko syna - imieniem Brendan, w tym samym wieku, co Porter. Alan, przypadkiem lub celowo, zawsze siadał na zajęciach przy Vicki. Podczas początkowej i końcowej modlitwy trzymali się za ręce. Tylko tyle wiedziała o tym mężczyźnie, a jednak, czytając kartkę Dolores (*odszedł*), złodowaciała i zdrętwiała. Alan pocałował ją w policzek, kiedy wyjeżdżała na Nantucket. Powiedziała: „Do zobaczenia po moim powrocie”. A on: „No jasne”.

Na tę grupę wsparcia wysłał ją doktor Garcia. Vicki była na niej sześć razy - dwa razy w tygodniu przez trzy tygodnie, a potem wyjechała na wakacje. Dowiedziała się - być może była to jedyna rzecz, jakiej się tam nauczyła - że rak to podróż, szereg wlotów i upadków, dni dobrych i złych, postępu i regresu. Zapragnęła wrócić w ten krąg, żeby móc opowiedzieć historię własnej podróży i usłyszeć pomruki rozumiejących ją ludzi.

Gorączka, która trwała pięć dni, była dla niej nowym przeżyciem. Na zmianę paliła ją i mroziła; Vicki dygotała w wannie tak gwałtownie, że wychlupywała wodę na podłogę. Do snu wkładała sweter, spała jak kamień i miała straszne koszmary - uzbrojeni złodzieje w maskach, z bronią, żądający, żeby oddała jednego syna. „Wybierz jednego!”. Jak mogła wybrać? Weźcie mnie, powiedziała. Mnie! Tak, ją też wezmą. Wynieśli ją z pokoju za ręce i nogi.

W dzień miała mroczki przed oczami, dręczyły ją uporczywe migreny; wystarczyło tylko, że wyjrzała przez okno na jasne słońce i zielone liście. Miała wrażenie, że jej mózg jest jak kawał mięsa we wrzącym kotle. Była odwodniona, choć Brenda co parę godzin przynosiła jej oszroniony dzban wody z lodem, z pływającymi na powierzchni plasterkami cytryny. Brenda przytrzymywała jej słomkę u warg, podobnie jak Melanie, jak Ted. Ted kładł jej na czole myjkę, którą zaczęli przechowywać w zamrażarce, a Vicki krzyczała z bólu i ulgi. Raz otworzyła oczy i dałaby głowę, że zobaczyła w drzwiach matkę. Tak, to była Ellen Lyndon, przybyła z Filadelfii pomimo chorej nogi. Ellen położyła chłodną rękę na jej czole; Vicki poczuła jej perfumy. Zamknęła oczy i nagle znalazła się w domu rodzinnym, w dzieciennym łóżeczku, z filiżanką bulionu i tostem z cynamonem, a z kuchni dobiegły lotne dźwięki Mozarta. Wstała z łóżka. W jej butach coś było. Piasek.

Brała antybiotyki, silne, choć nikt w szpitalu nie potrafił określić, gdzie umiejscowiła się infekcja. Temperatura spadła do 38, potem znowu skoczyła do 40. Zaczęto mówić o przyjęciu jej do szpitala na czas przyjmowania zastrzyków neupogenu, leku mającego zwiększyć liczbę jej białych krwinek. Co sześć godzin przyjmowała cztery leki przeciwbólowe, co dwie musiała siedzieć z cholernym termometrem pod językiem albo pachą. Zaczęła narzekać, że nie przyjmuje chemii. Teraz, kiedy stało się to niemożliwe, bardzo tego pragnęła. Doktor Alcott mówił, żeby się nie martwiła, najważniejsze są wyniki krwi, na leczenie przyjdzie czas potem. Vicki miała wrażenie, że jej ciało stało się mętną zupą, a w żyłach płynie rozcieńczony jad. Blaine kiedyś powiedział, że jeśli zmiesza się ze sobą wszystkie kolory tęczy, wyjdzie brązowy. I to była ona.

Matki umierają na całej kuli ziemskiej. Ogarnięta gorączką Vicki usiłowała je policzyć - kobiety, która pamiętała z dzieciństwa (pani Antonini z sąsiedztwa zmarła na chorobę Lou Gehriga, a miała dwunastoletnie bliźniaczki), kobiety, których nie znała (matka Josha, która się powiesiła), kobiety, o których czytała w gazetach (jakaś Palestynka, w ósmym miesiącu ciąży, zdetonowała bombę w izraelskim punkcie kontroli celnej. W Ruckerstown w Pensylwanii niezadowolony klient wpadł do siedziby swojej firmy ubezpieczeniowej z karabinem AK-47. Jego pierwszą ofiarą była recepcjonistka Mary Gallagher, która tego dnia wróciła po urlopie macierzyńskim. Siedem matek zginęło w Los Angeles, kiedy autobus pracowniczy dachował na autostradzie i stanął w ogniu). Te kobiety przepływały nad łóżkiem Vicki, widziała je - mniej więcej - słyszała ich płacz. A może to ona płakała? Niech będzie przeklęty Bóg, który zabiera matki z tego świata! Ale przeklinając Boga, jednocześnie modliła się do Niego.

Błagam! Niech to nie będę ja!

Jej jedyną przyjemnością - o ile można ją tak nazwać - były te łyki wody. Woda była bardzo zimna, a Vicki bardzo, bardzo spragniona. Dałaby głowę, że w połowie wypadków nawet jej nie przelykała. Woda wsiąkała błyskawicznie w wyschniętą na popiół śluzówkę ust, w wysuszoną gąbkę języka. Musiała dozować racje wody. Jeśli wypila za dużo, czekały ją okrutne chwile, kiedy zwisała z łóżka, ociekając potem, żołądek skręcał się i zwierał, mięśnie pleców drgały konwulsyjnie, ramiona i kark napinały się jak stalowe kable, a ona z wysiłkiem wyduszała z siebie krople gorzkiej, skisłej żółci.

Szóstego dnia obudziła się w ociekających prześcieradłach. Myślała, że to mocz, choć właściwie nie miała sił się tym przejąć. Co w porównaniu z tym wszystkim znaczyło zmoczenie łóżka? Ale nie, to był pot. Nastąpił przełom. Vicki zmierzyła temperaturę, a potem kazała Brendzie sprawdzić: 37 stopni.

Blaine przybiegł do niej; ledwie go poznała. Był opalony na czekoladkę. Jego włosy, tak jasne, że prawie białe, ostrzyżono tak niedawno, że za uszami i na karku widać było jaśniejszą skórę. Porter też miał nową fryzurę.

- Kto zaprowadził ich do fryzjera? - spytała. - Ted?

- Josh - powiedziała Brenda. - Ale to było w zeszłym tygodniu.

Nagle zrobił się koniec lipca. Kiedy? Jak? Gorączka spadła, co Vicki i wszyscy pozostali przyjęli z zadowoleniem, ale Vicki nadal czuła się jak pusta słomka, którą komórki rakowe mogą bez trudu zabrać i ponieść, jak to robią mrówki. Wróciła do szpitala, jeszcze raz pobrali jej krew. Wyniki się poprawiły. We wtorek mieli wznowić leczenie, ale ostrożnie. Straciła kolejne dwa kilo.

Melanie przychodziła po kolacji, żeby jej poczytać. Czytała *Dziennik Bridget Jones*, bo był lekki i śmieszny, a Vicki i Melanie chciały spędzić trochę czasu w świecie, w którym liczą się tylko chłopcy, kalorie i modne buciki. Vicki była zawstydzona, że ktoś jej czyta jak dziecku, ale lubiła te chwile z Melanie. Zamieszkały pod tym samym

dachem, ale jakby się rozstały. Teraz Melanie znowu wróciła i wydawała się odmieniona. Na pewno wyglądała inaczej - jej ciało stało się jednocześnie nabrzmiące i napięte, opaliła się, włosy zjaśniały na słońcu. Była piękna.

- Jesteś piękna - powiedziała pewnego razu Vicki, kiedy Melanie usiadła przy jej łóżku. - Wyglądasz bajecznie. Promieniejesz. Powinni ci zrobić zdjęcie do gazety.

Melanie zarumieniła się, uśmiechnęła i udawała, że szuka strony w książce.

- Przestań.

- Serio. Wyglądasz, jakbyś była szczęśliwa. Jesteś? - Miała nadzieję, że w jej głosie słyhać, że choć sama umiera, nadal potrafi się cieszyć cudzymi radościami.

Melanie jakby bała się odpowiedzieć, ale nie musiała. A Vicki pomyślała, że ta zmiana w jej przyjaciółce jest najważniejszą ze spraw, jakie ją ominęły. Melanie była szczęśliwa! Tutaj, na Nantucket!

Zaczęła się chemia. Vicki wróciła na swój fartowny fotel wśród perłowoszarych ścian, do telewizora z programem sportowym, do Mamie, Bena, Amelii, doktora Alcotta. Z radością dowiedziała się, że w softballu nadal byli niepokonani. Jęknęła, kiedy Mamie włożyła igłę do portu - skóra wokół niego stała się tak wrażliwa, jak na początku - ale postanowiła, że będzie traktować chemię jak lekarstwo. Myśleć pozytywnie!

- Twoja siostra jest chyba bardzo zapracowana - zauważyła Mamie. - Coś pisze?

- Scenariusz. - Po raz pierwszy nie wydało się jej to kompletnym idiotyzmem. - Ma już prawie połowę.

Zaczęły się dobre dni. Łagodniejsza chemia nie dawała się jej aż tak we znaki. Miała siły, żeby przyrządzić obiad - łosoś z grilla, kurczak z rożna, kukurydza i młode gruntowe pomidorki - a także go zjeść. Po obiedzie pożarła lody w rożku. Przybył jej kilogram, potem półtora i żartowała, że tłuszcz idzie wyłącznie w tyłek. Nadszedł weekend, co oznaczało przyjazd Teda, a ona czuła się o tyle lepiej i wyglądała tak dobrze, że seks przyszedł im naturalnie i bez trudu. Seks! Mogłaby potem leżeć i rozkoszować się tą pierwszą postkoitalną błogością, jakiej nie zaznała od prawie dwóch miesięcy, ale nie chciała leżeć, skoro mogła wstać, wyjść.

- Chodźmy! - Czuła się beztroska i dzika jak Bridget Jones.

Wybrała się na plażę z Tedem i dziećmi, choć jeszcze nie miała sił na tak dalekie spacer, więc pojechali autem. Vicki była najbledszą osobą na plaży i groteskowo chudą, a ze względu na port narzuciła na kostium kąpielowy nylonową koszulę, ale wszystko to natychmiast trafiło na jej listę Spraw Już Nieważnych. Parę metrów dalej dostrzegła znajomą postać w dostojnym czarnym kostiumie kąpielowym. Caroline Knox z rodziną. O ile Vicki się nie myliła, Caroline zerkała na nią, ale udawała, że nie. Odwróciła się i powiedziała coś do łysego mężczyzny na leżaku obok. Pewnie: To Vicki Stowe, ma raka, biedaczka. Tylko popatrz, istny kościotrup. A była taka ładna...

Vicki miała to gdzieś. Brodziła z Blaine'em w wodzie przy brzegu, a potem nawet przepłynęła parę metrów. Woda była niesamowita. Otulała ją i kołysała. Vicki położyła się w niej na plecach, zamknęła oczy, wystawiła twarz do słońca; potem odwróciła się na brzuch i otworzyła oczy w zielonym, bezgłośnym świetle. Fale obmywały ją, a ona trwała zawieszona w niebycie, nieważka, niematerialna. Jak długo tak leżała? Minutę, pięć, dwadzieścia? Straciła poczucie czasu, tak jak w łóżku, ale tym razem czuła się wyzwolona. Żyła, istniała, w innym świetle, w oceanie. Uniosła głowę i obejrzała się w stronę brzegu; Ted stał na skraju morza z Porterem w ramionach, Blaine obok niego. Szukali jej. Nie widzieli? Pomachała im ręką. „Hej! Tu jestem!”. Przez chwilę ogarnęła ją panika. Pewnie tak będzie po śmierci. Ona będzie widzieć ich, a oni jej nie. Uniosła rękę trochę wyżej, zawołała:

- Hej! Halo!

I wtedy Ted ją zobaczył, wskazał ręką: „Tam jest! Hej, mammo!”. I też jej pomachali.

Początkowo czuła się dobrze, potem świetnie. Zadzwoiła do matki i po raz pierwszy tego lata ją uspokoiła. „Masz wspaniały głos, kochanie! Masz głos jak dawniej!”. Vicki lubiła być jak dawniej - nawet oddychanie przychodziło jej łatwiej. Wyobraziła sobie, że guz płuca skurczył się do rozmiarów szklanej kulki, że komórki rakowe obumierają i wysychają. Łatwo było myśleć pozytywnie z takim dobrym samopoczuciem.

W poniedziałek, kiedy Josh zabrał dzieci na plażę, Vicki namówiła Brendę i Melanie na zakupy w mieście. Dzień był cudowny, a główna ulica tętniła życiem. Vicki przez prawie dwadzieścia minut stała przy furgonetce z gospodarstwa Bartletta, wybierając tęczowe gladiole, sześć idealnych pomidorów na kanapki i sałatkę, dziesięć kolb cukrowej kukurydzy, idealną główkę sałaty i ogórki, które zamierzała zamarynować ze świeżym koprem, estragonem i octem. Uparła się sama nieść swój łup - ponieważ czuła się już tak silna, że mogła dźwigać dwie torby warzyw i fajnie było czuć na twarzy łaskotanie gladioli.

Brenda chciała zajrzeć do księgarni, więc spędziły tam jakiś czas. Vicki przeglądała książki kucharskie, Melanie kupiła drugą część *Bridget Jones*. Vicki wyskoczyła na chwilę do banku po gotówkę i kupiła lizaki dla dzieci. Kiedy wróciła do księgarni, Melanie stała na dworze i czekała na nią. Brenda poszła na kawę do Even Keel Café. Ruszyły główną ulicą do Eriki Wilson. Melanie chciała sobie kupić jakiś nowy ciuch. Przymierzyła długą haftowaną spódnicę z gumką w pasie i tunikę, którą mogła nosić na kostium kąpielowy. Za każdym razem, kiedy wychodziła z przymierzalni, żeby pokazać się Brendzie i Vicki, wirowała jak baletnica. Jej twarz wyrażała ledwie skrywany zachwyty.

Vicki już chciała powiedzieć coś na temat niespotykanego dotąd uniesienia Melanie, ale Brenda ją uprzedziła.

- Co się z nią dzieje? - spytała. - Ostatnio jest jak cholerne słońeczko.

- Wiem - odparła Vicki. - Jest szczęśliwa.

- Ale dlaczego?

- Musi być jakiś powód?

- A nie uważasz, że to dziwne?

- Może to hormony ciążowe. Albo tak jej z nami dobrze.

Brenda łypnęła na nią sceptycznie.

- A no jasne, to z pewnością przez nas. - Znowu rozległ się zduszony sygnał jej komórki. - Tego to już na pewno nie odbiorę.

- A jeśli to Josh?

Brenda spojrzała na wyświetlacz.

- Nie Josh.

- Mama?

- Nie.

- Prawnik?

- Pilnuj własnego nosa, dobrze?

Melanie wyszła w podskokach, mając torbę z zakupami.

- Dobrze! - oznajmiła. - Jestem gotowa! Brenda spojrzała na nią wilkiem.

- Jeśli bierzesz jakieś prochy na humor, pora się podzielić.

- Co? - zdziwiła się Melanie.

- Naprzód! - rozkazała Vicki.

Zaliczyły Vis-À-Vis, Eye of the Needle, Gypsy i Hepburn. W Hepburn Brenda długo i dokładnie szukała dwustronnego paska Hadley Poller, w końcu obwieściła głośno, że nie stać ją na nic nowego. Vicki uznała, że brzmi to dość podejrzanie, ale odpuściła. Poszły dalej.

U Petera Beatona Vicki kupiła słomkowy kapelusz. Sprzedawczyni dokładała starań, żeby nie gapić się na jej głowę po zdjęciu szala; Vicki czuła na sobie to jej niespojrzenie, ale miała je gdzieś. Dogoniła Brendę i Melanie u wylotu głównej ulicy. Melanie stała przed sklepem z bielizną i gapiła się na drzwi, jakby chciała je otworzyć siłą woli.

- Chcesz wejść? - spytała Vicki.

- Nie, nie. Na co mi ładna bielizna?

W delikatesach usiadły przy stoliku i zamówiły kanapki z kurczakiem i czekoladowe frappe. Komórka znowu się rozdzwoniła. Brenda spojrziała na wyświetlacz.

- Nie Josh - oznajmiła.

- Mam wyrzuty sumienia - powiedziała Vicki. - Ja się tu bawię jak królowa, a obcy zajmuje się moimi dziećmi.

- Przeżyjesz - mruknęła Brenda. - Zasłużyłaś na taki urlop. Jak my wszystkie.

Melanie uniosła frappe w toaście.

- Kocham was.

Brenda przewróciła oczami, a Vicki omal nie parsknęła śmiechem. Ale to właśnie była dawna Melanie. Melanie sprzed czasów ciężowej obsesji, Melanie niezdruzgotana zdradą Petera była najlepszą przyjaciółką na świecie. Zawsze gotową do piruetów przed przebieralnią i cichych pogaduszek w kawiarence, kiedy wznosiła słodkie toasty.

- Nasze zdrowie! - powiedziała Vicki. Stuknęły szklankami. Brenda dołączyła się niechętnie.

- Och, przestań się tak bzdyczyć - odezwała się Melanie. - Mam coś dla ciebie.

- Dla mnie? - zdziwiła się Brenda.

Melanie wyjęła z małej reklamówki na podłodze pasek Hadley Poller i podała go Brendzie.

- Dla ciebie.

- No... co ty! - zachłysnęła się Brenda. Miała taki sam wyraz twarzy jak niegdyś w dzieciństwie. Zachwycony i natychmiast potem podejrzliwy. - Za co? Dlaczego?

- Bo chciałaś. A wiem, że się wam narzuciłam. Ten dom jest wasz i dziękuję, że pozwoliliście mi tu zamieszkać. Poza tym tak się zajmujesz Vicki i dziećmi... - Oczy jej lśniły. - Chciałam ci sprawić przyjemność.

Brenda spuściła głowę. Zapięła pas wokół talii.

- No tak. Dziękuję.

- To wzruszające, Mel - powiedziała Vicki. Brenda zmrużyła oczy.

- Czy tu się coś nie kroi?

- Słucham? - zdziwiła się Melanie.

Czy tu się coś nie kroi.

Następnego dnia po południu w chatce zadzwonił telefon. Vicki drzemała z Porterem; dzwonek ją obudził. Była jedyną dorosłą osobą w domu; Melanie pojechała yukonem do lekarza, a Brenda wyszła z Blaine'em na huś-

tawki na Low Beach Road. Telefon zadzwonił pięć, sześć, siedem razy, na minutę zamilkł i znowu się rozdzwonił. Ted, pomyślała Vicki. Ostrożnie wstała, żeby nie zbudzić Portera, i pobiegła przez salon do aparatu.

- Halo?

W słuchawce zapadła cisza. Czyjś oddech. I młody kobiecy głos:

- Wiem, że z nim sypiasz.

- Słucham?

- Sypiasz z nim!

Vicki odłożyła słuchawkę - starannie, cicho. I po to wstała? Nalała sobie mrożonej herbaty i poszła na taras, gdzie położyła się na szezlongu. Słońce prażyło, powinna wrócić i posmarować się kremem z filtrem, ale była jeszcze oszołomiona po drzemce i pozwoliła sobie na parę minut bezczynności. Pomyślała o tym telefonie i parsknęła śmiechem.

Niedługo potem telefon zadzwonił znowu. Vicki otworzyła oczy. Westchnęła. Z dużym wysiłkiem usiłowała sobie wyobrazić swoje płuca jako dwie różowe gąbczaste poduszki. Wstała i podeszła do telefonu; nie chciała, żeby Porter się obudził. Choć Bóg jej świadkiem, jeśli to nowa pomyłka - albo ta sama - wyłączy aparat z kontaktu.

- Halo? - rzuciła ze skrywaną niecierpliwością. Cisza. Co za kretynizm! Ale potem odchrząknięcie.

Mężczyzna.

- Eee... Vicki?

- Tak?

- Tu Peter. Peter Patchen.

- Peter Patchen. - Nie zdołała ukryć, że jest wstrząśnięta. - Cud za cudem.

Ty draniu, pomyślała. Ty tchórze.

- Ee... no tak. Słuchaj, rozumiem, że pewnie mnie nienawidzisz...

- Szczerze mówiąc, Peter, niewiele o tobie myślę.

- No tak. Jesteś zajęta własnymi sprawami, rozumiem. Jak się czujesz?

- A wiesz, że świetnie?

- No tak, Ted mi mówił. To fantastycznie.

Vicki nie miała zamiaru roztrząsać z Peterem Patchenem kwestii swojego samopoczucia ani żadnej innej, ale umysł zaczął jej pracować szybciej. Melanie powiedziała Peterowi o ciąży, tyle wiedziała, i choć była zadowolona, że sprawa przestała być tajemnicą, jakoś się jej nie wydawało, żeby Melanie chciała natychmiast wrócić do Petera.

- W czym mogę pomóc? - spytała.

- Czy Melanie może jest w domu?

- Nie. Wyszła.

- Wyszła?

- Wyszła.

- Aha. No tak.

- Mam jej przekazać, że dzwoniłeś?

- Tak. Powiedz, że dzwoniłem. I że za nią tęsknię.

Vicki przewróciła oczami.

Tak, teraz tęsknisz.

Drań!

Tchórz!

Ale przecież to właśnie chciała zobaczyć: Peter wraca do Melanie na kolanach, upokorzony.

- Powtórzę.

Kiedy yukon zatrzymał się przed domem, Vicki wyszła na ścieżkę.

- Wiem, co jest grane - oznajmiła, ledwie Melanie wysiadła z samochodu.

Melanie zrobiła wielkie oczy; jedną rękę przyłożyła do brzucha. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Tak?

- Tak. Peter dzwonił.

Melanie spojrzała na nią jakoś dziwnie. Otworzyła furtkę i powoli, ostrożnie weszła do ogrodu, jakby Vicki przyłożyła jej broń do głowy.

- No co ty?

- Mówił, że za tobą tęskni.

- No co ty? - Melanie miała kompletnie zaskoczoną minę.

- Właśnie. Dzwonił, powiedziałam, że wyszłaś, on na to: „Wyszła?”, a ja: „Wyszła”. A on, żeby powtórzyć ci, że dzwonił. I powiedział: „Powiedz, że za nią tęsknię”.

Melanie pokręciła głową.

- Ja cię.

- Ja cię? - podchwyciła Vicki. - Ja cię? No, może i ja cię. Właśnie, ja cię. Przecież to przewidziałam. Nie mówiłam, że się opamięta?

- Chodzi mu tylko o dziecko.

- Może tak. A może nie. Oddzwonisz?

- Nie. Nie dzisiaj. - Melanie pomasaowała brzuch. - Vick, hormony mnie rozsadzają. Nie wiem, czego chcę.

- Jasne. Potrafię to zrozumieć. Coś ci powiem, ten jego telefon był dziwny.

- No myślę.

- Szczerze mówiąc, to nie jedyny dziwny telefon tego dnia.

- Tak? Ktoś jeszcze dzwonił?

- Jakaś dziewczyna. Wariatka. Pomyliła numer.

Im dłużej Vicki czuła się dobrze, tym częściej się zastanawiała, kiedy wydarzy się coś strasznego. Czyżby najgorsze minęło? Zostały jej jeszcze trzy tygodnie chemii, potem kolejna tomografia, której wyniki zostaną wysłane do doktora Garcii w Connecticut. Jeśli płuca będą wyglądać dobrze, jeśli guz się skurczy, jeśli cofnie się ze ścian klatki piersiowej, doktor Garcia wyznaczy termin operacji. Ponieważ czuła się tak dobrze, pozwalała sobie czasem na myślenie, co będzie po operacji. Widziała w wyobraźni, jak leży na oddziale pooperacyjnym, podłączona do kroplówki i pięciu różnych urządzeń. Niemal czuła ból w piersi, jątrzące się rany, to jak się przygotowuje do każdego kaszlnięcia, śmiechu czy rozmowy. Wszystko to będzie wspaniałe, bo pooperacyjne. Będzie czysta. Uwolniona od raka.

Czuła się tak doskonale, że pewnego wieczoru wspomniała, że zastanawia się, czy nie zwolnić Josha.

- Mogę się już sama zajmować dziećmi - powiedziała. - Czuję się wspaniale.

Brenda się skrzywiła.

- Obiecałam Joshowi pracę na całe lato. Dla nas rzucił robotę na lotnisku.

- I musi wrócić na studia - dodała Melanie. - Na pewno potrzebuje pieniędzy.

- To nie fair, wyrzucić go na początku sierpnia tylko dlatego, że ci lepiej - poparła ją Brenda.

- Nie wyobrażam sobie reszty lata bez Josha - oznajmiła Melanie. Odłożyła swoją kukurydzę; jej broda lśniła od masła. - A dzieci? Przywiązały się do niego.

- Właśnie - zgodziła się Brenda.

- Przywiązały się - przyznała Vicki. - Ale czy by rozpaczały, gdyby przestał przychodzić? Przecież chyba będą szczęśliwe, że to ja codziennie zabieram je na plażę?

- Obiecałam mu, że będzie pracować przez całe lato - powiedziała Brenda.

- A dzieci by rozpaczały - poparła ją Melanie. - Kochają go.

- Oj, kochają.

- One go kochają czy wy? - spytała Vicki.

Brenda łypnęła na nią spode łba; Melanie wstała.

- Dobra, komu chcemy mydlić oczy - dodała Vicki. - Wszyscy go kochamy.

Nazajutrz Vicki wprosiła się na plażę do Josha i dzieci. Josh był chyba zadowolony z jej obecności, choć mógł udawać, żeby jej zrobić przyjemność.

- Pomogę wam - oznajmiła Vicki.

- Doskonale - powiedział.

- Wiem, że macie własne obyczaje. Obiecuję, że nie będę was krępować.

- Szefowo, wszystko w porządku. Cieszymy się, że z nami idziesz. Nie, szefuniu?

Blaine założył ręce na piersi.

- Dziewczynom wstęp wzbroniony.

Vicki zmierzwiła mu włosy.

- Nie jestem dziewczyną - oznajmiła - tylko twoją mamą.

- Na ogół siadamy tutaj. - Josh rzucił na piasek parasol, lodówkę i torby z zabawkami. - Jak widzisz, jesteśmy o rzut beretem od ratownika i na tyle blisko mokrego piasku, że możemy sobie budować zamki.

- I kopać dziury! - dodał Blaine.

Josh wbił parasol w piasek, rozłożył koc i posadził Portera w cieniu. Chłopczyk natychmiast przytrzymał się parasola i wstał.

- Zwykle stoi tak przez pięć do dziesięciu minut - wyjaśnił Josh.

- A potem gryzie trzonek pomarańczowej łopatki - dodał Blaine.

- A potem dostaje przekąskę - uzupełnił Josh.

- Wszystko jasne. - Vicki przyniosła dla siebie leżak, który ustawiła w słonecznym miejscu. - Macie własny plan dnia.

- Rutyna jest dla nas wszystkim - oznajmił Josh i zrobił do niej oko. - Jesteśmy wielkimi zwolennikami konsekwencji i jednostajności. - Pomachał do kobiety z dwiema dziewczynkami. - Tam siedzi pani Brooks z Abby i Mariel. Blaine kocha Abby.

- Wcale że nie - obraził się Blaine.

- Wcale że tak - odparował Josh. - Idź ją spytać, czy nie pokopie z nami.

- Cześć, Josh - rozległ się męski głos. Vicki się obejrzała. Wysoki, ciemnoskóry mężczyzna z chłopczykiem w wieku Blaine'a i malutką dziewczynką w ramionach machał do nich, idąc plażą.

- Omar, stary! - zawołał Josh. A do Vicki szepnął: - To Omar Sherman. Każdego ranka przyprawia dzieci na plażę, a jego żona rozmawia z pacjentami przez telefon. Jest psychiatrą z Chicago, podejrzewam, że bardzo znana, i użera się z bandą kompletnych świrów.

- Rany, znasz wszystkich - mruknęła z podziwem Vicki.

Przyglądała się, jak Abby Brooks i Mateo Sherman pomagają Blaine'owi i Joshowi wykopać dziurę, a później tunel w piasku. Porter stał, trzymając się parasola, potem się zmęczył i klapnął na koc. Sięgnął po pomarańczową łopatkę i przystąpił do przeżuwania. Vicki obserwowała to wszystko jak widz w teatrze. Josh panował nad sytuacją w stu procentach. O wpół do jedenastej wyjął z lodówki przekąski: butelkę soku i pudełko rodzynek dla Blaine'a, grahamkę dla Portera. Blaine i Porter usiedli na kocyku grzecznie i bez grymasów, jak dzieci z reklamy przekąsek. Josh wyjął z lodówki dwie śliwki i podał jedną Vicki.

- O - zdziwiła się. - Dziękuję. - Ugryzła kęs chłodnego, słodkiego owocu; sok spłynął jej po brodzie. Josh podał chusteczkę. - Mam wrażenie, że też jestem dzieckiem - powiedziała, wycierając twarz. Podobało się jej to uczucie, ale budziło wyrzuty sumienia. I poczuła się niepotrzebna. To ona była matką tych dzieci, ale jej nie potrzebowały. *Dziewczynom wstęp wzbroniony*. Josh zajmował się wszystkim i wszystkimi.

Josh usiadł na kocu. Porter znowu wstał, przytrzymując się parasola; skojarzył się Vicki z pewnym starszym z metra. Blaine sumiennie pozbiierał śmieci i poszedł z nimi do kosza za stanowiskiem ratownika.

- Jesteś wzorowym obywatelem - pochwalił Josh.

Blaine zasalutował. Podeszedł do Abby nieopodal i zaczęli w pocie czoła napełniać wiaderka piaskiem, a potem wodą.

Vicki z politowaniem pomyślała: chciałaś zwolnić Josha.

- Strasznie się cieszę, że jesteś - powiedziała. - To znaczy z nami.

- Lubię tu być. Z wami.

- Nie chciałam cię zawstydzić. Ani przemawiać tak poważnie.

- Szefowo, możesz przemawiać, jak ci się podoba.

- No więc dobrze. Nie wiem, co byśmy zrobiły tego lata, gdyby nie ty.

- Znalazłybyście kogoś innego.

- To by nie było to samo.

- Nic się nie dzieje bez powodu. Zrozumiałem to w chwili, kiedy zobaczyłem was wychodzące z samolotu...

- Kiedy Melanie upadła?

- Tak, wtedy zrozumiałem, że tu się coś wydarzy.

- Coś? Że będziesz naszym niańkiem?

- Wiedziałem, że nasze ścieżki się spotkają.

- Nieprawda.

- Prawda. Najpierw Brenda zostawiła książkę, potem zobaczyłem Melanie na lotnisku...

- Chciała uciec.

- Ale ją odwozłem. Całkiem, jakby to był boski plan.

- Skoro wierzysz w boskie plany...

- Ty nie?

- A, nie wiem - mruknęła. Kiedy spoglądała na ocean albo na jakiś mniejszy, mniej monumentalny ideał - na przykład ucho Portera - trudno jej było zaprzeczyć, że tu działała jakaś siła wyższa. Ale plan, w którym wszyscy mają miejsce, w którym wszystko dzieje się z jakiegoś powodu? Bardzo wygodny banał. Ile osób z grupy wsparcia Vicki wierzyło, że zachorowało na raka z jakiegoś powodu? Niemal wszyscy. Ale weźmy Alana - nie żyje. Jaki w tym sens? A ta kobieta z Ruckerstown, której strzelono w twarz, której trzyletnia córeczka została bez matki? To jakiś błąd, tragedia. Jeśli boski plan istnieje, to jest pełen wyrw, przez które ludzie nieustannie wypadają. Vicki pomyślała o własnym życiu. Rozwijało się w sposób, w którym widać było działanie wyższej siły... aż do chwili, kiedy komórki jej płuc zaczęły mutować i zagroziły życiu. - Nigdy nie byłam dobra w rozmowach o sensie życia.

Ledwie powiedziała te słowa, wydarzyło się coś zdumiewającego. Porter puścił parasol i zrobił dwa, trzy, cztery kroczki.

Vicki zerwała się z leżaka.

- O Boże! Widziałeś?

Porter zatrzymał się, odwrócił do niej z tryumfalną miną, która szybko przeszła w dezorientację. Klapnął na pupę i rozplakał się.

- Zrobił pierwsze kroki! - zawołała Vicki. - Widziałeś? Josh, widziałeś?

- Widziałem. Chodził.

- Chodził! - Vicki porwała Portera w ramiona i pocałowała. - O, kochanie, zacząłeś chodzić! - Ścisnęła Portera tak mocno, że rozryczał się jeszcze bardziej. Co tam sens życia i boski plan - sens życia był tu, przed nimi! Porter zrobił pierwsze kroki! Będzie chodzić do końca życia, ale przy tym pierwszym kroku Vicki była na miejscu, obecna, mogła stać się świadkiem tego wydarzenia. Josh też. Gdyby dziś nie przyszła na plażę, pewnie przepadłyby jej pierwsze kroki Portera - a może zrobił je tylko dlatego, że tu była? A może, nie mogła się pozbyć tej myśli, może te jego pierwsze kroki to mały podarunek dla niej - przed śmiercią. Precz z negatywnymi myślami, zapowiedziała sobie. Ale nie miała na nie wpływu, zwątpienie szło za nią wszędzie.

- Zdumiewające - powiedziała, starając się opanować pierwszy entuzjizm. Zawołała do Blaine'a: - Skarbie, twój brat chodzi! Właśnie zrobił pierwsze kroki!

Ale Porter ryczał tak głośno, że Blaine jej nie usłyszał.

- A niech to. Chyba go przestraszyłam. Josh zerknął na zegarek.

- E, nie. To pora jego drzemki.

- O jedenastej?

- Jak w zegarku. Daj, przejmę go.

Vicki podała mu Portera, którego położył na brzuchu w miejscu, gdzie koc nie był zapiaszczony. Poglaskała go po plecach i dał mu smoczek. Porter ucichł, a Vicki, która usiadła, żeby się przyglądać, także przymknęła oczy.

Josh wstał ostrożnie.

- Teraz jest pora gry w piłkę z Blaine'em - powiedział. - Rzuty już mu wychodzą.

- Będzie z ciebie świetny ojciec - szepnęła.

- Dzięki, szefowo - uśmiechnął się i coś w tym uśmiechu dało jej blady cień nadziei. Josh wydorosłeje, zakocha się, ożeni, będzie miał dzieci. Przynajmniej jedna rzecz na tym świecie pójdzie jak należy.

CZEŚĆ III

Sierpień

Z dziecinnych gier można się wiele nauczyć, pomyślała Brenda. Na przykład zjeżdżalnie i drabiny, w które tego lata zagrała z Blaine'em z milion razy i których partyjkę zaczęli po raz kolejny. Plansza o stu polach była jak życie człowieka, a przypadkowy rzut kostką decydował o miejscu, w którym się lądowało. Ta dziewczynka wykonała swoje obowiązki w domu, więc zarobiła pieniądze na kino: krótka drabinka. Ten chłopiec stanął na rozchybotanym krześle, żeby sięgnąć do słoja z ciastkami, ale upadł i złamał rękę: zjeżdżalnia. Blaine pracowicie odliczał pola, zerkając na Brendę, która normalnie kiwałaby zachęcająco głową, ale teraz zamyśliła się nad tym wszystkim, co ją spotkało w zeszłym roku. Wspięła się na wysoką drabinę ze swoim doktoratem i pracą na uczelni, gdzie osiągnęła najwyższe wyniki na wydziale, ale wszystko to wydarzyło się jakby tylko po to, by ją doprowadzić do najbardziej niebezpiecznej zjeżdżalni. Profesorka, która wdaje się w romans ze swoim studentem... kobieta, która w gniewie rzuca książką...

Blaine wygrał. To go zawsze wprawiało w dobry humor.

- Chcesz zagrać jeszcze raz? - spytał.

Był sierpień, ogólnonarodowe wakacje, choć dla Brendy ten miesiąc zawsze oznaczał początek końca. Za trzy i pół tygodnia mieli opuścić wyspę. Na myśl o wyjeździe z Nantucket i powrocie do miasta, do mieszkania, na które nie było jej już stać, i o narzucającej się atmosferze powrotu do szkoły, choć z nią nie miała już nic wspólnego, robiło jej się niedobrze. Po raz pierwszy w życiu nie pójdzie po wakacjach do szkoły. Została wyrzucona. „Nigdy więcej nie będzie pani pracować naukowo”. To prawie zbyt wiele. Dlatego postanowiła bojkotować sierpień.

Jednak mecenas Brian Delaney nie pozwalał jej zapomnieć. Dzwonił tak często, że życie jej stało się jak gra wideo, w której mecenas Brian Delaney co chwila pojawiał się na jej drodze.

W końcu oddzwoniła, siedząc na ławeczce w małym parku przy delikatesach. Nawet Sconset, ta marna wioska, w sierpniu pękał od letników. Kolejka po kawę i papier wychodziła ze sklepu aż na ulicę, a w tym malutkim parczku znalazło się co najmniej pięć osób z komórkami, choć na pewno żadna z nich nie załatwiała bardziej przykrej sprawy niż Brenda.

Trudi, sekretarka mecenasa Briana Delaneya, wyraźnie się ucieszyła.

- On chce to załatwić - wyznała Brendzie - przed wyjazdem do Hamptons.

- Co, wakacje sobie robimy? - rzuciła zaczepnie Brenda, kiedy mecenas odebrał. Chciała rozmawiać z nim żartobliwie i złośliwie, ale mecenas Brian Delaney raz w życiu nie chwycił przynęty.

- Słuchaj - powiedział. - Uczelnia jest gotowa spuścić do stu dwudziestu pięciu. Czy już skaczesz z radości? Sto dwadzieścia pięć. I zrezygnują z tych dziesięciu tysięcy które im wisisz za renowację. Zdaje się, że ten jakiś Len, czy jak mu tam, napisze pracę na ten temat. Więc wychodzi na czysto sto dwadzieścia pięć. Lepiej nie będzie. Doradzam ugodę.

- Nie mam stu dwudziestu pięciu tysięcy - oznajmiła. - I nie mam pracy. Jak mogę pójść na ugodę, skoro jestem niewypłacalna?

- Musimy iść na ugodę. Jak idzie scenariusz?

- Świetnie - powiedziała. I tak było - scenariusz, nad którym prace początkowo szły jak po grudzie, był już prawie gotowy. Ale napisanie scenariusza nie oznaczało jeszcze, że się go sprzeda.

- Dobrze, dobrze. To może przynieść milion dolarów.

- Aha. We śnie.

- I masz jeszcze tę nieruchomości. Możesz ją sprzedać siostrze.

- Nie - ucięła. Chatka była jej jedynym majątkiem. Jeśli w mieście się jej nie ułoży, będzie musiała zamieszkać na stałe w Nantucket. Znajdzie pracę jako ogrodniczka albo sprzedawczyni w mieście. Zaprzyjaźni się z innymi miejscowymi, którym nie udało się zakorzenić w prawdziwym świecie. - Ile razy ci mówiłam, że moja siostra jest chora? Ma raka. Nie będę dręczyć jej ani jej męża sprzedażą nieruchomości tylko dlatego, że potrzebuję pieniędzy.

- Ale potrzebujesz - wytknął jej mecenas. - Nie możemy tego przeciągać w nieskończoność. Świat nie stanął w miejscu tylko dlatego, że jest lato i wyjechałaś na Nantucket. Uniwersytet poda nas do sądu, gdzie - zapewniam cię - przegramy, do czego jeszcze dolicz trzysta tysięcy plus moje koszty. Nie wiem, co zrobiłaś tej całej Ateli, ale baba mało nie pęknie ze złości. Uczelniany prawnik powiada, że domaga się sprawiedliwości. Sprawiedliwości! - Mecenas Brian Delaney prychnął ze zniecierpliwieniem. - Mam dążyć do ugody czy nie?

Nie ma sprawiedliwości, pomyślała Brenda. Są tylko zjeżdżalnie i drabiny.

- Masz dążyć - powiedziała.

Początek końca nastąpił, kiedy Brenda oddała prace semestralne. Wiedziała, że studenci porównują swoje oceny, ale nie przyszłoby jej do głowy, że Walsh to zrobi. Ale przecież nie mówiła mu (a chyba powinna): Nikomu nie mów, jaki stopień ci postawiłam. Problem w tym, że nie rozmawiali o pracy, stopniach ani niczym takim. Te sprawy nie miały znaczenia dla ich związku, tak jakby stopień postawił Walshowi jakaś inna profesorka.

Pierwszego kwietnia na zajęciach nikt się nie zjawił. Pięć minut po jedenastej nie pojawiła się żywa dusza. Brenda była zdziwiona, ale rozkoszowała się tą ciszą. Była zmęczona. Poprzednią noc spędziła u rodziców w Filadelfii; razem z Vicki poszły do kancelarii prawniczej ojca i podpisały dokumenty, czyniące je oficjalnymi właścicielkami domu numer jedenaście przy Shell Street. Matka namówiła ją, żeby została na kolację, na którą było pieczone kurczę i kilka butelek wina dla uczczenia okazji. Brenda nie zdążyła na ostatni pociąg do Nowego Jorku i spędziła noc w swoim dziecięcym łóżku. Obudziła się o szóstej, żeby dotrzeć na czas. Ten dzień złał się jej w jedną męczącą podróż pociągiem, autobusem, metrem.

Więc czekając na przybycie studentek, oparła głowę na zabytkowym stole. Pachniał cytryną. Zamknęła oczy.

I obudziła się gwałtownie! Minutę, dwie minuty później? Nie, był kwadrans po jedenastej, a jednak ciągle nikt się nie zjawił. Spojrzała na plan zajęć; wiosenne ferie zaczynały się dopiero za dwa tygodnie. Potem pomyślała: pierwszy kwietnia. Prima Aprilis. Klasa robi mi kawał. Ha, ha. Ale gdzie to towarzystwo poszło?

Wyszła na korytarz. W drodze do biurka pani Pencaldron minęła się z wózkiem cateringowym, wiozącym obrusy i talerze do Sali Barringtona.

Pani Pencaldron rozmawiała przez telefon. Widziała Brendę, ale patrzyła na nią jak na powietrze. Powiedziała coś o krewetkach w sałatce makaronowej. Dr Barrett ma alergię, umrze, jeśli to zje. Odłożyła słuchawkę, prychnając.

- Niesłychane! - rzuciła.

- Czy o czymś nie wiem? - spytała Brenda.

Pani Pencaldron roześmiała się z fałszywą wesołością. Przez ten rok Brenda zdążyła się zorientować, że pani Pencaldron uważa wszystkich profesorów z wydziału za zwierzaki, które pomimo jej wysiłków nie poddają się tresurze.

- A pani zajęcia? Co pani tu robi?

- W Sali Barringtona nikogo nie ma. A teraz wygląda mi na to, że przygotowują tam jakieś przyjęcie.

- Wiosenne spotkanie wydziału. Powiadomienie leży w pani skrzynce od dziesięciu dni.

- Naprawdę? - zdziwiła się Brenda. Nigdy nie zaglądała do swojej skrzynki.

- Naprawdę. Wraz z informacją, że z powodu spotkania pani zajęcia odbywają się dziś w Sali Parsonsa, numer 204.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Pani Pencaldron była wystrojona w suknię w kwiatki. Czy Brenda też powinna się wystroić?

- Powinam iść na to spotkanie?

- Czy należy pani do tego wydziału?

Zabrzmiało to jak pytanie retoryczne, ale kto to wie? Pani Pencaldron westchnęła tak, że Brenda poczuła się beznadziejnym przypadkiem.

- Do zobaczenia o pierwszej.

Brenda przeszła do Parsonsa numer 204. Był piękny wiosenny dzień - w końcu! - a dziedziniec wyglądał jak z folderu. Na terenie uczelni wreszcie pojawiła się trawa! I żonkile! I studenci, zjadający big maki na plażowych ręcznikach! Przyspieszyła kroku, ale była niemal pewna, że na próżno się tak wysiła. Po dwudziestu minutach bez wykładowcy studenci na pewno wyszli, a skoro dzień był taki cudowny, czy mogłaby ich winić? No więc jedne cenne zajęcia przepadły. Modliła się, żeby przynajmniej Walsh zaczekał. W taki dzień miała ochotę na flirt. Może wyjdą dziś razem do peruwiańskiej smażalni kurczaków? Albo na spacer po parku imienia Carla Schurza, albo popatrzeć na barki na East River? Mogłaby mu opowiedzieć o chatce na Nantucket, w połowie należącej do niej.

Tuż przed salą usłyszała głosy. Otworzyła drzwi i oto ujrzała swoją grupę, pochłoniętą dyskusją o aktualnej lekturze, czyli opowiadaniu Lorrie Moore *Nieruchomość*. Byli tak pochłonięci, że nawet jej nie zauważyli, a onaomal nie pękła z dumy.

Jej dobry humor stał się jeszcze lepszy. Walsh uśmiechnął się, kiedy powiedziała mu po wyjściu grupy, że ma ochotę na kurczakowo-parkowo-barkową randkę, a potem - ponieważ znaleźli się na obcym terenie wydziału biologii - pocałowali się.

- Muszę bieć - powiedziała. - Mam spotkanie.

Kiedy dotarła na miejsce, wiosenne spotkanie wydziału było już w pełnym toku. Sala Barringtona prezentowała się bardzo elegancko wśród obrusów, kwiatów, srebrnych tac z kanapkami z tuńczykiem i jajkiem, rzodkiewkami, bezkrewetkową sałatką makaronową i wazą ponczu. Przy drzwiach stała grupka doktorantek, które powitały Brendę tak, jak nastoletnie fanki mogłyby powitać Hilary Duff. Brenda była gwiazdą wydziału, ale tym asyistentkom starała się zaprezentować jako miłą, normalną, życiową osobę. Pochwaliła spódnicę Audrey i powiedziała Mary Kate, że chętnie przeczyta pierwszy rozdział jej pracy doktorskiej. Pogawędziła z doktorem Barrettem, znawcą literatury rosyjskiej, znajomym cioci Liv, a potem wdała się w pogawędkę z Nan, sekretarką Elizabeth Graves, na temat fantastycznej pogody i prognoz na weekend. W głębi sali dostrzegła panią Pencaldron, Suzanne Atele i doktoranta Augie Fiska, specjalistę od Chaucera, który co najmniej trzy razy zapraszał Brendę na kolację. Podejście do Augiego

i pogadanie z nim byłoby aktem miłosierdzia, a podlizanie się Suzanne Ateli - objawem inteligencji, ale Brenda była zmęczona i głodna. Napelniła sobie talerz i usiadła pod ścianą, przy przysadzistym dżentelmenie w szarym garniturze.

- Jestem Bill Franklin - przedstawił się.

Aha! Bill Franklin prowadził zajęcia aktorskie, był słynnym gejem, znanym wśród studentów jako „wujko Zbok”. Nigdy dotąd go nie widziała. Uczył wieczorami w uczelnianym teatrze. Miał swój gabinet, ale jego drzwi były zawsze zamknięte.

- O, dzień dobry! Miło mi, że wreszcie pana poznałam. Jestem Brenda Lyndon.

- Wiem, wiem.

Uśmiechnęła się; ze wszystkich sił starała się nie ulec uprzedzeniom przez tę jego nieszczęsną ksywkę. Bill Franklin miał pięćdziesiąt parę lat i sprawiał wrażenie nijakiego, umiarkowanie zdesperowanego komiwojażera. Było w nim coś znajomego. Brenda miała wrażenie, że skądś go zna. Może z innego campusu. Zerknęła na niego z ukosa, skubiąc rzodkiewkę.

- Bardzo miła uroczyść.

A on niemal równocześnie powiedział:

- Jest pani bardzo popularna wśród studentów.

- O. Doprawdy? Lubię uczyć. Kocham. Dziś się spóźniłam i studenci zaczęli beze mnie.

- Jest pani bardzo młoda.

- Mam trzydzieści lat.

- Czyli dość bliska im wiekiem. Musi ich pani intrygować.

- Intrygować? Wątpię.

Bill Franklin pił piwo. Uniósł butelkę do ust. Miał siwe sumiaste wąsiska. Sumiaste wąsiska. Z czymś się jej kojarzyły, ale z czym? W jej żołądku zrodziło się łaskocząco-mdlące uczucie. Bardzo niedobre, paranoidalne podejrzenie. Bardzo, bardzo niedobre. Przez trzy kęsy sałatki z makaronem przyglądała się, jak Suzanne Atela konferuje z głównym dostawcą. Dr Atela wskazywała coś palcem; do Brendy dotarło słowo „kawa”. Musiała wstać. Spojrzeć na Billa Franklina z odległości. Udała, że podąża do wazy z ponczem, choć napój miał kolor lekarstwa na żołądek i wszyscy omijali go szerokim łukiem. Zatrzymała się przy nim, by uważniej przyjrzeć się Franklinowi, unikając przyłapania. Dobra. Zaczął pić z butelki, dostrzegł ją, mrugnął. Mrugnął.

Odwróciła wzrok ze zgrozą. Ze zgrozą!

Jesteśmy w Soho. Jakby w innym kraju. Pan przy barze chciałby postawić pani drinka.

Pan przy barze w Cupping Room tej nocy, kiedy Brenda spotkała się z Walshem, kiedy się z nim całowała i demonstrowała swoje pożądanie wszystkim obecnym... panem, który chciał jej postawić drinka, był Bill Franklin.

Bez słowa wyjaśnienia odwołała spotkanie z Walshem. O dziewiątej zaatakował jej domofon i tak długo dzwonił, aż go wpuściła.

Celowo włożyła dresy. Ponieważ mieli ze sobą zerwać, mógł ją zobaczyć w stroju niedbałym. Stareńki podkoszulek, włosy w koński ogon, zero makijażu. No, może minimum makijażu. Otwieranie drzwi szło jej opornie. Nie chciała go zobaczyć.

- Co się dzieje? - spytał. - Przez telefon miałaś cholernie okropny głos. Co jest?

Zamknęła drzwi. Przynajmniej w jej mieszkaniu byli bezpieczni. Zdjęła ubranie, zanim Walsh zdążył się mu przyjrzeć.

Później, kiedy leżeli w łóżku spoceni i zmęczeni, Walsh pocałował ją w skroń. Czasami wydawał się o wiele starszy. Może dlatego, że był z Australii.

- Jesteś zdenerwowana - powiedział. - Powiedz, co się stało.

Zrobiła głęboki wdech.

- Jeden profesor z wydziału... ten od teatru, Bill Franklin...

- Wuj Zbok?

- Tak. Był w Cupping Room tego samego wieczoru, co my.

- Był? Skąd wiesz? Powiedział ci?

- Poznałam go. Chciał mi wtedy postawić drinka, zapamiętałam go. Siedział przy barze. Był w tym samym garniturze, co na wydziałowym spotkaniu. I te jego wąsy, z tymi nawoskowanymi czubkami, czegoś takiego się nie zapomina. Mrugnął do mnie. Boże. To straszne.

- A może to był jakiś inny gość w podobnym garniaku?

- Chciałabym. Ale mam pewność. Stuprocentową. To ten sam facet. I wie. Na pewno wie. Mówił, że jestem młoda i tak dalej. Że pewnie intryguję studentów.

- Intrygujesz?

- On wie. Mówił to tak, że na pewno wie. On wie, Walsh. Więc to już koniec. Wywałą mnie. A ty... miejmy nadzieję, że tobie nic nie zrobią.

- Spokojnie.

- Musimy przestać się widywać. Jeśli wylecę, moja kariera będzie skończona. Całe profesjonalne życie. Wszystko, na co pracowałam, wszystko, co budowałam. Bo chciałam zostać w Champion, a jeśli nie zaproponują mi stałego etatu, to chciałam uczyć gdzie indziej. Nie mogę mieć w aktach seksualnych skandali. Nikt by mnie nie zatrudnił.

- Nie mogę zerwać. Nie chcę.

- Ja też. To jasne. Ale jak można dalej tak żyć? Ukrywać się, modlić, żeby nikt nas nie przyłapał?

- Przedtem ci to nie przeszkadzało.

- Teraz wszystko się zmieniło.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- Nie do wiary, że się przejmujesz, co pomyśli wuj Zbok. O nim co chwila słyszę sensacje.

- Ale nie ze studentami. Nie z własnymi studentami!

- Nie, ale co z tego. Gość ma tyle tajemnic do ukrycia, że nie będzie chciał nas wrabiać...

Brenda wstała i poszła, potykając się w ciemnościach, do drzwi, gdzie leżały porzucone dresy. Włożyła je. Pomyślała, że uwielbia swoją grupę. Ale był w niej Walsh i może stąd to uwielbienie. Przypomniała sobie, jak Bill Franklin do niej mrugnął. Uch! *Musi ich pani intrygować. Bo widziałem, jak się pani całuje ze swoim studentem w barze.* Ale ten wieczór wydarzył się prawie dwa miesiące temu, a skoro Bill Franklin nie pisał na ten temat Suzanne Ateli ani słowa, może nie zamierzał tego robić. W końcu nie miał powodu, żeby atakować Brendę. Nawet jej nie znał. Do końca semestru zostało już tylko pięć tygodni. Poprzedniego dnia Walsh powiedział, że chce zabrać Brendę

do Fremantle i przedstawić ją matce, a Brenda posunęła się nawet do sprawdzenia w internecie lotów z Nowego Jorku do Perth. Pomyślała o ich nazwiskach, widniejących obok siebie na jego pracy. John Walsh, doktor Brenda Lyndon. Walsh był jej studentem.

Związki natury uczuciowej lub seksualnej między członkiem ciała pedagogicznego a studentem są zabronione.

- Brynda! - zawołał za nią. W głowie miała mętne bajoro...

i będą karane dyscyplinarnie.

- Brynda?

Nie potrafiła odpowiedzieć.

Nie mogę zerwać. Nie chcę. Nie mogę zerwać.

Nie zerwała z nim. Więź stała się zbyt silna. Spotykali się nadal, ale tylko w jej mieszkaniu. Co do tego była nieustępliwa. Piękna pogoda kusila, Walsh chciał wyjść. Chciał z nią spacerować, leżeć z nią w trawie. Kiszenie się w ciasnym mieszkanku, w którym nawet nie otwierały się okna, było sprzeczne z jego naturą. Ale nie, Brenda odmawiała. I nie chciała się ugiąć.

W klasie zachowywała się coraz bardziej oficjalnie, poważnie, profesjonalnie. Była młoda, ale nie frywolna! To nie znaczy, że złamie najważniejszą zasadę uczelni i zacznie sypiać ze swoim studentem!

Strach ją zżerał, ale z nikim o tym nie rozmawiała. Nie mogła powiedzieć rodzicom ani Vicki, a z Erikiem vanCottem nie rozmawiała od tamtej kolacji w Crafcie. Złe wieści o ślubie Erika z Noel wydawały się bardzo malutkie w porównaniu z perspektywą utraty pracy i dobrego imienia. Poza tym, co mogłaby powiedzieć? Sypiam z własnym studentem. Sytuacja ujęta w ten sposób - czyli brutalnie, bez niuansów i szczegółów - wydawała się obleśna i nikiemna. Takiej tajemnicy nie wyjawiałyby nawet na psychoanalizie, gdyby chodziła na psychonalizę. Mogła się zwierzyć tylko samemu Walshowi, a jego zaczynało to już nużyć. Kwękała, że ich przyłapią, wyrzucą ją, nie daj Boże... aż słowa straciły wagę. Wyluzuj, mówił. Zachowujesz się jak prawdziwa Amerykanka. Masz obsesję.

Na zajęciach grupa Brendy czytała *Oszukańcze serduszek* Annie Lamott, którą to książkę lizuska Amrita wybrała na temat semestralnej pracy, a jednak miejsce, które zwykle zajmowała Amrita, po prawej ręce Brendy, stało puste we wtorek, a potem znowu w piątek.

- Czy ktoś wie, gdzie jest Amrita? - spytała Brenda.

Rozległo się kasznięcie i jakby prychnięcie, ale równie dobrze mógł to być złośliwy chichot którejś Rebeki. Wszędzie spuszczone oczy. Brenda poczuła dziwną atmosferę, ale nie potrafiła jej określić, a nikt się nie odezwał. Napisała w notesie: „Zadzwoń do Amrity!”.

Nadeszła przerwa wiosenna. Walsh miał mecz rugby w parku Van Cortland i zaprosił na niego Brendę. Po-tem mogliby zrobić sobie piknik. Odmówiła. *Nie mogę. Ktoś mnie zobaczy. Domyśli się.* Zadzwoił Erik vanCott, zostawił wiadomość, prosił, żeby była jego drużbą na ślubie. Zabrzmiało to jak żart, ale potem zostawił następną wiadomość. Mam być drużbą? - pomyślała. Miałaby stać u ołtarza, a „materiał na żonę” miałby się prezentować olśniewająco w szantungach i tiulach? Wybrała się na ferie do Darien, na spotkanie z Vicki, Tedem i dziećmi. Vicki nie czuła się dobrze; zrobiła badania w szpitalu. Uważali, że to zapalenie płuc. Brenda spytała: czy to zaraźliwe? Umyła ręce, nie zbliżała się. Spytała Vicki, co sądzi o byciu drużbą Erika vanCotta. Frak? - spytała. Czarna sukienka, odpowiedziała siostra. Ale nic seksownego. Nie wolno ci przebić panny młodej. Pewnego wieczoru, kiedy Ted był na mieście z klientami, Brenda omal się nie zwierzyła Vicki z romansu z Walshem, ale ugryzła się w język. Na-

tomiast pogadały o Nantucket. Czy pojedą? Razem, oddzielnie? Kiedy? Jak długo zostaną? Vicki powiedziała: mam rodzinę, Bren. Muszę planować. A Brenda: muszę tylko przetrwać ten semestr.

Po feriach Brenda zaczęła prowadzić zajęcia na dworze, na dziedzińcu, pod rachitycznym miastowym drzewkiem. Myślała o lecie, o Nantucket, myślała: Walsh chce ze mną bywać na dworze, no to niech ma. Wołała też nie pokazywać się na wydziale. Jeśli mnie tam nie będzie, rozumowała, nic złego się nie wydarzy.

Zostawiła Amricie trzy wiadomości - dwie na komórce i jedną przez telefon domowy; współlokatorka obiecała, że przekaże. Czy Amrita zrezygnowała z zajęć? Wydawało się to nieprawdopodobne - do tego stopnia, że Brenda zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna się nie rozchorowała albo nie musiała wrócić do Indii na pogrzeb babci. Studentki takie jak ona nie porzucają zajęć, na których odnoszą sukcesy.

A potem, pewnego dnia, na dwa tygodnie przed oddaniem prac na koniec roku, na dwa tygodnie przed wolnością dla niej i Walsh, Brenda znalazła na drzwiach swojego gabinetu karteczkę: PROSZĘ O SPOTKANIE. S.A.

Odkleiła kartkę i położyła ją sobie na dłoni. Ta dłoń się nie trzęsła. Brenda nie była zdenerwowana. Suzanne Atela mogła mieć do niej sto różnych spraw. Kończył się semestr, trzeba było pomyśleć o następnym roku akademickim.

Mówiło się o powierzeniu Brendzie innych obowiązków. A może chodziło o sprawy administracyjne. Brenda nie denerwowała się, nie martwiła.

Suzanne Ateli nie było w gabinecie. Brenda spytała panią Pencaldron, która - bez słowa - zdjęła obsadkę z pióra Montblanc i eleganckim charakterem pisma wykaligrafowała numer telefonu na kartce koloru brzoskwini.

- Mam do niej zadzwonić? - spytała Brenda.

Zimne skinienie głowy. Pani Pencaldron wzięła swój aparat i podała słuchawkę Brendzie.

Suzanne Atela chciała się z nią spotkać w IQuchni. Brenda zgodziła się, oddała słuchawkę pani Pencaldron, zdusiła jęk. Nie denerwowała się, nie martwiła, była jedynie niezadowolona z komplikacji. O pierwszej miała się spotkać z Walshem w celu spożycia hinduskiego żarcia na wynos. Na schodach zadzwoniła do niego, żeby odwołać spotkanie.

Za kwadrans dwunasta w IQuchni kłębił się tłum. Ale jaki! Brenda dopiero teraz uświadomiła sobie, do jakiego stopnia nie miała kontaktu ze studentami Champion. Z sześciu tysięcy znała dwanaścioro. Uczyła tu prawie cały rok szkolny i ani razu nie jadła posiłku w kampusie. Mała strata. Za rozpaćkaną bułkę z tuńczykiem, sałatkę owocową i butelkę wody zapłaciła dwanaście pięćdziesiąt. Rozglądając się za Suzanne Atelą, wyminęła grupkę dziewczyn, chłonących serial. Panią dziekan zlokalizowała dopiero po dłuższej chwili, ponieważ, oczywiście, szukała samotnej kobiety. Ale dr Atela nie siedziała samotnie. Siedziała przy stoliku z Billem Franklinem i Amrita.

Mało brakowało, a odwróciłyby się na pięcie i prysnęła - łatwo byłoby się zgubić w tym tłumie - ale Amrita ją dostrzegła i zmarszczyła brwi. Trąciła dr Atelę, dr Atela odwróciła się i ściągnęła Brendę do stolika ołowianym, karcącym spojrzeniem znad okularów. Bill Franklin był w garniturze z niebieskiej serży i w muszce. Z tym wywozkowanym wąsiskiem wyglądał staromodnie i idiotycznie, jak przebieraniec. Pilnie śledził serial na ekranie nad głową Ateli.

Gdy Brenda stanęła przy stoliku, jej wnętrzości skrzyły się w sposób, który nasunął jej nagłą myśl o łaźni. Usiadła na plastikowym krzeselku koło Ateli.

- Dzień dobry - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to będzie zebra...

Suzanne Atela przecięła dłonią powietrze i spojrzała na podłużny złoty zegarek.

- Za godzinę mam lunch w Picholine - oznajmiła. Mówiła tak napiętym tonem, że zniknął z niego wszelki ślad akcentu. - Przejdę do rzeczy. Krążą o pani drastyczne plotki.

- Plotki? - zdziwiła się Brenda. - O mnie?

Amrita prychnęła i przewróciła oczami. Brenda przyjrzała się jej uważniej. Długie, czarne włosy dziewczyny były rozdzielone pośrodku głowy i przylizane, a na karku zwinięte w babciny koczek. Skóra miała szarawy odcień, a usta szkarłatny kolor, taki sam, jak paznokcie. Amrita była ubrana w dżinsy i żółtą sportową bluzę z kapturem. Wyglądała podobnie jak pozostali studenci, a jednak się wyróżniała, nie z powodu egzotyki, lecz zaciekłości w nauce. Nie przysłała na pięć zajęć, co wystarczyło, żeby ją oblać. Co ja ci zrobiłam? - pomyślała Brenda.

Chciałaś nauki, więc cię uczyłam. Dałam ci zajęcia, doceniałam cię, obsypywałam cię pochwałami. Czego jeszcze chcesz?

Bill Franklin odchrząknął, a potem, z wyraźnym trudem, oderwał spojrzenie od ekranu.

- Mówimy nie tylko o plotkach - odezwał się. - W przeciwnym razie nie marnowalibyśmy naszego czasu. I czasu doktor Lyndon.

- Słusznie - zgodziła się Suzanne Atela.

Z jakiegoś powodu telewizor nad głową doktor Ateli przyciągnął uwagę Brendy. Na ekranie widniała jej studentka Kelly Moore z fioletową zjeżoną fryzurą jak u mupeta. Więc to ten serial. *Miłość nadejdzie jutro*. Kelly Moore całowała mężczyznę dwa razy od niej starszego, potem zaczęli się szamotać, padł cios. Wyrwała się i wybiegła z pokoju, zatrzasnąjąc drzwi.

Amrita sięgnęła do bogato haftowanej jedwabnej torby i wyjęła pracę semestralną z pracowicie nagryzmolonymi uwagami i pochwałami Brendy, a także z piątką na szczycie kartki.

- Wiemy, co się dzieje między panią i Walshem - oznajmiła. - Wszyscy wiedzą. To obrzydliwe.

Atela zdjęła kocie okulary i z westchnieniem odłożyła je na lepki laminowany blat. Brenda zaczęła świadomie oddychać. Przecież była na to przygotowana. Przez ostatnie trzy tygodnie przeżyła tę scenę w myślach z tysiąc razy. A jednak to „obrzydliwe” nią wstrząsnęło. „Obrzydliwa” jest nauczycielka, która zachodzi w ciężę z uczniem liceum. Walsh był o rok starszy od niej, ich związek był naturalny. Tyle że to jej student. Więc sytuacja była sprzeczna z prawem. Była drastyczna, jak powiedziała Atela, nierozsądna, była nietrafioną decyzją. Była sprzeczna z zasadami uczelni. Ale nie obrzydliwa! Brenda myślała o tym z takim przejęciem, że nie odezwała się, a po paru sekundach ciszy doszła do wniosku, że jest to genialna strategia. Nie wolno zaszczycać takich oskarżeń odpowiedzią.

- Doktor Lyndon - ponagliła ją Suzanne Atela.

- Przepraszam, nie rozumiem, o czym mowa - powiedziała Brenda.

- Mowa o niestosownym związku przedstawiciela ciała pedagogicznego ze studentem.

- Widziałem go z panią w mieście - powiedział Bill Franklin. - Na początku semestru. Jedną z rzeczy, które zauważyłem - oprócz oczywistej wzajemnej fascynacji - było to, że to on zapłacił rachunek. Wydział zabrania umawiania się ze studentami właśnie ze względu na możliwość korupcji. On stawia pani drinki, pani daje mu dobre stopnie...

- Co pan sugeruje? - spytała Brenda. - Przepraszam, ale nie...

- Szanowałam panią - odezwał się Amrita. Manipulowała przy suwaku bluzy, parę centymetrów w dół, parę w górę. W górę, w dół. W górę, w dół. Denerwowała się. Brenda mogłaby to wykorzystać, szkoda, że nie wiedziała

jak. - Uwielbiałam pani zajęcia. Myślałam, że wreszcie znalazł się prawdziwy pedagog, ktoś młody, z kim mogę się porównywać. - Tu głos jej zadrżał. - Ale okazuje się, że pani jest uzurpatorką - i to nie niewinną. Pani... kręci z Walshem. Dała mu pani piątkę z plusem!

Brenda wbiła wzrok w swój niejadalny posiłek. Miała ochotę rzucić butelką w głowę Amrity. Ty smarkulo, pomyślała. Dlatego to robisz? Bo dałam mu stopień, na który zasłużył? Czy dlatego, że sama się w nim podkochujesz? Ach, gdyby tak rzucić tą rozmoczoną bułą w twarz Billa Franklina! W Cupping Room pokazał, jaki jest naprawdę. Siedział przy barze, pił i tylko czekał, żeby położyć łapska na jakiegokolwiek młodej kobiecie - czy mężczyźnie - jeśli byli bez towarzystwa. Wujo Zbok - oto, kto jest obrzydliwy. No i doktor Atela, najgorsza z całej trójki, bo widać było, że pod maską powagi i umiarkowanej dezaprobaty aż kipi radochą z cudzego cierpienia. W starożytnym Rzymie Atela rzuciłaby Brendę na pożarcie lwom i biłaby brawo, że to taka wspaniała rozrywka. Ale dlaczego? Bo Brenda była młoda? Bo była dobrą nauczycielką? Czy Suzanne Atela jej zazdrościła? Czuła się zagrożona? Inna dziekan wydziału mogłaby okazać rozczarowanie, ale twarz Suzanne Ateli miała taki wyraz, jakby ta od samego początku się tego spodziewała, jakby to przewidziała. Brenda poczuła taki niesmak, że wstała.

- Ja też jestem umówiona o pierwszej - oznajmiła. - Więc wybaczą państwo, ale...

Wzięła butelkę z wodą, resztę razem z tacą zostawiła Suzannie Ateli do rozporządzenia wedle uznania. Po paru sekundach znikła w tłumie głodnych studentów.

Sięgnęła do torby po komórkę. Zadzwoić do Walsh, pouczyć go, żeby wszystkiemu zaprzeczył. Nie mieli dowodu! Bill Franklin widział ich razem w Cupping Room. Może jeszcze ktoś ich podglądał, kiedy całowali się w Parsonsie. Dlaczego była taka głupia, taka brawurowa? Nieważne, czy mieli dowód, fakt był faktem. Mogła zaprzeczyć, ale to by było kłamstwo. Zaangażowała się w romantyczny i seksualny związek z własnym studentem. Wydział podejmie akcję dyscyplinarną. Przepadła jej praca i dobre imię, jej reputacja. Pewnie by od razu opuściła kampus, pojechała do domu autobusem i nigdy nie wróciła, ale miała w gabinecie rzeczy, których nie mogła zostawić - pewne dokumenty, pierwsze wydanie Fleminga Trainora. Popędziła na wydział.

Miejsce pani Pencaldron było puste, na biurku została niedojedzona sałatka. Brenda sięgnęła do torby; dotknęła klucza na cienkim drucianym kółku, z okrągłą papierową plakietką z napisem (charakterem pisma pani Pencaldron): Sala Barringtona. Spojrzała na masywne drzwi z paneli. Nie ma czasu! Musi się stąd wydostać! Wejść do gabinetu, zabrać rzeczy! Drzwi wydawały się jeszcze bardziej odstrasające niż na początku semestru, ale mimo to - a może właśnie dlatego - coś ją ciągnęło w głąb tego korytarza. Augie Fisk stał przy ksero i jego obecność niemal ją zniechęciła, ale nawet nie podniósł głowy, kiedy przemknęła obok.

W zeznaniu przyznała, że tego popołudnia miała ograniczoną zdolność oceny własnych czynów. „Byłam zdenerwowana. Oszołomiona, przerażona, straszliwie wytrącona z równowagi. Nie myślałam jasno. Nie wiedziałam, co robię. Nie zamierzałam ukraść obrazu, chciałam tylko...

Co pani chciała?

Po raz ostatni na niego spojrzeć. Pożegnać się z nim".

Wystukała szyfr i otworzyła drzwi Sali Barringtona, w pełni przygotowana, że pani Pencaldron czeka na nią przy zabytkowym stole. Ale sala była pusta, cicha, tak jak przez cały semestr na chwilę przed jej zajęciami. Brenda poczuła przeszywający ból straty, początek żałoby. Jej kariera obróciła się w popiół, ale ten popiół jeszcze nie wystygł. A wszystko przez głupi, obrzydliwie głupi błąd. Na jej ścieżce umieszczono pokusę, a ona, zamiast ją ominąć, umówiła się z nią w barze.

Położyła torebkę i butelkę wody na zabytkowym stole i stanęła przez obrazem. Chciała go w siebie zagarnąć, wchłonąć, bo z całą pewnością już go nie zobaczy. Chciała wtulić twarz, poczuć jego fakturę na policzku, chciała w niego wejść i zwinąć się w kłębuszek.

Rozległ się jakiś odgłos. Odwróciła się; pani Pencaldron pstrykała na nią palcami jak na psa. Porwała butelkę wody ze stołu (rzeczywiście, został po niej niewyraźny krążek).

- Co pani tu robi? - rzuciła wściekle pani Pencaldron. - Pani nie ma prawa! A to... - potrząsnęła butelką i wytarła stół połą bluzki. - Co pani sobie wyobraża! Zna pani zasady!

- Przepraszam - powiedziała Brenda. - Bardzo przepraszam.

- Zna pani zasady, ale ich nie przestrzega - wysyczała pani Pencaldron. - Przeprosiny nie naprawią tego, co pani zepsuła.

Brenda uniosła rękę.

- Dobrze, wycofuję się. Przyszłam po moje rzeczy. Odchodzę.

- Spakuję pani rzeczy jak należy i odeślę na adres domowy. Sugeruję, by natychmiast opuściła pani salę i wydział, w przeciwnym razie wezwę ochronę.

- Ochronę? Ależ nie trzeba. - Brenda miała okropną ochotę zwrócić się do pani Pencaldron po imieniu, ale go nie знаła. - Odchodzę.

W drzwiach pojawił się Augie Fisk. Przyglądał się Brendzie z mieszaniną litości i obrzydzenia.

- Wszyscy już wiemy - oznajmił. - Wydało się. Atela cię wywaliła?

- Nie musiała - warknęła Brenda. - Sama odchodzę.

- Nie zatupiesz tego. To się do ciebie przyklei. Może znajdziesz inną pracę, ale tam też się dowiedzą.

- Hańba - dodała pani Pencaldron. - Wiedziałam, że coś z wami nie w porządku, ale nie rozumiałam, i z pewnością się nie spodziewałam, że... ale tak, czułam to od samego początku.

- Wszyscy uważaliśmy cię za wydmuszkę - dodał Augie. - Taka atrakcyjna kobieta, Francja-elegancja, ze specjalizacją w dziedzinie, o której nie słyszał nikt na świecie, zupełnie bez znaczenia. Wiedziałem, że nie możesz być prawdziwa. Było w tobie coś fałszywego, coś sztucznego. Wszyscy to wiedzieliśmy.

- Dość tego - rzuciła Brenda. Czy nie widzą, że i tak jest zdenerwowana?

- Właśnie, dość. - Pani Pencaldron wskazała drzwi. - Proszę natychmiast wyjść, bo wezwę ochronę.

Niepoczytalna. Straszliwie wytrącona z równowagi. I zła. Brenda nienawidziła pani Pencaldron. Nigdy jej nie lubiła, ale teraz poczuła do niej najprawdziwszą nienawiść. I ten Augie Fisk - ohyda! - z rudą czupryną i białymi, zaciśniętymi ustami. Wydmuszka? Ciągłe ją zapraszał na randki, a ona odmawiała, za każdym razem z coraz większym poczuciem winy. Niepoczytalna. Sztuczna i fałszywa? Po ośmiu latach studiów, po tysiącach godzin czytania i badań? Po takim wysiłku? Po niewolniczym poświęceniu? Nagle ogarnęła ją furia. Nie pozwoli się wyrzucić z tej sali. Wykonywała dobrą pracę, była dobrym nauczycielem.

Wszyscy to wiemy.

Jasne, teraz łatwo tak powiedzieć. Teraz.

Sięgnęła do torby, wyłowiła książkę - jedną z niemal nieosiągalnych broszurowych wydań *Niewinnego szalibierza*, które zamówiła dla swoich studentów - i rzuciła ją. W zeznaniu podała, że rzuciła tak po prostu, żeby rzucić. „Czy nigdy pan nie rzucił w gniewie żadnym przedmiotem? Nigdy nie czuł pan tego impulsu?”. Nie celowała w Augiego Fiska ani panią Pencaldron, a już na pewno nie w obraz. Ale właśnie w niego trafiła. (Dolny lewy kwa-

drant, centymetrowy „ubytek” lub „rozdarcie”). Brenda jęknęła ze zgrozą, pani Pencaldron wrzasnęła, a Augie Fisk oznajmił:

- O, cholera. Teraz się doigrałaś.

- Wzywam ochronę - rzuciła pani Pencaldron. - Stań w drzwiach, Augie. Nie pozwolimy jej wyjść. Musi za to odpowiedzieć.

Brenda patrzyła przez łyżę na obraz. Wreszcie zrozumiała go w pełni. Ten rozbryzg, bałagan, płatanina, chaos. To obraz jej życia.

Załatwić to, pomyślała. Wieloznaczne słowo. Z jednej strony to nawet kojące. Sprawa zostanie wreszcie załatwiona. Oczyszczona, zakończona. Sprawa „Uniwersytet Champion przeciwko Brendzie Lyndon” trafi do kolejnej teczki w kancelarii mecenasa Briana Delaneya i zostanie zamknięta w szafce. Ale załatwić oznacza także coś innego. Była załatwiona. Będzie żyć bez uczelni, bez Walsh.

Jej serce za nim tęskniło, ciało łaknęło jego uścisku. Chciała usłyszeć jego głos, nieważne, co by mówił. Ale nie mogła się zmusić, żeby do niego zadzwonić; jej uczucie do Walsh'a wiązało się teraz z utratą pracy, dorobku całego życia. Cierpiała, ale większe cierpienie sprawiłaby jej rozmowa z Walshem, ponowne i codzienne przeżywanie upokorzenia tego popołudnia z Suzanne Atelą, Billem Franklinem, Amritą, Augiem Fiskiem, panią Pencaldron i w końcu strażnikiem ochrony.

Skąd miała skombinować te pieniądze? Ogłosić bankructwo? Czy będzie zmuszona poprosić rodziców? Sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nie różniło się niczym od stu sześćdziesięciu - obie sumy były nieosiągalne. Będzie musiała sprzedać swoją połowę chatki, ale tym nie mogła w tej chwili obarczać Vicki - a jeśli Vicki i Ted z jakiegoś powodu nie znajdą pieniędzy? Czy będzie musiała wystawić na sprzedaż cały dom? Wiedziała, co pomyśli Vicki i rodzice: Brenda ma książkową wiedzę, ale nie jest życiowa. Nie przetrwa w tym świecie. Zawsze trzeba ją ratować.

Jak się bronić? Co jeszcze mogłaby zrobić? Tylko jedno. Zawsze miała tę jedyną kryjówkę. Nędzny Robak, mól książkowy, zawsze z nosem w książce. Wyjęła z torby żółty notes, nalala sobie kawy z termosu i zaczęła pisać.

Nie była to umiejętność, którą można sobie wpisać do CV, ale Josh zawsze się szczyił umiejętnością rzucańca piłki. Nadawał jej idealny kąt i prędkość - a ponadto nauczył Blaine'a właściwej postawy i zamachu, tak że teraz chłopczyk odbijał niemal za każdym razem. Tak, ta umiejętność dawała satysfakcję, w całej hecy z opieką nad dziećmi za tym będzie tęsknić najbardziej i cieszył się, że pochwalił się swoją sprawnością przed Vicki.

Vicki czuła się lepiej, wyglądała zdrowiej i silniej i Josh zorientował się, że ma ochotę spędzać z nią coraz więcej czasu. Była jego szefową, tak, ale też przyjaciółką, a rozmawiało się im łatwo i przyjemnie. Jego kontakty z Brendą ograniczyły się do uprzejmości i okazjonalnych krótkich rozmówek o scenariuszu - a związek z Melanie to było zjawisko ogromne i złożone. Jego uczucia wyrwały się spod kontroli, rosły jak upiorna, skręcająca się winorośl, która dusiła mu serce. Chciał z kimś porozmawiać o Melanie - a, co dziwne, najlepszą kandydatką wydała mu się Vicki. No, ale to nie wchodziło w grę.

Melanie była w dwunastym tygodniu. Jej brzuch zaczął się lekko uwypuklać - zaokrąglony, gładki, napięty. Bił z niej blask - zawsze uśmiechnięta, promieniejąca, dobra, słodka, seksowna... melaniowa. Miał na jej punkcie fioła, nie mógł się doczekać końca dnia, nadejścia nocy, kiedy ojciec wyłączy telewizor i zamknie się w pokoju, bo wtedy właśnie mógł się wykraść z domu, z mrowieniem w żołądku ruszyć do Sconset. Melanie.

Z początkiem sierpnia zaczął jej pragnąć jeszcze bardziej. Pewnej nocy wcale nie przyszła. Czekał cierpliwie na parkingu przy plaży do jedenastej, potem podjechał - jak najciszej - pod dom na Shell Street. Dom był mroczny i zamknięty na głucho. Rano Melanie wyjaśniła pospiesznym szeptem, że zwyczajnie zasnęła.

Zwyczajnie? - pomyślał. - To, co się między nimi działo, było dalekie od zwyczajności.

Przyznała, że dzwonił Peter. Nie raz, nie tylko po to, żeby poruszyć „sprawy domowe”. Wiedział o dziecku, powiedziała mu.

- Musiałam - wyjaśniła. - Jest ojcem. Ma prawo wiedzieć.

Nie zgodził się z nią.

Dalej ma ten romans?

Nie wiem.

Pytałaś go?

Nie.

To co mówi, kiedy dzwoni?

Że za mną tęskni.

Pyta, kiedy wrócę.

To przez dziecko, orzekł Josh. Zaczęło mu zależeć, bo jesteś w ciąży. Wypowiedział te słowa, nie zdając sobie sprawy, jak ją rani. Oczywiście Melanie zogromniały. Natychmiast zrozumiał, że powinien przeprosić i zrobił to, a ona odrzekła: Nie, nie, masz rację. Nie mogę mu ufać. Nie ufam mu. Dzwoni tylko dlatego, że jestem w ciąży.

Jest głupi, powiedział Josh. A kiedy nie zareagowała, dodał: Lepiej mi już nie opowiadaj o tych rozmowach.

Dobrze, mruknęła. Jasne. Ale nie chcę niczego przed tobą tajić.

Ale nie była to cała prawda. Zataiła przed nim, co czuła po tych rozmowach i co zamierzała zrobić w sprawie Petera, kiedy wakacje się skończą, a ona wróci do Connecticut. Peter był jej mężem, owszem, ale czy zamierzała do niego wrócić? Nigdy o tym nie mówiła, a Josh bał się pytać. Musiał z kimś porozmawiać, ale nie miał nikogo. Całe dni spędzał z czterolatkiem, doskonaląc idealne uderzenia, odbierając idealne piłki.

- Josh! Josh!

Blaine stał na „bазie domowej”, z uniesionym kijem; Josh, gotowy do rzutu, znieruchomiał. Miał zwyczaj między rzutami oglądać się na Portera, który spał na kocu pod parasolem. Dalej śpi? Ten zwyczaj nabrał wielkiego znaczenia, odkąd Porter nauczył się chodzić; Josh nie zamierzał dopuścić, żeby mały wywędrował gdzieś w świat. Ale kiedy znowu się obejrzał, ujrzał widok, jakiego się nie spodziewał. Koło Portera siedział ktoś, ktoś zmateriałizowany nie wiadomo skąd, jak duch, jak zły sen. Didi.

- Co... - zaczął Josh, ale ugryzł się w język. Nie chciał zdradzać gniewu ani bezradności w obecności Blaine'a.

- Cześć - odezwała się Didi.

- Josh! - zawołał Blaine. - Rzucaj!

Josh spojrział na czekającego chłopczyka - a potem na Didi. Przestraszył się, jakby pod parasolem obok Portera leżała kobra albo tygrys syberyjski. A jeśli Didi chwyci Portera i ucieknie z nim?

Rzucił piłkę, Blaine odbił ją nad jego głowę. Didi zaczęła teatralnie klaskać i wiyatować i Blaine wreszcie zauważył, że koło jego brata ktoś siedzi. Ktoś obcy. Ale nie, nie obcy.

- Cześć, ja cię znam - powiedział. - Ze szpitala.

Josh poszedł po piłkę; Blaine zbliżył się do parasola. Tylko nie za blisko! - pomyślał Josh. Wrócił biegiem.

- Blaine, pobawisz się teraz z Mateo?

- A piłka?

- Muszę porozmawiać z Didi.

- To twoja dziewczyna?

Didi parsknęła, krótko i wściekle: ha!

- Nie - powiedział Josh. - Ale muszę z nią porozmawiać. Pobawisz się z Mateo?

- Ile minut do obiadu? Josh spojrzął na zegarek.

- Osiemnaście.

- Dobrze - zgodził się Blaine. Poszedł parę metrów dalej w miejsce, gdzie Mateo Sherman zakopywał w piasku stopy swojego ojca. Omar Sherman spojrzął na Josha i powiedział:

- Przejmuję go.

- Dzięki! - Omar pewnie się zastanawia, kim jest Didi, podobnie jak pani Brooks dwie parasolki dalej. Uśmiechnął się do Didi, ale wyłącznie na pokaz. - Co ty tu robisz?

- Wiem o niej.

- Wiesz o kim? - spytał ze zmęczeniem.

- Dymasz przyjaciółkę tej matki. Ciężarną. Wiem wszystko. To nienormalne. To zбочzone.

- Nic nie wiesz. Jesteś tak pokręcona, że sama nie wiesz, co mówisz. Zachowujesz się jak wariatka.

- Rob widział cię z tą kędzierzawą kobietą. Jest starsza. A ja też popytałam. To przyjaciółka tej matki. Przyszła do szpitala na badanie prenatalne. Wiem, że z nią sypiasz, Wiem, że zabrałeś ją do domu w Shimmo. Zach mi powiedział.

Zatrzymaj się, pomyślał Josh. Zatrzymaj się i pomyśl! Ale gdyby teraz zamilkł choć na chwilę, gdyby głos mu zadrżał, gdyby okazał chwilę słabości, rozerwałaby go na strzępy.

- Wisisz mi pieniądze - powiedział. - Dwieście dolarów plus odsetki. Przyszedł mi zapłacić?

- Nie zmieniaj tematu.

- To ty zmieniasz temat, bo jedyne, co nas łączy, to ten dług.

- Potrzebuję pięciuset dolarów, żeby odzyskać samochód. Daj mi pięćset dolarów, to nikomu nie powiem.

- Czego?

- Że sypiasz z ciężarną. Mogłabym sprawdzić, czy z tą drugą też kręcisz. Przynajmniej jest atrakcyjna, ale o wieweeeele za stara dla ciebie.

- Przestań, Didi. Nie będziesz mnie szantażować.

- A będę.

- Nie, nie będziesz. Wygadujesz niestworzone rzeczy. Nikt ci nie uwierzy.

- Rob cię widział. W Monomoy. Z tą kobietą. O północy. Jak to wyjaśnisz?

- Nic nie muszę wyjaśniać, bo to nieprawda. Robowi nie można ufać. Jest tak samo walnięty jak ty. - Josh obejrzał się na Blaine'a, radośnie bawiącego się z Mateo Shermanem. Omar pokiwał uspokajająco ręką. Porter oddychał głęboko i równomiernie. Wszystko gra, powiedział do siebie Josh. Możesz się zająć Didi.

- Wszyscy w to uwierzą - ciągnęła Didi - bo tego lata się zmieniłeś. Nie przychodzisz na imprezy, nie pokazujesz się. Nic nie robisz, tylko siedzisz z tymi kobietami i dziećmi. Wszyscy to widzą, Josh. Nawet twój ojciec. Choć może nie. Twój ojciec jest mało spostrzegawczy.

- Przestań.

- Będę musiała go uświadomić.

Josh usiłował zachować kamienną twarz. Czuł się, jakby występował na scenie. Ale nie mógł dopuścić Didi w pobliże ojca. To by była kompletna katastrofa.

- Rób, co chcesz - oznajmił. - Ojciec i tak uważa, że jesteś nienormalna. Cokolwiek mu powiesz, nie uwierzy.

- Będę musiała zaryzykować - odparła. Wstała i otrzepała szorty. - Daj mi pięćset dolców, to odpuszczę. Nie powiem twojemu ojcu. Ani nikomu.

- Spadaj.

- Będziesz żałować.

- Dlaczego to robisz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Naprawdę.

Podeszła i wspięła się na palce do jego ucha.

- Bo cię kocham - szepnęła.

Parę dni później zaczął się upał. Prawdziwy upał, wilgoć w powietrzu, dokuczliwy jak nieproszony gość, który zatrzymał się nie wiadomo na jak długo. Josh cieszył się, że nie pracuje na lotnisku. Jak oni tam mogą wytrzymać przez cały dzień na asfalcie? Nie miał pojęcia. Nawet na plaży nie było wiele lepiej. Piasek stał się tak rozprażony, że Blaine nie mógł po nim chodzić, więc Josh musiał go nosić - oprócz zwykłych bagaży. Zapomnieli o ustalonym porządku dnia i przez całe ranki taplali się na płyciźnie. Woda była ciepła niczym zupa, wiatr zniknął. Wilgoć wisiała w powietrzu jak mokra szmata, legły się roje komarów. W dziupie Josha nie było klimatyzacji, więc kochali się na plaży, pożerani przez nie żywcem.

- Fuj - powiedziała Melanie. - W takich sytuacjach tęskni się za Four Seasons.

W domu Josha także nie było klimatyzacji, więc Tom Flynn postawił na stole wielgachny wentylator, który dmuchał na nich przy jedzeniu. Josh lubił tę maszynę; swoim szumem zastępowała rozmowę.

- Gorąco - powiedział Tom Flynn, siadając.

Josh przygotował kolację na zimno: włoskie kanapki, tuńczyk, arbuzy. Lodowa sałata nigdy nie smakowała tak doskonale.

- Gorąco - zgodził się Josh.

Może to z powodu szumiącego wentylatora Tom Flynn nie wspomniął przy stole o wizycie Didi. Natomiast złapał Josha rano, pod prysznicem. Była sobota, dzień wolny, więc Josh się nie spieszył. Wyszedł z łazienki w ręczniku wokół bioder i ujrzał ojca w korytarzu. Czekał na niego. To było tak niespodziewane, że Josh się zachłysnął.

- O Jezu, tato. Przestraszyłeś mnie.

- Masz chwilę?

Pytanie było w dużym stopniu retoryczne. Josh zdreptał. Chyba wiedział, co się kroi.

- Mogę się ubrać?

- Oczywiście. Będę na tarasie.

Tak zwany taras znajdował się za oknem sypialni rodziców. Ponieważ była na piętrze, docierał do niej wiatr. Przy tej pogodzie było to najprzyjemniejsze pomieszczenie w domu, a jednak Josh nigdy tam nie był. O ile wiedział, ojciec także nie. Szczerze mówiąc, od czasu, kiedy Josh ostatnio postawił tu stopę, minął rok, może dwa. Nie zdziwił się, że nic tu się nie zmieniło - ta sama ciemna, wzorzysta narzuta, którą kupili w Hyannis tuż po śmierci matki, ta sama schludniutka komódka, tak samo ustawione rządkiem buty w szafie. Na ścianie wisiało zdjęcie matki, z liceum, przedstawiające osobę bardzo odlegle kojarzącą się z tą kobietą, którą znał. Mimo to zatrzymał się i przyjrzał zdjęciu.

Nienawidzisz jej? - spytała Vicki.

Tom Flynn czekał na zewnątrz, z rękami splecionymi na balustradzie, z głową zwróconą w stronę stawu Miacomet i jedenastego dołka na polu golfowym w oddali. Był w białym podkoszulku i spodniach khaki. Stał boso. Josh nie pamiętał, kiedy ostatnio widział bosego ojca. Jeśli istniał zwrot określający Toma Flynn, to było nim „zapięty pod szyję”, „dopięty na ostatni guzik”. Ale Tom Flynn rozchelstany, bez butów, wyglądał bezbronne, ludzko. Josh trochę odetchnął.

- Gorąco - powiedział, żeby było śmieszniej.

Ojciec skinął głową.

- Twoja matka kochała lato.

Josh znowu zeszywniał. Kark mu się napiął jak żelazna sztaba. *Twoja matka kochała lato*. Stwierdzenie idealnie niewinne, ale Josh mógłby policzyć na palcach jednej ręki wzmianki o matce, które usłyszał od ojca przez ostatnie dziesięć lat.

- Wiem - mruknął. - Pamiętam.

- Ktoś kiedyś zasugerował, że matka ma okresowe wahania nastroju. Ludzie na nie cierpią, kiedy brakuje im słonecznego światła.

Ojciec zamilkł. Josh pomyślał: no fakt, zabiła się w grudniu. Wyobraził sobie matkę na plaży, z kieliszkiem wina.

Musimy się cieszyć teraz, zanim nadejdzie zima.

- Pewnie to jakaś bzdura.

- Pewnie tak - mruknął Josh. Tom Flynn miał wilgotne włosy, ze śladami po zębach grzebienia. Pachniał płynem po goleniu i olejkiem do włosów. Ten olejek do włosów właściwie wystarczył, żeby Josh umieścił ojca w odrębnej kategorii mężczyzn. Inne pokolenie. Tom Flynn służył w latach osiemdziesiątych w wojsku - przez dwa lata stacjonował w okolicach Afganistanu - chodziło o wywiad i lotnictwo. Josh nie był pewien, co konkretnie robił tam ojciec, ale większość jego zachowań - milczenie, akuratność, dryl, nawet ten upiorny porządek w komodzie i szafie - przypisywał okresowi spędzonemu w wojsku. Choć Tom Flynn był wybitnie odpowiedzialnym i kompetentnym kontrolerem lotów, wyraźnie dał do zrozumienia synowi, że praca na lotnisku, nawet w najbardziej ruchliwe letnie dni, jest zbyt łatwa, to spacer po parku w porównaniu z tym, co robił „przedtem”. Najwyraźniej to wojsko było jego „prawdziwą pracą”. Nantucket było produktem pracopodobnym, poczekalnią przed emeryturą.

Ojciec nabrał powietrza, spojrzął na swoje bose stopy, jakby zaskoczyło go, że je tam widzi, wystające z nogawek spodni. Josh poszedł za jego spojrzeniem. Stopy ojca były blade, podobne do ryb, paznokcie przycięte i żółtawe. Podniósł wzrok. Trudno mu było słuchać, ale mówienie sprawiało Tomowi Flynnowi jeszcze większy trud.

- O co chodzi, tato?

- Nie wiem, czy w ogóle powinienem poruszać ten temat - odezwał się Tom Flynn. - Jesteś dorosły.

- O co chodzi?

- Ta mała Patalki zatrzymała mnie na parkingu w pracy. Wczoraj, kiedy wracałem. Powiedziała, że widzisz się z jedną z tych kobiet, dla których pracujesz. Tą ciężarną.

Josh skinął głową.

- Ale to nie twoje dziecko?

- Nie. Boże, nie.

- Oczywiście zauważyłem, że wychodzisz z domu późno w nocy i wracasz Bóg wie kiedy. Zdaje się, że co noc. Więc doszedłem do wniosku, że chodzi o dziewczynę. Ale ta... kobieta? Starsza? Ciężarna, z dzieckiem innego? Wiesz, co robisz?

Josh zapatrzył się w cienką niebieską tasiemkę na horyzoncie. Staw Miacomet. W innych okolicznościach byłby ekstremalnie zażenowany. Nigdy nie rozmawiał tak z ojcem; kiedy dojrzewał, nawet nie zahaczyli o temat seksu. Ale teraz poczuł ulgę. W rozmowie z Didi wszystkiego się wyparł, ale nie potrafiłby okłamać ojca. Rozmowa o tym sprawiała mu ulgę.

- Początkowo myślałem, że wiem - powiedział. - Ale teraz nie jestem pewien.

- Ta kobieta ma męża?

- Są w separacji.

- Ale dziecko...

- Tak. To skomplikowane.

- Ile ona ma lat?

- Trzydzieści jeden. Choć wiek nie ma znaczenia.

- To niezwykle. A fakt, że jest w ciąży...

- Tato, ja wszystko wiem, uwierz mi. Tak się złożyło. Nie wiem jak, ale się stało. Kocham ją. - Wypowiadając te słowa, zaskoczył sam siebie. Czy rzeczywiście kocha Melanie? Może i tak. Jedno było pewne: nigdy nie czuł się tak pełen życia - szczęśliwy, pewny siebie, zaangażowany - jak tego lata, przy tych trzech kobietach. Może słowo „miłość” nie było najwłaściwsze, ale innego nie znał.

Myślał, że ojciec go wyśmieje, ale Tom Flynn zachował niewzruszoną minę.

- Nie sprzeciwiałem się, kiedy chciałeś odejść z lotniska. Doszedłem do wniosku, że wiesz, co robisz. Opieka nad małymi dziećmi... no, lubisz ludzi, dobrze zarabiasz, wiem, że tamta matka jest chora, a ty z jakiegoś powodu czuleś się zobowiązany jej pomóc. - Zamilkł i znowu zaczerpnął powietrza. Ta przemowa była dla niego maratonem. - Teraz się zastanawiam, czy nie chodzi o coś innego.

- Jak to?

- Te kobiety...

- Chodzi ci o seks?

- Dlaczego cię do nich ciągnęło? Może chodzi o seks. Ale są o wiele starsze od ciebie. I przyszło mi do głowy - jeszcze zanim napadła mnie ta mała Patalki - że szukasz w Sconset matki.

- O rany, tato...

- Jestem ostatnią osobą, która wierzy w te freudowskie banialuki, ale nie oślepiłem i nie zgłupiałem. Straciłeś matkę bardzo wcześnie. Poradziłem sobie jak umiałem, ale może jednak można to było zrobić lepiej, rozumiesz mnie?

Josh skinął głową.

- Może powinniśmy rozmawiać o twojej matce do upadłego. Może powinniśmy się zadrećzać, dlaczego to zrobiła. Może to ja coś powiedziałem, zrobiłem, a może ty, a może to te kurewskie wahania nastroju, a może nie wiem co. Może powinniśmy płakać, krzyczeć, wyć, obejmować się, bić w ściany, rozwalić toster, podrzeć zdjęcia. Może to lepiej, zdrowiej. A my tymczasem szliśmy naprzód.

Z podniesioną głową, patrząc przed siebie. Wielu rzeczy nigdy się nie dowiemy, nie zrozumiemy, a jedną z nich jest to, dlaczego twoja matka odebrała sobie życie. - Uniósł rękę, drżała - i położył ją na ramieniu Josha. - Jedno mogę ci powiedzieć na pewno. Matka cię kochała.

- Wiem.

- Nie musisz szukać tej miłości gdzie indziej. Matka cię kochała, i gdziekolwiek jest teraz, nadal cię kocha.

Nadal cię kocha.

Gigantycznie doniosłe wyznanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, od kogo wyszło. To był dar jego ojca. Ale zbyt wielki i trudny do zrozumienia w ten rozpalony, rozprażony ranek w samym środku najburzliwszego lata jego życia. Josh musiał schować go i przemyśleć później.

- Jasne - powiedział. - Ale to, co się dzieje tego lata, nie ma nic wspólnego z...

- Niech będzie - przerwał Tom Flynn. - Tak tylko sobie pomyślałem.

- Rozumiem. Dzięki.

Tom Flynn wyprostował się jak struna.

- Co do miłości, wyszedłem z wprawy. Nie mam żadnej innej ojcowskiej rady oprócz: uważaj.

- Uważaj - powtórzył Josh. - Dobrze. Będę uważał.

Upał i parne powietrze nie sprzyjają ciężarnym kobietom, Melanie nie wytrzymała we własnej skórze. Czowała się tłusta, spocona, ospała. W chatce było jak w piecu, choć wszystkie okna były otwarte, a trzy wentylatory pracowały na najwyższych obrotach. Melanie robiła po dwa lub trzy kursy dziennie do sklepu - zasadniczo po zimny sok, colę i gatorade dla siebie i Vicki, ale także dlatego, że w budynku była klimatyzacja. Chodziła na plażę i pływała, ale w drodze powrotnej nierzadko robiło się jej słabo, miała zawroty głowy, ogarniało ją obezwładniające zmęczenie, nie mogła zebrać myśli. Z plaży do numeru jedenastego na Shell Street był niespełna kilometr, ale Melanie docierała do domu ledwie żywa, jakby cudem powróciła z pustyni.

Dlatego w dniu, kiedy ujrzała Petera, czekającego pod drzwiami, uznała go spokojnie za halucynację.

Najpierw zobaczyła taksówkę z korporacji Atlantic, a taksówka z zasady oznaczała Teda. Ale była środa, nie piątek, choć Melanie odniosła mgliste wrażenie, że Ted miał przyjechać wcześniej, niż planował, żeby być przy Vicki podczas kontrolnej tomografii. Ale to przecież dopiero za tydzień? Takie sprawy nieustannie wypadały jej z głowy. Mimo to na widok taksówki pomyślała: Ted. Bo kto inny? Nie miały gości.

Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że w cieniu ganku stoi mężczyzna, bardzo wysoki mężczyzna w garniturze. Od tyłu, pomyślała, wygląda jak Peter. Zamrugła. Pod koniec marszu do domu zawsze tak miała, jakaś mgiełka przed oczami. Była zmęczona i spragniona. Noc spędziła z Joshem i wróciła do domu tak późno, że aż wcześnie.

Mężczyzna odwrócił się albo obejrzał przez ramię, zerknął na ulicę. Melanie stanęła. To naprawdę był Peter. Żołądek się jej skurczył, załaskotało w nim, jakby zjeżdżała w wagoniku kolejki górskiej. Jasna cholera, wrzasnęło coś w jej głowie. To Peter! Peter przyjechał! Jak to możliwe? Zerwał się z roboty? Przyleciał samolotem? Uznał, że w porządku, że może się zjawić bez pytania? Odbyli parę rozmów telefonicznych, dokładnie trzy, nie licząc tej z aparatu w sklepie, nie licząc tej, kiedy odebrała Vicki. Czyli w sumie pięć - ale Peter ani razu nie wspomniał, że zamierza zrobić coś takiego. Spytał Melanie, kiedy wróci do domu - i to było słuszne pytanie. Dawało jej panowanie nad sytuacją. Mogła wrócić, kiedy się jej zechciało, i wówczas rozprawiliby się z resztkami ich małżeństwa. Nie mogła uwierzyć, że Peter stoi pod drzwiami chatki. Wyobraziła sobie, że dziecko w jej brzuchu fika koziołki. Jak śmiałeś przyjechać! - pomyślała. A jednocześnie: jak dobrze, że Josh dziś nie przyjdzie. Josh. Po chwili zdała sobie sprawę, że przyjazd Petera nie tylko ją przeraził, ale jej pochlebił. Przed sprawą z Joshem ten przyjazd byłby ziszczeniem marzeń.

Nie potrafiła przemóc bezwładu; szkoda, że nie można zatrzymać tej chwili, kiedy ona widzi Petera, a on jej nie. Drzwi numeru jedenastego zawsze były otwarte. Peter nie nacisnął klamki? Nie zapukał? Vicki pewnie śpi z dziećmi, Brenda jeszcze nie wróciła. Melanie stała w cieniu jesionu sąsiadów i przyglądała się mężowi. Wyglądał zdecydowanie nie na miejscu w tym garniturze, ale garnitur sugerował także, że Peter jest dorosły, jest zatrudnionym w mieście mężczyzną, nie studentem.

Postała tak jeszcze parę sekund, ale była na łasce i niełasce własnego ciała. Umierała z pragnienia - i, jak zwykle, chciało się jej siusiu. Ruszyła, udając, że nie zauważyła Petera, próbując nie przejmować się swoim wyglądem. Nie widziała go od prawie dwóch miesięcy. Była okazalsza, z wyraźnie zarysowanym brzuchem. Wracała prosto znad morza, a jej włosy były... jakie? Dotknęła ich: skręcone i zeszywniałe od soli. Spieczona skóra twarzy szczypała. A jednak Melanie czuła się piękna. To przez Josha, pomyślała. Czuję się piękna, bo mam Josha.

Otworzyła furtkę i ruszyła kamienną ścieżką. Peter ją dostrzegł, czuła na sobie jego oczy, ale nie patrzyła na niego, nie zwracała na niego uwagi, nie zamierzała odezwać się pierwsza.

- Melanie...?

W jego głosie zabrzmiało zdziwienie, tak jak chciała. Lepszy taki ton niż ten, którego używał, chcąc zwrócić jej uwagę na coś oczywistego. *Ziemia do Melanie!* Nie udawała zaskoczenia, lecz obrzuciwszy go szybkim, przelotnym spojrzeniem, sięgnęła do klamki. Dotknął jej ramienia. Jego głos wyraźnie złagodniał.

- Cześć, Mel. To ja.

- Widzę. - Spojrzała na niego. Ten ruch jej szyi, umożliwiający spojrzenie mu w oczy, był jednocześnie znajomy i obcy. Peter był wysoki, metr dziewięćdziesiąt dwa, a Josh przewyższał ją tylko o parę centymetrów. Peter miał skórę w ciepłym, złocistym kolorze, choć przysięgał, że utknął na całe lato w biurze, i tęskniła za tymi migdałowymi oczami, za wyrafinowaną linią jego powiek. To jej mąż. Mężczyzna, z którym była prawie dziesięć lat.

Zanim się zorientowała, pochylił się, żeby ją pocałować. Zamknęła oczy. Ten pocałunek różnił się od tysięcy innych w ich małżeństwie, z których wiele było z obowiązku, bez uczucia, przekonania, chęci. Ten pocałunek był badawczy, przeciągły, przeproszający. Odebrał jej dech.

Ale bez przesady, powiedziała sobie. Nie jestem tak łatwą zdobyczą. Weszła do domu. Peter musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową we framugę.

- Cicho - rzuciła. - Vicki i dzieci śpią.

- Dobrze - szepnął. Ruszył za nią do dużego pokoju. Zauważyła, że dźwiga podróżną torbę. - Ładnie tu. Nie tak to sobie wyobrażałem, ale ładnie. Staroświecko.

- Mnie się podoba - oznajmiła wojowniczo, jakby Peter krytykował dom. - Chatka jest z 1803 roku. Rodzina Vicki ma ją od ponad stu lat.

- Niesamowite.

Z powodu niskich sufitów musiał się garbić. Melanie obserwowała, jak wodzi wzrokiem po szczegółach pokoju - kominek, półki, stolik, sofa, stół kuchenny, telefon z okrągłą tarczą, srebrny laminat, urządzenia sprzed sześćdziesięciu lat, plecione dywaniki, belki pod sufitem, drzwi ze szklanymi gałkami, wiodące do innych pokoi, pewnie tak małych i zachwycających jak ten. Peter stał, kiwał głową, może czekał, aż Melanie zaprosi go do swojego pokoju.

- Gdzie się zatrzymasz? - spytała.

- E... - zająknął się, jakby go zaskoczyła. - Właściwie jeszcze o tym nie myślałem.

- Jest sierpień - powiadomiła go. - Mądrze byłoby zrobić rezerwację.

- Myślałem, że mogę zamieszkać tutaj. Z tobą. Myślałem...

Melanie przerwała mu piskliwym śmiechem. Śmiała się, bo nie wiedziała ani co powiedzieć, ani co czuje. Chciało się jej siku.

- Przepraszam na chwilę - rzuciła.

- Oczywiście.

Zamknęła drzwi do łazienki i dla bezpieczeństwa obróciła klucz w zamku. *Myślałem, że mogę zamieszkać tutaj, z tobą.* Wyobraziła sobie Frances Digitt z tą słodką krótką fryzurką i pełnymi blasku niebieskimi oczami. Frances zawsze pytała o in vitro takim konfidencjonalnym tonem: Jak idzie? Moja siostra Jojo, ta z Kalifornii, przechodzi dokładnie to samo. Musi być ciężko... Przez wiele miesięcy Melanie myślała, że Frances Digitt szczerze jej współczuje, ale teraz stało się jasne, że w ogóle nie życzyła jej dobrze; najprawdopodobniej siostra Jojo z Kalifornii w ogóle nie istnieje. Frances Digitt przemierzała na nartach kanadyjskie Góry Skaliste, zeskakiwała w dzikie góryste tereny z helikoptera. Była osobą szukającą niebezpieczeństwa - więc kiedy się nadarzył cudzy mąż... dlaczego nie? Czekoladowy labrador Frances Digitt nazywał się Bobo; to jedna z tych kobiet, które psy uważają za swoje dzieci. Pies pewnie się już przyzwyczaił do Petera, lizał jego ręce, opierał głowę na kolanach i piszczął, żeby go pogłaskać.

Myślałem, że mogę zamieszkać tutaj, z tobą.

Spuściła wodę. Nogi się pod nią uginały. Podeszła chwiejnie do piegowatego lustra i uśmiechnęła się do siebie. Wyglądała dobrze, lepiej niż dobrze. Furia dodawała jej sił - a naprawdę ogarnęła ją furia! Miała ochotę wpaść w szal jak małe dziecko. Jak śmiałeś! Ty draniu! Ty gnoju! Bez wątpienia spodziewał się, że Melanie ze łzami szczęścia zaprosi go do łóżka. Przecież był jej mężem, ojcem jej dziecka.

Miała to gdzieś!

Umyła ręce i twarz, wytarła do sucha, napiła się z kubka dzieci. Vicki obudzi się lada chwila, Brenda wróci do domu, więc musi sobie poradzić, i to szybko.

Peter stał tam, gdzie go zostawiła. Olbrzym w domku dla lalek. W chatce jest gorąco, uświadomiła sobie. W tym garniturze pewnie się roztopia z upału.

- Napijesz się? - spytała.

- Chętnie.

Nalała dwie szklanki lemoniady, dodała lodu. Wypiła swoją do dna i napełniła jeszcze raz. Osunęła się na krzesło w kuchni; nie mogła ustać ani chwili dłużej. Peter dalej stał, dopóki nie wskazała mu krzesła naprzeciwko. Zdjął marynarkę, poluzował krawat, usiadł.

- Jak się czujesz? - spytał. - Wyglądasz świetnie.

- Co ty tu robisz, Peter?

Podwinął rękawy koszuli. O pewnych szczegółach nie pamiętała - na przykład jakie ma muskularne przedramiona, i ten zegarek Tag Heuer ze szczerkowanej stali, który zawsze nosił tarczą do dołu, a w chwilach zdenerwowania potrzasał nim. Zapomniała, jaką ma gładką skórę, praktycznie bezwłosą; musiał się golić tylko dwa razy w tygodniu. I zapomniała o tej lśniącej różowej wilgoci jego warg i ledwie widocznej bliznie na nosie, centymetrowej białej kreseczce (pamiątka po wypadku autobusowym w dzieciństwie). Dotykała tej blizny niezliczoną ilość razy, całowała ją, lizała, muskała rzesami. To był jej mąż. Co to znaczyło - w erze przeddigittowej? Początkowo mieszkali na Manhattanie, jeździli metrem, jedli dania na wynos, chodzili do kina i na odczyty, ćwiczyli na siłowni, pracowali na ochotnika w darmowej jadłodajni i schronisku. Testowali nowe knajpy, spotykali się w hotelowych barach na drinka z ludźmi z pracy Petera, ludźmi takimi, jak Ted i Vicki. Szukali różnych potrzebnych rzeczy: nowej sofy, zasłon, urodzinowego prezentu dla mieszkającej w Paryżu matki Petera. Mieli mnóstwo pieniędzy, a co ważniejsze, mnóstwo czasu. Godzinami czytali niedzielne gazety, wyprawiali się na długie spacery po

Central Parku. Po przeprowadzce do Connecticut grabili liście, kosili trawę, malowali salon, pracowali w ogrodzie. Ale czegoś im zabrakło - więzi, celu innego niż zdobywanie przedmiotów, wywiązywanie się z zadań. Dzieci! Melanie chciała mieć dzieci. Wtedy ich małżeństwo zaczęło się naprawdę - przynajmniej tak uważała. Odkryli misję, zjednoczeni pragnieniem. Podarunki i podróże, które pojawiły się zamiast dziecka - te orchidee, trufle, mieszkanie z widokiem na morze w Cabo - miały być pocieszanką dla Melanie, miały ją uszczęśliwić. A tymczasem tylko ją złościły. W tych ostatnich miesiącach nie zadowalało jej nic z wyjątkiem jednego. Seks stał się pracą; omal nie zaczęła się posługiwać w łóżku termometrem, kalendarzem i stoperem. Czy to dziwne, że Peter uciął sobie romansik z kimś młodym, odważnym i wesołym, z kimś, komu zamiast dziecka wystarczyło stworzenie ważące pięćdziesiąt kilo i porośnięte brązową sierścią?

Tak, to dziwne. Peter był jej mężem. Melanie uważała, że to oznacza, jeśli nie prawo własności do siebie nawzajem, to co najmniej związek. Małżeństwo było czymś, co oboje zgodzili się cenić, jak wazę z epoki Ming; było to coś, co nieśli oboje, sprawiedliwie obarczeni ciężarem. Ale Peter się zmęczył dźwiganiem.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - powiedział. - Strasznie długo cię nie ma. Tęsknię za tobą.

- Gówno prawda - mruknęła. Dotknęła brzucha. - Jesteś tu tylko dlatego, że zaszłam.

- Nieprawda.

- Prawda, prawda. Po co udawać?

- Z Frances już koniec - obwieścił.

Nie odpowiedziała, choć żywo ją to interesowało. Czy Peter skończył romans z Frances, bo na nowo owoładnęła nim miłość i tęsknota za żoną? Czy też Frances Digitt po prostu poznała kogoś innego w Hamptons?

- Powiedziałem, że...

- Słyszałam.

- Myślałem, że będziesz...

- Co? Skakać z radości? Ulgi? Nie ufam ci, Peter. Zdradziłeś mnie, zdradziłeś nasze małżeństwo, i choć o tym nie wiedziałeś, zdradziłeś to dziecko.

- Wiedziałem, że będziesz histeryzować.

O, to już był Peter, którego znała. Tak, jakby trwał rozdarty między własną osobowością i inną, na którą się silił: życzliwą, ugodową.

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Na pewno. W to nie wątpię. Wyjdź stąd.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam, przepraszam. - Pochylił się i spojrzał jej w oczy w sposób dający się określić wyłącznie jako błagalny. - Kocham cię, Mel.

- Nieprawda.

- Prawda. Chcę, żebyś wróciła.

- Nie chcę wracać. Tu mi dobrze. - Odetchnęła, policzyła do trzech, tak jak każdego popołudnia, zanim zanurzyła się w oceanie. - Mam kogoś.

- Kogoś?

- Kogoś. - Z jej brzucha dobiegł dziwny, bulgotliwy odgłos, który mógłby złagodzić napięcie, ale nie złagodził, Peter dalej trwał z ogłupiałą, wstrząśniętą miną.

- Kogo?

- Nie twoja sprawa - ucięła. Od razu zaczęła robić sobie wyrzuty. Nikt nie powinien się dowiedzieć o Joshu, czyli Peter też. Ale nie potrafiła się pohamować. Chciała to powiedzieć Peterowi od pierwszej nocy z Joshem, tej w kościelnym ogrodzie. Chciała, żeby Peter wiedział, że wyrównała z nim rachunki. Też miała kochanka!

- No cóż - powiedział Peter. - Niech będzie.

- Niech - zgodziła się.

- Mieszka z tobą?

- Nie. Ale to nie znaczy, że ty tu zamieszkasz. Peter uniósł rękę.

- To mi wystarczy. Już rozumiem. Znajdę jakiś pokój. Może w tym hotelu przy lotnisku.

Przechyliła głowę. Ona także była rozdarta między tą miłą osobą, jaką była naprawdę, i tą podłą, złośliwą, jaką chciała się stać.

- Może nie mają wolnych miejsc.

- Sprawdzę.

- Lepiej od razu wracaj do domu.

- O, nie. Tak łatwo się nie poddam.

- To nie jest gra. Nie jestem nagrodą, którą się zdobywa.

- Wiem. Ale nie wyjadę z tej wyspy, dopóki każda komórka twojego ciała nie pojmie, że cię kocham. Jestem szczery.

- Nie jesteś.

- To powiedziałem szczerze. - Peter obszedł stół i zgiął się wpół, by ją objąć. Zrobił to niezdarnie, ale tak jak w przypadku pocałunku, ten uścisk był jakiś wyjątkowy, szczery.

- Pozwól, że cię gdzieś zaproszę - dodał Peter. - Gdzie tylko masz ochotę.

To znowu dawny Peter. Pozwól, że wydám na ciebie pieniądze.

- Nie.

- Więc co? Wolno mi spędzić z tobą pięć minut i koniec? Nawet nie zjesz ze mną kolacji?

- Właśnie.

- Mel, daj spokój. Urwałem się z roboty. Przyleciałem aż tutaj.

- Nikt cię nie prosił. Gdybyś zadzwonił, powiedziałabym, żebyś się nie fatygował.

- Musisz ze mną zjeść kolację. Proszę.

- Coś do ciebie nie dociera, Peter. Sprawileś mi ból. Złamałeś serce. Zawiodłeś moje zaufanie.

- Wiem, wiem. Usiłuję ci powiedzieć, że tamto już skończone i że przepraszam. Dlatego tu jestem. Pozwól mi zostać i zjeść z tobą kolację. Tylko o to proszę. Kolacja z tobą. Proszę.

- Dobrze. Ale zjemy tutaj.

- Z Vicki? I...

- I jej siostrą Brendą. Tak.

- Achchch... - Był wyraźnie zawiedziony. Nie chciał kolacji w towarzystwie Vicki i Brendy, jasne, że nie, ale to był pierwszy egzamin. - Dobrze. Jasne. - Podniósł torbę. - Mogę się przebrać?

- Peter!

Melanie zgrzytnęła zębami, gdy Blaine rzucił się w ramiona Petera. Czegoś nie przewidziała. Vicki i Brenda mogły nie wspomnieć Joshowi o obecności Petera (Melanie by je o to poprosiła, choć musiałyby się bardzo zastanowić nad pretekstem) - ale Blaine wypaple mu natychmiast, w pierwszych słowach.

Peter parsknął śmiechem.

- Wreszcie ktoś się ucieszył na mój widok. Jak leci, brachu?

- Dobrze - powiedział Blaine.

Peter postawił go na ziemi.

- Rośniesz. Ile masz lat? Siedem?

Blaine się rozpromienił.

- Cztery i pół.

- Widzisz? Tak urosłeś, że myślałem, że masz siedem lat.

- Przyjechałeś z moim tatą?

- Nie. Przyjechałem sam. Chciałem się spotkać z Melanie.

- Po co?

- Melanie jest moją żoną. Pamiętasz?

- Tak?

- No... - mruknęła Melanie.

- Co? - podchwycił Peter. - Jesteś moją żoną.

Vicki i Brenda przygotowywały kolację w milczeniu. Przyjazd Petera nimi wstrząsnął, ale Melanie nie potrafiła się zorientować, czy się cieszą, czy są złe i niechętne. Brenda była bardziej zaskoczona, Vicki odnosiła się do Petera z jawnym cynizmem, ale w końcu знаła go od dawna.

- A to dziecko - dodał Peter, gładząc brzuch Melanie - jest moje i Melanie.

- Tak? - zdziwił się Blaine.

- Zdumiewające - odezwała się Brenda z kuchni. Tak głośno, że Melanie i Peter usłyszeli.

Zła, pomyślała Melanie. Niechętna.

- Peter przywiózł wino - oznajmiła. - Brenda, masz ochotę? Vicki?

- Tak - powiedziała Brenda.

- Tak - powiedziała Vicki.

Melanie naląła do trzech kieliszków. Strasznie się jej chciało upić łyżek, ale nie, nie zrobi tego.

- Chcesz wyjść na dwór porzucać kamieniami? - spytał Blaine Petera.

- Jasne - odrzekł. - Uwielbiam rzucać kamieniami. Drzwi trzasnęły za nimi.

- Żebym ja w niego nie rzuciła - wymamrotała Vicki.

- Vick...

- Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

- Ja nie przepraszam - odezwała się Brenda. - Przez tyle tygodni czułaś się strasznie przez tego gnojka, że mamy prawo być złe. Co to za wyskakiwanie jak diabeł z pudełka?

- Wiedział, że gdyby spytał, nie zgodziłabym się.

- Powinnaś go wysłać do wszystkich diabłów - oznajmiła Brenda.

- On tu nie zostanie.

- Ma hotel?

- Chyba chce zamieszkać w hotelu przy lotnisku - powiedziała Melanie, choć wiedziała, że Peter nie zrobił nic, żeby zarezerwować pokój. Mało tego, gestem posiadacza rzucił torbę na drugie łóżko w pokoju Melanie.

Widzę, że dały ci celę zakonną, odezwał się, wchodząc do pokoju. Sypiasz ze swoim kochankiem na tym wąskim łóżeczku?

Mówiłam ci, on tu nie mieszka.

Już wiem, dlaczego, oznajmił Peter. Bez skrupowania przebrał się w szorty i koszulkę polo na oczach Melanie. Przyglądanie się mu, kiedy się rozbierał, wydało się jej dziwne.

Omam nie wyszła, ale przecież to był jej mąż. Ile razy przedtem widziała, jak zdejmuje ubranie? Setki. Tysiące.

Kto to jest? - spytał. Jakiś bogacz, co ma dom na plaży?

Nie powiem ci. To cię nie dotyczy.

Dotyczy. Jesteś moją żoną. Nosisz moje dziecko.

Melanie naląła sobie wody sodowej. Co ma zrobić z Joshem? Pójdzie do niego wieczorem? Powie mu? Czy jest gotowa na powrót z Peterem? Miała wrażenie, że nie, ale to był jej mąż. Czy zamierza wychować to dziecko sama, jako samotna matka, bez ojca?

- Nie wiem, co zrobię - powiedziała do Brendy i Vicki. - I proszę, żebyście to uszanowały. Rozegram to intuicyjnie. Wysłucham, co gość ma na swoją obronę. Przemyślę to. Jutro odeślę go do domu.

- Dobrze - zgodziła się Vicki.

- Chcę was prosić o coś jeszcze.

- Co? - spytała Brenda.

- Nie mówcie Joshowi o przyjeździe Petera.

- Dlaczego? - zdziwiła się Brenda.

- Dlaczego? - zdziwiła się Vicki. Obie wpatrywały się w nią uważnie.

Melanie pociągnęła łyk wody sodowej, rozpaczliwie żałując, że to nie wódka.

- Opowiadałam mu o Peterze różne rzeczy, pewnie ma o nim takie zdanie, jak wy, ale jest młody, rozumiecie, i to facet. Nie zrozumie.

- Ty coś do niego czujesz - odgadła Vicki. Miała tak skupione spojrzenie, że mogłaby nim wiercić dziury. - Czujesz coś do Josha.

Brenda rozpromieniła się jak dziecko.

- Chcesz powiedzieć, że czuje to, co wiesz?

Melanie poczuła, że jej twarz przybiera kolor pomidorów w sałatce caprese. Zmusiła się do śmiechu.

- O rany, Vick. Odwal się, dobra?

- Mylę się? - Vicki nie ustępowała. Pytała raczej zaciekawiona niż zgorszona, ale to by się szybko zmieniło, gdyby dowiedziała się czegoś więcej o Melanie i Joshu.

- Nie wspominajcie o tym Joshowi, dobrze? - poprosiła Melanie. - Zachowajmy to dla siebie.

- Ona czuje to, co wiesz - upewniła się Brenda. - Nie do wiary.

- Brenda - zgasiła ją Vicki.

- Co? Sama powiedziałaś.

Trzasnęły drzwi. Wszystkie odwróciły się gwałtownie.

- Oho. Przepraszam - powiedział Peter. - W czymś przeszkodziłem?

Przy kolacji rozmawiali - Melanie chyba nawet się udzielała - ale potem nie pamiętała ani słowa. Jej mózg był bez reszty zajęty gigantycznym bigosem, którego narobiła. Był jak splątany kłęb włóczki. Musiała go powolutku rozplątać.

Po kolacji Peter zmył naczynia. Vicki poszła wykąpać dzieci, poczytać im i ułożyć do snu. Brenda przez jakiś czas snuła się po kuchni, wykańczając butelkę wina. Przyglądała się Melanie zdecydowanie zbyt przenikliwie. W końcu zwinęła żagle. Melanie i Peter odnosili się do siebie uprzejmie - zmyli naczynia, wytarli, ustawili, wytarli blaty, spakowali resztę jedzenia - byli dla Brendy zbyt nudni.

- Idę poczytać - oznajmiła. - Dobranoc.

Była dopiero dziewiąta. Na dworze zrobiło się ciemno. Jak to w sierpniu.

- Chcesz się przejść? - spytał Peter. - Siedzę tu cały dzień, a jeszcze nie widziałem plaży.

- Dzwoniłeś do hotelu? - spytała.

Podszedł do niej, objął ją w talii.

- Nie.

- Nie zostaniesz tutaj. - Usiłowała się odchylić, wysunąć z jego objęć, ale mocno ją przytulił. Zesztywniała, znieruchomiała. Za godzinę będzie się musiała wymknąć na spotkanie z Joshem.

- Masz dwa łóżka. Położę się w tym drugim. Bardzo niewinnie.

- Nie. Odpowiedź brzmi: nie.

- Kocham cię, Mel.

- Nie wierzę ci.

Pochylił się i pocałował jej włosy.

- Przepraszam za Frances.

- Nie mogę znieść nawet dźwięku jej imienia, wiesz o tym? Na myśl o niej chce mi się wymiotować. Dostaję od tego wysypki.

Peter odsunął ją, by na nią spojrzeć.

- Źle postąpiłem. Byłem zdezorientowany, zły, wściekły na ciebie i na ten cały młyn, w który nas wrobiłaś. Tylko dziecko liczyło się dla ciebie. Tyle razy, w łóżku i nie tylko, byłem pewien, że w ogóle mnie nie widzisz. Tak mało dla ciebie znaczyłem. Pogubiliśmy się, i nie winię cię za to, bo to także moja wina. Źle postąpiłem. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność i proszę, żebyś mi wybaczyła.

- Bo jestem w ciąży.

- Nie.

- Więc dlaczego akurat teraz? Czemu nie pierwszego tygodnia? Czemu nie wtedy, kiedy zadzwoniłam do ciebie szesnaście razy?

- Byłem zły, że wyjechałaś. Roześmiała się.

- A to dobre!

- Byłem taki zdezorientowany... Wyjeżdżałaś, wiedząc o ciąży?

- Tak.

- Widzisz? Mogłem być wściekły na ciebie. Ale nie jestem. Wybaczam i chcę, żebyś mi wybaczyła.

- A jeśli nie będę mogła?

- E, znam cię. Zawsze wybaczasz.

- Zwłaszcza kiedy dzwonicz, że będziesz pracować do późna albo musisz zostać w mieście...

- Frances wyjeżdża z Nowego Jorku. Kiedy z nią zerwałem, poprosiła o przeniesienie. Jedzie do Kalifornii, żeby być bliżej siostry.

- Nie będzie ta, to będzie inna.

- Tak - powiedział Peter. - Będziesz ty. I nasze dziecko.

Melanie westchnęła. Na dworze rozległ się zgrzyt muszelek pod oponami; przechyliła głowę. Josh? Wyrzała przez okno. Samochód minął ich dom.

- Musisz już iść. Do hotelu. Nie przyjmę cię tutaj. Peter wyszarpnął komórkę z kieszeni.

- Świetnie - warknął. Był zły. - Wezwę taksówkę i każę się gdzieś zawieźć.

- I o to chodzi. Idę spać. Spakuję twoje rzeczy i wystawię za drzwi.

- Zobaczymy się jutro?

- Może na chwilę. Zadzwon do mnie jutro i powiedz, gdzie się zatrzymałeś. Przyjdę. Ale jutro wracaj już do domu. Ted przyjeżdża w piątki, a ten dom jest za mały na...

- Wróc ze mną.

- Nie. Wrócę za parę tygodni.

- Zostajesz z powodu tego...

- Zostaję, bo mi tu dobrze.

- Dobrze ci z nim?

- Dobrze mi tutaj.

- Ale wrócisz do domu?

- Kiedyś.

- Kocham cię. Jak mam cię przekonać?

- Wyjdiesz stąd w końcu? Bardzo cię proszę.

Peter stał na kamiennej ścieżce aż do przyjazdu taksówki, czyli do wpół do dziesiątej. Melanie patrzyła na niego z okna sypialni. Josh. Musiała mu powiedzieć. Położyła się na łóżku. Była wykończona. Josh może to źle przyjąć, choć oboje zgodnie uznali, że to, co ich łączy, to tylko letni romans. On wróci do Middlebury w pierwszym tygodniu września; historia Josha i Melanie tu miała swój koniec. Gdyby ciągnęli ją dalej, stałyby się komiczna. Melanie wyobraziła sobie, jak koczuje z noworodkiem w akademiku Josha. Absurd. Idiotyzm. Zostały im dwa i pół tygodnia. A potem koniec. Zamknęła oczy. Byłoby lepiej, gdyby Peter zaczekał. Dlaczego postanowił przyjechać akurat teraz...

Ale, pomyślała, jak serce chce, to chce.

Kiedy się obudziła, spod rolet sączyło się łagodne światło, a cholerny strzyżyk już śpiewał. Usiadła i spojrzała na budzik. Wpół do siódmej. Czowała mrowienie w stopach i miała wrażenie, że serce bije jej nieregularnie. Znowu nie poszła na spotkanie z Joshem. I to akurat w tę noc! Opadła na poduszki; nie rozebrała się, dlatego miała to okropne uczucie po śnie w ubraniu. Dziś musi jakoś pogadać z Joshem. Ale bardzo, bardzo ostrożnie, ze względu na Vicki i Brendę. Vicki już wiedziała, albo tak się jej wydawało. Skąd? Czy rak obdarza człowieka szóstym zmysłem, czy po prostu Melanie jest dla niej jak otwarta książka? Nieważne. Ona się wyprze - a Josh na pewno też. Ale będą musieli podwoić wysiłki, żeby tajemnica pozostała tajemnicą.

Z salonu dobiegały głosy. Blaine już nie spał. Melanie wstała, rozebrała się. Już teraz panował upał i duchota; pomimo otwartych okien w jej pokoju było gorąco jak w kotle. Włożyła szlafrok. Prysznic, pomyślała. Pogadać z Joshem, iść do hotelu Petera (spotkanie w lobby, gdzie jest bezpiecznie), odstawić go na lotnisko.

Weszła do salonu. Jej bosa stopy dotknęły złocistych desek w tej samej chwili, gdy Peter odchrząknął i zaczął czytać „Gdy kacuszki szły przez dróżki” - cichym, lecz czarującym lektorskim tonem. No nie, pomyślała. To niemożliwe. Ale tak - Peter siedział na niebieskiej sofie obok Blaine'a i czytał. Zatrzymała się jak skamieniała. Przy sofie leżała otwarta torba Petera; on sam był ubrany w jasnozieloną piżamę. Spędził tu noc? Niemożliwe. Stała w oknie, dopóki taksówka nie uwiozła go w dal.

Podeszła do sofy. Peter wymieniał imiona kacuszek głosem żartobliwym i zaangażowanym: Mak, Smak, Frak,

Hak, Gdak i Kwak... Jak na kogoś, kto twierdził, że nie chce mieć dzieci, radził sobie nad podziw dobrze.

- Co ty tu robisz, Peter? - spytała.

Podniósł głowę, jakby nie spodziewał się jej tu zastać.

- Dzień dobry! Czytamy sobie.

- Mówiłam ci... Powiedziałeś... myślałam...

- Nie było pokoi w hotelu. Wszystkie pokoje na wyspie zajęte.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie też. Ale to prawda. Chyba z powodu upału na Wschodnim Wybrzeżu. Więc wróciłem. Drzwi były otwarte. Uznałem, że ci to nie przeszkadza.

- Przeszkadza.

Blaine miał bolesną minę; wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować.

- Chcę, żeby Peter skończył czytać - odezwał się. - Proszę.

- Ależ oczywiście. - Peter spojrział z tryumfem na Melanie i wrócił do zapoznawania Blaine'a z losami rodziny Kwaczyńskich.

Melanie wypadła z pokoju jak burza.

Kiedy wyszła spod prysznic, czysta, przebrana i gotowa odwieźć Petera na lotnisko - jak najszybciej, zanim przyjdzie Josh - Blaine siedział przy stole i jadł płatki. Całkiem jak w każdy inny dzień, gdyby nie ta torba Petera, leżąca w salonie niczym niepokojące zwierzęce szczątki. Uśmiechnęła się do Blaine'a; biedne dziecko, dość miało przeżyć tego lata, nie trzeba mu jeszcze widoku gnijących flaków małżeństwa Melanie.

- Gdzie Peter?

- Na plaży - oznajmił Blaine. - Chciał ją zobaczyć. Był w kąpielówkach. Poszedł pływać. Chciałem z nim iść, ale kazał mi zostać.

Melanie osunęła się na krzesło. Był kwadrans po siódmej. Mogła pojechać yukonem na plażę, zgarnąć Petera, przywieźć go tutaj, żeby wziął prysznic i się spakował, a potem go wyekspediować. Ale czy się wyrobi w czterdzieści pięć minut? Czy Peter nie wyczuje jej niepokoju i nie zacznie się nad nim zastanawiać? I czy nie stawi oporu? Czy Vicki i Brenda nie zdziwią się, dlaczego Melanie tak się stara wypchnąć Petera z domu do ósmej?

Nabrała tchu.

Ta sytuacja wybuchnie mi w twarz.

- Wybuchnie? - spytał Blaine.

- Powiedziałam to na głos?

- Co wybuchnie?

- Nic - powiedziała. - Nic tu nie będzie wybuchać.

Uważaj.

To była najlepsza rada, jaką mógł mu dać ojciec, a im dłużej Josh rozważał sytuację, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tylko to można powiedzieć komuś w jego sytuacji. Zapisał te słowa w pamiętniku: uważaj.

Melanie znowu się nie pojawiła - więc to już drugi raz. Czekał tylko do wpół do jedenastej, a wracając do domu, specjalnie nie przejechał koło numeru jedenastego na Shell Street. Miał lepsze zajęcia niż śledzenie Melanie. Może dziś to on powinien zostać w domu. Albo lepiej, może powinien zadzwonić do Zacha i kumpli z liceum i umówić się z nimi na browar. Pić piwo, przyglądać się letniczkom, tańczyć. Ale, jak zwykle, zaczął usprawiedliwiać Melanie. Przecież jest w ciąży, a więc ma prawo do zmęczenia. A może coś jej dolegało, jakieś bóle - albo coś się wydarzyło z Vicki. Melanie nie wystawiłaby go bez powodu, nie była taka.

Zatrzymał samochód przed jedenastką. Poczł zapach bekonu i zaburczało mu w brzuchu. Papierowy kubek z kamykami stał na środku kamiennej ścieżki. Josh podniósł go po drodze.

- Cześć - odezwał się. Postawił kubek na zwykłym miejscu, wysoko na okiennym parapecie, poza zasięgiem Portera.

- Cześć, Josh - odpowiedziała Vicki.

Stała tyłem do niego, przy kuchence, ale głos miała jakiś inny. Napięty, nieprzyjemny. Przy stole kuchennym siedział obcy mężczyzna, zajądający placuszki z jagodami.

- Cześć - powtórzył Josh. Porter siedział w wysokim krzeselku, przed miseczką kaszki. Blaine zajmował miejsce koło nieznanego. Bawił się resorakiem.

Mężczyzna chciał wstać. Wpadł na stół, jego serwetka ześliznęła się na podłogę; wyciągnął do Josha rękę nad głowami Blaine'a i Portera. Miał wyjątkowo długie ręce.

- Cześć - powiedział. - Jak się pan ma? Jestem Peter Patchen.

- Josh Flynn. - Na szczęście te słowa same mu się powiedziały, odruchowo, bo zaraz potem jego głowę wypełnił biały szum. Peter Patchen. Peter Patchen.

- Głodny? - spytała Vicki.

- Hmm... Eeee... Właściwie nie.

- Nie? - Vicki się odwróciła.

Josh pokręcił głową, albo chciał pokręcić, ale zbyt fascynował go widok Petera Patchena, który był bardzo wysoki i jadł placki z jagodami, w innych okolicznościach należące się Joshowi. Peter Patchen miał mokre włosy, bardzo czarne, jak u Chińczyka. Ten człowiek to Azjata. Czyli to nie może być Peter Patchen, bo Melanie nie wspominała, że jej mąż jest Azjata. Choć właściwie po co miałyby wspominać? Peter Patchen miał na sobie biały podkoszulek z jakimś napisem, jakiś okolicznościowy podkoszulek, firmowy czy inny. I szorty. Zwykle szorty kha-ki. Był boso. A więc tu zamieszkał, zamieszkał, wziął tu prysznic. Josh omiół pokój spojrzeniem - stał się detektywem, szukał poszlak, śladów, a także Melanie. Gdzie Melanie? Chciał ją zobaczyć. Nie mogłaby go oszukać, nie umie kłamać, więc wystarczy tylko spojrzeć na jej twarz. Przestań, powiedział sobie. Wiadomo, co się tu dzieje - Peter Patchen, niewierny mąż, przyjechał na Nantucket, zamieszkał w tym domu, zżera placuszki przeznaczone dla Josha i kumpluje się z Blaine'em - właśnie zapytał o resoraka, miniaturowy model shelby cobry, który Josh kupił chłopcu, gdy Vicki leżała z gorączką. Peter przejął samochód, podniósł go do światła, gwizdnął z podziwem.

W kuchni było bardzo, bardzo gorąco.

- Cześć, Josh. - Brenda minęła go, lekko dotknęła jego pleców. - Znasz Petera? Męża Melanie?

- Mhm - mruknął. Uważaj! zamigotał neon pod jego powiekami, a temu migotaniu towarzyszył piskliwy sygnał, jakby alarm. Ale Josh nie mógł się powstrzymać. - A gdzie jest Melanie?

Vicki i Brenda obejrzały się na niego. Czuł ich spojrzenia, ale sam wpatrywał się w Petera Patchena, męża Melanie.

Jeśli odpowie, myślał, stłukę go na miazgę. Ale wszyscy milczeli - dziwnie? - i tylko boczek skwierczał na patelni, syczał i pluł jak wściekły. Blaine podniósł głowę. - Poszła na spacer - powiedział.

Co robić? Josh zajmował się chłopcami od siedmiu tygodni, a jednak kiedy tak stał w kuchni obok Vicki robiącej śniadanie, Brendy nalewającej kawę do termosu, Portera, Blaine'a i Petera Patchena, pożerającego naleśniki jak głodny zwierz - nie potrafił sobie przypomnieć, co powinien teraz powiedzieć albo zrobić. Zachowywać się jak zwykle? Niemożliwe.

Vicki postawiła na stole talerz bekonu, obsychającego na papierowych serwetkach.

- Josh, wszystko dobrze?

- Wyglądasz, jakbyś był chory - dodała Brenda. - Jak się czujesz?

- W porządku.

- Przygotujesz wszystko na plażę? - spytała Vicki.

- Plaża! - ucieszył się Blaine. Spojrzał na Vicki i Josha. - Peter może pójść z nami?

Z nami? - pomyślał Josh. - Powiem, że jestem chory. Muszę wracać do domu.

- Już byłem na plaży - odezwał się Peter. - I muszę dzisiaj wyjechać.

- Dzisiaj? - Blaine był zawiedziony. - Ale dopiero przyjechałeś.

- To była krótka wizyta - mruknął Peter.

- Żeby zobaczyć Melanie? - spytał Blaine.

- Żeby zobaczyć Melanie.

Jeszcze jedno słowo, pomyślał Josh, i go zabiję. Vicki wzięła go pod ramię.

- Przygotuj rzeczy na plażę - odezwała się głosem łagodnym i pełnym zrozumienia.

Już wie, pomyślał.

- Dobrze - powiedział. - W tej chwili.

Ręczniki, lodówka z obiadem, przekąski i sok, olejek, parasol, koc, pomarańczowa łopatka, smoczek, wiaderka, ubrania na zmianę, zapasowe pieluchy. Josh znał tę listę na pamięć, mógłby się pakować przez sen, a jednak cały proces zajął mu wieczność. Blaine się niecierpliwił, Porter był w doskonałym humorze, powinni pruć na plażę pełną parą. Ale Josh zwlekał. Czekał na powrót Melanie. Gdzie ona się podziewa? Usiłował niepostrzeżenie zajrzeć do czarnej torby przy sofie. Czy to torba Petera? Dobrze, że za sofą, nie w sypialni Melanie. Chciał przed wyjściem porozmawiać z Peterem - ale o czym? Peter ciągle tkwił przy stole, gładząc o tym, owym i tamtym, przyjaciółach i wrogach z Connecticut i „miasta”. Josh stanął w progu.

- No, to idziemy. Vicki wyjrzała do niego.

- Dobrze.

Peter nie zwrócił na niego uwagi. Lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy wrócę, pomyślał Josh. Bo cię zabiję.

- Potrzebujesz czegoś ze sklepu? - spytał. - Jak będziemy wracać?

Vicki uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie, chyba nie.

- Dobra - mruknął. Gdzie ta Melanie? - Na razie!

Peter nadal nie obdarzył go cieniem uwagi. Uważał go za pracownika. Służącego, niewolnika. W prawdziwym życiu Melanie Peter był mężem, sąsiadem, kolegą z pracy, równym przeciwnikiem, przywódcą. Ale był także najzwyczajszym draniem, który zdradzał i kłamał - i to właśnie było prawdziwe życie Melanie.

Josh człapał ulicą, z Porterem na jednej ręce, z bambetlami w drugiej, z plażowym parasolem na plecach. Białe muszelki na ulicy iskrzyły się w słońcu, rażąc w oczy. Ten biały blask przyprawiał o ból głowy; nic dziś nie jadł, ssało go w żołądku, a dźwigał co najmniej pięćdziesiąt kilo. Kolana zaczęły mu dygotać. Co za idiota z niego, trzeba było w porę skłamać, że jest chory. Poprosił Blaine'a, żeby szedł w cieniu.

Melanie czekała na niego przy rondzie. Opierała się o balustradę przed Claudette's Lunch, gdzie musiał się na nią natknąć. Zobaczył go i serce wypełniła mu ulga i miłość, a zaraz potem furia i podejrzliwość. Uważaj, zamigotał neon w głowie.

- Jest Melanie! - zawołał Blaine.

- Widzę.

Była gotowa do treningu: szorty, białe skarpetki. Włosy zebrała w kucyk, ale spociła się i kędziorki przylgnęły do twarzy. Policzki miała rozpalone i różowe. Ruszyła koło nich i sięgnęła po rączkę lodówki.

- Pomogę.

- Nie trzeba. - W głosie Josha zabrzmiał gniew, więc dodał: - Dźwigasz własny ciężar.

- Josh?

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Co?

Blaine zatrzymał się i zadął głowę.

- Co?

Oboje spojrzeli na niego i ruszyli dalej.

- Nie wiedziałam - wymamrotała. - Nie miałam pojęcia. Absolutne zaskoczenie. Musisz mi uwierzyć.

- A wczoraj w nocy? Gdzie byłaś?

- Zasnęłam.

- Nie kłam.

- Nie kłamię.

- Gdzie spał? Z tobą?

- Powiedział, że jedzie do hotelu, ale nie mógł znaleźć pokoju, więc wrócił - wtedy już spałam - i runął na sofę. Kiedy się obudziłam rano, siedział w pokoju. W życiu bym się nie spodziewała...

- Mówicie o Peterze? - spytał Blaine.

- Nie - rzucili jednocześnie.

Przed nimi pojawił się parking przed publiczną plażą.

- Dziś na plaży tłok - powiedział Josh do Blaine'a. - Chcesz pobiec i znaleźć dobre miejsce, zanim ktoś nam je zajmie?

- Ktoś zajmie nasze miejsce? - przejął się Blaine. - Dobrze. - I popędził, ile sił.

- Uważaj! - zawołał za nim Josh. *Uważaj.*

- Pomyślałem, że na tym skończymy - zwrócił się do Melanie.

- Nie.

- Tak. - Głos miał ochryply; w gardle przeszkadzała mu jakby wata albo śluz. - Zresztą to i tak tylko parę tygodni...

- Ale zawsze parę...

- Melanie. Ty wrócisz do Petera. Przyjechał po ciebie.

- Przyjechał po mnie - zgodziła się. - Ale odmówiłam. Zostanę tutaj, aż...

- Ale w końcu do niego wrócisz. Gdy stąd wyjedziesz.

Zamilkła.

- Prawda?

- Nie wiem, co postanowię.

- Wrócisz do niego. Przyznaj to.

- Nie chcę.

Dziewczyny. Kobiety, pomyślał Josh. Wszystkie są takie same. Kuszą cię, trują twoje serce, ale zamiast dać ci spokojnie odejść, zaczynają komplikować, gadać.

- Ja coś do ciebie czuję, Josh.

- Ja do ciebie też. To oczywiste. - W rozmowie z ojcem nazwał te uczucia miłością i mógłby to powtórzyć Melanie, gdyby nie ten ranek.

- To tylko dwa tygodnie - powiedziała. - Dlaczego zrywać już teraz?

Dlaczego? Na przykład dlatego, że to on w tej chwili panował nad sytuacją. Mniej więcej. Przyjazd Petera był błogosławieństwem, choć na to nie wyglądało. Dzięki niemu zyskał siły, żeby się wydostać, dopóki jeszcze nie utonął - bo możliwość, że zatonie w Melanie, w swoich uczuciach, w miłości do niej, była bardzo realna.

Nagle Melanie krzyknęła.

Daleko przed nimi Blaine biegł przez parking w stronę piaszczystego wejścia na plażę. Samochód, ogromny zielony, z przyciemnianymi szybami, wycofywał się powoli. Kierowca nie mógł widzieć chłopca.

- Blaine! - ryknął Josh. Rzucił bambetle i oddał Portera Melanie.

Blaine zatrzymał się, obejrzał. Auto nadal się cofało. Josh rzucił się pędem, krzycząc:

- Stać! Z drogi! Stać! Stać!

Samochód zatrzymał się parę kroków od Blaine'a. Josh przypadł do chłopczyka, porwał go w objęcia. Szyba samochodu zjechała w dół, na zewnątrz wyrzwała kobieta, trochę podobna do Vicki. Trzymała się za serce.

- Nie widziałam go - powiedziała. - Dzięki Bogu, że krzyknąłeś. Wcale go nie widziałam.

Josh był zbyt wstrząśnięty, żeby się odezwać. Przez chwilę tulił mocno Blaine'a, nie mogąc się pozbyć wizji chłopca uderzonego w głowę zderzakiem, padającego na ziemię, miażdżonego gigantyczną oponą. Potem scena wyparowała mu z głowy, zadygotał. Dzięki Ci, Boże, pomyślał. Dzięki. Z powodu Melanie i tak było źle, a gdyby doszło do tego...!

- Musisz uważać, bracie. - Ulga spadła na niego tak gwałtownie, że zakreśliło mu się w głowie. - Jezusie Nazareński, dzięki Ci. Jasna cholera. O stary, musisz bardzo uważać. Mogłeś zginąć. Matko.

Melanie przybiegła do nich; Porter oplatał ją w pasie nogami.

- Dzięki Bogu, nic się nie stało - wydyszała. - Dzięki Bogu, jesteś cały.

Blaine miał minę, jakby zamierzał się rozplakać. Chwycił Josha w pasie.

- Chciałem ratować nasze miejsce, tak jak kazałeś.

- Jasne - powiedział Josh. - Wiem. To nie twoja wina. Ale musisz bardzo uważać.

- Przepraszam - wymamrotał Blaine.

- Nie powinienem cię puszczać samego. - Josh wyjął Portera z objęć Melanie. Tym razem miał szczęście.

Uznał to za znak. - No, dobra - puścił Blaine'a przed siebie. - Nie odchodź ode mnie.

Melanie dotknęła jego ramienia.

- Porozmawiamy... później? - spytała.

- Nie. Raczej nie.

- Co?

- Do widzenia, Melanie. - I, nie oglądając się, poszedł z dziećmi przez wydmy ku plaży.

Ostatnią dawkę chemii powinno się uczcić. Vicki widziała, jak inni pacjenci przychodzą tego ostatniego dnia z różami dla Mamie lub bananowym chlebem dla doktora Alcotta. Ale ona była zbyt niespokojna, by odczuć ulgę, dlatego nie zrobiła nic, by upamiętnić koniec leczenia. Przywykła robić wszystko poprawnie, dokładnie, punktualnie - ale jeśli chodzi o chemię, nie popisała się. Jednego dnia uciekła, pięć dni straciła na gorączkę, potem brała mniejsze dawki. Najważniejsza próba jej trzydziestodwuletniego życia - nie licząc porodów - a ona dała ciała. Jeśli teraz tomografia wykáže obecność komórek rakowych w całych płucach, nie powinna się dziwić. I dobrze jej tak.

Badanie było wyznaczone na wtorek. Ted będzie przy nim obecny. Przyjechał jak zwykle w piątek, ale tym razem z fanfarami, bo miał zostać. Na całe dwa tygodnie, a potem spakują wszystko do yukona i wrócą do Connec-

ticut. Ted był jakiś inny - weselszy, czasem nawet rozdygotany. Przeszedł na tryb wakacyjny. Vicki mogła się tylko domyślać, jak to jest: zostawić presję giełdy i Wall Street, zostawić rozprażone betonowe wieżowce Manhattanu, męczące dojeżdżanie pociągami, uwierające letnie garnitury i, w przypadku Teda, wielki, pusty dom. Teraz rozkoszował się wolnością; wreszcie mógł się cieszyć latem, nie mając w perspektywie smętnego niedzielnego wieczoru. Chodził po chatce w szortach, koszulce polo i klapkach. Śpiewał pod prysznicem na dworze, tarmosił się z chłopcami, co wieczora proponował wypad na lody. Vicki cieszyła się jego dobrym humorem, choć trochę też ją martwił. Stało się bowiem jasne, że jego radość wypływa z przekonania, że Vicki ma się lepiej.

Świetnie wyglądasz, powtarzał. Boże, wyglądasz wspaniale. Zwyciężyłaś go, Vick. Zwyciężyłaś drania.

Od chwili gdy usłyszała diagnozę, wszyscy jej opowiadali o mocy wizualizacji i pozytywnego myślenia, ale ona tak po prostu nie potrafiła. Woląла nie wyobrażać sobie siebie wolną od raka - bo może kusi los? Prowokuje go? A jeśli tomografia wykaże, że płuca roją się od chorych komórek, liczniejszych niż dotąd? Albo jeśli guz jest dokładnie taki, jak w maju - uparty, nie do ruszenia, i lekarze opuszczą ręce?

Ted nie dawał sobie zepsuć humoru. Całował głowę Vicki, na której włosy odrastały z wolna, lecz uporczywie - choć były ciemniejsze niż jej poprzedni blond i przetykane siwizną. Znów odzyskał seksualny apetyt; dosłownie wciskał Brendzie pieniądze, żeby w sobotnie i niedzielne ranki zabierała dzieci na lody, by on mógł zostać z Vicki w łóżku. Świetnie wyglądasz, powtarzał. Pięknie wyglądasz. Znowu jesteś sobą. Pokonałaś go.

- Nie pokonałam - rzuciła gniewnie w poniedziałek. Kiedy się obudziła, oddychała z trudem, w piersi czuła ucisk, wsysała powietrze z trudem, wyduszała je z siebie. Sam fakt, że musi myśleć o oddychaniu, bardzo źle wróżył. - Nawet jeśli guz się skurczył, i tak będą musieli mnie zoperować.

Ted spojrział na nią, jakby go obraziła.

- Wiem - powiedział. - Przecież wiem, skarbie.

Im bardziej zbliżała się wtorkowa wizyta, tym bardziej Vicki się denerwowała. Drżącymi rękami obracała naleśniki i bekon na śniadanie dla Teda. Zjawił się Josh, żeby zabrać dzieci. Był cichszy niż dotąd, jakby nieobecny, choć Vicki nie miała czasu ani sposobności, by spytać, czy wszystko gra. A jednak nie zapomniał uściskać ją i pocałować przed wyjściem na plażę.

- Powodzenia - szepnął.

- Dzięki - odszepnęła.

Później przez długą minutę tkwiła uwięziona w ramionach Melanie, która wyglądała na niebezpiecznie bliską łez. Powinny istnieć poradniki dla przyjaciół i krewnych chorych na raka, pomyślała Vicki, gdzie wielkimi literami widniałby zakaz nadmiernego optymizmu (Ted) i pesymizmu (Melanie) względem szansy przeżycia. Przyjaciel bądź krewny, myślała miażdżona w uściskach, powinien się zachować tak, jak Josh. Josh życzył jej powodzenia. Powodzenia nigdy dość. Powodzenie to grunt.

- Nic mi nie jest - szepnęła do Melanie. - Wszystko będzie dobrze. - No wprost fantastycznie, pomyślała. Ja idę pod topór, ale to Melanie potrzebuje pocieszenia.

- Wiem - otrząsnęła się Melanie i otarła oczy. - Po prostu wiesz, to wszystko i w ogóle. Lato, Peter, ciąża. Ty. Cholery można dostać, wiesz?

- Wiem - powiedziała Vicki.

Brenda uparła się, że pojedzie z Tedem i Vicki.

- Przez całe lato jestem przy tobie. Tego sobie nie odpuszczę. Dziś jest wielki dzień.

Aha, wielki dzień. W życiu Vicki było wiele wielkich dni. Jej pierwszy dzień w przedszkolu, pierwsze szkolne przedstawienie z nią w roli głównej, pierwsza szkolna potańcówka i pierwszy pocałunek, Boże Narodzenia, dyplomy, pierwsze dni w pracy, dzień zwycięstwa uniwersyteckiej drużyny w igrzyskach, dzień ślubu, dziewięć idealnych dni poślubnej podróży na Hawaje, dzień, w którym dowiedziała się, że jest w ciąży, dzień, w którym urodziła dziecko, dzień, w którym kupili dom w Darien, przyjęcia dobroczynne, w tym trzy, którym współprzewodniczyła, wieczory w nowojorskich knajpkach i na broadwayowskich przedstawieniach. Były dni pełne obowiązków (samochód do warsztatu, leczenie kanałowe, wycieczka z przedszkolem Blaine'a, darmowe bilety na mecz Jankesów z Red Soksami). Wszystkie te dni były wielkie, ale nie aż tak, jak dzisiejszy. Dzisiejszy dzień miał być dniem drugiego spojrzenia na raka i wyroku doktora Alcotta albo Garcii, który miał paść podczas telefonicznej konferencji. Lepiej? Gorzej? Życie? Śmierć?

Nikt nie może się na to przygotować, pomyślała, zapinając pasy. Ted prowadził, Brenda siedziała z tyłu. Vicki spojrzała na siostrę w lusterku wstecznym i dostrzegła jej poruszające się usta.

Nikt.

Kiedy wjechali na parking przed szpitalem, komórka Brendy zaczęła dzwonić.

- To pewnie mama - odezwała się Brenda.

- Nie wyrobuję - burknęła Vicki. - I tak jestem zdenerwowana. Pogadasz z nią?

- Jej nie o mnie chodzi, tylko o ciebie.

- Niech Ted gada.

Ted skrzyknął i przejął telefon od Brendy. Tak było najlepiej. Ellen Lyndon uspokoiła się pod wpływem jego optymizmu.

W drodze do szpitala Brenda wzięła Vicki za rękę. Poklepała torbę.

- Zabrałam książkę. Vicki uniosła brew.

- *Niewinnego szalbierza*. Mój talizman.

- O. Dziękuję.

- I modliłam się za ciebie. Naprawdę.

- Modliłaś się? - zdziwiła się Vicki. A to jej przypomniało coś innego: - Wiesz, chciałam cię o coś prosić.

- O co?

Ted ich dogonił.

- Matka chce, żebyś do niej zadzwoniła, jak tylko będzie coś wiadomo.

- Dobrze - mruknęła Vicki.

- Nie chwytam - odezwała się Brenda. - Czy jej się wydaje, że o niej zapomnimy?

- Jest matką - wyjaśnił Ted.

- O co chciałaś mnie prosić? Vicki pokręciła głową.

- Później - powiedziała, choć czuła, że czas nagli.

- Co później? - spytał Ted.

- Nieważne.

Brenda spojrzała zmrużonymi oczami na fronton szpitala, na szare kamienie, białe dekoracje, niebiesko-białą tablicę informacyjną.

- Wiesz, że przyjeżdżamy tu po raz ostatni? - zwróciła się do Vicki. - Dziwne, ale chyba będę tęsknić za tym szpitalem.

Pomimo całego lęku i zmartwienia, wyjątkowo oddechu i ośmiu godzin niespokojnego snu w nocy, sama tomografia nie poszła aż tak źle. Wyglądało na to, że w szpitalu brakuje personelu, bo technikiem obsługującym maszynę okazała się... Amelia z onkologii.

- No tak - odpowiedziała Amelia ze znużeniem na radosne okrzyki Vicki, ucieszonej widokiem znajomej twarzy. - Kiedy trzeba, robię na radiologii. Cóż robić, jestem zdolna. No dobrze, zdejmujemy wszystko od pasa w górę, włącznie z... koralikami.

Koraliki były na niebieskiej żyłce, pomalowane magicznym markerem, były zrobionym w przedszkolu prezentem od Blaine'a na Dzień Matki. Vicki nie miała amuletu jak Brenda; naszyjnik musiał jej wystarczyć. Zdjęła ubranie, włożyła papierowe gieźło, które dostała od Amelii, i ścisnęła w dłoni koraliki.

Amelia zachowywała się ekstremalnie poprawnie, niczym telefonistka przyjmująca zamówienia z katalogu wysyłkowego, której rozmowy są monitorowane dla wygody klientów.

- Zechce się pani położyć - odezwała się, efektownym gestem wskazując wąską leżankę.

Vicki usłuchała, przytrzymując papierowe gieźło. Amelia nastawiła aparat.

- Zaleca się od czterech do pięciu głębokich oddechów przygotowawczych.

- Przygotowawczych do czego?

- Poproszę panią o wstrzymanie oddechu na dwadzieścia sekund. Niektórzy pacjenci wolą przygotować płuca do tego doświadczenia.

- Dobra - mruknęła Vicki. Wessała powietrze, wydusiła je z siebie; płuca ledwie funkcjonowały, jak zepsute miechy.

- Przez te dwadzieścia sekund aparat zrobi około pięciuset zdjęć pani płuc. - W głosie Amelii brzmiało zadowolenie, najwyraźniej była dumna z maszyny.

Czy Vicki potrafi nie oddychać przez dwadzieścia sekund? Zerknęła przelotnie na kolczyk z kości słoniowej i srebra, wystający z dolnej wargi Amelii i zamknęła oczy. Wczoraj w nocy, leżąc w łóżku, przysięgła sobie, że nie będzie myśleć o Blainie i Porterze, ale kiedy odliczała w myślach do dwudziestu, i tak stanęli jej przed oczami. Nie byli już małymi chłopcami, przemienili się w owady o tęczowych skrzydełkach. Fruwali, pikowali w dół, zawisali nad nią. Zamienili się w ważki.

Nie można się na to przygotować. Pięćset zdjęć tomograficznych wprowadzono do komputera, ale doktor Alcott powiedział, że wiążącej odpowiedzi będzie mógł udzielić o wiele później. Chciał przejrzeć wyniki, zastanowić się nad nimi. Jednocześnie doktor Garcia zapozna się z nimi w Connecticut i razem odbędą naradę telefoniczną. Przedyskutują następny krok.

- Jak długo to potrwa? - spytała Vicki. Myślała, że odpowiedź usłyszy natychmiast, że werdykt zostanie wydany niezwłocznie. Miała wrażenie, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

- Naprawdę nie wiem. Zależnie od tego, co zobaczymy, od paru godzin do mniej więcej jednego dnia.

- Cały dzień? A nie możemy... wyjść do poczekalni?

- Zadzwoń. - Doktor Alcott mówił poważnie, oficjalnie. Nie był w swoim zwykłym kumpelsko-wędkarskim nastroju. Otucha wyciekła z Vicki jak białko z rozbitego jajka.

- Dziękuję, doktorze - odezwał się Ted. Uścisnęli sobie ręce.

Vicki nie mogła się zdobyć na ani jedno słowo, nawet na pożegnanie. Ta zwłoka odebrała jej nadzieję. To koniec, pomyślała. Opieka paliatywna.

Wyszli na korytarz, doktor Alcott zamknął drzwi. Brenda jęknęła.

- Idzie ta dziewczucha - powiedziała.

Vicki była tak zdruzgotana, że nie spytała, o jakiej dziewczusze mowa. Ale zaraz zobaczyła maszerującą na nich wściekłą dziewczynę, niechlujną blondynę. Przypomniała ją sobie z pierwszej wizyty w szpitalu, gdy zakładano jej port.

- Raz napadła na mnie w łazience - wysyczała szeptem Brenda. - Oskarżała mnie o jakieś bzdury. Podejrzewam, że zna Josha.

Vicki skinęła głową. Nic ją to nie obchodziło. Wciągnęła powietrze, wydusiła je. Oddychanie było tak trudne, że omal nie zemdląca. Ponadto bolała ją ręka. Spojrzała w dół. Ted ścisnął ją tak mocno, że jej palce pobieleły. On też wyczuwał złe wieści. Opieka paliatywna. Hospicjum. Z zewnątrz dobiegło wycie karetki, wszczęło się zamieszanie. Mijali pogotowie. W jednej poczekalni gadał telewizor: prezydent rozprawiał o granicy meksykańskiej.

Vicki przymknęła oczy. Wszystko z jej otoczenia, absolutnie wszystko, zakwalifikowało się na listę Spraw Już Nieważnych. Wszystko, z wyjątkiem jej życia, wszystko z wyjątkiem jej dzieci. Blaine i Porter są pewnie na plaży z Joshem, kopią w piasku, jedzą, dokazują z przyjaciółmi. Ale kiedy usiłowała wyobrazić ich sobie w jakiejś idyllicznej scenie, zobaczyła pustkę. W głowie miała czerń. Pomyślała o chłopcach - ważkach. (Sprawiło jej ulgę, że zobaczyła ich jako ważki, ale dlaczego?). I znowu nic. Otworzyła oczy i odwróciła się do Teda.

- Masz zdjęcie chłopców?

Ted wpatrywał się w dziewczynę z recepcji; szła do nich wyraźnie z jakąś misją. Miała na sobie czerwoną bawełnianą sukienkę, zbyt krótką, i złote rozdeptane baletki z tasiemkami oplątanymi wokół kostek. Vicki szeroko otworzyła oczy - ramiączka od stanika dziewczyny wychodziły spod sukienki, makijaż był niedbały, jasne włosy rozczochrane. Czego od nich chciała? Ted z roztargnieniem podał jej zdjęcie chłopców. Brenda zmrużyła oczy i pokręciła głową.

- Nie wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie chcemy tego słyszeć.

- Na pewno chcecie - oznajmiła Didi.

- Właśnie że nie.

- O co chodzi? - spytał Ted.

- Josh sypia z twoją przyjaciółką - obwieściła Didi z satysfakcją. - Tą ciężarną.

- Zaraz - powiedział Ted. - To poważne oskarżenie. - Najpierw spojrzał na Vicki, potem na Brendę. Zmarszczył brwi. - Mówisz o Melanie, tak? Melanie? Skąd wiesz? Josh ci powiedział?

- Idź stąd - mruknęła Brenda. - Proszę.

- Mój brat ich widział - rzuciła Didi. - W Monomoy. W środku nocy.

- Twój brat?

- Gada głupoty - zdenerwowała się Brenda. - Nie wiem, jaki problem ma twoja rodzina, ale nas zostaw w spokoju. Mamy tu cholernie stresującą sytuację.

Stresująca sytuacja, pomyślała Vicki. Powinno się wymyślić inne słowo.

- Świetnie. - Didi splótła ręce na piersi jakby obronnym gestem. - Ale nie gadam głupot. Oni ze sobą sypiają.

Obróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Tak, pomyślała Vicki. Dziewczyna pewnie mówi prawdę. Josh i Melanie. Dziwne, prawie niewiarygodne, a jednak Vicki zauważyła parę sygnałów, które potwierdzały wersję dziewczyny. Josh i Melanie razem; powinna to być największa rewelacja tego lata, ale Vicki wyrzuciła ją za okno razem ze wszystkim innym. Nie miała znaczenia.

W domu zapomnieli o utartych zwyczajach. Josh wrócił z dziećmi.

- I jak? - spytał.

- Nie wiemy - odpowiedział Ted. - Doktor zadzwoni później.

- Hm. - Josh zerknął pytająco na Vicki. - W porządku, szefowo?

Melanie i Josh, myślała. Czy to możliwe? Nie mogła marnować czasu na domysły. Opieka paliatywna. Rok, może dwa. Blaine będzie miał sześć lat, Porter trzy. Blaine ją zapamięta, Porter prawdopodobnie nie. Będą długie szpitalne wizyty i leki, które zrobią z niej warzywo. Przestraszyła się, że zemdleje. Osunęła się na krzesło.

- Ted, możesz zabrać dzieci? Nie wytrzymuję.

- Zabrać je dokąd? A drzemka Portera?

- Powoź go w samochodzie, aż zaśnie. Nie mogę się położyć. A jeśli zadzwoni telefon?

Josh odchrząknął.

- Tak, no to idę.

- A książeczka? - zaprotestował Blaine. - *A Buzi dla krówki Zuzi?*

- Tatuś was zabiera - powiedziała Vicki.

Josh wymknął się, machając im ręką; chyba mu się spieszyło.

- No, nie wiem - odezwał się Ted. - Będziesz tu siedzieć i się zamartwiać.

- Ja zabiorę dzieci - zaproponowała Brenda. - Siedźcie tu oboje i się zamartwiajcie.

Vicki miała ochotę krzyknąć: mówimy o moim zdrowiu, moim ciele, moim życiu!

- Idź - mruknęła. Ukryła się w dusznej sypialni i zamknęła drzwi. Otworzyła okno, włączyła wentylator. Usiadła na brzeżku łóżka. Na całym świecie umierają matki. Opieka paliatywna: kroki, które należy podjąć dla uratowania jej życia. Musiała o coś poprosić Brendę, ale nigdy nie były same nawet przez minutę. Bo Melanie zawsze była obecna? Melanie, wirująca jak baletnica przed przebieralnią. *Tu się coś kroi.* Melanie i Josh. Ale kiedy? Gdzie? I dlaczego Melanie jej nie powiedziała? Odpowiedź była chyba oczywista. Myślała, że Vicki się wścieknie. Czy by się wściekła? Siedziała na łóżku, ze stopami na podłodze. Jej stopy, palce, ciało. Ted zapukał do drzwi.

- Wejdz - powiedziała. Podał jej słuchawkę.

- Doktor Alcott.

Tak szybko? Ale kiedy spojrzała na zegarek, okazało się, że jest za kwadrans czwarta.

- Halo?

- Vicki? Cześć, tu Mark.

- Cześć.

- Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że doktor Garcia ustalił termin operacji na pierwszego września.

- Operacji? Więc zadziałała? Chemia? Ted zaklaskał, jakby siedział na widowni.

- Zadziałała dokładnie tak, jak się spodziewaliśmy. Guz znacznie zmniejszył się i cofnął ze ściany klatki piersiowej.

Chirurg będzie mógł go wydobyc w całości. I... zakładając, że nie ma przerzutów, rokowania są dobre.

- Chyba żartujesz. - Myślała, że w takiej chwili się roześmieje albo rozplacze, ale czuła tylko zapierające dech w piersiach zdumienie. - Chyba żartujesz.

- No, to jednak operacja - powiedział doktor Alcott. - Zawsze łączy się z ryzykiem. Istnieje też niebezpieczeństwo, że chirurg czegoś nie usunie lub że my czegoś nie zauważyliśmy. Istnieje niebezpieczeństwo, że rak pojawi się gdzie indziej - ale to tylko superostrożne zastrzeżenia. Generalnie rzecz biorąc, jeśli operacja pójdzie zgodnie z planem, powinniśmy mieć remisję.

- Remisję - powtórzyła.

Ted miażdżył ją w uścisku. Vicki bała się poczuć cokolwiek podobnego do radości lub ulgi, bo jeśli to pomyłka, jeśli doktor kłamie...

- Czy to dobra wiadomość? Powinnam się cieszyć?

- Mogło być o wiele gorzej. To tylko jeden krok, ale ważny. Więc tak, ciesz się. Zdecydowanie. Rozłączyła się.

- Dzwonię do twojej matki - powiedział Ted. - Obiecałem.

Wyszedł, a ona upadła na łóżko. Na nocnej szafce leżało zdjęcie chłopców, to samo, które Ted dał jej w szpitalu. Blaine i Porter siedzieli na czerwonej winylowej ławie w restauracji. Jedli lody, a Porter był usmarowany czekoladą aż po oczy. Tego dnia w zimie wybrali się na obiad, ponieważ było zimno, padał śnieg, a ona chciała się wyrwać z domu. Zwyczajny dzień, jeden z setek niemal zapomnianych. Jeden z tysięcy, które - jak kiedyś myślała - jakoś się jej należą.

*

Spoglądając wstecz, Brenda nie mogła uwierzyć, że tak się martwiła. Wiadomość musiała być pozytywna, guz musiał się zmniejszyć, operacja musi się powieść, a Vicki musi wyzdrowieć. Ta kobieta była największą farcia-
rą tej planety. Teflonowe życie - nawet jak się pojawi śmierć, to nie przywrze.

A dlaczego, myślała Brenda, tylko Vicki ma mieć szczęście? Dlaczego i ona nie miałyby się wydobyć z własnego bagienka w równie zachwycającym stylu? Dlaczego Vicki i Brenda nie mogą być jak bliźniacze superbohaterki, razem pokonujące zły los w czasie tych samych wakacji?

Ted przywiózł laptop, ale potrzebny mu był jedynie do wysyłania e-maili i porannego sprawdzania giełdy. Nie miał nic przeciwko temu, by Brenda z niego skorzystała. Oczywiście! Z powodu dobrych wieści ze szpitala wszyscy domownicy wspięli się na wyżyny szczodroblowości. Brenda to niezwłocznie wykorzystała - usadowiła się na tarasie z laptopem, termosem kawy, stertą żółtych notesów i zabrała się do przepisywania scenariusza *Niewinnego szalbierza*. Przy okazji go sprawdzała, korzystała z internetowych słowników i *Biblii scenarzysty*, którą wypożyczyła z biblioteki w Nantucket. Scenariusz rodził się w bólach, ale zaczął nabierać realnych kształtów. Czy tak czuł się Pollock? Chlapał farbą na płótno jak dziecko - i jakoś nagle rodziła się sztuka? Usiłowała nie myśleć podczas pracy o Walshu, Jacksonie Pollocku ani o tych stu dwudziestu pięciu tysiącach dolarów. Usiłowała nie myśleć: a jeśli nie zdołam go sprzedać? Jej myśli uciekały do wpisanego w komórkę numeru telefonu Amy Feldman, studentki, której ojciec był prezesem wytwórni. O ile dobrze pamiętała, *Niewinny szalbierzem* podobał się Amy Feldman, jak wszystkim; oddała porządną pracę, w której porównywała Calvina Dare do postaci z powieści Ricka Moody'ego *Burza lodowa*. Czy Amy Feldman słyszała, co się przydarzyło dr Lyndon tuż przed końcem semestru? Oczywiście. Studenci usłyszeli oficjalny komunikat, że dr Lyndon zrezygnowała z przyczyn osobistych; ostatnie dwa zajęcia odwołano, a dr Atela sama oceniła końcowe prace. Ale skandaliczne plotki - seks, stopnie po znajomości, zniszczenie obrazu - musiały krążyć po uczelni, rozdęte i zniekształcone, powtarzane tak długo, aż nabrały gi-

gantycznych rozmiarów. Co Amy Feldman myśli teraz o niej? Czy przekaże scenariusz ojcu, czy wyrzuci do kosza? Albo spali na środku kampusu? Pisała tak długo, aż zeszywniały jej plecy, a tyłek zdrętwiał.

Od czasu do czasu mieszkańcy chatki zaglądali do niej. Na przykład w drodze pod i spod prysznic na dworze.

TED: Jak idzie?

BRENDA: Dobrze. (Przestaje pisać, podnosi głowę. Zależy jej, żeby zdjąć część odpowiedzialności z Amy Feldman). Słuchaj, nie masz jakichś klientów z przemysłu filmowego?

TED: Z przemysłu filmowego?

BRENDA: No. Albo z wytwórni filmów telewizyjnych. i (Sto dwadzieścia pięć tysięcy, pomyślała. Nie czas wybrzydzać na medium). Albo ze zwykłej telewizji? TED: Mmmm... Chyba... nie.

VICKI (dotykając pleców Brendy): - Jak idzie?

BRENDA: Dobrze.

VICKI: Przynieść ci coś?

BRENDA: Tak, furę pieniędzy. (Ugryzła się w język. Nikomu nie wspomniała ani słowem o pieniądzach i nie wspomni, dopóki nie będzie mieć noża na gardle. Na razie nie ma, na razie pracuje).

VICKI (ze śmiechem, jakby Brenda powiedziała coś zabawnego): A jakby tak kanapkę? Z tuńczykiem na przykład.

BRENDA: Dzięki, nie.

VICKI: Musisz coś zjeść.

BRENDA: Dobrze, mam. Może chipsy?

MELANIE: Jak idzie?

BRENDA (przestaje pisać i podnosi głowę): Dobrze. A tobie? (Po niesłuchanej rozmowie z Didi, recepcjonistką, w dniu tomografii Brenda, nic nie mówiąc nikomu, zadzwoniła ze skargą do dyrekcji szpitala. Od tej pory uważnie obserwowała Melanie, szczególnie w obecności Josha. Ale nie zauważyła między nimi żadnej chemii. Ledwie się do siebie odzywali. Kiedy Melanie wchodziła do pokoju, Josh wychodził).

MELANIE (zaniepokojona nagłym zainteresowaniem Brendy): Wszystko w porządku. (Ale w jej głosie słychać melancholię. Znow zaczęła przypominać sobie z tych pierwszych dni, kiedy nieustannie się dąsała. Peter ciągle dzwonił, ale Melanie rozmawiała z nim sucho i szybko kończyła). Smutno mi, że lato się kończy.

BRENDA: No, to jest nas dwie.

MELANIE: Co będziesz robić po wyjeździe?

BRENDA (skupiona na ekranie, przeklina się za wciągnięcie Melanie w rozmowę): Zobaczy się. A ty?

MELANIE: Jak wyżej. (Długa pauza, w trakcie której Brenda modli się, żeby Melanie nie czytała jej przez ramię. Melanie beka).

MELANIE: Przepraszam, mam zgagę.

BRENDA: W tym ci nie pomogę.

JOSH: Jak idzie?

BRENDA: Super.

JOSH: Myślisz, że się sprzeda?

BRENDA: Pojęcia nie mam. Mam nadzieję. (A potem, myśląc: a, cholera, co mi tam). Pewnie nie znasz nikogo w przemyśle filmowym, co?

JOSH: Wiesz, jest taki Chas Gorda, mój wykładowca pisania twórczego z Middlebury. To prawdziwy pisarz. Jego powieść *Rozmowa* przerobiono na film w 1989 roku. Może kogoś zna. Mogę go spytać po powrocie.

BRENDA: Serio? Byłoby świetnie.

JOSH: Nie ma sprawy.

BRENDA: Kiedy wracasz?

JOSH: Za dwa tygodnie.

BRENDA: Już się nie możesz doczekać?

JOSH (spoglądając w głąb chatki, gdzie - przypadek? - Melanie czyta „Boston Globe” przy kuchennym stole): Może. Nie wiem.

BRENDA (myśląc: Straszliwa Didi miała rację. Między nimi coś się dzieje. Coś, czego my, zbyt pochłonięci sobą, nie zauważyliśmy. Uśmiecha się ciepło do Josha, przypominając sobie, jak pożyczył jej ćwierć dolara w szpitalu, jak całowali się na trawniku przed domem). Może pewnego dnia adaptują twoją powieść.

JOSH (patrzy na Brendę, ale jego myśli zaprzątnięte są czymś - kimś? - w chatce): Nigdy nie wiadomo.

BLAINE (jedząc czerwonego loda, który spływa mu po brodzie w udanej imitacji krwi): Co robisz? BRENDA: Pracuję. BLAINE: Na komputerze taty? BRENDA: No. BLAINE: Nad filmem? BRENDA: Mmmm. BLAINE: Jest jak *Scooby-Doo*?

BRENDA: Nie, zupełnie inny. Pamiętasz, mówiłam ci, to film dla dorosłych. A! A! Nie dotykaj. Nie dotykaj komputera taty tymi lepкими łapami. Idź je umyć.

BLAINE: Zagrasz ze mną w zjeżdżalnię i drabiny?

BRENDA: Teraz nie mogę. Pracuję.

BLAINE: A jak będziesz miała przerwę, to się ze mną pobawisz?

BRENDA: Jak będę miała przerwę, to tak.

BLAINE: A kiedy będziesz...

BRENDA: Nie wiem. Proszę cię... (Zagłada do chatki. Gdzie Josh? Gdzie Vicki? Gdzie Ted?) Ciocia Brenda musi pracować.

BLAINE: A po co?

BRENDA: A bo tak. (Po czym, szeptem). Muszę zarobić kasę.

Przepisywanie *Niewinnego szalbierza* skończyła po trzech dniach, w środku nocy. Siedziała na sofie, z laptopem na zgrabnym stolczku cioci Liv. Przez siatkowe drzwi wpadał łagodny wietrzyk. Sconset było pogrążone w ciszy, tylko świerszcze cykały i czasem szczekał pies. Napisała ostatnią stronę, scenę, w której Calvin Dare, starszy pan, mający życie za sobą, spędza spokojne popołudnie z żoną Emily. Dare i Emily spoglądają na dokazujące na podwórku dzieci. Scena była wzięta żywcem z książki; ta scena, która tak się nie podobała krytykom. Czy Dare ma prawo rozkoszować się takim szczęściem, skoro właściwie przywłaszczył sobie życie człowieka, który przez niego zginął? Zamierzała zawrzeć w uwagach odautorskich nutkę wątpliwości - ale na razie dialogi były... SKOŃCZONE! Spojrzała na ekran. Ściemnienie. Napisy końcowe. GOTOWE!

Zapisała tekst i zrobiła kopię zapasową. Było dwadzieścia po pierwszej, a jej wcale nie chciało się spać. Nałapała sobie kieliszek wina i wypila go przy kuchennym stole. Wszystko ją bolało od długiego siedzenia. Strzeliła

kostkami palców. GOTOWE! Nie sądziła, że znowu poczuje taką euforię. Tak właśnie się czuła po skończeniu pracy doktorskiej; tak się czuła, kończąc sprawdzanie prac w pierwszym semestrze na uczelni. Praca wykonana, i to wykonana dobrze. Jutro będzie się martwić, co dalej, dzisiaj zamierzała jedynie rozkoszować się tą euforią.

Dopiła wino i naląła sobie nowy kieliszek. W domu słychać było szmer ludzkich oddechów, a może tylko się jej wydawało. Pomyślała o Walshu - i wyrzuciła tę myśl. Znalazła komórkę na stoliku i zaniósła ją wraz z kieliszkiem na biurko. Przejrzała książkę adresową.

Co ona wyprawia? Jest za kwadrans druga; normalni ludzie o tej porze śpią. Ale nie mogła sobie pozwolić na skrupuły. W tej chwili była zachwycona swoim scenariuszem; rano, kiedy przeczyta wydruk, znajdzie błędy i znacznie wątpić w jego potencjał.

Wybrała numer Amy Feldman i w tej chwili ciszy przed połączeniem usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co o niej wiedziała. Spędziła z Blaine'em tyle czasu, że już wiedziała, iż Amy Feldman była podobna do Velmy ze *Scooby-Do*. Niska, przysadzista, miała babciny biust, krótkie włosy i kanciaste okulary w ciemnych oprawkach z umocowanym łańcuszkiem, tak że kiedy je zdejmowała, kołysały się na jej biuście. Amy Feldman była jak bitnik - intelektualista sprzed trzydziestu lat, a to jakoś dodawało jej atrakcyjności, a jeśli nawet nie, to przynajmniej pozwalało ją zaakceptować. Inne dziewczyny z klasy chyba ją lubiły; kiedy się odzywała, słuchały z szacunkiem, choć może ze względu na jej ojca Rona Feldmana. Brenda zrozumiała już, że na jej zajęcia uczęszczały niedosze aktoreczki, grające nie tylko przed Walshem, ale i przed Amy Feldman. Amy Feldman wybrała na przedmiot główny japoński. Co robi w te wakacje? Podróżuje po Japonii? Została w Nowym Jorku? Gdyby Brenda wiedziała, że czeka ją wylotka z pracy i proces, a potem jeszcze konieczność zapłacenia stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów - a zatem zależność od scenariusza, który musiała komuś opchnąć - poświęciłaby Amy Feldman więcej uwagi. A tak w pamięci zostały jej tylko okulary na łańcuszku i japoński.

Nagle poraziło ją wspomnienie Amy Feldman rozmawiającej z Walshem o sushi, o jakiejś knajpie Uni w Village, o której „absolutnie nikt nie wie, jest nieodkryta i totalnie autentyczna. Takie same sushi robią w Asakusa Road w Tokio”.

Byłaś w Tokio? - spytał Walsh, drugi podróżnik.

Byłam, z ojcem, odparła Amy w sposób, który wyraźnie miał mu zaimponować. Na planie.

Całkiem możliwe, że Amy Feldman także kochała się w Walshu.

Trzy sygnały, cztery, pięć. Brenda zaczęła się zastanawiać, czy dzwoni na telefon stacjonarny, czy komórkę. Czy jeśli włączy się poczta głosowa, powinna zostawić wiadomość? Wiadomości nie można zignorować, uznała. Chciała się skontaktować z Amy Feldman osobiście.

- Tak?

Ktoś odebrał! Głos był męski, starszy i nadmiernie miły, jakby usiłował w najuprzejmiejszy sposób powiedzieć: dlaczego odbieram telefon o drugiej nad ranem?

- Dzień dobry - powiedziała Brenda, miała nadzieję, że rzeško, by ten ktoś miał pewność, iż nie ma do czynienia z pijakiem ani zбочeńcem. - Czy jest Amy?

- Amy? - powtórzył mężczyzna. A potem z wyraźnym zaciekawieniem spytał kogoś w głębi domu: „Jest Amy?” - Drugi głos, kobiecy, wymamrotał coś w odpowiedzi.

- Tak - odrzekł mężczyzna. - Jest, ale śpi.

- Ach... - Dobra, nerwy w zęby, pomyślała Brenda. To nie była komórka Amy Feldman ani jej mieszkanie (przy czym przez słowo „mieszkanie” Brenda rozumiała jakiś akademik z pralnią w piwnicy i wspólną kuchnią). To był numer domowy Amy Feldman, numer jej domu rodzinnego, pewnie jakiegoś niesamowicie kosztownego apartamentu z widokiem na Central Park. Amy Feldman mieszka z rodzicami, pomyślała. A ja rozmawiam z jej ojcem Ronem Feldmanem.

- Czy mam coś przekazać Amy? - spytał Ron Feldman.

I znowu jego ton zabrzmiał tak nieludzko uprzejmie, że musiał być nieszczerzy.

- Nazywam się Brenda Lyndon. - Mówiła bardzo cicho, nie chciała zbudzić nikogo w chatce. - Doktor Lyndon. W zeszłym semestrze byłam nauczycielką Amy w Champion.

- Ahaaaa... - rozległo się w słuchawce. - Mam to zapisać, czy zadzwoni pani rano?

Było jasne, że wolałyby to drugie, ale Brenda wykazała się beczelnością telemarketera. Musiała zatrzymać go przy słuchawce.

- Byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby zechciał pan zapisać.

- Dobrze. Niech znajdę pióro. Słonko, pióro - rzucił do żony. - To nauczycielka Amy z Champion... a skąd mam do diabła wiedzieć. - A do Brendy: - Może pani powtórzyć nazwisko?

- Brenda Lyndon. Lyndon przez „y”.

- Brenda Lyndon - powtórzył Ron Feldman. Głos w tle stał się o oktawę wyższy. - Co? Dobrze, czekaj. Skarbie, czekaj. Na chwilę się wyłączę, dobrze? - rzucił do Brendy.

- Dobrze - powiedziała.

W słuchawce zapadła cisza. Brenda walnęła się w czoło. Zachowała się jak kompletna idiotka. Zanim zadzwoniła, umówiła się ze sobą, że nie będzie zostawiać żadnych wiadomości. A to przecież jej jedyna szansa; nie może dręczyć Feldmanów uporczywymi telefonami.

W słuchawce trzasnęło.

- Halo? - odezwał się Ron Feldman. - Jest tam pani?

- Tak.

- To pani miała ten kłopot? Ze studentem z Australii? To pani rąbnęła w oryginalnego Jacksona Pollocka?

W tej samej chwili w sąsiedniej chatce na Shell Street zapaliło się światło. W rozjaśnionym oknie Brenda zobaczyła kobietę w wieku jej matki, która chyba brała jakieś pigułki, popijając je wodą. Aspiryna? - pomyślała. - Środki antydepresyjne? Na reumatyzm? Wysokie ciśnienie? Osteoporozę? Kiedy zagłąda się przez okno do cudzego życia, można się tylko domyślać.

- No cóż - powiedziała. - Raczej tak.

- Wszyscy o pani słyszeliśmy - oznajmił Ron Feldman. - W każdym razie moja żona. Amy mówiła nam, że jest pani dobrą nauczycielką. Lubiła pani zajęcia. Podobała się jej ta książka.

- *Niewinny szalbierz*?

- *Niewinny szalbierz*, skarbie? - rzucił w głąb mieszkania Ron Feldman. - E, tytułu nie pamiętamy, żadne z nas o niej nie słyszało. Jest późno, ale przełączymy do Amy...

- Właśnie dlatego dzwonię.

- Słucham?

- Z powodu *Niewinnego szalbierza*, tej książki, która spodobała się Amy, tej, o której państwo nie słyszeli. Napisałam na jej podstawie scenariusz. Mam go przed sobą.

- Ahaaaa - przeciągnął Ron Feldman. - Czy pani... - Roześmiał się i już nie mówił z tą nadmierną grzecznością. Był podejrzliwy, prawie zły. - Pani dzwoni, żeby mi go wcisnąć?

- Eeeee...

- Dzwoni pani do mnie w środku nocy, pod pozorem rozmowy z Amy, a tak naprawdę chce mi pani wcisnąć scenariusz?

- Nie, nie, ja tylko...

- Ludzie mi to robią na sto różnych sposobów. Zostawiają scenariusz u kierownika sali w Gotham, bo tam jadą, przekupują mojego odźwiernego albo kierowcę, a nawet zatrudniają się jako mój odźwierny lub kierowca tylko po to, żeby mi wcisnąć scenariusz. Nie dziwi mnie, że pani, niedawno wywalona z Champion, napisała scenariusz, bo każda żywa istota na tym bożym świecie pisze scenariusze, włącznie z siostrzeńcem mojego dentysty i bratem mojej sekretarki, obecnie odsiadującym wyrok w Sing-Sing. Ale to już przesada. Nie mam słów. Pani mnie... zaskoczyła. Mnie! Skąd pani ma ten numer?

- Od pańskiej córki.

- Bosko. Bossko.

- Sam pan przyznał, że książka się panu spodobała, tak?

W słuchawce zapadła cisza.

- Jak się nazywa to dzieło?

- *Niewinny szalbierz*.

- I od razu pierwszy problem. Tytuł trzeba zmienić. Nikt już nie chce oglądać filmów o żadnych niewinnościach.

- Zmienić tytuł?

W tle rozległo się szemranie.

- No dobrze, niech będzie. Poprawka. Moja żona wspomina o *Wiek niewinności* Edith Wharton, Martin Scorsese, nominacja do Oscara. Dobra, mój błąd. Proszę.

- Co proszę?

- Proszę wcisnąć. Daję pani trzydzieści sekund. Start!

- Eee... - wybełkotała, myśląc: zasuwasz! Znała tę książkę na wylot, to była jej namiętność, jej dziecko. - To powieść historyczna, z osiemnastego wieku, a ten Calvin Dare, bohater, przywiązuje konia przed gospodą, i nagle wali piorun, koń staje dęba, trafia kopytem w głowę drugiego faceta, Thomasa Beecha, i zabija go.

- Zaspiałam.

- Więc wtedy ten pierwszy, Calvin Dare, zaczyna się stawać tym drugim, Thomasem Beechem. Przejmuje pracę Beecha, żeni się z jego narzeczoną, żyje życiem Beecha, właściwie traci własną tożsamość. Może dlatego, że życie Beecha było lepsze niż jego własne. A może dlatego, że ma wyrzuty sumienia.

- I już?

- No nie, ale to trzeba przeczytać...

- Dziękuję za telefon.

- Czy mogę panu wysłać...

- Mam świetny pomysł: niech pani napisze scenariusz o profesorce, która bzyka się ze studentem, a potem niszczy obraz wart miliony dolarów. Oczywiście przebój to nie będzie, ale przynajmniej ma załączek pomysłu. Bo to drugie - nie.

- Nie?

- Dobranoc.

- Aha. - Światło w chatce obok zgasło. Kobieta znikła. - Dobranoc.

Josh postanowił rzucić pracę.

Do końca i tak zostało mu półtora tygodnia, a skoro Ted przyjechał, Vicki musiała skracać mu godziny pracy niemal codziennie. „Wróc z dziećmi wcześniej. Zabierzemy je na obiad. Przyrowadź je do kasyna. Ted gra w tenisa”. Josh słyszał wzmianki o następnym wieczornym pikniku w Smith's Point, ale na razie go nie zaproszono, zresztą gdyby do tego doszło, zamierzał odmówić. A jednak ten brak zaproszenia go martwił. Czy już nie należał do rodziny? Skończyli z nim? Uznali za element zbędny? Hm. Musiałby być idiotą, by nie zauważyć, że wszystko zbliża się ku końcowi. Vicki skończyła chemię - z powodzeniem - i przygotowywała się do operacji, która miała się odbyć w Connecticut. Brenda skończyła scenariusz i była zajęta drukowaniem, układaniem w kartonowych pudełkach i wysyłaniem go do wytwórni. A Ted miał wakacje. Więc nie było powodu, dla którego Josh miałby brać udział w rodzinnym pikniku; pewnie uznali, że trzeba ograniczać jego kontakt z dziećmi, by rozłąka nie była dla nich tak bolesna. I bardzo dobrze - a jednak czuł się zraniony. Wrósł w tę rodzinę bardziej, niż ktokolwiek podejrzewał - z powodu Melanie. I to przez Melanie musiał odejść. Nie potrafił znieść jej obecności, sam widok sprawiał mu ból. Raz po przyjeździe Petera przyparła go do muru. Błagała o spotkanie na parkingu przy plaży, obiecała czekać jak zwykle o dziesiątej. To trzeba zakończyć jak należy, powiedziała. Jak należy - Josh miał dziwną pewność, że oznacza to długą, bolesną rozmowę połączoną, być może, z pożegnalnym seksem. To by było jak zrywanie plastra ze świeżej rany na sercu, które znowu zacznie broczyć krwią. Więc odmówił.

Postanowił odejść. Historia tych wakacji dobiegła końca.

Kiedy wkroczył do numeru jedenaście przy Shell Street z gotowym przemówieniem pożegnalnym w głowie, w domu panowała cisza. Ted, Melanie i Brenda siedzieli przy stole w kuchni, gapiąc się na siebie. Przez siatkowe drzwi Josh widział chłopców, bawiących się piłką na podwórku. Sytuacja była zdecydowanie nietypowa. Vicki nie lubiła, kiedy chłopcy biegali po trawie na tyłach domu, bo pod płotem znalazła trujące grzyby, a wokół krzaków róż krążyły osy. Jej zdaniem, na podwórku od frontu było o wiele bezpieczniej, pod warunkiem że chłopcy przebywali pod opieką, czego zawsze pilnowała. Więc chłopcy sami na zapleczu domu stanowili sygnał: coś się stało.

- Coś się stało? - spytał.

Wszyscy troje spojrzeli na niego, a on spojrział na Teda i Brendę, których miny świadczyły, że dzieje się coś złego. Na Melanie nie mógł. I gdzie jest Vicki? Drzwi do jej pokoju były zamknięte.

- Nic takiego - powiedziała Brenda. - Vicki ma migrenę i tyle.

- O - mruknął. Migrena? I dlatego siedzą przy stole niczym żałobnicy? Z powodu migreny? I dlatego dzieci zostały ukarane, bądź przekupione, możliwością zabawy bez dozoru na pełnym niebezpieczeństwie terenie?

- Bardzo cierpi - dodał Ted. - Nie może znieść słońca. Ani głosów dzieci.

- O - powtórzył Josh. - To się zdarzyło niespodziewanie?

- Niespodziewanie - powiedział Ted. - Zadzwoniliśmy do doktora Alcotta, żeby zapisał jej środki przeciwbólowe. A on chce ją obejrzeć.

- Obejrzeć?

- Chce zrobić rezonans - odezwała się Brenda. - Ale Vicki, oczywiście, odmawia.

Melanie milczała. Była w tym dramacie postacią epizodyczną, tak jak Josh. To także ich połączyło, tak się odnaleźli - obecni, lecz nie związani. Związani, lecz nie spokrewnieni. Melanie wpatrywała się w niego tak, że trudno to było zignorować.

- Czyli... mam zabrać dzieci? - spytał.

- Proszę - powiedział Ted.

- Pójdę z tobą - odezwała się Melanie. - Do pomocy.

- Nie, dzięki. Poradzimy sobie.

- Mówię serio. Chcę to zrobić.

- A ja... - Omal nie palnął „nie chcę”, ale Ted i Brenda już i tak patrzyli na niego dziwnie. - Dobrze, świetnie. Niech będzie.

Josh szedł przez Shell Street, czując się wyjątkowo niezręcznie. Przemierzył tę trasę z Blaine'em i Porterem dziesiątki razy - a jednak kiedy u jego boku szła Melanie, miał wrażenie, że są rodziną: Blaine i Porter to jego synowie, Melanie - ciężarna żona. Przechodnie mijani przed sklepem mogliby w to bez trudu uwierzyć - a, co gorsza, uświadomił sobie, że on sam też chce w to wierzyć. Chciał ożenić się z Melanie i mieć z nią dzieci. A jednak był na nią zły, zraniła go i nie podobało mu się, że się wprosiła na ten spacer, nie dając mu możliwości zaprotestowania, odzyskania panowania nad sytuacją. Dlatego prawie się nie odzywał. Ale nie mógł zamknąć ust Melanie.

- Tęsknię za tobą - powiedziała.

Odpowiedział milczeniem. Ucieszyły go te słowa, ale to jeszcze za mało.

- A ty za mną? - spytała.

- Melanie.

- Co?

- To nie ma znaczenia.

- Ma.

- Nie będę się w to bawić przez całe rano. W to „tęsknię, czy ty też tęsknisz”? Po co w ogóle z nami poszłaś?

- Chciałam się wyrwać z domu. Strasznie ciężka atmosfera.

Josh przyjrzał się Blaine'owi. Chłopiec był w nietypowym dla siebie refleksyjnym nastroju. Widać było, że nie przysłuchuje się im ze zwykłą uwagą.

- To coś poważnego? Ta migrena?

- Możliwe.

- Hm.

Doszli w milczeniu do parkingu.

- Nie biegnij - ostrzegł Josh Blaine'a. - Idziemy razem.

- Wiem - mruknął chłopiec. Melanie chlipnęła.

- Spotkajmy się tu w nocy.

- Nie.

- To tylko tydzień.

- Wiem, więc czy to ma znaczenie?

- Ma. Chcę być z tobą.

Josh spojrzął na Blaine'a. Jego głowa była przechylona, jakby chłopiec podsłuchiwał. Może Joshowi się tylko wydawało, a może nie. Pokręcił głową do Melanie. Porter gaworzył Blaine'owi do ucha.

Później, kiedy Blaine bawił się dwie parasolki dalej z Abby Brooks, a Porter, ssąc butelkę, przenośli się do Lululandii, Melanie dźwignęła się z leżaka i opadła na ręcznik obok Josha. Przygotował się na następny atak, ale Melanie była cicha i nieruchoma niczym posąg, choć jak najbardziej obecna; czuł zapach jej włosów i skóry. Siedzieli obok siebie, patrząc na morze i kąpiących się w nim ludzi, i mogło być niezręcznie, a tymczasem zrobiło się całkiem dobrze. Współistnienie, bez dotykania i rozmowy. Josh poczuł, że boi się poruszyć, zmącić ten czar, który na nich opadł. Może to właśnie miała na myśli Melanie, kiedy mówiła o zakończeniu tego jak należy. Nie było to wniebowzięcie, którego doświadczał przez całe lato - przyszła mu na myśl noc w domu w Shimmo, przewracanie się z Melanie w pościeli, tulenie jej, kiedy stali na tarasie i podziwiali widok - ale nie było to też nic złego ani bolesnego. Czuł się jak zawieszony między najlepszymi i najgorszymi chwilami z Melanie. Było coś kojącego w tym ani szczęściu, ani nieszczęściu. Za dziesięć dni miał usiąść obok ojca, który odwiezie go fordem explorerem do Middlebury. Miał znowu się spotkać z kolegami, dziewczynami, ludźmi, których nie widział i o których nie myślał od trzech miesięcy. Spytają go: co robiłeś w wakacje? I siedząc tak na jednym ręczniku z Melanie, zrozumiał z całą pewnością, że nie zdoła im odpowiedzieć.

Najpierw był sen. Vicki nie potrafiła go sobie dokładnie przypomnieć. Sen o operacji, lekarze mieli ją operować już teraz, nie pierwszego września. Czuło się gorączkową, ukradkową atmosferę - usłyszała, a może sama odkryła, że usuwają z jej płuc nie guz, lecz drogocenne klejnoty. Ogromne rubiny, szmaragdy, ametysty, szafiry - największe na świecie, ukryte w jej klatce piersiowej, zagnieżdżone w zdrowej tkance płuc. Lekarze nie byli lekarzami, tylko jakimiś złodziejami międzynarodowej sławy; dowiedziała się, że chcą przeprowadzić operację bez znieczulenia. Ten ból musiał ją zabić; więc zaplanowali morderstwo!

Obudziła się. Nie gwałtownie, jak w filmach, nie usiadła w pościeli, konwulsyjnie łapiąc powietrze. Obudziła się spokojnie. Otworzyła oczy i poczuła łyzy na policzkach. Ted leżał obok niej, oddychał jak człowiek na wakacjach. Vicki obejrzała się na swoje dzieci, śpiące na materacu na podłodze. Oddychanie sprawiało jej ból. Zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądać jej pierś po operacji. Czy zapadnie się tam, gdzie było płuco?

Odkąd operacja stała się realna, nabrała nowej grozy. Oczywiście to trzeba zrobić, powiedział doktor Garcia przed wieloma miesiącami. Jeśli chcesz przeżyć. A jednak odchodziła od zmysłów ze strachu. Wnętrznosci się jej skręcały, miednica sztywniała, ramiona i nadgarstki kamieniały z lęku. Już z samą narkozą trudno się było pogodzić. Miała stracić przytomność na ponad sześć godzin. To co innego niż sen, o tym wiedziała. To wymuszony brak świadomości, przestrzeń między snem i śmiercią. Miała tam tkwić, w tym czystym nicości, a oni będą kroić mięśnie jej klatki piersiowej, rozwierać żebra, wyjmować płuco. To gorsze niż horror. Podczas operacji może się wydarzyć sto różnych katastrof, narkoza grozi stoma różnymi powikłaniami. A jeśli operacja się uda, ale narkoza okaże się zbyt głębokie i Vicki nigdy się nie wybudzi? A jeśli ocknie się na tamtym świecie?

Leżała bezsennie. Czy można się dziwić, że bezsennie? Czy można się dziwić, że miała koszmary?

Potem nadeszła migrena.

Obudziła się rano z wrażeniem, że ma na głowie ołowiany hełm. Czuła nie tylko ból, ale i ucisk. Blaine rzucił się na łóżko, tak jak codziennie, odkąd przyjechał Ted - nie ma potrzeby martwić się o zdrowie mamy, skoro jest tata - a Porter zaczął kwilić, żeby wziąć go na ręce. Był jeszcze za mały, by wspierać się o własnych siłach. Vicki

otworzyła jedno oko. Nie chciała, to się stało jakoś samo, a przy tym za nic nie mogła unieść drugiej powieki. Każdy ruch wymagał herkulesowego wysiłku. Wszystko ją bolało - słońce jarzące się pod opuszczoną roletą bolało, pisk Portera bolał. Usiłowała wyciągnąć rękę do małego, myśląc, że zdoła go podźwignąć na łóżko, choć ważył dobre dziesięć kilo, ale nie mogła usiąść. Nie mogła nawet podnieść głowy.

- Ted - odezwała się. Głos miała suchy i szeleszczący. Może to tylko pragnienie. Musi się napić. Sięgnęła po szklankę na nocnym stoliku, ale ręce się jej trzęsły i nie mogła podnieść głowy, żeby pociągnąć łyk. Ted był zajęty dziećmi, laskotaniem i żartami, tarmoszeniem i wierzganiem - i nie usłyszał jej. Szklanka wysliznęła się jej - a może to ona ją upuściła - w każdym razie jakoś jej się wymknęła i upadła na podłogę, chlustając wodą, choć się nie rozbiła.

- Jezu, Vick - odezwał się Ted.

- Głowa - wychrypiała.

- Co?

- Głowa. Umieram z bólu. - Zabrzmiało to zwyczajnie, zwrot był wyświechtany, dlatego Ted nie mógł wiedzieć, że Vicki mówi dosłownie. Umierała z bólu. Ten ból ją zabijał. - Światło - wydusiła. - Dzieci.

Nakryła głowę kołdrą, co było tak samo skuteczne, jakby zasłaniała się bibułą.

- Chcesz aspirynę? Czekoladowe mleko?

Jakby miała kaca. Wczoraj pili wino - co wieczór, odkąd zrobiła tomografię - ale to nie był kac. Jednak Vicki nie była tak odważna, żeby nie przyjąć lekarstwa.

- Może mam jakieś środki - wymamrotała. Samo wyduszenie z siebie tego zdania sprawiło jej ból.

Ted zgarnął chłopców z łóżka i wypędził Blaine'a z sypialni.

- Wychodzimy! Mamusia źle się czuje.

- Znowu? - jęknął Blaine.

Co za wyrzuty sumienia. Przez jej raka Blaine pewnie wyląduje na psychoterapii, ale na razie nie miała do tego głowy. Najpierw wyzdrowiej, pomyślała. Potem będziesz się martwić.

Ted trzymał Portera na ręce. Drugą przeglądał lekarstwa w komodzie.

- Oksykodon. Pusto.

- Cholera. - Była pewna, że zostały jeszcze trzy lub cztery. To pewnie Brenda. - Zadzwoń do doktora Al-cotta?

- I co mam mu powiedzieć? - Ted był taki sam, jak ona kiedyś: wyjątkowo nieporadny w rozmowach z lekarzami. Ale odkąd Vicki zaczęła się regularnie spotykać ze służbą zdrowia w celu ratowania życia, jej stosunek do niej się zmienił.

- Że trzeba więcej - wykrztusiła. I nagle przestała rozumieć: dlaczego prosi Blaine'a, żeby zadzwonił do lekarza? Czy chłopczyk, który ma cztery i pół roku, potrafił to zrobić? Na razie nie bardzo wychodziły mu nawet rozmowy z babcią. - Magiczne słowa - przypomniała mu.

Kto wie, ile minęło bolesnych chwil? Ciągnęły się w nieskończoność. Jęczała w poduszkę. Słyszała hałasy z głębi domu, normalne, domowe odgłosy - szcęk patelni na kuchence, trzask rozbijanych jajek, trzepaczka uderzająca o kamienną miskę, skwierczenie masła, drzwi lodówki, grzechotanie lodu w szklance, płacz Portera, pisk wysokiego krzeselka przesuwanego po linoleum, nieustanne gadanie Blaine'a, głos Teda - tak, rozmawia przez telefon,

dzięki Ci, Boże. Tyle odgłosów - a wszystkie były rozdzierające i drażniące, jakby tuż obok pracowała wiertarka. Chwyła puchową poduszkę Teda i zasłoniła nią ucho.

Ból był jak ręka wyciskająca gąbkę jej mózgu. Idź sobie!

Ktoś zapukał do drzwi. Brenda.

- Vick, co z tobą?

Miała ochotę wydrzeć się na siostrę, że ukradła jej oksykodon, ale krzyk był dla niej niedostępną sztuką.

- Migrena - wybełkotała. - Nieznośny ból.

- Ted rozmawiał z doktorem Alcottem. Masz tam przyjechać.

Gdzie przyjechać? Do szpitala? Niemożliwe. Sama myśl o wstaniu z łóżka, zajęciu miejsca w samochodzie, przejechaniu przez te oślepiająco jasne ulice była kompletnie, całkowicie absurdalna.

Głos Teda zabrzmiał tuż obok.

- Vick, doktor Alcott chce cię obejrzyć.

- Bo boli mnie głowa? Gdzie oksykodon?

- Zamówi go.

Poczuła coś w rodzaju ulgi, choć trudno się było zorientować przez grubą zasłonę bólu.

- Ale chce, żebyś przyjechała - dodał Ted. - Chce cię zbadać. Mówi, że nieźle byłoby cię wysłać na rezo-

nans.

- Po co?

- Nie wiem.

To było wielkie, bezczelne kłamstwo. Przerzuty do mózgu, pomyślała. Doktor Alcott słusznie je podejrzewa; czuła je. Rak był niczym ręka, ściskająca mózg. Jak pająk, legnący się w jej szarej materii. Ból, ucisk, nadwrażliwość na dźwięki i światło. Tak objawia się rak mózgu; słyszała, jak opisywał go ktoś z grupy wsparcia, ale nie mogła sobie przypomnieć kto. Alan? Nie, Alan nie żyje. To nie był Alan.

- Za dużo wypiałam.

- Jeden kieliszek - rzucił Ted.

- Wody. - Magiczne słowa. Proszę, dziękuję.

Ktoś uniósł poduszkę. Vicki poczuła zapach Brendy - co to jest? Olejek do opalania o zapachu pinacolady.

- Mówisz bez sensu. Otwórz oczy.

- Nie mogę.

- Spróbuj.

Spróbowała. Jedna powieka się uniosła. Ukazała się bardzo nieostra Brenda. Za nią stało coś, co musiało być Tedem, ale równie dobrze mógł być to złodziej z międzynarodowej szajki, który przyszedł ją wypatroszyć i zabrać klejnoty.

- Ukradłaś mi proszki - powiedziała do Brendy.

- Tak. Przepraszam.

- Muszę wziąć jeden! Natychmiast!

- Idę, idę - rzucił pośpiesznie Ted. - Biorę dzieci.

- Przyniosę ci wody - zakrzętnęła się Brenda. - Lodowatej, z przezroczystymi plasterkami cytryny, tak jak lubisz.

- Nie pójdę do szpitala - wyjęczała Vicki. - Nigdy nie wrócę.

Brenda i Ted wyszli. Stuk zamykanych drzwi zabrzmiał niczym wystrzał. Brenda powiedziała do Teda:

- Ma bardzo rozszerzone źrenice. Co to może znaczyć?

W moim mózgu załagał się pająk, pomyślała Vicki. Brenda szeptała, ale jej głos huczał w głowie Vicki jak tamte sięgające brody wzmacniacze, przy których stała na koncercie B-52. Bluzgał z nich miliard decybeli. Cicho!

- Nie mam pojęcia - mruknął Ted.

Lekarstwo pomogło, przynajmniej na tyle, że Vicki jakoś przetrzymała parę następnych dni. Doktor Alcott zapisał jej tylko dwadzieścia oksykodonów i okazało się, że jeśli Vicki bierze dwie pigułki trzy razy dziennie, ból z niehumanicznego staje się tylko rozdzierający. Lewe oko w końcu się otworzyło, choć powieka nadal opadała, jakby Vicki przeszła wylew, a źrenice były wielkie jak monety. Niemal bez przerwy chodziła w ciemnych okularach. Nie chciała nikomu zdradzać, że czuje się, jakby chodziła z oponą TIR-a na szyi, jakby ktoś jej wydłubywał mózg przez oko, i z całą pewnością nie chciała, żeby Ted i Brenda dowiedzieli się o tej ręce wyciskającej gąbkę jej mózgu i o lęgowym miejscu pająka. Pod żadnym pozorem nie zamierzała wrócić do szpitala, nie zgadzała się na rezonans, ponieważ nie przeżyłaby wiadomości o przerzutach do mózgu.

I tak wegetowała. Został im jeszcze tylko tydzień. Ted zostawił wszystko na ostatnią chwilę, chciał spędzać każdą sekundę na dworze. Grał w tenisa w kasynie, kiedy Josh opiekował się dziećmi, zabierał Vicki, Brendę i Melanie na obiady w Wauwinet, gdzie Vicki wszystkie siły mobilizowała, by utrzymać się w pozycji pionowej. Co wieczór chciał iść do miasta, na przystań, patrzeć na jachty - a pewnego wieczoru pod wpływem impulsu, zapisał siebie i Blaine'a na całonocne połowy ryb z pokładu, choć kapitan z powątpiewaniem popatrywał na Blaine'a i kazał Tedowi przygotować kamizelkę ratunkową dla małego. W chwilę później Ted kupił kamizelkę za sześćdziesiąt dolarów.

Normalnie Vicki zgłosiłaby protest (jest taki malutki, to niebezpieczne, po co marnować pieniądze), ale teraz stała, milcząc. Ted nie spytał jej, jak się czuje, bo nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Zostało im tylko siedem dni wakacji; Chyba Vicki może wytrzymać, zmobilizować się i trochę poudawać, dopóki nie wrócą do domu.

Vicki osobiście zadzwoniła do doktora Alcotta po lekarstwa.

- Ciągle boli? - spytał.

- Nie aż tak, jak wtedy - skłamała. - Ale jesteśmy tak zajęci, tyle się dzieje, że...

- Percoset to narkotyk. Na ostry ból.

- To jest ostry ból - warknęła. - Kwalifikuję się jako osoba, która potrzebuje narkotyku.

- Wierzę. Dlatego chciałem cię obejrzeć.

- Nie przyjdę.

- Nie ma się czego bać. Właśnie, że jest.

- Mogę wziąć co innego?

Doktor Alcott westchnął. Vicki poczuła się jak Blaine. A dostanę chomika, jak będę mieć sześć lat? Deskę? Balonówkę?

- Coś ci przepiszę.

Zdesperowana Vicki zadzwoniła do apteki. Tak, powiedział farmaceuta tonem, jakim zapewne archanioł Gabriel obwieszczał Maryi narodziny Jezusa, doktor Alcott zamówił darvocet i 600 mg motrinu.

- Darvocet to narkotyk? - spytała.

- Nie, proszę pani.

- Ale ma działanie przeciwbólowe?

- Tak, silniejsze, jeśli jest brany razem z motrinem. Silniejsze działanie. Vicki dała się ułagodzić.

Ted namawiał ją na następny piknik. Chciał jeszcze raz wypróbować wędkę, chciał znowu zjeść homara. Tym razem Vicki da radę to zorganizować, prawda?

Prawda, powiedziała Vicki słabo.

Po południu, kiedy Josh odprowadził chłopców, Ted klepnął go w plecy i powiedział:

- Jutro wieczorem jedziemy do Smith's Point na kolację i wędkowanie. Dołączysz do nas?

- Nie mogę - odparł Josh. - Jestem zajęty.

- Zajęty?

Vicki zerknęła na Josha. Chodziła po kuchni w ciemnych okularach i wszyscy wydawali się jak rozmyte cienie, jak aktorzy w starym czarno-białym filmie.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Bardzo byśmy chcieli, żebyś pojechał. To ostatni...

- Naprawdę - przerwał. - Jestem zajęty.

Po odejściu Josha Ted powiedział:

- Moglibyśmy zaprosić doktora Alcotta. Lubi łowić ryby.

- W życiu - warknęła Vicki. - Nie, nie, nie i nie.

Oszołomiona darvocetem i motrinem (wspomaganymi przez trzy advile i dwa tylenole) Vicki zapanowała nad sytuacją i stworzyła niemal dokładną replikę poprzedniego pikniku. Ale nie było Josha.

- Kto będzie? - spytała Melanie.

- Tylko my - powiedziała Vicki.

Kiedy Ted wiózł ich w stronę Madaket i Smith's Point, Vicki poczuła, że to koniec lata. Jakby zamykały się drzwi do wakacji. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, tuż nad kominami wielkich letnich domów w Dionis. A przynajmniej tak to wyglądało przez ciemne okulary. Świat zwalniał, słoneczny blask nabierał konsystencji syropu. Melanie siedziała na pierwszym siedzeniu obok Teda, Brenda i Vicki w środku, skąd miały dostęp do dzieci na ostatnich fotelach. Blaine trzymał rękę nad głową, bo Ted poprosił go, żeby zaopiekował się kijami, a chłopcu wydało się, że to oznacza trzymanie ich przez całą drogę. Porter gaworzył, na zmianę cmokając smoczek i wypluwając go, bo wtedy rozlegało się głośne pyknięcie, które mu się spodobało. Bła bła, cmok cmok, pyk. W samochodzie pachniało homarami. Vicki przez nieuwagę zamówiła jedną porcję więcej - dla Josha, którego nie było. Bez niego w samochodzie zrobiło się pusto. Czy tylko ona tak czuła? Dzieci za nim tęskniły. Melanie pewnie też, choć Vicki nie czuła się aż tak odważna, żeby rozmawiać z Melanie o Joshu. Może za jakiś czas, po operacji i porodzie, może kiedy staną się podobniejsze do kobiet, którymi były przed wakacjami. (Nagle wróciło do niej wspomnienie: kolacja w domu Melanie i Petera, zamówione przyjęcie, a w każdym daniu pojawiały się czarne trufle. Peter kupił je od „truflowego agenta” z Paryża po czwartej nieudanej próbie in vitro; to on wpadł na pomysł, żeby wynająć firmę caterinową i zorganizować przyjęcie. Vicki przysłała z uncją oburzająco drogich perfum od Henri Bendela dla Melanie; Melanie była zachwycona. Vicki kontrolowała rozmowę przy stole jak gestapowiec; za każdym razem, kiedy inni goście wspominali o czymkolwiek choćby odlegle kojarzącym się z dziećmi, zmieniała temat).

Nigdy nie będą takie jak dawniej. Zmieniły się i znowu się zmieniają. Brenda, jakby w odpowiedzi, westchnęła głośno. Vicki obejrzała się na nią.

- Co jest?

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała Brenda.

Przysunęła się do niej, Vicki odruchowo zrobiła to samo. Znowu były dziećmi, szepczącymi poza zasięgiem rodzicielskiego radaru.

- O czym?

- O pieniądzach.

Radio w samochodzie grało. *Niebieskie koła*. Niebieskie koła, pomyślała Vicki. Co to właściwie znaczy? Że w niebie jest jakaś maszyna, która nieustannie wysnuwa z siebie boski plan? Ted zanudzał Melanie opowieścią o wyprawie na ryby, na którą wybierał się z Blaine'em we wtorek. Zanosilo się na to, że na łodzi będzie też Harrison Ford z siostrzeńcem. Czy *Niebieskie koła* oznaczają kółka obracające się w głowie Vicki, te kółka, które powinny aż migać, iskrzyć się myślami, przerabiać je, a tymczasem ledwie się obracały, jakby na zaciągniętym hamulcu, jakby trzeba je było naoliwić. O pieniądzach? Dlaczego ktokolwiek chce mówić o pieniądzach? Czy *Niebieskie koła*, bo chodzi o niebo? Niebo było już ciemne. Jak to możliwe, przecież przed chwilą słońce... bla bla, cmok cmok, pyk. Masz prawie gwarancję, że złowisz tasergala, ale wszyscy chcą skalnika, mówił Ted. W samochodzie pachniało homarami. Siedem matek zginęło w Los Angeles, kiedy autobus na autostradzie dachował i stanął w ogniu. Tylko siedem? Josh jest zajęty. Naprawdę, powiedział, jestem zajęty. Greta Jenkins zaczęła opowiadać o córce Avery, czterolatce, którą posłała na lekcje baletu, i jak się nabiegała za odpowiednimi rajstopkami. Musiały być bez stóp, powiedziała Greta. Przez twarz Melanie przemknęła rozpacz (ale tylko przez chwilę, bo przecież była gospodynią tego wieczoru, tej ucztę obsypanej wiórkami truflii - jak strużynami ołówka, pomyślała Vicki). Vicki zmieniła temat, spytała: Czytaliście artykuł Susan Orleans w „New Yorkerze” o gołębiarzach? Bla bla, cmok, cmok, pyk. O pieniądzach? Tęskniła za Joshem. Był zajęty. Tak się ściemniło.

- Ted! - Ten głos to poważny głos Brendy, jeszcze poważniejszy niż wtedy, gdy powiedziała: muszę z tobą o czymś porozmawiać. To był jej ton alarmowy. Sygnał: sytuacja wyjątkowa! - Ted, natychmiast się zatrzymaj. Zemdlała, straciła przytomność, nie wiem. Dzwonię na pogotowie.

- Kto? - spytał Ted, wyłączając radio. - Kto?

- Vicki! - wrzasnęła Brenda. - Vicki!

Nie obudziły jej syreny ani niewiarygodny dygot opon na asfalcie, choć czuła, że jadać prędko, a syreny były tak samo niepokojące jak krzyki jej dzieci, krzyki bólu lub strachu. Obudził ją zapach. Ostry, antyseptyczny. Tuż pod nosem. Sole trzeźwiące? Jakby omdlała w wiktoriańskim salonie? Nieznany młody mężczyzna, w wieku Josha, ale z włosami ściągniętymi w kucyk (po co facetom takie długie włosy, trzeba było spytać Castora od pokera, póki miała okazję), spoglądał na nią z góry, choć był mocno nieostry. Znowu potrafiła unieść tylko jedną powiekę.

- Vicki! - Jej siostra pojawiła się na skraju ograniczonego pola widzenia. Vicki odetchnęła. Brenda. Chciała ją poprosić o coś bardzo ważnego, i to od początku tych wakacji, ale ciągle czekała na właściwy moment, poza tym się bała, ale teraz to zrobi. Zanim będzie za późno.

Otworzyła usta, a Brenda powiedziała:

- Przepraszam, że zaczęłam o tych pieniądzach. O Boże, strasznie cię przepraszam. Jakbyś miała mało zmar-twień. I... nie zabij mnie, ale zadzwoniłam do mamy i taty. Już tu jadać. Będą dziś wieczorem.

Zanim będzie za późno, pomyślała Vicki. Powieka opadała jej jak roleta w sypialni numeru jedenastego na Shell Street. Jestem zmęczona, zrozumiała. Zmęczona walką, zmęczona wypieraniem się, że nie jestem chora: je-

stem. Bardzo. Umrę. Na grupie wsparcia wspominano, że kiedy nadchodzi koniec, strach znika i pojawia się spokój. Vicki była zmęczona, chciała wrócić tam, gdzie była, zanim się ocknęła, w to zagubione miejsce i czas, w nicłość. Ale nie daj się! Zostań z nami jeszcze trochę! Musiała poprosić Brendę o coś bardzo ważnego, najważniejszego, ale gdzieś jej zginął głos, przepadł, ukradli - więc tylko ścisnęła dłoń Brendy i zaczęła wypowiadać te słowa w myślach, z nadzieją, że siostra, zawsze taka mądra, intuicyjnie je wyczuje:

Chcę, żebyś się zaopiekowała Blaine'em i Porterem. Chcę, żebyś wzięła moich chłopców i wychowała ich na mężczyzn. Ted będzie ci pomagać, oczywiście. Będzie odwalał mecze, narty i łowienie ryb, będzie z nimi gadał o dziewczynach, prochach i alkoholu, będzie obstawiał wszystkie męskie sprawy. Ale chłopcy potrzebują matki, mamusi, i chcę, żebyś to była ty. Wiesz, jaka jestem, kocham listy, zawsze taka byłam, nawet kiedy udawałam, że nie. Więc tu masz listę. Zapamiętaj wszystko, o niczym nie zapomnij: całuj chłopców, kiedy się przewrócą, czytaj im bajeczki, chwal, kiedy będą niesamolubni, ucz ich, żeby byli mili i nie wchodzili bez pukania, żeby sprząтали zabawki i opuszczali klapę sedesu. Graj z nimi w zjeżdżalnie i drabiny, chodźcie razem do muzeów, zoo i na komedie. Wysłuchaj ich, jeśli będą chcieli coś powiedzieć. Zachęcaj ich do śpiewania, budowania, malowania, wyklejania, dzwonienia do babci. Naucz ich robienia jednej potrawy i dawaj im winogrona i marchewki, i brokuły, jak się uda, zaprowadź ich na lekcje pływania, niech zapraszają na noc kolegów, żeby oglądać *Scooby-Do* i jeść pizzę i popcorn. Dawaj im po jednym złotym dolarze od zębowej wróżki za każdy zgubiony ząb. Pilnuj, żeby się nie zadławili, nie utonęli i nie jeździli na rowerze bez kasku. Uczestnicz w życiu ich klasy, zawsze na czas przywoź i odwoź ze szkoły, nie szczędź wysiłku z halloweenowymi przebraniami, prezentami na Boże Narodzenie, w walentynki. Zabieraj ich na saneczki, rób gorącą czekoladę z piankami. Nie broń im jeszcze jednego okrążenia na ślizgawce, zauważ, że wyrastają ze spodni i butów, wieszaj na ścianach ich rysunki, funduj lody z czekoladową posypką, jeśli zasłużą. Zawsze magiczne słowa, w każdej sytuacji. Nie kupuj im PlayStation. Te pieniądze wydaj na przykład na podróż do Egiptu. Powinni zobaczyć piramidy i Sfinksa. Ale przede wszystkim codziennie mów im, że bardzo ich kochałam, choć mnie już nie ma. Będę ich obserwować, będę widzieć każdego gola na boisku, każdy zamek z piasku, każde zgłoszenie się do odpowiedzi, poprawnej czy nie, wszystko to zobaczę. Będę ich obejmować, kiedy zachorują, skaleczą się albo będą smutni. Zrób coś, żeby poczuli te moje objęcia! Ktoś mi kiedyś powiedział, że gdy masz dziecko, twoje serce chodzi poza ciałem. Oni są moim sercem, sercem, które tu zostawiam. Zajmij się moim sercem, Bren.

Proszę cię o bardzo wiele, wiem. To największa, najważniejsza sprawa i proszę cię o nią, bo jesteś moją siostrą. Jesteśmy różne, ale jeśli coś o tobie wiem, z pewnością to, że mnie znasz, znasz mnie na wylot, lepiej niż rodzice, lepiej nawet niż Ted. Jesteś moją siostrą i wiem, że kochasz moje dzieci i zajmiesz się nimi jak własnymi. Nikogo innego bym o to nie poprosiła. Tylko ty możesz to zrobić.

Brenda patrzyła na nią. Usłyszała? Vicki puściła jej rękę.

- Dobrze? - szepnęła.

- Dobrze - odpowiedziała Brenda.

Brenda modliła się szybko, z furją. *Proszę, proszę, proszę, proszę, proszę.* Ted miotał się po poczekalni jak wariat w klatce; Vicki przechodziła badania na piętrze, ale nie pozwolono jej towarzyszyć. Melanie, w chwili dotychczas bezprecedensowego zrozumienia, zaproponowała, że wróci z dziećmi do Sconset, pójdzie z nimi na lody, włączy film ze *Scooby-Do* i położy do snu w łóżku Teda i Vicki.

- Dziękuję - powiedziała Brenda.

W tych gorączkowych chwilach przed przyjazdem karetki, gdy Ted trzymał w ramionach nieprzytomną Vicki, zadzwoniła do rodziców. Oznajmiła matce:

- Vicki jest nieprzytomna.
- Już jedziemy - odpowiedziała Ellen Lyndon.

A Brenda, uświadomiwszy sobie, że a) odwołanie matki od tego pomysłu jest bezcelowe i b) w tej chwili potrzebuje właśnie rodziców, wsparcia, pomocy, oparcia, mruknęła:

- Aha. Dobrze.

Jednak na wyspę mogli dotrzeć nie wcześniej niż następnego ranka, a Brenda potrzebowała pociechy już teraz. Poczucie winy przeżerało jej mózg na wylot, jak robak drążący tunel. Zaczęła gadać o pieniądzach; chciała przystąpić do wstępnej rozmowy o stu dwudziestu pięciu tysiącach dolarów, a Vicki właśnie w tej chwili straciła przytomność. A jednocześnie Brenda, jak na ironię, zdała sobie sprawę, że pieniądze nie mają znaczenia. Pieniądze to najmniej ważna sprawa świata. (Dlaczego ludzie są innego zdania?). Naprawdę liczy się rodzina. Liczy się miłość.

Miłość.

Wyjęła komórkę i poszła na koniec szpitalnego korytarza. Numer znała na pamięć. Przez całe lato starała się go zapamiętać, a jednak wystukała go automatycznie.

Jeden, dwa sygnały.

I Walsh.

- Halo?

Jego głos. Wytrącił ją z równowagi. Cofnęła się chwiejnie. *Wiść niesie, że popełniłaś drugi w kolejności niewybaczalny grzech po jawnym plagiacie.*

- Cześć - powiedziała. - Tu Brenda.
- Brynda. - W słuchawce zapadła cisza. - Brynda. Brynda.

O Boże. Zaraz się rozplacze! Ale nie.

- Ciągłe jestem na Nantucket - powiedziała. - W szpitalu. Vicki jest na piętrze, badają ją. Bo przed chwilą czuła się dobrze i nagle straciła przytomność. Może to nic, a może coś strasznego. Przez całe lato się starałam. To znaczy zajmowałam się Vicki. Nie dokonałam cudu, ale się starałam. Modliłam się, Walsh, ale mam wrażenie, że nikt mnie nie słyszy.

- Aha. Znam to uczucie.
- Tak?
- Znałem. Do teraz.
- Przepraszam, że nie dzwoniłam.
- Aaaa... No tak.
- Czuję... że to w Nowym Jorku, z uniwersytetem... było bardzo złe.
- Tak ci kazali myśleć.
- Pewne sprawy były złe. Czas i miejsce. Powinniśmy poczekać.
- Nie mogłem czekać.

Czy ja bym poczekała? - pomyślała. - Żeby ratować karierę. I reputację. Czy nie mogłam poczekać? Ted osunął się na krzesło i oparł głowę na rękach. Jego statek szedł na dno.

- Muszę już kończyć. Moja siostra...

- Mogę coś zrobić?

- Nie. Nikt nie może.

- Aaaa - powiedział znowu. - No tak.

Tylko miłość się liczy, pomyślała. Powiedz mu! Ale nie potrafiła. Jego głos za bardzo nią wstrząsnął, ugrzęzła w nie-mowie byłych kochanków. Zbyt wiele mieli sobie do powiedzenia, więc nie mówili nic.

- No, dobrze. To do widzenia.

- Do widzenia - odpowiedział Walsh.

Powiedzieli, że zatrzymają Vicki na noc, by zrobić wszystkie badania. Jednym z nich był rezonans, wykonany rano, w obecności doktora Alcotta.

- Pani siostra ma raka płuc - powiedział doktor, szczupły, przystojny Hindus, na wizycie z Mass General. - Szukamy przerzutów do mózgu. Guzów.

- Jasne - odpowiedziała Brenda. - Rozumiem.

- Może się pani z nią zobaczyć przed wyjściem. Pożegnać.

- Dobrze. Tak zrobię.

Brenda i Ted pojechali w milczeniu windą do pokoju Vicki. Była to separotka, cicha i biała. Vicki była podłączona do kroplówki, miała maskę tlenową. Brenda pocałowała ją w policzek; Vicki otworzyła jedno oko.

- Całkiem serio myślałam, że tu nie wrócę - powiedziała przez tę maskę.

- Wiem - szepnęła Brenda. - Wiem.

Ted usiadł na łóżku, wziął Vicki w ramiona.

- Kocham cię, skarbie - powiedział. - Musisz się trzymać. Musisz wyzdrowieć. - Płakał, Vicki też płakała, na ich widok Brenda poczuła dławienie w gardle. Jednym z jej sekretnych celów życiowych było to, żeby pewnego dnia jakiś mężczyzna pokochał ją tak, jak Ted kochał Vicki. Zawsze mówił o niej „moja pani” albo „piękna matka moich pięknych synów”. Jeśli Vicki była w pobliżu, Ted widział tylko ją. Często zachowywał się jak typowy samiec alfa - odgrywał wielkiego pana dyrektora - ale w rzeczywistości żył na klęczkach przed swoją żoną.

Przypomniała sobie o Walshu. Nie mogłem czekać. Ja też nie, pomyślała.

Josh siedział w Chicken Box, pijąc budweisera z beczki i grając w bilard z Zachem. Usiłował omijać myślami piknik, który teraz odbywa się w Smith's Point, bez niego - choć niechciane obrazy same stawały mu przed oczami: wędki wbite w piasek, twarz Blaine'a w świetle ogniska, Melanie ociekająca i dygocząca po nocnym pływaniu. Na dobry początek wieczoru przed wyjściem Josh i Zach strzelili sobie w domu Zacha po parę tequili, co w drodze do baru doprowadziło do niespodziewanego wyznania Zacha, że w czasie tych wakacji dwa razy przespał się z Didi i za każdym razem płacił jej sto dolarów.

- I coś mi się zdaje, że nie jestem jedyny - dodał. - Tojakaś prostytutki czy co.

Po czym zapadło między nimi nieprzyjemne milczenie, tylko częściowo rozładowane rozmową przy bilardzie i rozdzierającą serce balladą Bruce'a Springsteena. Jeśli to właśnie omijało Josha przez całe wakacje, niewiele stracił.

Odetchnął, gdy rozległ się dzwonek komórki. Spojrzał na wyświetlacz: numer domu przy Shell Street. Było prawie wpół do jedenastej. Pewnie właśnie wrócili z plaży, zanieśli zapiaszczonych, sennych chłopców do łóżka. I dzwonią do niego, bo...? Vicki chce mu ograniczyć godziny pracy, a może Melanie... Brakowało jej go na pikniku,

wspomniała ten pierwszy, kiedy... i czy nie zechciałby się z nią spotkać, ten jeden ostatni raz? Czy to by było takie straszne? Tak, to byłoby straszne, to jak uzależnienie, nie można sobie pozwalać na małe działki, trzeba zerwać z tym od razu, przejść wszystkie objawy głodu. Czy ona tego nie rozumiała? Nie docierało do niej? To ona była mężatką! Josh obejrzał się na Zacha, niegdyś najlepszego kumpla, zgiętego w pół nad stołem, z jednym okiem zmrużonym, przymierzającego się do strzału. Gdyby mu opowiedział o Melanie, Zach pewnie by eksplodował. Byłby to niezły rewanż za wiadomość o Didi (*prostytutka?*), ale Zach nie był godny tej informacji. Josh nie odebrał, zaczął, aż włączy się poczta głosowa.

O wiele później, kiedy już odwiózł Zacha do domu (uścisnęli sobie ręce, a Zach powiedział krzepiącym, serdecznym tonem, który przypominał Joshowi, dlaczego się w ogóle kumplowali: Stary, fajnie, że się spotkaliśmy. Dobrze cię widzieć), sprawdził pocztę głosową.

- Josh, tu Ted Stowe. Słuchaj, coś się tu wydarzyło. Vicki jest w szpitalu, miała atak, badają ją, nie wiemy, co się, cholera, dzieje, ale jej rodzice, moi teściowie, przyjadą rano i zajmą się dziećmi. Więc nie musisz sobie zawracać głowy pracą. Vicki pewnie ma gdzieś twój adres, wypiszę ci czek za ten tydzień plus premię. Vicki mówiła, że świetnie się spisałeś i bardzo to doceniam, stary. Nie wiesz, jakie to ważne, żeby mieć kogoś niezawodnego do pomocy, kto uratuje sytuację, jeśli będzie trzeba. Zdaję sobie sprawę, że nie było ci łatwo, a kurczę, dzieci... kochają cię, Vicki cię kocha i wszystko będzie dobrze. Musimy w to wierzyć. No więc jeszcze raz dziękuję za pomoc. I powodzenia na studiach. Nie do wiary, że zostawiłem taką długą wiadomość. Nienawidzę gadać do maszyny.

Klik. Josh odsłuchał wiadomość jeszcze raz. To było pożegnanie, pożegnanie o tydzień za wcześnie, i dobrze - teoretycznie. Był pewien, że dostanie okrągłą sumkę, ale to pożegnanie go zmartwiło. Słowa wypowiedział Ted, niewłaściwa osoba. Ted, który uważał, że jedynym zakończeniem, jakiego potrzeba Joshowi, jest czek. A pożegnanie z dziećmi? A wiadomość, czy Vicki wyzdrowiała? Atak? Jaki atak? Atak na tyle poważny, że zatrzymali ją na noc w szpitalu? Tak poważny, że jej rodzice przyjadą już rano? Josh, nakręcony tequilą i piwami z baru, był jednocześnie przejęty i oszołomiony. Pozostawało kolejne niejasne pytanie: należał do domowników Shell Street czy nie? Czy można go spławić jedną wiadomością? Najwyraźniej. Wielkie dzięki, powodzenia, czółko. Miał ochotę oddzwonić i poinformować tego Teda Stowe'a o swoim znaczeniu dla tych kobiet i dzieci. Pokochał chłopców, dbał o nich lepiej niż ktokolwiek. Zasłużył na ich zaufanie, znał ich.

Zaprzyjaźnił się z nimi. Wyciągnął Melanie z grzęzawiska rozpacz, dał jej pewność siebie. Dzięki niemu poczuła się piękna i godna pożądania. Zwierzył się Vicki, traktował ją nie jak chorą, tylko zwyczajną osobę. Potrafił ją rozbawić nawet w cieniu śmierci. Opowiedział jej o matce. I zamierzał pomóc Brendzie ze scenariuszem, spyta Chasa Gorda, jak się toto sprzedaje. Zrobił to wszystko, a Ted go skreślił, odprawił jedną wiadomością w poczcie głosowej. Jakby Josh był hydraulikiem, deratyzatorem, którego można odprawić. Wyślę ci czek.

Uważaj. Nie tylko na Melanie, ale całą rodzinę. Pokochał tę rodzinę, a ona złamała mu serce.

Za kwadrans siódma rano Brenda usłyszała coś jakby turkot walizki na kółkach, podskakującej na kamiennej ścieżce, a potem skrzypnięcie starych drewnianych drzwi. Ale nie, pomyślała. Jest niemożliwie wcześnie. Nawet ludzie, którzy chodzą na poranną mszę, nie wstają o takiej godzinie.

Parę chwil później ktoś zapukał do drzwi sypialni. Otworzyła oczy i zobaczyła... zaglądnąca do środka Ellen Lyndon. Matkę. Usiadła.

- Mamo!

Pokój wypełnił się natychmiast aurą Ellen Lyndon: jej ślicznie ułożone srebrzyste włosy, okulary przeciwsłoneczne na głowie, nieodłączny zapach Coco Chanel i wanilii, jasnoróżowa szminka. Lewe kolano miała zakute w niebieski ochraniacz z neoprenu, a zamiast zwykłych espadryli nosiła tenisówki. Ale jej różowa bluzeczka była świeża i wykrochmalona, a na bermudach widniały haftowane żółwiki w podobnym odcieniu różu. Kto wygląda zachwycająco o tak nieludzkiej godzinie?

Moja matka, pomyślała Brenda. Kładzie się spać piękna, wstaje piękna.

Ellen przykuśtykała do łóżka, ujęła twarz Brendy i pocałowała ją w usta. Brenda poczuła smak szminki.

- Kochanie! - zawołała Ellen. - Jak ja tęskniłam!

- Nie do wiary, że jesteś - powiedziała Brenda. - Tak szybko.

- Pierwszy lot. Jechaliśmy aż do północy, w Providence zrobiliśmy przystanek. A znasz ojca. O wpół do szóstej pobudka. - Ellen Lyndon osunęła się na łóżko, zdjęła tenisówki. - Posuń się.

Hm. Nie była to może osoba, którą Brenda najchętniej powitałaby w swoim łóżku, ale uścisk matki zawsze sprawiał jej ulgę, nawet teraz, kiedy miała trzydzieści lat. Podobnie jak głaskanie po głowie i słowa:

- Kochanie, byłaś bardzo silna. Pomogłaś siostrze. Co ona by bez ciebie zrobiła? Miała wielkie szczęście, że tu byłaś.

- Nie zrobiłam aż tyle. Wozilałam ją jedynie na chemię.

- I pilnowałaś dzieci, i pomagałaś w domu. I wspierałaś ją na duchu.

- No, może.

- I rozmawiałaś ze mną, swoją nienormalną matką.

- Właśnie. Jak twoje kolano?

- Dobrze. Było parę problemów, niezbyt ważnych, żeby o nich opowiadać. Mój fizjoterapeuta Kenneth nie wie, że przekroczyłam granicę stanu, ale jak się dowie, pewnie będzie zły!

- To pewnie za duży wysiłek dla ciebie - powiedziała Brenda. - Nie zadzwoniłabym, ale...

- Boże, kochanie, ależ musiałaś do mnie zadzwonić. Nie goję się, jak powinnam, bo martwię się twoją siostrą. Nie mogę się skupić. - Ellen Lyndon położyła się na wznak i spojrzała w sufit. - To był pokój cioci Liv.

- Wiem. Pamiętam.

- Liv była silna. Silniejsza nawet od babci. Była wspierałym wzorem dla ciebie i twojej siostry.

- Tak - przyznała Brenda.

I gdyby zobaczyła, co wyprawiałam przez ten rok, dostałaby zawału.

- Wiem, że podejrzewają u Vicki guza mózgu - powiedziała Ellen. - Nikt mi tego nie powiedział, ale wiem, co myślą lekarze.

- Pewnie istnieje taka możliwość.

Ellen zaczerpnęła tchu.

- Wiesz, matka nigdy nie jest gotowa na wiadomość, że jej dziecko jest chore. To... najgorsze, co można usłyszeć. - Zerknęła na Brendę. - Nie możesz tego zrozumieć. Jeszcze. Dopóki nie masz własnych dzieci. A nawet wtedy, mam nadzieję, nigdy tego nie doświadczysz. - Umościła się wygodniej, zamknęła oczy. - Ale wiesz, dobrze tu wrócić. Zwłaszcza do tego pokoju. Tu był pokój dziecinny twojej babki i cioci Liv. Kołyska silnych kobiet. Czuję ich siłę. A ty?

- Mniej więcej - skłamała Brenda. Tak naprawdę czuła się słaba i zmęczona. Na myśl o rozmowie z Walshem czuła ból, dokuczliwy jak rana na kolanie.

Ellen Lyndon lekko uniosła kolano i po chwili już oddychała miarowo, przez sen. Brenda ostrożnie wstała i nakryła matkę.

Buzz Lyndon siedział w kuchni z Tedem, Blaine'em i Porterem, ale nikt nie zakrzętnął się wokół śniadania. Może czekają, aż zrobi to jakaś kobieta, pomyślała Brenda. Ellen Lyndon i Vicki same stworzyły te potwory, ale ponieważ Ellen spała, a Vicki nie było, na placu boju została Brenda. Oby lubili płatki z zimnym mlekiem. Wyjęła torbę i zaczęła rozsypywać płatki do miseczek.

- Cześć, tato - powiedziała, całując ojca w nieogolony policzek. W przeciwieństwie do żony, wyglądał jak po nocy spędzonej w motelu. Zupełnie jak przepracowany, podstarzały kierowca tira.

- O, skarbie - powiedział. - Jak tam?

- Dobrze - powiedziała. - Mama śpi.

- Tak, jest zmęczona. Kiedy możemy pojechać do twojej siostry?

- O dziewiątej ma rezonans - powiedział Ted. - Co oznacza, że muszę się zbierać. Do jedenastej skończy. Wtedy będą wiedzieć więcej.

Brenda nasypała płatków do pięciu miseczek, naalała kawy i zaparzyła drugi dzbanek, zdołała nawet wcisnąć kaszkę w Portera. Pojawiała się Melanie. Po powitaniu z Buzzem Lyndonem zrobiła talerz grzanek. Nieco później do kuchni wkroczyła Ellen, która usadowiła się przy stole, żeby zrobić sałatkę owocową. Chłopcy omal nie wyskoczyli ze skóry, zachwyceni przybyciem dziadków. To dopiero widzowie!

- Pójdziecie z nami na plażę? - spytał Blaine.

- Dziadzio was zabierze - obiecała Ellen. - Jak już spotkamy się z mamusią.

Brenda uciekła z kawą na taras. W kuchni zrobiło się tłoczno i hałaśliwie i choć dzięki przybyciu rodziców ten dzień zyskał atmosferę święta, jednocześnie dziwnie kojarzył się z pogrzebem. Byli wszyscy z wyjątkiem Vicki.

Proszę, proszę, proszę, proszę, proszę, proszę, modliła się. Podwórko szczebiotało i trzepotało w odpowiedzi: motyle, pszczoły, róże, płot, zielona trawa, niebieskie niebo, szczygły, strzyżyki, słońce. Jeśli Bóg istnieje, to był na tym podwórku, ale jak miała zgadnąć, czy słucha?

Na jej ramionach spoczęły ręce. Mocne, męskie dłonie. Ojciec. Buzz Lyndon operował wyłącznie konkretnymi: czy matka może ci pomóc? Czy ktoś potrzebuje pieniędzy? A i owszem, Brenda potrzebowała pieniędzy, ale teraz uświadomiła sobie, że nie zamierza nikogo o nie prosić, nawet ojca. Sama spłaci dług, zdobędzie pracę, zarobi. Spędziła tyle nocy w kołysce silnych kobiet, że zrozumiała, jak należy postępować.

- Brynda - usłyszała szept, zbyt czuły, żeby wyszedł z ust ojca. Ręce na jej ramionach nie należały do Buzza Lyndona. Były inne w dotyku. No i ten głos. Brynda. W głowie się jej zakręciło; odwróciła się gwałtownie.

Odstawiła kawę w obawie, że ją rozleje. Ręce się jej trzęsły. Walsh tu jest! Nie wyobraziła go sobie, jest tu naprawdę: ciemne włosy krótko obcięte, oliwkowa skóra ogorzała od słońca, białe polo, którego nie znała. Uśmiechał się do niej, a jej żołądek fiknął koziołka. To on. On! Jedyny „on”, który ma znaczenie: Walsh, jej student, jej kochanek z Australii. *Nie mogłem czekać*. Walsh przyjechał! Pewnie wyruszył z Nowego Jorku natychmiast po ich rozmowie. Musiała się dowiedzieć wszystkiego: jak się tu dostał, dlaczego postanowił przyjechać, jak długo zostanie... ale zmusiła się, żeby nie myśleć. Stop! Walsh przyjechał. Jedyna osoba, która jest tu wyłącznie dla niej.

Zasłoniła usta ręką. Rozplakała się. Wziął ją w ramiona. Przytuliła się do jego piersi. Jego dotyk, objęcia kojarzyły się jej z czymś zakazanym. „Związki natury uczuciowej lub seksualnej między przedstawicielem ciała pedagogicznego a studentem są zabronione”.

Zawsze było tak, jakby się ukrywali. Ale to już nie miało znaczenia.

Nie wybieramy miłości, ona nas wybiera, czy jest słuszna, czy niesłuszna - a zrozumienie tego było dla Brendy jak odpowiedź na modlitwy.

Tylko miłość ma znaczenie.

Josh wyszedł z morza na plaży Nobadeer, otrząsnął się jak pies i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdoła opisać to, co mu się przydarzyło tego lata. Odnosił rany tak poważne, że zasługiwał na Purpurowe Serce, ale przynajmniej czegoś się nauczył (chyba). Rozumiał już tragicznych bohaterów.

Temat wyczuwanie jak nadchodzącą burzę, mawiał Chas Gorda. Zjeżą się wam włoski na rękach.

Usłyszał te słowa wyraźnie - może dlatego, że zanosilo się na burzę, czarne, kłębiaste chmury nadciągały znad morza. Przez cały dzień była piękna pogoda - słonecznie, bez wiatru - ale to go tylko drażniło. Po wieczorze z Zachem miał kaca, a skoro właściwie stał się bezrobotny, czuł się zbłąkany i nieprzydatny. Przez cały dzień usiłował zapisać swoje wrażenia w dzienniku, ale sprowadziło się to tylko do siedzenia na niepościelonym łóżku i rozmyślenia o jedenastce przy Shell Street, a potem wściekaniu się na siebie, że o tym myśli. Jego komórka dzwoniła nieustannie, ale trzy razy był to Zach i Josh zaczekał, aż go przełączy na pocztę głosową, a dwa razy na wyświetlaczu pojawiło się „Robert Patalka”, a z nim Josh nie miał najmniejszego zamiaru rozmawiać.

Ulżyło mu, kiedy wybiła piąta. Było mu gorąco i nijako - nie zdołał z siebie wydusić żadnych doniosłych przemyśleń (unikajcie pisania o sobie, strzeżcie własnego tematu). Przed wyjazdem na studia musiał zrobić pranie i spakować się, ale w tym stanie umysłu nie potrafił się zająć tak upiorną robotą. Jedyne, na co czekał, to pływanie na plaży Nobadeer, a jednak umyślnie z nim zwlekał, dopóki nie upewnił się, że wszystkich tych rodzin i reszty wesołego plażowego towarzystwa już nie ma. Nie potrafił znieść widoku innych dzieci na plaży, innych rodziców; nie chciał patrzeć na cudzy wesoły koniec wakacji. W drodze nad morze podjął awanturnicze postanowienie, że nie zrobi dziś kolacji dla ojca. Kupi pizzę, a jeśli ojciec zapragnie lodowej sałaty, niech sam sobie zrobi.

Pływał prawie godzinę i humor mu się znacznie poprawił. Był zadowolony, że nie zadzwonił na Shell Street - skoro nie potrzebowali go już lub nie chcieli, to i on ich też nie - i że zwalczył pragnienie, by wstąpić do szpitala i sprawdzić, co z Vicki. Nie będzie dłużej brał udziału w ich dramatach. Musi wyluzować. Czasem, na myśl o chłopcach, chwytął go żal, ale przecież zapisał w kalendarzu daty ich urodzin, będzie im wysyłać prezenty - wielkie, hałaśliwe ciężarowy, takie błyskające światłami i grające, dokładnie takie, jakie dorosłych doprowadzają do szału. Na samą myśl uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

Ale potem, kiedy wyszedł z morza pod sinym, złowróżbnym niebem, przypomniał sobie słowa Chasa Gordy. Zaczęły padać ciepłe, wielkie krople deszczu. Chwytał ręcznik i pobiegł po schodkach na parking, klnąc po drodze. Oczywiście dach dżipa był opuszczony.

Temat wyczuwa się jak nadciągającą burzę.

Zjeżą się wam włoski na rękach.

Kiedy rozpadało się na dobre, osłonił głowę ręcznikiem. Włosy na jego ramionach naprawdę się jeżyły. Błysnęło, a sekundę później zagrzmiało.

- Cholera! - krzyknął. Jego dżip zatonie.

- Josh! Joshua! Ktoś go woła.

- Joshua!

Uniósł rękę. Zobaczył zielonego fordę explorera z zapalonymi reflektorami i pracującymi wycieraczkami - a przed nim, bez parasola i kapelusza, i w ogóle bez żadnej osłony, stał ojciec. Przez chwilę spojrzeli sobie prosto w oczy, potem Josh odwrócił wzrok; spojrzął w dół, na swoje klapki, na ziemię, piasek i kamyczki na parkingu, na wartkie strużki wody, na rosnące kałuże. Nie, pomyślał. Gówno, nie. W głowie mu się zakręciło i dopiero wtedy połapał się, że wstrzymuje oddech. Nawiedziło go straszne, ohydne wspomnienie - nie tyle obraz, ile uczucie. To samo czuł, kiedy ojciec powiedział, a pamiętał jego słowa dokładnie, choć przysięgałby, że nie myślał o nich od ponad dziesięciu lat. *Synu, twoja matka nie żyje*. Jak jeden cios w brzuch. Reszta przyszła później. Chyba ktoś mu wyjaśnił, że odebrała sobie życie, że powiesiła się na strychu, a może sam sobie poskładał to, co mu sugerowano lub co podsłuchał. Tego już nie pamiętał. Ale pamiętał wyraz twarzy ojca. Nigdy więcej nie chciał zobaczyć tej miny - a tu proszę. Tom Flynn stał w deszczu, jakby go nie zauważał, znalazł się na plaży Nobadeer zamiast tam, gdzie jego miejsce: za terminalem komputerowym na szóstym piętrze wieży kontroli lotów.

Miała atak, powiedział Ted Stowe. Vicki jest w szpitalu.

Vicki.

Synu, twoja matka nie żyje.

Jedenastoletni Josh zwymiotował na miejscu, nie myśląc, nawet tego nie zauważając. Zarzygał nowe trampki i dywan w salonie. A teraz na myśl „Vicki” zgiał się w pół i zakrztusił.

Nie, pomyślał. Kurwa, nie.

- Joshua!

Podniósł głowę. Ojciec kiwał na niego: chciał, żeby Josh wsiadł do samochodu. Josh dałby wszystko, żeby móc się odwrócić, ale stał na ulewie - znowu zagrzmiało - a we własnym dżipie nie znalazłby osłony. Popędził do fordę i wsiadł.

Ojciec zajął miejsce obok niego i obaj znieruchomieli, jak w odrętwieniu, gapiąc się na ulewę za oknem. Tom Flynn zdjął okulary i wytarł je chusteczką. Ciemne włosy przykleiły się mu do głowy.

- Wydarzyło się coś złego - powiedział.

Nie, pomyślał Josh. Poniósł rękę, dając znak, że nie potrafi teraz tego wysłuchać. *Miała atak*. Tom Flynn odchrząknął i zaczął:

- Ta mała Patalki... Josh poderwał głowę.

- Didi?

- Nie żyje.

Josh się zachłysnął. W samochodzie było ciasno i ciepło, ale zadygotał z zimna. Didi? Nie Vicki, tylko Didi? Didi nie żyje?

- Jak to? - spytał głupio. - Jak to?

- Nie żyje. Zmarła... wczesnym rankiem.

- Dlaczego? Co się stało?

- Chyba coś wzięła. Pigułki i alkohol.

- Ale nie...

- Są prawie pewni, że to przypadek.

Łzy napłynęły Joshowi do oczu. Kłębowisko uczuć, które go opadło, było nieprzyswajalne; jakby ktoś uderzył w zbyt wiele klawiszy na raz. Dysonans. Didi nie żyje. Didi nie żyje? Nikt nie zaprzeczyłby, że narobiła sobie w życiu bajzlu, jakich mało - utrata samochodu, zaleganie z czynszem, prostytutka? Ale Josh zakładał, że w końcu się opamięta, że rodzice jej pomogą albo że znajdzie jakiegoś innego biedaka, który się nią zajmie. Martwa Didi wydawała się absurdem. Miała w sobie tyle siły, była taka charakterystyczna - te dżinsowe szorty z wystrzępionymi nogawkami, ten udział w grupie cheerleaderek, te liściki, które posyłała Joshowi między zajęciami, pełne serduszek i przypieczętowane śladem uszmiokowanych ust, te malinki, żarliwe uwielbienie dla potwornej kocicy oraz erudycyjna znajomość klasycznego rocka: Allman Brothers, Lynyrd Skynyrd, Led Zeppelin. Były takie chwile - a nawet dość długi okres - kiedy Josh łączył słowo „miłość” z Didi. Ona mówiła to częściej i z większym przekonaniem: kocham cię, bardzo cię kocham, jesteś moją prawdziwą miłością, zawsze i na wieki. Josh, jako mężczyzna, odpowiadał: ja też. Słyszałem. W porządku.

Teraz jednak wiedział o miłości coś więcej i kiedy myślał o tym, co przeżył z Didi, widział niedojrzałość tego uczucia, jego niedoskonałość. Więc oprócz wstrząsu i niedowierzania czuł jeszcze wyrzuty sumienia. Nie kochał jej wystarczająco mocno ani prawdziwie. Nie dał jej mocnego fundamentu, na którym mogłaby budować przyszłe związki. Może nawet niechcący ją okaleczył, ponieważ nie chciała się rozwijać.

A w gmatwaniu tych uczuć była także ulga, że nie chodziło o Vicki. Wstydział się tej ulgi i nie wiedział, co z nią właściwie zrobić. Na pewno nie cieszył się, że Didi umarła. Ale cieszył się, że Vicki żyje.

A jednak odczuł tę stratę. Powstała w nim jakaś luka. Pogrzeb Deirdre Alison Patalki odbył się dwa dni później, Josh zjawił się na nim w szarym garniturze przeznaczonym na rozmowy w sprawie pracy. Może poniosła go wyobraźnia, ale wydawało mu się, że na jego widok rozległy się szepty, zebrani zaczęli pochylać się ku sobie i coś mówić, choć nie tak głośno, żeby dotarły do niego słowa. Nie wiedział, ile wiedzą - może szepotali, bo wydawało im się, że Josh ciągle był z Didi i dlatego odgrywa tu rolę zrozpaczonego kochanka. A może wszyscy wiedzieli o ich rozstaniu, może słyszeli, że Josh dał Didi pieniądze, by została w spokoju, może oskarżali go o śmierć Didi, o jej ucieczkę w prochy i alkohol, może mieli mu za złe, że jej nie uratował. Nie mógł się tego dowiedzieć. Dostrzegł wszystkich znajomych - uczniów, nauczycieli. Robotników z grupy Roba Patalki i nawet braci Dimmity, Setha i Vegasa, których Josh nie widział na oczy od czasów, gdy matka prowadziła im księgowość. Był też dentysta Josha, panie z poczty, kierownik sklepu przy autostradzie, szef kuchni i kelnerzy z knajpy na przystani, gdzie Didi kelnerowała w wakacje, bibliotekarki. Policja musiała zamknąć ruch na Federal Street, bo na pogrzeb Didi przyszło tak wiele osób, że musiały stać na kościelnych schodach, ulicy i chodniku po drugiej stronie. Didi przywieziono w karawanie, w zamkniętej trumnie w ponurym granatowym kolorze. Zupełnie nie w jej stylu, pomyślał Josh, przez co jeszcze trudniej było uwierzyć, że Didi jest w środku. Ale ulżyło mu, że trumna nie jest otwarta. Nie chciał widzieć Didi martwej, wyszmiokanej w domu pogrzebowym, w „godnym” ubraniu, które pewnie wybrała dla niej pani Patalka. Nie chciał spojrzeć w twarz Didi i ujrzeć nieme oskarżenie: zawiodłeś mnie.

Po pogrzebie odbyła się stypa w Klubie Wędkarza, ale Josh został tylko na chwilę. Pocałował panią Patalkę; pan Patalka wręczył mu z poważnym uściskiem ręki kopertę z dwiema setkami.

- Na jej biurku znaleźliśmy list - powiedział. - Napisała, że jest ci tyle winna.

Próbował nie przyjąć koperty, ale pan Patalka nalegał. Wobec tego kupił za część sumy piwo; miał je zawieźć do domu w Shimmo, gdzie Zach wyprawiał nieoficjalną imprezę dla „prawdziwych przyjaciół Didi”, „ludzi, którzy znali ją najlepiej”. Postawił piwo na fotelu dla pasażera; starał się nie myśleć, że to fotel Melanie. Zdjął ma-

rynarkę i rzucił na tył; o czwartej po południu było na nią za gorąco. Nie zadzwonił do Melanie, żeby powiedzieć o Didi nie tylko ze względu na nałożony samemu sobie zakaz, ale dlatego, że Melanie nie wiedziała o Didi, a on nie miał ochoty klarować jej, że miał taką znajomą, właściwie nie znajomą, tylko była dziewczynę, osobę niedającą się łatwo zaszufładować - i ta znajoma umarła. Melanie by nie zrozumiała, ale ponieważ była sobą, niewiarygodnie dobrą Melanie, udawałaby, że rozumie, a Josh jak nic poczułby się potraktowany z góry. Didi i Melanie pochodziły z całkiem odrębnych rejonów jego życia i łączenie ich ze sobą wymagałoby solidnego wysiłku, który pewnie doprowadziłby tylko do zamieszania. A jednak w drodze do Shimmo, bez krawata i marynarki, z otwartymi oknami samochodu, przez które wpadały ostatnie poddmuchy ciepłego, świeżego letniego powietrza, Josh zaczął szukać telefonu. Sprawdził nieodebrane połączenia - dwa od Roba Patalki, trzy od Zacha, teraz już wiedział, o co im chodziło - aż wreszcie znalazł połączenie z numeru jedenastego na Shell Street, kiedy dzwonił Ted i prawie wcisnął funkcję „połącz”, ale wtedy musiał skrócić, więc skrócił, gwałtownie, piwo ześliznęło się z fotela Melanie i gruchnęło na podłogę, a kiedy Josh, zgięty wpół, usiłował je podnieść, zobaczył przed sobą samochód Tish Alexander i już nie było czasu dzwonić do Melanie.

Popołudnie znowu było piękne. Gdyby nie ten pogrzeb, na imprezie wszyscy byliby w strojach kąpielowych. Pływaliby w zatoce przed domem. Morze było bardzo niebieskie i spokojne; Josh nigdy nie widział bardziej zachęcającej wody. Przez jakiś czas stał na podjeździe, patrząc na cieśninę Nantucket. Urodził się i wychował na tej wyspie; miał poczucie, że ten widok jest jego własnością - jego i tej grupy, która się tu zebrała. A skoro należał do nich, to i do Didi, ale to jej nie wystarczyło, nie dało jej równowagi, nie utrzymało przy życiu. Didi - ile razy powtarzał to w myślach w nadziei, że to zdanie wreszcie nabierze sensu? - nie żyje.

Josh wszedł do domu i zdjął buty. Usiłował odepchnąć myśli o nocy z Melanie. Z góry dobiegały dźwięki Bon Jovi. Wszedł po schodach, zadowolony, że ma tę skrzynkę piwa, bo mógł czymś zająć ręce. W salonie zebrało się niewiele osób, głównie dziewczyny, Josh znał je przez całe życie, ale imion nie potrafił sobie w tej chwili przypomnieć. Płakały na sofie. Josh skinął im głową. Reszta była na tarasie. Faceci, tak jak on, zdjęli marynarki i krawaty, rozpięli koszule, pili piwo, mówili cicho, kręcili głowami, spoglądali w dal. Ale dlaczego? - spytał ktoś. A ktoś inny odpowiedział: stary, nie wiem.

Zach był w kuchni, krzątał się jak Martha Stewart. Sypał chipsy do eleganckich ceramicznych mis - ręcznie malowanych - rozkładał serwetki, wycierał blat. Na widok Josha spytał:

- Masz piwo?

- Aha.

- Ta lodówka jest pełna. Wstawisz do tej pod barem?

- Jasne.

- Chyba tam nie palą, co? - Zach wyciągnął szyję, usiłując dostrzec, co się dzieje na tarasie. - Na terenie posiadłości nie wolno palić. Nawet przed domem.

- Nikt nie pali - uspokoił go Josh. Zaniósł skrzynkę piwa do baru, znowu wchodząc na teren płaczących dziewczyn. Na jego widok przestały rozmawiać. Zapadło milczenie, przerywane tylko chlupaniem.

- Cześć, Josh.

Odwrócił się. Eleanor Shelby, przyjaciółka Didi, siedziała między Annelise Carter i Penelope Ross, jak królowa rozpaczy z dwiema damami dworu. Nawet to powitanie zabrzmiało oskarżycielsko. Uświadomił sobie, że nie powinno go to dziwić - Didi pewnie zwierzała się Eleanor ze wszystkiego, Annelise i Penelope chyba też - ale nie

był przygotowany na atak. Otworzył drzwi lodówki pod barem, obrzucił spojrzeniem blat z niebieskiego granitu, lustro, sto wiszących do góry nogami kieliszków. Weisnął sześciopak do lodówki, dopchnął je z niejaką brutalnością, bo wbrew samemu sobie znowu pomyślało mu się o Melanie i tamtej nocy. Kochali się w łóżku w sąsiednim pokoju, wzięli razem prysznic, stali na tym tarasie w szlafrokach, a on pozwolił sobie na chwilowe marzenie, że to wszystko należy do niego - albo może należeć. Eleanor odchrząknęła.

- Niewiele cię ostatnio widujemy - powiedziała. - Chodzą plotki, że pilnujesz jakichś dzieci w Sconset.

Uśmiechnął się do Eleanor w lustrze nie dlatego, że mu się chciało ani że zapragnął być uprzejmy, ale ponieważ na nowo uderzyła go różnica między dziewczynami i kobietami.

- Tak - powiedział. - Zgadza się.

Penelope Ross, którą Josh znał dosłownie od urodzenia (przyszli na świat w tym samym tygodniu, w tym samym szpitalu, a ich matki leżały w sąsiednich salach), włączyła się do rozmowy.

- Chodzą też inne plotki.

Josh spojrział na nią z maksymalnie dostępną mu pogardą.

- No myślę.

- Na przykład, że będziesz tatusiem.

Parsknął złym śmiechem. Nie było sensu wdawać się w taką dyskusję, ale ten dzień dał mu się we znaki i zaczęło go ponosić. Szukał zwady.

- Bzdura.

- Ale twoja dziewczyna jest w ciąży, nie? - mówiła Penelope. - Didi nam powiedziała.

- I że jest starsza - dodała Eleanor. - W wieku naszych rodziców.

Josh pokręcił głową. Didi po śmierci zyskała nową aurę nieomyślności, aurę gwiazdy, która nie otaczała jej za życia. Josh mógłby wytoczyć przeciwko niej działa - powiedzieć o długach, piciu, prostytutce - ale co by zyskał? Zmierzył dziewczynę wzrokiem i powiedział cicho i poważnie:

- Nie mam dziewczyny.

Zamknął im usta na tyle, że zdołał uciec po schodach na podjazd. Nie mógł tu zostać. Impreza „dla przyjaciół Didi”, „dla ludzi, którzy znali ją najlepiej”, nie była dla niego. Wycofał samochód z podjazdu, usiłując panować nad oddechem. Był bardzo, bardzo zdenerwowany. Ruszył przez Shimmo Road w stronę Polpis. Z sięgnięciem po telefon zaczął czekać do zakrętu na Polpis Road. Tłumaczył sobie, że zawsze może zmienić zdanie.

Ale potem wybrał numer. Wiedział, że to zrobi.

W słuchawce rozległ się nieznajomy głos. Słyszał śpiew - radosny, głos Julie Andrews.

- Hal-lo!

Tego się nie spodziewał. Czyżby wybrał niewłaściwy numer?

- Eee... dzień dobry - wyjąkał. - Czy jest Melanie?

- Melanie - powtórzył głos. - Tak. Tak, w istocie, Melanie jest. Czy mogę spytać, kto dzwoni?

- Josh.

- Josh - powtórzył głos. Zapadła cisza, potem rozległ się głośny wdech. - A! Pan musi być tym młodzieńcem, który im pomaga.

- Tak. - Wrócił do niego piskliwy głos Penelope Ross: *Didi nam mówiła...* - Tak, to ja. Kto mówi?

- Oooo... Jestem Ellen Lyndon, mama Vicki i Brendy. Opowiadały mi o tobie cuda. Cuda! Więc dziękuję ci i ich ojciec też ci dziękuje. Gdybyśmy mogli, sami byśmy im pomagali, ale ja mam problemy zdrowotne, operację kolana i tak dalej. A Buzz, mój mąż, musiał pracować. Przyjechaliśmy tylko dlatego, że nastąpiła sytuacja alarmowa...

- Właśnie. Czy Vicki jest zdrowa?

Znowu gwałtowny wdech. A potem w głosie jego rozmówczynie zabrzmiał desperacki ton, jakby usiłowała się nie rozplakać.

- Zdrowa. To znaczy, nadal ma raka. Ale to stary, znany rak, a nie jakiś nowy. Wszyscy byliśmy pewni, że znajdą przerzuty, ale nie, rezonans nic nie wykazał. Vicki straciła przytomność w samochodzie i wszyscy sądziliśmy, że rak zagnieździł się w jej mózgu. Ale lekarze powiedzieli, że jest zatruta lekami, jej krew jest rozrzedzona, no i upał i stres. Znasz Vicki. Z powodu tej operacji i tak dalej jest pod ogromną presją. - Ellen Lyndon zamilkła; Josh usłyszał szelest wyszarpywanej z pudełka chusteczki. - Nie znam nikogo, kto pragnie żyć bardziej od mojej córki.

Pragnie żyć, pomyślał Josh. W przeciwieństwie do Didi. Imojejmatki.

- Z powodu dzieci - dodała Ellen Lyndon. - I reszty.

- No tak. Wiem.

Ellen Lyndon się rozpogodziła.

- No, co tam! Jeśli zechcesz chwilkę poczekać, zaraz zawołam Melanie.

- Dobrze - powiedział. - Dziękuję.

Nie wolno nie doceniać potęgi własnego umysłu, powiedział doktor Alcott. To nie rak cię osłabia. Sama sobie odbierasz siły.

Te słowa Vicki usłyszała, leżąc w szpitalu. Gdyby padły z ust kogoś innego, zabrzmiałyby karcąco, ale doktor Mark wypowiedział je jak nienarzucającą się prawdę.

- Dam ci wypis. Ale musisz mi obiecać, że od tej chwili do dnia operacji będziesz spokojna. Będziesz pić dużo wody, przyjmować witaminy i odżywiać się. Nie będziesz się leczyć na własną rękę. Kiedy poczujesz niepokój lub strach, zwrzysz się komuś. Strach duszony w sobie rozrasta się i pożera nas żywcem.

Vicki usiłowała odpowiedzieć, co okazało się niewykonalne. Skinęła głową i wykrztusiła:

- Wiem.

- Mówisz, że wiesz, ale zachowujesz się, jakbyś nie wiedziała. W piątek wzięłaś tyle środków, że powinnaś zapaść w śpiączkę.

Znowu usiłowała się odezwać i znowu bez skutku. Coś się działo z jej głosem.

- P... przepraszam.

Zabrzmiało to nie tak, jak chciała, jakby była maszyną.

- Nie przepraszaj mnie, przeproś siebie.

- Przep... raszam... sie... ebie - wydusiła. Prawie nie żartowała.

Doktor Alcott uśmiechnął się do niej.

- Masz się nie denerwować, dotarło? Skinęła głową.

- Dobrze. - Doktor Alcott pochylił się i pocałował ją w policzek. - To na do widzenia. Już się nie zobaczymy w te wakacje. Ale doktor Garcia obiecał, że zadzwoni do mnie po operacji. I... - uścisnął jej dłoń - ...chcę, żebyś następnego lata odwiedziła mnie i resztę drużyny. Słowo?

Vicki nie mogła mówić! Coś się stało z jej głosem, a może doznała obrażeń mózgu? Skinęła głową.

- Dobrze. Takie wizyty lubimy najbardziej. - Wytrzymał jej spojrzenie. - Bo następnego lata będziesz zdrowa.

Lzy napłynęły jej do oczu. Nie było tak łatwo, jak mówił doktor Alcott. Była jak skamieniała, strach trzymał ją za ramiona. Nie potrafiła stuknąć obcasami jak Dorotka i sprawić, że wszystko zniknie. Nie potrafiła się nie denerwować, była niezdolna do relaksu. Stała na krawędzi dachu, na pięćdziesiątym piętrze, nie mogła udawać, że jest bezpieczna i wszystko się ułoży. Nie potrafiła nawet mówić; tracąc przytomność, straciła umiejętność mowy, albo może coś się w niej zmieniło. Może to był wylew? Może lekarstwa zakłóciły pracę mózgu? Uroniła parę łez. Najbardziej na świecie chciała opuścić ten szpital na dobre i wrócić do rodziny, do domu numer jedenaście przy Shell Street.

- Dziękuję - wymamrotała.

- Ależ proszę - odpowiedział.

W domu nadal miała problemy z mową. Zaczynała się na słowach. W myślach wypowiadała płynnie, ale kiedy chciała je wyrazić, nieustannie, raz po raz, natykała się na tę samą frustrującą blokadę, nawet przy Tedzie i dzieciach, nawet przy zwrotach, które wypowiadała tysiące razy. Magiczne słowa. Trzymaj się. Uważaj. Kocham cię. Martwiła się tym, ale nie potrafiła wyrazić tego niepokoju, a nikt z mieszkańców chatki jakby nie dostrzegał jej problemów z wymową albo tego, że aby je ukryć (nie zniosłaby kolejnej wyprawy do szpitala ani następnych leków), prawie się nie odzywała. Wszyscy odetchnęli, że nie ma przerzutów do mózgu; a ponieważ sama zapracowała na ten „atak” (biorąc za dużo środków przeciwbólowych), a przyczyny problemów z mową mogły tkwić wyłącznie w jej głowie, czuła się jak chora z urojenia. Gdyby zaczęła teraz skarżyć się na zdrowie, nikt by jej nie uwierzył. Pomysłeliby, że udaje. Chwilami nawet jej się wydawało, że udaje. Pod prysznicem próbowała wyszeptać: tylko udaję. Ale utknęła na „u” i dała sobie spokój.

Ted usiłował wycisnąć z resztki tych wakacji każdą kroplę przyjemności. Namówił Vicki na rybacką wyprawę z nim i Blaine'em. Poprosił Ellen, żeby została w domu z Porterem. Blaine potrzebuje Vicki tak samo jak Teda; dobrze będzie spędzić cały dzień we trójkę. Rejs wyjdzie Vicki na zdrowie; w minionych latach Ted czarterował czasem łódzie, a Vicki świetnie się na nich czuła. „Pamiętasz, Vick, jak było fajnie?”. Nie protestowała. Kiwała głową: „Było, było”.

Byli tylko we troje - plus kapitan i pierwszy oficer - ponieważ Harrison Ford odwołał rezerwację. Ted był trochę rozczarowany, ale szybko mu przeszło, a Vicki uznała, że bez ludzi jest całkiem miło. Jakby żeglowali własną łodzią. Blaine omal nie wyskoczył ze skóry z przejęcia: był na prawdziwej łodzi rybackiej, z prawdziwym sprzętem do połowu ryb, specjalnymi uchwytnymi na wędkę i własną „najwłaśniejszą” puszką coli. Biegał od jednej burty do drugiej, okutany w nowiuśką pomarańczową kamizelkę ratunkową. Miał oboje rodziców dla siebie, co nie zdarzyło się od dawna, i Vicki widziała, że choć poczuł się na tej wyprawie bardzo dorosły, to jednocześnie z zachwytem odgrywa rolę jedyńca. Ted podniósł go wysoko, kiedy wypływali z portu i okrążali Great Point.

Dzień był oszałamiający. Silnik mrucał, więc rozmowa stała się zbędna. Vicki, pozostawiana co jakiś czas sama, pławała się w słońcu, wstawiała, żeby poczuć na twarzy pył wodny i zobaczyć Nantucket, smugę jasnego piasku w oddali. Oglądała proces łowienia ryb jak film w kinie. Ted zajmował się wszystkim, a Blaine siedział na specjalistycznym fotelu niczym zachwycony widz, świadek złowienia jednego, drugiego, trzeciego tasergala. Po czwartej powiedział: - Znowu - tonem, w którym brzmiało całkiem dorosłe znużenie i rozczarowanie. Ted i Pete wymieni-

li mrugnięcie, które najwyraźniej oznaczało, że postawili sobie za cel schwytanie skalnika. Pete skierował łódź na drugą stronę wyspy; powiedział, że jeśli zarzucą wędkę między Smith's Point a Tuckermuck, szczęście im dopisze. Pierwszy oficer, chłopak imieniem Andre, usiadł obok Vicki. Przypominał jej Josha; przyjechał tu na lato, do pracy. Za tydzień miał wrócić na College of Charleston.

W porze obiadu Vicki wyjęła przyrządzony przez siebie posiłek: kanapki z kurczakiem, frytki, śliwki, pokrojonego arbuza i ciastka z czekoladą i masłem fistaszkowym. Pete i Andre pożarli z apetytem kanapki i ciastka, które Vicki przeznaczyła dla nich; Andre powiedział, że przez całe wakacje nie jadł czegoś tak pysznego.

- Taka jest moja żona - oznajmił Ted.

- Taka jest moja mama - potwierdził dumnie Blaine.

Vicki uśmiechnęła się do nich; przez chwilę była szczęśliwa, tylko przez chwilę. Po obiedzie poszła na dziób, zamknęła oczy. Łódź mknęła po falach. To nie będzie mój ostatni dzień na wodzie, pomyślała. Ale już się widziała na stole operacyjnym, widziała, jak chirurg podnosi skalpel. *Może niech mnie rozetnie szablą i po sprawie.* Wczorajszego wieczoru Brenda i Walsh trzymali się za ręce. Walsh był „brylantem”, jak mawiała Ellen Lyndon, „prawdziwym skarbem”; natychmiast było widać, że to dobry, życzliwy, wrażliwy człowiek, a przy tym niesłychanie atrakcyjny (choć co do tego nikt nigdy nie miał wątpliwości). Vicki uznała, że dla kogoś takiego można stracić pracę. Brenda i Walsh byli tak ewidentnie szczęśliwi ze sobą, że Vicki pomyślała: będzie ślub, ale ja tego ślubu nie doczekam. Skąd się jej brały te myśli? Jak mogła je powstrzymać? Doktor Alcott w jednym się nie pomylił: strach był chorobą.

Vicki podała Tedowi komórkę; chciała, żeby sprawdził, co się dzieje z Porterem. Wydawało się logiczne, że skoro ona dobrze się bawiła, w domu musi się dziać coś strasznego. Ted wybrał numer, usłyszał jeden sygnał i połączenie zostało przerwane. Zrobił jeszcze jedno podejście i znowu połączenie urwało się po jednym sygnale. Vicki wyobraziła sobie siniego, piszczącego Portera. Zawsze taki był, kiedy się denerwował albo miał wymiotować i choć przez całe lato go to nie spotkało, już ujrzała, co następuje: Porter obryzgujący marchewkową packą białe lniane spodnie Ellen Lyndon i krztuszący się śmiertelnie własnymi wymiocinami.

Trzecie połączenie w ogóle się nie powiodło i Ted potrząsnął telefonem.

- Tu nie ma zasięgu. Ale spokojnie, wszystko gra. Tobie zawsze wszystko gra, pomyślała ze złością. Jak mam odpoczywać, kiedy Porter prawdopodobnie leży w szpitalu pod respiratorem?

Od tych rozmyślań oderwał ją krzyk jej drugiego syna.

- Tato! Tatusiu!

Od samego ranka zdążyła sobie wyobrazić zaledwie sto razy, jak mały wypada przez burtę i dostaje się pod śrubę. Ale kiedy podniosła głowę, zobaczyła Blaine'a, z całych sił ściskającego wędkę. Żyłka była napięta, a Blaine ciągnął ją jak zawodowiec, zapierając się bosymi stopami o burtę.

- Złapałeś rybę! - zawołał Ted. - Czekał, pomogę ci wyciągnąć.

Vicki sądziła, że Blaine zaprotestuje, ale oddał wędkę natychmiast i z ulgą. Ona też poczuła ulgę. Nie chciała widzieć, jak Blaine wpada w paszczę jakiejś potwornej ryby ani jak wypuszcza wędkę z rąk, co było całkiem prawdopodobne. Myślała, że teraz ujrzy długie, wyczerpujące zmaganie w rodzaju walki Ahaba z Moby Dickiem, ale Ted w parę sekund wyciągnął rybę z wody. Nawet w tym oślepiającym świetle widać było błysk srebrnych łusek. Ryba była smukła, lecz długa, o wiele dłuższa od tasergala.

- Skalnik? - spytał Ted niepewnie. Kapitan gwizdnął.

- Lepiej. Bonito. Niezła sztuka. - Wyjął taśmę mierniczą i butem przycisnął trzepoczącą rybę do pokładu. - Siedemdziesiąt cztery centymetry. Wymiarowa.

- Jak się nazywa? - spytał Blaine.

- Bonito - powtórzył Ted. - Bo-ni-to.

- Smaczne jedzonko - dodał kapitan.

- Chcesz ją zatrzymać? - spytał Ted. - Chcesz, żebyśmy ją zawieźli na ląd, żeby babcia i dziadzio ją zobaczyli?

- Moglibyśmy ją zrobić na g-grillu - odezwała się Vicki.

Blaine zagryzł dolną wargę i przyjrzał się rybie. Kiedy tak stał w daszku na głowie, podparty pod boki, zadumany, wyglądał, jakby miał czternaście lat. Albo dwadzieścia cztery.

- Iiii - powiedział w końcu. - Wrzucmy ją do wody. Niech sobie żyje.

Wrzucili rybę do morza, ale dla uczczenia połowu Ted zatrzymał się w drodze powrotnej w restauracji i kupił łososia, miecznika i tuńczyka. To był przedostatni wieczór na wyspie, ostatnia wielka kolacja, tym większa, że mieli w niej uczestniczyć Buzz, Ellen i John Walsh.

Ted zatrzymał yukona przed domem. Vicki omal nie przetarła oczu. Przed chatką stał dżip Josha.

- Josh - powiedziała. I to słowo zabrzmiało zrozumiale, bez zająknięcia.

- Josh! - zawołał Blaine.

- Dobrze - mruknął Ted, rozpinając pas. - Dam mu czek.

Vicki weszła do domu, nie wiadomo dlaczego niebывale uradowana. Spodziewała się, że w domu będzie tłok, a tymczasem czekała na nich tylko Ellen Lyndon, leżąca na sofie z podpartą chorą nogą.

- Cześć, wszyscy - powiedziała. - Jak połowy?

- Łowiliśmy ryby! - zawołał Blaine. - Siedem tasergali i jednego... - obejrzał się na ojca.

- Bonito... - podpowiedział Ted.

- Bonito. Ale je wypuściliśmy.

- Josh? - odezwała się Vicki. Znowu bez zająknięcia, bez trudu.

- Co Josh? - nie rozumiała Ellen Lyndon.

- J-jeeeeest... tu?

- Tak. Josh i Melanie zabrali Portera na spacer.

Josh i Melanie, pomyślała Vicki.

- A Brenda i Walsh poszli na plażę - dodała Ellen. - A waszego ojca wysłałam na farmę po kukurydżę, pomidory i placek z jagodami.

- Kupiliśmy... - Vicki podniosła ryby. Położyła filety na stole i natychmiast zaczęła się zastanawiać: osiem dorosłych osób, jeśli Josh zostanie na kolację; musi zamarynować ryby, schłodzić wino, rozmrozić masło, nakryć do stołu i wziąć prysznic. I zrobić posiłek dla dzieci. Obrąć kukurydżę, kiedy ojciec wróci z nią do domu, pokroić i przyprawić pomidory. Czy wystarczy jedzenia? Czy powinna pójść do sklepu po bagietkę?

Znowu listy. Niektóre sprawy zapisała na tablicy. Ale kiedy rozwijała wspaniałe filety z szarego papieru, znowu chwycił ją strach. Zgroza! Ted przeszedł za jej plecami; odwróciła się i chwyciła go za nadgarstek.

- Co się dzieje? - spytał.

- Wyyyyy...jeżdżamy.

- Kiedyś musimy. Nie możemy tu tkwić wiecznie.

No tak, pomyślała. Ale w Connecticut czekało na nich prawdziwe życie.

Ellen Lyndon rzuciła z sofy:

- Skarbie, Nantucket zawsze będzie istnieć.

Tak, pomyślała Vicki. A ja?

Josh czułby się swobodniej w towarzystwie kobiet - Vicki, Melanie, Brendy i pani Lyndon - ale wylądował na werandzie z „chłopami” - Buzzem Lyndonem, Tedem i Johnem Walshem, studentem Brendy, kochankiem Brendy, który (jak powiedziała Melanie) przyjechał bez zapowiedzi przed paroma dniami. Początkowo Josh czuł zagrożenie ze strony Johna Walsh, ale szybko stało się jasne, że to ktoś zupełnie inny od Petera Patchena, a nawet Teda. Przede wszystkim John Walsh był Australijczykiem i przez sam akcent wydawał się dobronudzny, przystępny, otwarty, przyjazny i swojski. Kiedy Ted ich przedstawił, John Walsh natychmiast wstał z leżaka i serdecznie uściśnięął dłoń Josha.

- Cześć, stary. Jestem Walsh. Miło mi.

- I mnie.

- Piwka? - spytał Ted.

- Ja pójdę - odezwał się Buzz Lyndon. Dał Joshowi butelkę.

- Dzięki. - Josh przełknął długi łyk chłodnego napoju.

- Odpicowałeś się - zauważył Ted.

- No - mruknął Josh. Był w garniturze zredukowanym do minimum - szare spodnie, biała koszula (rozpięta pod szyją, podwinięte rękawy) i lakierki z czarnymi skarpetkami. W takim nieprawdopodobnym stroju spacerował po plaży z Melanie i Porterem i choć czuł się niestosownie, dzięki garniturovi miał wrażenie, że jest starszy, naprawdę dorosły. - Byłem na pogrzebie.

- Czyim? - spytał Ted.

- Mojej znajomej z liceum. Właściwie byłej dziewczyny. Nazywała się Didi. Pracowała w szpitalu.

Ted zrobił wielkie oczy.

- Ta blondyna?

- Aha.

- Widziałem ją przez chwilę. Kiedy ostatnio byliśmy z Vicki. Boże, to straszne. Przykro mi. John Walsh uniósł butelkę.

- Współczuję straty, bracie.

- O. Dzięki. Miała... masę problemów.

- Szkoda - powiedział Buzz Lyndon. - Taka młoda.

- Była chora? - spytał Ted. - Bo nie wyglądała.

- Nie była. Przedawkowała. Prochy i alkohol. - Już i tak powiedział o Didi więcej, niż zamierzał. Miał nadzieję, że odetnie się od smutku pogrzebu i tego skrępowania, które czuł w obecności kolegów ze szkoły, ale okazało się, że to niemożliwe. Przez całe lato usiłował oddzielić pracę w numerze jedenastym przy Shell Street od życia domowego, ale teraz zrozumiał, że to bez sensu. Wyspa była zbyt mała, wszyscy spotykali się ze wszystkimi. Uświadomił sobie, że pewnie by tu nie pracował, gdyby kiedyś nie przyszedł do szpitala pożyczyc Didi dwieście

dolarów. Więc w pewnym sensie to Didi go zaprowadziła na Shell Street. - To był wypadek - dodał. - Przypadkowa śmierć.

- Kiedy myślę, czego próbowałem w młodości... - odezwał się John Walsh. - Cholerny cud, że przeżyłem.

Ted poruszył butelką, potakując. Buzz Lyndon odchrząknął i usiadł. Wszyscy umilkli. Cisza była bardzo podobna do tej, w której pogrążał się Tom Flynn; cisza, która zawsze odstręczała Josha. A teraz sprawiła mu przyjemność. Czterej mężczyźni mogą pić piwo na tarasie, nie odzywać się do siebie ani słowem i nie czuć skrępowania. Mężczyźni potrafią nie wyjawiać tego, o czym myślą. A Josh myślał o... Melanie.

Czekając na spotkanie z nią, omal nie udusił się z niecierpliwości, czuł się jak oszalałe zwierzę, które rzuca się na łańcuchu. Kiedy tylko ją zobaczył (z trochę bardziej zaokrąglonym brzuchem, trochę bardziej smagłą, trochę bardziej promienną), kiedy tylko włożyli Portera do spacerówki i ruszyli Shell Street, wypełniło go ciche uniesienie. Melanie spytała o jego strój, a on opowiedział jej o Didi. Rozmowa z Melanie była oczyszczająca jak płacz. Nagła, niespodziewana śmierć, śmierć kogoś młodego, kogo Josh nie zawsze traktował dobrze, śmierć, która napełniła go poczuciem winy i żalem - Melanie to wszystko rozumiała, wiedziała, jak to jest. Tak bardzo ich pochłonęła rozmowa o Didi, że na jakiś czas zdołali zapomnieć o sobie. Ale potem, kiedy temat został wyczerpany, Josh poczuł, że musi wspomnieć o ich związku.

- Nie zamierzałem tu wracać - powiedział.

- Nie spodziewałam się, że cię zobaczę. Myślałam, że odszedłeś.

- Ha.

- Co „ha”?

- Chciałem cię zobaczyć.

Uśmiechnęła się ze spuszczonymi oczami. Dotarli na plażę i wracali już do domu. Porter zasnął. Mogli skrócić w prawo, prosto na Shell Street, ale Josh zaproponował, żeby iść dalej.

- Za kościół? - spytała Melanie.

- Tak.

Przez jakiś czas szli, nie odzywając się. Potem Josh spytał:

- Wracasz do Petera?

Melanie zacisnęła wargi i skinęła głową.

- Jest moim mężem. To coś znaczy. Przysięga ma znaczenie.

- Nawet jeśli ją złamał?

- Nawet jeśli ją złamał. Rozumiem, że musi ci być z tym ciężko.

- Ciężko mi, kiedy myślę, że mógłby cię znowu zranić.

- Nie robi tego... przynajmniej tak powiedział...

- Jeśli - zapowiedział Josh - to go zabiję.

Melanie oparła głowę o jego ramię. Przed nimi widniał kościół; białe wstążki furkotały na balustradce trzech kamiennych schodków przed drzwiami. Dekoracje do czyjegoś ślubu.

- Nie mogło mnie spotkać nic lepszego niż to nasze lato - powiedziała.

Kolejne zdanie, które odebrało mu mowę. A kiedy teraz stał na tarasie, z piwem w ręce, pomyślał: tak. To było najlepsze dla nich obojga, choć komuś z zewnątrz pewnie wydaje się nieprawdopodobne.

Drgnął, kiedy drzwi się otworzyły i wyjrzała Vicki.

- Josh? K...olacja? Czy... - Skinęła głową w stronę stołu.

- Jasne - powiedział. - Z rozkoszą.

Przy kolacji usiadł między Melanie i Vicki. Melanie trzymała mu rękę na udzie, Vicki nakładała jedzenie. Rozmowa była lekka: o wyprawie na ryby, o tasergale, o bonito. Potem Buzz zaczął opowiadać wędkarskie historyjki ze swojej młodości, a Josh Walsh wędkarskie historyjki z Australii, które szybko zmieniły się w historyjki o rekinach i śmiercionośnych meduzach, zwanych osami morskimi. Josh wypił niemało wina - Ted, siedzący u szczytu stołu, ciągle mu dolewał - a wino w połączeniu ze światłem świec i dotykiem dłoni Melanie na jego udzie nadało temu wieczorowi posmak surrealizmu. Podczas tych wakacji znalazł dla siebie miejsce przy tym stole - ale jak? Wrócił myślami do pierwszego dnia, kiedy je zobaczył: *trzy kobiety wychodzą z samolotu*.

Brenda siedziała z zadowolonym uśmiechem w objęciach Walsh'a. Nabzdyczona Siostra. Ale teraz była szczęśliwa i spokojna. Vicki - Dysząca Siostra - była melancholijna i bardzo milcząca, choć Josh już rozumiał dlaczego. Tego lata zmieniła się fizycznie (straciła długie jasne włosy i co najmniej dziesięć kilo), ale nadal była w niej ta, jak to nazywał Josh, „mamusiovatość”, ta cecha, która przyciągała wszystkich i dawała pewność, że żaden szczegół dnia nie uszedł jej uwagi. Vicki była jak klej, który trzyma wszystkich razem. Gdyby ją stracili, rozsypaliby się, rozproszyli. Rozpadli. Być może to było powodem jej melancholii: wiedziała, jaka jest ważna dla innych, i nie mogła się pogodzić z tym, że ich zawiodła.

I w końcu, tuż obok, z ręką na jego udzie, siedziała Kapelusznica. Melanie. Lubił myśleć, że ją uratował, choć pewnie było na odwrót. Melanie nauczyła go niezbędnych rzeczy, o których istnieniu nawet nie wiedział. Miała wrócić do Petera - ten fakt, prawdziwy, twardy i gładki jak szklana kulka, nieustannie obracał w myślach - czym złamał serce Joshowi. Już teraz, tego ostatniego wieczoru, znalazł się na prostej drodze do smutku, ale ten smutek - i wszystko, co się wydarzyło tego dnia - sprawiał, że Josh czuł się dojrzały, starszy. Miał swoją historię, nikt jej mu nie odbierze. Chas Gorda będzie z niego dumny.

Po kolacji podano placek, lody, ostatnie kieliszki wina i mniejsze z porto dla mężczyzn. Buzz Lyndon wyjął cygara. Ted poczęstował się, Josh odmówił, podobnie jak Walsh. Brenda powiedziała:

- Tato, cygara śmierdzą.

- Odstraszają komary - odparł Buzz Lyndon.

Vicki wstała.

- Muszę... - Dotknęła głowy Blaine'a. - Josh? P...oczytasz?

Blaine, przysypiający na kolanach babci, z miejsca się ożywił.

- Josh? Bajeczkę!

Melanie ścisnęła mu kolano. Josh wstał.

- Dobrze.

Położył się z Blaine'em na materacu w pokoju Teda i Vicki. Porter już mocno spał, pracownicy ssąc smoczek. Vicki usiadła na łóżku. Podała Joshowi *Sylvestra i magiczny kamyk*.

- To smutne - powiedziała.

- Mama zawsze płacze, jak to czyta.

- Naprawdę? - Josh mrugnął do Vicki, odchrząknął i zaczął czytać.

Bajka była o osiołku Sylvestrze, który znalazł błyszczący czerwony kamyk, jak się okazało - magiczny. Kiedy Sylvester zapragnął deszczu, zaczynało padać, kiedy pragnął słońca, wychodziło słońce. Pewnego dnia, kiedy

Sylvester wyszedł na dwór, zobaczył nadchodzącego głodnego lwa i w chwili paniki zapragnął stać się głazem. W ten sposób uszedł z życiem, ale ponieważ zgubił magiczny kamyk, nie mógł wrócić do własnej oślej postaci. I tak pozostał głazem, choć bardzo tego nie chciał. Kiedy Sylvester nie wrócił do domu, jego rodzice rozchorowali się ze zmartwienia. Szukali go całymi tygodniami, aż doszli do wniosku, że Sylvester umarł. Utrata jedynego dziecka prawie ich złamała.

Ale na wiosnę rodzice Sylwestra poszli na pikniki i ujrzeli głaz, w który zmienił się Sylvester. Rozłożyli na nim jedzenie jak na stole. Potem ojciec Sylwestra zobaczył magiczny kamyk w trawie - i wiedząc, że jego syn byłby nim zachwycony, podniósł go i położył na głazie. A był to magiczny kamyk.

Sylvester czuł obecność rodziców, słyszał ich głosy. I ledwie pomyślał: „Chciałbym znowu być sobą, chciałbym wrócić do dawnej postaci”, nagle tak właśnie się stało - zmienił się w osiołka na oczach rodziców. I, ach! Jakże się radowali!

A potem wszyscy wrócili do domu, a kamyk schowali do żelaznego sejfu.

- Pewnego dnia może zapragną go użyć - czytał Josh - ale na razie czego mogliby sobie jeszcze życzyć? Mieli wszystko, czego pragnęli.

- Mieli wszystko, czego pragnęli - powtórzył Blaine. - Bo znowu są razem.

Vicki kiwnęła głową. Usta miała zaciśnięte.

Josh zamknął książeczkę. Dławiło go w gardle. Nie umiałby się w tej chwili pożegnać z chłopcami, więc pocałował w głowę najpierw Portera, potem Blaine'a.

- Właśnie tak - powiedział.

Kiedy Josh i Vicki wyszli z sypialni, przyjęcie było już w schyłkowej fazie. Ellen Lyndon kończyła zmywać, Brenda i Walsh poszli na spacer do latarni morskiej, Ted i Buzz Lyndon stali na tarasie, śląc kłęby dymu w noc. Josh przez cały wieczór zadawał sobie pytanie, czy starczy mu odwagi, by zostać z Melanie. Teraz zrozumiał, że odpowiedź brzmi: nie. Między nim i Melanie zapadło nieme porozumienie, ale musiało pozostać niewypowiedziane; nie było sensu unosić kurtyny teraz, tego ostatniego dnia. Josh pożegnał się ze starszymi państwem Lyndonami i uścisnął dłoń Teda w najrzetelniejszy sposób, jak podczas rozmowy o pracę.

- A, zaraz - powiedział Ted. - Mam coś dla ciebie. I wyjął portfel.

- Dzięki - powiedział Josh. Sytuacja go krępowała, schował czek do kieszeni spodni, choć nie potrafił powstrzymać szybkiego zerknięcia, które go upewniło, że na czeku jest o jedno zero więcej niż zwykle.

Kiedy Ted i Josh wrócili do domu, starsi państwo wyszli już do Domków Wade'a na tej samej ulicy, gdzie nocowali. Więc został tylko Ted, Vicki, Josh i nalewająca sobie wody z kranu Melanie.

- Idę spać. Dobranoc wszystkim - oznajmił Ted.

- Ja też. Zmęczona - wypowiedziała z trudem Vicki. Spojrzała na Josha i w oczach stanęły jej łzy. - Nie p...otrafie się z tobą... pożegnać.

Poczuł w gardle bolesny gruzel.

- O, szefowo.

Mocno go przytuliła.

- Josh. Dz...ięki.

- Przestań. Nie musisz mi dziękować.

- Jestem wdzięczna.

- Ja też - powiedział. Zamilkł i przypomniał sobie słowa ojca: Przyszło mi do głowy, że szukasz w Sconset matki. No cóż. Niewykluczone.

Vicki otarła oczy.

- Wyzdrowiej - zażądał Josh.

- Dobrze.

- Serio mówię, szefowo.

- Wiem. Wiem to.

Znikła w sypialni. Josh się odwrócił. Melanie stała za jego plecami, pociągając nosem.

- Było pięknie - powiedziała. - Ale wiesz, jaka teraz jestem, płacząc, czytając książkę telefoniczną.

Josh rozwinął zrolowane rękawy i otarł mankietem łzy z jej twarzy. To był długi, bardzo długi dzień, może najdłuższy w jego życiu, a jednak nie był jeszcze gotowy go zakończyć.

- Wyjdźmy stąd - powiedział. - Możesz prowadzić.

Brenda od tyłu tygodni bała się dnia, w którym trzeba będzie wyjechać z Nantucket - ale dziś, mając przy sobie Walsh, jakoś się trzymała. Mieli wrócić na Manhattan razem, ona oszacuje szkody i podejmie decyzję. Kiedy się pakowała, do pokoju weszła Ellen Lyndon. Podała jej słoik pełen piasku.

- Do butów - wyjaśniła. - Twojej siostrze też dałam. Brenda pokręciła głową.

- Mamo, jesteś niespełna rozumu.

- Ach, nie dziękuj - odrzekła niezrażona Ellen.

Brenda niepewnie trzymała słoik. Nie zmieści się do żadnej torby. Zostawi go na komodzie. Ale najpierw, na wypadek, gdyby Ellen Lyndon jednak miała wyczucie w sprawach magicznych, wsypała trochę piasku do mokasynów od Prady, których nie włożyła ani razu od chwili przybycia na wyspę. A potem jednak wcisnęła słoik do torby. Przyda się jej każda pomoc.

Rodzice wyjechali pierwsi, szybkim promem - mieli wsiąść do samochodu w Hyannis i wrócić do Filadelfii. Melanie wyjeżdżała następna. Josh przyjechał dżipem, żeby podrzucić ją na lotnisko. Ted, Vicki i chłopcy zabierali się łodzią w południe; do Connecticut wracali wypakowanym po sufit yukonem. W ten sposób zamknięcie domu przypadło Brendzie i Walshowi. Brenda była zdumiona, że rodzice i Vicki powierzyli jej to gigantycznie odpowiedzialne zadanie. Chciała się wykazać. Lodówka była pusta i wyłączona, gaz zamknięty, łóżka pozbawione pościeli. Ustawiła emaliowane pudełeczka cioci Liv, srebrny serwis do herbaty i koronkowe serwetki na dawne miejsce na stoliku do kawy; klucz schowała pod dachówką, by następnego ranka mógł go przejść stróż. Zanim zamknęła drzwi na dobre, dostrzegła papierowy kubek z kamykami na wysokim parapecie okiennym. Ma go zostawić czy wyrzucić?

Zostawiła. Za rok też będzie lato.

W taksówce, wiozącej ich na lotnisko, zadzwoniła jej komórka. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zrobotyzowany Beethoven nie doprowadził jej do trzepotu serca.

- Wiem, że to nie ty - powiedziała do Walsh. - Nigdy nie byłeś.

- Raz zadzwoniłem - odparł.

Spojrzała na wyświetlacz: mecenas Brian Delaney. Instykt podpowiadał, żeby poczekać, aż się nagra, ale nie mogła mu wiecznie uciekać.

- Witam pana mecenas.

- Przed chwilą odbyłem najdziwniejszą na świecie rozmowę - oświadczył mecenas we własnej osobie.

- Czyżby? - rzuciła lekko. Jej umysł ruszył niczym taksometr. - W mojej sprawie?

- Ktoś dzwonił w sprawie praw do scenariusza.

- Co?

- Jakiś... Feldman? Zadzwoił na uniwersytet, a oni podali mu moje nazwisko, bo jestem twoim prawnikiem.

- Feldman? - powtórzyła. W końcu nie wysłała scenariusza ani jemu, ani nikomu z jego wytwórni. Po tak makabrycznej rozmowie nie miało to sensu.

- Aha. Zdaje się, że pożyzył książkę od córki, spodobała mu się, a teraz chce spojrzeć na scenariusz. Bardzo się zastrzegła, że nie składa żadnych obietnic. Zdaje się, że jego wytwórnia robi już coś podobnego, książkę jakiegoś George'a Eliota, też staromodne bajdy, ale ten Fleming Trainor mu się spodobał i dlatego chciał przeczytać scenariusz. Wiesz, coś mi się wydawało, że uznał mnie za twojego agenta.

- I co mu powiedziałaś?

- Że scenariusz jest u różnych producentów, którzy się nim cholernie zainteresowali, ale możemy mu go udostępnić, zanim podejmiemy ostateczną decyzję.

- Jaja sobie robisz. O rany. Nie do wiary.

- Ale nic nie obiecał. Prawdę mówiąc, powiedział nawet, że przez wiele lat może trzymać ten scenariusz w zapasie i nie rzucać go do produkcji. Spytałem, ile da za prawa, a on powiedział, że kwotę raczej pięcio-, a nie sześciocyfrową, więc nie szalej ze szczęścia.

Brenda rozłączyła się i zarzuciła ręce na szyję Walsh.

- Feldman chce go przeczytać. Nic nie obiecuje, ale chce przeczytać! - Dobra wiadomość, nie świetna, nie najlepsza, ale i nie zła. Po raz pierwszy tego lata mecenas Brian Delaney nie zadzwonił ze złymi wieściami.

Oparła głowę o krzepkie, australijskie ramię, taksówka pruła przez Milestone Road na lotnisko. A ona, mimo wszystko, szalała ze szczęścia.

EPILOG

Zima

Matki umierają na całym świecie, ale o godzinie jedenastej dwudziestego dziewiątego stycznia rodzi się nowa matka. Melanie Patchen wydaje na świat dziewczynkę, Amber Victorię, ważącą równe cztery kilo i mierzącą czterdzieści pięć centymetrów. Zdrową jak rydz.

Kiedy pielęgniarki przywożą Melanie z sali pooperacyjnej (po osiemnastu godzinach porodu i znieczuleniu zewnątrzoponowym, oksycylocynie w zastrzyku i zaburzeniach akcji serca lekarze zdecydowali się na cesarskie cięcie), a Melanie może po raz pierwszy wziąć córeczkę na ręce i nakarmić ją, świat staje się zupełnie nowy; Melanie czuje, że wszystko ogląda po raz pierwszy.

Kiedy zwraca się z tego Peterowi, słyszy w odpowiedzi: morfina przez ciebie mówi.

Mam dziecko, myśli Melanie. To dziecko jest moje. Jestem jego matką.

Jest zafascynowana Amber - jej małymi usteczkami, maleńkimi uszkami, paluszkami u rąk i nóg, bijącym sercem wielkości jajeczka. Dziecko płacze, otwiera oczy, odwraca głowę w stronę źródła dźwięków, wczepia się w Melanie i znajduje sutek. Melanie czuje wybuchającą, wszechogarniającą miłość. Chce opowiedzieć o tej nowej miłości, która wszystkiemu nadaje nowe proporcje. Ale szybko przekonuje się, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: tych, których to nie obchodzi, i tych, którzy już wiedzą.

Przez trzy dni kwiaty napływają bez przerwy. Orchidee od Vicki i Teda, różowe róże od rodziców Melanie, cyklamen od matki Petera z Paryża, żenująco okazała i pogrzebowa wiązanka od „paczki z Rutter, Higgens”, czerwone gerbery od sąsiadów, chryzantema w doniczce od Brendy i Johna Walsh, miniaturowe zimowe narcyzy od koleżanki Melanie z akademika... kwiaty napływają, aż pielęgniarki zaczynają żartować, że ho, ho, co za popularność. Trzy następne wiązanki Melanie każe wysłać na oddział onkologiczny.

Czwartego dnia po południu, kiedy Melanie karmi Amber, przynoszą następne kwiaty. Bukiet jest umiarkowany, nawet skromny. Herbaciane róże i goździki, parę gałązek gipsówki, a do nich dołączony kubek z napisem „mama” i różowy balon w kształcie serca.

- Klęska urodzaju - mówi pielęgniarka. To Stephanie, ulubiona pielęgniarka Melanie, przełożona oddziału porodowego. Jest ładną blondynką, życzliwą i kompetentną; towarzyszyła Melanie w ostatnim etapie porodu i asystowała przy cięciu cesarskim, dała jej też wiele porad - jak karmić dziecko, jak myć je gąbką, jak opatrywać pępek z resztką pępowiny.

Melanie odpowiada uśmiechem.

- A już myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli.

- Najwyraźniej nie. - Stephanie stawia kubek na tacy. - Mam przeczytać bilecik?

Melanie przygląda się kwiatom. Dociera do niej, że czekała właśnie na taki bukiet: niedrogi, lecz prosto z serca. Zamówiony przez internet.

- Nie, dziękuję - mówi. - Będę miała na co czekać, zanim ją nakarmię.

- Nawiasem mówiąc, świetnie ci idzie - chwali Stephanie. - Dziecko prawie podwoiło wagę urodzeniową.

Tak to rozumiem.

Melanie spogląda na miękką, pokrytą ciemnym puszkami główkę Amber. Stephanie wychodzi.

Później, kiedy dziecko śpi już w kojcu, Melanie wyjmując kopertkę z plastikowego widelca w bukietcie. Melanie Patchen, głosi napis.

Peter pojechał po matkę na JFK; Melanie spodziewa się ich w porze kolacji.

Wyjmując kartkę. Czyta: „I tak wiem, że jest piękna”.

W oczach stają jej łzy i w ułamku chwili zaczyna łkać. Stephanie uprzedziła ją, żeby się tego spodziewała - nagle łzy bez wyraźnej przyczyny. Jej hormony buzuja. Spogląda najpierw na uśpione dziecko, potem w okno - późnopołudniowe niebo jest szare, od czasu do czasu prószony śnieg. W korytarzu rozbrzmiewa głupia muzyczka. Melanie wydała na świat wspaniałe, zdrowe dziecko, a jednak potrafi tylko płakać, płakać aż do utraty tchu. Jest znowu z Peterem, są parą. A ona może tylko mieć nadzieję. Porównuje swoje małżeństwo do tych róż przed domkiem numer jedenaście przy Shell Street. Jeśli się je przytnie, powiedziała Blaine'owi, następnym razem rozkwitną jeszcze piękniej. Jest przepelniona miłością, radością i zdumieniem, a jednak czuje pustkę. Ma wszystko, czego pragnęła, ale tęskni za... Za czym?

Za latem. Za godzinką na nasłonecznionym tarasie, za plasterkiem doskonale dojrzałego pomidorka, za świergolącym pod oknem strzyżkiem, za falami, hołubiącymi jej ciało, za wspaniałymi niebieskimi hortensjami pod białym płotem, za motylami i trzmielami, za lodami w rożku po obiedzie, za pasażerskim fotelem w dziupie. Jak upajające były jazdy przez Milestone Road, gdy nocne powietrze wpadało przez otwarte okna, jak biło serce, kiedy zatrzymywali się na plaży i patrzyli na morze, i czarne niebo niczym koc; czuła się taką wybranką losu tylko dlatego, że może siedzieć obok kogoś tak wyjątkowego, jak Josh Flynn.

Ociera łzy i znowu odczytuje bilecik. (Początkowo będzie go odczytywać codziennie, a potem tylko w dni, kiedy potrzebuje pociechy, kiedy chce sobie przypomnieć szczęście).

„I tak wiem, że jest piękna”.

Nie ma podpisu.

Dziś lista Vicki ma dwie strony. Jest czwartek, początek lutego, i przypadkiem również piąte urodziny Blaine'a. Vicki wydaje przyjęcie o czwartej w restauracji Chuck E. Cheese. Blaine gorąco właśnie o to ją prosił, a Vicki się zgodziła, bo przyjemnie i wygodnie jest przenieść ten chaos poza dom. Ale i tak musi pojechać po balony, tort i prezenty. W sobotę wieczorem jest walentynkowa aukcja charytatywna. Ma nadzieję, że zdoła jeszcze kupić w mieście jakiś ciuch (wszystko z niej spada, jeszcze nie odzyskała dawnej wagi), ale zakupy będą musiały poczekać, podobnie jak sto innych pozycji z listy. Przyjęcie urodzinowe jest ważne, tak, ale Vicki ma dziś coś jeszcze ważniejszego.

Grupa wsparcia dla chorych na raka zaczyna się o 10.30.

Vicki przyjeżdża na czas, albo prawie. Siada na chwilę przed rozpoczęciem modlitwy otwierającej. Przestała chodzić na grupę na trzy dni przed operacją, kiedy język stawiał jej taki opór i była tak przerażona, że nie potrafiła nawet wydukać swojego imienia. Teraz ma wyrzuty sumienia, jakby po długiej przerwie zaczęła chodzić do kościoła. Bierze się za rękę z Jeremym i kimś innym - młodszą od niej kobietą w dżinsowej kurtce. Widzi ją po raz pierwszy.

Po modlitwie Dolores podnosi głowę i uśmiecha się do Vicki.

- Masz ochotę na grzany cydr? - pyta. - Ekologiczny. Vicki zauważa, że inne osoby mają kubki, ale dziękuje.

- Może później.

- Doskonale - mówi Dolores. - Zacznijmy od przedstawienia się. Dana, zechcesz zacząć?

Kobieta w dżinsowej kurtce mówi:

- Jestem Dana. Rak piersi, stadium trzecie.

Vicki czuje skurcz gardła. Oddycha z ulgą, widząc, że kolejka prowadzi w przeciwną stronę. Ed, rak prostaty, stadium drugie, Josie, rak piersi, stadium trzecie. Francesca ciągle obecna, podobnie jak Jeremy. Jest i inna kobieta, Vicki jej nie zna; wcale nie ma raka, ale jest z nimi, bo u jej siedmioletniej córki rozpoznano białaczkę.

Vicki jest tak poruszona tą wiadomością, że znowu zaczyna się zacinać.

- Vicki? - odzywa się Dolores.

- Jestem V...icki - mówi. - Rak płuc. - Bierze oddech, przełyka ślinę, zbiera siły. - Przeżyłam.

Przeżyłam. Pozostałe osoby z grupy gapią się na nią. To ją krępuje. Dolores wciąż się uśmiecha. Zadzwoiła parę dni temu i zaprosiła ją do powrotu. Właściwie prosiła o powrót.

- Inni się ucieszą na twój widok - powiedziała. - Zwłaszcza że pora roku jest taka brzydka. Będziesz dla nich posłańcem nadziei.

Ale Vicki widzi w ich oczach zazdrość, nawet niechęć. Rozpoznaje te uczucia, bo sama była kiedyś w podobnym położeniu. Kiedy słuchała Trávisa, który pokonał raka wątroby, i Janice, która - wbrew wszystkim prognozom - wyzdrowiała z raka jajników. Vicki cieszyła się ze względu na nich, ale czuła też nienawiść. A teraz proszę. Ma ochotę opowiedzieć tym ludziom całą historię, każdy szczegół, ale głównie chce im przekazać, że jest jedną z nich. Ona to oni, oni to ona, siedzą w tym razem. Powiedziała, że przeżyła, ale wiadomo, że wszystko jest względne, bo rak mógł odejść na zawsze, a mógł się tylko przyczaić, jak drapieznik, który wyskoczy z ukrycia, gdy nikt się go nie będzie spodziewać. Vicki przeżyła trzydzieści dwa lata jako pewna siebie, kompetentna kobieta, ale teraz dręczą ją strach i niepewność. Nic już nie jest łatwe.

- Opowiedz nam - mówi Dolores. - Opowiedz o swojej podróży.

Vicki uważa na to, co mówi. Chce być szczerą, ale nie do bólu, chce, żeby to opowiadanie było barwne, ale nie jarmarczne. Mówi, że bała się operacji, tak bardzo, że zaczęła się jąkać. Nie potrafiła mówić płynnie, język zmienił się w kluchę. Każde zdanie było zniekształcone. Kiedy wróciła z Nantucket do Darien, nieustannie wymiotowała i w końcu z powodu odwodnienia wyłądownała w szpitalu. Doktor Garcia skierował ją do psychoterapeuty. Terapia podziałała na odwrót, jękanie stało się gorsze, a Ted musiał przyjąć do wiadomości, że coś się z nią dzieje. Pisała do niego karteczki, ale nawet one były chaotyczne i niejasne. Nie potrafiła się skupić na niczym z wyjątkiem własnego strachu - w każdej minucie dnia walczyła z nim, by nie rozrósł się w panikę. *Narkoza, oni mnie zabiją, ja umrę.* Odwoziła Blaine'a do przedszkola, odbierała go, kupowała pieluchy, kaszki i steki, nacierała olejem blaty z litego drewna, prała, ale w każdej chwili towarzyszyło jej pytanie: po co się tak męczę? Czy tak chcę spędzić ostatnie dni? Czy nie można czegoś zrobić, żeby zatrzymać ten pociąg, który pędził na nią z całą mocą? Nie mogła spać, a jeśli nawet zasnęła, śniły się jej koszmary. Doktor Garcia przepisał leki. Vicki i Ted umówili się z notariuszem i sporządzili nowy testament. Vicki wyznaczyła siostrę na opiekunkę dzieci. Wyraziła zgodę na przeszczep swoich organów, z wyjątkiem płuc. Podpisała zgodę na operację, zlecenie odstąpienia od resuscytacji i ustanowiła Teda swoim pełnomocnikiem. Zwymiotowała w łazience w kancelarii. Napisała do każdego syna długi list, i długi list do Teda, i krótszy do wszystkich innych, który Brenda miała przeczytać na jej pogrzebie. Wieczorem ostatniego dnia przed operacją poszła do kościoła; uklękła w pustej nawie i modliła się, a potem poczuła się jak hipokrytka, bo nie

wiedziała, czy wierzy. Poszła do domu i usiadła na łóżku, kiedy Ted czytał dzieciom. Pocałowała je na dobranoc i pomyślała: a jeśli to po raz ostatni?

- Chcę przez to powiedzieć - mówi - że byłam pewna śmierci. Zupełnie pewna.

Ludzie w kręgu kiwiają głowami.

Była tak przerażona, że wszystko, co zaszło na sali przedoperacyjnej, pamięta jak przez mgłę. Niewyraźnie przypomina sobie, że słyszała anestezjologa i przełożoną pielęgniarek. Przypomina sobie, że przebrała się w szpitalną tunikę i zastanawiała się, czy jeszcze włoży normalne ubranie; pamięta, że się trzęsła i było jej zimno. Pamięta, że kroplówkę wkłuto jej - po trzech próbach - w wierzch dłoni. Pamięta, że Ted miał spodnie khaki i wesołą, czerwoną koszulę ze sztruksu. Był przy niej przez cały czas, chyba coś szeptał. Ale go nie słyszała. Matka i Brenda były w domu z dziećmi. Vicki uparła się (irracjonalnie), że mają trzymać w objęciach Blaine'a i Portera przez całą jej operację. Pamięta, że wieziono ją przez liczne korytarze, kręte jak uliczki marokańskiego suku. Ted szedł przy niej, już przebrany w turkusowy fartuch. Miał zostać, dopóki jej nie uspią. Pamięta niewiarygodną powagę lekarzy, ich drobiazgowy profesjonalizm, pielęgniarki przestrzegające nieznanego protokołu - numery, kody, ciśnienie krwi, temperatura. Było ciekawie jak w kinie, nic dziwnego zresztą - życie Vicki spoczywało w ich rękach! Ale dla nich był to także kolejny dzień pracy. Teraz zajmowali się jej ciałem, jutro będzie inne.

W sali było zimno. Bose stopy Vicki wystawały spod prześcieradła jak stopy trupów w telewizyjnych thrillerach. Wszyscy mieli fartuchy i maski. Vicki nie potrafiła odróżnić mężczyzn od kobiet, jakby przybyła na inną planetę. Ted był u jej boku, a potem druga znajoma twarz - te grube okulary - doktor Garcia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

Wszczęło się poruszenie, lekkie zamieszanie, potem kurtyna w górę. Przybył chirurg. Nazywał się Jason Emery i był olbrzymem - większym i bardziej barczystym niż Ted, a przy tym bardzo młodym. Supergwiazdor, powiedział o nim doktor Garcia, najlepszy w Connecticut chirurg onkolog, specjalizujący się w operacjach klatki piersiowej. (A ilu ich może być, pomyślała Vicki). Pielęgniarki działały błyskawicznie, jak mechanicy na wyścigach Formuły 1, wkładały mu rękawiczki i podawały sprzęt. Kiedy chirurg zajął miejsce u steru, jego maska się naciągnęła i Vicki zorientowała się, że to uśmiech.

- Cześć, Vicki - powiedział. - Jestem Jason.

Poznali się tydzień wcześniej, w jego gabinecie, kiedy opowiedział jej o każdym etapie operacji. Polubiła go. Podobnie jak doktor Garcia, Jason Emery prezentował niezachwiany optymizm. Ale był strasznie młody! Ile mógł mieć lat? Powiedział, że dziewiątego października kończy trzydzieści trzy. Vicki też. Byli równolatkami, bliźniakami, to znak, on ją ocali.

- Cześć, Jason - odrzekła.

- Wszystko będzie dobrze.

Zaczął rzucać rozkazy, wszystkie niezrozumiałe. Vicki pomyślała, że jest jak kapitan drużyny futbolowej. Twarz zasłaniała mu gumowa maska. Pachniała wanilią. Ten sam zapach, pomyślała, panuje w kuchni mamy, kiedy pieką się ciasteczka.

No, więc już, pomyślała. Ted uściśnął jej rękę. Pomyślała: Blaine! Porter! Wyobrazila sobie, że leżą w objęciach matki i Brendy. Bezpieczni i zdrowi.

Obudził ją ból. Straszliwy ból, prosto z płomienistych czeluści piekła. Obudziła się z krzykiem.

Pielęgniarka dała jej zastrzyk w ramię.

- Dodatkowa dawka morfiny - powiedziała. - Dostaje pani także morfinę zewnątrzoponowo.

Ale Vicki i tak krzyczała. Myślała, że poczuje radość albo przynajmniej dogłębną ulgę, kiedy zrozumie, że przeżyła; jakimś cudem udało się jej przebić tunel przez skałę. Ale choć rozum podpowiadał, że to cud, ból nie pozwalał przyswoić tej myśli. Ból pozwalał tylko na jedną myśl, ironiczną: przez operację, która uratowała jej życie, teraz pragnęła jedynie śmierci.

Ból trwał w nieskończoność. Widziała mglisty ruch - ludzie, maszyny, procedury - ale nic do niej nie docierało. Ona, która nie znosiła zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza w publicznym miejscu, między obcymi, wrzeszczała całymi godzinami. Ta sama Vicki, która uwielbiała panować nad sobą, nie tylko wrzeszczała i wyła jak zwierzę, ale też żebrała: pomocy! Pomóżcie! O Boże kochany, niech mi ktoś pomoże!

A potem cisza. Ciemność. Ciche popiskiwanie. Pochylona nad nią twarz. Pielęgniarka. Jestem Juanita, powiedziała. Jak się pani czuje?

Vicki była gdzieś obolała, gdzieś zdrętwiała. Gardło ją bolało. W ustach wyschło, wargi były spękane. Chciało się jej pić. Juanita włożyła jej słomkę w usta. Woda była zimna, tak zimna, jak tamta z lodem, z przezroczystymi plasterkami cytryn, które Brenda stawiała jej przy łóżku przez całe wakacje. Vicki zaczęła płakać. Jaka dobra woda. To lato było piękne, mimo wszystko. A ona żyła.

Vicki nie chce nikogo przerażać, ale nie może się też zdobyć na owijanie w bawełnę. Dochodziła do siebie długo i z trudem (chciała powiedzieć „makabrycznie”, ale się kontroluje). Gdy próbowała cokolwiek zrobić, we wszystkich mięśniach odzywało się siedem milionów ukłuc bólu. Przy każdym kasznięciu, kichnięciu, śmiechu, okrzyku przeszywał ją ból. Czuła się, jakby miała pęknąć, rozpruć się. Rak sprawiał ból i utrudniał oddychanie, ale to było nic w porównaniu z tym, co czuła teraz, jak walczyła o tlen. Zostało jej tylko jedno płuco. Męczyło ją nawet jedzenie, kąpiel pod prysznicem, czytanie. Nie mogła znieść jawy, więc przesypiała większą część dnia. Morfinę zastąpiono oksykodonem, a oksykodon adwilem. Przyjmowała pięćdziesiąt tabletek na tydzień. A ból trwał. Ted przez wiele tygodni wnosił ją i znosił po schodach. Przyjaciele i sąsiedzi przynosili posiłki, wysyłali kartki, książki, kwiaty; słyszała ich szepty: jak ona się czuje? Co możemy dla was zrobić? Zabierali Blaine'a i Portera. Matka musiała pod koniec miesiąca wrócić do Filadelfii. Brenda przyjeżdżała na dwa dni w tygodniu, ale poza tym była zajęta pracą na kierowniczym stanowisku u Barnes&Noble'a oraz próbami sprzedania scenariusza wytwórni, która by naprawdę zrealizowała ten film. Ogólnie rzecz biorąc, jej życie wróciło na prostą, i świetnie, ale Vicki potrzebowała pomocy.

Nie wyjeżdżaj!

Głos jej wrócił jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znowu mogła mówić i to ją zdumiewało; co za ulga, że słowa z jej myśli mogły wyfrunąć na świat - ale wszystko, co mówiła, było nieprzyjemne, destrukcyjne, zaczepne. Kiedy Ted zaproponował, żeby zatrudnili nianię na stałe, powiedziała: nie chcę, żeby jakaś obca zajmowała się moimi dziećmi. Chcę tylko Josha. A Ted warknął: Nie wydaje mi się, żeby Josh był dostępny.

Po sześciu tygodniach poszła na pooperacyjne badanie. Doktor Garcia powiedział, że zdjęcia są „czyste”. Vicki nie ma raka. Ted kupił szampana. Vicki napiła się odrobinę, ale potem Porter zaczął wyć, a następnego dnia obudził się obsypany czerwonymi plamami. Wietrzna ospa, którą się zaraził u kolegi. Ted zwolnił się z pracy. Vicki przeklinała się, że nie potrafi się zająć nawet tym. Była niezdolna do czegokolwiek - nie mogła się opiekować Porterem, nie mogła iść na zakupy, nie mogła się bawić z dziećmi, nie mogła zorganizować przyjęcia dla dziecka Melanie. Ciągłe strasznie ją bolało. Jej ciało było okaleczone. Rozkrojono ją i zszyto na nowo, jak szmacianą lalkę. Rana

została częściowo zainfekowana. Sprawiała niezwykle ból, cuchnęła, jątrzyła się, ropiała. Vicki dostała gorączki. Doktor Garcia przepisał antybiotyki.

Czuła się pusta, wyobrażała sobie, że jej klatka piersiowa jest zupełnie opróżniona. Myślała, że wraz z rakiem doktor Jason Emery usunął jej zdolność do pracy, szczęście i fart. Poszła na zajęcia fizjoterapeutyczne; podjęła psychoterapię.

Tak, czuła się lepiej. Nie miała raka, ocalała. Ale nie była sobą - więc po co było zdrowieć, skoro to, co stanowiło o jej istocie, gdzieś przepadło? Przez całe życie wszystko przychodziło jej z łatwością. Teraz łatwo było jej tylko leżeć i oglądać telewizję. Uzależniła się od tasiemca *Miłość nadejdzie jutro* i gardziła sobą za to.

Rekonwalescencja to proces długi i trudny, mówi Vicki grupie. Ale jest to proces, który ma swój koniec.

Jakoś się pozbierała. Pomimo głębokiej rozpacz, przerażającego bólu, zmiany oczekiwań - a może z ich powodu - poczuła się lepiej. A może zaczęło się od czegoś małego - liściku od doktora Alcotta. Ted zażartował, a ona się roześmiała i blizna nie pękła, starczyło jej sił, żeby stanąć przy stole i zrobić kanapkę. Poszła za radą terapeuty i cieszyła się tymi sukcesikami, zamiast je lekceważyć.

A teraz spójrzcie: po pięciu miesiącach stoi w ich kręgu i odmawia modlitwę końcową. Zmieniła się. Uwolniła się od raka, tak, ale zmiana dotyczy też czegoś innego, mniej oczywistego, trudniejszego do określenia. Była w podróży i dotarła tam, gdzie - miejmy nadzieję - przybędą wszyscy obecni w tym kręgu. To miejsce, gdzie człowiek czuje ogromne zdumienie. Ogromną wdzięczność.

Nie wierzysz w boski plan? - spytał ją Josh.

Odpowiedź Vicki - nadal - brzmi: nie wiem. Niektórzy z tego kręgu umrą, inni przeżyją. Kto może zgadnąć, co się wydarzy i dlaczego?

Jej każemy odejść. Jej pozwolimy żyć. Czy tym wszystkim naprawdę nikt nie rządzi?

Vicki przypomina sobie tę noc na urwisku Sankaty, kiedy fale były o plażę, a niebo nad jej głową skrzyło się kłępującym bogactwem.

Wszystko ma znaczenie. Każda najdrobniejsza rzecz.

- Amen - mówi Dolores.

Końcowa modlitwa dobiegła końca. Vicki nie brała w niej udziału. A może jednak?